

Zło miesza ludziom
w głowach...

ODMIĘT

Jacek

ŁUKAWSKI



ODMET

Jacek

ŁUKAWSKI

ODMĘT

Copyright © Jacek Łukawski, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Mirosław Ruszkiewicz

Korekta: Gabriela Niemiec, Mirosław Krzyszkowski

Projekt typograficzny, skład i łamanie: MELES-DESIGN

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Will Swann / Unsplash

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-20-0

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Wydarzenia i postaci opisane w książce stanowią wymysł autora.
Jakkolwiek podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest
niezamierzone i przypadkowe.*

Moim Rodzicom i Teściom

Spis treści

[ROZDZIAŁ 1. Czwartek](#)

[ROZDZIAŁ 2. Piątek](#)

[ROZDZIAŁ 3. Sobota](#)

[ROZDZIAŁ 4. Niedziela](#)

[ROZDZIAŁ 5. Poniedziałek](#)

[ROZDZIAŁ 6. Wtorek](#)

[ROZDZIAŁ 7. Środa](#)

[ROZDZIAŁ 8. Czwartek](#)

[ROZDZIAŁ 9. Piątek](#)

[ROZDZIAŁ 10. Sobota](#)

[ROZDZIAŁ 11. Niedziela](#)

[ROZDZIAŁ 12. Poniedziałek](#)

[ROZDZIAŁ 13. Wtorek](#)

[Pragnę gorąco podziękować](#)

Czwartek

1

Czasami ucieczka jest najlepszym wyjściem. Damian Wolczuk zrozumiał to w chwili, gdy zastał ich oboje w sypialni. W łóżku wypatrzonym w katalogu Ikei, który wciąż leżał przy lampce nocnej. Na okładce napisano, że drobne rzeczy nadają życiu smak. Nie napisano, że gorzki. Bielizna, którą podarował jej na urodziny, wałała się między elementami męskiej garderoby. Obok leżały jej ukochane szpilki. Na stoliku pierścioneł i wyłączony telefon. W oczach niedowierzenie i strach. W takiej chwili można zrobić wiele rzeczy. Na przykład rozpętać piekło. Damian jednak wyszedł bez słowa. Uciekł.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, wiedział, że więcej tu nie wróci. Odruchowo spojrział na wyświetlacz. Była dziewiętnasta trzydzieści sześć. Trzy minuty później po raz ostatni rzucił okiem na kurczącą się we wstecznym lusterku Ochotę. Alejami Jerozolimskimi wymknął się z miasta.

Damian Wolczuk miał trzydzieści dwa lata, modną fryzurę, marynarkę od Paula Smitha i pewność, że wszystko, co mu się przytrafia, ma jakiś sens. Przegrany proces o zniesławienie, jaki wytoczyła mu jedna z celebrytek, którą w zeszłym roku sfotografował klęczącą w męskiej toalecie. Komornik zajmujący konto na poczet odszkodowania. Utrata pracy w redakcji, a nawet zdrada. Wszystko to, skumulowane w jeden zwykły czerwcowy dzień, postrzegał jako impuls do działania.

Do tego, by zacząć wszystko na nowo.

O dwudziestej pięćdziesiąt zjechał na stację benzynową w Radomiu. Zapłacił gotówką za paliwo i kawę. Niedługo potem jego srebrny civic włączył się do ruchu, opuszczając czarno-białą kadr przemysłowej kamery.

O dwudziestej pierwszej czternaście unoszący się w kabinie zapach przypomniawszy mu poranek, gdy oboje usiedli z filiżanką przy niewielkim kuchennym blacie. Wydawało mu się wtedy, że jest dobrze. Że mimo różnic mogą mieć wspólną przyszłość. Ona, błyskotliwa prawniczka z dobrego domu, z którego wyniosła o wiele więcej niż tylko urodę gwiazdki Instagrama, i on, pechowy paparazzo, nieudolny makler i dziennikarz najwyraźniej zbyt kiepski, aby utrzymać posadę w lokalnej gazecie. Małomiasteczkowy parweniusz, którego ostatecznie pożarła stolica. Rano wierzył jeszcze, że tkwi w jej gardle tylko do kolan. Głową w dół, lecz wciąż machając nogami na znak, że walczy. Teraz tonął w sokach trawiennych, wciskany w głąb projekcją niechcianych wspomnień.

Zdradziła go.

Może gdyby nie kupił kawy i nie uległ zenującej ckliwości. Może wtedy zdołałby w porę zauważyć wyjeżdżającego z prawej strony SUV-a, którego kierowca nawet nie próbował uniknąć zderzenia. Damian jednak zareagował zbyt późno. Zgrzyt metalu i wstrząs wydały mu się odległe, powolne, jak gdyby dotyczyły kogoś innego. Widział przesuwające się ponad nim roześmiane twarze, kapliczkę bielejącą w świetle reflektorów i wycieraczki na szybie. Zdążył pomyśleć, że to tylko sen, gdy świat nagle przyspieszył, wystrzeliły poduszki. Zimna kawa chlusnęła na tapicerkę i spodnie. Silnik zgasł.

Damian ostrożnie przecisnął rękę pomiędzy poduszką a kurtyną boczną i spojrzał na zegarek. Była dwudziesta druga dwadzieścia dwie. Czuł, że to ważne, że może mieć sens.

– Halo, proszę pana! – Kobieta zajrzała przez szybę. – Nic się panu nie stało?

– Wszystko w porządku! – Drzwi kierowcy nie chciały się dostatecznie otworzyć, więc wydostał się od strony pasażera. Pomogła mu.

Poprawił marynarkę i sprawdził, czy mijał jakiś znak. Ostrzeżenie

o skrzyżowaniu, które przeoczył. Nie było. SUV wyjechał z łąki, bez świateł, na pełnym gazie. Tak po prostu, znikąd. Otarł się o prawy błotnik, uszkodził lampę i zderzak. Uciekł.

Damian zaklął, widząc przód hondy. Może nie byłoby tak źle, gdyby nie spanikował i nie zjechał z nasypu, trafiając wprost na wystającą studzienkę.

– Zadzwońię po karetkę, tak na wszelki... – Klakson przejeżdżającego tuż obok tira zagłuszył ostatnie słowo. Jego kierowca ledwie się zmieścił na zwężonym odcinku drogi, którą blokował mały ford migający światłami awaryjnymi. Ciężarówka zniszczyła kilka słupków wyznaczających skraj pasa i wjechała na niewielkie rondo, na środku którego biała stara kapliczka.

– Proszę nie dzwonić. Naprawdę nic mi nie jest – krzyknął Damian. Starał się zignorować adrenalinę szumiącą w głowie i mokre spodnie. – Dziękuję, że się pani zatrzymała, ale musi pani przestawić samochód.

Posłuchała, parkując bezpiecznie kilkadziesiąt metrów dalej. Zamknęła auto i wróciła.

– Wie pan, co to jest szok pourazowy? – spytała, przyglądając mu się badawczo.

– Pani jest lekarzem? – Uśmiechnął się z przymusem.

– Pielęgniarką.

– Naprawdę wszystko w porządku – zapewnił. – Czy widziała pani samochód, który mnie uderzył?

– Nie. – Pokręciła głową. – Tylko pana światła, które nagle zniknęły. Odkąd zaczęli przebudowę, łatwo tu o wypadek. Sam pan widzi. – Zabrzmiało to niemal przepaszająco.

– To jest ciągle trasa E7? – Droga nie była oświetlona. Nie wiedział, gdzie jest. – Myślałem, że...

– Od węzła Chęciny do Jędrzejowa robią w końcu nowy odcinek. Trzeba niestety uważać. Dzwonił pan już na policję?

– To nie ma sensu. – Poklepał się po kieszeniach, szukając elektronicznego henleya. Bezskutecznie. – Nikt nie został ranny, a ja nie mam świadków na to, że ktoś mnie zepchnął. Jeśli przyjadą, to po to, żeby mi wlepić mandat, a to naprawdę ostatnia rzecz, na jaką mam

dziś ochotę, proszę mi wierzyć. – Ponownie spojrzął na rozbitą hondę, po której dachu prześlizgnęły się światła mijającego ich samochodu. – Pani jest stąd? Jest tu jakiś tani hotel? Potrzebuję pokoju na jedną noc, a rano zadzwonię po jakąś pomoc drogową... Trzeba to będzie na autocasco wziąć. Cholera!

– Chce pan go tu tak zostawić?

– W rowie nikomu nie przeszkadza. – Wzruszył ramionami. – To jak, pomoże mi pani?

Ford klekotał charakterystycznie, zdradzając zasilające go paliwo i wytłuczone poduszki silnika.

– Przepraszam, że dopiero teraz – zreflektował się. – Damian Wolczuk.

– Alicja Lipińska. – Zaskoczyła go pewnym uściskiem delikatnej dłoni.

– Jaka to miejscowość? – spytał, gdy minęli pierwsze domy.

– Miasto Chęciny – podkreśliła. – Był pan tu już kiedyś?

– Nie, raczej nie. – Wąską uliczką wjechali na rynek, po którym mimo późnej pory przechadzało się kilka osób. Nad ratuszem górowały trzy oświetlone fantazyjnie wieże. – Nie przypominam sobie.

– Proszę skorzystać z okazji i odwiedzić zamek, naprawdę warto – zasugerowała, po czym upewniła się, że nic nie jedzie, i skręciła. Pod kołami zaszumiała kostka brukowa.

Damian nie zdążył odpowiedzieć. Wibrujący w kieszeni telefon upomniał się o uwagę.

– *Ghost Town* Adama Lamberta? – rozpoznała utwór.

Kiwnął głową.

– Cześć, Marcin, miałem właśnie do Ciebie dzwonić. Nie dojadę dziś do Krakowa. Słucham? Nie, nie, drobny wypadek drogowy. Będę chyba musiał zostawić auto i dojechać w inny sposób, ale najwcześniej jutro, może pojutrze, nie wiem. Tak, poważnie. Cały przód, niestety. Nie, oczywiście, wszystko aktualne. Na sto procent. Słucham? Tak, bywa... Nie, to już nie ma znaczenia, naprawdę. Teraz jestem już tylko wasz. – Wymuszony śmiech. – O ile mój materiał... To świetnie, że wierzysz. Okej. Zadzwonię jutro. No, cześć!

Schował telefon.

– Przepraszam. Kolega się niepokoił.

– Oczywiście. – Zgasiła silnik. – Niech pan chwilę poczeka.

Zostawiła go w samochodzie, a sama ruszyła wzdłuż starego muru. Odwrócił się akurat w chwili, gdy znikwała w klasztornej bramie. Nigdzie nie zauważył tabliczki wskazującej na możliwość noclegu. Albo więc była poza zasięgiem wzroku, albo dziewczyna poszła załatwić jakąś prywatną sprawę. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. Dość późno, by kogokolwiek niepokoić.

Pomarańczowe światło latarni zalewało pogrążoną w ciszy ulicę, odbijało się w brudnej szybie auta. Chłód przenikał do wnętrza. Normalnie o tej porze kończyłby redakcję jakiegoś tekstu, zerkając co chwila znad ekranu laptopa. Zawsze zostawiała uchylone drzwi do łazienki. Chciała, by patrzył, jak się myje. Potem wsuwała się pod satynową pościel i czekała, aż do niej dołączy. Nie musiała czekać długo.

– Zdążyliśmy – głos Alicji wyrwał go z drzemki. – Przenocuje pan w pokoju dla gości. Za darmo. – Uśmiechnęła się.

– To hotel? – Było zimniej, niż myślał.

– Klasztor franciszkanów i ośrodek leczenia uzależnień San Damiano. Mam tu przyjaciół – wyjaśniła. – Jeden z pokoi braciszkanie przeznaczyli dla odwiedzających ich bliskich lub działaczy kościelnych. Teraz nikogo nie ma, więc może się pan w nim przespać. Żadne luksusy, ale przynajmniej nie trzeba płacić. Może być?

– Wspaniale! Jest pani bardzo miła. – Zawahał się. – Czy możemy sobie mówić po imieniu?

– Dobrze.

– Chciałbym ci się jakoś odwdzięczyć, Alicjo. – W świetle latarni dostrzegł na jej policzkach drobne piegi.

– Nie ma o czym mówić. – Machnęła ręką. – Chodźmy, bo Daniel jest już po pracy i nie chciałabym go przetrzymywać.

Upewnił się, że zabrał torbę z laptopem i telefon, a potem ruszył za nią. W bramie czekał barczysty mężczyzna o żołnierskich rysach twarzy.

– Cześć, Damian! – Krzepki uścisk dłoni wywołał skurcz na twarzy Wolczuka. – Przyda ci się trochę snu, co?

– Zostawiam cię w dobrych rękach. – Alicja uśmiechnęła się na pożegnanie. – Dobranoc, chłopaki!

Dziedziniec był słabo oświetlony. Niewielkie lampy wskazywały drzwi prowadzące do różnych części otaczających go zabudowań. Blask światła przyciągał owady. Tworzył na białych murach odległe od siebie areny, gdzie mogły pełzać i latać. Wydobywał z mroku wyłożony trylinką podjazd, krawężniki i ozdobną zielenią, lecz nie docierał pod rozłożyste konary starego drzewa. Wierzba rosła w pewnym oddaleniu od bramy. Jej bujne gałęzie zasłaniały bryłę kościoła. Odgradzały od światła część placu. Przytłaczały.

Weszli między zabudowania. Damian wzdrygnął się mimowolnie, patrząc na ciemne kontury okien. Miejsce wydawało się opuszczone. Pozbawione życia.

– Obowiązuje już cisza nocna – szept Daniela zabrzmiał szorstko. – Zawsze o dwudziestej trzeciej gasimy światła. Ty oczywiście nie musisz. – Otworzył drzwi i poprowadził go wiekowym korytarzem, w którym każdy krok rozbrzmiewał głośnym echem. Zamek zgrzytnął. Zaskrzypiały zawiasy.

– Możesz wybrać sobie łóżko. Łazienka jest po prawej. – Daniel zapalił światło i oddał mu klucz. – Zostaniesz tu na dłużej.

– Co? – Wolczuk zamrugał zaskoczony.

– Alicja mówiła, że porządnie skasowałeś samochód i pewnie zostaniesz na dłużej.

– Nie, nie... – Zadrżał z zimna. – Jutro załatwię jakąś lawetę i jadę dalej, do Krakowa.

– W porządku. Ale jakby co, to się nie krępuj. Nie spodziewamy się nikogo, więc możesz zostać, jeśli chcesz.

– Nie będę się narzucał.

– Nie narzucasz się. Dobrej nocy.

Piątek

2

W nocy trochę mżyło, ale poranek był ciepły. Wilgoć unosiła się nad szeroką wstęgą asfaltu. Słońce wpełzało ponad wierzchołki drzew, zalewając okolicę mdłym blaskiem. Skrzyło w kroplach rosy pokrywającej źdźbła trawy i oddzielające je od asfaltu, biało-czerwone obrzeże zakrętu.

Buczenie narastało, taktowane charakterystycznym redukowaniem biegu. Wskazówka schowanego za pleksiglasową owiewką samotnego obrotomierza opadała coraz niżej. Pięć, cztery i pół, cztery tysiące obrotów. Rosa skraplała się na szybie owiewki i kasku. Spychana pędem powietrza, tworzyła długie strugi, które zmieniły swój kierunek, gdy motocykl pochylił się, wchodząc w zakręt. Nisko, ale nie najniżej. Tor był jeszcze zbyt wilgotny, by można było do końca wykorzystać jego przyczepność. Po chwili silnik ryknął basowo. Wskazówka obrotomierza skoczyła ku czerwonej kresce umieszczonej tuż za siedmioma tysiącami. Kolejny bieg, kolejny i kolejny. Zabytkowy norton manx ciął już długą prostą, oddając na koło pełną moc półlitrowego silnika. Silnika, który co prawda opuścił fabrykę w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku, ale po latach miał się lepiej niż dobrze. Warczał jak myśliwiec i wchodził na wysokie obroty jak szatan.

Kolejna redukcja, buczenie i kolejny zakręt. Za nim znów długa prosta, nazywana startową, przy której stały zabudowania toru. Długi, żółty budynek z boksami, balkonami pełniącymi funkcję trybun,

dużym napisem „Tor Kielce” i wieżyczką sędziowską. Pusty i cichy, jeśli nie liczyć mechanika krzątającego się przy jedynym otwartym boksie.

Norton wyszedł z zakrętu, ale kierowca nie odkręcił manetki i nie rozpędził ponownie motocykla. Mechanik mu machał, dawał znaki, by zjechał. Zrobił to więc i zatrzymał się tuż obok. Zgasił silnik i ściągnął kask. Miał czterdzieści kilka lat, zszarzałą, surową twarz i lekko podkrążone oczy.

– Drze się, odkąd ruszyłeś! – Rzeczywiście, telefon wciąż dzwonił. Wygrywał jakiś kawałek, chyba rockowy.

Mężczyzna ściągnął rękawicę i położył ją na baku. Przyłożył telefon do ucha.

– Painer, słucham! – warknął. – Tak... Rozumiem... Cztery ciała. – Zaklął pod nosem. – Dobra, będę za pół godziny!

Rozłączył się i odetchnął głęboko.

– I znowu nie pojeździmy... – Mechanik pokiwał głową. – Dobrze, że do wyścigu jeszcze sporo czasu. – Nie mówił tego z wyrzutem, po prostu stwierdzał fakt. Zdążył się przyzwyczaić.

Kilka minut później Painer był już przebrany. Zamiast motocyklowego kombinezonu miał na sobie niemodną marynarkę i sztruksowe spodnie. Pożegnał się z mechanikiem i ruszył na parking, na którym stały tylko dwa auta. Wzrok przyciągała solidna, błyszcząca metalicznym lakierem terenówka należąca do mechanika. Przy niej kilkunastoletni subaru forester Painera wyglądał jak zgniłe jajo. Tym bardziej że zmatowiały, zielony lakier miał kilka wgnieceń i zacieków rdzy. Również na tylnej klapie, której jaśniejszy odcień wyraźnie odróżniał się od reszty. Podobnie odróżniały się tylne drzwi, które razem z kiepsko zaszpachlowanym błotnikiem i klejonym zderzakiem zdradzały wypadkową historię auta. Painerowi to nie przeszkadzało. Auto jeździło, więc spełniało swoją funkcję, a jego stan był najlepszym zabezpieczeniem przed kradzieżą.

Przez Miedzianą Górę i Kostomłoty dotarł do wjazdu na obwodnicę Kielc i skierował się w stronę Chęcín.

3

– To żart? – spytał z nadzieją Dariusz Kryński. Miał trzydzieści sześć lat, krótko przystrzyżone ciemne włosy i zmęczoną twarz kontrastującą z nienagannie wyprasowanym mundurem. Wczoraj na imieninach kolegi wypił dość, by dziś marzyć o spokojnym dniu na komisariacie. Nie pił często, a w tygodniu w ogóle. Tym razem jednak zrobił wyjątek. Kolega wyjeżdżał na kontrakt do Norwegii, więc to była ostatnia okazja. Miał zresztą trochę zaległej papierologii, którą odkładał na ten piątek, dlatego liczył na dniówkę za biurkiem. Przeliczył się.

– Cztery trupy – powtórzyła Karolina Kaniewska, unosząc wymownie brwi. – Wsiadaj!

– Tylko dyskoteki nie włączaj, proszę – mruknął, sadowiąc się w radiowozie.

– No co ty, żeby się cała wieś zleciała? – parsknęła, ruszając ostro. – Grzecznie pojedziemy przypilnować miejsca, zanim przybędzie kawaleria z Kielcówka. Góra tam się chce wykazać przed nową władzą, więc naszym kryminalnym zabronili się zbliżać. Teraz nabijają statystyki kosztem wszystkich wkoło. Cyrk, kurwa.

– Co na to stary?

– Komendant właśnie grzeje linię i tłumaczy im, jak dojechać. Zadowolony nie jest. – Minęli prowizoryczne rondo z kapliczką na środku. – Na miejscu czeka świadek. To wędkarz. Pojechał rano łowić do Lipowicy i znalazł tam samochód na warszawskich numerach, a przy brzegu topielców. Niczego nie ruszał, tylko od razu zadzwonił do nas.

– Jedyne bohater.

– Co? – nie zrozumiała.

– Tam zawsze łowi kilku stałych bywalców. Pozostali pewnie zwiali, gdy zobaczyli, co się dzieje. – Uśmiechnął się cierpko.

Po drodze stanęli przy sklepie. Kryński kupił napój i opakowanie ibupromu. Połknął dwie pastylki. Gdy zjeżdżali z betonowych płyt nad brzeg, jeszcze nie zaczęły działać.

Czarne bmw X5 stało niemal przy samej wodzie. Z otwartymi

drzwiami kierowcy i podniesioną klapą bagażnika. Radio wciąż grało, przekonując okolice o tym, że będzie zabawa. Obok auta, na kocu leżały ubrania, kilka puszek po piwie i charakterystyczna butelka whiskey z Tennessee. W wodzie białe nieruchome ciała. Trzech mężczyzn i kobieta. Nago, twarzami w dół.

– O kurwa... – Policjantka zbladła.

– Niczego nie ruszałem, panie władzo! – krzyknął starszy mężczyzna o nalanej twarzy, który majstrował coś przy swoim skuterze. Wytarł dłonie o spodnie moro, które zsunęły się, odsłaniając okazałych rozmiarów brzuch, i podszedł bliżej. – Warszawiaki, nie?

– Młodszy aspirant Dariusz Kryński. To pan dzwonił?

– No ja – potwierdził wędkarz. – Miałem jutro dopiero przyjechać, ale dzisiaj coś spać nie mogłem już od czwartej, wie pan? No to myślę, że co będę siedział, jak wędkę spakowane, okoń i tak na tygodniu się nie zna, nie? O siódmej przyjechałem i widzę tych tam, to pomyślałem, że trzeba zawiadomić władzę, nie? – Wydawał się zadowolony.

– Dobrze pan zrobił – pochwalił go Kryński. – Proszę dać nam chwilę. Potem porozmawiamy, w porządku?

– No to ja skuter dalej, bo obroty coś...

– Bardzo dobrze. Przyjdę do pana.

– Pierwszy raz widzę topielców – szepnęła policjantka, gdy wędkarz nie mógł jej już usłyszeć. – To możliwe, żeby cała czwórka naraz? Przecież tu nie jest głęboko.

Kryński wzruszył ramionami i połknął jeszcze jedną tabletkę. Zatrzymał dziewczynę, która chciała podejść bliżej wody.

– Będą później marudzić, że zatarłaś ślady – wyjaśnił. – Cofnij się może do asfaltu i przypilnuj, żeby się tu miejscowi nie kręcili, a ja pogadam z dziadkiem. Chyba że wolisz ty to zrobić? – Wolą zamknąć dojazd.

minutach. Jej skład sugerował, że Kielce potraktowały sprawę poważnie. Wąsaty naczelnik pepeżetu, którego Kryński kojarzył jeszcze z czasów służby w Kielcach, piszący z tego samego wydziału, i techniczka, filigranowa blondynka, która była ostatnią osobą, jaką Kryński miał dziś ochotę zobaczyć. Posłała mu cierpki uśmiech, który odwzajemnił niezdarnie. Niemal równocześnie na miejscu pojawił się prokurator, Arkadiusz Painer, o którym Kryński słyszał kilka anegdot. Skojarzył od razu, bo facet miał niepowtarzalne auto i styl ostatnio modny chyba w latach sześćdziesiątych minionego wieku. Niektórzy żartowali, że w prokuraturze przechowują go w starej, zakurzonej szafie i wyciągają dopiero, gdy jest potrzebny. Kryński musiał przyznać, że rzeczywiście takie sprawiał wrażenie. Lekarz dotoczył się kilka minut później.

– Wy tu byliście pierwsi? – Naczelnik Stefan Więclawski nie podał Kryńskiemu dłoni.

– Przyjechaliśmy oboje. Koleżanka zabezpieczyła drogę dojazdową, a ja rozpytałem świadka, który znalazł ciała.

– Niepotrzebnie. My się tym zajmiemy.

– Aspirancie Kryński, pozwólcie na chwilę! – Techniczka opuściła aparat. – Pan też, szefie.

Podeszli do bagażnika, przy którym stała z prokuratorem. Wnętrze było puste, jeśli nie liczyć niewielkiej torby przymocowanej do siedzenia i odrobiny rozsypanej ziemi.

– Terra rosa. – Dorota spojrzała na Darka pytająco.

– Co? – Nie zrozumiał.

– To nie piasek z plaży – parsknęła. – Wodorotlenki żelaza i tlenki glinu, jak sędzę. Pełno jej chyba w Chęcinach, co? Na budowie drogi na przykład?

– No tak... – Miał wrażenie, że ibuprofen nie działa. – I co?

– Nic. Chciałam się upewnić. Taka sama oblepia chlapacze i progi. – Oznaczyła ślad numerem.

– To paciorek? – mruknął prokurator, wskazując coś obok czerwonej grudki. Techniczka kiwnęła głową i sięgnęła po drugi znacznik. Prokurator wyciągnął paczkę papierosów i nie częstując

nikogo, zapalił.

– Może pies naniósł ziemię łapami? – zasugerował Kryński, próbując irracjonalnie wykazać się inicjatywą. – Mogli go przewozić w bagażniku. – Na szczęście został zignorowany, bo uwaga wszystkich skupiła się na lekarzu.

– Uraz czaszki – ocenił z zawodową satysfakcją. – Więcej powiem, gdy już będę mógł się lepiej przyjrzeć, a nie zrobię tego, zanim nie zrobicie dokumentacji. – Krytycznie spojrział na blondynkę. – Może pani się tym wreszcie zajmie z łaski swojej?

Dorota kiwnęła głową.

– To byłby dziwny przypadek, gdyby się w czwórkę utopili tuż przy brzegu. – Lekarz podrapał się po głowie. – Choć nie takie cuda się zdarzają.

– Samochód ma uszkodzony zderzak i błotnik – zauważył Kryński, który odwrócił się w porę, by nie oglądać twarzy strofowanej techniczki. Wcześniej tego nie widział, bo zasłaniały je otwarte drzwi. – Wygląda, jakby się otarł o coś jasnego...

– Panie aspirancie. – Usta naczelnika wygięły się w uśmiech, w którym nie było krzty wesołości. – Wasza koleżanka zamknęła drogę dojazdową do zbiornika, ale ona chyba gdzieś biegnie, prawda?

– Na pola – przytaknął, uznając trafnie, że naczelnik ma na myśli drogę, a nie Karolinę.

– A jeśli ktoś od pól będzie szedł? Na spacer na przykład? Ma nam tu się kręcić pod nogami i węszyć sensację? Macie zabezpieczyć teren, to go zabezpieczcie i od tamtej strony. No, raz-dwa!

Kryński skinął głową i ruszył w kierunku krzaków. Droga znikąca za nimi, a Kryński z ulgą uczynił to samo. Nie przejmował się tym, że nie zabłysnął, a może nawet wyszedł na idiotę. Nie pierwszy raz. Ważne było to, że oddalił się od Doroty. Od dobrych dwóch miesięcy porażka i wyrzuty sumienia miały jej twarz.

Damiana obudziły odgłosy z zewnątrz. Grupa młodych mężczyzn rozgrzewała się na dziedzińcu. Chwilę później wybiegli za bramę. Sprawdził telefon. Nikt nie dzwonił. Ona nie dzwoniła. Oczywiście nie odebrałby, ale przynajmniej czułby satysfakcję, że ona ma jakiegokolwiek wyrzuty sumienia, że żałuje zdrady. Najwyraźniej tak nie było.

Umył się i usiadł przy stole naprzeciw meblościanki z lat siedemdziesiątych. Kalwaryjska politura na wysoki połysk musiała kiedyś kosztować majątek. Dziś się takie po prostu wyrzuca, ale tu widać nikomu nie wadziła. Podobnie jak stare krzesła i dwa łóżka, z których jedno było piętrowe. Tylko łazienkę odnowiono, co i tak było Damianowi obojętne. Nie zamierzał tu zostać dłużej.

Telefon z trudem łapał połączenie z siecią. W końcu jednak znalazł numer do warsztatu, który mógł mieć lawetę.

– Nie sprawy, ale prosz zgłosić policję. – Przerzywało, więc podszedł do okna. – To w pana interesie, bo inaczej ubezpieczyciel nie uzna. Rozumie pan? Proszę zadzwonić, jak już będzie po, to go ściągniemy i zobaczymy, co się narobiło.

Spodnie od Paula Smitha schły na oparciu fotela. Wciąż zbyt wilgotne, by ocenić, czy nie potrzebują kolejnego prania. Damian Wolczuk założył džinsy, które przytomnie zabrał w nocy z auta. Kupili je z Justyną w poprzedni weekend w Mokotowskiej, ale wciąż zapominał je wyjąć z bagażnika. W poniedziałek przyszło pismo z sądu i co innego miał na głowie. Teraz się przydały. Wyczyścił buty i poprawił fryzurę. Klucz zostawił w drzwiach.

Za dnia dziedziniec wyglądał przyjemniej. Otoczony niskimi budynkami, z wyrastającą ponad nie bramą i dużą ilością zieleni. Drewniane tabliczki kierowały do kościoła, poradni, ośrodka leczenia uzależnień i kawiarni. W pierwszej chwili Damian chciał tam wejść, by uzupełnić niedobór kofeiny, ale konieczność przywołania obsługi za pomocą niewielkiego dzwonu skutecznie go zniechęciła. Poza tym stare mury i panująca wkoło cisza działały na niego przytłaczająco. Czas tu zwalniał i Wolczuk bał się irracjonalnie, że całkowicie się zatrzyma. Odetchnął, wychodząc na ulicę, gdzie słońce wydawało się świecić

intensywniej.

Kawę wypił na rynku pod parasolem. Zjadł niezdrowe śniadanie i poinstruowany przez sprzedawcę poszedł szukać komisariatu. Z Chęcina nie było bezpośredniego połączenia do Krakowa. Sprawdził online. Wpierw musiał dotrzeć do Kielc, a tam przesiąść się do autokaru lub pociągu. Ledwie drobna komplikacja, bo niemal co godzinę miał taką możliwość. Ostatnią tuż po dwudziestej trzeciej. Było więc dość czasu, by wszystko załatwić.

Niewielki, parterowy budynek był cofnięty od ulicy na odległość czterech miejsc parkingowych. Na jasnobieżowej ścianie wisiało godło, a pod nim czerwona tabliczka z napisem „Komisariat Policji w Chęcinach”. Damian upewnił się, że ma ze sobą dokumenty, po czym wkroczył do środka. Miał nadzieję, że pójdzie gładko.

Nie poszło.

– Nie rozumiem! – Wolczuk nie próbował nawet ukryć irytacji. – Zapisał pan wszystko, więc czemu nie mogę zabrać własnego samochodu?

– Powtarzam raz jeszcze. – Policjant starał się mówić spokojnie, choć jego zachowanie od początku zdradzało pewną nerwowość. – Musimy sporządzić dokumentację i zabezpieczyć ślady na miejscu zdarzenia. W tej chwili wszyscy są w terenie, więc będzie to możliwe dopiero za jakiś czas. Gdy skończymy, będzie pan mógł zabrać pojazd.

– To jest jakaś kpina po prostu. Cholerne zadupie!

– Zapisałem pana numer. – Funkcjonariusz nie dał się sprowokować. – Zadzwoń, gdy już będzie taka możliwość. Proszę mieć to na uwadze i nie oddalać się zanedo.

– Nie oddalać się – roześmiał się Wolczuk. – I co mam niby robić? Siedzieć tu na schodach?

– Może pan w tym czasie na przykład zwiedzić zamek albo pospacerować i pooddychać świeżym powietrzem. Przepraszam! – Odebrał telefon, którego ostry dzwonek zawibrował w powietrzu.

Wolczuk wstał i wyszedł bez słowa.

Prowincjonalna kłoda rzucona pod nogi w biegu od tego, co się

kończy, ku temu, co się zaczyna – pomyślał odruchowo. Mógłby być z tego niezły nagłówek, a jeszcze lepszy śródtytuł. Prawdę mówiąc, miał czas. Redakcja pisma, którego redaktorem naczelnym był Marcin Zecerski, dopiero się organizowała. Pierwszy numer miał się ukazać za dwa miesiące, a więc tekst Damiana nie miał jeszcze sprecyzowanego deadline'u. Ważne było tylko to, aby był petardą. Dowodem, że warto podpisać z nim stałą umowę, za którą chciał płacić zachodni koncern.

Jeszcze kilka tygodni temu Damian widział w tym szansę, by rzucić robotę w regionalnej gazecie i wypłynąć na szersze wody. Teraz był już zdeterminowany i wierzył, że każda minuta wczorajszego dnia prowadziła do oczywistego celu. Do zmiany na lepsze.

Problem leżał tylko w tym, że materiały z trudem zdobyte przez Wolczuka nie były już atrakcyjne. Przedwczoraj odwołano prezesa, którego wypadek zamierzał opisać, łącząc go z zaginięciem dwóch prostytutek. Za dwa miesiące nikt nie będzie pamiętał ani o prezesie, ani o jakichś kurwach, a on zostanie na lodzie. Miał więc do wyboru albo odpowiednio rozdmuchać historię, albo znaleźć coś nowego.

Przeraźliwy klakson i krótki pisk opon na rozgrzanym asfalcie.

– Pan patrzy, jak pan chodzi! – Starszy mężczyzna w mycce wychylił się przez okno i pogroził Wolczukowi. – Kapcan jeden! – Zgrzytnął bieg i czarny, pamiętający upadek muru berlińskiego mercedes potoczył się dalej. Żółte, zabytkowe tablice zdradzały, że przyjechał ze Śląska.

Kilka minut później Damian zobaczył to samo auto zaparkowane na rynku. Jego właściciel szedł wolnym krokiem wprost do urzędu miasta. Damian zwolnił, by nie wchodzić mu w paradę, a gdy staruszek wszedł do budynku, ruszył prosto w uliczkę, gdzie wskazywała strzałka z napisem „Zamek”.

Budki z pamiątkami starały się przyciągnąć wzrok stosem kolorowych bibelotów. Większość z nich skrywała napisy „Made in China” lub „PRC”, jak gdyby ktokolwiek jeszcze miał wątpliwości, że to jedno i to samo. Drogi prowadzące na zamek były dwie. Pierwszą można było dojść do bliższego, zachodniego wejścia. Oceniając dystans i różnicę wysokości, łatwo się było domyślić, że wymaga wspinania się po

schodach, a na to Wolczuk nie miał ochoty. Czuł już w nogach, jak bardzo odzwyczaił się od chodzenia pieszo. Nie było sensu dodatkowo się katować. Wybrał więc drugą, wzdłuż której ustawiono drewniane podobizny władców. Wznosiła się łagodnie, okrążając twierdzę od wschodu. Dłuższa, lecz łatwiejsza.

Łysy człowiek z wystudiowanym uśmiechem i zawieszoną na piersi odznaką przewodnika czekał cierpliwie, aż ostatni maruderzy dołączą do grupy.

– Witam państwa! Nazywam się Dominik...

Melodyjny dzwonek zagłuszył jego słowa. Siwawy mężczyzna w tweedowej, znoszonej marynarce walczył chwilę z telefonem, po czym wymruczał przeprosiny.

– Nic się nie stało – uśmiechnął się przewodnik. – Witam państwa u stóp chęcińskiego zamku. Zamek jest po rewitalizacji, która zakończyła się w kwietniu zeszłego roku. – Trójka roześmianych dzieciaków przebiegła obok. – Stoimy na początku alei władców albo królów, którzy bywali tu lub mieli wpływ na zamek. Na dole, na parkingu, mijali państwo figurę Mikołaja Sieciesławowicza, który był pierwszym właścicielem okolicznych wiosek w drugiej połowie trzynastego wieku, ale nie miał pieniędzy, by budować.

Wolczuk przystanął, niepewny, czy nikt go nie przegoni. Nie był częścią grupy i nie płacił za zwiedzanie z przewodnikiem. Z drugiej strony było to miejsce publiczne i nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Pierwsza wzmianka o zamku pochodzi z roku tysiąc trzysta szóstego, czyli z czasów Łokietka.

Owszem, mógł precyzyjnie się między tymi ludźmi i iść dalej swoim tempem, ale mógł też posłuchać, skoro nie miał nic lepszego do roboty.

– Władysław Łokietek rozbudował zamek, który powstał tu wcześniej z inicjatywy Wacława II Czeskiego. Choć to zbyt duże słowo. Na początku była to jedynie wieża o ekspozycji południowej, najprawdopodobniej, ponieważ nie można tego jednoznacznie stwierdzić. – Odruchowo spojrział na mury, które jaśniały w górze. – Ślady tej wieży odkryto właśnie podczas rewitalizacji zamku, co wywołało niemałą sensację. Jej zarys obejrzyście państwo, gdy już

będziemy na miejscu. Chodźmy dalej.

Grupa posłusznie ruszyła za przewodnikiem, który snuł opowieść o losach warowni. O jej rozbudowie i ludziach, którzy mieli na to największy wpływ.

– Zamek odegrał ważną rolę podczas wojen z zakonem krzyżackim. Był bowiem miejscem koncentracji wojsk i to właśnie z Chęcín ruszano między innymi na słynną bitwę pod Płowcami w tysiąc trzysta trzydziestym pierwszym.

– Więziono tu Krzyżaków, prawda? – spytał ktoś z grupy.

– Tak – potwierdził z uśmiechem przewodnik. – Po bitwie pod Grunwaldem przebywali tu co znamienitsi jeńcy, czekając na okup. Po bitwie pod Komorowem trafił tu nawet Michał Kűchmeister von Sternberg, późniejszy wielki mistrz.

– Gdzieś czytałem, że zaprzyjaźnił się z tutejszym zakonnikiem i podarował mu niezwykley prezent. – Mężczyzna w tweedzie poprawił okulary. – Opowie pan o tym?

– To jedna z mniej popularnych legend, która nie ma żadnego potwierdzenia w źródłach. Pojawia się chyba tylko w dwóch niepewnych opracowaniach. – Przewodnik się skrzywił. – Osobiście uważam, że została zmyślona, bo raczej trudno sobie wyobrazić taką sytuację, że Kűchmeister pozbywa się... – Zmarszczył brwi. – Chyba jakiejś relikwii... Przepraszam, ale nie pamiętam dokładnie.

– To był różaniec wykonany w Jerozolimie przez krzyżowców.

– Jaki różaniec? – zainteresowała się jedna z kobiet.

– Zrobiono go z kości strażników Grobu Pańskiego. – Mężczyzna był wyraźnie zadowolony z okazanego mu zainteresowania. – Miał chronić von Sternberga przed zakusami złych mocy i opętaniem. Oddał go franciszkaninowi w zamian za...

– Proszę pana – upomniał go przewodnik. – Nie wiem, skąd pan czerpie takie rewelacje, ale naprawdę nie mają one wiele wspólnego z rzeczywistością.

– Wyczytałem je w niemieckiej prasie historycznej – powiedział z dumą właściciel tweedowej marynarki. – To była potężna relikwia wykonana przez...

– UFO? – zakpił ktoś. Wolczuk mimowolnie się uśmiechnął. Kilka osób parsknęło rozbawionych.

Przewodnik dokończył przerwany wątek:

– Więzi tu byli również Jan Hińcza z Rogowa, oskarżony o romans z żoną Jagiełły Zofią, czy Andrzej Garbaty, który spędził tu aż dziesięć lat. Przejdźmy dalej...

Siwiejący miłośnik tajemnic przysunął się do zaskoczonego Wolczuka, którego spojrzenie zinterpretował błędnie jako wyraz zainteresowania.

– To prawda z tym różańcem – szepnął konspiracyjnie. – Mówię panu! Chronił przed opętaniem, taką miał siłę. Od lat zbieram informacje na ten temat. Znam jego losy od samej Jerozolimy i to tu trop się urywa.

– Panie, co pan – obruszył się Damian.

– Nie jestem wariatem – syknął. – Ale wie pan, jak to jest z nauką. Jak nie pomacali, to nie istniało. Trudno... – Rozluźnił się. – Przejazdem jestem, to pomyślałem, że zajrzę i zapytam, może tu ktoś coś wie. No niech pan tak nie patrzy. – Uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Może to rzeczywiście tylko legenda, lecz przyzna pan, że ciekawa. Mój ojciec, proszę pana, interesował się losami von Sternberga, bo to był jakiś nasz rozwodniony przodek, ale mniejsza z tym. Pan jest młody, to co pana obchodzą takie sprawy. Przepraszam, że zająłem czas.

– W porządku. – Damian kiwnął głową. – Idzie pan dalej, na zamek?

– Nie, już nie mam po co.

Przed celownikiem obiektywu przesuwawała się gałąź. Po chwili pojawiła się na niej ciemna plama. Autofokus wyostrzył obraz, dobierając odpowiednią przysłonę. Ptak wielkości gołębia, o czekoladowobrązowym upierzeniu z białymi plamkami, wypełnił kadr. Migawka pstryknęła, utrwalając go w cyfrowym formacie z prędkością sześciu klatek na sekundę. *Nucifraga caryocatactes* była rzadko spotykana w tej okolicy, więc fotograf mógł czuć satysfakcję z udanego polowania. Ptak wciąż siedział na gałęzi. Obracał łebek. Celownik aparatu kierował się już jednak w inną stronę. Połowę kadru

wypełniała teraz tweedowa, znoszona marynarka i siwiejące włosy. Fokus ostrzył na przystojną twarz stojącego tuż obok blondyna. Migawka znów pstryknęła cicho.

6

Dariusz Kryński przyglądał się z zainteresowaniem szarej hondzie civic, którą fotografowała Dorota. Zostawili radiowóz kilkadziesiąt metrów dalej, aby nie tarasować zwężonego odcinka tymczasowej drogi. Samochody przetaczały się po niej, zwalniając na widok odblaskowych kamizelek z napisem „Policja”. Ciekawość była silniejsza niż rozsądek, więc korek robił się coraz większy. Kryński wyobrażał sobie irytację kierowców, którzy pędząc obwodnicą, byli nagle zmuszani do wytracenia prędkości i poruszania się w żółtym tempie. Wiedział, że wkrótce zirytują się bardziej, gdy zatrzyma ruch, by użyć koła pomiarowego. Dorota pobierała próbkę lakieru. Przerwała na moment, by poprawić kosmyk włosów, który wysunął się spod czapki. Mimowolnie śledził jej ruchy, jak gdyby w ten sposób chciał się upewnić, że jej kobiecość nie robi już na nim wrażenia. Robiła.

– Mierzymy? – Karolina wspięła się po zboczu, patrząc na Kryńskiego z wyrzutem, że nie podał jej ręki.

– Słucham? – Nie zrozumiał w pierwszej chwili. – A tak, pewnie! – Poruszył kołem w przód i w tył.

Policjantka wstrzymała ruch. Kryński zajął się tym, co trzeba.

Godzinę później był już na komisariacie. Karolina została z techniczką, żeby ją odwieźć, gdy skończy, a Kryński wrócił na piechotę. Od miejsca, gdzie srebrna honda zjechała z drogi, miał ledwie kilometr. Poszedłby nawet, gdyby było ich pięć, byle tylko zniknąć z zasięgu wzroku Doroty. Jak jakiś szczeniak.

Komendant pojechał do Kielc, co Kryński przyjął z ulgą. Jego organizm domagał się kawy i chwili odpoczynku. Niemal poczuł tęsknotę na widok służbowego krzesła. Resztki na dnie puszki

zwietrzały, tracąc aromat. Mimo to zalał kawę wrzątkiem i zamieszał. Nie zdążył się napić ani opowiedzieć dyżurnemu nic ponad to, co już wiedział, gdy zjawił się świadek.

– Pan Daniel Wolczuk? – upewnił się, wskazując krzesło.

– Damian – tamten poprawił go z irytacją.

– Damian, przepraszam. – Kryński spojrział w notatki. Rzeczywiście Damian. – Zwiedził pan zamek? – zagaił.

– Nie cały, bo pana kolega po mnie zadzwonił. Rozumiem, że nie zwróćcie mi za bilet?

Kryński chrząknął z zakłopotaniem. Zapowiadała się męcząca rozmowa, a tabletki zostały w radiowozie. Otaksował wzrokiem Wolczuka. Blond włosy przycięte w sposób, na jaki Kryński nigdy by się nie zdecydował, modne okulary, lekki zarost włoskiego amanta i dobrze skrojona marynarka. Casualowa, o ile dobrze pamiętał ten styl. I ta chełpliwa pewność siebie. Niemal roszczeniowa. Zupełnie jak z porannego programu na TVN. Nie lubił takich dupków.

– A więc panie Damianie. – Uśmiechnął się w wymuszony sposób. – Chciał pan zgłosić zdarzenie drogowe, w którym brał pan udział, prawda? Doszło do niego w dniu wczorajszym, a pan kierował srebrną hondą civic o numerach rejestracyjnych WE... – Wolczuk dokończył za niego. – Rozumiem, że pojazd należy do pana? Dobrze. Proszę o dokumenty, które to potwierdzają, oraz o pana prawo jazdy i dowód osobisty, jeśli ma pan je przy sobie.

Wprowadzał przez chwilę dane do komputera.

– Proszę powiedzieć, co się wydarzyło.

– Jechałem z Warszawy do Krakowa. Na tym rozkopanym odcinku koło was z pola po prawej wyskoczył jakiś wariat i zepchnął mnie do rowu. To był duży, ciemny samochód. SUV albo terenówka, nie wiem, bo było ciemno.

– O której mniej więcej godzinie?

– Po dwudziestej drugiej. Bliżej wpół do.

Kryński zanotował.

– Czy byli jacyś świadkowie tego zdarzenia?

– Nie. Jedna dziewczyna zatrzymała się, żeby mi pomóc, ale nic nie

widziała, bo jechała w zbyt dużym oddaleniu. Od razu pytałem – podkreślił.

– Rozumiem. Czy zna pan tę dziewczynę?

– Pan żartuje? – Damian popatrzył na policjanta wymownie. – Skąd mam znać?

– Nie wyraziłem się jasno, przepraszam. – Po kilkunastu latach w policji arogancja nie robiła już na nim wrażenia. – Czy przedstawiła się panu? Wie pan może, gdzie mieszka? Cokolwiek, co pozwoli ją znaleźć i upewnić się, że naprawdę nie może nam pomóc. To standardowe pytania, które muszę panu zadać – dodał.

– Nie. Może... – Damian poprawił się na krześle. – Przedstawiła się jako Alicja, nazwiska nie pamiętam. Pielęgniarka, ale nie wiem skąd. Jeździ dwudrzwiowym focusem w dieslu. Chyba mieszka w pobliżu, pewnie w samych Chęcinach. Rozmiaru stanika nie znam. – Tani żart.

Dariusz sięgnął po filiżankę i przełknął lurowaty płyn, krzywiąc się mimowolnie. Najgorszy piątek w roku.

– Alicja Lipińska, szatynka średniego wzrostu? – upewnił się.

– Chyba tak. Zna ją pan?

– Jestem dzielnicowym w rejonie, gdzie mieszka – rzekł wymijająco. – Czemu od razu nie wezwał pan policji?

– Myślałem, że jestem na jakimś zadupiu i nikt nie przyjedzie.

– Czy był pan wtedy trzeźwy?

– Oczywiście! Sugeruje pan, że sam zjechałem do rowu?

– Nie – zaprzeczył Kryński. – Po prostu pytam, bo ludzie na pana miejscu raczej wzywają w takiej sytuacji policję.

– Miałem wczoraj naprawdę kiepski dzień – powiedział Damian szczerze. – Ostatnie, na co miałem ochotę, to udowadnianie wam, że naprawdę uderzył we mnie inny samochód.

– Zostały wyraźne koleiny i odpryski lakieru na pana błotniku. Niepotrzebnie się pan obawiał.

– Nie pomyślałem o tym. – Pokręcił głową. – No tak... Czyli był pan już na miejscu?

– Zabezpieczyliśmy ślady.

– Więc mogę zabrać auto? – Wyciągnął telefon.

– Będzie pan mógł, gdy skończymy naszą rozmowę.

Damian westchnął wymownie i odłożył telefon na biurko. Poprawił się na krześle.

– Czy kiedykolwiek widział pan już wcześniej ten samochód, który pana zepchnął? A może zna pan jego właściciela lub kierowcę? Może domyśla się pan, kto to mógł być?

– Nie mam pojęcia.

– Ten samochód, podobnie jak pański, był zarejestrowany w Warszawie, co oczywiście może być zwykłym zbiegiem okoliczności, jednak...

– Znaleźliście go?

– Może też wskazywać na jakąś formę...

– Niech pan nie żartuje. Nie znam i nie wiem nic poza tym, co powiedziałem. – Ożywił się. – Jeśli znaleźliście auto, to znaczy, że możecie mi wystawić jakiś świstek dla ubezpieczyciela. A może sprawca podpisze protokół szkody, czy jak to tam się nazywa. To możliwe?

– To już nie leży w mojej gestii. Złoży pan wniosek na piśmie. Zaraz dam panu odpowiedni druk. – Sięgnął do szuflady. – Wcześniej jednak muszą przyjść wyniki analizy lakieru, który został pobrany z obu pojazdów.

– Bez jaj! – parsknął Wolczuk. – Takie badania z powodu zwykłej stłuczki? To co, kierowca nie pamięta, co zrobił, czy odmówił składania wyjaśnień? Bo rozumiem, że skoro jest samochód, to...

– Proszę pana, kierujący tamtym pojazdem nie żyje, tak samo jak pasażerowie. Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie. – Nie było sensu tłumaczyć, że robi to zespół z Kielc, a oni tu, w Chęcinach, co najwyżej mogą zebrać zeznania i przesłać dalej.

– Mieli wypadek?

– Na obecnym etapie nie jestem upoważniony, aby udzielać jakichkolwiek informacji związanych z tą sprawą. Wspomniałem o tym tylko po to, aby miał pan świadomość, że wydanie jakiegokolwiek zaświadczenia będzie możliwe dopiero po otrzymaniu wyników z laboratorium. Może to potrwać kilka dni lub dłużej. Trudno mi

powiedzieć. Auto oczywiście powinien pan zabrać jak najszybciej. Dobrze. – Przeleciał wzrokiem po monitorze. – Czy mieszka pan w miejscu zameldowania?

– Nie.

– Proszę więc o adres, na który będziemy mogli kierować ewentualną korespondencję.

– Nie mam takiego. To znaczy jeszcze nie mam. – Damian odetchnął głęboko. – To niefortunny moment, bo właśnie przenoszę się do Krakowa. Dopiero kiedy coś wynajmę, będę mógł podać adres.

– Rozumiem. – Wolczuk podrapał się po skroni. – A tam w Warszawie nie ma kogoś, kto przekaże panu korespondencję? Może...

– Nie – uciął.

– No dobrze. Zostawię na razie tak, jak jest, bo muszę coś mieć wpisane. Kiedy pan już będzie miał w Krakowie jakieś lokum, proszę o kontakt. Dam panu mój numer. – Gdzieś miał jeszcze wizytówkę. Jak zwykle nie tu, gdzie na początku szukał. – Proszę. W razie gdyby pan zgubił, to na stronie internetowej komisariatu też jest dostępny. Dobrze, a teraz przeczytam pana zeznanie. Proszę mówić, jeśli coś by się nie zgadzało lub coś sobie pan przypomniał. Poprawimy, a potem wydrukuję, żeby pan podpisał.

7

– Aleś pan przydzwonił, kurwancka! – Mechanik wysłał po samochód pomocnika, bo sam kończył pilną robotę. Teraz oglądał hondę na lawecie, przed warsztatem, na który składały się dwa połączone garaże i część starego domu. Reszta, świeżo otynkowana, znajdowała się już na sąsiedniej posesji. Pachniało tu smarem, gumą i samowolą budowlaną. Skromny plac zajmowały trzy auta w różnej fazie rozkładu i sterta opon. Przy budzie, ze stalową miską między łapami, leżał apatyczny pies. – Wahacz poszedł. Pas, podłużnica... – Sięgnął dłonią i szarpnął za coś. Wydało metaliczny dźwięk. – Szkada całkowita – ocenił. – Mogę na jutro ściągnąć rzeczoznawcę. Potrzebuję tylko

upoważnienia i numeru polisy.

Damian Wolczuk wyjaśnił pokrótce, jak wygląda sytuacja. Mechanik podrapał się po brodzie.

– No dobrze, możemy go postawić na placu i poczekać na zaświadczenie z policji, bo rzeczywiście bez sensu brać to na autocasco. Straciłbyś pan, kurwancka, wszystkie zniżki. Tylko bez zgłoszenia szkody to ja panu nie zacznę tego robić. Poza tym nie daję żadnych aut zastępczych.

– Nie szkodzi. Dam sobie radę.

– W porządku. – Ściągnął rękawice. – Zapraszam do biura, podpiszemy papiery.

Popołudniowe słońce zalewało ulicę prowadzącą do rynku. Odbijało się w markowych okularach. Grzało przyjemnie. Damian Wolczuk niósł marynarkę w jednej ręce, w drugiej lekką turystyczną torbę. Było w niej ubranie i antyperspirant. Wszystko, co dotychczas trzymał w szafce w redakcji, a teraz musiało wystarczyć na początek nowego życia. Była tam też ładowarka do telefonu, którego bateria padła przy próbie połączenia z Marcinem. Laptop przewieszony przez ramię objął się o udo. Było dobrze po szesnastej i Damian wreszcie mógł pomyśleć o obiedzie.

Budynek, w którym mieściła się pizzeria, miał nietypowe półokrągłe okna. Obok musiała stać kiedyś remiza, bo uliczkę nazwano Strażacką. Wewnątrz było przyjemnie chłodno. W podłużnej, ozdobionej kamieniami sali tylko dwa stoliki były wolne. Położył torbę na krześle. Przez oparcie przewiesił marynarkę i stanął przy długim barze, gdzie młoda, filigranowa kelnerka tłumaczyła coś klientce. Za barem, w rogu pomieszczenia, ubrany na biało mężczyzna pakował parującą pizzę do pudełka. Wszędzie było czysto i pachniało jak należy. Zachęcająco.

Menu leżało na blacie. Damian zdążył je przejrzeć, nim przyszła jego kolej. Na pizzę musiał poczekać, ale piwo podano mu od razu. Uśmiechnął się do kelnerki i wrócił do stolika. Henley zbulgotał cicho, zmieniając liquid w parę o smaku truskawki, który niezbyt

komponował się z piwem. Damianowi to nie przeszkadzało. Począł, aż laptop z trudem złapie sieć, i zalogował się na skrzynkę. Mail do Zecerskiego był krótki, bo Damian nie lubił długich wiadomości. „Jeszcze tu trochę zostanę. Dam znać przed przyjazdem”. Patrzył przez chwilę na migający kursor i wcisnął przycisk „Wyślij”. W przeglądarce wpisał hasło „Chęciny” i zaczął czytać.

Nie chodziło o wypadek ani o problemy z ubezpieczeniem. Damian Wolczuk po raz kolejny w swoim życiu czuł, że znalazł się gdzieś z jakiegoś powodu. Towarzyszące mu od rana mrowienie karku i rozedrganie w piersi były czytelnymi znakami, że w tej leniwej, małomiasteczkowej atmosferze kryje się temat. Jego temat.

Damian Wolczuk się nie pomylił.

8

Młodszy aspirant Dariusz Kryński westchnął, gdy ciężarówka za jego plecami ruszyła na wstecznym. Miarowy pisk rezonował w głowie, wydobywając nieprzyjemne wspomnienie porannego kaca. Teren na wysokości Starochęcin, przez który miała przebiegać obwodnica, był szykowany pod stabilizację. A może ekipa robiła jeszcze co innego. Kryński w kwestiach budowlanych i drogowych był ignorantem, dla którego istotny pozostawał tylko stan faktyczny. Łąki i pola były elementem krajobrazu, autostrada – pożądanym udogodnieniem, a proces przechodzenia od jednego do drugiego uznawał za zupełnie nieistotny. Jednak stojąc na skraju szerokiego pasa ziemi, podejrzewał, że nie uda się dotrzymać terminu tej budowy. Zgodnie z narodową, ogólnobudowlaną tradycją górnianej organizacji pracy ludzi i sprzętu wyraźnie było tu zbyt mało.

Kierownik robót, którego ściągnięto na odcinek, miał na głowie biały kask z logo firmy i odblaskową kamizelkę narzuconą na garnitur. Jego wypastowane buty oblepiała czerwona ziemia. Jak wszystko wkoło. Pojawił się spóźniony, gdy karetka zdołała pokonać rozjeżdżoną ciężkim sprzętem drogę i wydostała się na asfalt, mijając radiowóz,

którym przyjechał Kryński.

– Kwiatkowski – przedstawił się, kiwając nieznacznie głową. Nie wyciągnął ręki na powitanie. Najwyraźniej nie miał tego w zwyczaju. – Przepraszam, że musiał się pan fatygować, ale taką mamy procedurę, że do każdego wypadku musimy wezwać policję. Zarząd na wszystko musi mieć papier. Związki zawodowe i ubezpieczyciel, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Jasne. – Kryński z ulgą przyjął fakt, że brzęczyk za plecami umilkł. Ciężarówka zwiększyła obroty, by wydostać się z grząskiej ziemi.

– Pan Braniewski pracuje u nas już kilka lat i dał się poznać jako dobry fachowiec. Normalnie staramy się unikać zatrudniania osób w tym wieku, bo często mentalnie siedzą jeszcze w Peerelu, ale pan Jan bezproblemowo dostosował się do naszych standardów.

– Czyli nie pije w pracy?

– Nie pije i robi, co trzeba. – Kierownik kiwnął głową. – Poza tym naprawdę zna się na robocie. Każda kolejna ekipa go chwali. – Rzucił okiem na stojącą obok koparkę. Otwarta kabina i ślady pod gąsienicą. Zakrwawiony but. – Naprawdę nie wiem, co się stało...

– Świadkowie, pana ludzie – sprecyzował Kryński. – Twierdzą, że pan... – spojrzał w notatki – Jan zaczął dziś pracę o godzinie szesnastej. Przebrał się i udał na odcinek, gdzie w dniu wczorajszym zakończył pracę.

– Kopał równolegle do przebiegu wyznaczonej drogi – potwierdził kierownik, zerkając ukradkiem na zegarek.

– Był tu sam, ale koledzy, którzy pracowali w pobliżu... – rozejrzał się – ...o tam, widzieli, że miał jakiś problem z maszyną. Opuściłabinę i kręcił się pod łychą.

– Nie powinien tego robić.

– Kilkakrotnie wracał do pojazdu i przemieszczał się wzdłuż wykopu, wybiegając co chwila z maszyny, którą zostawiał z włączonym silnikiem.

– Wbrew zasadom – podkreślił szybko kierownik, jak gdyby stał w blasku fleszy i na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za wizerunek firmy.

– Bhp, wiem. – Kryński coś zanotował. – W końcu za którymś razem wbiegł za koparkę, a ta ruszyła, miażdżąc mu nogę. Mogła sama ruszyć?

– Nie powinno się to zdarzyć. W ogóle nie powinien opuszczać kabiny bez uprzedniego zastopowania silnika. Maszynę jeszcze dziś sprawdzą nasi serwisanci. Powinni być już w drodze. Wie pan, po to właśnie mamy restrykcyjne przepisy, aby nie dochodziło do takich sytuacji. – Spojrzał wymownie wpierw na Kryńskiego, a później na jego notatnik. – Moi pracownicy zareagowali zbyt późno, ale dobrze, że zareagowali. W chwili gdy pan Jan po raz ostatni opuścił maszynę, brygadzysta był już w pobliżu. Zdołał dobiec i wyłączyć silnik. W innym wypadku skończyłoby się gorzej. – Westchnął. – Mimo to powinien zareagować od razu, gdy pan Jan po raz pierwszy złamał procedury. Oczywiście wyciągniemy konsekwencje i przeprowadzimy dodatkowe szkolenia.

– Świadkowie natychmiast wezwali pogotowie i zadzwonili do pana. Pan kazał sprowadzić policję.

– Zgadza się. Byłem pod Radomiem, dlatego dojazd zajął mi chwilę. Cieszę się, że w tym czasie zdążył pan już porozmawiać z ludźmi. – Tym razem ostentacyjnie sprawdził, która godzina. – Rozumiem, że wszyscy dostaną wezwanie, by stawić się na komisariacie. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

– Tak. Pan Jan do przyjazdu pogotowia majaczył. Kontakt z nim był utrudniony. Nie odpowiadał na pytania. Jęczał i wykrzykiwał, że... – Zajrzał znów do notesu. – Coś o przekleństwach i diabłach... Również dużo słów na literę „k”. Świadkowie jednak twierdzą, że nie było od niego czuć alkoholu, że był trzeźwy. Podobnego zdania jest stróż, z którym rozmawiał w baraku. Krew sprawdzą w szpitalu. Jeśli rzeczywiście nie będzie śladów alkoholu, to...

– Nie może być, bo każdy z pracowników dmucha w alkomat przed dopuszczeniem do pracy.

– Wie pan... – Kryński się uśmiechnął. – Ludzie bywają pomysłowi. Zaczynają trzeźwi, a kończą pijani.

– U nas jest to niedopuszczalne! – Kierownik pokręcił głową. – Jeśli okazałoby się, że pan Braniewski złamał zasady, to konsekwencje

prawne byłyby dla niego gorsze niż utrata stopy. Za przeproszeniem, oczywiście. Każdy z naszych pracowników ma tego świadomość.

– Jeśli był trzeźwy, to będzie po prostu...

– To już oceni zakładowa komisja i ubezpieczyciel. – Kwiatkowski chrząknął. – Między innymi na podstawie państwa raportu. Da mi pan dziś jakieś potwierdzenie, że był pan na miejscu?

– Nie. Proszę zgłosić się na komisariat w poniedziałek. Przy okazji złoży pan zeznania.

– Nie da się szybciej?

– My też mamy swoje procedury. – Kryński rozejrzał się. – Co to za ślady? – Wskazał na koleiny, które wiły się po obu stronach przyszłej drogi. Również tu, gdzie stała koparka.

– Jakiś kretyn urządził tu sobie wczoraj wieczorem rajd terenowy. Przeorał nam całą niwelację od siedemset trzydziestki szóstki aż tu. Na widok ochrony uciekł. Naprawiamy szkody.

– Czy ochroniarz widział, co to za auto? Może pamięta numery rejestracyjne?

– Był za daleko. Barak stoi aż tam. – Wskazał. – Samochód był ciemny, może czarny. Odjechał, nim nasz pracownik zdążył pokonać połowę drogi. To wszystko.

– O której godzinie to się wydarzyło?

– Po dwudziestej, można sprawdzić w zeszycie. Ale co to ma wspólnego z wypadkiem naszego operatora?

– Nic. Ciekawość zawodowa. Jeszcze raz pana godność poproszę, a najlepiej jakiś dokument tożsamości. Wie pan, procedury. – Uśmiechnął się.

Na komisariat wrócił przed dziewiętnastą.

– Ty też jeszcze pracujesz? – zagaiła Karolina znad papierów. – Co za popieprzony piątek.

– Wiem, gdzie dokładnie nasi denaci ubrudzili samochód. – Podsunął jej notes. – Możesz wpisać do raportu.

– To się Kielce ucieszą. – Przejrzała notatki. – Ustalili już, że to byli pracownicy warszawskiej firmy ubezpieczeniowej. Biuro mają na tej

słynnej Domaniewskiej. – Spojrzała wymownie na Kryńskiego. Pokręcił głową. – W Mordorze? – Wyraźnie nic mu to nie mówiło. – Nieważne – poddała się. – Mieli imprezę integracyjną w Korzecku. W „Okraślaku”. Burdel straszny, bo ludzi ponad setka. Kielce ściągnęły naszych i chłopaków z Nowin, żeby pospisywać zeznania. Przy okazji wlepili kilka mandatów tym, co wsiedli za kółko pod wpływem. Musieli mieć tam niezły młyn. – Zaśmiała się.

– Wiadomo coś ciekawego?

– Nic. Tej czwórce znudziła się impreza, wsiedli do samochodu i więcej nikt ich nie widział. Jacyś kierownicy niższego szczebla, czyli byle kto. Zespół się już zwinął, a nasi tam kończą i tyle. Reszta na głowie Kielc i Warszawy.

– Komendant coś działał?

– Kiero był tylko na chwilę. Bardzo się przejął i kursuje wte i wewte. Nawet u burmistrza siedział.

– Nie zazdroszczę mu. – Kryński pokręcił głową.

– No! – Ziewnęła. – Kończę raport, wysyłam i idę do domu.

Sobota

9

Gromkie pokrzykiwania wyrwały Damiana ze snu. Wyjrzał przez okno w chwili, gdy grupa biegaczy opuszczała klasztorny dziedziniec. Była szósta dziesiątka, dobry czas, by zacząć dzień.

Gdy minionego popołudnia wrócił do klasztoru, klucz tkwił w zamku, tam gdzie go zostawił. Zapraszająco. Drobnym szczegółem, który ostatecznie przekonał Damiana, że nie warto na razie szukać innego lokum. Nie warto wydawać pieniędzy, skoro może się tu zatrzymać dłużej.

Problem z zasięgiem rozwiązał, przesuwając stół bliżej okna. Do późna czytał i katalogował informacje o mieście i okolicy. Na razie bez określonego celu, ponieważ wszystko mogło okazać się pomocne. Znalazł stronę internetową klasztoru i odnośnik do Centrum Profilaktyki i Leczenia Uzależnień. Certyfikowany specjalista terapii Daniel Krawczyk spoglądał na niego ze zdjęcia. Ogolony na jeża, z wymuszonym półuśmiechem, który nie pasował do pełnego pasji spojrzenia. Z krótkiej notki wynikało, że pracował kiedyś jako psycholog wojskowy i terapeuta więzienny, a z ośrodkiem w Chęcinach związany był od początku jego istnienia. Poza nim wychowankami opiekowało się jeszcze kilka osób. Zapewne na zmianę.

Na terenie klasztoru funkcjonowały niezależne domostwo San Damiano, hostel o dziwnej nazwie i poradnia, która zajmowała część głównego korytarza. Wolczuk zwrócił już na to uwagę. Pomieszczenia o takich samych drzwiach z ciemnego drewna, od toalety i pokoju gościnnego różniące się jedynie niewielkimi wywieszkami

umieszczonymi na ścianach. Gdyby nie te wywieszki i tablica ogłoszeń, trudno byłoby się domyślić, co się mieści wewnątrz.

Tablica była korkowa, obwieszona standardowymi informacjami, jakie spotyka się w poradniach, tu wzbogaconymi dodatkowo o religijne obrazki. Znajdowała się na samym początku korytarza, w niewielkiej dobudówce stanowiącej rodzaj obszernego przedsionka. Zawieszono ją na ścianie, na prawo od wejścia, naprzeciw schodów prowadzących na piętro, gdzie mieszkali franciszkanie. Oni też byli wymienieni na stronie internetowej. Na innej liście niż terapeuci. Tylko imiona i nazwiska, bez opisów i zdjęć. Zupełnie jakby chciano podkreślić nadrzędną rolę walki z uzależnieniami w stosunku do kwestii religijnych. Odwrotnie niż w rzeczywistości, gdzie mimo wszystkich wywieszek, tablic i logotypów NFZ-etu Wolczuk odnosił wrażenie, że całe to centrum jest ledwie dodatkiem, epizodem w długiej historii tego miejsca, które przetrwało wszelkie dziejowe zawieruchy.

Na koniec sprawdził jeszcze serwisy informacyjne, szukając śmiertelnych wypadków w pobliżu. Nie było nic z ostatnich dni. Dopiero gdy niedługo po północy dochodzące z korytarza echo kroków zmąciło nocną ciszę, uznał, że czas się położyć. Zasnął niemal od razu.

Obudził się wypoczęty, gotowy do działania. Punktualnie o szóstej trzydzieści zamknął za sobą pokój. Schował klucz do kieszeni i ruszył do wyjścia. Korytarz był pusty i pozbawiony życia. Gdyby nie blade światło dnia wpadające przez duże, wychodzące na wirydarz okna, Damian mógłby uwierzyć, że w budynku wciąż obowiązuje cisza nocna, a zakonnicy nadal śpią. Domyślał się jednak, że byli już na nogach, szykowali się do codziennych obowiązków, może modlili się w kaplicy. Zbyt cisi i skupieni, by hałasować, zakłócać spokój wiekowych murów. Tym bardziej że to sobota i poradnia była nieczynna.

Minął zamknięte na głucho drzwi gabinetów i recepcji, wiszącą na ścianie tablicę ogłoszeń i schody prowadzące na górę. Drzwi wyjściowe były lekko uchylone. Wystarczyło je pchnąć, by znaleźć się na zewnątrz.

Poranek był rzeński, w sam raz, aby nabrać ochoty na kawę. Klasztorna kawiarnia mieściła się na lewo od bramy. Na prawo, jeśli

wchodziło się z zewnątrz. Trzy surowe, betonowe schodki i ciemne, drewniane drzwi. Ponad nimi, na dawno niemalowanej ścianie, wisiał szyld zrobiony z deski. Napis na nim brzmiał: „Sacrum et Profanum”.

Niewielka przeszklona gablota służyła za rodzaj menu. Na kilku skrawkach papieru, przymocowanych szpilkami do juty, umieszczono nazwy herbat i kaw. Dodano też instrukcję, by użyć zawieszzonego obok niewielkiego dzwonu. Żadnych godzin otwarcia, żadnych cen. Dzwon był przymocowany do żeliwnego, ozdobnego ramienia, przywodzącego na myśl podstawy zabytkowych maszyn do szycia marki Singer.

Rozległ się metaliczny klang. Damian uznał, że zbyt cichy, więc uderzył ponownie i omiótł wzrokiem podwórze. Na piętrze budynku, z którego niedawno wyszedł, poruszyła się firanka. Nikt jednak nie pojawił się w oknie. Patrzył chwilę w tamtą stronę, aż uznał, że mu się zdawało. Warkot przejeżdżającego ulicą autobusu odbił się echem w tunelu bramy, przedostał na dziedziniec i ucichł.

– Chce się pan napić herbaty? – Kobieta stała w drzwiach w rogu dziedzińca. Musiały być wcześniej uchylone, bo nie słyszał, by je otwierała.

– Wolałbym kawę – odparł.

– Zaraz otworzę, tylko wezmę klucze. – Cofnęła się w głąb pomieszczenia.

Czekał zaintrygowany. Spodziewał się mężczyzny, podświadomie zakładając, że teren klasztoru, gdzie w dodatku znajduje się ośrodek dla uzależnionych, to nie miejsce dla kobiet. Zwłaszcza atrakcyjnych, co ocenił, gdy zjawiała się ponownie. Mogła mieć trzydzieści, może trochę więcej lat. Nigdy nie był zbyt dobry w zgadywaniu czyjegoś wieku. Zgrabną figurę podkreślały czarne kozaki i spódnica odsłaniająca kolana. Ciemna, stonowana bluzka bez dekoltu, związane w kok włosy i ledwie dostrzegalny, skromny makijaż eksponowały jej naturalną urodę.

Zaprosiła go do środka. Pomieszczenie było niewielkie, lecz wystarczające, by zmieścić się w nim mały bar, trzy skromne stoliki i schody prowadzące na górę. Od starych, grubych murów ciągnęło chłodem.

– Jaką pan pije? – spytała, wchodząc za kontuar.

– Proszę z ekspresu, mocną, jeśli to nie problem.

Usiadł na jednym z dwóch wysokich, barowych krzeseł. Na więcej nie było miejsca.

– Na pewno nie chce pan herbaty? – upewniła się. – To nasza specjalność.

– Nie, proszę kawę.

– W porządku.

Patrzył przez chwilę, jak krząta się przy ekspresie. Zauważyła to, lecz skwitowała ledwie zauważalnym uśmiechem.

– Pani tu pracuje? – zagadnął.

– Nie – zaprzeczyła. – Należę do wspólnoty. – Urządzenie zaszumiało, a ona usiadła naprzeciw Wolczuka. – A pan jest stąd?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Zostałem przymusowym gościem zakonników.

– Przymusowym?

– Damian Wolczuk. – Wyciągnął dłoń.

– Beata. – Ciepłe palce i delikatny uścisk trwający nie dłużej, niż to konieczne.

– Uszkodziłem samochód i zostanę tu kilka dni – wyjaśnił. – Co to znaczy, że należysz do wspólnoty?

Ekspres zaburczał i siknął ciemnym płynem wprost do podstawionego naczynia.

– Ona pozwala mi wyjść na prostą. – Postawiła na blacie spodek i poczekała, aż rozlegnie się wysoki dźwięk sygnalizujący zakończenie pracy urządzenia. – Mleczko?

– Nie, tylko cukier.

– Byłam bardzo młoda, gdy wpadłam w złe towarzystwo – podjęła, stawiając ostrożnie filiżankę. – Tak się mówi, ale to nie wina innych, tylko moja. Wolałam kraść i robić rzeczy, których się wstydzę. Wtedy wydawało mi się, że to sposób na życie, ale to był sposób na coś zupełnie przeciwnego. – Uśmiechnęła się.

– Trafiłaś tu do ośrodka?

– Do innych. Pół życia spędziłam w takich miejscach, gdzie

próbowano mi pomóc w różny sposób. Nie można jednak zmienić nikogo, jeśli on sam nie chce zmiany. Ja nie chciałam, nie rozumiałam, czemu to jest konieczne. Przechodziłam terapie, robiłam, co chcieli, wychodziłam, a potem i tak wracałam. Długo to trwało... – Umilkła.

Wolczuk upił łyk kawy, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. To wyznanie go zaskoczyło, ale i zaintrygowało.

– W ośrodku w Hiszpanii – przerwała przedłużającą się ciszę – gdzie wysłano mnie na samym początku, stara zakonnica kazała mi przynosić uschnięte gałęzie. Były pełne kolców. Kiedy poprosiłam o rękawiczki, powiedziała, że skoro kradłam bez nich, to mogę też bez nich pracować. Wtedy mnie to oburzyło i wkrótce stamtąd uciekłam. Teraz wiem, że to był krok w dobrą stronę... – Uśmiechnęła się znów, widząc minę Wolczuka. – Nieporadny, owszem, ale w dobrą stronę – powtórzyła. – Ludzie, którzy mają problem, tacy jak ja, nie rozumieją, że sami są jego przyczyną. Obwiniają cały świat i wszystkich wkoło, zamiast skupić się na sobie...

Przerwała, gdy zgrzytnęły drzwi. Wolczuk odwrócił się w ich stronę i kiwnął głową. W jasnym prostokącie wejścia stało dwóch mężczyzn. Jak na komendę odpowiedzieli na powitanie, po czym ten stojący bliżej, niższy, odezwał się tym specyficznym rodzajem głosu, który kojarzy się z młodzieńczą mutacją. Mężczyzna nie był już jednak młodzieńcem.

– W porządku, Beata?

– Tak. – Przez krótki moment wydawała się speszona albo Damianowi się tylko zdawało. – Pan przyszedł napić się kawy.

– Aha... – Mężczyźni stali przez chwilę niezdecydowani, po czym niższy cofnął się, zmuszając kompana, by usunął się z drogi. – Przyjdź potem, są prace do rozdzielenia.

– Dobrze – zgodziła się, a gdy odeszli, tym samym, beznamiętnym głosem, jak gdyby mówiła coś oczywistego, wyjaśniła: – Widzieli, że tu wchodzimy, i przyszli sprawdzić, czy nie robię nic głupiego.

– Głupiego?

Wzruszyła ramionami. Sięgnął po filiżankę.

– Opowiedz o tym miejscu, o wspólnocie – poprosił, a widząc pytające

spojrzenie, dodał: – Ciekaw jestem, jak to działa.

– Zwyczajnie. Masz problem i potrzebujesz pomocy, to tu ją dostaniesz.

– Tak po prostu?

– Na NFZ, ze skierowaniem od specjalisty. Tego typu ośrodków jest wiele, ale większość to takie przechowalnie, gdzie nic się nie zmienia. Tu jest inaczej.

– Ze względu na wspólnotę?

– Też, to zawsze jeden z atrybutów takich miejsc. Chodzi jednak o coś więcej. Mamy dobrych terapeutów. Pomagają zrozumieć, że problemem jesteś ty sam, że się usprawiedliwiasz i przez to tkwisz w bagnie, które sam sobie zgotowałeś. To jest złe.

– A co jest dobre?

– Dobre jest, by pozbyć się tego, co nas trzyma na dnie, ogranicza, i zbudować samego siebie na nowo. Nauczyć się dyscypliny, odpowiedzialności i odwagi. Stać się innym człowiekiem. We wspólnocie wszyscy jesteśmy równi i pomagamy sobie nawzajem. Wszyscy przechodzimy przez to samo i razem wspieramy się w terapii, która nie jest łatwa.

– Na czym polega?

– Wstajemy o tej samej godzinie, o tej samej kładziemy się spać. Ćwiczymy i pracujemy. Wyznaczamy obowiązki i cele, rozliczamy się z nich. Codziennie spotykamy się z terapeutą, rozmawiamy o postępach, wspieramy się. Tu, w tych murach, czas płynie inaczej. Obowiązują inne zasady niż na zewnątrz. Wspólnota daje siłę, ale wymaga też prawdziwych poświęceń. Musimy być ze sobą szczerzy i fair, inaczej nie miałyoby to sensu.

– Nie rozumiem. – Żałował, że nie nagrywa tej rozmowy. Teraz jednak było już za późno i nie chciał wystraszyć dziewczyny sięganiem po telefon.

– Tu są ludzie z problemami. Jedni kradli, by ćpać, byli agresywni po alkoholu, inni brali dopalacze. Można być uzależnionym od wielu rzeczy. Każdy wierzy, że może robić to, co chce, że wszystko dopasuje się do niego, a tu sam musi się nagiąć. Zdyscyplinować się, pracować

i żyć w narzuconym rytmie. Za każde uchybienie czy spóźnienie są kary, za przekleństwo lub źle pościelone łóżko, za każdy błąd. Potem wszystko omawia się na spotkaniu wspólnoty. Musisz powiedzieć prawdę, przyznać się przed wszystkimi do najmniejszego błędu. To niełatwe, to naprawdę nie jest łatwe, zwłaszcza gdy jesteś jedyną kobietą w grupie... – Odwróciła wzrok.

– Jak w wojsku – powiedział szybko, by nie pozwolić krępującej ciszy zawisnąć w powietrzu. – Przychodzą rekruci, których trzeba złamać, by stali się żołnierzami.

– Nie – zaprzeczyła, marszcząc czoło, co tylko dodawało jej uroku. – W wojsku nie masz wyboru, a tu wszyscy jesteśmy dobrowolnie.

– Możecie odejść, kiedy chcecie? – zdziwił się.

– Odejść lub przenieść się do innego ośrodka, oczywiście. Tylko że wtedy pewnie nic się nie zmieni... Wielu nie wytrzymuje tej dyscypliny i odchodzi po kilku dniach, inni po tygodniach. – Zamyśliła się. – Myślę, że po prostu nie są gotowi, by się zmienić.

– A ty?

– Ja? – spytała, jak gdyby chodziło o kogoś innego. – Chciałam odejść kilka razy, ale dzięki wspólnocie wytrzymałam. Nie było to łatwe, lecz myślę, że w końcu mi się udało. Dziś jestem tu ostatni dzień. Daniel podpisze dokumenty i wyjadę na kilka tygodni, może nawet na stałe. Zobaczą, jak się będę czuła za murami.

– Skończyłaś terapię?

– Daniel wierzy, że sobie poradzę, a ja nie chcę go zawieść, nie po tym, ile dla mnie zrobił. Sama też wierzę, choć trochę się boję, ale to normalne... Zobaczymy, jak będzie.

– Szkoda. – Uśmiechnął się. – Miałem nadzieję na kolejną kawę w twoim towarzystwie. – Z zadowoleniem dostrzegł nieznaczny rumieniec na jej policzku. – Płatność jest uznaniowa? – spytał szybko, a gdy przytaknęła, położył na ladzie dwadzieścia złotych. – Dziękuję, Beato, było mi bardzo miło cię poznać.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy w drzwiach znów pojawił się niski mężczyzna. Tym razem był sam i wszedł do środka.

– Dobrze, że jesteś. – Beata skinęła na niego. – Weźmiesz ode mnie

pieniądze. – Jej ton był swobodny, choć Damian miał wrażenie, że o wiele mniej, niż gdy byli tylko we dwoje. Wstał, poprawiając marynarkę.

– Do widzenia.

Wyszedł z pozbawionej okien kawiarenki wprost na zalany słonecznym blaskiem dziedziniec. Zamrugał i zatrzymał się, by przyzwyczać oczy do tak nagłej zmiany. Był zbyt oślepiiony, żeby dostrzec Daniela Krawczyka, który przyglądał mu się z alejki wiodącej za kościół. Gdy Damian odzyskał wzrok i się rozejrzył, nie zobaczył już nikogo.

W bramie dogonił go ten niski. Złapał za rękę.

– Odczep się od niej! – Wolczuk domyślił się, że miało to zabrzmieć hardo i groźnie. Nie zabrzmiało.

– O co ci chodzi, człowieku? – spytał chłodno. – To kawiarnia, a ja chciałem napić się kawy.

– Zostaw Beatę w spokoju, rozumiesz?

– A ty co, zakochany kundel? – parsknął Wolczuk, wyrywając się z uścisku. Był zaskoczony i zły, że mężczyzna pozwolił sobie na tak bezpośrednie zachowanie.

Najwyraźniej trafił w sedno, bo tamten poczerwieniał.

– Po prostu nie chcemy tu takich jak ty. Ty... – Nie dokończył. Albo żadne przekleństwo nie przyszło mu do głowy, albo w porę się powstrzymał. – Idź sobie! – rzucił i cofnął się, jak gdyby obawiając się reakcji Wolczuka. Gdy żadna nie nastąpiła, splunął mu pod nogi. Wolczuk uśmiechnął się kpiąco.

Tamten zacisnął pięści, ale nic więcej nie powiedział. Nie powiedział ani nie zrobił. Albo opuściła go odwaga, albo skończyły mu się pomysły. Może zrozumiał, że nie wygra. Wolczuk widział to w jego oczach. Tak samo jak wściekłość. Wściekłość i zazdrość o to, że spędził tyle czasu z dziewczyną. Zrobił coś, czego ten mały, śmieszny człowieczek nie mógł zrobić. Nie w taki sposób.

Wiedział, że facet nie ma szans u takiej dziewczyny jak Beata. Wiedział, że on też o tym wie. To musiało być frustrujące. W pewnym sensie Wolczukowi było go żal.

Facet odwrócił się i odszedł. Niski, zgarbiony i kulejący na lewą nogę. „Chęciński Quasimodo” – pomyślał Wolczuk i wyszedł na ulicę.

10

Dorota Kowalska do domu wróciła dobrze po północy, a o piątej rano była znów na nogach. Obudził ją właśnie prokurator Arkadiusz Painer, który jakimś cudem załatwił ekspresową sekcję zwłok. Biegły lekarz czekał już na miejscu, więc musiała się śpieszyć.

To było coś nowego, bo zwykle na stół czekali minimum dwadzieścia cztery godziny, częściej dłużej. Potem protokół posekcyjny lądował u Painera na biurku, a ten sięgał po niego gdzieś między obiadem a piętnastą przerwą na papierosa. Nie zawsze tego samego dnia. Tym razem nie minęła doba, gdy mieli zacząć pracę. Dla Doroty było jasne, że ktoś naprawdę trząśł dupą, aby zeszłoroczna zmiana na Wiejskiej okazała się dobra i dla niego.

W sobotę przed szóstą ruch w Kielcach był niewielki. Miasto budziło się powoli, wolne od nerwówki dnia powszedniego. Za miastem, na trasie, było jeszcze lepiej. Dojazd do Morawicy zajął Dorocie dwanaście minut. Gdy zaczynała pracę w policji, sekcje robiło się jeszcze w Kielcach, w Zakładzie Medycyny Sądowej. Całkiem wygodnie, bo niemal w centrum miasta. Potem zaczęto wykorzystywać salę sekcyjną prywatnej firmy w Morawicy. Lepszy standard pracy, ale w godzinach szczytu gorszy dojazd. Klasyczne coś za coś.

Lekarz rzeczywiście już czekał. Wyglądał na równie niewyspanego i poirytowanego co ona. Mimo to przywitał się uprzejmie i zaproponował kawę. Zgodziła się z wdzięcznością. Wkrótce pojawił się Painer i przystąpili do pracy. Gdy skończyli obrabiać drugiego dżentelmena, prokurator poprosił Dorotę na zewnątrz.

– I jak? – Painer oparł się o ścianę. Krępy, łysiejący od czoła, miał na sobie niemodną marynarkę, sztruksowe spodnie i znoszone buty. Pomarszczona, szara twarz i niewielkie, świdrujące oczy, tkwiące głęboko między opuchniętymi powiekami, nie pozwalały czuć się przy

nim swobodnie. U Doroty budziły rozdrażnienie.

– Co jak? – Zabrzmiało to ostrzej, niż planowała.

– Co o tym myślisz?

– Człowieku! – Chciała bluznąć, ale pohamowała się w porę. Instynkt samozachowawczy zwyciężył ze zmęczeniem. – Na razie niewiele ponad to, co wczoraj. Jeden po prostu utonął, drugiego ktoś walnął w głowę, najpewniej kamieniem. Mamy go zresztą.

– Numer siedem. – Pamiętał znacznik. Skinęła głową.

– To był trup na miejscu, umarł, nim się zanurzył. Podobnie kobieta, uraz głowy. Tyle że ona żyła. Próbowwała uciec. Ktoś ją wciągnął z powrotem do wody i przytrzymał głowę w dół. Utonęła. Mamy na stole ostatniego. Ten stawiał opór, walczył. Złamane żebro, nadgarstek i czaszka. Dostał kilka razy, potem wciągnięto go do wody. Wszyscy pod wpływem, szczegóły będą w protokole.

– Jakies ślady osób trzecich?

– Na razie nie.

– Czyli co? – Zamyślił się. – Posprzeczali się, doszło do bójki, sprawca pozabijał towarzyszy, a potem sam się utopił?

Wzruszyła ramionami. Painer wyciągnął papierosa, ale widząc spojrzenie techniczki, zrezygnował z palenia i tylko wsadził go sobie do ust.

– Praca w korporacji jest stresująca – zauważyła. – Może komuś odpieprzyło, bo nie dostał awansu albo premii?

– Może tak.

– Czemu ta sprawa to takie wariactwo?

– Przecież wiesz. Naczelny boi się miotły, a tu nagle cztery trupy, w dodatku ze stolicy. Chce mieć to z głowy, zanim mu się dobiorą do tyłka. Nowy główny przez dwa miesiące już pokazał, na co go stać. Dlatego chcę mieć wieczorem twoje wstępne uwagi i wnioski. Nieformalnie, na brudno, jak tam sobie chcesz. Z miejsca zdarzenia i z dzisiaj. W porządku? – Niepewnie kiwnęła głową. – Dobra, to do roboty.

Wrócili na salę w samą porę, bo lekarz zabierał się właśnie do dalszej pracy.

– Miał pan poczekać – powiedziała Dorota z wyrzutem. Sięgnęła po

aparatu.

– Szkoda było czasu. – Błysnął flesz. – Zresztą zdążyliście.

Szczypcami wyciągnął ostrożnie niewielki przedmiot i przeniósł go do pojemnika.

– To wygląda jak...

– Paliczek dystalny – dokończył za nią Painer.

– Prawdopodobnie palec wskazujący. – Lekarz skinął głową. – Miał to w przetyku. Nie dotarło do żołądka.

– Odgryzł komuś w trakcie walki? Niemożliwe.

Poprzednie zwłoki były kompletne. Dorota mimowolnie spojrzała na dłonie leżącego na stole trupa. Nic im nie brakowało, poza tętnem.

– Trzeba się będzie upewnić, ale... – mruknął lekarz, przyglądając się znalezisku. – Według mnie to stara kość. Musiała długo leżeć w ziemi.

Dorota Kowalska przybliżyła obiektyw tak, aby kosteczka wypełniła niemal cały kadr. Zrobiła kilka ujęć, a potem sięgnęła po znacznik i miarkę, by zrobić kolejne. Lekarz w tym czasie nagrywał uwagi na dyktafon. Painer notował.

11

– Jak to widziała Żydów? – spytała korpulentna kobieta, macając pomidora przecenionego o całe pięćdziesiąt groszy.

– Normalnie Żydów, takich prawdziwych – szepnęła konspiracyjnie stojąca przed nią starsza pani, której twarz była pomarszczona jak zapomniane w piwnicy jabłko, a fartuch pamiętał słusznie minione czasy.

Sklep nie był duży, ale dobrze zagospodarowany. Mieścił się we wschodniej części chęcińskiego rynku, na początku uliczki, która prowadziła do drugiego, mniejszego placu, nazywanego rynkiem dolnym. Zgodnie z logiką ulica, a raczej zamknięty dla ruchu pojazdów deptak opadał łagodnie. Nieco niżej cukiernia kusiła zapachami i Wolczuk zastanawiał się przed chwilą, czy nie opuścić kolejki i tam nie zajrzeć. Teraz jednak słuchał z uwagą.

– Nieprawdziwych, nieprawdziwych – obruszył się wąsaty jegomość, wykładając na ladę dwa piwa. – Starej Kurasińskiej mały Dawidek i Rebeka Rejzmanowie się przywidzieli.

Właścicielka fartucha wykonała znak krzyża.

– Był pan przy tym? – Korpulentna odwróciła się, uderzając stojącego za nią Wolczuka przewieszonym przez rękę koszykiem. – Przepraszam – mruknęła, gdy na nią spojrział.

– Byłem – przytaknął wąsaty, dostawiając jeszcze dwie butelki, i zaczął szukać drobnych. – Tam na rogu klęknięła. – Wskazał przez okno przeciwległy kraniec placu.

– Też widziałam – pochwaliła się sklepikarka, skanując towar. – Ale zaraz się ludzie zbiegli i zasłonili – dodała niezadowolona.

– Po imieniu ich wołała. – Mężczyzna zapłacił i odsunął się, robiąc miejsce przy ladzie. – „Dzieci, dzieci, wy już nie żyjecie, dzieci”, tak potem mówiła. – Z wprawą otworzył piwo o lodówkę z lodami, za co sklepikarka obrzuciła go karcącym spojrzeniem.

– Że co? – nie dosłyszała kobieta w fartuchu.

– Że nie żyją, bo ich przecie Niemce zamordowały! – wyjaśniła korpulentna.

– Hitlerowcy – poprawił mężczyzna. – W czterdziestym drugim. Ojciec był świadkiem, jak ich na Wolice pędzili, na stację. A Rejzmanowie tu właśnie mieszkali, gdzie się Kurasińskiej przywidzieli. Ona z mężem dalej, w tym domu, co się spalił potem. – Napił się zadowolony.

– To zły znak, że się Żydy pokazują – burknęła pomarszczona staruszka. – Nieszczęście z tego będzie.

– Już jest, bo Kurasińska leków nie wzięła – zaśmiał się.

– Niech pan, panie Władku, się ze starości nie śmieje – zganiła go sprzedawczyni. – I pana ona czeka.

– Każdego – zgodził się, a potem spoważniał. – Chciałem ją z ulicy ściągnąć, ale się nie dała. Korek się zaczął robić, gówniarze zdjęcia robiły. Dobrze, że młody Kryński przechodził, to jakoś ją przekonał, żeby z nim poszła.

– Na komisariat? – spytała sprzedawczyni.

– Do domu ją odprowadził.

– To dobry chłopak, poczciwy. – Pokiwała głową korpulentna. – Nie to co ojciec.

Staruszka w fartuchu wyszła ze sklepu z kartonem mleka, mrużąc coś pod nosem.

– Co dla pana? – Sklepiarkka spojrzała na Wolczuka.

– Gumy do żucia. – Zapomniał o tym, że nie jadł śniadania. – Słyszę, że mieli tu państwo atrakcje.

– Atrakcją to jest zamek, a to była chora kobieta – rzucił mężczyzna, otwierając drugie piwo.

– Kurasińska nie jest chora – zaprzeczyła korpulentna, która cofnęła się chwilę wcześniej do warzyw, puszczając Wolczuka na swoje miejsce.

– Nie leczy się? – Damian zapłacił i schował gumy do kieszeni.

– W jej wieku każdy się leczy, inaczej lekarze nie mieliby co robić.

– Panie Władziu, koledzy idą. – Sprzedawczyni wskazała ruchem głowy za okno, gdzie trzech typowych miłośników taniego alkoholu i siedzenia na ławeczkach człapało, kryjąc się w cieniu budynków. Wszyscy mimowolnie spojrzeli w tamtym kierunku.

– Cholera – mruknął wąsacz i po chwili wahania odstawił dwie butelki na ladę. – Przechowa mi pani, później wezmę.

Sprzedawczyni skinęła głową.

– Przepraszam! – Korpulentna szturchnęła Wolczuka, by przepuścił ją do kasy. Zamiast pomidora wzięła ogórki. Też z przeceny.

– Do widzenia. – Damian skinął głową i poprawił marynarkę. Alicja mijiała właśnie studnię, idąc wystarczająco wolno, by mogli się spotkać niemal na środku zalanego sobotnim słońcem rynku.

Tak zwyczajnie, zupełnym przypadkiem.

12

Maria Kurasińska mieszkała w bocznej uliczce. Wąskiej i cichej, oddalonej od rynku i gapiów, którzy rozeszli się niezadowoleni, że przedstawienie zostało przerwane przez policjanta. Dariusz Kryński

pomógł kobiecie otworzyć drzwi starego domu. Dawno nieoliwiony zamek i wypaczona framuga wymagały użycia siły. Ślady na progu świadczyły o tym, że właścicielce jej brakowało i drzwi zostawiała najczęściej niedomknięte. Pewnie zamykała tylko wtedy, gdy musiała wyjść.

Dom był z lat pięćdziesiątych, może jeszcze starszy. Niski, kryty papą. Od lat nieremontowany, może nigdy. Skromny ogródek porastały wysokie chwasty. Wszystko wkoło zdawało się już dobiegać swego kresu. Podobnie jak zgarbiona kobieta, którą po przekroczeniu progu znów opuściły siły i byłaby upadła, gdyby Kryński w porę jej nie podtrzymał.

– Bóg zapłać – jęknęła cicho.

– Ostrożnie – upomniał, prowadząc ją wolno do wciśniętego w kąt fotela. Naszyte na podłokietniki łaty od dawna były przetarte. Sprężyny zaskrzypiały, gdy staruszka opadła na siedzisko.

– Lekki... – szepnęła.

Kiwnął głową i rozejrzał się wkoło. Pokój był niewielki, zacieniony przez rozrośniętą za oknem, zdziczałą jabłoń. Odklejająca się miejscami tapeta z wzorem modnym tuż po wojnie, taka sama, jaką pamiętał z domu babki. Kilka świętych obrazów na ścianach, tykający głośno zegar. Z wybruszonego, spękanego sufitu krzywo zwisał żyrandol. Leciwa meblościanka zajmowała całą ścianę.

Czarno-białe zdjęcia poustawiane na półkach były jej jedyną ozdobą, jeśli nie liczyć szklanej ryby kurzącej się nad kineskopowym telewizorem dawno nieistniejącej marki. Okrągły stół stał przy oknie przykryty haftowanym obrusem. Na środku niewielki flakonik i więdzące kwiaty. Gazeta z programem telewizyjnym sprzed tygodnia i szklanka w cynowym koszyczku.

Pachniało w ten specyficzny sposób, jaki towarzyszy zawsze takim miejscom.

– W barku – odpowiedziała.

Podłoga wyginała się przy każdym kroku. Przekręcił klucz i zajrzał do środka. Szklanki, kryształowa patera, metalowe pudełko po cukierkach wypełnione guzikami i nićmi. Druty i dwa kłębki wełny,

napoczęte paluszki i kawałek czekolady w sreberku. Leki na serce, na krążenie, na starość... Wyjął opakowania i podał kobiecie. Nie musiał szukać kuchni, mijał ją, wchodząc. Wrócił po chwili ze szklanką wody.

Wzięła kilka pastylek i kiwnęła z ulgą. Odniósł wszystko do barku i dopiero wtedy zauważył tam coś jeszcze. Niewielka butelka z ciemnego szkła, która spadła między włóczkę a pudełko z guzikami. Była pusta. Haloperidol – odczytał etykietę.

– Kropelki – usłyszał głos kobiety, która musiała dostrzec, co trzyma w ręku. – Skończyły mi się kilka dni temu. – Oddychała spokojnie, odyskiwała siły. – Chciałam iść do lekarza po nowe, ale źle się czułam. Dopiero dziś wyszłam z domu... – Urwała.

– To lek na receptę. – Pokiwał głową.

– Niech pan nie mówi nikomu, że biorę – poprosiła. – Ludzie zaczną gadać. Wiem, wiem... – Machnęła ręką, nim się odezwał. – Narobiłam dzisiaj, o mój Boże, Boziczku... – Spojrzała na niego przeproszająco. – Dobrze, że z pana taki anioł, panie Darku, prawdziwy aniołek. Dziękuję, że się pan tak kłopotał. – W jej oczach zalśniły łzy.

– To żaden kłopot, pani Mario. – Zamknął barek. Buteleczkę po chwili wahania odstawił na stół. – Może zrobić pani coś do picia? Jakies zakupy? – Czuł się niezręcznie.

Marię Kurasińską pamiętał z dzieciństwa, z czasów, gdy jego matka pracowała przez kilka lat w spółdzielni w Chęcinach. Maria była wtedy elegancką i miłą kobietą, która zawsze miała dla niego jakiś cukierek. Przez pewien czas odwiedzała matkę w domu, chyba się nawet przyjaźniły mimo dużej różnicy wieku. Potem był donos i MO zabrała jej męża z pracy. Na posterunku pobili go do nieprzytomności. Brał w tym udział ojciec Kryńskiego. Kurasiński długo dochodził do siebie. Sprawa jednak szybko ucichła. Ich przyjaźń również.

Przez to właśnie nigdy tu nie zaglądał, mimo że dom leżał w jego rejonie. Nie było żadnych skarg, żadnych zgłoszeń, a więc nie było powodu. Wygodne tłumaczenie dobrze maskowało wstyd.

– W szafce nad lodówką mam herbatę, kochanie. Gdybyś zechciał...

– Oczywiście.

– Dla mnie też proszę. – Ciepły uśmiech, któremu nie wolno odmówić.

Niedługo potem siedzieli przy stole. Kryński nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Przyglądał się więc, jak czarne fusy opadają wolno na dół szklanki. Zegar na ścianie tykał głośno. W końcu odezwała się Maria.

– To się zaczęło po śmierci męża. Nie mogłam sobie dać rady. Najpierw pojawiły się sny, później słyszałam różne rzeczy, których nikt nie mówił. Doktor przepisał mi leki, ale nie było poprawy. Potem co się z nim wyjeździłam... Do Kielc mnie na badania własnym samochodem woził, a tam powiedzieli, że to coś mi się w głowie od tego nieszczęścia zrobiło i muszę brać to... – Wskazała palcem butelkę. – Miały być pastylki, ale nie mogłam wtedy łykać, więc dali krople. Doktor mi chciał recepty wypisywać, lecz gdzie ja tu u nas pójdę? Zaraz by wszyscy wiedzieli... – Upiła ostrożnie herbatę, siorbiąc mimowolnie. – I tak pewnie część wie, bo kiedyś sąsiadka u mnie była, a ja nie schowałam leku. Ale i tak nie potrafiłabym iść do apteki, no nie chcę. Boże, taki wstyd... Rozumiesz?

– Tak, pani Mario.

– No więc do lekarza chodzę, a on mi daje. Sam chyba na receptę bierze, nie wiem. – Machnęła pomarszczoną dłonią. – Ważne, że ja nie muszę. No i tak to wygląda, Dareczku... Chciałam iść, ale nogi napuchły i nie mogłam wcześniej, a dziś... Boże drogi! Dziś Rebeka tam stała, Dawidka za rękę trzymała jak wtedy, gdy ich zabierali. Tacy mali jak wtedy, jak ich zapamiętałam... – Otarła łzę. – Ja przecież wiem, że to niemożliwe, że oni tak dawno nie żyją. Wiem, Dareczku, ale gdy ich zobaczyłam, to jakby mi serce pękło. Tyle zła na tym bożym świecie, a co oni winni byli? Czy oni inne ludzie niż my, niż te Niemce cholerne? Nie daj Bóg więcej wojny, nie daj Bóg.

– Święte słowa, pani Mario – zgodził się. – Jak się nazywa ten lekarz, który pani leki wydaje?

– A bo co? – przestraszyła się.

– Pójdę do niego i je przyniosę, a pani sobie odpocznie.

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Dość ci już, kochanie, kłopotów narobiłam.

– To żaden kłopot, pani Mario, naprawdę. Zresztą jako pani

dzielnicowy – podkreślił – muszę o panią dbać. Proszę więc już bez skrupowania powiedzieć, do którego lekarza mam iść, a za godzinę będzie pani miała, co trzeba.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, aż wreszcie skinęła głową.

– Doktor Szymański, Jarosław Szymański... Ale dziś sobota przecież... Zupełnie zapomniałam, że dziś przychodnia zamknięta.

– A nie przyjmuje prywatnie?

– A tak – rozpromieniła się. – Mówił kiedyś, że jakby co... Boże, już pamięć nie ta... – Wstała z trudem i podeszła do regału. Wsunęła jedną z szuflad i zaczęła przekładać różne papierki. – O, masz pudełko po leku, żebyś nazwy nie zapomniał, a tu karteczkę, którą mi doktor dał, adres tam jest. Mówił, żeby dzwonić, jakby co, ale gdzie ja tam doktorowi przeszkadzać bym miała. – Wróciła do stołu. – Proszę!

Kryński wziął do ręki wizytówkę. Był na niej numer telefonu i adres, skreślony. Na drugiej stronie długopisem ktoś dopisał inny. Charakter pisma wyraźnie lekarski, trzeba się było domyślać nazwy.

– Nie ma sprawy. – Kiwnął głową. – To niedaleko.

– Ale wpierw dokończ herbatę – poprosiła. – I powiedz, co u mamy.

13

Alicja Lipińska była jedną z tych kobiet, które nie noszą torebki. Kiedyś próbowała. Dostała jedną na dwudzieste szóste urodziny, ponieważ facet, z którym wtedy była, uznał, że powinna ubierać się bardziej kobieco.

Facet – tak o nim zawsze myślała, bo nie mężczyzna. Nikt ważny, ledwie kilkumiesięczny epizod, tak samo nietrafiony jak prezent. Wtedy jednak próbowała mu zrobić przyjemność i nosiła torebkę przez jakiś czas. Również niewygodne szpilki i garsonkę. To była głupota, bo Alicja nie była typem biurwy.

Trudno powiedzieć, co przyniosło jej większą ulgę – rozstanie czy powrót do dzinsów i sportowych butów. Prawdę mówiąc, nigdy nie myślała, że zwykły T-shirt potrafi dać człowiekowi tyle radości,

a wtedy, dwa lata temu, czuła się w nim jak królowa.

Nie nosiła torebki, więc klucze i dokumenty wciskała w kieszeń. Trzy kawałki plastiku, bo poza dowodem i prawem jazdy korzystała z karty. Jednej, zwykłej, debetowej. Telefon trzymała zawsze pod odpowiednim kątem, w lewej kieszeni spodni. Nie obchodziło ją to, że prostokątny kształt defasonuje materiał, liczyła się wygoda. Wygoda i praktyczność, bo nawet gdy nie słyszała dzwonka, to od razu czuła wibracje. Tak jak teraz, kiedy mijała studnię na rynku.

Jeszcze nim wyjęła telefon i odczytała esemesa, wiedziała, co w nim znajdzie. Mogłaby się o to założyć, postawić roczną pensję, gdyby ktokolwiek chciał przyjąć zakład. Nie było nikogo takiego. Zwolniła, zastanawiając się przez chwilę, co odpisać. Ekran odbijał słońce, nie zachęcał do tego. I dobrze! Uznała, że najlepiej zignorować, uznać sprawę za niebyłą. Wszystko uznać za niebyłe!

– Cześć, Alicjo! – Głos wydał się znajomy, choć w pierwszej chwili nie skojarzyła, do kogo należy.

– Dzień dobry – odpowiedziała odruchowo, z niezobowiązującym uśmiechem, jakiego nauczyła się w pracy. Jej pierwszą myślą było, że to któryś z pacjentów. Drugą, że przedstawiciel handlowy. Dobrze skrojona marynarka zestawiona z džinsami, zadbane jasne włosy i okulary, zza których spoglądały na nią bystre oczy. Modniś, który wie, że jest atrakcyjny, i działa na kobiety, a przez to potrafi więcej sprzedać. Chciała przyśpieszyć.

– No tak, w nocy pewnie wyglądałem inaczej. – Domyślił się, że go nie skojarzyła. – Chciałem ponownie podziękować za pomoc przy samochodzie i z noclegiem.

– O przepraszam, naprawdę nie poznałam. – Roześmiała się. – Pan wciąż tu?

– Damian. – Uścisnął jej dłoń. – Przypominam, że przeszliśmy na ty.

– Masz rację.

– Zdecydowałem się zostać przez jakiś czas, w celach zawodowych. Ale mniejsza z tym, bo teraz mam coś ważniejszego do zrobienia. – Spojrzał na nią wymownie. – Muszę postawić ci kawę.

– Nie trzeba. – Zmieszała się.

– To byłoby niezwykle nieuprzejme z mojej strony, gdybym ci tego nie zaproponował. Z twojej strony nieuprzejma będzie odmowa. Oczywiście – podjął, gdy tylko otworzyła usta, by się odezwać – dopuszczalne będzie, jeśli w tej chwili odmówisz z braku czasu, ale wtedy musisz wskazać najbliższy wolny termin.

– Prawdę mówiąc... – zawahała się tylko na moment – byłam z kimś umówiona, ale napisał, że nie przyjdzie, więc dobrze trafiłeś.

– To dobry znak, Alicjo. – Pokiwał głową. – Gdzie tu dają najlepszą kawę?

– „Latarenka”. – Wskazała ruchem głowy skraj placu. – Może być?

Mogło. Raz, że lokal był blisko, a dwa, że wkrótce Damian przekonał się, iż podają tam wyśmienitą kawę. Byli pierwszymi klientami tego dnia. Wybrali stolik przy oknie, tuż przy wejściu.

Wnętrze było przytulne, urządzone nieco w stylu vintage. Stare stoły i krzesła, ceglany bar, zdjęcia dawnych Chęcin w złoconych ramach. Wystarczająco, by nadać klimat, ale nie przytłoczyć. Czystość i nienachalna obsługa robiły dobre wrażenie.

Na początku rozmawiali o tym, o czym zwykle rozmawiają obcy sobie ludzie. Niezobowiązujące tematy, które pozwalają oswoić się z drugim człowiekiem, z jego sposobem wyrażania myśli i językiem ciała. Znaleźć styczne i zbudować wspólną płaszczyznę komunikacji. Większość ludzi robi to instynktownie, pozwalając, by tysiące lat ewolucji mogły wykonać swoją pracę. Nie przywiązują do tego wagi.

Damian jednak należał do mniejszości. Wiedział, że pierwsze minuty są kluczowe. Ewolucja umożliwiła ludziom porozumiewanie się na wielu płaszczyznach. To, co niektórzy nazywają naiwnie łatwością nawiązywania kontaktów, jest w istocie ważnym elementem instynktu przetrwania. Instynktu stadnego, który pozwalał naszym przodkom działać w grupie i przeżyć. Choćby polując na mamuty. Ta wizja zawsze Damiana bawiła. Polowanie na mamuty – podkreślał specjalista od pozyskiwania klientów i PR na wykładzie, na który wejściówka kosztowała dwa tysiące od osoby.

W sali warsztatowej, z widokiem na Pałac Kultury i Nauki, czterdzieści osób, ubranych zgodnie z biznesowym dress code'em,

słuchało z uwagą człowieka w świetnie skrojonym garniturze od Armaniego, który mówił o polowaniu z dzidą na mamuty. Damian powstrzymywał się wtedy od śmiechu. Nie dlatego, że nie było w tym racji, bo była, ale dlatego, że mimowolnie wyobrażał sobie siebie i wszystkich zebranych, jak w eleganckich ubraniach, z drogimi zegarkami na wypiełgnowanych rękach, w lśniących czystością butach i z tym poważnym wyrazem twarzy skradają się przez las w poszukiwaniu jakiegoś pieprzonego włochatego słonia.

To była zabawna scena, która wryła mu się w pamięć, lecz nie przesłoniła tego, co najważniejsze. Ewolucja przystosowała nas do współpracy, do działania w grupie. Grupie, która zawsze wyłania lidera, bo tylko w ten sposób jest w stanie działać sprawnie. Gdy pojawia się lider, pozostali instynktownie mu się podporządkowują. Nie w pełni, nie bezwarunkowo, ale w stopniu wystarczającym, aby ufać, gdy zachowuje się zgodnie z przyjętymi normami. Mamy to w genach.

Wie o tym każdy szanujący się sprzedawca i bezwzględnie wykorzystuje, wciskając zbędne polisy czy pakiety inwestycyjne. Każdy policjant, ratownik medyczny, lekarz, wykładowca lub dziennikarz. Każdy, komu krótki kontakt z drugim człowiekiem, kilkanaście słów, kilka zdań i gestów często musi wystarczyć, by przejąć inicjatywę. By przekonać rozmówcę do tego, że jest niżej w hierarchii ich przypadkowego, chwilowego stada. By wyłączyć w nim przesadną ostrożność, strach i niepokój. By się podporządkował, współpracował, stał się pomocny i zaufał. Dziennikarz ma ułatwione zadanie. W większości wypadków nie musi być dla nikogo liderem, wystarczy, że go sobie zjedna.

Damian Wolczuk był w tym dobry. Działał machinalnie.

– Więc po co tu przyjechałeś? – spytała ze śmiechem Alicja. Śmiechem, który oboje od dłuższego czasu podsycali niezobowiązującymi żartami.

– Na początku miałem tylko powód. – Spoważniał, choć w jego oczach wciąż błyszczało rozbawienie. – Teraz mam też cel.

– Zabrzmiało to niemal groźnie – zauważyła.

– Powód ma na imię Justyna. Mieliśmy plany, dość zaawansowane,

choć jeszcze nie na tyle, by ustalić datę i zapraszać gości. Zdecydowała, że z szefem pójdzie to lepiej. Tak myślę, bo gdy zobaczyłem ich oboje w naszym łóżku, uznałem, że nie warto pytać. Kilka lat ucięte w jednej chwili. – Uśmiechnął się cierpko. – Trochę się przez to rozkojarzyłem i jestem w Chęcinach. Ale to dobrze, bo robią tu świetną kawę... – Zawiesił na moment głos, a nim Alicja zdążyła zareagować, mówił dalej, zadowolony z konsternacji, która malowała się na jej twarzy. – Poza tym jestem dziennikarzem. Mam już nagrany pracę w Krakowie w nowej redakcji, gdzie i tak bym się wkrótce przeniósł, więc Justyna wyświadczyła mi przysługę, paląc mosty. Wiesz... wierzę, że pewne rzeczy dzieją się w konkretnym celu i warto mieć oczy szeroko otwarte. Korzystać z tego, co daje los.

– Mamy dużo wspólnego.

– Też chcesz się przenieść do Krakowa?

– Chodziło mi bardziej o rozbity związek – parsknęła. – Ponad miesiąc temu przyłapałam swojego faceta z koleżanką z pracy. Tyle że ja nie mogłam rzucić wszystkiego i wyjechać. – Spochmurniała, wpatrując się w okno. – To nie takie proste.

– Nic nie jest proste, nawet jeśli na takie wygląda.

– A szkoda, prawda? – Znów spojrzała na niego. – Jaki masz cel?

– Zdobyć materiał. Piszę artykuły o nietypowych sprawach i wiem, że tu takie znajdę. To moja specjalność i jestem w tym naprawdę dobry – podkreślił.

– Jakie to są nietypowe sprawy?

– Wszystko, co odbiega od normy. – Wzruszył ramionami. – Przedsiębiorca sprzedający towar bez faktury, polityk w domu publicznym, biała dama na zamku czy kobieta widząca duchy Żydów. Ze wszystkiego może być ciekawy materiał.

– Z wariata, który opowiada, że wykopany diabeł zmiążdżył mu nogę, też?

– Też. A co, znasz takiego?

– Może. – Roześmiała się. – To zależy, ile taka wiedza jest dla ciebie warta.

– Możemy negocjować.

- Pomyślę i dam ci znać.
- W takim razie dam ci mój numer, żebyś mogła zadzwonić, gdy ustalisz warunki.
- Naprawdę pisujesz o takich rzeczach?
- Naprawdę – potwierdził poważnie. – I naprawdę bywają to świetne tematy. Czasem za zabawną, niepozorną historią kryje się coś więcej, a niepasujące do siebie wątki łączą się w całość. Mam kilka takich artykułów na koncie. Dwa czy trzy były kiedyś nominowane do branżowej nagrody, ale niestety trafiła się komuś innemu. – Zabębnił palcami o blat. – Teraz mam przed sobą nową redakcję i nową szansę...
- W Chęcinach nie znajdziesz bombowego tematu, to spokojne miasteczko. Już prędkiej w Krakowie.
- Temat tu jest, Alicjo – powiedział pewnie, patrząc jej prosto w oczy.
- Wiem o tym, bo czuję go bardzo wyraźnie. Nawet w tej chwili. – Pochylił się ku niej. – Choć nie, to akurat jest głód. – Sięgnął po kartę.
- Podają tu dobre śniadania?
- Wariat! – Roześmiała się. – Naleśniki są najlepsze pod słońcem, spróbuj.
- Naleśniki nie kojarzą mi się z czymś, czym można się najeść, ale widzę, że są placki... – Przeglądał menu. – A ty? Zjesz coś?
- Nie. – Pokręciła głową. – Ale nie krępuj się, bo i tak zaraz muszę cię opuścić.
- Musisz?
- Mam do załatwienia kilka spraw, zanim zacznę dyżur.
- W porządku.
- Damian... – Zawahała się, niepewna, czy to pytanie jest na miejscu. Zadała je jednak: – Jak sobie z tym radzisz?
- Z tym, bo słowo „zdrada” nie przeszło jej przez gardło. Nie musiało. Dobrze wiedział, o co pyta.
- Staram się nie myśleć i liczę, że pochłonie mnie praca. Chcę się rzucić w jej wir i stłumić emocje. Kilka razy już tak w życiu robiłem i zawsze pomagało. Nie myśleć to najważniejsze. Dystans przychodzi z czasem.

Wydało jej się, że dostrzega przez moment blask bólu w jego oczach. Krótki moment, ledwie uchwytny, łatwy do pomylenia z refleksem odbitym w szybie. A może to było tylko złudzenie? Może po prostu chciała go zobaczyć, by poczuć się lepiej. Udowodnić sobie, że ktoś inny też cierpi.

– Robię zdjęcia wschodom słońca – powiedziała to na głos, choć chciała tylko pomyśleć. Damian był przecież zupełnie obcym facetem, a ona wcale nie chciała się odsłaniać przed nikim. Długo, może już nigdy. Własne usta działały na jej szkodę. Głupie jak cholera! – W plenerze – dodała, poddając się. – Rozstawiam sprzęt tuż przed świtem, a potem fotografuję, jak się budzi. To mi pomaga.

– Brzmi intrygująco.

– Jadę jutro na Miedziankę, to góra niedaleko stąd – wyjaśniła. – Jeśli chcesz, mogę cię zabrać, ale uprzedzam, że ruszam o drugiej w nocy, dwie godziny przed świtem.

– Co mam zabrać?

– Ubierz się ciepło i czekaj przy stacji paliw, dojdiesz do niej tamtędy. – Pokazała ulicę, która ograniczała rynek od północy i znikła między budynkami. – To niedaleko, za wzniesieniem i blokami, po prawej stronie.

– O drugiej?

Kiwnęła głową.

– Było mi miło. – Uścisnęła dłoń Damiana. Odrobinę dłużej, niż to było konieczne. – Jeśli ci się nie będzie chciało, to się nie obrażę, naprawdę.

– Do jutra, Alicjo. – Posłał jej jeden z tych uśmiechów, które mimowolnie wspomina się przed snem.

Gdy odeszła, zatrzymał przechodzącą kelnerkę i zamówił kolejną kawę, poprosił również o placek po węgiersku.

Chwilę później spojrzał na zegarek. Była jedenasta trzynaście. Po wyjściu Alicja odwróciła się tylko raz i kiwnęła niepewnie, oślepiąca blaskiem słońca, które wisiało wysoko ponad dachami. Szła, przecinając kamienną patelnię rynku po skosie, tam gdzie opadający plac szpeciły prażące się w słońcu samochody.

O jedenastej czternaście Damian dostrzegł parkującego wśród nich zabytkowego mercedesa. Właściciel wysiadł ostrożnie, by nie uderzyć drzwiami stojącej obok niebieskiej laguny, i ruszył w górę, kierując się do budynku urzędu miasta. Szedł rażnym, sprężystym krokiem, co ujmowało mu lat. Dość rażnym, by przeciąć drogę Alicji. Z kawiarni, ze stolika przy oknie, wyraźnie było widać, jak zatrzymuje się, by ją przepuścić, kiwa głową, porusza ustami.

Dziewczyna zwolniła i odpowiedziała. Staruszek uśmiechnął się do niej. Minęli się. Alicja ponownie przyspieszyła kroku, starzec podjął przerwany marsz. Stopniowo odwracając głowę, patrzył w ślad za nią. Widział więc, tak samo jak skryty za chłodną szybą Wolczuk, gdy Alicja pomachała do kogoś.

Obaj skierowali wzrok w lewo, w stronę drogi prowadzącej na zamek. Młoda matka pchająca wózek, starsze małżeństwo pozujące do zdjęcia, o które poprosili przygodnego przechodnia, wreszcie uniesiona ręka kogoś, kto wyglądał Damianowi znajomo, kogo skojarzył niemal od razu. Alicja machała do Beaty, dziewczyny z ośrodka.

Beata odmachwała i krzyknęła coś, uśmiechając się wesoło, a po chwili obie szły już w swoje strony. Twarz Beaty zwrócona na wprost, zupełnie jakby patrzyła na okno, za którym siedział Wolczuk. Odległość malała i wkrótce mogłaby go dostrzec, może nawet rozpoznać. To byłoby możliwe, gdyby słońce nie świeciło jej w twarz, a kawiarni nie okrywał kurczący się cień.

Musiała minąć chwila, nim Damian to sobie uświadomił, podobnie jak to, że puls miał przyspieszony. Beata była coraz bliżej. Poruszała się z gracją, kobieco i pewnie. Nie przypominała tej powściągliwej dziewczyny sprzed kilku godzin, jak gdyby poza murami klasztoru stała się innym człowiekiem.

Punktualnie o jedenastej dwadzieścia dziewczynę zaczepił właściciel mercedesa.

Damian patrzył, jak rozmawiają o czymś żywo, on gestykulował, ona się śmiała. Kilka minut, zdań, gestów. Rozeszli się. Mężczyzna w mycce wrócił do mercedesa, Beata poszła dalej, minęła kawiarnię, oddzielona

od Wolczuka kilkoma metrami i grubością okna. Podwójnej szyby zamkniętej białym PCV. Pionowym prostokątem ograniczającym pole widzenia jak kadr smartfona, który opustoszał nagle.

W tamtej chwili Wolczuk chciał wstać i iść za nią. Dogonić tuż za rogiem. Mimo to nie ruszył się z miejsca. Kelnerka postawiła przed nim talerz z plackiem. Porcja była duża i pachniała zachęcająco, a on tego dnia nic jeszcze nie jadł.

Kroił ciepły placek, nieświadomy, że już wkrótce będzie wielokrotnie wracał myślami do tej chwili. Analizował sekunda po sekundzie. Zastanawiał się, czy gdyby podjął inną decyzję lub chociaż lepiej zapamiętał szczegóły, byłby w stanie cokolwiek zmienić.

Wszystko, co się dzieje, ma jakiś sens. Damian Wolczuk wierzył w to w chwili, gdy przełykał z zadowoleniem pierwszy kęs. Wierzył też wieczorem, gdy nastawiał budzik w telefonie, myśląc o tym, czy będzie mu się chciało wstać w środku nocy, i długo, długo później, gdy nic już nie pozostało takie jak kiedyś.

14

W to samo sobotnie przedpołudnie, niedługo po tym, gdy Damian z Alicją usiedli przy stoliku, ale jeszcze przed pierwszym łykiem kawy, lekarz Jarosław Szymański założył biały fartuch, zawiesił na szyi stetoskop i usiadł za biurkiem. Miał sześćdziesiąt sześć lat, szczupłą, zaszuszoną twarz i związane w kitkę siwe włosy.

Dopił wczorajszą herbatę, wypluwając do szklanki fusy, i schował ją do szafki. Dochodziła dziesiąta piętnaście. Sięgnął po kajet, by się upewnić, że pamięć go nie zawiodła i pacjentka powinna lada chwila się zjawić, gdy usłyszał kroki na schodach.

Gabinet wynajmował w świeżo odnowionym domu, na piętrze. Wnętrze było jasne i pachniało czystością. Była to miła odmiana względem poprzedniej, dusznej klitki, która pamiętała jeszcze czasy Peerelu. Kolejny raz przypomniał sobie o zamówieniu tabliczki z nowym adresem i kolejny raz sobie tego nie zapisał, ryzykując, że

znów zapomni. Trzeci tydzień. Prawdę mówiąc, to i tak nie miało większego znaczenia, bo pacjenci wiedzieli, gdzie go szukać. Jednym sam podawał nowy adres podczas dyżurów w przychodni, a inni uzyskiwali go z drugiej ręki. Jak to w małym miasteczku.

Pukanie było zdecydowane, nie takie, jakiego Szymański się spodziewał.

– Proszę wejść! – Wyprostował się. – Co pan tu robi?

– Dzień dobry. – Kryński kiwnął głową. – Jestem...

– Wiem, kim pan jesteś, i na pewno nie byłeś pan umówiony! – Szymański za każdym razem, gdy się denerwował, zaczynał się nieco jąkać i drżał mimowolnie. Do tego purpurowiał na twarzy.

– Dzielnicowy Dariusz Kryński. – Pokazał legitymację. – Dobrze się pan czuje?

– Czemu mnie pan nachodzisz?

– Pan Jarosław Szymański? – Kryński był zaskoczony reakcją lekarza. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej miał z nim styczność, ale nic takiego raczej się nie zdarzyło. Może widział go raz czy dwa na ulicy i to wszystko. Zdecydował się przejść do sedna. – Leczy pan Marię Kurasińską, prawda?

Lekarz nie odpowiedział od razu. Łypał na intruza, który zatrzymał się tuż za progiem. Wyraźnie próbował opanować nerwy.

– Jesteś pan służbowo? – spytał po dłuższej chwili.

– Tak.

– Bez munduru?

– To wyjątkowa sytuacja, rodzaj nadgodzin.

Żart nie rozładował napiętej atmosfery. Kryński chrząknął z zakłopotaniem.

– Znam te wasze nadgodziny – wymamrotał Szymański dość głośno, by nie dało się tego nie usłyszeć. – Wiesz pan, że nie mogę udzielać żadnych informacji o pacjentach. Ustawa nie pozwala i sumienie. – Szczególnie podkreślił ostatnie słowo.

Dariusz przyglądał mu się przez chwilę. W końcu zrezygnował z wyuczonego uśmiechu. Sięgnął do kieszeni i rzucił lekarzowi pusty kartonik, który wylądował na brzegu biurka.

– Kurasińskiej skończyły się w zeszłym tygodniu, a dziś miała widzenie na ulicy. Boi się teraz przyjść, żeby znów sobie wstydu nie narobić. Jasne?

Lekarz nie odpowiedział.

– Proszę więc skończyć ten cyrk, który pan tu odstawia, i zapewnić pacjentce natychmiastowy dostęp do leków.

– Wypiszę receptę, ale Maria będzie musiała...

– Obaj dobrze wiemy, że sama leków nie kupuje, bo się wstydzi. Nieoficjalnie, rzecz jasna – dodał łagodniej. – Może pan je teraz przekazać przeze mnie albo zanieść samemu, pana wybór.

– To, co pan mówisz, to nieprawda i jest wbrew prawu. To prowokacja, co?

– Panie Szymański! – Kryński pokręcił głową. – To rozmowa tylko między nami. Nieoficjalna. Dla dobra pani Marii ja o niczym nie wiem.

Szymański mruknął coś, czego Dariusz już nie dosłyszał.

– Co robimy z lekami? Mam zanieść czy pan to zrobi?

– Przyjmuję do drugiej – odparł z wahaniem. – Potem podjadę do Kurasińskiej.

– Świetnie. Zatem miłego dnia.

Dariusz skinął głową i odwrócił się do wyjścia.

– Przepraszam za spóźnienie! – Zdyszana kobieta pojawiła się w korytarzu, stukając obcasami czarnych kozaków. – Jeśli przyjmuje pan kogoś, to ja poczekam. – Zatrzymała się niepewnie, widząc stojącego w drzwiach Dariusza.

– Właśnie skończyliśmy! – Głos Szymańskiego wrócił już do swego zwykłego brzmienia. – Zapraszam panią, pani Beato.

Dariusz Kryński skinął dziewczynie głową. Gdy go minęła, odwrócił się mimowolnie. Zdążył zarejestrować zgrabne nogi i niewiele więcej, nim zatrzasnęła za sobą drzwi. Na szczęście nie zauważyła, że się za nią obejrzał, więc żadne z nich nie poczuło się niezręcznie. Opuścił budynek i po chwili wahania skierował się do domu. Szedł wolno. Nigdzie się już nie śpieszył.

Telefon wibrował na biurku, przesuając się coraz bliżej leżącego tarczą do dołu zegarka i kubka, którego wewnętrzne ścianki oblepione były schnącą pianą w kolorze kawy z mlekiem. Namalowany na zewnętrznej ścianie spękanego fajansu czarny kot wpatrywał się w krzykliwy wyświetlacz, na którym, ponad zielonym i czerwonym przyciskiem, a pod nieuzupełnionym, domyślnym awatarem, litery układały się w słowo „Prorok”. Dorota Kowalska podniosła telefon i zaklęła soczyście. Odetchnęła i przesunęła palcem po ekranie.

– Tak, panie prokuratorze? Tak, jestem w trakcie. To trochę niepoważne, wie pan? Tak. Wyjątkowa, w porządku. Byłe zaraz nie było kolejnych. Tak? Za wcześnie jeszcze, bo wyniki... Tak. W porządku, więc na razie prawie wszystko jest tak, jak rozmawialiśmy rano. Ten paliczek, który lekarz znalazł tuż przed żołądkiem... Chwileczkę, tak... Kość palca... Rzeczywiście jest stara.

Arkadiusz Painer postawił szklanekę obok ledwo napoczętej butelki jima beama. Etykieta sugerowała, że pochodzi z Kentucky, ale smak wskazywał bardziej na wschodnią granicę. Mimo wszystko zamierzał się go napić. Pokój, w którym siedział, był niewielki, najmniejszy w trzypokojowym mieszkaniu i podłużny. Umeblowany w proste regały pełne skoroszytów i brązowych książek, pełnił funkcję gabinetu. Na biurku stał poręczny laptop, którego ekran był jedynym źródłem światła. Nad nim, nieco z boku, wisiała nieduża półka. Stało na niej kilka zdjęć, jakaś statuetka w kształcie motocykla, dwa nieduże puchary i pięć medali. Jedyny akcent nadający pomieszczeniu prywatny charakter.

Painer poprawił telefon w dłoni.

– Reszta miała wszystkie, więc? – Słuchał, marszcząc czoło. – Jak stary? Aha... No... To bez znaczenia, niepotrzebnie poszedł do laboratorium. Nie. Macie przypadkowy kawałek kości, który denat mógł połknąć w trakcie upadku czy szamotaniny, może nawet w wodzie. Słucham? To też nieistotne. Trochę ziemi i paciorki... Wiem,

że jeden paciorek! – Sięgnął po butelkę, ale się rozmyślił i cofnął dłoń. – Proszę posłuchać. Sytuacja wygląda tak, że świadkowie zeznali... Proszę mi nie przerywać! Świadkowie zeznali, że między ofiarami był konflikt. Osobnik bez obrażeń zewnętrznych to Jarosław Kubicki. Czuł się pokrzywdzony, bo pominięto go przy rozdziale premii. Oficjalnie ze względu na słabe wyniki, a nieoficjalnie chodziło o L4, które dostał na parę dni. Żalił się kilku osobom podczas feralnej imprezy. Miał długi i nie mógł się pogodzić, że pieniądze przeszły mu koło nosa. Poza alkoholem brał jakieś tabletki. Nikt nie chciał się przyznać, ale raczej dopalacze, a nie apap. Do samochodu wprosił się w ostatnim momencie. Oczywiście w środku były już dwie osoby odpowiedzialne za rozdział premii i ktoś z innego działu. Zeznania świadków były niemal identyczne. Jest motyw, jest sprawca. Tak. Zabił, a potem popełnił samobójstwo, dowodów jest wystarczająco. Reszta nie ma znaczenia. Słucham? Tym bardziej! W badaniach na pewno wyjdzie, że byli zalani w trupa, więc spowodowanie stłuczki i ucieczka z miejsca wypadku są oczywiste. Tak jak jazda po placu budowy. Tak, właśnie tak. Tej nocy jeździli po rozkopanej obwodnicy, stąd ma pani ziemię. Słucham? Tak, Warszawa przejmuje sprawę. Tak, polecenie z regionalnej. Posekcyjny pójdzie już do nich. Tak, chcę przekazać kwity jak najszybciej, prawdę mówiąc, właśnie je wypełniam. Lekarz ma mi dosłać swoje notatki na rano, pani, mam nadzieję, szybciej? Wiem, że sobota, proszę się cieszyć, że nie niedziela. Tak, tak właśnie wygląda dobra zmiana, teraz pracujemy wydajnie, szybko i skutecznie – warknął. Nie wiadomo było czy to sarkazm, czy mówi poważnie. – Proszę wierzyć, że mnie też się to nie podoba, ale chcę, by Warszawa dostała wszystko, co mamy – dodał łagodniej. – Tam zrobią, co uznają za słuszne. Świetnie. Ja swoje papiery wysyłam jutro wieczorem, żeby były na biurku, kogo trzeba, w poniedziałek rano. Świetnie, cieszę się, że mogę na panią liczyć. Proszę dać znać, gdy mi to pani puści na skrzynkę. Nie. Nie ma znaczenia, która będzie godzina.

Rozłączył się i dopiero wtedy napełnił szklanekę. Wypił i sięgnął po papierosa. Liczył w myślach lata, które zostały mu do emerytury, i nie był zadowolony z wyniku.

Niedziela

16

Usiedli obok rozstawionego statywu. Niewielka ledowa latarka, która pozwoliła im znaleźć drogę na szczyt, spadła właśnie na ziemię, oświetlając ich buty, niebieski termos, torby fotograficzne i kępy traw porastające grzbiet między białymi zębami wapieni. Alicja schyliła się i nacisnęła wyłącznik, jak gdyby obawiała się, że światło zwabi nieproszonych gości.

– Z tej góry wydobywano kiedyś miedź – powiedziała, bojąc się niezręcznej ciszy. Od dawna nikogo nie brała ze sobą na nocne zdjęcia i teraz wcale nie była pewna, czy to był dobry pomysł. Zamrugła, by oczy szybciej przyzwyczały się do bladej poświaty księżyca. – Do dziś zostały sztolnie.

– Naprawdę? – Damian spytał z grzeczności. Był zaspany i zmęczony. Samochód zostawili niedaleko, ale w nocy wędrówka na szczyt okazała się zaskakująco trudna. Do tego kilka razy zgubili drogę. Żałował, że nie pomyślał o kawie. W termosie Alicji była herbata.

– Dawniej ziemia się osuwała. Ludzie i zwierzęta wpadali. Teraz już jest bezpieczniej. – Wyjęła telefon. Gdy sprawdzała godzinę, mdła poświata ekranu zniekształciła jej rysy. Cienie zmieniły na moment przystojną twarz w karykaturę. – Jeszcze trochę... Pod nami jest jeden z chodników, przechodziliśmy obok wejścia. – Zawahała się. – Jeśli chcesz, to ci go pokażę, jak będziemy wracać. Nie jest długi, tak słyszałam.

– Można do niego wejść ot tak?

– Dużo ludzi wchodziło.

– A ty? – spytał po dłuższej chwili.

Zaprzeczyła cicho. Księżyc po raz kolejny skrył się za chmurami. Ciemność zgęstniała i tylko daleko na wschodzie horyzont szarzał, zwiastując świt.

– Niziurski o nim pisał, chyba w *Księdze urwisów* – podjęła po chwili bez przekonania. – Potem nakręcili film, *Tajemnicę dzikiego szybu*, czy jakoś tak. Widziałeś?

– Nie.

Dała za wygraną.

Siedzieli w milczeniu. Dwoje samotnych ludzi zaskoczonych faktem, że to, co w blichtrze dnia wydawało się dobrym pomysłem, w ciemną noc na odludziu już takie nie było. Nie mogło być.

Tam, w kawiarni, oboje odgrywali swoje role w pełnym spektrum, a tu mrok obdarł ich z fizyczności, z subtelnej gry gestów i spojrzeń, z wizualnego bodźca, jaki zmusza mózg do produkcji fenyletyloaminy.

Co pozostało? Obcość i wyrzuty sumienia, że to dziwne spotkanie doszło do skutku. Że naiwnie sądzili, iż łączy ich poczucie straty, bólu i wstydu, jakiego oboje doświadczyli. Że pomogą sobie nawzajem. Za szybko – Alicja miała ochotę spakować sprzęt i po prostu uciec.

Rana była zbyt świeża. Jątrzyła się wspomnieniami, które wylały się w jej sercu jak wiadro pomyj. Czuła odrazę do siebie i do człowieka, który siedział obok. Którego tu zaprosiła. Ucieczka byłaby najlepszym wyjściem. Sama myśl o niej przynosiła ulgę i obiecywała więcej. Ale Alicja wiedziała, że nie może po prostu wstać i odejść.

Nie była już małą dziewczynką, dla której był to najlepszy sposób rozwiązywania problemów. Bo tak naprawdę nigdy ich nie rozwiązywał. Tylko odsuwał je w czasie lub piętrzył, sprawiając, że potem zwały się jej na głowę. Przygniatały i dusiły tak, że nie mogła poradzić sobie sama. Irracjonalnie czuła wstręt do mężczyzny siedzącego obok, do nich wszystkich. Co najmniej tak, jakby nagle obowiązywała odpowiedzialność zbiorowa i wszyscy oni byli winni zdrady, każdego złamanego słowa, każdej podłości, świni! Nie, nie może odejść. To on był tutaj intruzem, a ona była u siebie.

Dziecinada! – Pokiwała głową. To tylko głupie myśli kłębiące się w ciemności jak strachy pod łóżkiem dziecka. I jedne, i drugie przeganiał świt. Podniosła wzrok. Widziała kontur Damiana, odznaczający się coraz wyraźniej na tle płowiejącego horyzontu, i zwróconą w tamtym kierunku twarz. Była wdzięczna, że nie próbował na siłę podtrzymać konwersacji, że nie zepsuł wszystkiego. Może nie każdy warszawiak to skończony duppek?

Damian Wolczuk patrzył na wschód słońca, myśląc o tym, jakim jest dupkiem. W ciszy, której sam był winny, wspomnienia zaczęły falować twarzą Justyny. Jej smukłym ciałem, które należało teraz do innego mężczyzny. Zacisnął zęby, ale opanował się po chwili. Nie zamierzał pozwalać, by coś, co powinno być zamkniętym rozdziałem, zajmowało myśli i sprawiało mu ból.

Zajął więc głowę czymś innym. Innymi obrazami i myślami. Obecność Alicji, jej oddech i zapach włosów wszystko ułatwiły. Damian wyobrażał ją sobie taką jak wczoraj, w kawiarni. Zupełnie inną niż Justyna, stanowiącą niemal jej przeciwieństwo, a przez to zaskakująco pociągającą. Wyobrażał sobie jej ramiona i piersi, nagie ciało i pożądanie, z jakim mogliby się kochać. Nie, nie kochać, po prostu uprawiać seks. Zwykły, pozbawiony uczuć, niezobowiązujący seks. Nawet tu, na ziemi, obok statywu.

Podobno naukowcy z Ohio zrobili badania, z których wynikało, że mężczyzna myśli o seksie raz na dwadzieścia osiem minut. To była kompletna bzdura. Mężczyzna myśli o seksie wtedy, gdy ma na to czas i ochotę. Gdy chce się odprężyć albo odstresować. Tak jak teraz. Naga Alicja obejmująca go udami. To działało, zdusiło wspomnienia i sprawiło, że poczuł się lepiej. Niemal wyśmienicie. Niemal, bo przecież uprzedmiotawiał nieświadomą niczego kobietę. Był dupkiem i powinien żałować.

Ale nie żałował, szczególnie. To był rodzaj lekarstwa. Zwykła fikcja zbudowana wokół męskiego ego. Testosteronowy katalizator samca, który nie chce, by żal zmienił go w miękką pizdę. Fikcja, seksualne *L'appel du vide* bez potrzeby realizacji. Choć wcale by nie protestował, gdyby...

Ci sami naukowcy z Ohio twierdzili, że kobiety myślą o seksie raz na pięćdziesiąt osiem minut, dwa razy rzadziej niż mężczyźni. Albo dwa razy rzadziej się przyznają.

Odetchnął głęboko. W oddali wstawał świt.

– Zaczyna się – szepnęła Alicja. Podniosła się, przetarła obiektyw i poprawiła statyw. Była gotowa.

Damian skinął głową, a potem już tylko patrzył na zalewane złotym blaskiem pagórki, zielone wyspy na oceanie snujących się aż po horyzont mgieł. Na rozpalane pierwszymi promieniami dachy skrytych między wzgórzami odległych domów i ptaki wznoszące się ku jaśniejącemu błękitem niebu. Na narodziny nowego dnia, tak zaskakująco oszałamiające, że mimowolnie nazwał je cudem.

– Widziałem wschód słońca wielokrotnie, ale... – wyrwało mu się.

– Wiem, w Warszawie takich nie ma – ucięła, wypełniając kartę pamięci kolejnymi kadrami. Migawka pstrykała cicho.

– Naprawdę... – Pokręcił głową.

Tym razem naprawdę był pod wrażeniem.

17

– Możemy porozmawiać?

Jeszcze przed chwilą mężczyzna stał przy wejściu do klasztorного budynku w towarzystwie młodej kobiety w okularach przeciwsłonecznych, która notowała w skupieniu to, co mówił kulawy. Daniel Krawczyk stał z tyłu. Milczał.

Jednak kiedy tylko Damian pojawił się w bramie, mężczyzna spojrzał pytająco na kulawego, a gdy ten energicznie skinął głową, zagroził Wolczukowi drogę.

– Możemy? – powtórzył, pokazując policyjną legitymację. Przedstawił się zbyt szybko, by dało się zapamiętać.

– O co chodzi? – Damian rozejrzał się niepewnie. Facet był po cywilnemu, ale legitymacja wyglądała na prawdziwą. Kobieta w okularach odruchowo zajęła pozycję, aby w razie potrzeby odciąć

drogę ucieczki. W przecieranych rurkach ze złotym paskiem i w obcisłej bluzce wyglądała jak typowa małolata z pubu, a nie policjantka. Służbowa blacha i kabura przy pasie zupełnie nie pasowały do tego image'u.

– Pan Patryk? – Policjant ze swoją aparycją świetnie mógłby się wtopić w dowolną grupę pseudokibiców. Damian wiedział, że to pożądana i pomocna cecha wśród kryminalnych.

– Nie, Damian Wolczuk – powiedział spokojnie. Kryminalni nie wróżyli nic dobrego. – Pokazać dowód?

– Za chwilę. – Skinął głową na partnerkę. Podeszła z notesem.

– Znał pan Beatę Chmielewską, chcemy o niej porozmawiać.

– Kogo?

– Ją. – Podsunął mu pod nos telefon. Mimo refleksu światła na ekranie Damian dostrzegł znajomą twarz. Tyle że była nienaturalnie blada... Poczuł nagłą słabość w piersi.

– Nie wiem, jak ma na nazwisko.

– Nazywała. – To słowo było zimne, wyzute z empatii, z życia. – Co to jest? – Przesunął na kolejne zdjęcie. Wolczuk zbladł. Strzępy białego kiedyś materiału. Plama na ciele, między piersiami. Zasznięta krew, a w niej coś małego, owalny kształt. Policjant przybliżył obraz, aż przestał być wyraźny. Aparat w telefonie był zbyt słaby, by uchwycić szczegóły.

– Nie wiem... koralik? – Wolczuk wątpił, aby mieli prawo pokazywać mu coś takiego. Rozmawiać z nim w taki sposób, chyba że...

– Byłeś ostatnią osobą, z którą rozmawiała.

Ten ton i przejście na ty nie pozostawiały złudzeń. Znał to zagranie.

– Bzdura! – Damian się uśmiechnął i spojrzał mężczyźnie w oczy. Próbował zapanować nad emocjami. – Rozmawiałem z nią rano, zrobiła mi kawę, a potem poszedłem. Sam. Quasimodo może potwierdzić, bo odprowadził mnie do bramy. – Kiwnął w stronę kulawego. – Byłem w sklepie, później w kawiarni na placach. Ostatni raz widziałem ją na rynku koło południa.

– Rozmawiałeś z nią tam?

– Nie, jadłem wtedy, ale widziałem, że rozmawiała z jakimś Żydem.

- Żydem?
 - Nikt inny nie nosi jarmułek.
- Policjanci wymienili spojrzenia.
- Co robiłeś w nocy?
 - To żart?
 - A jak myślisz?
 - Mam więc szczęście, że brałem udział w nocnej sesji fotograficznej, co potwierdzi fotograficzka, obsługa stacji paliw i pewnie jeszcze kilka osób, którym zakłóciliśmy ciszę nocną charakterystycznym klekotem. Podyktować numer telefonu do kobiety, z którą byłem?
 - Na posterunku. - Policjant trochę się rozluźnił. - Pojedziemy spisać zeznania.
 - W porządku. - Damian skinął głową i ruszył z policjantką do nieoznakowanej kii zaparkowanej kilka kroków dalej.
- Terapeuta odprowadził go wzrokiem. Wciąż stał przy drzwiach, przysłuchując się rozmowie. Kulawego przy nim już nie było. Musiał wejść do środka.
- Za ile przyjdiesz, Daniel? - Policjant schował telefon.
 - Za godzinę. Wezmę tych chłopaków, którzy mogą coś wiedzieć.
 - Świetnie, to do zobaczenia.

18

Głos należał do mężczyzny. Stłumiony przez ścianę oddzielającą pomieszczenia komisariatu, ale dość wyraźny, by dało się zrozumieć słowa. Jeśli była to rozmowa służbowa, to musiał dobrze znać osobę po drugiej stronie słuchawki. Rozmawiali poufale.

- Telefon był zaraz po dwudziestej drugiej. Dzwonił właściciel posesji przy Radkowskiej, że ktoś w lesie krzyczy. Nie, na miejscu nikogo już nie było, dodzwonił się na komórkę patrolowych. Jasne, na stronie znajduje się informacja, do której komisariat jest czynny, podano też właśnie ten numer jako nocny. Po dwudziestej drugiej, ale była właśnie interwencja i patrol przyjechał dopiero po godzinie.

Damianowi kazano czekać w niewielkim pokoju na końcu krótkiego korytarza, po lewej stronie od wejścia. Wkrótce miał się ktoś pojawić i spisać zeznania, a tymczasem Wolczuk wsłuchiwał się w głos zza ściany. Próbował zapamiętać każde słowo.

– Poszli kawałek drogą, ale nic nie znaleźli. Potem zajrzeli na kirkut. Po tej akcji ze zdjęciami jesteśmy wyczuleni. Co? Aha. Parę lat temu jakiś inteligent zrobił tam sesję z gołą dupą i wrzucił fotki do sieci. Skandal był jak chuj. Przepraszam... Afera wyszła i dlatego teraz... Tak. Leżała między macewami. Podcięte żyły. Aha. Znaleźli obok. Zwykły nożyk do tapet. Nie, nie samobójstwo, typowy kilym. Babka stawiała opór, uciekała od strony drogi. Dopadł ją między macewami albo tam zaciągnął. Podciął jej żyły i czekał, aż się wykrwawi.

Dłuższa pauza.

– Tyle wyszło na oględzinowaniu. Słucham? Nie, jeszcze nie wiemy, ciało mają obejrzeć jutro. Aha... Na razie nie. Żadnych odcisków, świadków, na razie nic. No, no właśnie! Stary świruje, żeby prasa nie zwęszyła. Tak, umazane krwią, zaraz by nam się do dupy dobrali, że beczeszczenie. Tak, po cichu będą myte. Co? Nie wiem, może już, ja się dowiedziałem dopiero rano. Prokuratora i technika ściągnęli jeszcze w nocy. Nie. – Śmiech. – Tym razem nikt naszych chłopaków nie wygonił, ciągniemy tę sprawę. A nie wiem, chyba... – Kroki na korytarzu zagłuszyły słowa.

W drzwiach pojawił się kryminalny w towarzystwie policjantki, niewysokiej brunetki w mundurze. Wskazał na Wolczuka.

– Ubierz dżentelmena w karteczki – polecił i odszedł.

– Karolina Kaniewska. – Podała swój stopień i usiadła naprzeciwko. – Proszę o jakiś dokument tożsamości. Potem poproszę, żeby mi pan opowiedział to, co koledze, z możliwie największą ilością szczegółów. Wszystko, co pan pamięta, nawet jeśli wydawałoby się to panu nieistotne. Dobrze? – Skinął głową. – Postaram się pana zbyt długo nie trzymać.

Damian miał świadomość, że czas jest odczuciem subiektywnym. Więc albo Karolina Kaniewska uważała, że blisko trzy godziny to niedługo, albo zbyt słabo się starała. Nie miało to jednak większego

znaczenia. Liczyło się tylko to, że Damian wreszcie miał temat. Gorący, krwawy i poczytny. W sam raz na okładkę. Zabójstwo – kilym, jak to określił gliniarz zza ściany. Policyjny żargon. Wolczuk powtórzył to w myślach, ale nie brzmiało dobrze, nie pasowało na nagłówek.

Gdy opuszczał komisariat, jego umysł działał na najwyższych obrotach. Robił to, do czego został stworzony. Analizował i szukał stycznych. Naturalnie śmierć Beaty wstrząsnęła Wolczukiem. Sam był zaskoczony tym, jak bardzo. Tłumił jednak to uczucie, by nie zaburzało trzeźwości myślenia, nie paraliżowało. Uznał, że to najlepsze, co może dla niej zrobić. I dla siebie. Szczególnie dla siebie.

Położenie kirkutu ustalił dzięki mapom satelitarnym. Odległość nie była duża, od komisariatu można było dojść tam w dziesięć minut. Na wszelki wypadek jednak Wolczuk obszedł cmentarz od południa, nadrabiając sporo drogi. Zatoczył koło i we właściwym miejscu wdrapał się na górę, której grzbietem można było dojść wprost do zamku.

Południowe skrzydło antykliny chęcińskiej, jak zapamiętał z któregoś z internetowych źródeł, tylko dlatego, że tędy biegła niegdyś główna droga do warowni. Wierzył na słowo, bo teraz nie było już po niej śladu. Odblokował ekran telefonu i przybliżył mapę. Ścieżka była nieco dalej.

Prowadziła kilka metrów w dół, na północ, ku pozostałościom muru stanowiącym ledwo widoczną granicę kirkutu. Tuż za nim, na obszernej polanie, wyrastały zszarzałe zęby charakterystycznych nagrobków. Wolczuk spodziewał się, że na miejscu wciąż pracuje policja, dlatego wybrał właśnie tę drogę. Zawsze mógł powiedzieć, że idzie skrótem do Chęcin i znalazł się tu przypadkiem. W najgorszym razie go przegonią.

Nie przegonili, bo nikogo nie było. Żadnych mundurów, biało-niebieskich taśm z napisem „Policja”, nic. Tylko dwie macewy wyraźnie jaśniejsze od pozostałych. Świeżo wyszorowane. Trawa wkoło nich była rozdeptana, w kilku miejscach ciemniejsza przy ziemi. Żołądek podszedł Wolczukowi do gardła, gdy uświadomił sobie, że to zaschnięta krew Beaty. Bezwiednie sięgnął po henleya. Liquid zabulgotał uspokajająco. Dwie minuty później zaczął robić zdjęcia. Utrwalał obraz

w rozdzielczości tysiąc czterysta czterdzieści na dwa tysiące pięćset sześćdziesiąt pikseli, większej niż telefon kryminalnego. Zbliżenia na macewy, szerszy kadr, połamane źdźbła trawy. Nic ważnego. Schylił się i rozglądał dłuższą chwilę, szukał pod kamieniami, liczył na łut szczęścia.

Przeliczył się. To nie był film, w którym policja jest ślepa, a tropy czekają na przygodnego bohatera.

Nie znalazł nic.

Idąc na przełaj, ostrożnie, by nie ubrudzić ubrania, dotarł z powrotem do Radkowskiej. Nawigacja w telefonie twierdziła, że od rynku dzieliło go sześćset pięćdziesiąt metrów, osiem minut pieszo. Daleko, zważywszy na to, jak bardzo był głodny.

Ruszył szybkim krokiem. Po drodze minął posterunek policji. Nieświadomy, że w pokoju na końcu krótkiego korytarza Daniel Krawczyk z trzema innymi członkami wspólnoty w milczeniu czekali, by złożyć zeznania. Wśród nich był również kulawy. Wiercił się.

19

W „Latarence” wszystkie stoliki były zajęte. Damianowi to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Zrozumiał, że po raz kolejny los się do niego uśmiechnął, dając szansę na coś więcej niż tylko późne śniadanie.

– Dzień dobry. Mogę się dosiąść? – spytał swobodnie.

Dariusz Kryński podniósł wzrok znad do połowy opróżnionej szklanki piwa i zmarszczył czoło. Był po cywilnemu, nieogolony, wyraźnie w kiepskim nastroju. Mimo to po chwili wolno skinął głową.

– Dziękuję. – Wolczuk podał mu dłoń. – Byłem właśnie u pana w pracy. Trochę zeszło, a brak śniadania już mi się daje we znaki. Pan ma dziś wolne?

Kryński powtórzył skinięcie.

– To pewnie pan nie słyszał o tej dziewczynie?

– Słyszałem – powiedział policjant, podnosząc szklanę.

Kelnerka przyniosła kartę, ale Damian nie musiał do niej zaglądać. Tym razem zdecydował się na naleśniki. Zamówił też piwo.

– Chciałem pana przeprosić, panie Darku – podjął. – Za moje zachowanie przedwczoraj. Pewnie pan pomyślał wtedy, że jestem aroganckim fiutem.

Kryński podniósł wzrok i przyjrzał się Wolczukowi. Myślał tak o nim również w tej chwili, nie odezwał się jednak.

– W czwartek przegrałem w sądzie, straciłem etat i przyłapałem narzeczoną w łóżku z jej szefem. Na koniec jeszcze skasowałem auto. – Uśmiechnął się cierpko. – Nieświadomie wyładowałem się na panu. Naprawdę mi wstyd.

– Wszystko w jeden dzień?

– Perwersja losu dążąca do maksimum. – Podziękował kelnerce za piwo. – Więc jak, przyjmie pan przeprosiny?

– W porządku.

– A więc pana zdrowie! – Napili się obaj. – Oczywiście pozwalałam sobie na to tylko dlatego, że nie jest pan w pracy... – Odwrócił się w stronę baru i nim Kryński zdołał go powstrzymać, na migi domówił dwie butelki.

– To naprawdę zbędne – mruknął Dariusz.

– Jedno piwo jestem panu winny za tamtą sprawę i proszę je przyjąć. – Pochylił się, ścisząc głos. – Poznałem wczoraj tę dziewczynę, tę, co nie żyje. Rozumie pan? Nikt mi nic nie powiedział, ale macie cienkie ściany na komisariacie i niechcący podsłuchałem... Wiem, co się stało, i teraz muszę się napić. Nie namawiam! – Rozłożył ręce. – Ale byłbym wdzięczny, gdyby mi pan towarzyszył.

– Jedno piwo. – Kryński pokręcił głową.

20

Dajesz palec, biorą całą rękę. Wystarczy, że stracisz czujność, a dasz się zagadać. Wpadniesz w pułapkę gładkich słówek i psychologicznych zagrywek, a tracisz rękę, ramię i całą pieprzoną resztę. W najlepszym

razie. W najgorszym jesteś trupem.

Czułość interwencyjna, powtarzał podkomisarz w szkole policyjnej. Czy przeprowadzasz staruszkę przez jezdnię, czy stajesz przeciwko świrowi z nożem. Nigdy jej, kurwa, nie trać! Kryński przypomniał sobie te słowa, gdy otwierał drugą butelkę żytniej. Razem z Wolczukiem siedzieli u niego w kuchni. W radiu ktoś upadł i sił mu było brak, podnosił się jednak i chciał pobiec dalej...

– Lej, Darek! – ponaglił Wolczuk, wpatrując się w pustą szklanę.

– Krew mi pulsuje, a w głowie mam szum... – Kryński myślał przez moment, że sam to mówi, ale to był głos z radia. Zanucił do taktu i polał, nie roniąc ani kropli. Lumpy z rynku byłyby z niego dumne, może nawet uznałyby go za swojaka.

– Zdrowie! – Tym razem to on sam. Wypili, przepijając jakimś gazowanym gównem. Ogórki się skończyły.

– Nie pozwólcie prasie tego zwęszyć! – Damian powtórzył to po raz kolejny. Zaczął po czwartym piwie i wracał do tematu co jakiś czas. – Mówię ci, Dareczku, prasa to chuje! Wiem, bo sam robię w tym szambie. Naprawdę! Tobie mogę jak na spowiedzi, bo równy z ciebie chłop, jak na psa oczywiście. – To go bawiło do łez. – Nie dopuście żadnego fiuta z gazety ani tiwi... Macie tu tiwi? W Kielcach macie, no... Rzecznik nic nie może powiedzieć, bo tacy jak ja to zaraz rozwleką, rozumiesz?

Dariusz za każdym razem rozumiał. Na początku niemal wytrzeźwiał, słysząc, z kim pije, a potem mu to spowszedniało. Damian zresztą powtarzał, że:

– To skurwysyństwo, normalne skurwysyństwo. Ja ją znałem, rozumiesz? Znałem, a ktoś... Kurwa! Musicie go znaleźć, Darek, ty to musisz zrobić! – Jak zdarta płyta. – Jak nie? Jak inni? – Od nowa te same tłumaczenia, płaczący się język. – Kompetencje... Jebał pies! Musicie znaleźć i... – I tak dalej.

Kryński przestał słuchać, pozwalając, by głos Wolczuka zlał się z tym z radia, zwłaszcza że fajną piosenkę ktoś właśnie niszczył rapowaniem. Albo śpiewasz, albo gadasz, do cholery! Nudna mantra Wolczuka szumiała gdzieś obok, a myśli Kryńskiego pobiegły ku esemesom.

Kilkanaście wiadomości, na które nie otrzymał odpowiedzi. Chciała, aby cierpiał. Zasługiwał na to. Telefon zawibrował, przesuwał się bliżej krawędzi stołu. Na ekranie pojawił się numer. Nieprzypisany do żadnego z kontaktów, ale Kryński znał go na pamięć. Jak kolejny gwóźdź do trumny. Numer Doroty, ostatniej osoby, z którą w tej chwili miał ochotę rozmawiać. Spojrzał na Wolczuka z wdzięcznością, że pojawił się wtedy, kiedy była taka potrzeba. Nawet z tym swoim pieprzeniem w kółko o tym samym.

– Zgadzasz się? Powiedz, Daruś, że się zgadzasz... – To było chyba coś nowego, ale Kryński pokiwał odruchowo i sięgnął po butelkę. Z taką ilością promili we krwi miał prawo się zgodzić na wszystko. A może o tym też już rozmawiali, może po prostu nie pamiętał?

Damian Wolczuk za to pamiętał bardzo dobrze. Owszem, był pijany i coraz bardziej senny, ale póki co jeszcze kontaktował. Jako tako, na tyle, aby wiedzieć, że to był piąty i najważniejszy raz, gdy wracał do tematu dziewczyny. Cztery pierwsze miały za zadanie uspić czujność Kryńskiego, a teraz nadszedł czas na to, by nadać wartość nowej przyjaźni.

– Wiedziałem, że jesteś w porządku! – Sięgnął przez stół i zacisnął dłoń na ramieniu Kryńskiego. – Przysięgam, że będę ci mówił o wszystkim, Darek, pomogę, jak się da.

– W czym? – Policjant zmarszczył brwi, próbując najwyraźniej dokonać niemożliwej analizy słów, które puścił mimo uszu.

– Naprawdę jestem w tym dobry. Pomogę wam dorwać tego skurwysyna, dla Beaty, Darek, rozumiesz? Żadnych lewych ruchów, o wszystkim będziesz wiedział. Co się dowiem, to zaraz do ciebie, rozumiesz?

– Wolczuk, kurwa, o czym ty mówisz? – Spojrzał spode łba.

– O śledztwie. Wy robicie swoje, a ja swoje... Mam w tym wprawę. Razem damy radę, Darek, a ty przy okazji może zabłyśniesz.

– Daj spokój, Wolczuk! Nasza robota to nasza sprawa. Zespół działa i nie można przeszkadzać, rozumiesz? To robota policji i prokuratury, poważna sprawa. Nie moja, bo ja tylko na rejonie jestem. To chłopaki z kry...

– Darek. Ja i tak w tym pogrzebię, bo inaczej nie potrafię.

– Nie wolno!

– Darek – powtórzył z naciskiem. – Tu nie ma, kurwa, sprawy, czy mi wolno, czy nie. Tu jest tylko pytanie, czy ty chcesz trzymać rękę na pulsie, czy wolisz to olać. Jesteś w porządku gość, naprawdę, dlatego chcę, żebyś nie olał... Ja w nie takich sprawach grzebałem, uwierz. – Tym razem on sięgnął po wódkę. – Przecież wiesz, że nie muszę ci tego mówić, nie? Mogę robić, co chcę, a potem opchnąć materiał za hajs pierwszym z brzegu szmatławcom. Wiesz, ile zapłaca? I to nie ci z Kielc, ale z każdej redakcji, bo to jest, kurwa, mocne jebnięcie, rozumiesz? – Nabrał powietrza do płuc. – Ale ja nie chcę hajsu, nie tym razem. To sprawa honorowa, Darek, to dotyczy mnie, bo poznałem Beatę, rozmawiałem z nią i teraz muszę to dla niej zrobić. Dla niej i dla ciebie. Rozumiesz? – W sumie niewiele mijał się z prawdą.

Kryński niepewnie pokiwał głową.

– Nie bój się, o wszystkim będziesz wiedział, a teraz wypijmy za to! Darek! Na pohybel temu skurwielowi!

– Na pohybel!

– Więc okej? Jedziemy z tym?

– Jedziemy – wymamrotał skołowany.

– Jesteś w porządku, Dareczku, naprawdę w porządku! – Poklepał go znowu.

– Po...olicja jest w poszą... – wybełkotał Kryński.

– Jest! – zgodził się Wolczuk. – Ale ci przerwałem, wybac mi, Daruś, nieładnie z mojej strony.

– Ale co?

– Mówiłeś o tej terenówce, tej, co mnie uderzyła, pamiętasz?

– Mówiłem?

Wolczuk podsunął mu szklankę. Wcześniej uznał za oczywiste, że terenówka uległa wypadkowi i wszyscy zginęli. Teraz jednak miał przeczucie, że mogło być inaczej, że warto pociągnąć Kryńskiego za język. Oczywiście, że grał trochę nie fair, ale nie miał wyrzutów sumienia. Działał w dobrej sprawie. Zresztą dla ambitnego dziennikarza rzetelne źródło informacji zawsze jest na wagę złota.

Kryński wydawał się bezcenny.

– Mówiłeś, że nie żyją i że tam coś...

– Aha, no tak... – Żytunia znów rozgrzała Kryńskiemu gardło. Przełknął i podjął przerwana, jak uwierzył, opowieść.

21

Prokurator Arkadiusz Painer wklepał w maila kilka standardowych zdań, w tytule wpisał numer sprawy. Sprawdził dwa razy, załączył pliki i wysłał za potwierdzeniem odbioru. Od tej chwili zgniłe jajo należało do Warszawy.

Odetchnął, sięgając po szklanę, w której kostki lodu rozpuściły się już niemal zupełnie. Za oknem zapadał zmierzch. Możliwe, że towarzyszył temu spektakularny zachód słońca, ale Painer nie wstał, by sprawdzić. Miał w dupie zachody słońca, a okno i tak wychodziło na północ.

Zamiast tego otworzył kolejną sygnaturę. Numer nadany rano. Sięgnął po papierosy, camele. Został wierny marce, choć te nowe nie smakowały już tak samo jak w latach dziewięćdziesiątych. Wtedy pojawiły się na rynku, by umilić czas przemian. Teraz może nie było już czego umilać.

W katalogu znajdowały się na razie jego notatki i zdjęcia techniczki, które system zaczął automatycznie pobierać z serwera. Reszta tradycyjnie będzie uzupełniana na dniach, ale to nie przeszkadzało Painerowi. Teraz interesowały go tylko zdjęcia. Konkretnie kadry, na których Dorota utrwałała niewielki przedmiot. Podobny do tego, jaki fotografowała dwa dni wcześniej w Lipowicy. Trzy i pół kilometra od miejsca, gdzie w nocy oglądali zwłoki dziewczyny.

Odświeżył katalog. Pliki wciąż się zapisywały, ale wśród miniaturek dostrzegł już te, których szukał. Zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce i sięgnął po kolejnego. Potem otworzył plik.

Ciało leżało między zakrwawionymi macewami. Nienaturalnie spokojna poza, obnażone piersi i krew. Dużo krwi. Otworzył następny

plik. Zbliżenie na klatkę piersiową. Zakrzepłe, rozmazane smugi i niewielki owalny przedmiot pomiędzy upiornie sterczącymi sutkami. Kolejny kadr i zbliżenie. Koralek mógł być wykonany z jakiegoś drewna lub kości, Painer nie potrafił ocenić. Owalny, w miarę regularny kształt przewiercony na wylot, by dało się go na coś nanizować. Robiony ręcznie, niewprawnie, dawno temu. Ewentualnie sztucznie postarzany, co było w modzie.

Odszukał na dysku katalog podpisany „Lamus”. Trzymał tam dokumenty pomocnicze. Notatki, analizy, opisy. Również te, które nie miały odzwierciedlenia w aktach. To była część jego pracy. Analizowanie i opracowywanie elementów układanki, by tworzyła spójną, solidną całość. Żeby sąd skupił się na motywie, narzędziu, ofierze i sprawcy, a nie tym, że jakiś facet, który zadźgał żonę nożem, kupił dzień wcześniej papier toaletowy o złotówkę taniej.

Skrzywił się na wspomnienie tej rozprawy. Pierwszej, w jakiej pozwolono mu uczestniczyć w roli widza. Siedział wtedy w sądzie na twardej, niewygodnej ławce, z notatnikiem w dłoni i słuchał, jak obrońca, w którym widział starego peerelowskiego kutasa, rozwodzi się nad papierem toaletowym, doszukując się w tym zakupie okoliczności łagodzących. Dbał o żonę, twierdził z powagą. Był na jej utrzymaniu, ale dbał. Specjalnie poszedł do sklepu, gdzie papier był tańszy, aby mniej wydać. Szanował ją i jej pieniądze. Painer nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Tak, kurwa, szanował, że zadał jej osiemnaście ciosów nożem.

Ale sędzia wierzył i oskarżony dostał kilka lat mniej, a później wyszedł przed czasem. Wypuścili chuja. Podobno był z jakiejś dalekiej rodziny sędziego, lecz w papierach nie było o tym ani słowa. Potem akta myszy zżarły. Żadnych śladów. Nawet prokurator był umoczony. Ten sam, który ostatnio zaczął pojawiać się w telewizji.

Podkatalogi nazywał zgodnie z sygnaturami spraw. W nich zakładał kolejne, podzielone względem rodzajów dokumentów. W każdym umieszczał notatkę. Było ich dużo, uzbierały się przez lata, przenoszone między kolejnymi dyskami. Otworzył najnowszy. Nie potrafił wyświetlić dwóch różnych zdjęć w tym samym czasie, ale też

nie potrzebował. Ekran wypełnił kadr z bagażnika. Przeskoczył na zbliżenie. Na czarnej wykładzinie trochę czerwonej ziemi i owalny kształt, łudząco podobny do tego, na który patrzył chwilę wcześniej.

22

Damian Wolczuk maszerował chwiejnie w blasku sodowych latarni. Ulica była pusta i hipnotyzująco spokojna. Zupełnie inna niż w dzień. Szedł już tędy dwa lub trzy razy, ale zawsze na trzeźwo. Teraz jednak jego myśli przepływały od skroni do skroni, zalewane falami etanolu.

Stracił orientację i wkrótce wyszedł na rynek. Zamrugał skołowany, próbując przypomnieć sobie właściwą drogę. Skręcił w lewo, w dół. Chyba tędy wiozła go pierwszej nocy Alicja. Nie był pewien. Po kilku krokach zatoczył się, poleciał w bok, chwycił drewnianej futryny, uderzył czołem o zamkniętą bramę i usiadł na tyłku. W oddali dwójka spacerowiczów spojrzała w jego stronę, ale nie zdecydowała się podejść. Widać uznali, że nie potrzebuje pomocy. I dobrze.

Zebrał siły i zaczął się podnosić. Ostrożnie i powoli, by oszukane alkoholem zmysły nadażyły. Podtrzymywał się chropowatego drewna, wspierał się na nim. Sięgał coraz wyżej, aż jego palce trafiły na prostokątną wnękę. Idealną, by mógł się pewnie podciągnąć do pionu. Rozstawił szeroko nogi i odczekał, aż przestanie mu się kręcić w głowie. Dopiero wtedy cofnął dłoń.

Zaraz jednak sięgnął znowu, obmacał otwór. Spróbował skupić na nim wzrok. Dziesięć, może piętnaście centymetrów długości. Stosunkowo płytki i umieszczony ukośnie. Aż dziwne, że skojarzył... Otwór na mezuzę. To musiał być żydowski dom, skoro umieszczano w wejściu fragmenty Tory. W Chęcinach mieszkało kiedyś wielu Żydów, czytał o tym. Ale ten dom... Rozejrzał się przytomniej. Przeszedł kilka kroków z powrotem, do rynku. Stał na ulicy i spojrzał na drugi koniec. Miał rację. To tu objawiły się żydowskie dzieci. Jak echo wróciła rozmowa w sklepie i zrzęczenie starej kobiety, że to zły znak.

– Zły znak – wymruczał, patrząc na kryty papą, parterowy dom

wciśnięty między wyższe, wyremontowane budynki. Wtedy to poczuł. Odwrócił głowę i z trudem skupił wzrok. W cieniu, obok studni dostrzegł niewyraźny kontur postaci. Ktoś tam stał. Wolczuk nie widział twarzy, tym bardziej oczu, lecz czuł, że zwrócone są wprost na niego. Ostatni spacerowicze gdzieś zniknęli. Rynek był pusty, pogrążony w ciszy, zimny.

– Ej! – krzyknął hardo.

Postać poruszyła się, ale nie odpowiedziała.

– Quasimodo? – Wolczuk chciał podejść do intruza i opieprzyć go za robienie sobie żartów, gdy nagle obudził się w jego głowie atawistyczny zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem. Narastający irracjonalnie strach.

Odwrócił się na pięcie i ruszył uliczką do dolnego rynku. Minął bramę z mezuzą i szedł dalej, nie odwracając się za siebie. Jeszcze nie. Mógł dojść na sam koniec ulicy i skręcić obok niskiego budynku restauracji. Dalej zaczynały się już zabudowania klasztorne i ciągnęły aż do kolejnego zakrętu. Musiałby je jednak obejść, bo brama była dopiero za rogiem.

Miał inny plan.

Skręcił nagle w wąską jezdnię wciśniętą między budynkami. Kątem oka dostrzegł, że ktoś idzie jego śladem. Nie zauważył, czy kuleje, czy nie. To nie było istotne. Liczyło się, że zniknął mu z pola widzenia. Chwilę potem już biegł. Jego szybkie kroki odbijały się echem w nocnej ciszy. Kilkadziesiąt metrów dalej odwrócił się. Ulica była pusta. Przystanął, by zaczerpnąć tchu.

Może mu się wydawało? Za dużo wypił i dał się ponieść wyobraźni. Krew szumiała mu w skroniach. Nikt go nie gonił, bo i po co?

Ponownie podniósł wzrok. Milczące fasady domów, nieruchome światło latarni, płot obrośnięty bluszczem. Cisza i spokój. Odetchnął i ruszył dalej. Z tej ulicy mógł skręcić w prawo i wyjść wprost na mur otaczający klasztor od południa. Stamtąd było już kilka kroków do rogu, za którym zaparkowała Alicja. Wtedy, gdy przywiozła go tu w nocy.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się dwudziesta trzecia, a więc brama

powinna być jeszcze otwarta. Zdąży.

Przy załomie drogi odwrócił się ponownie i zaklął cicho. Ktoś za nim szedł. Z latarnią za plecami był tylko ciemną sylwetką, dwadzieścia, może trzydzieści metrów dalej. Zbyt barczystą, by mogła należeć do kulawego. Wolczuk przyspieszył kroku. Kiedyś próbował sobie wyrobić pozwolenie na broń, ale biurokracja go pokonała. Teraz zastanawiał się, czy gdyby mu się udało, gdyby miał przy sobie narzędzie zdolne powstrzymać napastnika na odległość, choćby samym widokiem, groźbą użycia, czy wtedy czułby się bezpieczny?

Nie dostał pozwolenia, więc nigdy się nie dowie.

Głos rozsądku podpowiadał mu, że może to być zwykły przypadek. Niegroźny przechodzień idący po prostu tą samą drogą. Jednak Wolczuk wierzył, że od rozsądku ważniejszy jest instynkt, a ten bił na alarm, kazał uciekać. Przecznicą była już blisko. Przyspieszył, a po chwili usłyszał, że ten z tyłu zaczął biec.

Mówi się, że można wytrzeźwieć w momencie, ale to nieprawda. To tylko oszustwo organizmu, w którym wyprodukowana pod wpływem stresu chemia czasowo stymuluje go do działania. Do tego, by poradził sobie w sytuacji zagrożenia. Oszustwo czy nie, liczył się tylko przyływ energii.

Wolczuk skręcił w Strażacką i rzucił się do ucieczki. Na całej ulicy paliła się tylko jedna, samotna latarnia. Przebiegł pod zawieszonymi wysoko gałęziami wiekowego drzewa, wzdłuż ogrodzeń, uśpionych domów, wpatrzony w jaśniejący na końcu ulicy kamienny mur.

Słyszał za sobą pogoń. Nie odwracał się jednak, nie tracił na to czasu. Przy murze zabrakło mu tchu. Napastnik był tuż za nim, próbował go schwytać. Wolczuk zmusił zmęczone mięśnie do kolejnego wysiłku, szarpnął ciałem, wyrwał się i skoczył w kierunku dobrze oświetlonej ulicy Franciszkańskiej. Trzydzieści metrów wzdłuż muru.

Po chwili biegł już chodnikiem do bramy. Podeszwy klaskały o chodnik. Za szybko. Nie zdołał wyhamować i uderzył się boleśnie o żelazną kratę, potknął na nierównych kamieniach, ale utrzymał równowagę. Wbiegł na dziedziniec i dopiero tam się odwrócił.

Dyszał ciężko, wpatrując się w prostokąt odgradzający go od

pomarańczowego światła ulicy. Od prześladowcy. No chodź! – pomyślał. Chodź, skurwielu! Rozgrzane wysiłkiem mięśnie paliły. Pot piekł go w oczy, lepił ubranie. Wydało mu się, że słyszy na zewnątrz oddalające się kroki. Usiadł ciężko na ławce. Potrzebował chwili, by się uspokoić.

Skrzypnęły drzwi, nad którymi blada lampa oświetlała obłupany herb. Damian rozpoznał Krawczyka po charakterystycznej posturze. Terapeuta wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Po chwili zgrzytnął przekręcany klucz. Dla pewności nacisnął klamkę i ruszył w stronę bramy. Po dwóch krokach dostrzegł siedzącego na ławce Wolczuka. Zawahał się wyraźnie, zwolnił, w końcu skinął głową. Damian patrzył pod światło, więc nie widział jego twarzy. Odpowiedział tym samym, a potem obserwował, jak Krawczyk zmierza do bramy, nieśpiesznie zamyka kraty i odchodzi. Do jutra staje się częścią zewnętrznego świata.

23

Damian Wolczuk nie chciał zakłócać ciszy nocnej. Odczekał na ławce, aż oddech mu się uspokoi, a mięśnie odpoczną, i dopiero wtedy ruszył do budynku.

To był błąd.

Wraz z opadającym poziomem adrenaliny wracało alkoholowe otępienie. Dużo wysiłku kosztowało go, by nie narobić hałasu przy drzwiach wejściowych. Poczul się jak wtedy, gdy odebrał dowód osobisty i wracał z imprezy do domu, bojąc się, że obudzi rodziców. Ale w wieku osiemnastu lat to było do zaakceptowania, młodość chmurna i durna. Gdyby ktoś go zobaczył teraz, ktoś obcy, byłoby mu wstyd.

Opierając się o ścianę, zdjął buty i ruszył chwiejnie korytarzem. Na szczęście dość szerokim, aby uniknąć niepotrzebnych komplikacji. Damian nie upijał się od lat, gardził piciem bez umiaru i całą tą polską tradycją chlania przy byle okazji. Mentalnością meneli jątrzącą się pod robolskim drelichem i garniturem za kilka tysięcy. Obrzydzała go

i odpychała.

Teraz ocierał się o to. Wyglądał i śmierdział jak pijak. Jak zenująca łajza wracająca w skarpetkach do domu, by przysięgać, że nie wypił ani kropelki. Niemal poczuł wstręt do samego siebie. Niepotrzebnie, bo nie pił przecież dla przyjemności. Było to tylko narzędzie, gra, w której zgarnął upatrzoną nagrodę.

Za drugim podejściem odnalazł właściwy pokój. Planował wolno przekręcić klucz i z wyczuciem nacisnąć klamkę. Tak cicho, jak to będzie możliwe. Drzwi jednak były uchylone. Przez wąską szparę przy framudze przesączało się światło. Zaklął bezgłośnie. W środku zostawił laptopa i ubranie. Dość, by przyciągnąć uwagę złodzieja.

Rozejrzał się po korytarzu w poszukiwaniu czegoś, co mogło posłużyć za broń. Bezskutecznie. Po chwili wahania przystawił oko do szpary. Przywarł policzkiem do framugi. Poczuł jej niedokładnie oheblowaną powierzchnię. Opuszkami palców ujął brzeg drzwi i uchylił je ostrożnie, tylko na tyle, by cokolwiek zobaczyć.

Rama łóżka, oparcie stojącego dalej fotela, stół i leżący na nim komputer. Nieruszony. Meblościanka, a przy niej niska postać w habicie. Stojąca na palcach i sięgająca z trudem do jednej z szafek, do których Wolczuk nawet nie zaglądał. Otworzył szerzej drzwi i chrząknął.

– Ot i wrócił... – Tyle miał do powiedzenia staruszek, który o mało nie przewrócił się ze strachu. Przeżegnał się trzęsącą dłonią i przysiadł na stojącym obok krześle. Jak przyłapano na niestosownym zachowaniu dziecko, które wie, że spotka je zasłużona kara, i jest na nią gotowe.

– Co pan tu robi? – spytał bełkotliwie Wolczuk, wchodząc do środka. Zajrzał ostrożnie do łazienki. Była pusta. – Kim pan jest?

– Teofil jestem, ojciec Teofil. – Pomarszczona twarz wykrzywiła się w ciepłym uśmiechu. – Przepraszam, synu, że cię przestraszyłem. Czekałem ja, aż wrócisz, już wczoraj, ale bez skutku. Dziś, kiedy zamknięto bramę, byłem pewien, że też nie przyjdiesz, a klucz mam swój. Bóg jeden mi świadkiem, że to nic złego i nawet nie zauważyłbyś, że sobie pozwoliłem na to drobne naruszenie.

– Włamanie – podpowiedział Damian bez złości.

Zakonnik nie wyglądał na groźnego, a skrucha malująca się na jego twarzy zdawała się szczerą. Na tyle, na ile może ocenić ktoś na granicy upojenia i kaca.

– Trochę ja za stary na włamywacza, nie sądzisz? Poza tym przyszedłem po to, co sam tu zostawiłem. Poczęstuję, na zgodę, choć ty, synu, chyba już dziś dość wypięś.

– Co ojciec ma na myśli?

– O ile nie odkryli... – mruknął, wstając z trudem i wracając do przerwanych poszukiwań.

Butelka miała pojemność około siedmiuset pięćdziesięciu mililitrów, może nieco mniej ze względu na przewężenie w środkowej części. Bez etykiety i banderoli, za to z zawartością zajmującą ponad połowę. Ciemnoczerwona. Może nawet bordowa.

– Wiśniówka grzechu warta – wyjaśnił Teofil.

– Czy tu...

– Nie wolno. – Pokręcił głową. – Kategoriecznie zabronione. Raz, że ośrodek, a dwa, lekarz nie pozwala. Kochani braciszkuje pilnują, ale co oni tam wszyscy wiedzą... – Machnął ręką. – Mnie już bliżej do Pana niż im wszystkim razem wziętym, a Pan Bóg wie, jak mało ja w życiu nagrzeszył, to i na koniec przez palce popatrzy. Modlę się o to każdego dnia, a dziś szczególnie. – Zaskakująco sprawnie pozbył się nakrętki. – W barku będą szklanki.

Były. Wolczuk postawił je na stole, a Teofil napełnił.

– Niechaj aniołkowie naszej Beatce ślicznie śpiewają – wzniósł cicho toast.

– Znał ojciec tę dziewczynę? – zainteresował się Wolczuk.

– Była tu jakiś czas. – Pokiwał głową. – Zawsze tak grzecznie się witała. Ot, biedna owieczka, co się Panu naszemu zagubiła. I odnalazła na koniec...

– Miałem na myśli bliższą znajomość. Często ojciec z nią rozmawiał?

– Wcale. Czemu pytasz?

– Spytałem, bo... Niech ojciec wybaczy, ale czy mogę ojcu zaufać?

– No, synu, wszystko zależy, bo ja spowiednikiem nie...

– Tak po ludzku, nie religijnie. – Sięgnął po butelkę i polał. Teofilowi

nieco więcej.

– Chyba tak, o ile to nic złego.

– Pomogę policji znaleźć zabójcę. Nieoficjalnie, ale za cichym przyzwoleniem – zaznaczył. – Niech ojciec tak na mnie nie patrzy. To poważna sprawa. To, że dziś piłem, to też część pracy... operacyjnej. – Dobre słowo, profesjonalne.

– Jesteś, synu, detektywem?

– Nie, niezupełnie.

Wolczuk żałował, że w przeciwieństwie do niego Teofil jest trzeźwy. Fakt, był trzeźwy, ale był też stary. Bardzo stary. Na pierwszy rzut oka mógł mieć osiemdziesiąt, może nawet dziewięćdziesiąt lat. Tacy ludzie są ufnie.

Łatwiej ich przekonać.

Wystarczy być przekonującym i miłym. Samo bycie miłym to już połowa sukcesu. Wiedzą o tym wszyscy naciągacze i domokrażcy. Pospolici oszuści. Prawdopodobnie gdyby Wolczuk potwierdził, że jest detektywem, to staruszek by mu uwierzył. Nawet mimo oczywistego faktu, że w Polsce agencje detektywistyczne nie działają tak jak w amerykańskich filmach.

Ale Wolczuk nie był pospolitym oszustem. W ogóle nie był oszustem. Nie krzywdził ludzi, a przynajmniej nigdy nie było to jego celem. Nie świadomie. Wykonywał tylko swoją pracę.

– Nie jestem detektywem. Jestem dziennikarzem śledczym. – Nie uważał tego za kłamstwo, jedynie za wyprzedzenie faktów. – Ale nie chodzi o materiał do prasy, ale o zdolności. Policja robi swoje. Ja mogę zrobić swoje tu, gdzie oni już nie mogą. Mam nosa do takich spraw i doświadczenie. Widzę rzeczy, które innym umykają. Łączę wątki i wyciągam wnioski. – Popukał się chętnie po głowie. – Ta dziewczyna była bardzo miła. Poznałem ją... Chcę dorwać skurwysyna, który jej to zrobił. Przepraszam za słownictwo. Rozumie ojciec?

– Rozumiem – szepnął Teofil. Przyglądał się Wolczukowi z miną, która mogła wyrażać wiele: od podziwu po politowanie. Może to zmarszczki, obwisła skóra i wodniste oczy, a może lata duszpasterstwa i wywierania wpływu na ludzi zaburzały mimikę na tyle, że przestawała

być czytelna. Nieodgadniony, neutralny wyraz twarzy. Taki, który rozmówca mógł interpretować dowolnie. Najczęściej na swoją korzyść. Tak też zrobił Damian.

– To małe miasteczko. – Nalał zakonnikowi resztkę nalewki. – Policja myśli tu szablonowo, ale to grubsza sprawa. Tu trzeba czegoś więcej.

– No... – zaczął Teofil, lecz Wolczuk nie zwrócił na to uwagi.

– Zwłaszcza że to kolejna ofiara w krótkim czasie...

– Co powiedziałaś? – Staruszek odstawił szklankę, o mało jej nie przewracając, i cofnął drżącą dłoń.

– To informacja niejawna – odpowiedział Wolczuk wymijająco. – Niech ojciec zapomni.

– Synu – Teofil pochylił się ku niemu, nagle pobladły i roztrzęsiony – wyjedź stąd.

Wolczuk zaprzeczył ruchem głowy. Tylko do tego był zdolny. Reakcja zakonnika go zszokowała. Bał się, że starzec dostał zawału i że umrze na jego oczach. Tu i teraz.

– Wyjedź jak najszybciej, nie dotykaj tego. To nie jest... Nie zrozumiesz, synu. Po prostu wyjedź.

– Dlaczego? – zapytał niewinnie. Jego umysł był spowolniony alkoholem, ale instynkt pozostawał trzeźwy. Teraz podsunał mu myśl, że staruszka nie tylko ciągnęło do butelki, lecz był też niespełna rozum. Nagła zmiana w zachowaniu, silne emocje i dziwne grymasy. Może dlatego trzymano go na górze i izolowano od ludzi? To wydawało się całkiem logiczne, tak samo jak to, że Wolczuk lepiej by zrobił, gdyby pozwolił mu odejść. Wiedział o tym, ale wiedział też, że nawet ktoś niespełna rozum mógł widzieć lub słyszeć coś ważnego. – Czego nie zrozumiem, ojczy? – powtórzył.

– Nie. – Teofil zerwał się z miejsca i zatoczył na regał. W barku zadzwoniło szkło. Chciał pobiec do drzwi, ale Wolczuk zagroził mu drogę.

– Ojczy Teofilu, co się z ojcem dzieje? – Stary wariat.

– Nie zrozumiesz. Nie uwierzysz, nie w takie coś. – Próbował precyzyjnie się między fotelem a Wolczukiem. Bezskutecznie. – Wyjedź i pozwól mi teraz odejść.

– Nie. – Damian pokręcił głową. Z wariatami trzeba rozmawiać inaczej. – Nie wyobraża sobie ojciec, co w życiu widziałem i czego byłem świadkiem. W co jestem w stanie uwierzyć – mówił pojednawczym tonem. Przekonująco i spokojnie. – Ojciec myśli, że się przestraszę, ale tak nie będzie. Nie wyjadę i nie odpuszczę. Widzę, że tu jest coś nie tak. Tu, w tych murach. Ten ośrodek, ta cała wspólnota, półsłówka i zamordyzm. Może przez to Beata zginęła? Może w cieniu zakonu ktoś robi złe rzeczy? – Spojrzał wymownie na Teofila. – A może zakon o wszystkim wie?

– Błędnie, synu! – Starzec się przeżegnał. – O niczym nie masz pojęcia.

– Więc niech mi ojciec wyjaśni. Wtedy nie będę musiał wyciągać pochopnych wniosków. Przyrzekam, że wszystko zachowam dla siebie – zachęcił bełkotliwie. – Nie boję się.

Starzec prowadził wewnętrzną walkę. Było to widać wyraźnie. Bezwiednie mrużył oczy. Raz czy dwa poruszył bezgłośnie ustami. Wpatrywał się w Wolczuka, oceniał, wahał się. Minutę, może dwie. Pięć? Wolczuk nie potrafił oszacować. Nie w stanie, w którym się znajdował.

Ta rozmowa odebrała mu resztki energii. Zewnętrznie trzymał fason, ale myślał już tylko o tym, aby położyć się na łóżku. Nawet w ubraniu. Starzec odetchnął. Podjął decyzję.

– Która godzina? – spytał szeptem.

– Zaraz będzie północ – wymamrotał Damian, z trudem odczytując cyfry na ekranie telefonu.

– To zła godzina. Pomówimy jutro, w świetle dnia.

– Ojciec mieszka na górze?

– Tak, ale tam nie wolno wchodzić ludziom z zewnątrz. Ja do ciebie przyjdę, kiedy będę mógł. Tak będzie najlepiej.

Wolczuk odsunął się od drzwi.

– Jeśli ktoś by pytał, to mnie nie widziałeś. Nie pozwalają mi za dużo chodzić. Ze względu na kruche kości. – Wyjrzał ostrożnie na korytarz i dopiero po upewnieniu się, że nikogo tam nie ma, podreptał w kierunku schodów.

Wolczuk zamknął drzwi.

– Nie tylko kości masz kruche, ojczulku – wymamrotał pod nosem.

Poniedziałek

24

Dzień był słoneczny. Nie gorący, ale również nie zimny. Idealny dla kogoś, kto nie lubił upałów, te bowiem miały nadejść dopiero za kilka dni.

Dorota Kowalska siedziała przy stoliku tuż obok okna, tam gdzie lubiła siadać, o ile było wolne. Tego dnia było. Jadła filet z kurczaka faszerowany suszonymi pomidorami i szpinakiem, popijała kawę i patrzyła na ulicę Panoramiczną w Kielcach.

Wbrew nazwie nie rozciągała się stąd żadna panorama. Może kiedyś, ale jeśli tak, to musiało być bardzo dawno temu. Tak dawno, że dziś Dorocie ciężko byłoby to sobie wyobrazić, nie próbowała więc tego robić.

Ulica była wąska i otoczona piętrową zabudową. Znajdował się przy niej parking. Biegł wzdłuż budynku, pod oknami jadłodajni. Jeden z wielu w centrum miasta i tak jak pozostałe niemal przez cały dzień oblegany.

Dorota lubiła patrzeć, jak kierowcy toczą walkę o każde wolne miejsce. Jak krążą wkoło, wypatrując okazji, gotowi zablokować ruch, gdy ktokolwiek zbliży się do zaparkowanego auta. Zasygnalizuje, że wyjeżdża, da szansę, by ktoś inny wyszarpał dla siebie ten skrawek. Stalowe miejskie zwierzęta, którym brakowało tylko narratora opisującego każdy ich ruch. Głosu Krystyny Czubówny. Jadła powoli. Miała czas.

Od rana pracowała ze zwłokami dziewczyny z Chęcín, zadowolona, że

sekcję przewidziano dopiero na popołudnie. Może na kolejny dzień. Mogła się upewnić, że tam na miejscu niczego nie przeoczyła. To czasem się zdarzało. Nie jej, ale się zdarzało. Mogło każdemu. Rutyna, może zwykły pech, a potem problemy.

Dorota nie chciała problemów. Nie w pracy. Zresztą każdą sprawę traktowała ambicjonalnie. Lubiała tę robotę, a jeszcze bardziej lubiała być dobra. We wszystkim. Dlatego na miejscu zebrała, co się dało. Ślady zapachowe, biologiczne. Odciski palców, butów, czerwieni wargowej. Włókna materiałowe, włosy, nawet źdźbła traw. Wszystko, co tylko mogła zebrać w kilka godzin. Gdyby jej pozwolono, siedziałyby w tym lesie i dobę.

Musieli jednak opuścić teren rano, żeby nikt obcy się nie przyplątał i nie zwęszył afery. Dlatego dodatkowe godziny z denatką były jej na rękę. Dzięki nim była już pewna, że nic nie przeoczyła. Miała wszystko. Miała też czas na porządny obiad i załatwienie kilku spraw na mieście. Potem sekcja i opracowanie materiałów. Tym razem Painer nie cisnął. Wszystko mogło biec swoim torem. Tak jak powinno.

– Jestem! – Mężczyzna był młody, najwyżej dwudziestopięcioletni. Trochę niechlujny. Z nierówno podwiniętymi rękawami i kolekcją rzemyków na nadgarstku. – Sorry, Miotelka, ale wcześniej nie mogłem.

– Jest okej, Tomku. – Kivnęła głową. – Co słychać?

– Roboty nadal brak, ale załapałem się na asystenta u Chowczyka. Znasz?

– Nie.

– Dostał fuchę w Iraku. W zeszłym roku bombardowanie odsłoniło pozostałości świątyni. Będzie tam kopał przez miesiąc. Ja razem z nim. To wielka szansa, a najlepiej, jakby mnie potem wymienił w opracowaniu, z nazwiska. Zresztą nawet jeśli tego nie zrobi, to co podpatrzę, to moje.

– Świetnie. Co powiesz o tym?

Przesunęła po blacie strunową torebkę. Większą niż te używane przez dilerów, chociaż i taka w zupełności by wystarczyła. Pojedynczy przedmiot wewnątrz miał nie więcej niż centymetr średnicy.

– Nie można otworzyć? – upewnił się Tomasz, wyjmując z kieszeni

zegarmistrzowską lupę. Czarną, wkładaną na oko.

– Nie.

– Okej. – Oglądał uważnie kulisty kształt. Pod różnym kątem, bo światło odbijało się w folii. Irytowało. – Wykonany z kości. Zwierzęcej lub ludzkiej, możesz ustalić laboratoryjnie. Obróbka ręczna. Niefachowa. Raczej nie robił tego rzemieślnik. Przynajmniej nie dobry... Ma swoje lata. Strzelam tylko – zastrzegł. – Stawiam na średniowiecze. Może wczesne. Pierwotnie było okrągłe. Starte od noszenia... Choć nie. Wtedy wycierałoby się nierównomiernie. Tu raczej brane w palce. Może pocierane? Generalnie podejrzewam, że to element naszyjnika lub innej ozdoby. Pewnie używane jako talizman i dlatego często brane w ręce... Albo i przedmiot sakralny? Ale wtedy to musiałyby być... W sumie czemu nie. Może to być część sznura modlitewnego.

– Sznura?

– Różańca na przykład. Robili je z różnych rzeczy. Swoją drogą to ciekawe, bo mało kto pamięta, że różańce podpatrzono u muzułmanów. W Palestynie, w jedenastym wieku. Stamtąd przybyły do Europy razem z krzyżowcami. Zresztą sznurów modlitewnych używano też w buddyzmie i hinduizmie. *Nihil novi sub sole!* – Roześmiał się. – Ale nie mówię, że to paciorki różańcowe. Może to być jakiś naszyjnik, nawet bransoleta.

– Dzięki, Tomku. – Odebrała torebkę. Upewniła się, że jest dobrze zamknięta, i schowała ją do kieszeni. – Bardzo mi pomogłeś.

– To co, może napijemy się kawy? – spytał bez większej nadziei.

– Następnym razem. Teraz muszę lecieć, wiesz, jak jest. – Podała mu dłoń. – Raz jeszcze dziękuję za pomoc. Jesteś najlepszy!

– Trzymaj się, Miotelka. – Był przyzwyczajony. Odprowadził ją wzrokiem, po czym westchnął do swoich myśli i zamówił obiad.

Po wyjściu sprawdziła telefon. Nikt nie dzwonił. Ulica Panoramiczna łączyła się prostopadle z Paderewskiego i tam kończyła swój bieg. Albo rozpoczynała. Kwestia perspektywy.

Przeście dla pieszych było dziesięć metrów dalej. Blżej Sienkiewicza – głównej ulicy Kielc, zamienionej przed laty na deptak. Dla Doroty

zbyt daleko. Przebiegła przez jezdnię na wysokości skweru Sendlerowej, wprost w alejkę biegnącą jego obrzeżem. Rozrzucone wśród zieleni ławki okupowało kilka osób. Para staruszków, czterech niemrawych żuli i dzieciaki, które wybrały dziś zajęcia na świeżym powietrzu. Dwie minuty później przeszła przez most na Silnicy, wprost na Planty. Kiedyś był tu bazar. Jedno z kół napędowych małej przedsiębiorczości w okresie kapitalistycznych przemian. Typowy, z niewielkimi, dusznymi budkami i zapachem zapiekanekek. W pierwszej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku wybudowano w tym miejscu eleganckie centrum handlowe. Sprzedawcy zamienili swoje budki na nowoczesne boksy. Zapach zapiekanekek rozwiał wiatr.

Mostek na Silnicy usytuowano na wprost wejścia do budynku, ale Dorota nie planowała zakupów. Centrum wcale jej nie interesowało, w przeciwieństwie do mieszczącej się obok kamienicy. Planty siedem, gdzie czwartego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego dokonano największego skurwysyństwa w dziejach miasta. Może inspirowanego, a może nie. Historycy do dziś się o to spierają. Dla Doroty jednak nie miało to znaczenia. Zbyt długo pracowała w zawodzie, by się oszukiwać, że podjudzony zabójca jest mniej winny od tego, który działał z premedytacją. To kwestia moralności. Bycia człowiekiem.

Od zeszłego roku na parterze mieściło się stowarzyszenie imienia Karskiego. Prawdopodobnie najwłaściwsze miejsce w Kielcach dla kogoś, kto chciał poszerzyć swoją wiedzę o judaizmie. Dorota zatrzymała się przed wejściem, tuż przy czarnym mercedesie na żółtych, zabytkowych tablicach. Nie potrzebowała wiele. Dwie, trzy informacje. Możliwe nawet, że znalazłaby je w internecie. Była jednak profesjonalistką. Wolała zapytać u źródła. Sprawdziła telefon i weszła do środka.

Zbliżała się trzynasta. Słońce grzało przyjemnie, choć ranek wcale tego nie zapowiadał. Był chłodny i pochmurny.

Zwłaszcza kilkanaście kilometrów dalej, w Chęcinach.

Brat Teofil przyszedł nad ranem. Tuż przed szóstą. Wślizgnął się do pokoju i stanął nad Wolczukiem. Potrząsnął nim, wyrywając z ciężkiego, poalkoholowego snu. Wystraszył.

– Pośpiesz się, synu. Mamy mało czasu – mruknął niezadowolony. Zupełnie jakby spodziewał się, że Wolczuk będzie czekał ubrany i gotowy. W formie.

Damian zwlekł się z łóżka. Zataczając się, dotarł do łazienki. Zamknął się w środku. Woda zaszumiała w rurach. Umywalka, toaleta, prysznic. Piętnaście minut i kilka przekleństw. Kolejne pięć, by się ubrać. Znów w dżinsy. Nieświeże. Nie było żelazka ani czasu, aby prasować garnitur.

– Szybciej! – ponaglił Teofil.

Damian zamknął drzwi na klucz. Był odrętwiały i niewyspany. Drżał z zimna. Szumiało mu w głowie. Pragnienie ugasił wodą z kranu, ale organizm domagał się jedzenia. Dawki energii, którą utracił, przetwarzając nadmiar alkoholu. Ruszyli korytarzem do wyjścia.

Braciszkwowie wciąż byli na górze. Personel poradni miał pojawić się dopiero za około godzinę. Na zewnątrz słychać było znajome odgłosy. Dziedziniec, jak co rano, opuszczała właśnie grupa biegaczy.

– Tutaj. – Teofil pociągnął Wolczuka w bok. W odnogę korytarza, na końcu której duże drewniane drzwi zagradzały dostęp do dalszej części.

– Za tymi drzwiami jest kaplica Świętego Leonarda z tysiąc sześćset piątego roku. Najstarsza zachowana część – szepnął staruszek. – Wiesz co to? – Wskazał marmurową tablicę umieszczoną obok wejścia.

– Coś z potopu szwedzkiego? – Wolczuk starał się skupić. Czytał o tym, ale nie pamiętał. Nie w tym stanie.

– Pierwszego kwietnia tysiąc sześćset pięćdziesiątego siódmego roku to było, na Wielkanoc. Wojska Rakoczego zniszczyły Chęciny. Wymordowały mieszkańców i spaliły miasto.

– Tak... Zabili zakonników. Czytałem... – Potarł twarz i ziewnął bezgłośnie. – To tablica pamiątkowa. Tu ich pochowano. Pod kaplicą. Trzech franciszkanów, prawda?

– Tak, tu pochowano trzech franciszkanów. Ojców Walentego, Floriana i Andrzeja. – Teofil pokiwał głową. – Lecz w klasztorze było ich czterech. – Przeżegnał się i ruszył do wyjścia. – Chodź, chodź! – ponaglił szeptem.

Chmury wisiały nisko, rozlane bladoszarym kożuchem, tłumiały promienie wschodzącego słońca. Było chłodno, nieprzyjemnie. Zakonnik poprowadził go przez dziedziniec. Przez bramę. Zaskakująco żwawym krokiem wzdłuż muru. Skręcili w uliczkę, gdzie w nocy Wolczuk wyrwał się tajemniczemu napastnikowi, który próbował go pochwycić. Okraść, pobić, może nawet zabić. Teraz, w blasku dnia, wydało mu się to niemal nierzeczywiste. Może to był tylko sen?

– Czwarty nazywał się Ksawery. Przybył i był opętany przez szatana – podjął Teofil. – To było zaraz na początku roku tysiąc sześćset pięćdziesiątego siódmego. Zimą. Wtedy zabił po raz pierwszy. Miejscowego gwarka pod Miedzianką. Potem była dziewczyna i jej syn w lesie. Trupów przybywało. Z każdym tygodniem znajdowano nowe. Coraz bliżej miasta. Aż w sobotę przed Wielkanocą na drzwiach kościoła Świętego Bartłomieja zawisło zbezczeszczone ciało siostry Marii. Diabeł obdarł ją ze skóry, a krwią wypełnił aspensorium, zbrukał ołtarz. – Teofil przeżegnał się drżącą dłonią, Wolczuk zaś skupił się na tym, by zachować powagę. – To wtedy ojcu Walentemu objawił się anioł i wyjawiał, że Ksawerego opętał szatan. Ten sam, który rok wcześniej przybył z dragonami Czarneckiego. Oni... – Zawahał się na moment, jak gdyby nie był pewny, czy o tym mówić. – Wymordowali prawie wszystkich Żydów. Zniszczyli ich cmentarz. Spalili domy i odeszli. Zło pozostało. – Pokiwał głową. – Po objawieniu ojciec Walenty wezwał najbliższych. Ojca Floriana i najmłodszego Andrzeja. We trzech chcieli pochwycić Ksawerego, nim pierwszy kur zapieje.

– Pierwszy kur... – powtórzył wbrew sobie Wolczuk, o mało nie wybuchając przy tym śmiechem.

– To nie są żarty! – skarcił go zakonnik. Był blady i wyraźnie opadł z sił. Zatrzymał się, opierając o ogrodzenie. Stojący za nim dom był drewniany. Prawdopodobnie opuszczony, przygnębiający. Reszta domów miała zadbane ogródki. Były zamieszkałe. Mimo to panowała tu

cisza. Ludzie albo jeszcze spali, albo byli w drodze do pracy. Cisza i bezruch. Tylko oni dwaj na wąskiej ulicy. Teofil machnął ręką zrezygnowany. – Mówiłem, że nie uwierzysz.

– Jestem zaskoczony, to wszystko – odparł wymijająco Damian. Zrobiło mu się żal staruszka. – Niech ojciec mówi dalej. Proszę – dodał wbrew sobie.

– Jesteś wierzący?

– Oczywiście.

Dodanie popularnego określenia „niepraktykujący” byłoby nie na miejscu.

– Ojciec Walenty wiedział o świętej relikwii ukrywanej w klasztorze od dwustu lat. Był jej opiekunem i strażnikiem. Był tym, który mógł pokonać diabła. – Teofil pokiwał w zamyśleniu głową. – Ale moce piekielne są podstępne. Ksawery wymknął się z klasztoru i nikt nie zdołał go odnaleźć.

– Uciekł?

– Wrócił kolejnego dnia. A wraz z nim przybyły wojska Rakoczego. Przyniosły ogień i śmierć. Wszyscy, którzy nie zdążyli uciec z miasta, zginęli. Z Chęcín pozostały zgliszcza. – Kiwnął głową na znak, że czuje się lepiej. Przynajmniej fizycznie. – Zginęli również trzej franciszkanie – podjął, gdy ruszyli wolno dalej. – Oni czekali na Ksawerego w kaplicy. Wydali swe ciała na pastwę diabła, ale dusze powierzyli Bogu. Przynajmniej nie musieli oglądać, jak niszczone klasztor.

– A relikwia? Skoro była tak potężna...

– Nie mogła wpaść w ręce złego! – powiedział z pasją Teofil. – Ojciec Walenty namaścił swego następcę i kazał mu zabrać ją z miasta. Uratować przed szatanem i jego sługami. Rozumiesz, synu? Inaczej wszystko byłoby stracone. – Westchnął.

Wolczuk spojrzał na niego pytająco. Jego mózg nie pracował jak należy, lecz nie aż tak źle, by nie dostrzegał absurdu sytuacji. Zakonnicy mieli coś, co mogło powstrzymać zniszczenie klasztoru, ale to zabrali, pozwalając, by został zburzony, i uznali to za sukces? Ktoś, kto wymyślił tę legendę, nie wiedział chyba, czym jest zdrowy rozsądek...

Powstrzymał się jednak przed komentarzem i pozwolił Teofilowi kontynuować. W oczach staruszka było coś, co sugerowało, że to najrozsądniejsze wyjście.

– Ksawery był pewien, że strach i przerażenie będą jego tarczą. Ale pycha kroczy przed upadkiem, mój synu, i żadna tarcza nie chroni przed gniewem Pana Boga naszego!

Rozejrzał się, gdy doszli do skrzyżowania. Tu słyhać już było samochody. Co najmniej jeden zjeżdżał od rynku ulicą Staszica. Opony szumiały na kostce brukowej. Inny poruszał się Małogoską. Charakterystyczny dźwięk skutera oddalał się w nieznanym kierunku. Gdzieś zgrzytnął bieg, silnik zawył na zbyt wysokich obrotach. Nieopodal stuknęło otwierane okno. Miasteczko budziło się powoli.

– Gdy odeszły wojska, złapano go i zabito, ale nie odprawiono egzorcyzmów. Albo nie było nikogo, kto byłby w stanie to uczynić, albo nie było czasu. Ciało zakopano z dala od miasta. Nie znacząc grobu.

– Tak po prostu? – zainteresował się Wolczuk uprzejmie.

– Z odciętą głową i związanymi dłońmi. Przede wszystkim jednak z relikwią, która miała zagwarantować, że zło, które go opętało, nigdy się z truchła nie wydostanie.

– Ciekawa historia. Czy ma jakąś puentę, którą można odnieść do...

– Nie przerywaj, synu. Wysłuchaj do końca. – Gdy doszli do ulicy Małogoskiej, staruszek wskazał okazały budynek. – To klasztor sióstr bernardynek. Za nim jest stary kościół Świętego Ducha. – Ruszył w przeciwnym kierunku, w stronę rynku. – Zło jest podstępne, mój synu, niełatwo go pokonać, ale łatwo mu ulec... Chęciny to małe miasteczko. Jak myślisz, czemu ma aż cztery kościoły?

Nie oczekiwał odpowiedzi.

– Ludzie, którzy zakopali Ksawerego, popełnili błąd. Zrobili to bez świadków. Kilka dni później wybuchła zaraza. Oni zachorowali jako pierwsi i zabrali tajemnicę przed oblicze Pana. Mór cztery lata pustoszył Chęciny. Nie ostał się nikt, kto pamiętałby o Ksawerym. Był tylko list do biskupa, który cudem przechował się w archiwach. Odpocznijmy chwilę. – Przysiadł na schodach obok czerwonej skrzynki, pod godłem i tabliczką „Poczta Polska”. Oddychał ciężko.

Wąską ulicą przetoczyła się wolno furgonetka. Kilku przechodniów śpieszyło się do swoich spraw. Spomiędzy chmur wyjrzało wąskie pasmo nieba. Dobry znak.

– Zło jest podstępne – powtórzył Teofil. – Jego naturę zna tylko Bóg. Cóż nam, maluczki... – Oparł się o mur i przymknął oczy. Na krótką chwilę. Zaraz się otrząsnął. – Szatan gdzieś tu jest. Relikwia nie pozwala mu się przebudzić. Rozumiesz, synu? – Nie patrzył na Wolczuka. – Mimo to objawia się. Jak smród z szamba unosi się w powietrzu. Kiedy go poczujesz, zostaje w tobie. Zatrzuwa.

– Ojciec zmierza do tego, że... – Damian starał się, aby to pytanie zabrzmiało neutralnie.

Rozmowa dotarła właśnie do punktu zwrotnego. Punktu dylematu. Wiedział, że musi podjąć decyzję.

Kiedyś przeprowadzono badania. Grupa ochotników wypełniła ankietę. Pytano o reakcję na wizytę domokrażcy. Oszusta wciskającego tani towar po zawyżonej cenie. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że jeśli zorientują się w sytuacji, wypraszają oszusta. Nie chcą słuchać dalej tego, co mówi. Czują się z tym źle.

Kilka miesięcy później każdą z osób biorących udział w badaniu odwiedzili akwizytorzy. W podobnym czasie, ale oferujący różny towar. Jedno jednak było wspólne. Każdy z akwizytorów szybko informował, że oferowany towar można kupić taniej. Że nie jest wart swojej ceny. Po czym kontynuował zachwalanie produktu. Czterdzieści pięć procent osób wyprosiło domokrażcę tuż po deklaracji o zawyżonej cenie. Kolejne dwanaście procent nieco później. Pozostali wysłuchali do końca, a osiem procent z nich zdecydowało się na zakup.

Deklaracja była punktem dylematu, wymagała podjęcia decyzji. Łatwej na papierze, trudniejszej w rzeczywistości. Damian Wolczuk był specjalistą od nietypowych spraw. Owszem. Tyle że realnych, nie urojonych.

Czuł, że tracił czas. W innych okolicznościach pożegnałby się i poszedł na śniadanie. Tak po prostu. Jednak pomarszczona twarz staruszka i przejęcie, z jakim opowiadał, trzymały go w miejscu. Nie był bezdusznym sukinsynem. Nie chciał mu sprawiać przykrości.

Ale nie chciał też sprawiać jej sobie.

– Ojciec myśli, że to diabeł zabił Beatę? – zapytał wprost.

– Nie. – Teofil pokręcił głową. – Zabił człowiek. Opętany...

– Opętany przez zło sprzed kilkuset lat? Wiem, że błogosławieni są ci, co nie widzieli, a uwierzyli, lecz ojciec chyba sam przyzna, że... – Starał się odpowiednio dobrać słowa. – To niemożliwe, aby szatan czekał tyle lat, by objawić się akurat teraz. Nie miałoby to przecież sensu.

– Objawiał się wielokrotnie, synu. W tysiąc sześćset siedemdziesiątym spalił szpital przy kościele Świętego Ducha. Pierwszy raz. Potem kolejny. Klasztor żeński płonął w tysiąc siedemset pierwszym i trzydzięci lat później. W tysiąc siedemset siedemnastym miasto spustoszyli Szwedzi. Ludzie mówili, że przywiódł ich tu duch zakonnika. Widziano go też w tysiąc siedemset czterdziestym piątym, gdy gorzał rynek. I w tysiąc siedemset siedemdziesiątym pierwszym, gdy piorun uderzył w nasz klasztor. – Westchnął. – W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym przyszli Moskale. To, co po sobie zostawili, Żeromski opisał w *Popiołach*. Nie wspomniał, kto ich przyprowadził... Rozumiesz, synu? Był tu też w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym, trzydziestym dziewiątym, czterdziestym drugim i czterdziestym czwartym. A to tylko te duże rzeczy, te, które historia chce pamiętać. Ile było małych? Bóg tylko wie. Chodźmy dalej, już niedaleko.

Podniósł się i ruszyli do rynku.

– Jesteś młody. Żyjesz w innym świecie – podjął Teofil, gdy mijali studnię. – Technologia, informacja, nauka. Nie ma miejsca na zabobony... Świat się zmienia bardzo szybko. – Uśmiechnął się. – Tyle że dobro i zło zmieniają się wraz z nim. Dopasowują. Dziś diabeł nie ma rogów, kopyt i ogona, nie śmierdzi siarką. Zamiast tego siedzi w tym waszym internecie. Namawia ludzi, by zwracali się przeciwko sobie, wierzyli szarlatanom. Odwracali się od Boga czy fałszywie go wyznawali. Jest echem z plastikowej puszki. Rozwodnionym i przetworzonym. Tam...

Wskazał kierunek. Szerokie schody wspinające się na wzgórze tuż za urzędem miasta. Prowadzące do kościoła. Wolczuk przez chwilę myślał,

że wiodą do „Latarenki”, ale lokal był zamknięty. Było zbyt wcześnie. Na rynku otwarto na razie tylko niewielkie delikatesy. Lokal pierwszej potrzeby dla kilku lokalnych pijaczków, którzy ze względów logistycznych upodobali sobie północno-wschodni zakątek.

A może nie chodziło o bliskość sklepów. Może wiekowa, kryta papą rudera przyklejona do odrapanej kamienicy na rogu sprawiała, że czuli się tu jak u siebie, jak za dawnych lat. Stary wrzód na dupie odnowionego placu. Niemal idealnie naprzeciw schodów. Oddzielony od nich dziewięćdziesięcioma metrami ulicy biegnącej wschodnią pierzeją rynku. Już tam siedzieli. Trzech wymiętych i zasuszonych facetów. Niezdarnie ukrywane butelki, papierosowy dym, spojrzenia. Tacy zawsze się patrzą. Gapią. Nie mają nic lepszego do roboty. Wolczuk się skrzywił i odwrócił wzrok.

– Tam – powtórzył Teofil, prowadząc w stronę schodów. Rynek był pochylony. Jego pokonanie kosztowało staruszką dużo wysiłku. Usiadł na stopniu. Z trudem oddychał. – To nic, zaraz przejdzie – powiedział, widząc zaniepokojenie na twarzy Damiana. – Odpocznię i ruszamy. Jesteśmy już prawie na miejscu.

Wolczuk usiadł obok. Zastanawiał się, o której otwierają cukiernię. Na ciepłe śniadanie raczej nie miał co liczyć. Zresztą nawet jeśli, to ani zapiekanka, ani hot dog nie były szczytem marzeń. Nie w tym stanie.

Znów zaczęło go suszyć.

Pomacał kieszenie. Dobrze. Zwitek banknotów tkwił w lewej. Telefonu nie było. W pośpiechu musiał zostawić go w pokoju. Taką miał nadzieję. Zegarka też nie wziął, ale powinna być już siódma, może kilka minut po. Na budynku urzędu, od frontu, był zegar. Wolczukowi nie chciało się iść i sprawdzić. I tak wkrótce będzie wracał. Rzucił okiem na staruszkę. Teofil drzemał oparty o murek. Oddychał miarowo.

Diabeł, opętanie, stare legendy. Kpina! Mimo to jakaś część mózgu Wolczuka próbowała to przetworzyć. Przemieścić przez dziennikarskie tryby. Przeanalizować, czy pasuje do pisma poważniejszego niż jakiś niszowiec dla świrów. Polska się zmienia, a nowa władza forsuje powrót do kościelnej maszyny. Szatan pchający człowieka do czynienia

zła, do zabójstwa, mógłby być dobrym tłem. Odpowiednio, ostrożnie wyeksponowane zwiększyłyby sprzedaż.

Marcin może się z tym zgodzić i kupić taką konwencję. Zresztą można przecież napisać dwie wersje. Jeśli naczelny uzna motyw opętania za zbyt ryzykowny, to dostanie czysty materiał, bez odniesień religijnych. Zabójstwo, motyw i sprawca. Sprawca, którego trzeba znaleźć... – Wolczuk poczuł to nagle. Gdzieś w głowie. Między warstwy wciąż jątrzącego się kaca boleśnie wcisnęło się irytujące uczucie. Zapomniał o czymś. O czymś cholernie ważnym.

– Idziesz, synu? – Teofil stał, ściskając poręcz, z jedną nogą na stopniu wyżej. Spoglądał w górę. Szacował siły. Jak alpinista przed wejściem na szczyt K2.

Wspinali się w milczeniu. Wolno, odpoczywając co kilka schodów. Wolczuk był już pewien, że zakonnik nie da rady. Stare mięśnie odmówią posłuszeństwa i po prostu padnie z wycieńczenia. Albo na serce. To byłby najgorszy scenariusz, bo Wolczuk nie pamiętał już, co należy robić w takiej sytuacji. Obserwował każdy krok staruszka i niemal czuł jego wysiłek. Był zły, że zgodził się na ten marsz.

Teofil jednak wytrzymał. Zdobył swoje K2. Spocony i drżący, ale szczęśliwy.

– Na lewo – wycharczał i wsparł się na ramieniu Wolczuka. – Tam, przy murze.

Wiekowa czworoboczna kolumna. Zwieńczona krzyżem jak nagrobek. Nieduża i niepozorna. Wykute na niej słowa „Witaj, Jezu, synu Maryi” powoli zacierał czas.

– Kiedy carat zajął klasztor... – Teofil ukląkł na trawie przed pomnikiem – wykupiono szczątki zakonników i złożono tutaj. W świętej ziemi... – Westchnął. – Dziękuję ci, synu, że mnie wysłuchałeś. Nie bagatelizuj tego. Nie słuchaj podszeptów diabła, bo on chce, byś wątpił. Byś nie wierzył. On tu gdzieś jest. Dość silny, by truć umysły... By mieszać ludziom w głowach.

– Pomyślę o tym.

– Pomyśl, synu. – Przeżegnał się. – Możesz już iść. Ja tu zostanę. Pomodlę się w spokoju.

– Da sobie ojciec radę? – zapytał Wolczuk. – Może wrócić za jakiś czas?

– Nie martw się o mnie. Poradzę sobie.

– Dobrze, więc do zobaczenia, ojcze Teofilu. – Cofnął się i ruszył ku schodom, lecz zatrzymał się po kilku krokach. Zmarszczył czoło, próbując skupić myśli. Pozbyć się niepokojącego uczucia, że o czymś...

– Ojcze Teofilu! – Odwrócił się na pięcie. – Co to była za relikwia?

– Relikwia? – Zakonnik zwrócony był twarzą do pomnika, a tyłem do schodów, Wolczuk nie mógł więc widzieć, jak kąciki starych ust uniosły się nieco.

– Ta, z którą zakopano Ksawerego.

– To był kościany różaniec z Ziemi Świętej. Mówiono, że to dar od rycerza krzyżackiego, ale ja nie wiem, synu, ile w tym prawdy... – Chrząknął. – Panie, przyjmij łaskawie modlitwę zanesioną za dusze sług i służebnic Twoich, którzy tutaj spoczywają w Chrystusie, niech oswobodzeni z więzów... – mówił coraz ciszej, aż w końcu już tylko poruszał ustami.

Wolczuk zrozumiał. Odszedł.

26

Gdy wrócił do pokoju, na podłodze znalazł kartkę. Niedużą, wyrwaną z zeszytu, którą ktoś wsunął pod drzwiami. Niebieskim długopisem, nieco koślawo napisano na niej: „Wynoś się!”. Wolczuk drgnął. Patrzył przez chwilę na ten kawałek papieru. Nie był pewien, czy potraktować to poważnie, czy jako niedojrzały wygłup. Postawił na to drugie. Zmiał kartkę i wyrzucił do kosza na śmieci. Nie miał wątpliwości, kto był jej autorem. „Nie tylko kulawy, ale i głupi” – pomyślał.

Telefon leżał na stole, obok czerwieniejących wspomnieniem alkoholu szklanek i przewróconej butelki. Co jakiś czas wydawał z siebie charakterystyczny dźwięk. Dopraszał się o ładowanie. Damian podniósł urządzenie. Odblokował ekran. Cztery procent i pięć nieodebranych połączeń. Trzy od Darka Kryńskiego. O siódmej,

siódmej piętnaście i ósmej. Dwa z numeru, który Wolczuk usunął z kontaktów, ale nie z pamięci. Ciąg cyfr sprawił, że fala ciepła przelała się przez jego pierś do głowy. Rozpaliła skronie. Dwa razy dzwoniła Justyna.

Telefon wydał z siebie ostrzegawczy dźwięk. Trzy procent. Ekran zgasł. Wolczuk podszedł do parapetu, do ładowarki. Mocował się chwilę z wtyczką. Był zły, że drżą mu ręce. W końcu zaskoczyła. Prąd popłynął kablem, wzbudził wyświetlacz.

Nie zamierzał oddzwaniać. Nie zamierzał też nigdy już odbierać. Mimo to nie zablokował jej numeru. Perwersyjnie zostawił Justynie możliwość podejmowania kolejnych prób. Miał nadzieję, że głuche telefony na równi będą ranić ich oboje. Jak piłka odbijająca się od ściany wprost w tego, kto ją rzucił. Choć w ten sposób mógł jej odpłacić. Żałośnie niewspółmiernie.

W ekranie laptopa odbijał się kawałek okna. Wolczukowi jednak to nie przeszkadzało. Katalog „Chęciny”. Nowy plik... Zastanawiał się przez chwilę, jak go nazwać. Zabębnił palcami o blat stołu. Nazwa była istotna. Zawsze przywiązywał do niej dużą wagę. W ten sposób determinował postrzeganie zawartości pliku. Wartościował ją i rzadko kiedy zmieniał. Czasem się to zdarzało. Niektóre informacje zyskiwały, a inne traciły swoją wartość. Czasem musiał się pogodzić z tym, że źle je ocenił. Przeanalizować na nowo i wyciągnąć wnioski. Częściej jednak miał rację. Instynktownie hierarchizował materiał. Tworzył podstawę do pracy. Był cholernym profesjonalistą! Profesjonalistą, którego w warszawskiej redakcji nikt nie docenił. Zazdrosne fiuty!

Palce przebiegły po klawiaturze. „Niepotwierdzona legenda mnicha” – na obecnym etapie była to najwłaściwsza nazwa. Otworzył pusty dokument i zaczął wypełniać go treścią.

Śniadanie, które zjadł na rynku, i kawa znacznie złagodziły objawy kaca. Teraz praca pozwoliła zapomnieć o nim całkowicie. Wolczuk z wprawą stukał w klawisze. Zamieniał odtwarzaną w pamięci rozmowę z Teofilem w kolejne linijki tekstu. Chronologicznie, by potem łatwiej syntetyzować informacje. Co jakiś czas na marginesie dodawał notatki.

Zaznaczał fragmenty, które zamierzał zweryfikować, i te, których nie mógł brać na poważnie.

Był w swoim żywiole. W tego rodzaju zawodowym amoku, z którego wyrwać może człowieka tylko coś brutalnego. Jak nagła przerwa w dostawie prądu. Niespodziewany huk lub głośny dzwonek telefonu. Adam Lambert zaśpiewał *Ghost Town*. Podłączony do ładowarki aparat zabuczał wibracją.

27

Alicja wrzuciła najlepsze zdjęcie na portal społecznościowy. Na grupę, gdzie amatorzy i profesjonaliści dzielili się tym, co uchwycili w obiektywie. Głównie pejzaże ukazujące, jak cudne jest Kieleckie. Wielu członków, jeszcze więcej zdjęć. Dużo dobrej energii i inspiracji. Czasem również zazdrości, ale tej pozytywnej. Podszytej podziwem. Mobilizującej.

Miała jeszcze trochę czasu, więc zostawiła komputer włączony. Skończyła się myć. Ubrała się. Dolała ciepłej wody do kubka i ponownie usiadła przed monitorem. „Wschód słońca nad Miedzianką” miał już kilkadziesiąt polubień. To było miłe. Miłszy był komentarz użytkownika o imieniu Piotr. Człowieka, który kilka tygodni wcześniej robił podobne kadry. Który zainspirował Alicję. Teraz napisał, że jest pod wrażeniem i podziwia. Wyzwolił więcej endorfin niż tabliczka czekolady.

Napiła się rozcieńczonej herbaty. Zielonej, jak zawsze przed śniadaniem. Późnym, bo zbliżała się dziesiąta. Nie musiała wcześniej wstawać. Dyżur zaczynała po południu. Miała czas. Również na to, by pojechać do Kielc na zakupy. Przeciągnęła się zadowolona. Spojrzała na telefon. Kilka esemesów z jednego numeru. Mniej niż wcześniej, więc chyba zaczął rozumieć. Skasowała je bez czytania. Dupek! – pomyślała bez satysfakcji.

W sumie to już było po wszystkim. Żal i złość odeszły. Nawet nie zauważyła kiedy. Kolejne zawiedzione nadzieje. Kolejny zamknięty

rozdział. Lepiej otrząsnąć się wcześniej, niż mając na palcu obrączkę, w brzuchu dziecko, a na koncie kredyt.

Facet, który zdradza, to najgorszy rodzaj mendy. Żalostnej, bez honoru, bez jaj. Nawet nie miał odwagi, aby się przyznać, że ma inną. Trzeba go było przyłapać. Zwykły przypadek. Nieplanowany wyjazd do Kielc. Jakiś impuls, by spojrzeć przez szybę do wnętrza restauracji. Tuż przy domu handlowym, w którym nie była od lat. Od dziecka. Czemu poszła tam akurat wtedy? Uśmiechnęła się. Może rzeczywiście wszystko ma jakiś głębszy sens? Może warto zwracać uwagę na znaki...

Przesunęła palcem po krawędzi smartfona, nie budząc wygaszonego ekranu. Zastanawiała się, czy to, co przyszło jej do głowy, jest dobrym pomysłem. Pewnie nie. Bezwiednie przygryzła wargę. Pewnie było bardzo złym pomysłem. Mimo to weszła w historię połączeń. Musnęła zieloną słuchawkę.

– Damian? Cześć! – Głos miała swobodny. – Jadę dziś do Kielc, na zakupy do galerii. Nie chcesz się zabrać? Tak, tak właśnie pomyślałam. W Chęcinach nie znajdziesz zbyt wiele. Kiedy? Za... – Odruchowo rozejrzała się za zegarkiem, zapominając, że ma go na ekranie monitora. – Za dwie godziny, może być? Świetnie! Podjadę po ciebie, mam po drodze. Nie ma za co. Pa!

Odłożyła telefon. „Wschód słońca nad Miedzianką” zbliżał się właśnie do dwustu polubień. Odepchnęła się nogą, pozwalając, by fotel okręcił się wokół własnej osi. Wokół endorfinowego haju.

28

Dariusz Kryński stawiał się w pracy punktualnie. Ogolony i w wyprasowanym mundurze. Zapasowym, który wisiał w szafie, gotowy na nieprzewidziane sytuacje. Takie jak ta. Kac męczył go fizycznie i moralnie. Mimo starań był dobrze widoczny w podkrążonych, zaczerwienionych oczach. Dyżurny zwrócił na to uwagę. Wyraźnie zastanawiał się, czy nie sięgnąć po alkomat i nie kazać Kryńskiemu

dmuchać. Tyle że potem musiałyby to zanotować. Wykonać niewielki wpis na marginesie, w uwagach. Podać stopień, nazwisko, wpisać jako powód podejrzenie nietrzeźwości. Nawet jeśli wyszłoby zero-zero, to sam fakt pojawienia się notatki mógłby narobić Kryńskiemu burdelu w papierach. Zwłaszcza teraz, gdy wszystko się zmieniało stanowczo nie na lepsze. Dyżurny nie bardzo wiedział, co zrobić, bo nienaganny strój i gładka twarz, bez zacięcia, kontrastowały ze zmęczeniem malującym się na twarzy policjanta.

Nie chciał robić koledze problemów. Nie chciał również nie dopełnić obowiązków. Musiał podjąć decyzję. Spojrzał z nadzieją na Kryńskiego.

– Wyjątkowo źle spałem, chyba idzie zmiana pogody – powiedział Dariusz i ziewnął. Dyżurny kiwnął zadowolony i otworzył drzwi.

Mocna kawa i obieg informacji, jak mówiono na wymianę plotek, postawiły Kryńskiego na nogi. Zlecone przez prokuratora czynności były w toku. Wyznaczona ekipa pracowała w terenie i na razie nic nowego nie było wiadomo. To nie przeszkadzało, by sprawa zabójstwa stała się głównym tematem rozmów. Wszyscy o niej mówili. W kółko powtarzali te same informacje. Wyczekiwali kolejnych.

O dziesiątej Kryński pożegnał się z dziewczynami, które oddelegowano do rozpytania drogowców na okoliczność wypadku operatora koparki. Udało mu się wyjść tuż przed tym, jak biała furgonetka z logo firmy budowlanej wtoczyła się na parking. Poprawił koszulę i ruszył w stronę centrum. To znaczy w prawo.

To centrum to był taki żart. Całe Chęciny miały dwa i pół kilometra długości. Licząc optymistycznie, od trasy E7. Trzydzieści minut marszu. Chcąc liczyć tylko ścisłą zabudowę, wyszłoby dwa kilometry. Minus pięć minut. Dwa kilometry na kilometr. Z którejkolwiek strony by iść, zawsze trafiało się na rynek. Górny lub dolny. Komisariat obsługiwał trzy gminy. Trójkąt bermudzki. Położone na południu Chęciny, pobliską Sitkówkę-Nowiny i Piekoszów, leżący w kierunku na Warszawę. Geografia jednak się nie liczyła. Centrum było miasto Chęciny. Całe.

Kryński wciąż był w pracy. Do obowiązków dzielnicowego należało dzielenie czasu. Pół dnia za biurkiem, pół w terenie. To miało swoje

dobrze i złe strony. Teraz jednak o tym nie myślał. Jego krok był szybki. Nerwowy. Kilka razy wyciągał telefon. Po chwili chował. Wąskie uliczki nie były najlepszym miejscem do rozmowy. Nie takiej, jaką chciał odbyć.

Dwadzieścia minut marszu. Gdyby nie kac, nawet by tego nie poczuł. Był w dobrej kondycji. Mięśnie ledwo się rozgrzały. Mimo osłabienia mógłby spokojnie maszerować dalej. Ale alkohol zrobił swoje. Kryński miał wrażenie, że głowę ściska mu wielkie imadło, że chce ją zmiażdżyć. Ostatnią aptekę minął, opuszczając rynek. Niedaleko był jednak sklep. Niski market, pod którym często dochodziło do naruszeń artykułu czternastego ustęp dwa a ustawy o wychowaniu w trzeźwości. Pod nim lub na przystanku sto metrów dalej. Ulubione miejsca marginesu. Znudzonych gówniarzy lub starszych miłośników tanich trunków. Ani jednym, ani drugim nie przeszkadzało bliskie sąsiedztwo cementarza. *Memento mori* ustępowało tu *in vino veritas*. Kryński był pewien, że żaden z nich nie uwierzyłby Chyle: „Jeśli szukasz prawdy w winie, poprzestań na jednej lampce”. Możliwe, że nie wiedzieli nawet, co to lampka.

Na szczęście nie było to już tak powszechne jak kiedyś. Świat się zmieniał, a Chęciny razem z nim. Miasteczko w niczym nie przypominało już zapyziałej dziury, jaką było jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Brudnej, zaniedbanej, śmierdzącej tanim winem i uryną. Przysłowiowy margines zmienił się w margines statystyczny. Zrobiło się spokojniej. Czyściej i kulturalniej. Całkiem przyjemnie.

W sklepie mieli kiepski wybór tabletek przeciwbólowych. Ograniczony do dwóch rodzajów, z których żaden nie działał na Kryńskiego tak, jak należy. Mimo to wziął pierwsze z brzegu. Do tego małą wodę mineralną. Zapłacił, wyszedł, zaaplikował silną dawkę. Wyrzucił niedopitą wodę. Nie trafił do kosza i butelka potoczyła się po chodniku. Kryński schylił się po nią. Kątem oka dostrzegł pijaczka chowającego się za rogiem budynku. Zignorował go, bo nie po to tu przyszedł.

Bloki osiedla Sosnówka były trzykondygnacyjne. Dwa piętra i parter. Było ich dwanaście. Zbudowane na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych z wielkiej płyty, dla planowanej w okolicy fabryki

glinu. Gdy ta nie powstała, osiedle przejęła cementownia Nowiny. Sprowadziła tu pracowników z rodzinami. „Ptaki” – tak nazywali przybyłych starzy mieszkańcy Chęcina. Na siebie mówili „krzaki”, bo byli tu od zawsze. Jedni i drudzy nie chcieli się integrować. Mieli swoje świątynie. Z rodziców przenosiło się to na dzieci. Kiedy Kryński chodził do szkoły, ci z bloków uważali się za lepszych. Trzymali się razem. Podkreślali, że nie są z Chęcina, że są z osiedla.

Dziś były to już po prostu zwykłe bloki. Sprywatyzowane, zarządzane przez wspólnotę lub spółdzielnię, takie jak wszędzie. Pomalowane kolorowo, w miarę zadbane. Sąsiadujące z kompleksem garaży, typowych blaszaków. Tanich i praktycznych, choć z estetyką niewiele mających wspólnego. Trudno było znaleźć dwa takie same. Jeszcze trudniej – dwa w tym samym kolorze. Ale spełniały swoją funkcję, chroniąc auta przed deszczem i śniegiem. To się liczyło. Dobrze też przenosiły dźwięk. Na przykład dudnienie silnika, które pojawiło się nagle. Dość nietypowe jak na samochód. Głośne. Kryński skrzywił się z bólu. Dudnienie narastało. Zmieniło się w warkot.

Spomiędzy garaży wytoczył się zielony motocykl z wózkiem bocznym. Wyglądał na stary, może jeszcze radziecki. Kryński nie znał się na motorach. Pamiętał jednak, że dziadek miał coś podobnego. Dawno temu. Gdzieś w szafie, w pudełku po zagranicznych cukierkach, leżało czarno-białe zdjęcie. Był na nim dziadek. Trzymał na rękach malutkiego Dareczka i opierał się o taki właśnie motocykl. Może nawet na nim siedział. Taki albo podobny. Nie miało to znaczenia. Nie w chwili, gdy oddalający się warkot przestał zagłuszać skoczny dźwięk dzwonka.

– Kryński, słucham! – Zatrzymał się. – Świetnie, Wolczuk! Chyba zapomniałeś mi powiedzieć o nocy z Alicją, co?!... Kiedy mówiłeś? – podniósł głos. Zreflektował się i rozejrzał.

Nikogo nie było w pobliżu. Odetchnął i słuchał przez dłuższą chwilę.

– Dobrze, niech ci będzie, że nie pamiętam – mruknął. – Słuchaj, Damian, ja chcę tylko... W porządku, wierzę ci. Dobrze. Po prostu trzymaj się od niej z daleka, okej? Nie, nie służbowo, prywatnie... To nie jest śmieszne.

Może było. Prosił obcego faceta o to, aby nie robił mu konkurencji. Nie, nie obcego. Kolegę. Pili przecież razem. Kryński czuł się zażenowany. Było mu wstyd.

– Dobrze, Damian, rozumiem i dziękuję. – Cholernie wstyd. Nie pamiętał, że wyżalał się wczoraj Wolczukowi. W ogóle mało co pamiętał. Nie chciał jednak się do tego przyznać. Wstydzić się jeszcze bardziej. – A ty jak się czujesz? Aha... To tak jak ja. Nie, w pracy... Tak. Posłuchaj, Damian, jeśli chodzi o tę sprawę, wiesz, o Beatę, to daj sobie spokój, co? Nie, nic, tak po prostu... Wiem, ale byliśmy obaj pijani.

Znów się rozejrzał, ścisząc głos.

– Wiem, że dałem ci słowo. Okej... Ale naprawdę nie mogę zdradzać istotnych... W porządku – mruknął zrezygnowany. – Słucham? Mówiłem? Może, nie pamiętam... Koralik? Tak, chyba tak... Chyba też był w tamtym samochodzie. Nie wiem, może podobny... Nie – sprzeciwił się. – Mów teraz. Spróbuj, może uwierzę... Słuchaj, umawialiśmy się, tak? Więc mów, potem potwierdzisz albo nie...

Usłyszał charakterystyczny klekot diesla. Nie widział samochodu, bo zasłaniał go blok. Mimo to był niemal pewien, że to auto Alicji.

– Jaki zakonnik? Jaki potop? Słuchaj, Damian, muszę kończyć. Opowiesz mi następnym razem. – W dupie miał jakieś historyczne bzdury. – Zdzwonimy się, cześć! – Rozłączył się i wyciszył telefon.

Za późno.

Niebieski ford właśnie go minął. Alicja na pewno go zauważyła, ale nie zwolniła ani tym bardziej się nie zatrzymała. Nie chciała z nim rozmawiać. Nie dziwił się.

29

Szpital otwarto w roku siedemdziesiątym. Przyjmował gruźlików, których w Świętokrzyskiem było więcej niż w innych rejonach Polski. Wybudowano go na szczycie Czerwonej Góry, wśród lasów. Jak na tamte lata był duży i nowoczesny. Do dziś zresztą robił wrażenie.

Pierwotnie planowano w tym miejscu sanatorium dla gruźlików, ale w pobliskich Nowinach postawiono cementownię i pomysł upadł. Powstał szpital. Od lat dziewięćdziesiątych restrukturyzowany, aż w dwa tysiące ósmym zmieniono nazwę na Wojewódzki Szpital Specjalistyczny imienia Świętego Rafała. Specjalistyczny czy nie, dla ludzi i tak został szpitalem na Czerwonej Górze. Aktualnie posiadał dziewięć oddziałów i sześć nowoczesnych sal operacyjnych.

Tyle zdążyła opowiedzieć Alicja, nim dotarli do bramy wjazdowej, którą zagradzał szlaban. Chwilę później zaparkowali w sektorze wydzielonym dla pracowników szpitala.

– Poczekaj z pół godziny. Ogarnę się i wtedy cię wprowadzę. – Alicja upewniła się, czy wszystko wzięła, i dopiero wtedy zamknęła samochód. – Posiedź sobie na ławce, a potem przyjdź pod tamte drzwi. – Wskazała.

– Nie na izbę przyjęć? – upewnił się.

– Nie. Wejdziemy tamtędy. Mniej ciekawskich oczu. – Uśmiechnęła się i ruszyła w kierunku schodów.

Damian usiadł w cieniu i wyciągnął henleya. W zbiorniczku była resztką starego liquidu. Dość, by umilić czekanie.

W galerii spędzili więcej czasu, niż planowali. Wpierw się rozdzielili na godzinę, bo każde miało co innego na głowie. Damian kupił nową koszulę i bieliznę, power bank do telefonu, liquidy do henleya, mocną latarkę i solidny paralizator. Taki jak na amerykańskich filmach. Początkowo planował kupić pistolet. Gazowy, strzelający kulkami z pieprzem. Jednak tego typu broń była droga, a poza tym Wolczuk dobrze wiedział, że łatwo pomylić taki pistolet z prawdziwym. Przy spotkaniu z napastnikiem to zaleta, przy świadkach lub policji – wada. Dlatego wybrał paralizator. Chciał się czuć bezpieczniej, a nie prosić się o dodatkowe kłopoty. Alicja odwiedziła sklepy z ciuchami i drogerie. Na to wskazywały torby, które niosła.

Resztę czasu spędzili już razem. Najpierw w kawiarni, a potem na obiedzie. Bez żadnych ekstrawagancji, lecz zaskakująco miło. Naturalnie miło. Damian wcale nie musiał się o to starać. Nie musiał

stosować sztuczek czy odgrywać roli. Po prostu dobrze im się rozmawiało. Odbierali na tych samych falach.

Alicja chciała odwiedzić Damiana do Chęcina, ale wtedy spóźniłaby się do pracy. zaproponowała, że wysadzi go po drodze na przystanku, żeby wrócił autobusem. Damian jednak poprosił, by zabrała go ze sobą.

Jeszcze w kawiarni w żartach pojawił się wątek robotnika, który opowiadał, że diabeł zmiął mu nogę. Pacjenci i personel mieli z niego ubaw. Wolczuk się nie śmiał.

Ta historia przywoływała echo opowieści Teofila. Postanowił więc skorzystać z okazji i porozmawiać z tym człowiekiem w szpitalu. Początkowo Alicja miała wątpliwości, czy to dobry pomysł, lecz Damian umiał ładnie prosić i ku jego satysfakcji w końcu uległa.

Musiał tylko cierpliwie poczekać, aż go zawoła. Czekał więc, analizując wszystko jeszcze raz.

Diabeł i ten nieszczęsny paciorek znaleziony przy ciele Beaty świetnie pasowały do opowieści ojca Teofila. Tym bardziej, gdy Kryński przyznał, że wcześniej podobny paciorek znaleziono przy topielcach. Na obecnym etapie jednak cała ta legenda mogła tylko zaciemniać obraz. Niepotrzebnie rozpalać wyobraźnię. Prowadzić na manowce.

Wolczuk wiedział, że musi się skupić na konkretach. Na tym, co Beata robiła przed śmiercią. Gdzie była i z kim rozmawiała. Kiedyś o tym czytał, że ostatnia doba jest kluczowa. Najczęściej wtedy zabójca wybiera ofiarę. A jeśli upatrzył ją sobie już wcześniej, wtedy podejmuje ostateczną decyzję o ataku. Oczywiście czasem śmierć jest przypadkowa. Beata mogła po prostu znaleźć się w złym miejscu o niewłaściwym czasie. Wolczuk miał jednak przeczucie, że to nie był przypadek.

Jego rozważania przerwał dzwonek telefonu.

– Wolczuk, słucham. – Po drugiej stronie usłyszał młodego mężczyznę. Dzwonił z warsztatu z informacją, że szef załatwił od policji niezbędny świstek, więc umówią rzeczoznawcę. Szkoda pójdzie na OC sprawcy i nie ma znaczenia, czy facet żyje, czy nie. To była dobra wiadomość. Podziękował i się rozłączył.

Rozmawiał z Beatą o poranku. Potem widział ją na rynku. Machała

do Alicji. Rozmawiała z tym facetem z mercedesa. Tym w mycce, Żydem. Na pewno też widziała się z terapeutą, z Danielem. Miała od niego otrzymać papiery i wyjechać. Czemu zatem zeszło jej aż do wieczora? Co robiła przez ten czas? Tym musiał się zająć.

Skoro jednak miał okazję, by wcześniej odwiedzić szpital, to szkoda mu było z niej nie skorzystać. Skorzystać i mieć już z głowy. Był zresztą ciekawy, co usłyszy od robotnika.

Liquid skończył się na dziesięć minut przed umówionym czasem. Wolczuk schował papierosa i sprawdził telefon. Zasięg nie mógł się zdecydować, czy ma moc jednej, czy dwóch kresek. Nie było żadnych nieodebranych połączeń ani wiadomości. Wszedł w historię. Numer Justyny wciąż tam był. Dręcząco enigmatyczny. Skasuj? Zablokuj numer? Zignoruj... Wycofał się z menu i wsunął samsunga z powrotem do kieszeni. Wstał, poprawił nową koszulę i ruszył w stronę drzwi, gdzie wkrótce miała pojawić się Alicja.

30

Damian miał szczęście. Jan Braniewski był sam. Trzech innych mężczyzn, którzy dotychczas z nim leżeli, wypisano około południa. Jeden, który został, czekał akurat na prześwietlenie w innej części budynku. Jan miał około sześćdziesiątki, ogorzałą, zasuszoną twarz. Niemodny wąs i ruchliwe oczy. Spod kołdry wystawała zdrowa noga. Na zabandażowany kikut nie chciał patrzeć. Trzymał go pod przykryciem. Nie chciał gadać o wypadku. Był zły, że wszyscy biorą go za wariata. Wolczuk dobrze go rozumiał. Potrzebował piętnastu minut, by przekonać do tego Braniewskiego. Aby ten zaczął mu się zwierzać.

– Bo to było tak – zaczął Jan, poprawiając się na łóżku. – Na tej robocie ciągle czasu brakuje, to gonimy, jak się da. Teraz to, panie, wszystkim się śpieszy, nie? – Był zadowolony, gdy Damian przytaknął. – Robię na koparce. Od środy kopałem rów pod drenaż. Wiesz pan, ja tam robotę lubię dobrze zrobić, przykładam się. Jak trzeba, zostanę, żeby skończyć swoje. W czwartek mi samochód nawalił. Musiałem

dojechać busem, to mi zeszło dwie godziny. Przyszedłem później, to później wychodzę, proste, nie? No i tak, panie, robiłem w końcu sam. Reszta chłopaków zabrała się do domu, a stróż siedział sobie w kanciapie. Tylko ja byłem na odcinku.

– Tak można?

– Można, nie można. Kierownik chce mieć plan, to na takie rzeczy nie patrzy. A i tak w dupie jesteśmy. – Machnął ręką. – Ani ludzi, ani sprzętu, ile trzeba. Niby takie nowoczesne teraz, a i tak żadnej roboty w terminie nie zrobisz. Nie da się i już. Jak robiłem, panie, w Niemczech, to tam ordnung był, a nie takie gówno. – Sięgnął po butelkę wody mineralnej, która stała na szafce. Napił się, wytarł usta i mówił dalej. – Została mi jeszcze godzina roboty, jak na niego trafiłem. Łycha weszła normalnie, miękko. Wyciągam, a tam, panie, kości się sypią. Zatrzymałem sprzęt i patrzę. Myślałem, że to jaki cmentarz stary albo te, no, pochówki z kamienia łupanego czy innego średniowiecza, ale to tylko jeden truposz w ziemi siedział. Sam, panie, i bez niczego. Ani nagrobka, ani trumny, tylko jakieś resztki łachów.

– I co pan zrobił?

– A co mogłem zrobić? Jak pan znajdziesz takiego, to trzeba zgłosić. Takie przepisy. – Napił się znowu. – A wiesz pan, co się potem dzieje? Wpierw psy, a potem archeologi i masz pan robotę na odcinku z głowy. Potrafią na rok zablokować prace. No... – Łypnął na Wolczuka, jak gdyby upewniając się, czy powinien mu zaufać. – Dlatego bierzesz pan i wywozisz kości za teren. Zakopujesz i zgłaszasz po kilku dniach, a lepiej już, jak odcinek skończony. Mówisz, że przypadkiem znalazłeś i niech tam sobie kopią do woli. Roboty już nie blokują, a nieboszczykowi i tak wszystko jedno.

– Wywiózł pan zwłoki?

Braniewski pokręcił głową. Milczał przez chwilę, a gdy się odezwał, głos miał zmieniony. Chrapliwy.

– Nie zdążyłem... – Odchrząknął, zakasłał i mówił już normalnie. – Zapakowałem wszystko na łychę. Dużo nie było. Kości, panie, kilka zgniłych skrawków materiału, różaniec. Więcej nic.

– Jaki różaniec? – Wolczuk mimowolnie podniósł głos.

– No, normalny, panie, a jaki? Musiał go w rękach mieć, jak go chowali, bo zaplątany w kości był. Albo się ze starości rozpadł, albo go łychną zahaczyłem. Nie wiem. Wszystko, co widziałem, to wybierałem ostrożnie, żeby zmarłego nie bezcześcić. Chciałem go wywieźć, ale wtedy mi, panie, koparka zaczęła wariować. Normalnie, jakby kto klątwę rzucił. Wskaźniki zgłupiały, ciśnienie siadło. Ledwo się ruszyła i już koniec jazdy.

– Wcześniej to się nie zdarzało?

– Zdarzało – potwierdził. – Odkąd ją zalało w tę nawałnicę, co w zeszłym miesiącu była, to, panie, elektronika co chwila się w niej sypie. Moduły jakieś czy coś, ja tam nie wiem. Mieli wymienić wszystkie już z tydzień temu, ale nie doszły z magazynu. I wtedy też padła, ale tak na całego. Józka już nie było, mechanika – wyjaśnił. – Trzeba było czekać do rana. Rozumiesz pan? Z tymi kościami, cholera... No bo co miałem zrobić? Nosić po kawałku i łopata machać? Zaraz by się stróż zainteresował, a on nie od nas, tylko z zewnątrz firma przysyła. Rabanu by narobił i wszyscy by mieli nieprzyjemności, a na co mi to?

– Więc... – Wolczuk chciał zadać oczywiste pytanie. Zbyt oczywiste. Braniewski przerwał mu w pół słowa. Mówił dalej.

– Przykryłem trupa brezentem i tyle. W piątek tylko ja miałem tu dalej robić. Od rana. Pomyślałem, że Józka ściągnę, żeby sprzęt uruchomił, i raz-dwa się kości zakopie. Nawet krzyż jakiś postawi, żeby po chrześcijańsku było. Byle się nie rzucał w oczy... – Popatrzył na wypukłość kołdry. Z wiszącego obok łóżka przezroczyściego zbiornika skapywał miarowo środek przeciwbólowy. – Rano Józka nie było, a jeszcze kierownik odcinka zadzwonił i wszystko poprzestawiał. Rabanu narobił, że robota stoi i jak nie ma drugiej koparki, to niech chłopaki łopatami ten drenaż kopią. Rozumiesz pan? – Pokręcił głową. – Co miałem zrobić? Poszedłem do maszyny zobaczyć, czy zaskoczy. Czasem tak było, że jak odpoczęła, to działała. No i teraz też...

– To chyba dobrze?

– Panie, jakie dobrze! – Zdenerwował się. – Sprzęt działał, ale trupa nie było! Brezent był, a pod nim zamiast kości ktoś mi gówno zostawił!

Nasrał, rozumiesz pan?

– Jak...

– Siła nieczysta, panie! I to wcale nie jest śmieszne, do cholery! Ja tam w bzdury nie wierzę, ale to sam widziałem. Wieczorem był truposz, a rano nie było. Maszyna nie działała, a potem działała... Diabeł się krzyża wystraszył, innego wytłumaczenia nie ma. – Wysunął zabandażowany kikut spod kołdry. – I na mnie się zemścił, skurwysyn. Maszyna, rozumiesz pan, ma swoje zabezpieczenia. Po prostu nie ma takiej możliwości, żeby sama ruszyła, a ruszyła. Akurat wtedy...

– Jak pan myśli – spytał cicho Damian – co się mogło stać z tymi kośćmi?

– Diabła się pan pytaj, nie mnie – burknął.

– W czwartek w nocy ktoś jeździł po budowie, prawda? Duże, terenowe auto zostawiło ślady. Koło pana maszyny też.

– No... – Zmarszczył czoło. – Było tak. A pan skąd to wiesz?

– Mówiłem panu, panie Janie, że traktuję to poważnie. – Brzmiało to o wiele lepiej niż stwierdzenie, że źródłem informacji był pijany policjant. Nietrudno było skojarzyć fakty. – Może to ci ludzie z auta zabrali kości?

– Coś pan? Po kiego by mieli brać?

– Może... – Urwał, gdy w drzwiach pojawił się mężczyzna w szlafroku. Nieogolony i śmierdzący papierosami. – Dzień dobry.

– Dobry. – Tamten ledwie zauważalnie kiwnął głową i zwrócił się do Braniewskiego. – No i zrobili, ale chirurga nie ma, więc i tak gównowo wiadomo. Nie stać ich na więcej lekarzy, tak mi powiedzieli!

– Co się, panie, z tą służbą zdrowia porobiło – zachnął się Braniewski.

– Jakby te złodzieje z PO nie nakradły, toby było. Kurwa ich mać! – Poczłapał do telewizora. Wrzucił dwa złote i podkręcił głośnik. Ryknęła czołówka *Teleexpressu*. – Komuchy pieprzone!

– Do widzenia, panie Janie. – Wolczuk uściśnął żyłastą dłoń. – Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.

Dzień dobry. Jutro gdzieś przelotne opady, ale też sporo słońca. Burze możliwe na południowym wschodzie i od dwudziestu jeden

w Gdańsku do dwudziestu dziewięciu w Rzeszowie. Poniedziałek, dwudziesty czerwca, najdłuższy dzień roku. Pierwszy dzień astronomicznego lata. Maciej Orłoś, zapraszam na „Teleexpress”!

31

Dorota Kowalska skończyła rozmowę z Painerem i rzuciła telefon na siedzenie pasażera. Nacisnęła na klakson.

– Bardziej zielone nie będzie! – wrzasnęła, choć kierowca bordowego opla nie miał szans jej usłyszeć. Ocknął się jednak i ruszył powoli przez skrzyżowanie. Wyprzedziła go zaraz za nim. Na podwójnej ciągłej. Zupełnie bez sensu, bo nigdzie się nie śpieszyła. Kota dokarmił automatyczny podajnik żarcia, który zamówiła przez internet. Od tamtej pory sierściuch mało się przejmował tym, o której wraca. Miał ją w dupie.

Sekcja Beaty Chmielewskiej nie wykazała nic nowego. Pomijając fachowy żargon, wykrwawiła się. Dość szybko. Wcześniej uciekała przez las. Kilka razy upadła. Chwilę walczyła o życie. Przegrała.

Oględziny niewiele wniosły. Brak odcisków palców. Brak obcych wydzielin. Narzędzie w postaci nożyka do tapet czyste. Kilkanaście metrów dalej resztki spalonych rękawiczek. Silikonowych. Dostępnych w każdym sklepie z chemią gospodarczą. Żadnych innych śladów fizycznych, chemicznych czy biologicznych, które mogłyby służyć wnioskowaniu o sprawcy. Sprowadzony pies z trudem łapał trop. Zgubił go przy drodze. Sprawca musiał pomyśleć i o tym. „Najwyżej zostanie na przyszłość dla Archiwum X” – zażartował opiekun psa. Dorota powiedziała mu, co może zrobić razem ze swoim kundlem, gdy zostaną już sami.

Painer zlecił zabezpieczenie monitoringu. Przy Radkowskiej działała firma, która miała kamery na placu. Jedna z nich obejmowała bramę wjazdową i kawałek ulicy. Nagrania powinny być na dniach. To już teoretycznie nie była jej działka, ale Painer miał specyficzny styl pracy. Lubił wciągać ludzi w robotę. Nie tylko w zakresie, jaki mieli

w obowiązkach.

Painer czegoś takiego nie uznawał. Powtarzał, że wchodząc do jego zespołu, wchodzi się do specyficznego kręgu. Mają być jak mózg. Pracować non stop. Analizować i przetwarzać każdy materiał. Bez względu na przyjęte zasady i kompetencje. Wcisnął ludzi w maszynkę i mielił, póki nie puścili soków. Wszyscy dobrze o tym wiedzieli. Godzili się, bo nie mieli wyjścia. Póki miał wyniki, góra przymykała oko. A miał je. Był najlepszy.

Znalazła miejsce na parkingu pod blokiem. Raz na jakiś czas jej się to udawało. W większości przypadków krążyła po okolicy, polując na skrawek wolnej przestrzeni. Bezpiecznej na tyle, by nikt życzliwy nie zadzwonił po straż miejską. Dziś miała szczęście.

Na schodach minęła się z mężczyzną w średnim wieku. Bez słowa. Facet chyba mieszkał w tej klatce. Widziała go raz czy dwa. Nie na tyle często, by uznać przywitanie za konieczne. Wynajmowała tu mieszkanie od kilku miesięcy i już myślała o znalezieniu innego. Nie było sensu tracić czasu na głupie konwenanse.

Klucz zgrzytnął w zamku. Rudy kot siedział w przedpokoju. Na widok Doroty miauknął, uniósł ogon i poszedł do salonu. To było całe przywitanie.

– Zdrajca – rzuciła za nim. Z ulgą zdjęła buty i przeszła do kuchni. Położyła na stole torbę z zakupami. Nie było ich dużo. Nastawiła wodę. Rozpuściła włosy i pomasowała kark. Kot otarł się o framugę. – Teraz to spieprzaj! – warknęła.

Czuła się zdołowana brakiem wyników. Prokurator nie dał jej tego odczuć, ale wiedziała, że jest zawiedziona. Sama była o wiele bardziej. Próbkę wysłała do laboratorium, lecz wątpiła, by znaleźli coś konkretnego. Liczyła na jakiś wątek religijny. Miała nadzieję, że sprawca wybrał to miejsce z premedytacją. Może ze względu na żydowskie wierzenia, ofiarę z krwi czy coś w tym stylu.

Ludzie na Plantach bardzo starali się jej pomóc, ale nie byli w stanie wskazać żadnego punktu odniesienia. Trop okazał się fałszywy. Był tylko ten cholerny paciorek i nic więcej. Nic poza frustracją.

Wyciągnęła telefon i wybrała numer. Połączenie zostało odrzucone.

Niezrażona, ponownie nacisnęła zieloną słuchawkę. Odebrał dopiero za trzecim razem. Fiut!

– Cześć, Darek! – Nie siliła się na miły ton. – Przyjedź do mnie... Nie piernicz, tylko wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj... Wiem, cały czas myślisz o tej piegusce. Słuchaj, ona jest fajna, ale ja jestem fajniejsza... Tak, właśnie tak! Zresztą dziewczucha i tak ma cię w dupie... Niech będzie, że moja wina... A czemu miałabym mieć?... Nie, nie ma sensu o tym gadać. Słuchaj, Darek, mam dziś kiepski dzień. Potrzebuję ciebie, a nie twojego gadania... Daj spokój! Właśnie ściagam majtki. Kup po drodze jakieś dobre wino. – Nie czekała na to, co odpowie. Rozłączyła się i zalała herbatę. Potem poszła napuścić wody do wanny. Dzwonił dwa razy. Nie odebrała.

Dziesięć minut później stała nago w przedpokoju. Przed lustrem. Z telefonem w dłoni. Obróciła się kilka razy, szukając najlepszej pozycji. Uniosła na palcach. Wypięła. Zrobiła zdjęcie.

Gdy zanurzała się w ciepłej wodzie, kilkanaście kilometrów dalej telefon Kryńskiego zawibrował. Darek odebrał ememesa w drodze do samochodu. Trzydzieści sześć minut później wchodził już po schodach na czwarte piętro. W dłoni miał butelkę.

Wtorek

32

Czarny mercedes skręcił w ulicę Długą. Kierował się w stronę rynku. Zwolnił, mijając dawną synagogę. Późnorenesansowy budynek był nieco cofnięty od ulicy. Nieźle zachowany, choć wymagający już odnowienia. Pomalowany pastelową, zieloną farbą, która eksponowała kamienne obramowania okien. Czterospadowy, łamany dach kryty był drewnianym gontem. Zachodził na wzmacniające naroża szkarpy. Ogrodzenie od ulicy było częściowo murowane. Słupy połączone klasycznymi, stalowymi przęsłami pomalowano na taki sam kolor co budynek. Na ich szczytach umieszczono, pochodzące z zamku, głowice kolumn. Z jakiegoś powodu do góry nogami. Albo robotnicy nie mieli pojęcia o architekturze, albo mieli specyficzne poczucie humoru. Mało kto zwracał na to uwagę.

Samochód wtoczył się na rynek. Stary, wysokoprężny silnik klekotał przyjemnie na wolnych obrotach. W stalowych kołpakach błysnęły słoneczne refleksy. Przegub zapiszczał, gdy kierowca skręcił koła. Mimo wczesnej pory na parkingu było tylko jedno wolne miejsce. Po chwili już żadnego.auta stały na całej długości placu. Zaskakujące było więc to, że ten był stosunkowo pusty.

Silnik zamilkł. Kierowca odpiął pas i przechylił się na siedzenie pasażera, by domknąć szybę. Mechanizm korbowy działał bez zarzutu. Zrobił to samo po swojej stronie i wysiadł ostrożnie, aby nie uderzyć drzwiami stojącego obok kombi.

– Piękne auto! – Wolczuk wyszedł z cienia, jaki dawało zadaszenie

studni. – Który to rok?

– Siedemdziesiąty czwarty. Model W sto czternaście drugiej serii. Pan, przepraszam, interesuje się zabytkami?

– Tylko trochę, z sentymentu. Nazywam się Damian Wolczuk. – Wyciągnął dłoń.

– Mateusz Fiszer.

– Panie Mateuszu, proszę wybaczyć śmiałość, ale chciałbym zadać panu kilka pytań. Chodzi mi o dziewczynę, z którą rozmawiał pan w sobotę.

– O tę, co nie żyje?

– Wie pan o tym?

– Policja ze mną rozmawiała wczoraj. Pan więc nie z policji. – Przyjrzał się uważnie Damianowi. – Pan wybaczy, ale w urzędzie czekają. – Skinął głową i ruszył w górę rynku.

– Beata była moją przyjaciółką, a pan jest jedną z ostatnich osób, z którymi rozmawiała. – Wolczuk dotrzymał mu kroku.

– Przecież ja już wszystko powiedziałem policji.

– Bardzo pana proszę. To dla mnie ważne. – Odpowiednia modulacja głosu. Postawa i pełne nadziei spojrzenie. Wyćwiczone i sprawdzone wielokrotnie. Mniej więcej w osiemdziesięciu procentach przypadków działało. Wszystko zależało od paru czynników: sprawy, okoliczności, empatii rozmówcy, a nawet od momentu, w którym prośba została wyartykułowana. Zbyt wczesna lub zbyt późna traciła wiarygodność. Tym razem się udało.

– Dobrze, ale nie teraz. Jestem już spóźniony. – Fiszer spojrzał na zegarek. – Proszę przyjść o czternastej pod synagogę. Pan wie gdzie?

– Tak.

– Jak tam skończę, to z panem porozmawiam. Dobrego dnia tymczasem. – Skinął głową.

– Dziękuję i wzajemnie.

Telefon wibrował na nocnej szafce. Ekranem do dołu przesuwiał się wolno w stronę lampki. Jej aluminiowa, pozbawiona jakiegokolwiek włącznika podstawa odbijała żółtawe światło żarówki. Ledwo widoczne w promieniach słońca, które wpadało do sypialni przez uchylone żaluzje. Brakowało nie więcej niż dwóch centymetrów, gdy telefon zamarł. Kryński leżał na boku i zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien zawołać Doroty. Uznał jednak, że to nie ma sensu, bo nie przekrzyczy szumu prysznicza. Musiałby wstać i iść do łazienki, a na to nie miał ochoty.

Wolał jeszcze poleżeć. I tak przecież nie odebrałaby mokrą ręką. Musiałaby się wytrzeć. Uważać, żeby nie zalać telefonu wodą kapiącą z włosów. Niepotrzebne komplikacje. O wiele lepiej było poczekać, aż skończy. Stracił zainteresowanie telefonem i popatrzył na kota. Zwierzę mościło się na bluzce, w której wczoraj Dorota mu otworzyła. Była wtedy tylko w niej. Krótko...

Mieszkanie nie było duże. Przedpokój miał nie więcej niż cztery metry długości. Prowadził wprost do kuchni. Na lewo wchodziło się do dużego pokoju. Salonu, jak teraz nazywali go deweloperzy. Na prawo była sypialnia, której większą część zajmowało łóżko. Przeciwległe drzwi były umieszczone tak, że leżąc na nim, można było oglądać wiszący w dużym pokoju obraz. Całkiem niezły sielski pejzaż z dobrze dobranymi kolorami i wprawnymi pociągnięciami pędzla. Namalowany przez solidnego rzemieślnika, choć zapewne nie artystę. O kilka klas lepszy od chłamu, jaki można było kupić na bazarach lub festynach, ale chyba nie aż tak dobry, by mógł wisieć w galerii.

Z sypialni widać też było wejście do kuchni i fragment zawieszzonego w przedpokoju lustra. Zbyt mały, aby zdołały się odbić w nim całe drzwi łazienki, ale dostateczny, by dostrzec, kiedy się otwierają. Idealny punkt obserwacyjny. Kryński patrzył jednak na kota. Małe łapki ugniatające materiał. Zaczepiające o niego pazurkami. Bluzkę ściągnął z ramion Doroty, gdy tylko znaleźli się na progu sypialni. Rzucił ją w bok, nie patrząc, gdzie upada. O wiele bardziej interesowało go wtedy smukłe ciało dziewczyny. Jej rozchylone usta, z których w drodze od drzwi zdążył już zetrzeć szminkę, niewielkie, lecz kształtne

piersi i cała rozpalona reszta. Wszystko prócz triumfalnego spojrzenia, którym obrzuciła go na przywitanie. W porządku, postawiła na swoim, ale nie był hipokrytą, nie narzekał.

Woda przestała szumieć. Kilka minut później Dorota stanęła na progu sypialni. Włosy zawinęła w biały ręcznik. Kolejny zasłaniał jej piersi i pośladki. Te drugie – ledwo.

– Twoja kolej. Idź, a ja zrobię śniadanie.

– Ktoś do ciebie dzwonił. – Ziewnął. – Długo.

– Sprawdzę. – Nie ruszyła się z miejsca. Czekwała, aż będzie ją mijał. Pocałuje i przytuli. Sięgnie dłonią do ud. Tylko po to, aby mogła go odepchnąć. Delikatnie, lecz stanowczo. Kokieteryjnie. – Później! – obiecała.

– Wolisz kawę czy herbatę? – zawołała, gdy skrzypnęły zawiasy w drzwiach łazienki.

– Kawę!

– W porządku!

Usiadła na łóżku. Tak jak przypuszczała, nieodebrane połączenie było z numeru Painera. Jedno. Zatrzymała nad nim palec. Nie miała ochoty oddzwaniać i psuć sobie dnia. Zdecydowała, że wyśle esemesa: „Wzięłam dzień urlopu. Jutro będę w pracy”. Po chwili wahania dopisała: „Czy to coś pilnego?”.

Zabrała telefon do kuchni. Położyła na stole i nastawiła wodę na jajka. Zwrotna wiadomość przyszła, gdy kroїła chleb. Lakoniczne „Nie”. Mimowolnie odetchnęła z ulgą i skupiła się już tylko na szykowaniu śniadania. Świadomość, że robi je dla dwojga, była całkiem przyjemna. Pomyślała, że może mogłaby się do tego przyzwyczaić. Na pewnych warunkach i tylko na jakiś czas, do momentu gdy nie zmieniłoby się to w rutynę. Nie stało kulą u nogi. Bo prędzej czy później zawsze się staje, prawda? Fascynacja przemija. Zostają śmierdzące skarpetki i drapanie się po jajach.

Aneta lubiła to powtarzać, a Elwira biła wtedy brawo. Najczęściej po drugim drinku, w knajpie. Trzy muszkieterki – tak na siebie mówiły od pierwszego roku na uczelni. Trzy niepokonane. Młode, ambitne, pełne werwy i energii, którą można by oświetlić pół miasta, jeśli tylko

zechciałyby się nią podzielić. Ale nie chciały. Marzyły o karierze i sukcesach. Chciały zawojować świat.

Pierwsza wyłamała się Elwira. Mąż, kierowca tira. Dwójka dzieciaków. Niewykończony dom pod miastem. Aneta wytrzymała dwa lata dłużej. Od roku pierze te swoje skarpetki. Dzieci nie mają, bo on prowadzi firmę, a ona pracuje w dziale marketingu jakiejś korporacji. Czasu wciąż im brak. Na kawę z koleżankami również. Kilka razy spotkały się jeszcze we dwie, z Elwirą. Potem kontakt się urwał.

Dorota nie żałowała. W głębi duszy gardziła obiema. Nie była tylko pewna, czy dlatego, że nie były konsekwentne, czy dlatego, że rzucały słowa na wiatr. Zresztą i tak nie miała czasu na pierdoły.

– Nie mówiłeś, czy sypana, czy rozpuszczalna, więc masz sypaną – powiedziała, nie odwracając się.

– Świetnie. – Usiadł przy niewielkim stole i patrzył, jak kończy szykować kanapki.

– Też wzięłeś wolne?

– Zamieniłem się. Pojadę na nocny patrol.

Postawiła przed nim talerz i filiżankę. Kanapki podała na paterze. Mając do dyspozycji szynkę, ser, jajka i kilka warzyw, mogła sobie pozwolić na różne kombinacje. Chleb był dobry, a to podstawa. Masło też lepszej jakości. Może nie wyszło nowocześnie, ale przynajmniej kolorowo i smacznie. Całość komponowała się jak należy. Kryński pokiwał z uznaniem głową. Spróbowałby nie.

– To Painer dzwonił – podjęła, by przerwać ciszę. – Pewnie w sprawie tej dziewczyny od was. Jak zwykle się przyczepił i nie daje spokoju... Powinnam to traktować jako komplement, bo mówią o nim, że pracuje tylko z najlepszymi. Jak sobie kogoś upatrzy, to jak rzep... – Sięgnęła po kolejną kanapkę. – Ale nie chcę mu dać satysfakcji, wiesz, trochę mnie jara to, że prokurator robi sobie ze mnie pupilka... Z drugiej strony cały czas myślę o tym jak o wyzwaniu. Żadnego punktu zaczepienia, żadnych śladów. Rzadki przypadek... Robiliście posesyjne?

– Naprawdę chcesz rozmawiać o pracy? – mruknął.

– Chętniej niż o pogodzie.

- Jest wiele innych tematów.
- Inne mnie nie interesują. Robiliście?
- Wiesz, że się tym nie zajmuję.
- Wszyscy się zajmujecie, bo nikt przecież nie utrzyma gęby na kłódkę. – Uśmiechnęła się. – Zresztą oboje wiemy, jak jest, prawda?
- Na razie nic nie mamy. – Wzruszył ramionami. – Kryminalni mówili, że ten twój prokurator ma przyjechać na dniach. Chyba będzie rozmawiał z wybranymi świadkami, może coś znajdzie...
- Chyba? Darek, nie poznaję cię. Nie interesujesz się postępami? Przecież to się stało pod twoim nosem.
- Interesuję, ale... – Napił się kawy. Była dobra. Nie za słaba, nie za mocna. W sam raz. – Już się do mnie przyczepił taki jeden domorośły detektyw i próbuje wypytywać. Dlatego trochę mnie wkurza ten temat.
- Detektyw? – Zmarszczyła brwi.
- Znajomy tej dziewczyny. Taki cwaniaczek z Warszawy, który naoglądał się za dużo filmów. Zamarzyło mu się chyba być drugim Columbo.
- Kim?
- Był taki serial kryminalny z Peterem Falkiem. – Spojrzał na nią pytająco i westchnął, widząc, że nie kojarzy. Uświadomił sobie przy okazji, że to nietrafione porównanie. Columbo był gliniarzem, a Wolczuk zwykłym dupkiem z ulicy. – Mniejsza o to. Facet jest napalony i próbuje coś wykombinować.
- Przecież to nielegalne. Można go zamknąć za utrudnianie pracy policji.
- Na razie nie złamał prawa, więc to by było bez sensu. Zresztą wiesz, jak to jest z napaleńcami: takie akcje tylko ich nakręcają. Po prostu będę go miał na oku.
- Nastrasż go, rzuć kilka paragrafów. Spław jakoś.
- Na to zawsze będzie czas. – Tym razem ominął kanapkę z ogórkiem. Wybrał tę z rzodkiewką. – Na razie mam z nim układ, że mówi mi o wszystkim. Czasem i zepsuty zegar pokazuje dobrą godzinę, więc może i on trafi na coś, co nam umknęło. Wtedy dam znać chłopakom i wszyscy będą zadowoleni. Póki co jednak się na to nie zapowiada. –

Rzodkiewka chrupnęła, gdy ją przegryzał. – Na razie wymyśla jakieś głupoty. Potopy i zakonników.

– Zakonników?

– Chyba przez ten koralik... Nie wiem, nie słuchałem uważnie – przyznał.

– To ciekawy pomysł. – Ściągnęła z głowy ręcznik. Wilgotne włosy opadły jej na ramiona. – Możesz go wypytać dokładniej?

Kryński wzruszył ramionami.

– Zrobisz to? – spytała, mrużąc zalotnie oczy.

– To zależy, ile to jest dla ciebie warte. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Sama nie wiem. – Wstała i przeciągnęła się, pozwalając, by ręcznik zsunął się z jej ciała. Przeszła wolno wokół stołu. Objęła głowę Darka dłońmi i przyciągnęła do piersi. Otarła się udami o jego uda. – Może potem o tym porozmawiamy?

Kryński zamruczał z aprobatą, czując, jak jej sutek twardnieje w jego ustach. Nie tylko on twardniał.

34

Zegar na budynku magistratu wskazywał trzynastą pięćdziesiąt dwie. Damian Wolczuk dopił kawę. Zapłacił i ruszył nieśpiesznie w kierunku synagogi. Miał do przejścia sto osiemdziesiąt metrów. Nie dłużej niż trzy minuty. Na miejsce dotarł więc chwilę przed czasem.

Zatrzymał się na chodniku obok furtki. Była uchylona, ale nie chciał wchodzić. Mimowolnie wzdrygał się przed burzeniem spokoju tego miejsca. Absurdalnie, bo dobrze wiedział, że nie pełniło swojej funkcji od wojny. Od momentu gdy hitlerowcy pozbyli się chęcińskich Żydów, a bożnicę zdewastowali. Po wojnie było tu kino i biblioteka. Potem ośrodek kultury. Od kilku lat budynek stał pusty. Gdzieś znalazł lakoniczną informację, że stan prawny nieruchomości nie jest uregulowany.

Zaskrzypiały ciężkie, okute drzwi. Fiszer wyszedł w blask słońca, mrużąc oczy. Pod pachą trzymał teczkę. Ściągnął okulary i schował je

do wewnętrznej kieszeni marynarki. Chwilę szukał kluczy. Były w spodniach. Upadły z chrzęstem. Gdy się schylał, zaśniły srebrne nici, jakimi przeszyta była jego mycka. Mruknął coś pod nosem. Naparł ramieniem na drzwi i przekręcił klucz. Mechanizm zamka zgrzytnął głośno.

– A, jest pan. – Wolczuka dostrzegł dopiero przy furtce. – Bardzo dobrze.

– Byliśmy umówieni na czternastą.

– Tak, tak. – Fiszer zamknął bramę. – Teraz mam dla pana czas. Proszę! – Wskazał w kierunku rynku. – Pójdziemy do mojego samochodu. Zostawię papiery. Co pan chciał wiedzieć?

– Chodzi o Beatę. Dziewczynę, z którą pan rozmawiał w sobotę.

– Policja już pytała. Cóż ja mogę powiedzieć? To samo tylko co im, panie Damian. To samo... – Upewnił się, że nic nie jedzie, i poprowadził na drugą stronę ulicy. – Ja zrobiłem błąd w sobotę. Nie byłem pewny, czy urząd pracuje. Przyjechałem sprawdzić, bo brakowało mi kilku dokumentów, których zapomniałem zabrać w piątek.

– Czy sobota to nie jest święto?

– Szabas, naturalnie. – Fiszer pokiwał głową. – Wie pan, nie mogę o sobie powiedzieć, że jestem wybitnie religijny. Zresztą większość pracy planowałem na niedzielę. Proszę tak nie patrzeć. Pan nie jada mięsa w piątek?

– Jadam – przyznał Wolczuk.

– To czemu ja miałbym nie pracować?

– No wie pan. – Damian chrząknął. – Myślałem, że...

– Że skoro Żyd, to musi przestrzegać szabasu, tak? – Na twarzy starszego mężczyzny nie było złości. W oczach błyszczały za to ogniki rozbawienia. – No dobrze. Przyjechałem więc, a na rynku wpadła na mnie ta dziewczyna. Speszyła się, a ja powiedziałem wtedy mniej więcej coś takiego: „Mój Boże, dziękuję! Bo tylko wtedy piękna niewiasta starego Żyda dostrzeże, jak mu na nogę nadepnie”. Śmiała się, wie pan?

Wolczuk kiwnął głową. Nie chciał mówić, że był świadkiem tej sceny. Nie było to istotne.

– Potem rozmawialiśmy tylko chwilę. – Fiszer otworzył mercedesa kluczykiem. Sięgnął ręką i odblokował tylne drzwi.

Tuż obok zatrzymał się autokar. Jego kierunkowskazy pulsowały miarowo. Kierowca oceniał szanse na skręt w lewo, do zamku. Nie wierzył, że się zmieści. Za nim zatrzymały się dwa auta osobowe. Czekały. Ktoś z miejscowych podszedł do autokaru. Tłumaczył, że trzeba jechać inaczej. Naokoło i wrócić na rynek ulicą Staszica, a potem uważać przy wąskim skręcie w Jędrzejowską. Kierowca autokaru zaklął. Kiedy był w Chęcinach ostatni raz, zamiast placu znajdowało się tu rondo. Szeroka ulica pozwalała na manewrowanie. Był przystanek. Autokary nie miały problemów.

– Pana przyjaciółka powiedziała mi, że niepotrzebnie przyjechałem, że w magistracie nikt nie pracuje – podjął Mateusz, zamykając zabytkowe auto. Teczkę i okulary zostawił na siedzeniu. – Mówiła, że jest piękny dzień, że była u lekarza i dziś wyjeżdża. To wszystko... Była bardzo miła – dodał ze smutkiem.

– Mówiła, co to za lekarz?

– A pan na jej miejscu by mówił?

– Nie wiem.

– Nie mówiła, panie Damian. Przykro mi.

– Rozumiem. – Pokiwał głową. Spojrzał na drugi koniec rynku, jak gdyby dostrzegł tam coś ciekawego. Po chwili znów się odwrócił. – Ciało znaleziono na kirkucie. – Patrzył czujnie na reakcję mężczyzny. Szukał w jego twarzy czegokolwiek, co pozwoliłoby podejrzewać, że ma coś do ukrycia, ale było tam tylko zaskoczenie.

– Usiądźmy, panie Damian – poprosił Fiszer, wskazując ławkę. – Mam problemy z kręgosłupem.

– Wiedział pan, że właśnie tam znaleziono ciało?

– Nie, tego nie wiedziałem. To niedobrze...

– Niedobrze, ponieważ...?

– Pan wie, że są ludzie, którzy mogą dostrzec w tym geszeft? Byłoby najlepiej, gdyby to się nie rozeszło. Nie każdy uszanuje tragedię, a łatwo podnieść larum, że gojka na kirkucie to... Pan wie, co mam na myśli.

– Policja podała oficjalnie, że zwłoki znaleziono w lesie.
– To bardzo mądrze. – Pokiwał głową.
– Zastanawia mnie taka kwestia... – Wolczuk starał się odpowiednio dobrać słowa. – Czy wierzenia żydowskie mogłyby uzasadniać coś takiego?

– Nie rozumiem.
– Chodzi mi o to, czy to mogłoby być rytualne morderstwo – sprecyzował.

Mateusz Fiszer spojrzał na Wolczuka, jak gdyby zobaczył go po raz pierwszy. Jak gdyby upewniał się, czy ten pyta poważnie.

– Nie sędzę – odpowiedział po dłuższej chwili. – Proszę pamiętać, że *bet kwarot*, czyli dom grobów, to miejsce nieczyste. Gdyby nawet istniały jakiegokolwiek mity, które mogłyby być zinterpretowane... To absurdalne, wie pan? – Potarł skroń. – To się wyklucza. Nawet jeśli ktoś znałby dobrze pisma, znalazł w nich jakieś uzasadnienie, to nie wszedłby na teren kirkutu, nie w takim celu. Nie, nie... – Intensywnie myślał. – Tam brak studni, nie można dokonać ablucji, nie można się oczyścić. Poza tym szacunek dla zmarłych jest dla nas bardzo ważny. I jeszcze drugie prawo Noego. Nie będziesz mordować! – Podniósł palec dla podkreślenia słów. – Pan rozumie, że to się wyklucza.

– Czyli nie mógł tego zrobić Żyd?
– Pan pyta, czy Żyd mógł zabić tę dziewczynę? – Fiszer pokręcił głową. – A dużo tu Żydów macie?

– Nie wiem – przyznał Wolczuk. – Jestem tu tylko przejazdem.
– Myślałem, że pan stąd – zdziwił się Fiszer.
– Z Warszawy, ale przenoszę się do Krakowa. W Chęcinach zostałem ze względu na Beatę. – Brzmiało to całkiem rozsądnie. Sugerowało zażyłość. – Teraz zrobię wszystko, by pomóc w znalezieniu mordercy.

– Nie ufa pan policji?
– Ufam, ale nie mogę siedzieć beczynn timer. – Jakby dla podkreślenia tych słów wstał i wyciągnął rękę. – Dziękuję, panie Mateuszu, za poświęcony czas.

– Przykro mi, że nie mogłem pomóc. – Fiszer również się podniósł. Uścisnęli sobie dłonie.

Przez duże okna wychodzące na niewielki wirydarz wpadało dość światła. Ciemne kościelne ławy, które ustawiono na korytarzu przy drzwiach gabinetów, były puste. Nikt nie czekał na wizytę. Ani do tego, ani do pozostałych dwóch lub trzech, do których prowadziły identyczne drewniane drzwi, osadzone we wnękach wiekowych murów. Różniły się tylko tabliczkami. Damian Wolczuk zapukał i nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę. Było zamknięte.

Zamknięte, mimo że na tabliczce napisano, iż Daniel Krawczyk we wtorki przyjmuje do siedemnastej. Jeszcze pół godziny. Ten gabinet kończył ciąg pomieszczeń poradni. Dalej znajdowała się toaleta, a do kolejnych drzwi klucz miał w kieszeni. Pokój gościnny był ostatni. Za nim było już tylko podwyższenie i kolejna kościelna ławka, ustawiona pod ścianą. Lampa zwisająca z łukowatego sklepienia i drzwi z dużymi taflami mlecznego szkła. Boczne wejście do kościoła. Ruszył w przeciwnym kierunku.

Sekretariat mieścił się na samym początku korytarza. Kilka kroków od wejścia. Wysoki kontuar odgradzał biurka i szafki wypełnione segregatorami. Zmniejszał przestrzeń interesanta do niezbędnego minimum. Tworzył dystans.

– Szukam pana Daniela Krawczyka. – Damian uznał, że i tak nikt mu nie odpowie na przywitanie, więc je pominął.

– Był pan umówiony? – Kobieta była w średnim wieku. Miała surowy wyraz twarzy kogoś, kto pracuje już dość długo, aby traktować ludzi jako zło konieczne. Uniwersalna mina, jaką spotyka się w urzędach, sekretariatach i dziekanatach. Wszędzie tam, gdzie pojawiają się petenci. Gdzie przeszkadzają.

– Nie – zaprzeczył Damian. – Po prostu chciałem z nim porozmawiać.

– Dzisiaj go nie ma. Jeśli jest pan pacjentem, to mogę pana zapisać na jutro.

– Nie ma go w poradni czy w ogóle na terenie klasztoru?

Kobieta obrzuciła Wolczuka wymownym spojrzeniem. Zarezerwowanym dla tych, którzy marnowali jej czas.

– Nie wiem. – Trudno było odgadnąć, czy mówi prawdę.

Skinął głową i wyszedł. We właściwym momencie, by zobaczyć drobną postać skradającą się korytarzem. Ojciec Teofil odwrócił się płochliwie.

– Wystraszyłeś mnie, synu! – Pomarszczona twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Konspiracyjnie pokazał ukrytą w rękawie butelkę. – Pigwówka. Dobra na krążenie.

– Nie za wcześnie?

– To na przechowanie. – Wskazał w kierunku pokoju. – Na kiedyś. Rozumiesz?

Wolczuk rozumiał. Poszedł za zakonnikiem. Otworzył mu drzwi i wpuścił do środka. Sam stanął na progu. Patrzył, jak tamten chowa butelkę w swojej skrytce. Sam wszedł dopiero, gdy na korytarzu rozległy się czyjeś kroki. Zamknął za sobą ostrożnie drzwi. Bez niepotrzebnego hałasu.

– Zawsze jest tu tak pusto? – spytał Damian.

– Najwięcej pacjentów jest przed południem – wyjaśnił Teofil. – Potem to różnie bywa.

– Chciałem porozmawiać z Danielem, z terapeutą – sprecyzował.

– Jeśli go nie ma w gabinecie, to będzie w ośrodku, w budynku naprzeciwko. Po schodach na górę, drzwi po prawej, o ile dobrze pamiętam... Tak, po prawej. – Pokiwał głową i podszedł do Wolczuka. – Chcesz pytać o Beatkę? – domyślił się.

– Uważa ojciec, że nie powinienem?

– To zależy, synu. Daniel jest dobrym człowiekiem, nie zasługuje na to, aby go podejrzewać o jakieś złe rzeczy. – Wydawał się szczerze zatroskany. – Na pewno to nie jego zły omamił.

– W porządku, ojcze. Będę o tym pamiętał. – Uchylił drzwi. Na korytarzu panowała cisza. Wyszli obaj. Wolczuk przekręcił klucz w zamku. Nacisnął klamkę, upewniając się, czy jest zamknięte.

– Do zobaczenia, synu! – Teofil podreptał wzdłuż gabinetów. Nie obejrzał się na Wolczuka, mimo że mogli pokonać wspólnie całą

długość korytarza, aż do dwuskrzydłowych, litych drzwi prowadzących na zewnątrz.

Dopiero tuż przed nimi znajdowały się schody na piętro. Z pewnością nie jedyne. Budowla miała układ klasyczny, korytarze otaczały wirydarz. Tworzyły prostokąt. Klasztor nie był zorientowany geograficznie, więc Wolczuk mógł szacować kierunki tylko w przybliżeniu. Z marginesem błędu. Zachodni ciąg prowadził od kościoła do dobudówki i wyjścia na główny dziedziniec. Wcześniej jednak skręcał o dziewięćdziesiąt stopni w kierunku wschodnim i kończył się wejściem do kaplicy Świętego Leonarda. Tuż przed nią powinien ponownie skręcać w prawo. Ale przejście zamurowano. Na gładkiej, odnowionej ścianie nie pozostał po nim żaden ślad. Podobnie korytarz przy kościele, vis-à-vis pokoju gościnnego, był zagrodzony. Zamiast litej, murowanej ściany postawiono tam drewniane przepierzenie. Solidne. Wyposażone w drzwi.

Logiczne wydawało się, że w tej zamkniętej dla postronnych części również będą schody. Czemu Teofil z nich nie korzystał? Może zakonnicy nie dali mu klucza, a może – to było najbardziej prawdopodobne – pomieszczenie, które zajmował, znajdowało się bliżej schodów przy wejściu. Czy to był zwykły pokój, czy jakaś cela? Damian myślał o tym, opuszczając budynek. Potem zignorował to. Tak samo jak kulawego, który przyglądał mu się spode łba, stojąc na ścieżce i mrucząc coś niezrozumiale. Zignorował, bo wolał zająć się ważniejszymi sprawami. Takimi, które miały związek ze śmiercią Beaty.

36

Drukarka skrzypiała przy pracy. Prawdopodobnie rolki nadawały się już do czyszczenia. Kolejna, ciepła jeszcze kartka wysunęła się z górnego podajnika i cicho stuknęła o plastikowy ogranicznik.

Zamarła.

Pomieszczenie było nieduże, przechodnie. Kilkanaście metrów

kwadratowych z drzwiami na przestrzał. Jedne, wejściowe, prowadziły na niewielką klatkę schodową, drugie – w głąb budynku. Okno wychodziło na południe. Wysłuzone biurko ustawiono tak, że siedzący za nim miał światło z prawej strony. Był zwrócony w stronę drzwi wejściowych i kanapy, która zajmowała przestrzeń od framugi do parapetu. Nad nią wisiało kilka zdjęć oprawionych w różne ramki. Wszystkie przedstawiały ptaki. Za biurkiem zostawało niewiele miejsca. Tyle, żeby zmieścić się tam fotel na kółkach.

Ścianę zasłaniał wąski regał z lat siedemdziesiątych. Przechowywano w nim dokumenty. Naprzeciw okna, na ślepej ścianie, urządzono aneks kuchenny. Skromny, ale czysty. Na wieszaku wisiało kilka ubrań. Pod nimi stały dwie pary sportowych butów. Jeden z nich leżał na boku.

Daniel Krawczyk garbił się przed monitorem. Czekał, aż leciwy komputer otworzy plik. Przeglądał przez chwilę zawartość, po czym zamknął dokument. Otworzył kolejny. Ten uznał za istotny, najechał kursorem na ikonkę drukarki. Urządzenie zaszumiało. Rolki zaczęły piszczeć. Ktoś zapukał energicznie do drzwi.

– Wejść! – polecił Daniel. – To ty? – zdziwił się, widząc Wolczuka.

– Przeszkadzam?

– Trochę. Ale zapraszam, siadaj. – Wskazał kanapę.

– Dziękuję.

– W czym ci mogę pomóc? – Poprawił się na krześle. Oparł łokcie o blat. Splótł dłonie. Wydawał się przez to szerszy, jeszcze bardziej barczysty. Jak byk pochylający łeb do ataku. Ale nie atakował. Patrzył po prostu na gościa. Chłodno, bez emocji. Jak ktoś, kto pracuje na co dzień z trudną młodzieżą i całym sobą daje do zrozumienia, że to on wyznacza tu reguły. Twarde, lecz sprawiedliwe.

– Chciałem prosić, żebyś opowiedział mi o Beacie.

– Po co?

– Poznałem ją tamtego dnia i wydała mi się miłą dziewczyną. Nie mogę uwierzyć, że już jej nie ma, i chyba po prostu... – Zrobił krótką pauzę, jak gdyby się zastanawiał. – Po prostu chciałbym ją lepiej zapamiętać.

– Tak, była miłą dziewczyną. – Krawczyk wolno skinął głową. – Była

też dzielna. Zwyciężyła z własnymi słabościami i mogła normalnie żyć. Ktoś jej to odebrał. Wierzę, że poniesie za to zasłużoną karę.

– Miała odejść z waszej wspólnoty, prawda?

– Zakończyła terapię i już nas nie potrzebowała.

– Była zdrowa?

– Uważam, że tak. Ciężko pracowała nad sobą. To trwało wiele lat. Nie tylko tu, w Chęcinach. – Mówił powoli. Ważył każde słowo. Wydawało się, że ta rozmowa sprawiała mu ból i musi włożyć wiele wysiłku, by nad nim zapanować. A może nie chciał powiedzieć więcej, niż powinien.

– Beata mówiła, że przed opuszczeniem klasztoru musi odebrać dokumenty.

– Odebrała je ode mnie. Życzyłem jej, abyśmy się więcej nie spotkali... – Położył dłoń na teczce. – Sporządzam właśnie kopie dla policji. Poprosili o całą dokumentację. Część muszę wyciągać z archiwum, więc mam dużo pracy.

Wolczuk zrozumiał aluzję. Była aż nadto czytelna. Powinien wstać i się pożegnać. Odejść, by nie zajmować więcej czasu. Zwłaszcza że Krawczyk nie był wylewny. Twardy facet o atletycznej posturze. Zbyt gruboskórny, by okazać emocje. Żal i smutek. O ile w ogóle je czuł.

Wolczuk miał problem z takimi ludźmi. Trudno mu było ich rozgryźć. Byli zbyt konkretni, by dać się łatwo zmanipulować i pociągnąć za język. Stanowili przeszkodę. Mur, którego nie umiał rozbić głową. Widząc chłodne, wymowne spojrzenie Krawczyka, wiedział, że powinien wyjść. Poruszył się niespokojnie, ale zamiast wstać, zapytał:

– Miała tu jakichś wrogów?

– Tylko własne ograniczenia.

– Samotna kobieta w grupie patoli musiała budzić...

– Posłuchaj. – Daniel przerwał mu twardo. – Policja bardzo przykłada się do tej sprawy. Przesłuchiwali każdego z naszych podopiecznych i pracowników. Rozmawiali z zakonnikami. Z tobą również, prawda?

– Wiesz, że tak.

Krawczyk ledwie zauważalnie skinął głową.

– Współpracujemy z policją najlepiej, jak to możliwe. Nikt niczego nie

kryje i o wszystkim mówimy otwarcie. Powinieneś wiedzieć, że szczerść i prawdomówność są podstawą naszej wspólnoty. Nie życzę więc sobie żadnych insynuacji ani obrażania kogokolwiek.

– Masz rację, przepraszam. – Podniósł się i wyciągnął rękę. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

– W porządku. – Krawczyk uścisnął mu dłoń. Mocno, po męsku. – Wszyscy przeżywamy tę tragedię.

– Pójdę już. Muszę znaleźć lekarza, bo odezwała się dawna kontuzja. Beata polecała mi kogoś, ale nie pamiętam nazwiska.

– Szymański?

– Właśnie ten. Dziękuję i do widzenia.

37

Ulicą przetoczył się wolno motocykl. Ciężki krążownik przesadnie ociekający chromem, ze skórzanymi frędzlami zwisającymi z manetek i ćwiekowanych sakw. Basowe dudnienie zbyt głośnego wydechu odbijało się echem od fasad, drżało we framugach i wspinało się po rynnach, obwieszczając światu, że oto nadciąga kryzys wieku średniego. Wolczuk śledził go wzrokiem aż do zakrętu, gdzie motocykl zatrzymał się na chwilę, przepuścił samochód, a potem ryknął zwiększonymi obrotami, skręcając w kierunku rynku. Wciąż było go słychać, ale nie zagłuszał już melodii telefonu.

– Słucham! – Wolczuk odebrał, nie patrząc, kto dzwoni. Odruchowo, chcąc zdążyć, nim rozmówca zrezygnuje i się rozłączy. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to nie najlepszy pomysł, że po drugiej stronie słuchawki może usłyszeć głos kogoś, z kim nie chce rozmawiać. Sekunda niepewności, może dwie. Rozciągnięte irracjonalnie i niepokojące. Na szczęście głos należał do Kryńskiego.

– A to ty, cześć! – Odetchnął z ulgą. – Nie słyszałem, bo jestem na ulicy... Tak, oczywiście, że w Chęcinach. – Ustąpił kobiecie, która sunęła chodnikiem wpatrzona w ekran smartfona. – Jasne, ale wolałbym porozmawiać na spokojnie, może przy piwie? A nie, nie, ja

też dziś nie mogę. Słucham?

W kamienicy naprzeciwko otworzyły się drzwi. Starszy mężczyzna z miotłą stanął na progu. Spoglądał w górę, na błękitne niebo. Na piętrze jakiś dzieciak wrzeszczał na całe gardło – może zabrano mu właśnie zabawkę, a może kaszka nie była smaczna.

– Poczekaj, Darek, znajdę spokojniejsze miejsce.

Skręcił w prawo, w uliczkę, która kończyła się nieco dalej, gdzie w jej bieg wcinał się dwukondygnacyjny dom. Morelowy albo jasnorożowy – cholera wie. Dla samochodów była więc ślepa, ale nie dla pieszych. Zwężała się do szerokości chodnika i przeciskała między budynkami, rozpaczliwie przegrywając walkę o miano przecznicy.

– Jestem. Tak? W porządku, ale to dłuższa rozmowa, nie nadaje się na telefon. Pokróćce to brzmi kretyńsko, więc nie będę... Słuchaj, to nie jest jeszcze żadna teoria, to na razie luźne wątki, które dopiero będzie trzeba przeanalizować. Tak, zasłyszane. Słucham? Darek... – Ściszył głos. – Darek, to naprawdę nie... Okej, ale uprzedzam... Dobrze.

Rozejrzał się odruchowo, czy nie ma świadków. Nie było.

– Rozmawiałem ze starszym człowiekiem, który opowiedział o opętaniu przez szatana i zabójstwach, jakie... Kurwa, mówiłem! – zdenerwował się. – Nie, do cholery, ale nie dajesz mi dokończyć! Tak, słuchaj. To zakonnik, więc raczej nie jest stuknięty, lecz nie o to chodzi. Krótko: lata temu nawiedzony koleś morduje hurtem, a potem robią to inni. Facet podawał mi konkretne daty... Co? Nie moja wina, że nie słyszałeś. Pogadaj z jakimś historykiem albo regionalistą. Albo z tym zakonnikiem, nie ma problemu, przedstawię was sobie, jeśli chcesz... Tak, ale to nie o to mi chodzi, nie o jakieś nawiedzone bzdury. Taka legenda mogłaby być dobrą ściemą, wiesz... załatwiasz swoje sprawy, a zwalasz na diabła. Aha, właśnie tak. To całkowicie roboczy wniosek, nawet nie wniosek, tylko taka luźna sugestia, że może ktoś stara się wykorzystać tamtą legendę... O właśnie, upozorować, tego słowa mi brakowało. Pomyśl, Darek: sto, dwieście, trzysta lat temu ludzie wierzyli w takie rzeczy bez mrugnięcia oka. Nawet dziś wielu wierzy, więc? No właśnie!... Ale tak jak mówiłem, tylko luźno rzucam, jako uwagę na marginesie. Resztę powiem ci, gdy się spotkamy. Wtedy

będę miał zresztą już coś więcej. Bardziej przyjemnego. Słucham? Oczywiście, że tak, jak się umawialiśmy, bez żadnych wygłupów... Jutro wieczorem? Myślę, że będzie dobrze, zdzwonimy się. Tak... Aha, Darek, jeszcze jedno...

Przypomniał sobie o Quasimodo. Niby mógł z tym poczekać do jutra, porozmawiać na żywo, lecz uznał, że lepiej zrobić to od razu, póki pamięta. Jutro będą rozmawiać o ważniejszych rzeczach, a Quasimodo nie był ważny. Był irytujący.

– Jest taki jeden typ w klasztorze, nie wiem, jak się nazywa, ale kuleje i piszczy jak dziewczyna... Kojarzysz, tak? Świetnie! Więc ten mały się na mnie... Aha, wiesz? Składał zeznania? No właśnie... Tak... Ale chyba nie... To dobrze. Tak, myślę, że się w niej podkochiwał, a teraz się obawiam, że... Tak, rozumiem. Rozumiem, nie jest groźny. Mam się nie przejmować? W porządku. Wolałem się upewnić. No! To do jutra, tak, wieczorem. Cześć!

38

Damian Wolczuk słusznie założył, że znalezienie lekarza nie będzie problemem. Wystarczyło zapytać w sklepie. Jarosław Szymański przeniósł się niedawno do nowego gabinetu niedaleko rynku. Uprzejma ekspedientka podała adres i pokazała, jak tam trafić. Znała nawet godziny, w których Szymański przyjmował pacjentów. Wolczuk podziękował i ruszył szybkim krokiem we wskazanym kierunku. Lekarz kończył za pół godziny. Co prawda od rana można go było znaleźć w przychodni, ale Damian wolał bardziej kameralne miejsce.

Poczekalnia była niewielka. Stało w niej kilka krzeseł, które sprawiały wrażenie przypadkowych. Na niedużym stoliku leżały kobiece pisma. Nieład świadczył o tym, że były czytane. Czystość, zapach farby i resztki folii na framudze drzwi zdradzały niedawny remont. Wszystkie miejsca były puste, ale zza pozbawionych tabliczki drzwi dochodziły strzępy rozmowy. Ostatni pacjent – pomyślał z satysfakcją Wolczuk i usiadł. Nie musiał długo czekać.

– Naprawdę nic pani nie płaci, pani Mario. – Głos był podniesiony, lecz życzliwy. – Proszę, koniec tematu. Ta wizyta była gratis.

– Ale jak to tak, panie doktorze? – Drżący głos starszej kobiety słyszeć było wyraźnie, bo lekarz otworzył drzwi.

– Normalnie, pani Mario, normalnie. Proszę wracać do domu i się już nie przejmować. Poradzi sobie pani na schodach czy pomóc?

– Poradzę, panie doktorze kochany. – Kobieta pozwoliła się wyprowadzić z gabinetu. Lekarz podał jej laskę. Zaciśnęła pomarszczoną dłoń na wytartej ręczce. – Ale ja naprawdę zapłacę...

– Już powiedziałem, a wie pani, że lekarza denerwować nie wolno. No! To do następnego razu, kochana!

– Bóg zapłać! – Ruszyła chwiejnie w kierunku drzwi.

– Proszę poczekać, pomogę pani! – Damian poderwał się z krzesła.

– Ale nie trzeba... – spieszyła się staruszka.

– Nie trzeba, ale można. – Uśmiechnął się, zachęcając, by wzięła go pod ramię.

– Pan do mnie? – upewnił się Szymański, zerkając dyskretnie na zegarek.

– Tak, poczeka pan chwilę?

– Naturalnie – powiedział bez entuzjazmu i cofnął się do gabinetu. Drzwi zostawił otwarte.

Wolczuk wrócił po kilku minutach i nie czekając na zaproszenie, usiadł po drugiej stronie biurka.

– Wie pan, że ja już praktycznie skończyłem na dziś? – Szymański zdjął okulary i przyjrzał się gościowi. – Pan chyba dawno u mnie nie był?

– W ogóle.

– Czyli trzeba by panu założyć kartę, a ja nie mam jeszcze nowych druków ani komputera. Wie pan, dopiero co się tu przeniosłem i wszystko jeszcze w trakcie... – Sapnął niezadowolony, że aluzja została zignorowana. Wymownie spojrzął na cyferblat zegarka, który pamiętał jeszcze Związek Radziecki, i ponownie na Wolczuka. – Przykro mi, ale nie mogę już dziś pana przyjąć.

– Nic nie szkodzi. Przyszedłem w innej sprawie. Chciałbym

porozmawiać o pana pacjentce, Beacie Chmielewskiej.

– Co pan? – zachnął się Szymański. – Co pan sobie wyobraża? Ja jestem lekarzem i obowiązują mnie zasady. Proszę opuścić gabinet!

– Niech się pan nie denerwuje.

– Nie denerwować się? Już mnie policja męczyła o nią, więc pan od nich nie jesteś. A skoro tak, to idź pan w cholerę! – Podniósł się, schował okulary do kieszeni. Klucze zgrzytnęły metalicznie, gdy je podnosił z blatu.

– Jestem dziennikarzem, a Beata była moją przyjaciółką. Prowadzę śledztwo w sprawie jej śmierci.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego. Proszę! – Wskazał drzwi.

– Nie mówię, że pan ma. – Wolczuk nie ruszył się z miejsca. – Wierzę jednak, że może mi pan pomóc. Ja wiem – podniósł nieznacznie głos – że policja prowadzi śledztwo, ale robią to nieudolnie... Rozumie pan? Jak tak dalej pójdzie, to umorzą sprawę! – To było naiwne, niemal głupie, ale Wolczuk uznał, że musi spróbować. Gdyby wstał i wyszedł, byłoby za późno.

Reakcja Szymańskiego trochę go zaskoczyła. Nie pasowała do tego jowialnego, na pierwszy rzut oka, człowieka. Podstarzałego hipisa, co wnioskował po niemodnej fryzurze i rzemykach nieumiejętnie skrywanych pod wyjściową koszulą. Ekscentrycznego na tyle, by w jednej chwili zmieniać się z ostoji powagi w kogoś innego.

Kogoś, kto niekoniecznie lubił policję, bo – o ile Wolczuk się orientował – hipisi za nią nie przepadali. Szymański raczej też nie, na co mogła wskazywać jego mowa ciała. Mogła, ale nie musiała, bo Szymański bez wątpienia był oryginałem. Typem pozornie nieobliczalnym, którego można było wyczuć dopiero po bliższym poznaniu. To stanowiło problem. Wolczuk nie miał na to czasu ani możliwości. Musiał zaryzykować.

– Nie chcę, aby pan łamał przysięgę lekarską. Chcę po prostu porozmawiać, skonsultować się z panem jako specjalistą... Patrzę policji na ręce. Sprawdzam, czy na pewno robią to, co do nich należy. Jeśli okaże się, że nie, to ja im wtedy zrobię z dupy jesień średniowiecza, rozumie pan?

Szymański był wyraźnie zdezorientowany. Opierał dłoń na kłamce i marszczył czoło, analizując to, co przed chwilą usłyszał. Powoli połykał haczyk. Nawet tak naciągany. Wolczuk dostrzegł to w jego oczach i wiedział, że musi być ostrożny, aby mu się nie zerwał.

– Bardzo pana proszę o kilka minut rozmowy. To była wspaniała dziewczyna i nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Chyba się pan ze mną zgodzi?

– Tak – wymamrotał lekarz, wracając za biurko. – Jest pan dziennikarzem?

– Damian Wolczuk. – Wyciągnął dłoń. – Pracuję dla krakowskiego wydawnictwa, ale nie chciałbym mówić na razie nic więcej. Dla bezpieczeństwa, żeby nie zaczęły się jakieś dziwne telefony w redakcji czy wizyty. Wie pan, jak to jest.

– Wiem. – Szymański kiwnął głową.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań. Oczywiście nie musi pan odpowiadać na wszystkie.

– To się nagrywa?

– Nie. Zresztą gwarantuję pełną dyskrecję. Wszystko, co pan powie, zostanie tylko między nami, a jeśli cokolwiek wykorzystam w tekście, to tak, aby nikt się nie domyślił, że te informacje pochodzą od pana. Może tak być?

– Na pewno pełna dyskrecja? Dajesz pan słowo?

– Słowo, panie Jarosławie.

– Dobrze... – Wyciągnął okulary i zaczął obracać je bezwiednie w dłoni. Nie patrzył na Wolczuka. Otoczone zmarszczkami oczy zwrócone były w kierunku drzwi. Zupełnie jak gdyby chciał się upewnić, że nikt nie podsłuchuje.

Damian poprawił się na krześle. To ledwie pierwszy krok. Bez gwarancji na to, że okaże się wartościowy. Trzeba się jednak cieszyć i z małych rzeczy. Zwłaszcza gdy duże są daleko.

– Niech mi pan opowie o Beacie ze swojej perspektywy – poprosił.

– Ładna dziewczyna. Całkiem niegłupia. – Szymański zamyślił się. – Swoje przeszła, ale kto to ma prawo oceniać? Jak człowiek młody, to robi różne rzeczy, a teraz łatwo się w tym pogubić. Wiesz pan, moje

pokolenie miało lepiej. Nie było tyle wszystkiego. Człowiek się wyszumiał i brał w garść. Żenił, pracował... A teraz taki jest system, żeby ludzi ogłupiać, żeby potem trudno im się było z tego wygrzebać. Teraz już nikt nie jest człowiekiem, tylko konsumentem. Kupuj i konsumuj, prawda?

Wolczuk skinął głową.

– Dziewczyna wpadła w te tryby. W sumie to nie wiem za wiele, tyle tylko, co mi sama opowiedziała. No ale w ośrodku to wiadomo, kogo i z czego leczą, prawda? – Podniósł się i podszedł do elektrycznego czajnika, który stał przysłonięty parawanem. – Napijesz się pan herbaty albo kawy?

– Proszę herbatę, jeśli to nie kłopot.

– Żaden kłopot. – Skrzypnęły drzwi szafki. – Kiedy pierwszy raz do mnie przyszła, to jeszcze była w tym całym syfie. Przez przypadek trafiła do Chęcina, a już narobiła sobie problemów... Potem przyjechała na dłużej, zmądrzała.

– Jakie to były problemy?

– Nie mogę powiedzieć. Zresztą to nie ma znaczenia.

– Rozumiem. Czy rozmawiał pan z nią w minioną sobotę?

– Tak. Przyszła się pożegnać. Powiedziała, że wyjeżdża raczej na dobre... Podziękowała za pomoc i w sumie tyle.

– Nie wspominała, że ma się jeszcze z kimś spotkać?

Szymański postawił na biurku dwa kubki: jeden bliżej Wolczuka, drugi po swojej stronie. Usiadł na obrotowym fotelu i potarł skroń.

– Nie, nic takiego nie pamiętam.

– W porządku. Była u pana kilka razy na przestrzeni dłuższego czasu. Czy kiedykolwiek dała do zrozumienia, że się czegoś boi? Może kogoś?

– Chodzi o to, czy wiem, kto mógłby chcieć jej zrobić krzywdę? – upewnił się Szymański.

– Tak, panie Jarosławie, o to mi właśnie chodzi.

– Nie rozmawiam z pacjentami o takich sprawach – obruszył się i podniósł kubek do ust, podmuchał. Wolczuk czekał. Lekarz był zbyt prostolinijny, aby panować nad językiem własnego ciała. Nie

kontrolował sygnałów, jakie z łatwością mogło wychwycić wprawne oko. Sygnałów, które świadczyły o tym, że nie był szczery, nie do końca.

Teraz toczył wewnętrzną walkę, powstrzymując płynące do ust słowa, i powoli ją przegrywał. Wolczuk lubił takie momenty. Odczuwał wtedy pewien rodzaj podniecenia, bo stanowiły przełom. Ludzie są różni. Niektórzy twierdzą, że niepowtarzalni, lecz to nieprawda. Przynajmniej nie w każdym względzie. Na pewno nie wtedy, gdy są przesłuchiwani. To duże słowo, może za duże, ale Wolczuk je lubił.

Rozmowa oznaczała partnerstwo, a przesłuchanie – przewagę. Relację polegającą na uzyskiwaniu potrzebnych informacji, z definicji jednostronną. Nawet jeśli w formie zawołowanej, grzecznej i pozornie niegroźnej. To właśnie robił: przesłuchiwał. Ludzie różnie reagują w takich chwilach. Lepiej lub gorzej, ale z grubsza można podzielić ich na kilka podstawowych typów. Oprzeć podział na tym, jak rozeznają się w sytuacji, na ile się stresują i w jaki sposób reagują na bodźce. Kiedy są typy, są też schematy postępowania.

To łatwe. Ustalić, z kim mamy do czynienia, i dopasować argumenty, modulację głosu, słownictwo. Grać całym sobą. Użyć szablonu i znacznie zwiększyć szanse na współpracę. Wolczuk traktował to jak wyzwanie, grę, która pozwalała zbliżyć się do celu. Ktoś dawno temu zarzucił mu, że w ten sposób oszukuje ludzi, wykorzystuje ich do swoich celów, lecz Wolczuk nigdy się z tym nie zgodził. Nie krzywdził nikogo, nie zmuszał do rozmowy. Po prostu wzbudzał zaufanie, zachęcał do tego, by się z nim dzielić. Korzyść była tylko dodatkiem.

Znajomi dziennikarze często stosowali tylko metodę kija lub marchewki. Szybkie, proste i często skuteczne, ale ordynarne. Pozbawione finezji. Wolczuk wolał swoje metody. Wolał grę. Metodę niewielkich kroków. Budowania relacji i napięcia. To go kręciło i odczuwał podniecenie za każdym razem, gdy zbliżał się przełom. Gdy rozmówca musiał podjąć decyzję: ufać czy nie ufać. Mówić czy milczeć... Dusić coś w sobie czy się tym podzielić. Trzeba było być skończonym idiotą, aby nie docenić takich zdolności. Znów mimowolnie pomyślał o warszawskiej redakcji. Kretyni!

- Wszystko w porządku? – Szymański spoglądał na niego czujnie.
- Zamyśliłem się. – Uśmiech był wymuszony. – Naprawdę nie rozmawia pan z pacjentami o prywatnych sprawach?
- Czasami nie mam wyjścia... – przyznał lekarz z niechęcią, a potem jakby się ocknął. – Wiesz pan, czemu tu pracuję? Czemu siedzę w Chęcinach, chociaż nie lubię tego miasta?
- Niech mi pan powie – poprosił, jakby go to interesowało.
- Spłacam stary dług wobec mieszkańców. Bardzo stary.

39

- To była końcówka lat sześćdziesiątych... – Szymański się zamyślił. – W sześćdziesiątym dziewiątym albo siedemdziesiątym. Nie pamiętam już dokładnie. Byłem młody, a w tamtych latach, wyobraź pan sobie, tacy jak ja chcieli wolności i zabawy. Czegoś innego niż to gównno, które nas otaczało. Dziś trudno to zrozumieć, że nagle w całej Polsce młodzi ludzie zapuszczali długie włosy, buntowali się, czuli podobnie. To był fenomen. Nie tylko u nas. Na całym świecie, ale u nas była żelazna kurtyna, a mimo wszystko to się działo. Wiatr zmian... W sześćdziesiątym siódmym? Chyba tak. Chyba wtedy hipisi zaczęli się organizować. Większość to byli młodzi ludzie. Czasem nawet czternastoletni. Dzieci kwiaty. Ja miałem szesnaście lat. Rzuciłem szkołę i uciekłem z domu. Wtedy wydawało się to takie oczywiste. – Roześmiał się. – A kilka miesięcy później przyjechałem tu na swój pierwszy hipisowski zlot. Bo Kielce, proszę pana, stały się jednym z ośrodków aktywnej działalności hipisowskiej. Obok Warszawy, Krakowa czy Wrocławia... Takie zadupie, uwierzysz pan?

Wolczuk nie odpowiedział.

- Zlot zorganizowano w Chęcinach – podjął po chwili Szymański. – Wszyscy myśleli, że tu milicja da nam spokój. Ale oni się nas bali. Bali się tej wolności i buntu i dlatego robili wszystko, żeby to opanować. Mieli swoich donosicieli, obserwowali nas, wiedzieli, gdzie i kiedy się spotykamy... – Obracał w dłoni okulary. – Niby wszyscy wiedzieli, że

rok wcześniej MO pobiła grupę na Świętym Krzyżu, że rozbili złot w Brzegu, ale mieliśmy nadzieję, że tu nam odpuszczą. Nie odpuścili.

Wolczuk milczał. Szymański mówił dalej.

– Przyjechały dzieciaki z całej Polski. Nawet z Gdańska. W tamtych czasach to była wyprawa! Ja przyjechałem ze Skawiny, gdzie pomieszkiwałem bez meldunku w takiej niby-komunie. Jechaliśmy w kilka osób stopem i chyba dzięki temu udało nam się dotrzeć na miejsce. Na zamek. Dopiero potem, już po wszystkim, wyszło, że SB i milicja wyłapywały na dworcach tych, co przyjeżdżali pociągami czy pekaesem.

– Dlaczego? – spytał Wolczuk.

– Wtedy jak człowiek miał długie włosy, w dupie służbę wojskową, partię i całe to komunistyczne pieprzenie, to był wrogiem numer jeden. Wolność była zakazana. – Szymański napił się herbaty. – Ale nikt z nas w Chęcinach wtedy nic jeszcze nie wiedział. Zadekowaliśmy się na zamku i zaczęliśmy imprezę.

Poprawił się na krześle i uśmiechnął.

– Wtedy jeszcze nie było u nas prawdziwych narkotyków, wiesz pan? Braliśmy, co się dało, głównie leki o działaniu atropinopodobnym. Krople Inoziemcowa, bo były na bazie opium, kodeinę... Niektórzy eksperymentowali z rozpuszczalnikami i klejem. Nie pamiętam już, czy było to wszystko na tym złocie. Coś pewnie tak, ale głównie alkohol. Sam kupiłem trzy butelki alpagi na rynku i z nimi w kieszeniach wdrapywałem się potem na ten zamek. Ostrożnie, żeby nie potłuc. Zdążyłem otworzyć jedną i wypić kilka łyków, a potem się zaczęło.

Szymański spojrzał na Wolczuka trochę zmieszany. Nie myślał wcale o tym, by opowiadać takie historie. Chciał streścić się w kilku zdaniach, lecz gdy zaczął, wspomnienia wróciły i cisnęły się na język.

– Proszę mówić dalej – zachęcił go Damian. Szymański skinął głową.

– To była gruba akcja. Służba Bezpieczeństwa ściągnęła wszystkich milicjantów z okolicy. Otoczyli zamek i przez megafony nawoływali, żebyśmy wyszli. Ale kto by wyszedł? Panie, co tam się działo! – Pokręcił głową. – Wyobraź pan sobie kordon milicyjnych suk. Niebieskie koguty kręcące się na dachach, prześlizgujące się po szczerbatych murach

warowni. Tyralierę z pałami i oddział szturmowy atakujący od dołu, próbujący sforsować wyłom w murze. A na murach my i kamienie, jakieś zgniłe ziemniaki, pomidory, wszystko, co było pod ręką. To była regularna bitwa! To było coś!

Popatrzył na okulary, jak gdyby dopiero teraz zorientował się, że je trzyma. Że bawi się nimi bezwiednie. Przez chwilę zastanawiał się, czy założyć je na nos, ale uznał, że nie będą mu potrzebne, i schował do kieszeni. Mówił dalej.

– Oczywiście skończyło się tak, jak musiało. Wdarli się do środka i wymietli nas na zewnątrz. Ustawili długi szpaler i puszczały pojedynczo. Lali pałami. Słyszałeś pan kiedyś o ścieżce zdrowia? Byłem jednym z pierwszych. Biegłem, żeby jak najmniej oberwać, a i tak rozwalili mi nos, złamali dwa palce, poobijali tak, że ledwo się trzymałem na nogach. Pamiętam, że na końcu upadłem. Przejechałem po ziemi. Nie pozwolili wstać. Bili po plecach, głowie, nogach. Kopali. Potem zaciągnęli za włosy do suki. Niebieskiej nysy z miejscowego posterunku MO. Przez zakratowane okno widziałem, jak biegli inni. Pamiętam dziewczynę. Nie znałem jej, nie wiem, skąd była. Zatrzymała się nagle w połowie ścieżki, a oni ją lali tymi pałami. Krew bryzgała, ale nie przestawali. – Pokręcił głową. – Skurwysyny!

Wolczuk milczał.

– Musiała być w szoku. Po którymś uderzeniu straciła przytomność. W jednej chwili wyłączyła się jak lalka. Przynieśli ją do tej samej suki co mnie. Myślałem, że nie żyje, ale ona żyła. Charczała i dławiała się krwią, a ja nie wiedziałem, co robić. Rozumiesz pan? Byłem młodym gówniarzem i nie potrafiłem jej pomóc. Waliłem pięściami w drzwi, krzyczałem, żeby ktoś ją ratował. Mieli to w dupie. Byli zajęci laniem kolejnych. Trwało to tyle, że aż się ludzie zeszli. Z okolicy. Z Chęciny i tych wsi wkoło. Zwabiły ich policyjne koguty i wrzaski. Zebrał się tłum. Ktoś krzyknął do tych milicjantów, żeby dali nam spokój. Inni zawtórowali. Pamiętam to... Najpierw jeden samotny, donośny krzyk, a potem lawina. To było coś niebywałego! Oni naprawdę stanęli po naszej stronie. W końcu zaczęli szarpać tych milicjantów, których mieli najbliżej, wrywać im pałki. Normalnie mogło się skończyć taką

awanturą, że w całej Polsce by o tym pisali. Ale nie skończyło się. – Pokręcił głową. – Któryś z ubowców miał łeb na karku i zarządził odwrót. Puścili resztę, zapakowali się do suk i po prostu odjechali. Kto dostał, ten dostał. Niektórzy mieli szczęście.

– A wy? Pan i dziewczyna?

– Nas zabrali na dołek. Wiem, że jeszcze kilka osób wywieźli, ale do Kielc chyba. Tu trafiliśmy tylko my.

– Na komisariat w Chęcinach? – upewnił się Wolczuk.

Lekarz skinął głową.

– Wtedy był gdzie indziej, bliżej rynku. Areszt był obskurny i mały. W dodatku przedzielony na pół ścianą. Dawało to dwie cele z kratą zamiast drzwi. Mnie od razu tam umieścili, a dziewczynę zabrali do łazienki, żeby się doprowadziła do ładu. Nie wiem, jak sobie to wyobrażali, bo była strasznie pobita. Twarz miała tak zmasakrowaną, że nie dało się rozpoznać rysów. Ledwo się trzymała na nogach.

Sięgnął po szklankę, lecz na dnie były już tylko fusy. Przechylił ją, aby się upewnić, i zostawił na swoim miejscu.

– Ja byłem w lepszym stanie. To znaczy jeszcze wtedy byłem. – Spochmurniał. – Ta dziewczyna spojrzała na mnie, gdy ją prowadzili. Tak jakoś dziwnie. Jakby przeczuwała, że stanie się coś złego. Coś jeszcze gorszego niż dotychczas. Miała rację, wiesz pan? Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

– Wywieźli ją?

Szymański pokręcił głową.

– Był tam taki jeden chuj. Naćpany albo pijany. Nosiło go, to było widać. Nie wiem, jaki miał stopień, nie pamiętam, ale go się słuchali, a przynajmniej nie protestowali, kiedy otworzył kratę i dopadł do mnie. Nic nie robiłem, siedziałem tylko, a on wparował z pianą na pysku i zaczął mnie katować. Za nic. Bez słowa. Tak po prostu... Bił czymś twardym. Kijem albo nogą od krzesła. Nie wiem. Szybko straciłem przytomność. Myślałem, że już po mnie, że mnie zabije...

Nieświadomie ściszył głos.

– Moi rodzice nawet nie wiedzieli wtedy, gdzie jestem. Mieszkaliśmy pod Warszawą. Jak uciekłem z domu, to tylko raz im wysłałem kartkę,

że wszystko w porządku. Nie napisałem, gdzie jestem, bo co chwila pomieszkowałem gdzie indziej. Tworzyły się wtedy pierwsze komuny i można się było zahaczyć... Kiedy się potem ocknąłem w tej celi, to myślałem tylko o tym, że zaraz umrę i starzy nie dowiedzą się nawet, co się ze mną stało. Nie odnajdą ciała. Nie pochowają. Ale nie umarłem. Nie ja...

Ustawiony na maksymalną głośność telefon ryknął metaliczną melodią. Szymański odebrał, nie sprawdzając, kto dzwoni.

Damian sięgnął po niewielki notes leżący na biurku. Zielone logo firmy farmaceutycznej i hasło reklamowe zajmowało niemal jedną trzecią powierzchni. Poniżej zapisał ciąg cyfr i oderwał kartkę. Złożył ją na pół i czekał, aż lekarz skończy rozmawiać.

– Kiedy?... Jakie były objawy?... Aha... Co pani zrobiła?... Bardzo dobrze... Teraz stabilnie, tak?... Dobrze... Tak, oczywiście, za jakieś pół godziny. Tak. – Rozłączył się i spojrzął na Wolczuka. – Przepraszam, ale muszę jechać do pacjentki. To starsza kobieta, której siostra jest poważnie chora. Od kilku lat nie rusza się z łóżka. – Upewnił się, że zabrał wszystko. Wskazał drzwi. – Proszę.

– Co się stało z tą dziewczyną? – spytał Wolczuk, gdy schodzili po schodach.

– Wtedy? Ten skurwiel zaciągnął ją do pokoju na końcu korytarza. Przez pół nocy słyszałem jej stłumione krzyki. Coraz słabsze... – Zamknął drzwi na klucz. – Nikt nigdy więcej jej już nie widział. Mnie puścili po dwóch dniach. Po prostu wypchnęli na ulicę i kazali spierdalać. Potem słyszałem, że rodzice tej dziewczyny szukali jej po całej Polsce. Nie znaleźli.

– Powiedział im pan, co się stało?

– Nie, nigdy ich nie poznałem. – Ruszył w stronę zaparkowanego niedaleko bordowego volvo XC60.

Wolczuk był zaskoczony. Spodziewał się, że Szymański jeździ jakimś małym, leciwym autem. Takim, które człowiek wybiera ze względów praktycznych i używa z przyzwyczajenia, póki jest to możliwe. Jak znoszoną kurtkę. Duży, komfortowy SUV wydawał się nie pasować do niego. Nie do podstarzałego hipisa garbiącego się za biurkiem.

Tyle że Szymański zmienił się, gdy opuścili gabinet. Nabrał wigoru, zupełnie jak gdyby ubył mu kilka lat.

– Jakiś rok później, może dwa, przez przypadek dowiedziałem się, że ona nie wróciła do domu. Do tamtej chwili myślałem po prostu... Sam nie wiem co. – Wzruszył ramionami. – Podobno jej rodzice byli w Chęcinach, na milicji, ale usłyszeli, że nigdy jej nie zatrzymano. Nie było żadnych papierów, nic. Po prostu zaginęła. To były inne czasy – dodał, podając Wolczukowi rękę. – Ja w każdym razie poszedłem na medycynę i obiecałem sobie, że jakoś się tym ludziom z Chęcina odwdzięczę za to, że wtedy stanęli po naszej stronie. Taka młodzieńcza fantazja, wiesz pan? No i odwdzięczam się już ładnych parę lat. – Wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk. – Przepraszam, ale muszę jechać.

– To mój numer. Jeśli coś pan sobie przypomni w związku z Beatą, proszę o kontakt.

– Dobrze, ale nie obiecuję. – Położył kartkę na siedzeniu pasażera. – Do widzenia.

– Do widzenia.

Trzasnęły cicho drzwi. Pojazd ruszył. Szerokie opony zaszumiały na asfalcie. Wolczuk patrzył, jak dojeżdża do końca ulicy, zwalnia i skręca bez tracenia czasu na włączenie kierunkowskazu.

Wyciągnął telefon, odblokował ekran i musnął duży przycisk „Stop”. Zamknął aplikację dyktafonu i zajrzał do rejestru połączeń. Jedno nieodebrane od Kryńskiego. Zdecydował, że oddzwoni później.

Znów włączył dźwięk i schował aparat. Rozejrzał się. Ulica była krótka i dość wąska. Jak większość chęcińskich uliczek. Stanowiła łącznik między dwiema biegnącymi do rynku. Nieliczne wychodzące na nią okna były puste. Żadnego ruchu, żadnej sylwetki. Żadnej odbijającej się w szybie twarzy. Biały sedan przetoczył się obok. Jego kierowca wpatrzony był w ekran nawigacji. Najwyraźniej niezbyt dobrej, skoro dwa razy zmieniał zdanie, zanim zdecydował się skręcić. Kiloro turystów z plecakami szło nieśpiesznie chodnikiem. Byli młodzi. Rozmawiali po angielsku. Nie zwracali uwagi na stojącego po drugiej stronie Wolczuka. Podobnie jak kobieta, która minęła go

i podreptała w dół. Nawet pies obwąchujący rynnę miał odwrócony pysk.

Mimo to Wolczuk czuł na sobie czyjś wzrok. Niepokojące, podświadome uczucie objawiające się mrowieniem karku. Rozejrzył się raz jeszcze. Uważniej.

Może mu się zdawało?

40

Mrok obejmował kanciaste kształty mebli. Przydawał im obcości. Jedynym źródłem światła była szesnastocalowa matryca laptopa. Zbyt wątła, żeby oświetlić cokolwiek więcej niż pochyloną nad klawiaturą postać. Damian Wolczuk spojrział na godzinę umieszczoną na dole ekranu. Była dwudziesta druga trzydzieści. Miał jeszcze dwadzieścia minut. Dość, by spokojnie skończyć notatki.

Prawdę mówiąc, nie lubił pracować po ciemku. Zawsze starał się, aby gdzieś obok paliło się jakieś światło. Choćby niewielka lampka. W domu – to słowo jak sopel lodu przebiło się przez jego myśli – używał stylowej lampy typu banker. Zielony klosz i mosiężna podstawa świetnie imitowały oryginalną Emeraldite z lat pięćdziesiątych, której bezskutecznie szukał przez kilka miesięcy. Może to i lepiej, bo cena za dzieło McFaddina z pewnością okazałaby się zaporowa. Substytut był dobrej jakości. Nadawał wnętrzu elegancję i ciepło. Był praktyczny.

Teraz jednak Damian nie był w domu. Jedynym źródłem światła mógł być wiszący pod sufitem żyrandol. Włącznik umieszczony był przy drzwiach, lecz Damianowi nie chciało się wstawać. Zresztą gdy zaczynał pracę, było jeszcze widno. Przyzwyczajał się więc stopniowo do ciemności i nieszczególnie zwracał na to uwagę. Zbyt zaabsorbowały go edytowane pliki. Ich zbiór się rozrastał. Nowe katalogi i dokumenty. Nowe znaki zapytania i działania, które należało podjąć.

Ponownie rzucił okiem na zegar. Jedno z nich zaczynało się już za kilkanaście minut. Zapisał plik i zamknął laptopa. Usiadł wygodniej, czekając, aż oczy przyzwyczają się do zmienionych warunków.

Przeciągnął się. Cztery minuty później wstał i pomacał kieszenie, upewniając się, że zabrał wszystko. Przez okna wsączała się do wnętrza odrobina światła. Żółta łuna latarni. Zbyt skąpa, by wydobyć z mroku coś więcej niż zarysy stołu i łóżka, ale wystarczająca, aby bezpiecznie dojść do drzwi.

Korytarz był cichy i pusty. Zwisające ze sklepienia kandelabry zostały pogaszone. Jedynie na końcu, w przedsionku, paliło się światło. Damian zamknął pokój z wyczuciem i ruszył w tamtym kierunku. Szybkim, ale miękkim krokiem. Bezgłośnie, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Przed końcem korytarza zwolnił. Upewnił się, że odnoga prowadząca do kaplicy jest pusta. Dopiero wtedy zbliżył się do drzwi przybudówki. Stał z boku, opierając się o kamienny portal, tak by nie oświetlał go sączący się stamtąd blask. Nasłuchiwał chwilę. Cisza.

Wynurzył się z półmroku. Trzy kroki, cztery. Mrużąc oczy, sięgnął do klamki. Poczł jej chłód w dłoni. Ponad nim, piętro wyżej, coś stuknęło. Od schodów ciche echo przyniosło stłumiony kaszel. Zaszurały czyjeś kroki. Damian już ich nie słyszał. Zamknął za sobą drzwi.

Rozejrzał się czujnie. Czterdzieści dwa metry dzieliły go od bramy. Wciąż otwartej. Tylko w dwóch oknach, na piętrze, paliło się światło. Reszta pogrążona była w mroku. W nocnej ciszy, która oficjalnie rozpoczynała się za kilka minut. Idealny czas, by przemknąć niezauważenie przez dziedziniec.

Za bramą skręcił w prawo, w stronę skrzyżowania z Armii Krajowej. Ulica była długa i dobrze oświetlona. Biegła wzdłuż klasztornych zabudowań. Nietrudno było sobie wyobrazić, że stanowiła kiedyś granicę zwartej zabudowy miasteczka.

Tuż za nią rozciągały się zapewne pola lub łąki. Złociła się pszenica, może pasło bydło. Trochę dalej stało kilka domów. Część dość starych, by mogły pamiętać tamte czasy. Nieczynna masarnia i opuszczony plac zabaw. Była też piętrowa, stylizowana pizzeria. U wylotu kolejnej ulicy. Niemal vis-à-vis charakterystycznej restauracji z lat dziewięćdziesiątych, która sąsiadowała z klasztorem.

Ale na wysokości klasztoru od tej strony nie było domów. Otwartą

przestrzeń zagospodarowano parkingiem i nowoczesnymi boiskami. Nieco dalej wznosiła się okazała hala sportowa z własnym placem mogącym pomieścić około stu aut. Całość wybudowana w dużej części za unijne pieniądze. Franciszkańska, przy której mieściła się brama klasztoru, łączyła się z Armii Krajowej niemal idealnie pomiędzy wjazdami na oba parkingi.

Wolczuk przeszedł na drugą stronę ulicy, na trawnik oddzielający betonowe place. Minął tablicę informującą o unijnym wsparciu i zanurzył się w cień niewysokiego drzewa. Jedyne, jakie rosło po tej stronie ulicy. Miało pięć, może sześć metrów wysokości. Nisko zawieszona gałęzie i wystarczająco gruby pień, by stojący za nim nieruchomo człowiek nie przyciągał wzroku. Szczególnie w nocy. Tablica unijna i dwie turystyczne, umieszczone tuż obok, dodatkowo minimalizowały ryzyko, nie ograniczając zbytnio pola widzenia.

Świetne miejsce dla kogoś, kto chciał obserwować wchodzących i wychodzących z klasztoru. Wolczuka interesowali wychodzący. Konkretnie jeden.

Daniel Krawczyk wyszedł punktualnie. W blasku latarni na opustoszałej ulicy wydawał się większy, niż był w rzeczywistości. To wrażenie potęgowała luźna, wojskowa kurtka. Taka, jaką nosili dawniej piloci. Trochę za ciepła jak na czerwiec. Dlatego rozpięta. Miał też na sobie ciemne dżinsy i porządne buty. Wojskowe albo trekkingowe. Z odległości czterdziestu metrów Wolczuk nie potrafił ocenić właściwie. Nie miało to zresztą znaczenia.

Krawczyk skręcił w prawo. Szedł w jego stronę. Przez chwilę Damianowi wydało się, że patrzy wprost na niego. Że od razu odkrył jego kryjówkę i dlatego idzie szybkim, pewnym krokiem. Zaklął bezgłośnie. To przecież było oczywiste. Jedyne miejsce, gdzie można się było schować. Ktoś, kto służył w wojsku, możliwe, że w zupełnie innej roli niż ta, do której przyznawał się oficjalnie, musiał o tym wiedzieć. Instynktownie zwracał na to uwagę.

Trzydzieści metrów. Krawczyk sięgnął do kieszeni, a Wolczuk poczuł, że puls mu przyśpiesza. Mimowolnie pomyślał o schowanym w kieszeni paralizatorze. Wstrzymał oddech. Dwadzieścia metrów, róg. Krawczyk

wyciągnął telefon i skrzył w stronę przystanku. Wolczuk odetchnął z ulgą. Nadstawił uszu.

Zbliżający się wolno samochód nie dał szans, by usłyszeć cokolwiek. Zresztą nawet gdyby nie on, raczej nie byłoby to możliwe. Rozmowa była krótka. Licząc chwilę na wybranie numeru i połączenie, Krawczyk mógł powiedzieć dwa, góra trzy zdania. Potem schował telefon. Minał przystanek i szedł dalej, w kierunku Staszica. Było już za późno. Ostatni autobus odjechał.

Wolczuk odwrócił wzrok, oślepiiony reflektorami nadjeżdżającego auta, poczekał, aż przejedzie, i przebiegł na drugą stronę. Ruszył w ślad za terapeutą, trzymając się jakieś osiemdziesiąt metrów za nim. To była bezpieczna odległość. Nawet gdyby tamten się odwrócił, nie miałby szans, by go rozpoznać, nie widziałby twarzy. Wolczuk mógłby udać, że chce spisać rozkład jazdy z przystanku, że wraca z knajpy lub cokolwiek innego. Krawczyk jednak się nie odwrócił.

Skręcił w Staszica i zniknął za budynkiem restauracji. Przed jej wejściem rosły ozdobne iglaki. Dość wysokie, aby można się za nimi ukryć. Wolczuk ruszył biegiem w ich kierunku. To było kolejne świetne miejsce, by widzieć, lecz nie być widzianym. Niestety ostatnie.

Dalej ulica mijała dolny rynek i pięła się ku górnemu. Stosunkowo prosta, otoczona zwartą zabudową i dobrze oświetlona. Oczywiście zdarzały się tam wnęki starych bram czy drzwi, gdzie można się było wcisnąć i pod pewnym kątem pozostać poza zasięgiem wzroku, lecz było ich mało. Pozostawały od siebie oddalone, a co najgorsze, nawet jeśli dawały schronienie, to nie pozwalały na obserwację. Trzeba by ryzykować i wystawić głowę wprost w blask latarni. Dlatego Wolczuk nie zamierzał z nich korzystać. Raz, że było to niepraktyczne, a dwa, że na pustej ulicy zwracałoby na niego niepotrzebną uwagę.

Zdarzało mu się już śledzić ludzi. Kilka razy wymagała tego praca. Praca lub ambicje, bo uważał, że dobry materiał to taki, który wstrząśnie czytelnikiem, wyrwie go ze szponów marazmu i walnie jak o ścianę. Mocny i bezkompromisowy. Zupełnie inny niż te wszystkie kolorowe bajki dla naiwnych kretynów. Celebryci, politycy i biznesmeni, którzy dochodzą do wszystkiego ciężką pracą? Bzdura!

Chyba że ciężką pracą nazwać obciążanie komuś w męskiej toalecie lub wywiezienie czyjejs żony do lasu. To były prawdziwe tematy, które Wolczuk chciał podejmować, ale wiedział, że nie zdobędzie ich nigdy, działając szablono.

Wierzył, że czasem trzeba nagiąć reguły. Sprowokować, napisać donos lub śledzić, podjąć inne kroki... Wierzył i był na to gotów. Próbował.

Nigdy nie przyniosło to jednak spodziewanych rezultatów, nie w Warszawie. To miasto nie było miejscem dla kogoś bez nazwiska. Choćby nie wiadomo jak był dobry. „Przekaż temat lepszym od siebie!”, „Daj to zawodowcom!”, „Kim ty jesteś, żeby brać się do czegoś takiego?”, „Nie jesteśmy »Skandalami!«” Ciągłe słyszał takie teksty, które uważał za zwykłe pierdolenie. Dla niego było jasne, że wbrew temu, w co wszyscy chcieli wierzyć, prasa zżerała własny ogon, a w redakcjach pracowali tchórze, hipokryci i mentalni kastraci! Zabetonowani i ślepi.

Nic dziwnego, że przegrywali walkę o rynek z byle gówniarzem uzbrojonym w telefon. O tak, w świecie, w którym każdy nosił przy sobie smartfona z bezpośrednim dostępem do internetu, zawodowe dziennikarstwo trzeszczało w posadach i powoli oddawało pole plebsowi. Na jeden artykuł zawodowca przypadało już kilkadziesiąt miałkich wrzutek. Czasy się zmieniały, a beton wydawał się nie dostrzegać powagi sytuacji. Nie rozumiał, że jedyne, co może zrobić, to wykorzystać atuty. Doświadczenie i determinację. Inaczej za kilka lat nikt już nie będzie pamiętał, kto to zawodowy dziennikarz, bo amator ze smartfonem wystarczy.

Skrzywił się, widząc, że Krawczyk wyciąga telefon. Terapeuta przed chwilą upewnił się, że nic nie jedzie, i wszedł na ulicę, wyraźnie kierując się na dolny rynek. Teraz jednak stanął. Dwa kroki od krawężnika. Zawahał się przez moment, po czym ruszył w górę, w kierunku głównego rynku. Dokładnie tak, jakby chciał zrobić Wolczukowi na złość.

Samotna, świetnie widoczna, barczysta postać i niemal dwieście metrów prostej, pustej ulicy. Wolczuk miał problem. To nie była

Warszawa. Tu nie kręcili się ludzie, wśród których łatwiej było nie rzucać się w oczy. Żadnych ludzi. Żadnego tła. Tylko żółte światło latarni i oni dwaj.

Jasne, że mógł wyjść zza iglaków, ruszyć w ślad za Krawczykiem i miałby go jak na dłoni. Jeśli terapeuta by się odwrócił, obaj byliby dla siebie doskonale widoczni. Wystarczyło echo kroków. Potknięcie. Zwykły odruch. Za duże ryzyko.

Wolczuk wiedział, że musi poczekać. Co najmniej do chwili, gdy Krawczyk pokona połowę drogi. Dopiero wtedy będzie mógł za nim ruszyć. Nawet jeśli tamten się odwróci, to utrzymując odpowiedni dystans, ryzyko rozpoznania było znikome. Wolczuk był przeciętnej budowy, nie rzucał się w oczy. Łatwo było go pomylić z kimś innym. Sto pięćdziesiąt metrów wydawało się bezpieczne.

Ale taka odległość ze sprzymierzeńca łatwo mogła stać się wrogiem.

W momencie gdy Krawczyk wejdzie na rynek, będzie miał nad Wolczukiem minutę przewagi. Sześćdziesiąt sekund. To wystarczy, aby zniknął, rozpląnął się w powietrzu. Świadomie lub nie. W normalnych warunkach Wolczuk mógłby pobiec i w ten sposób skrócić dystans i czas. Tyle że obecnie nie było to możliwe. Echo szybkich kroków z pewnością zaalarmowałyby terapeuta. Wybrał więc rozwiązanie pośrednie.

Wyszedł z ukrycia jakieś sto, sto dwadzieścia metrów za celem, a w trakcie marszu ostrożnie skracał dystans. Wyliczył to tak, że w chwili gdy Krawczyk skreśli na rynek, będzie ich dzieliło kilkadziesiąt metrów. Jakieś czterdzieści sekund. Trzydzieści szybkim krokiem. To miało sens. Było ryzykowne, ale miało sens.

Szedł, trzymając się na początku prawej strony ulicy. Na wysokości dolnego rynku, gdzie asfalt łączył się z kostką brukową, przebiegł na lewą. Teraz był bezpośrednio za Krawczykiem. Podążał jego śladem. Wyczulony na każdy ruch, by zareagować jak najszybciej, gdyby tamten chciał się odwrócić. Gdyby coś go sprowokowało. Cokolwiek, choć z pewnością nie odgłos kroków.

Wolczuk kroczył cicho. Z wyczuciem stawiał stopy. Miękkie kolana, obciążone łydki. Niekomfortowo przy tej prędkości, nieco

karykaturalnie, ale skutecznie. Dobre, gumowe podeszwy były pomocne.

Krawczyk na pewno nie mógł go usłyszeć. Być może mógłby zbliżyć się do niego nawet na kilka metrów. Kilka kroków. Tyle że Krawczyk był terapeutą. Ponoć bardzo dobrym. Taka praca wymagała specyficznego rodzaju wrażliwości i intuicji. Instrumentów, które pozwalają odbierać świat w szerszym spektrum. Szóstego zmysłu.

Damian Wolczuk dobrze wiedział, jak to działa. Jak potrafi być niebezpieczne. Szczególnie dla obserwatora, który nie zachowa należytej ostrożności. Wiedział więc, że musi być ostrożny i przewidujący, ale to nie było trudne. Nie dla niego. Sam kierował się intuicją. Słuchał wewnętrznego głosu. Przeczucia, które nieraz dawało mu przewagę i ostrzegało przed niebezpieczeństwem. Tak jak teraz.

Wolczuk poczuł to nagle, zaraz po tym, gdy zmienił stronę ulicy. W jednej chwili wszystko było w porządku, a w drugiej zrozumiał, że sam jest obserwowany. Ktoś skupił na nim wzrok, lecz nie przypadkowo, przelotnie, bez znaczenia. Ten ktoś wpatrywał się dość intensywnie, by wyczulone zmysły zdołały zareagować. Chłodny dreszcz przebiegający po karku, sięgający w górę, do nasady czaszki. To nie mógł być Krawczyk, bo on szedł z przodu, dobrze widoczny w blasku latarni. Już tylko kilkanaście metrów dzieliło go od rynku. Wolczuk zaklął w myślach, zwolnił i ukradkiem spojrzął za siebie.

Nieruchoma pusta przestrzeń. Nikogo.

Znów utkwiał wzrok w plecach Krawczyka. Pozwolił, by dzielący ich dystans zaczął się zwiększać. Uczucie nie zniknęło. Nasiliło się nieco. Oczywiście to mógł być tylko zbieg okoliczności. Ktoś stanął w oknie i zainteresował się przechodniem. Zwyczajnie, od niechcienia. Może palił papierosa albo nie mógł spać. Może skończył oglądać film, czytać książkę, cokolwiek. Aby go dostrzec, Wolczuk musiałby się zatrzymać i odwrócić na dłużej. Podnieść wzrok. Poszukać. Upewnić się, że nic mu nie zagraża. Nie miał jednak na to czasu. Sięgnął do kieszeni i zacisnął w dłoni paralizator. Przesunął go tak, by końcówka nie zahaczała o brzeg materiału i mógł go szybko wyjąć. Na wszelki wypadek.

Był za daleko. Za chwilę, gdy terapeuta skręci za róg, będzie musiał ruszyć biegiem. Jak najszybciej dotrzeć do rynku, żeby nie zgubić Krawczyka. W tej sytuacji miało to dodatkową zaletę. Element zaskoczenia. Jeśli ten, kto go obserwował, miał jakiś cel, z pewnością nie był na to gotowy. O ile naprawdę gdzieś tam był, kryjąc się w cieniu. Intuicja podpowiadała, że tak, ale Wolczuk już dawno temu nauczył się, by nie ufać w stu procentach własnym zmysłom. Nawet jeśli w większości wypadków się nie myliły. Jaka jest szansa, aby nagle z łowcy stał się zwierzyną? Że był nimi jednocześnie? Niewielka. Mimo to musiał zachować ostrożność.

Krawczyk był o dwa kroki od załomu. Krok. Zniknął za węglem. Wolczuk dopiero zbliżał się do przecznicy. Napiął mięśnie, pochylając się nieznacznie w przód, lecz nim rzucił się do biegu, jeszcze raz odwrócił głowę.

Spojrzał za siebie, tym razem chwilę dłużej. Dokładniej. Nikogo nie dostrzegł. Żadnej sylwetki, żadnego ruchu. Pustka. Pomyślał jeszcze, że gdyby ulicą jechał jakiś samochód, szum opon zagłuszyłby tupot, który zaraz odbije się echem od fasad budynków, a potem wykorzystał grawitację, by zerwać się do biegu. Jeszcze rzut oka w prawo, czy jednokierunkową przecznicą nic nie nadjeżdża, i ruszył.

Pochylone ciało pozwoliło niemal od razu uzyskać odpowiednią prędkość, więc tym większym szokiem było nagłe zderzenie.

Ktoś wyskoczył zza rogu. Z lewej. Rzucił się na Wolczuka. Pochwycił go, wybijając z rytmu. Poleciał wraz z nim w bok. Ich nogi zatańczyły histerycznie. Zaterkotał łuk elektryczny. Wolczuk odzyskał równowagę i docisnął paralizator mocniej. Naparł, nie puszczając przycisku. Czuł mrowienie, ale tamten telepał się, niezdolny do działania. Trwało to kilka sekund, aż napastnik zwałił się na bruk. Znieruchomiał.

– Mam cię! – syknął Damian, schylając się, by pozbawić tamtego broni. Ale broni nie było. Metr, może półtora dalej, na chodniku leżała

czarna teczka. Obok zegarowy stoper i długopis. Blżej telefon z rozbitą szybką. Musiał wypaść podczas szamotaniny.

Wolczuk pochylił się nad teczką, odwrócił ją. Wewnątrz kilka kartek przypięto klipem. Zawierały notatki. Wygładził pierwszą, która zagięła się w czasie upadku. Na górze zgrabnym pismem napisano: „Nocne zwiedzanie”. Poniżej po lewej umieszczono godzinę, a obok krótkie informacje. „22.00 przywitanie (5), 22.10 studnia (6), 22.20 pomnik (10)”. I tak dalej.

Cofnął się do nieruchomej postaci. Dopiero teraz skojarzył tę twarz. Przewodnik z zamku. Zaklął cicho. Pochylił się, by się upewnić, czy żyje. W tej chwili błysnął flesz. Wolczuk odwrócił się natychmiast.

Ktoś stał w głębi ulicy. Przy twarzy trzymał aparat z dużą, doczepianą lampą. Gdy tylko Damian na niego spojrzał, ponownie nacisnął spust.

Oślepiiony Wolczuk zachwiał się, potknął o przewodnika i zwałił na ziemię. Usłyszał szybko oddalające się kroki, lecz nie był w stanie ruszyć w pogoń. Nie, gdy przed oczyma szalały mu białe i czarne plamy, a błędnie wariował. Potrzebował kilkunastu sekund, żeby podnieść się z trudem na kolana, a potem wstać. Pochylony, balansował ciałem, by utrzymać równowagę. Ledwie dostrzegał zarysy otoczenia. Mózg zareagował z opóźnieniem. Szok przeszedł w ból wwiercający się w skroń jak w masło, dopiero po chwili stłumiony nową dawką adrenaliny.

– Skurwiel! – warknął, mrugając jak oszalały. Powoli wracał mu wzrok. Zignorował cichy jęk przewodnika i ruszył chwiejnie w kierunku, gdzie zniknął tajemniczy fotograf. Kilkanaście kroków dalej zatoczył się na zaparkowany pod latarnią samochód. Wewnątrz, na desce rozdzielczej, migąca czerwona dioda alarmu. Czujnik jednak nie zareagował. Nie uruchomił syreny. Wolczuk odepchnął się od auta i pobiegł. Działał instynktownie.

Krawczyka już nie dogoni. Nie ma na to żadnych szans. Cały wysiłek poszedł na marne i będzie musiał wszystko powtórzyć. Może jutro, może kiedy indziej. Teraz nie miało to już znaczenia. Liczyło się co innego.

Absurdalna sytuacja. Ktoś zrobił mu zdjęcie, jak pochyła się nad

nieprzytomnym człowiekiem. Nie miał pewności, czy się udało. Czy wyszło czytelnie i ktokolwiek zdołałby go na nim rozpoznać. Nie wiedział, co autor zamierza z nim zrobić. W sumie nie miał nic na sumieniu. Nic wielkiego, bo to był wypadek. Zwykła samoobrona. Uzasadniona w środku nocy, zwłaszcza gdy ktoś na ciebie napadł.

Dobrze, po prostu wpadł przypadkiem, ale przecież nikt nie jest jasnowidzem, prawda? W takiej chwili użycie legalnego środka obronnego jest logiczne. W dodatku nikomu nic się nie stało. Przewodnik żyje i wkrótce dojdzie do siebie. Każdy sąd przyznałby mu rację. Nie ma się czego obawiać...

Tyle że Wolczuk dobrze wiedział, co można z takim zdjęciem zrobić. Jak można namieszać komuś w życiu. Nawet jeśli nie jest nikim ważnym. Żadnym celebrytą ani politykiem. Wtedy nawet bywa gorzej. Takie zdjęcie może narobić niezłego syfu. Odbijać się czkawką przez kilka lat. Zeznania, ciąganie po sądach.

A jeśli do tego doszłoby cwaniactwo, obdukcja i urojone dolegliwości, to byłby kryminał i cholerne koszty. Tak przecież bywa, prawda? Zwykła stłuczka parkingowa, w której nikomu nic się nie stało. Na lakierze dwie rysy i zbita lampa. A potem jeden skurwiel leci do lekarza i paraduje w kołnierzu ortopedycznym. Zakłada sprawę i przynosi świstki, że mu omal nie skręciło karku. Ten drugi dostaje wyrok w zawieszeniu i kilkadziesiąt tysięcy. Tak bywa... Zresztą nikt nie będzie mu robił zdjęć bez pozwolenia. Nie będzie walił lampą błyskową po oczach. Wiejski paparazzo się, kurwa, znalazł!

Przyśpieszył, choć wcale nie wierzył, że zdoła go dogonić. Człowiek z aparatem mógł być już daleko. Miał dość czasu, by zniknąć. Rozpłynąć się w wąskich uliczkach i ciemnych zaułkach. Nie zrobił tego jednak. Wolczuk zatrzymał się i zamrugał zdziwiony.

Zobaczył go jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej. Stał na środku pustej ulicy, z latarnią za plecami i kapturem na głowie. Zupełnie jak gdyby chciał być dobrze widoczny, ale nierozpoznany. Jakby czekał. Upiornie nieruchomy. Wolczuk się wzdrygnął. Z trudem skupił na nim wzrok. Zbyt duża odległość i skutki oślepienia nie pozwalały mu dostrzec żadnych szczegółów, lecz nie miał wątpliwości. Kanciasty

kształt aparatu w opuszczonej ręce nie pozostawiał złudzeń.

– Ej! – krzyknął i machnął ręką, podkreślając irytację. Ruszył wolno, bo nie chciał go spłoszyć. – Koleś, pogadajmy! – To był głupi tekst, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Sytuacja była zbyt absurdalna. Sto dwadzieścia metrów. Fotograf stał bez ruchu. Wolczuk minął przecnicę łączącą oba rynki. Wszędzie pusto. Wymarłe miasto – pomyślał.

– Mnie próbowali okraść, a ty sobie żarty urządzasz?

Nie zabrzmiał tak, jak chciał. Jego głos drżał obco. W nocy inaczej rozchodzą się fale dźwiękowe. Różnica ciśnień i temperatury. Panująca wkoło cisza i echo odbijające się od budynków zniekształcają głos. Sprawiają, że nie może być przyjemny. Trudno. Ważne, że facet słyszał. Podstawowa zasada: pokazać, że nie stanowisz zagrożenia.

– Tamten koleś mnie napadł, a przez ciebie uciekł.

Byli zbyt daleko, by można to było zweryfikować. Zaparkowane auto zasłaniało nieszczęsny róg i przewodnika, który teraz już pewnie siadał z trudem, wciąż oszołomiony po otrzymaniu dwudziestu tysięcy woltów. Wolczuk miał nadzieję, że nie rozładował akumulatora do cna. Popełnił błąd, nie przeczytał instrukcji ani nie dopytał w sklepie i teraz nie miał pojęcia, czy paralizator zadziała. A bardzo chciał, aby zadziałał. Bardzo...

Sześćdziesiąt metrów. Utrzymuj kontakt.

– Sprawdzałeś na zdjęciu? Widać jego twarz? – Mów cokolwiek. Pięćdziesiąt pięć. – Policja zdoła go rozpoznać?

Ręka trzymająca aparat drgnęła. Uniosła się powoli. Zatrzymała na wysokości piersi. Przez chwilę wyglądało na to, że facet chce sprawdzić jakość zdjęcia, a potem błysnął flesz.

– Kurwa! – warknął Wolczuk i rzucił się biegiem. Miał szczęście. Gdy lampa strzeliła, akurat mrugnął. Odległość zresztą była dość duża. Za duża, by efekt był tak piorunujący jak za pierwszym razem. Nawet gdyby miał otwarte oczy.

Człowiek z aparatem dał susa w bok. Zniknął między zabudowaniami. Wolczuk myślał w pierwszej chwili, że wbiegł na jakąś posesję. Przez otwartą bramę lub furtkę. Gdy jednak dobiegł na

miejsce, okazało się, że to zaułek. Nieposiadająca nazwy wąska uliczka, przeciskająca się między uśpionymi domami. Po kilkunastu metrach zakręcała. Wyprowadziła go wprost na brukowaną Łokietka, łączącą oba rynki od wschodu. Tę samą, którą przed chwilą minął.

Zatrzymał się zdyszany. Najpierw spojrzał w prawo, pewien, że sukinsyn wybierze łatwiejszą drogę w dół, ale nie zobaczył nikogo. Odwrócił się więc w lewo. Tamten był już na wysokości rynku. Nie uciekł w boczną ulicę, nie schował się za budynkami. Biegł prosto, w górę. Dobrze widoczny. W ręce wciąż ścisnął aparat. Nie odwracał się za siebie. Wolczuk zaklął i ruszył jego śladem.

Wydaje się, że w takiej chwili człowiek powinien być skupiony na celu. Zaślepiiony determinacją i nakręcony adrenaliną. Tak jak na filmach, gdzie świat kurczy się tylko do dwóch postaci: ściganego i ścigającego, zwierzyny i myśliwego. Dzielącej ich odległości i celów. Dwóch, wykluczających się nawzajem. Ale życie to nie film.

Wolczuk mimowolnie myślał o czymś zupełnie innym. Całkiem trywialnym. O niewielkim prostokątnym kawałku papieru. Prezencie, który otrzymał od Justyny w październikowe, deszczowe popołudnie, gdy wrócili zmęczeni z galerii handlowej. „Żebyś miał siłę na kolejne zakupy i nie tylko” – śmiała się, unosząc wymownie wypielęgnowane brwi. Roczny karnet na nowo otwartą siłownię. Już bardzo modną i drogą. „Dziękuję” – odpowiedział i położył go przy lustrze w przedpokoju. Był zdecydowany, że wykorzysta karnet wkrótce. W przyszłym tygodniu lub kolejnym. Nie zrobił tego nigdy.

Teraz, dysząc ciężko i krzywiąc się z wysiłku, szczerze żałował, że nie chodził na tę pieprzoną siłownię. Nie pedałowal na jakichś kretyńskich rowerach w takt skocznej muzyki i nie wyciskał ostatnich potów wśród nakręconych na bycie fit zombie. Lepsza kondycja by mu się przydała. Cholernie przydała.

Człowiek z aparatem minął plackarnię. Wolczuk spodziewał się, że skręci za róg, ruszy biegiem i ucieknie. Zaskoczyło go więc, gdy poszedł prosto na schody prowadzące do kościoła. Na trzecim odwrócił się, jakby chciał się upewnić, czy Wolczuk wciąż podąża jego śladem, i po raz kolejny złośliwie pstryknął fleszem.

Tym razem Damian był na to gotów. Po prostu odwrócił wzrok. Chwilę później był już przy schodach i zaczął wspinać się w ślad za zakapturzonym gnojkiem. Teraz wyraźnie było widać, że tamten też się zmęczył. Dzieląca ich odległość się nie zwiększała, ale i nie zmniejszała. Dobrze i tyle. Przynajmniej na razie, bo potem Damian miał nadzieję, że go w końcu dorwie. Dorwie, powali paralizatorem i rozpieprzy mu aparat na łbie.

Człowiek z aparatem dotarł na górę i skręcił w prawo. Damian przyspieszył, ignorując ból mięśni i pot, który wsiąkał w koszulę, kleił ją do pleców. Jeszcze tylko paręnaście metrów. Jeszcze kilka. Skręcił i się zawahał. Pusto. Nigdzie nie było śladu człowieka z aparatem. Nie było śladu nikogo.

Wolczuk zatrzymał się i z trudem wstrzymał oddech. Na chwilę. Na ile zdołał, by spróbować wyłowić z ciszy odgłosy, które mogły zdradzić tamtego. Echo kroków, ciężki oddech, cokolwiek... Słyszał tylko krew pulsującą w skroniach. Płuca paliły w piersi, domagały się tlenu.

Wciągnął powietrze ze świstem i już miał ruszać dalej, gdy jego uwagę przyciągnęło boczne wejście do kościoła, oddalone od schodów ledwie o kilka kroków. Solidne, drewniane drzwi. Stosunkowo szerokie i uchylone. Nie więcej niż na szerokość dłoni, ale wystarczająco, by krótki, blady błysk wewnątrz podkreślił ich łukowy kształt.

– Tu się schowałeś... – Wolczuk wyciągnął z kieszeni paralizator. Zacisnął go pewnie w dłoni i podkradł się cicho do wejścia. Nasłuchiwał przez chwilę. W głębi, daleko od drzwi coś stuknęło. Odbiło się głuchym echem. Położył lewą dłoń na drewnie i pchnął z wyczuciem. Obawiał się, że zawiasy zaskrzypią, lecz tak się nie stało. Widać wciąż były dobrze nasmarowane. Pchnął ponownie, uchylając drzwi na tyle, by mógł się przez nie wślizgnąć do środka. Kilka kroków dalej były kolejne. Otwarte na oścież. Prowadzące do nawy głównej. Wewnątrz panował półmrok. Gdzieś paliło się jakieś światło, ale daleko. Może niewielki kandelabr przy ołtarzu, a może coś innego. Było cicho.

Wolczuk wahał się tylko przez moment. Potem wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Głośno, ostentacyjnie, tak aby huk odbił się

echem od ścian świątyni. Nie zamierzał się już dłużej bawić w kotka i myszkę. Byli obaj w jednym, dużym pomieszczeniu. Aparat fotograficzny przeciw dwustu tysiącom woltów.

– Teraz ja ci poświecę, dupku! – krzyknął i ruszył pewnym krokiem. Zbyt pewnym.

Cios trafił go w potylicę. Może pałka, może coś innego, co było pod ręką. Twarde i skuteczne. Brutalnie odebrało mu świadomość. Wolczuk zwałił się na ziemię. Paralizator prześlizgnął się po posadzce. Odbił się od ławy i zastygł bez ruchu.

42

Radiowóz toczył się pustą ulicą. Wolno, jak zwykle, gdy noc była spokojna. Żadnych wezwań, żadnych interwencji, domowych awantur, rozbojów. Nudny patrol. Nudny tym rodzajem nudy, o jakiej marzą wszyscy rozsądni policjanci. Karolina Kaniewska się do nich zaliczała. Miała dość rozsądku, aby doceniać radiową ciszę. Kryński również. Może dlatego oboje lubili jeździć razem.

Nie zdarzało się to często, bo Kryński miał swoją robotę w rejonie. Tyle że posterunek był mały. Zbyt mały, by dzielnicowi mogli zajmować się tylko tym, co wchodziło w zakres ich obowiązków. Czasem robili za zapchajdziury. Tak po prostu, gdy brakowało rąk do pracy. Normalna rzecz. Nikt się nie skarżył, a na pewno nie Kryński. Pasowała mu ta różnorodność. Miało to zresztą swoje plusy. Jeżdżąc w patrolu, wiedział, co się dzieje w terenie. Poza tym lubił Kaniewską. Czuł się przy niej swobodnie. Działo to w obie strony.

– A wiesz, dlaczego policjantka jęczy podczas śledztwa? – spytała Karolina. – Bo trwa dochodzenie! – Parsknęła i skręciła, nie włączając kierunkowskazu. Mimo całej sympatii bardzo tym zawsze drażniła Kryńskiego. Nie tym, że śmieje się z własnych dowcipów. Nie samym śmiechem, bo ten miała całkiem przyjemny. Może trochę zbyt piskliwy, lecz przyjemny. Drażniła go tą nonszalancją wobec przepisów. W porządku, był niemal środek nocy, miasto było puste, ale to

powinien być odruch bezwarunkowy. Brak sygnalizacji zamiaru wykonania manewru – dwieście złotych. Nie zwrócił jej jednak uwagi. Zakrztusił się ze śmiechu. Szybko się opanował.

– Zjedź, tam ktoś siedzi.

– Pijany – zasugerowała, marszcząc czoło. Tym razem włączyła kierunek.

– Zobaczymy. – Sięgnął po czapkę.

Trzasnęły drzwi.

– Aspirant Dariusz Kryński, dobry wieczór.

Na dźwięk jego głosu siedzący na krawężniku mężczyzna podniósł głowę. Dopiero wtedy Kryński go poznał.

– Dominik? Coś się stało?

– Cześć, Darek. – Przewodnik uśmiechnął się blado i wyciągnął drżącą dłoń. – Nie uwierzysz, ale jakiś wariat potraktował mnie prądem. O, cześć, Karolina.

– Cześć! – Dziewczyna kucnęła i przyjrzała mu się. – Jesteś cholernie blady, potrzebujesz pomocy. Może zabierzemy cię do lekarza?

– Nie, nie. – Pokręcił głową. Był rozedrgany, ale patrzył trzeźwo. – Już mi lepiej.

– Mów, co się stało – poprosił Darek.

– Będę organizował nocne zwiedzanie. Ale nie takie, jak to oficjalne, na sto czy dwieście osób, bo wtedy każdy sobie przeszkadza. Myślę o małych grupach, wiesz, tak żeby to było sensowne. – Pomasował kark. – Dziś chciałem sprawdzić czas między kolejnymi punktami. Zagapiłem się i wpadłem na jakiegoś faceta. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, użył paralizatora. Potem ocknąłem się na ziemi, a on był obok.

– Ukradł ci coś?

– Nie – zaprzeczył. – Nic nie zabrał. Ja upadłem, a on coś krzyknął i uciekł. – Zastanowił się chwilę i dodał: – Ale na pewno nie krzyczał „przepraszam”. Chyba nawet to nie było do mnie.

– Może nie był sam – zasugerowała Karolina.

– Pamiętasz, jak wyglądał? – Kryński wyciągnął notatnik.

– Żartujesz? Ledwo pamiętam, co tu robiłem.

– No tak... Może chociaż wzrost, to, jak był ubrany, cokolwiek?

– Chyba był trochę niższy ode mnie, nie jestem pewien. Ubranie raczej ciemne... – Zmarszczył czoło z wysiłku. – Nie, naprawdę nic nie pamiętam. Najgorsze, że upadł mi telefon. – Pokazał pęknięty ekran. – Nie włącza się, a żona pewnie się już martwi. – Spojrzał z nadzieją na Kryńskiego. – Może mógłbyś mi pożyczyć na chwilę swój?

– Jasne! – Darek bez wahania odblokował i podał mu urządzenie. Patrzył, jak wybiera numer, potem wstał i odszedł kilka kroków.

– No, cześć, kochanie... Nie, nie, wszystko w porządku... Upadł mi, kiedy... – Przewodnik wciąż miał drżący głos.

– Nic nie ma – mruknęła Karolina, widząc, że Kryński rozgląda się w skupieniu. – Myślisz, że to był nieudany napad? Koleś chciał go okraść, ale ktoś go przepłoszył?

– Raczej nieporozumienie. – Pokręcił głową, starając się nie słuchać tego, jak Dominik próbuje uspokoić żonę. Osiągał raczej odwrotny efekt. – Paralizator to defensywa. Pewnie wpadli na siebie i tamten spanikował. Ktoś przyjezdny. Z większego miasta, może turysta z zagranicy, gdzie nie jest bezpiecznie włóczyć się po nocy. Uznał Dominika za zagrożenie i zadziałał jak trzeba. Potem uciekł, przekonany, że udało mu się uchronić przed rabunkiem lub pobiciem.

– Brawo – mruknęła z przekąsem. – Kiedy przenosisz się do dochodzeniówki?

– To logiczne. – Wzruszył ramionami.

– Więc zapisuj, Sherlocku. – Wskazała służbowy notatnik, który miał w dłoni. Chciała jeszcze coś dodać, ale w tym momencie z auta dobiegł ich dźwięk wezwania. Spojrzała więc tylko wymownie i wróciła do radiowozu.

– Dzięki. – Przewodnik podniósł się i oddał telefon. – Lepiej wrócę do domu, wystarczy mi na dziś problemów.

– Wsiadaj, podrzucimy cię – zaproponował Kryński, kończąc notatkę.

– Nie! – Karolina wychyliła się przez okno. – Darek!

Wypowiedziała jego imię nagłaco. Jak rozkaz. Alarmujący i zmuszający do działania. Zatrzasnął notes i ruszył biegiem do samochodu. Niebieskie światło rozbłysło na dachu. Zalało ulicę.

Zapulsowało w oknach. Ledwo zdążył wsiąść, nim ruszyła. Opony zapiszczały na kostce brukowej. Nie musiał pytać. Po chwili odezwała się sama.

– Włam albo dziesiona w kościele. – Wjechała na pusty rynek i skręciła w lewo. Pod prąd. – Był telefon, że słyhać ze środka wrzaski. – Silnik zawył, gdy wcisnęła pedał gazu. Bez sensu, bo za chwilę musiała ostro hamować. Klocki zapiszczały. Skręciła w prawo i znów dała po gazie. – Ktoś się tam wcześniej kręcił. – Błękitna poświata ślizgała się po fasadach. Wabiła nocnych marków. Dwie lub trzy firanki poruszyły się, ktoś wyjrzał z bramy. Dobrze, że nie włączyli syreny, wtedy obudziliby pół miasta.

Radiowóz zatrzymał się u podnóża schodów. Niemal na nie wjechał. Zgrzytnął zaciągany ręczny. Trzasnęły drzwi. Para policjantów ruszyła biegiem pod górę.

Niebieski stroboskop sprawiał, że ich ruchy wydawały się rwane. Nienaturalne.

Nieludzkie.

43

Damian Wolczuk otworzył szeroko oczy. Tak nagle, że zabolalo. Leżał na kamiennej posadzce. Kwadratowe płytki ułożono jak szachownicę: na przemian ciemne i jasne. Niejednolite, poprzecinane żyłami, wytarte i zimne. Lodowato zimne. Metr, może półtora dalej zaczynały się ławki. Długie, brązowe i solidne. W przejściu między nimi rozwinięto długi dywan. Prowadził od wejścia aż po ołtarz. Z podłogi nie było tego widać, ale Wolczuk pamiętał. Widział to na chwilę przed tym, gdy stracił świadomość. Gdy mu ją odebrano.

Chłód kamienia przenikał jego ciało. Przeciskał się przez skórę, mięśnie i ścięgna. Przez białe ściany kości, aż do szpiku. Wolczukowi wydawało się, że przez to krew krąży wolniej. Że gdyby się nie obudził, zatrzymałaby się zupełnie. Jakiś dźwięk wibrował mu w uszach. W głowie. To jego własne zęby uderzały o siebie. Musiał wstać. Zmusić

zdrętwiałe ciało do ruchu i w ten sposób się rozgrzać. Musiał, ale nie zrobił tego. Nie od razu.

Przekręcił głowę, podążając za kwiecistym motywem dywanu. Bordową nicią, której użyto najwięcej. Choć przełamana innymi kolorami, to ona dominowała. Wypełniała środek i brzegi. Spływała z nich na posadzkę. Rozlewała się bordową plamą. Zastygała na łączeniach płytek. Otepiały Wolczuk potrzebował dłuższej chwili, aby zrozumieć, że patrzy na krew. To wystarczyło, by go otrzeźwić. Dźwignął się i usiadł. Potem zaklął.

Ciało leżało na lewo od ołtarza. Dlatego wcześniej go nie widział. Na wznak, z szeroko rozrzuconymi ramionami i wyprostowanymi nogami, imitując kształt krzyża. Tak jak kładą się bogobojni do modlitwy w najgłębszym uniżeniu. Ale to nie była modlitwa. Nie twarzą do góry. Zakrwawioną i zapuchniętą od uderzeń. Upiornie niehumanitarną.

Czarna sutanna była przesiąknięta krwią. Rozerwana na piersi, na której ktoś namalował krzyż. Krwiste, przecinające się smugi. Wolczukowi zakręciło się w głowie, zebrało na wymioty. Mimo to zbliżył się wolno, niepewnie. W pierwszej chwili chciał sprawdzić, czy mężczyzna żyje. Schylił się i sięgnął do jego szyi, by poszukać tętna. Zawahał się jednak i cofnął dłoń. Pozostawienie odcisków palców na trupie nigdy nie jest dobrym pomysłem. Zwłaszcza gdy ktoś zwabia cię na miejsce zbrodni i zostawia tam nieprzytomnego.

Rozejrzał się czujnie. Bezruch. Żadnych kamer. Nasłuchiwał chwilę. Cisza. Tylko on i ofiara. Narzędzie zbrodni leżało na dywanie. Nietrudno było się domyślić. Kanciasta noga od krzesła. Jednego z tych, na których siadają podczas mszy ministranci. Oblepiona krzepnącą krwią. Mimowolnie wyobraził sobie, jak uderza, rozcina skórę, miazdzy tkanki. Z trudem powstrzymał torsje.

Musiał uciekać. Ta myśl pęczniała mu pod czaszką. Narastała jak dźwięk syreny alarmowej. Uciekać, nim pojawi się policja. Nim wrobia go w zabójstwo. Cofnął się o krok. Ksiądz zacharczał cicho. Spieniona krew zabulgotała w miejscu, gdzie powinien mieć usta. Spłynęła na posadzkę. Wolczuk zamarł. Ten człowiek żył. Zamiast głowy miał krwawą miazgę, a mimo to żył. Może nie było jeszcze za późno, by go

uratować?

Drżącą dłonią sięgnął po telefon. Z trudem odblokował ekran. Ile potrzeba czasu, by przyjechało pogotowie? Kilkanaście minut? Może kilkadziesiąt...

Wystukał sto dwanaście i przyłożył telefon do ucha. Jeśli pomoc dotrze na czas, to jest szansa, że ksiądz przeżyje. Może będzie pamiętał sprawcę? Może oczyści Wolczuka z zarzutów. Zarzutów, które na pewno mu postawią, gdy zastaną go na miejscu. Nad ofiarą... Czemu ten pieprzony numer nie odpowiada? Ponownie wybrał połączenie. Niech mu powiedzą, czy może ruszać rannego. Ułożyć w pozycji bocznej, aby się nie zadławił... Wtedy zostawi swoje ślady, odciski palców, ale będzie miał przynajmniej dowód, że zrobił to na polecenie dyspozytora...

Wbrew sobie znów spojrzał na oblepione krwią włosy i to, co było poniżej. Co widział dotychczas tylko na filmach. Takich, których reżyser musiał mieć coś nie tak z głową. Jakim trzeba być zwyrolem, żeby skrzywdzić tak drugiego człowieka. W dodatku księdza...

„Uciekaj, Wolczuk! Uciekaj, idioto!” – krzyczał w nim instynkt lub głos rozsądku. Albo jedno i drugie. Coraz trudniej było je ignorować. Czemu nie ma sygnału? Spojrzał znów na ekran telefonu. Brak zasięgu. Grube mury kościoła skutecznie go zatrzymywały.

Ksiądz wydał z siebie cichy bulgot. Błada, umazana krwią pierś poruszyła się i zamarła. Coś małego przesunęło się na niej. Wolczuk dostrzegł to dopiero teraz. W miejscu, gdzie krzyżowały się smugi. Niewielki, kulisty kształt, który wziął wcześniej za kawałek materiału lub skrzep. Pochylił się i zaklął. To był koralik. Taki, jaki można było nanizać na kawałek rzemienia lub łańcuszek. Taki, jaki mógł być elementem różańca. Taki, jaki kilka dni wcześniej policja znalazła na piersi Beaty.

To go otrzeźwiło. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę. Zamiast niej wyciągnął gumowe rękawiczki. Pokryte krwią, która kontrastowała z białym lateksem, materiałem, z jakich je wykonano.

– Skurwiel! – warknął. Teraz już nie miał wątpliwości, że to nie ksiądz, ale on był prawdziwą ofiarą. Miał być.

Cienki lateks pozwolił wyczuć kulisty kształt. Zabrał go z drżącej piersi i wcisnął do kieszeni spodni. Rozmazując namalowany krzyż, ale nie zostawiając innych śladów. Teraz działał już instynktownie. Cofnął się dwa kroki, podniósł paralizator i rozejrzał się, upewniając, że nic innego nie zgubił. Pomacał kieszenie. Dokumenty, telefon i pieniądze były na miejscu. Zatrzymał się przy ławce. Nie pamiętał, czy wstając, nie wsparł się na lakierowanym drewnie. Na wszelki wypadek przetarł brzeg rękawem, kilka razy, mocno dociskając. Potem ruszył biegiem w kierunku bocznych drzwi. Tych samych, którymi wszedł. Wątpił, by główne zostawiano otwarte na noc.

Czas był kluczowy. Ktoś zwabił go tu, ogłuszył, a później skatował księdza. Na pewno też zawiadomił policję. Tylko kiedy? Nie zadzwonił z kościoła, bo nie miał zasięgu. Nie zadzwonił też zaraz po wyjściu. Musiał oddalić się na bezpieczną odległość, taką, by własnym głosem nie przyciągnąć niczyjej uwagi. By nie było żadnych przypadkowych świadków. Wolczuk miał w tym czasie leżeć nieprzytomny. Tak go mieli znaleźć. Z dowodami, które w zupełności wystarczyłyby, aby skończył w pierdłu. Ocknął się jednak wcześniej. Miał dużo szczęścia. Pytanie, czy dość, by wydostać się z pułapki.

Łokciem nacisnął klamkę. Wstrzymał oddech w obawie, czy nie zostały zamknięte na klucz. Ale zamek ustąpił i Wolczuk wynurzył się z przesiąkniętego metalicznym zapachem krwi, zimnego jak grób wnętrza w ciepłe, pachnące lasem powietrze. W ciszę nocy i migające błękitnym stroboskopem światła.

Radiowóz zatrzymał się na dole, na ulicy. Trzasnęły zamykane drzwi. To wystarczyło. Wolczuk rzucił się biegiem w lewo, gdzie niezagrodzona żadną furtką przerwa w murze pozwoliła mu wydostać się na zewnątrz. Na prostą, wyłożoną kostką ścieżkę, która prowadziła na zachód. Zbyt prostą, by mógł nią uciec.

Policjanci byli już na schodach. Nie potrzebowali wiele czasu, by dostać się na górę, a wtedy mieliby go jak na widelcu. Biegnącego człowieka, który oddala się z miejsca przestępstwa. To nie wchodziło w grę. Musiał znaleźć inną drogę.

Tuż za ogrodzeniem mógł skrócić w prawo i zbiec stromą uliczką do

rynku. Równoległe do schodów, skryty za parkanem. Jednak to byłaby głupota. Wybiegłby na plac, otwartą przestrzeń, gdzie migające, policyjne światła wabiły gapiów jak nocne ćmy. To było ostatnie, czego potrzebował.

Dlatego skręcił w lewo, na wydeptaną ścieżkę prowadzącą w stronę czarnej ściany drzew porastających wzgórze od zachodu. Wzdłuż nich, ku warowni, wspinała się elegancka, kamienna droga. Ale ona nie była istotna. Istotne były krzaki rosnące tuż przy ścieżce, kilkanaście metrów od kościelnego muru, idealne, by skutecznie zasłonić kogoś, kto będzie się nią oddalał. Dające realną szansę, aby niezauważenie dotrzeć do lasu.

Schować się w nim. Zniknąć.

44

Wolczuk biegł. Krzaki dawały szansę, ale nie pewność. Chroniły tylko pod pewnym kątem. Tej nocy księżyc był w pełni, zachmurzenie niewielkie, więc wystarczyło, żeby ktoś obszedł kościół i miałby go jak na dłoni, dobrze widocznego w bladym świetle.

Domyślał się, że to mało prawdopodobne, bo w pierwszej kolejności policja zajrzy do środka, a wtedy będzie miała co robić. Mimo to odwrócił się kilka razy, upewnił. Sto trzydzieści metrów. Około siedemnastu sekund strachu.

Wbiegł zdyszany między drzewa, potknął się, uderzył boleśnie o pień, stracił równowagę. Trzask łamanych gałęzi wydał mu się piekielnie głośny. Upadł i zamarł z twarzą wciśniętą w śmierdzącą wilgocia i zbutwiałym drewnem runo.

Leżał dłuższą chwilę, nasłuchując odgłosów pogoni, której nie było. Żadnych krzyków, nawoływań, tupotu. Nic. Przewrócił się na plecy i uspokoił oddech. Drzewa ponad jego głową tworzyły szczelną zasłonę, nie przepuszczały księżycowego blasku. Był bezpieczny.

Bezpieczny na tyle, na ile może być bezpieczny człowiek, który oddalił się z miejsca przestępstwa na około dwieście metrów. Zyskał chwilę

czasu, kilka minut, może kilkanaście. Kilkadziesiąt, jeśli policja będzie działać opieszale. Nie zamierzał tego sprawdzać.

Podniósł się i zbadał zawartość kieszeni. Po omacku, bo było zbyt ciemno, aby dostrzec cokolwiek. Telefon, dokumenty, pieniądze i paralizator były na swoim miejscu. Lateksowe rękawiczki również. Nie wyciągnął ich w obawie, by nie zgubić koralika. To było irytujące, bo równocześnie nie mógł się upewnić, czy on nadal tam jest.

Teraz jednak Damian Wolczuk miał większe problemy na głowie. Musiał bezpiecznie opuścić okolicę i dotrzeć do klasztoru. Zamkniętego na noc, co stanowiło dodatkową komplikację, ale tym postanowił martwić się dopiero na miejscu. Korciło go, aby sprawdzić mapę w telefonie, lecz nie miał na to czasu. Poza tym blask ekranu mógł ściągnąć na niego uwagę. Zbyt duże ryzyko. Dzień wcześniej oglądał zdjęcia satelitarne okolicy. Musiał więc zaufać swojej pamięci. Pamięci, która była całkiem niezła.

Uznał, że najrozsądniejsze będzie przedarcie się przez las do ulicy Jędrzejowskiej, która przeciskała się między wzgórzem zamkowym a górą Rzepką. Nie dalej niż dwieście metrów od miejsca, w którym się znajdował. Potem musiałyby pokonać około stu pięćdziesięciu metrów oświetloną ulicą w dół, by odbić w bezpieczniejszy zaułek. Taki, gdzie raczej nie spodziewał się policji. Stamtąd wystarczyło przebiec wzdłuż muru otaczającego zabudowania sióstr bernardynek, aby dostać się na Franciszkańską. Ruszył na przełaj.

Światło księżyca nie przedostawało się przez korony drzew, więc Wolczuk musiał poruszać się po omacku, o wiele wolniej, niż planował. Czas płynął. Szedł ostrożnie, zważając co chwila o gałęzie i krzaki. Kluczył i potykał się, klnąc pod nosem, coraz bardziej wściekły i niepewny, czy nie pomylił kierunku. Co jakiś czas między drzewami migał blask latarni. To z lewej, to z prawej, również na wprost. Bliżej i dalej, zupełnie bez sensu.

Gdzieś w oddali słychać było sygnał karetki. Narastał, zbliżał się, aż w końcu zamilkł. Wolczuk czuł, że puszczają mu nerwy, że traci zbyt dużo cennego czasu. Gdy znów dostrzegł wątle światło, rzucił się biegiem w tamtym kierunku.

Przez sięgające kolan krzaki dotarł do ogrodzenia, siatki, która broniła dostępu do zadbanego podwórza i piętrowego domu. W jednym z okien paliło się światło, a w kojcu przy szopie warczał czujny pies. Wolczuk cofnął się, nim zwierzę zaczęło szczekać. Gdy w oknie poruszyła się firanka, już go nie było.

Wrócił kilkanaście metrów, a potem skręcił w prawo. Kilka kroków dalej teren zaczął opadać. Pomarańczowe światło latarni było coraz bliżej. Wdzierało się w gęstwinę, wydobywając z mroku wąską ścieżkę. Ścieżkę prowadzącą do ulicy.

Wolczuk odetchnął z ulgą, przeczesał dłonią włosy i otrzepał ubranie, poprawił się na tyle, na ile to było możliwe w kilkanaście sekund. Jeszcze raz, na wszelki wypadek, sprawdził kieszenie i wtedy to usłyszał.

Trzask. Taki, jaki wydaje sucha gałąź, gdy ktoś na nią nadepnie. Z tyłu, za plecami. Odwrócił się z paralizatorem w dłoni i zamarł. Przez ten cholerny blask latarni w pierwszym momencie nie mógł przeniknąć wzrokiem ciemności. Dopiero po chwili zaczynał odróżniać jaśniejsze plamy pni. Brak ruchu.

Las żyje, drewno czasem trzeszczy samo z siebie. Poruszone wiatrem korony drzew wywierają duże siły na pnie i gałęzie poniżej. Zwierzęta również wydają różne odgłosy, pewnie łamią racicami patyki. Wolczuk wątpił, aby w tym niewielkim lasku były sarny, ale kto wie. Był pewien, że to nie policja. Upłynęło zbyt mało czasu, by zdołali ściągnąć ludzi do przeszukania terenu, a nawet jeśli, to w tej chwili leżałby już prewencyjnie skuty kajdankami. A więc wiatr lub zwykłe naprężenie materiału, może obumarła gałąź, w której przestały już krążyć soki, może...

To niebywałe, jak jedna nagła, a przecież oczywista myśl może człowiekiem wstrząsnąć. To on! Wolczuk dostrzegł niewyraźny zarys postaci. Stojącej przy drzewie, może opierającej się o pień. Kilka, może kilkanaście metrów dalej. W miejscu, do którego nie docierała wątpła łuna latarni. Ciemniejsza plama, ledwie dostrzegalna, wtapiająca się w otoczenie, gdy tylko zatrzymać na niej wzrok.

Nie potrafił powstrzymać panicznego strachu, który nagle nim

owładnął. To nie był już jakiś żartowniś, którego gonił uliczkami Chęcina, tylko nieobliczalny psychopata. Bezwiednie wcisnął przycisk paralizatora. Łuk elektryczny zaterkotał niemrawo między elektrodami i zgasł. Wolczuk odwrócił się i rzucił do ucieczki. Ścieżką w dół, ledwo utrzymując równowagę.

Wybiegł z krzaków, w ostatniej chwili omijając metalowy kosz na śmieci. Ulica była pusta i nieruchoma jak zatrzymany kadr. Odgłos śpiesznych kroków do niej nie pasował, brzmiał obco, a mimo to nie przyciągał niczyjej uwagi. Nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć. Nikogo prócz Wolczuka i kogoś, kogo zostawił za plecami. Kogoś, kto mógł biec w ślad za nim. Może go doganiać, może nie.

Wolczuk nie obejrzał się, by to sprawdzić. Nie od razu. Strach dodał mu sił. Sto metrów niżej, na łuku drogi białął róg kamiennego muru, który odgradzał siostry bernardynki od świata. Od południa, tuż przy ulicy, oddzielony od niej chodnikiem, wydawał się niewysoki, ale klasztor stał sto metrów dalej, przy ulicy Małogoskiej, która biegła niżej. Dużo niżej.

Na łuku różnica poziomów wynosiła jedenaście metrów. Dlatego wybudowano tu schody. Kamienne, dość szerokie, z metalowymi, estetycznymi poręczami, pozwalały bezpiecznie pokonać spadek. Malowniczo oświetlone i równie puste jak ulica. Biegły wzdłuż muru, który opadał łagodnie, o wiele łagodniej niż teren. W najwyższym miejscu osiągał wysokość niemal ośmiu metrów, może trochę mniej.

Wolczuk zwolnił tuż przed pierwszym stopniem, żeby nie połamać nóg. Mimo to starał się utrzymać jak najszybsze tempo. Jeszcze tylko kilkanaście metrów. Ostatnie trzy schodki i już był na dole. Na prostym, równym chodniku. Trzydzieści metrów od Małogoskiej.

Teraz w końcu mógł się odwrócić, bez ryzyka, że skręci kark. Mógł się wreszcie upewnić, czy ktokolwiek go goni. Przeszło mu przez myśl, że to bezsensowne, że tamten koleś zbyt dużo by ryzykował, że nie powinien być tak głupi. A jednak był, na górze schodów.

„Skurwiel!” – Wolczuk poczuł nagły zastrzyk adrenaliny i przyśpieszył. Wybiegł zza rogu na ulicę.

Głuche uderzenie. Łoskot przetaczającego się po karoserii ciała.

Spóźniony, krótki pisk hamulców. Obudowa paralizatora pękła, uderzając o krawężnik. Wypadły z niej baterie. But znieruchomiał na asfalcie, kilka metrów dalej. We wstecznym lusterku obiekty są bliżej, niż się wydaje. Ciało zdawało się leżeć tuż za tylnym zderzakiem.

Awaryjne światła pulsowały.

Silnik zakrztusił się i zgasł.

Środa

45

Godzinę przed wschodem słońca mżyło, a o świcie pojawiły się mgły. Ich wątle pasma snuły się wśród drzew, gęstniały między basztami i spływały leniwie ku miastu, którego latarnie pogasły nagle jak zdmuchnięte gromnice. Wąskie uliczki pogrążone były w ciszy. Wilgotnym letargu, który oblepiał fasady uśpionych domów, skapywał z dachów, szklął się na bruku i wsiąkał w klaustrofobiczne podwórka.

Chęciny wydawały się szare, depresyjne i milczące niczym miasto duchów.

Dariusz Kryński opierał się o ścianę i patrzył w milczeniu na elektryczny czajnik. Czekał, aż woda się zagotuje i będzie mógł sobie zalać kawę. Sobie i Karolinie, która kończyła papierkową robotę kilka pomieszczeń dalej. Po dwie czubate łyżeczki na kubek. Drugi raz, odkąd wrócili na komisariat, i pewnie nie ostatni.

Stary kazał na siebie poczekać. Był już w drodze. Wkrótce miał też przyjechać prokurator od sprawy Beaty Chmielewskiej, dlatego w dochodzeniówce poza Karoliną pracowało już więcej osób. Przyszli wcześniej, żeby przygotować dokumenty, by niczego nie brakowało. Kryński obiecał, że nastawi więcej wody, aby starczyło i dla nich.

Kilkanaście minut później przyszli kolejni i na korytarzu zrobiło się gwarno. Chcieli wiedzieć, co wydarzyło się w nocy. Rozeszli się dopiero, gdy komendant wjechał na parking. Nie na długo, bo od wejścia zarządził odprawę.

– To sytuacja bez precedensu. – Starał się mówić rzeczowo

i spokojnie, ale nie potrafił ukryć zdenerwowania. – Statystycznie niemożliwa kumulacja zdarzeń w tak krótkim czasie. Tu? – spytał, wskazując palcem na podłogę. – Tu, do cholery? – Nie oczekiwał odpowiedzi i nie musiał mówić nic więcej. Wszyscy dobrze wiedzieli, że przez ostatnie kilka lat były w okolicy może dwa, trzy zabójstwa i kilka usiłowań. Wszystkie miały wspólny mianownik w postaci alkoholu. Alkohol i kuchenny nóż, siekiera albo młotek. Typowe sprawy, żadnej filozofii.

– Myśli szef, że to się łączy? – spytał jeden z operacyjnych. – Kilym z tą nocną dziesioną?

– Myślę, że za dużo tego jak na kilka dni, zwłaszcza z tymi z piaskowni. Już w tej chwili w wojewódzkiej się tym interesują i zaraz zaczną patrzeć nam na ręce. Burmistrz też będzie naciskać, jestem pewien, bo mu się to nie wpisuje w propagandę sukcesu, a za dwa lata wybory. No! – Pokiwał głową, uznając najwyraźniej, że dostatecznie nakreślił problem i zmotywował ludzi. – Dlatego chcę, żeby każde z was miało oczy i uszy otwarte. Szczególnie dzielnicowi – podkreślił. – Podpytajcie, kogo się da, w swoich rejonach. Może ktoś coś słyszał, widział, cokolwiek. Reszta to samo. Robić swoje, ale w miarę możliwości zbierać informacje. Poza tym chcę, aby współpraca z prokuratorem była wzorowa – zastrzegł.

– Zawsze jest, komendancie – zauważyła policjantka ubrana po cywilnemu.

– Teraz ma być bardziej! Zrozumiano? Świetnie! To przechodzimy do zwykłych spraw. – Wyciągnął z teczki wydruki, a reszta jak na komendę otworzyła notatniki. – Nie ma wyników. Mandaty, zatrzymania, wygląda to źle. – Standardowa codzienna mantra. – Dlatego musimy wzmóc... – Przerwał, gdy do pokoju zajrzał dyżurny z informacją, że przyjechał prokurator.

– Niech poczeka w moim gabinecie pięć minut. – Chrząknął. – Jest źle, więc trzeba wzmóc...

Tym razem uwinął się szybciej niż zwykle. Każdy i tak wiedział, o co chodzi, znał to na pamięć. Wyniki, bieżące informacje, zadania i jazda w rejon, jak co rano. Naturalnie kilka osób zostało na miejscu, zgodnie

z grafikiem. Karolina z Dariuszem również. Mimo że byli już po pracy, musieli poczekać, aż komendant skończy spotkanie z prokuratorem.

Spotkanie, na które zabrał raport Karoliny.

46

Zostali wezwani po godzinie, mimo że prokurator nie opuścił gabinetu. Najpierw Kaniewska, a po dwudziestu minutach Kryński. Gdy mijali się w drzwiach, Karolina uniosła brwi i wykrzywiła usta, jakby chciała dać do zrozumienia, że ta rozmowa była niepotrzebna, bo i tak wszystko jest w raporcie.

Kryński skinął głową, domyślił się, że stary chciał zrobić dobre wrażenie. Uznał więc za stosowne zameldować się oficjalnie, regulaminowo i na baczność. Nie zdążył tego zrobić.

– Jest i nasz miłośnik psów! – Prokurator Painer zgasił papierosa. Popielniczka była niemal pełna. Pomimo uchylonego okna w pomieszczeniu unosiły się smugi tytoniowego dymu. Komendant siedział za biurkiem, przodem do drzwi. Na blacie, pomiędzy teczkami, stały opróżnione filiżanki.

– Dzień dobry – powiedział wolno Kryński, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– W zeszłym tygodniu przy samochodzie sugerowaliście, że ofiary mogły przewozić w bagażniku psa – przypomniał Painer.

– Nie wiem, czemu mi to wtedy przyszło do głowy – odparł zakłopotany. Prokuratora poznał od razu, ale miał nadzieję, że zadziała to tylko jednostronnie.

– Siadaj, Darek. – Komendant wskazał puste krzesło. – Rozmawialiśmy właśnie o nocnej interwencji i mamy kilka pytań. Tak korzystając z okazji, że jest akurat pan Arkadiusz – dodał wymijająco. Spojrzał na prokuratora, a gdy ten nie podjął tematu, sięgnął po wydruk Karoliny. Chrząknął, szukając odpowiedniego fragmentu. Ponownie zwrócił się do Kryńskiego: – Kiedy dotarliście na miejsce, ofiara dawała oznaki życia sugerujące, że wymaga natychmiastowej

pomocy.

– Tak – potwierdził Kryński. – Sierżant Kaniewska natychmiast wezwała karetkę, a ja zająłem się poszkodowanym.

– Kaniewska napisała, że nie zrobiłeś tego natychmiast.

– Prawie natychmiast – doprecyzował. – Wcześniej wykonałem kilka zdjęć. Ale nie trwało to dłużej niż dziesięć sekund... Może piętnaście – dodał ciszej, widząc porozumiewawcze spojrzenia. – Następnie przystąpiłem do udzielania pomocy.

– To pogwałcenie procedur, prawda, panie aspirancie? – spytał Painer.

– Formalnie tak, ale...

– W regulaminie nie ma miejsca na „ale” – upomniał komendant. – Podejrzewam więc, że miał pan dobry powód, by się narazić na nieprzyjemności. – Prokurator wyciągnął z paczki papierosa i zapalił. – Może się pan nim z nami podzielić?

Kryński spojrzał najpierw na prokuratora, a potem na komendanta. Ten nieznacznie skinął głową. Chyba ta rozmowa nie miała na celu usmażenia czyjejs dupy. O ile Kryńskiemu się nie przywidziało lub stary najzwyczajniej go nie podpuszczał. Rozważał przez moment tę kwestię i uznał, że to nie miałyby sensu. Raport był wystarczającą podstawą do wszczęcia dyscyplinarki. Naturalnie jeśli komuś by na tym zależało, a Kryński wolał wierzyć, że tak nie jest. Nie jest i nie będzie, zwłaszcza że nie miał żadnych powodów, by cokolwiek ukrywać.

– Zadziałałem odruchowo. To wyglądało na próbę zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem i bałem się, że nie zapamiętamy istotnych detali, które ulegną zatarciu lub przemieszczeniu w trakcie udzielania pomocy. Dlatego zrobiłem zdjęcia, które dołączę do raportu Karoliny, jak tylko zgram je na komputer. Niestety robiłem je telefonem i pod presją czasu, więc nie wszystkie wyszły jak należy – zaznaczył. – Operacyjny z Kielc był szybko, a technik dopiero nad ranem. Miał pracowity dyżur i nas zostawił sobie na koniec. Od razu powiedział, że miejsce jest felerne, a śladów tyle, że można odtworzyć listę obecności w mszach z ostatniego miesiąca. Sugerował, żeby lepiej szukać

jakiegoś świadka.

– Czy mógłbym obejrzeć te zdjęcia? – spytał Painer.

– Słucham?

– Zdjęcia, które pan zrobił. Domyślam się, że ma pan przy sobie telefon?

– Tak, oczywiście. – Kryński sięgnął do kieszeni. Odblokował ekran i otworzył galerię. Po chwili wahania podał urządzenie prokuratorowi. Nie był pewien, czy nie ma tam jakichś kompromitujących fotek. Uznał, że nawet jeśli były, to raczej o wiele wcześniej. Mała szansa na to, że prokurator do nich dotrze. – Jakąś godzinę temu dzwoniли z OIOM-u – przypomniał sobie. – Robią, co mogą, ale nie jest dobrze. Rozważają wprowadzenie księdza w śpiączkę farmakologiczną. Nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle będzie można z nim porozmawiać.

– Wiemy. – Komendant spojrział na zegarek. – Proboszcz już tam jedzie. Potem mamy się z nim spotkać na miejscu, w kościele. Da znać, gdy będzie wracał. Wiernym na porannej mszy powiedział, że wikariusz spadł z drabiny, wieszając kandelabr. To samo powtórzył dziennikarzowi z „Echa”.

– Pismak już był? Szybko... – zdziwił się Painer, nie odrywając oczu od ekranu.

– Ktoś musiał go powiadomić – zasugerował Kryński.

– Ma układ z kierowcą karetki – wyjaśnił komendant. – Ale nie napisze nic poza tym, co usłyszał od proboszcza. Mają tam w „Echu” kolejne cięcia i istne polowanie na czarownice, więc facet nie będzie ryzykował afery.

– W porządku. – Painer oddał telefon razem ze swoją wizytówką. – Proszę mi przesłać te zdjęcia ememesem. Jest pan wolny.

Kryński spojrział na komendanta, a gdy ten skinął głową, wstał i wyszedł. Painer poczekał, aż zamkną się za nim drzwi.

– Dobrze zrobił. Sprytny gość – powiedział, gasząc papierosa.

– Oczywiście. Te zdjęcia dostaniesz też razem z raportem, bo w ememesie będą gorszej jakości.

– Wiem.

– Chcesz tam, do kościoła, zajrzeć teraz czy z proboszczem?

– W ogóle. Na miejscu nie ma już nic ciekawego, czego nie widzieli twoi ludzie i technik. Do proboszcza wyślij swoje ogry, to znaczy kryminalnych – poprawił się. – Albo porozmawiaj sam. Rozpytajcie też ludzi. Może księżulek miał jakieś długi albo za bardzo kręcił się przy dzieciakach? Zresztą sam wiesz najlepiej. – Zabębnił palcami o blat obok przepelnionej popielniczki, z której posypał się popiół. – A teraz sprawa Chmielewskiej. Przejrzałem zeznania świadków z ośrodka, w którym się leczyła, i mam do nich kilka pytań. Dałbyś mi tam kogoś na kilka godzin, bo to zawsze lepiej wygląda, gdy mam ze sobą miejscowego. Najlepiej od razu, szkoda tracić czas.

– Nie ma sprawy. – Komendant sięgnął po słuchawkę.

– Świetnie. – Painer podniósł się i skinął głową. – Poczekam na zewnątrz.

47

Kryński wyszedł z budynku. Przezroczyście drzwi wiatrołapu, ze względu na ograniczony budżet, nie zostały wyposażone w samozamykacz, więc musiał zamknąć je za sobą. Gdyby tego nie zrobił, mocniejszy powiew wiatru trzasnąłby nimi o aluminiową, pomalowaną na szaro framugę. Niewielka, może metrowa przestrzeń zadziałałaby wtedy jak pudło rezonansowe i zwielokrotniało odgłos uderzenia, co zmusiłoby dyżurnego do wyjścia i sprawdzenia, co się dzieje.

Musiałby to zrobić, bowiem kamera nad wejściem skierowana była na podjazd i parking. Nie obejmowała wiatrołapu i drzwi. Na monitorach umieszczonych w dyżurce nie było widać samego wejścia. Z zewnątrz, bo wewnętrzna kamera rejestrowała każdego, kto wchodził. Drobna, ale uciążliwa niedogodność.

– Jest związek?

Kryński drgnął. Był już cholernie zmęczony. Kilkanaście godzin na nogach, może więcej. Nie pamiętał, ile i czy w ogóle spali poprzedniej nocy z Dorotą. Na służbie wypił dwa energetyki, potem kilka kaw.

Pobudzone adrenaliną nerwy trzymały go na obrotach aż do rozmowy w gabinecie, do samego jej końca. Gdy ponownie znalazł się na korytarzu, nagle jak gdyby ktoś poprzecinał sznurki. Ciach i koniec.

Kryński mógł myśleć już tylko o tym, by iść do domu i położyć się spać. Karolina musiała czuć to samo, bo opuściła komisariat zaraz po rozmowie. Szkoda, że nie pomyślała, aby poczekać i go podwieźć. Oczywiście nie winił jej za to. Był zły na siebie, że zostawił samochód pod domem i teraz czekał go kilkukilometrowy spacer. W dodatku między ludźmi, bo o tej godzinie uliczki Chęcín były już rozbudzone, choć nie wypełniał ich gwar podobny do tego, jaki spotyka się wśród kamienic starego Krakowa czy w Kazimierzu nad Wisłą. Żyły swoim tempem. Nie za tłocznym, nie za szybkim, lecz odczuwalnym jak spokojne bicie serca. Kryński w obecnym stanie myślał jednak o nich jak o Marszałkowskiej w godzinach szczytu i ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było spotkanie z kimkolwiek, kto chciałby zamienić choć słowo. Tym bardziej więc zaskoczył go szorstki głos prokuratora Painera, który stał tuż za rogiem i przyglądał mu się badawczo.

– No już, bez zastanowienia. Jest?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – wymamrotał Kryński. Jego myśli grzęzły na mieliźnie niechęci do tej rozmowy.

– Obie sprawy. Dziewczyna i ksiądz – wyjaśnił z irytacją Painer. – Są powiązane czy nie?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Czemu?

– Bo... jest inny schemat działania? Zabójstwo Beaty było zaplanowane, a zdarzenie z księdzem nie?

– Czemu pan tak uważa?

– Przepra... – Nie mógł powstrzymać przeciągłego ziewnięcia. – Nie wiem, przepraszam, tak tylko powiedziałem. To nie moja sprawa, w ogóle nie moje kompetencje i jestem już po pracy. Przepraszam – powtórzył. – To była naprawdę ciężka noc i chciałbym jak najszybciej być w domu.

– W porządku. Tylko niech mi pan powie, czemu pobicie księdza uważa pan za nieplanowane, i już pana nie męczę.

– Narzędzie zbrodni było improwizowane. Noga od krzesła, którą znaleziono na miejscu. Na kirkut narzędzie zostało przyniesione.

– Dobrze, może pan iść. – Odwrócił się, tracąc zainteresowanie Kryńskim, jak gdyby wcale nie rozmawiali.

– Do widzenia – mruknął Darek i ruszył do bramy. Za nią skręcił w prawo, jak zwykle.

Wzdłuż zielono-brązowych ogrodzeń do zakrętu, a potem ulicą Krzywą na skos. Krzywa miała ledwie osiemdziesiąt metrów długości i wychodziła wprost na Długą. Dlatego Kryński uważał, że powinna nazywać się Krótka.

Uważał też, że się pomylił kilka minut wcześniej. Zaskoczony pytaniem, powiedział, że między sprawami nie ma związku, ale związek był. Religijny. Cmentarz i kościół, judaizm i katolicyzm, Stary i Nowy Testament. Coś, o czym mówił mu Wolczuk, a przynajmniej próbował. Po chwili wahania Kryński wyciągnął telefon i wybrał jego numer. Abonent był czasowo niedostępny. Damski, beznamiętny głos prosił, by zadzwonić później.

Wyszedł na Długą. Ulica prowadziła do rynku, była jednokierunkowa. Mimo to odruchowo spojrzął w obie strony. Kilka metrów dalej stał czarny, zabytkowy mercedes. Zaparkowany naprzeciw synagogi, kołami na wąskim chodniku. Od fasady kamienicy dzieliło go może pięćdziesiąt centymetrów, może trochę więcej. Na pewno mniej, niż powinno. Ale tak się tu parkowało. Miejscowi i przyjezdni, mając do wyboru tarasowanie przejazdu lub chodnika, wybierali mniejsze zło, zmuszając pieszego, by szedł drugą stroną ulicy. Nikomu to nie przeszkadzało. Kryńskiemu również.

Skrzypnęła furтка. Starszy mężczyzna miał na nosie okulary w czarnej oprawie, na głowie mykę, a w dłoni jakąś dokumentację, która zaabsorbowała go na tyle, że omal nie zderzył się z Kryńskim. Obaj zareagowali z opóźnieniem, ale w ostatniej chwili, tak że ledwie się o siebie otarli.

– Pan wybaczy, powinienem bardziej uważać – zreflektował się mężczyzna.

– Nic się nie stało.

Poszli każdy w swoją stronę. Mężczyzna do auta, z którego bagażnika wyjął walizkę, w jakiej przechowuje się sprzęt mierniczy, a Kryński w kierunku rynku.

Sto metrów, minuta marszu. W aktualnym stanie blisko dwie. Wystarczająco, by tryby w głowie pokonały opór zmęczenia. Powinien iść prosto, lecz zamiast tego skręcił w prawo i wszedł do sklepu.

W środku nie było klientów. Tylko kasjerka i stały bywalec z piwem w dłoni. Oboje zamarli na widok policjanta. Artykuł czternasty ustawy o wychowaniu w trzeźwości.

– Tylko to – powiedział Kryński, stawiając na ladzie puszkę energetyka.

– Panie władzo, niech pan nie pije tego świństwa. To wali wątrobę gorzej niż proste wino.

– Wiem, panie Władku.

– Szkoda psuć zdrowie. – Sprzedawczyni pokręciła głową, ale zgarnęła banknot i wydała resztę.

Kryński schował monety do kieszeni. Wypił duszkiem. Opróżnioną puszkę wyrzucił do kosza przed wejściem. Odetchnął głęboko i ruszył z powrotem. Do miejsca, gdzie zaparkowany był czarny mercedes.

48

– Tu nie wolno, zamknięte! – zaprotestował Mateusz Fiszer, gdy skrzypnęły drzwi. Nie widział, kto wchodzi. Nie z głównego pomieszczenia, dawnej sali modlitw, którą po wojnie zmieniono na bibliotekę i kino. Później wprowadził się tu ośrodek kultury, na którego potrzeby ściany pokryto boazerią i zbudowano podwyższenie, niewielką scenę, tuż obok wejścia. Kinowe fotele obite bordową tapicerką ustawiono wzdłuż ścian. Pewnie wykorzystywano podczas przedstawień.

Na pewno siadała na nich zmęczona tańcem młodzież, gdy w latach dziewięćdziesiątych organizowano tu dyskoteki. Wtedy ten wystrój był już niemodny, zakurzony, przywodzący na myśl towarzyszy u steru

władzy, która walczyła dzielnie z problemami, jakie sama tworzyła. Brakowało tylko czarno-białych portretów na ścianie i godła bez korony. Może nawet gdzieś były, wetknięte w jakiś kąt i zapomniane.

– Dzień dobry. Aspirant Dariusz Kryński, komisariat w Chęcinach.

– To pan się wrócił? – zdziwił się Fiszer. – Wpadliśmy na siebie kilka minut temu, prawda?

– Tak. Jestem tu dzielnicowym i tak sobie pomyślałem, że zajrzę i upewnię się, że wszystko w porządku.

– To miło z pana strony. – Fiszer podał mu dłoń. – Mateusz Fiszer.

– Wiem, był pan u nas na komisariacie i rozmawiał z kolegą.

– Zgadza się. Pana kolega pytał w związku ze śmiercią tej dziewczyny. To bardzo przykre, że tak się stało. Wie pan, ciągle o tym myślę i nie mogę pojąć, dlaczego ludzie robią takie rzeczy.

– Ja panu nie odpowiem.

– Ale szukacie sprawcy? Znajdziecie, prawda?

– Prokuratura i policja działają. Wszyscy trzymamy kciuki i wierzymy, że prędzej czy później sprawiedliwości stanie się zadość.

– Prędzej czy później? – zdziwił się Fiszer. – To myśli pan, że to może długo potrwać.

– Nie wiem. Każde zabójstwo jest skomplikowane i wymaga ogromu pracy. Na efekty czasem trzeba poczekać.

– Naturalnie. Ma pan rację. – Zmarszczył czoło. – Ale macie jakiś trop, coś, co doprowadzi do zabójcy?

– Ze względu na dobro śledztwa nic nie mogę powiedzieć.

– Rozumiem, oczywiście.

– Nie byłem tu od kilkunastu lat. – Kryński rozejrzał się po pomieszczeniu. Zawiesił wzrok na stole bilardowym, który stał przy ścianie. – Nic się nie zmieniło. Poza grzybem na suficie.

– Istotnie, budynek wymaga już remontu. Z dokumentów wynika, że ostatni przeprowadzono na początku lat dziewięćdziesiątych, czyli dwadzieścia pięć lat temu. Biorąc to pod uwagę, i tak trzeba przyznać, że jest w dobrym stanie. – Fiszer przeszedł pod liszaj, który szpecił północno-wschodni róg sufitu i ścianę. – O dach należy zadbać w pierwszej kolejności. Pan wie, że pierwotnie był inny?

– Nie.

– Podejrzewa się, że mógł być typowo renesansowy, pogrążony i skryty za attyką, co pasowałoby do późnorenesansowego portalu, przez jaki pan wszedł przed chwilą, i oczywiście takiegoż aron ha-kodeszu. – Wskazał go ruchem głowy. – Ale to tylko domysły. Nie zachowały się żadne źródła. Obecny wykonano już po wojnie, pod koniec lat pięćdziesiątych. To typowo polski, czterospadowy, uskokowy dach kryty gontem. Pasujący, uważam, bardzo ładnie.

– Aron... Przepraszam, ale pierwszy raz słyszę tę nazwę.

– Proszę się nie przejmować. – Fiszer uśmiechnął się ze zrozumieniem i podszedł do kamiennego, pozbawionego zakrycia ołtarza, który wmurowany był w centralnym miejscu na wschodniej ścianie. – Aron ha-kodesz to po hebrajsku święta arka. Potocznie nazywa się go ołtarzem na rodąły.

– Ołtarz na rodąły znam.

Mateusz skinął głową.

– To jeden z najważniejszych elementów wyposażenia głównej sali modlitw. Jest zawsze zwrócony w stronę Jerozolimy, a więc w Europie umieszcza się go na ścianie wschodniej, tak jak tu. Ten wykonano z czarnego marmuru dębickiego i intarsjowano marmurem checińskim. Pierwotnie był polichromowany. – Przesunął dłonią po zdobieniu. – Swoim kształtem nawiązuje do Pięcioksięgu Mojżeszowego zwieńczonego kartuszem z koroną, niestety uległ częściowemu zniszczeniu podczas wojny. – Fiszer spojrzał na policjanta. – Pan wybaczy, nie chcę pana zanudzać.

– Nie, nie! To bardzo ciekawe, chętnie dowiem się czegoś nowego o tym miejscu.

Fiszer skinął głową.

– Aron ha-kodesz otwiera się podczas modlitwy, a przed i po tradycyjnie zakrywa go parochet. To rodzaj zasłony, najczęściej z aksamitu, która symbolicznie oddziela sacrum od profanum. W centralnej części jest bogato zdobiony, a po bokach ma dwa pasy, jak kolumny Świątyni Jerozolimskiej. Na nim wieszka się dodatkowo lambrekin albo po hebrajsku kaporet. To termin biblijny oznaczający

złote wieko Arki Przymierza, choć czasem tłumaczy się też kaporet jako przebłągalnię. Uważam, że nie ma to wielkiego znaczenia, bo w starożytnym Izraelu raz do roku arcykapłan dokonywał nad Arką Przymierza obrzędu przebłągania za grzechy swoje i całego Izraela. Sens więc jest ten sam. – Przeszedł bliżej drzwi. – Interesujący jest również portal wieńczący wejście z przedsionka do sali. Już wczesnobarokowy, z uszakowymi obramieniami, które wzbogacono wolutami. Najprawdopodobniej wykonano go w jednym z pierwszorzędných warsztatów chęcińskich, oczywiście z miejscowego marmuru. Takiego samego, z jakiego wykonano trzon kolumny Zygmunta. Tej pierwszej oczywiście. W tamtym okresie Chęciny słynęły z kamieniarstwa. Nie bez przyczyny kino, które w latach pięćdziesiątych znajdowało się w tym budynku, nosiło nazwę „Marmury”. Ale to pan przecież wie.

– Nigdy się nie interesowałem jakoś szczególnie historią – przyznał się Kryński.

– A to niedobrze, pan wie? To miasto ma bardzo ciekawe dzieje, warto je znać. Pan stąd?

– Tak, ale wie pan, jak to mówią, najciemniej pod latarnią.

– Bzdura! – Pokręcił głową. – Mówią też, że szewc bez butów chodzi, a gdy mama moja chodziła do szkoły przed wojną, to na bosaka. Wszystkie dzieci wtedy tak chodziły poza córką szewca. Szewc, pan rozumie, zawsze sobie i rodzinie buty umiał sprawić.

Kryński chrząknął z zakłopotaniem.

– Pan nadrobi, teraz to nie problem. – Fiszer się uśmiechnął. – I książek dużo, i w internecie pan znajdzie. Ja sam przecież nic na ten temat nie wiedziałem, dopóki się nie okazało, że tu sprawę będę mieć. Dopiero wtedy zacząłem czytać.

– Dobrze – zgodził się. – A skoro już pan wspomniał, to czy nie będzie to nietaktem, jeśli spytam, co pan tu właściwie robi?

– A w jakim celu pan pyta?

– Ze zwykłej ciekawości, tak prywatnie.

– Jeśli tak, to nie będzie nietaktem. – Wskazał ręką na obite boazerią podwyższenie, dawną scenę, na której brzegu leżała jego teczka

i rozłożone były dokumenty. Nieduży cyfrowy aparat fotograficzny srebrzył się na czarnej gąbce wyściełającej plastikową walizkę na sprzęt mierniczy. Nietrudno było zgadnąć, że puste otwory wycięte w gąbce odpowiadały kształtem laserowemu dalmierzowi, rozstawionemu na środku sali. – Pan wie, że stan prawny synagogi nie jest do końca ustalony, prawda?

– Myślałem, że należy teraz do gminy żydowskiej z Katowic. Od dwa tysiące trzynastego chyba?

– Teoretycznie tak powinno być. Gmina jest prawnym spadkobiercą majątku, który został zawłaszczony po wojnie. W miarę możliwości działa na rzecz jego odzyskania, co nie zawsze się udaje. Wniosek o oddanie synagogi złożono już dawno, ale potrzeba czasu. To nie są proste sprawy, pan wie. Na przykład o zwrot dawnej synagogi kieleckiej gmina stara się od późnych lat dziewięćdziesiątych. Na razie bezskutecznie. Postępowanie prowadziła Komisja Regulacyjna przy Ministerstwie Administracji i Cyfryzacji aż do dwa tysiące dwunastego roku, kiedy zakończyła je, nie uzgadniając stanowiska. Pan rozumie? Nie uzgodnili przez tyle lat. Sprawa pewnie skończy się kasacją w Sądzie Najwyższym, ale to już pokaże czas. W każdym razie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym byłem w Kielcach, by udokumentować aktualny na tamtą chwilę stan budynku. To istotne, bo tak naprawdę chodzi o pamięć i szacunek do przeszłości. Pan wie, że przed wojną mieszkało w Polsce ponad trzy miliony Żydów? To była największa w Europie społeczność żydowska. Społeczność, po której jest coraz mniej śladów. Tym ważniejsze więc, by je zachować. Szczególnie tu, w Chęcinach, gdzie Żydzi mieszkali przez cztery wieki, a synagoga jest jednym z najlepiej zachowanych obiektów tego typu w województwie.

– Czyli teraz pan, panie Mateuszu, dokumentuje stan naszej synagogi po to, żeby gmina mogła starać się o jej odzyskanie? – Stłumił ziewnięcie. Energetyk przestawał działać i Kryński powoli robił się senny.

– Nie. W tym celu byłem tu kilka lat temu, przed złożeniem wniosku do komisji regulacyjnej. Teraz robię dokumentację porównawczą.

Obiekt jest nieużytkowany, co wpływa na jego stan. Przez przeciekający dach i grzyb następuje coraz szybsza degradacja. Pan rozumie?

– Naturalnie.

– Można więc powiedzieć, że nie przyjechałem tu ze względów formalnych, lecz archiwalnych. Aktualizuję dane. Panu powiem jednak coś, co pana na pewno zainteresuje. Niedawno pojawił się pomysł, by odrestaurować to miejsce w ramach funduszy unijnych i utworzyć tu Centrum Pamięci Kultury Żydowskiej. Z taką propozycją wystąpiły do gminy wyznaniowej władze Chęcín.

– O proszę.

– Jednak aby to było możliwe, budynek musiałby stać się własnością miasta, bo tylko właściciel może wystąpić o dotację. Gmina Wyznaniowa Żydowska wciąż formalnie nie jest właścicielem, więc nie może tego zrobić. I teraz pan uważa. Jeśli gmina wyznaniowa zrzekłaby się roszczeń do budynku, wtedy władze Chęcín musiałyby poprosić Starostwo Powiatowe w Kielcach, by wystąpiło do sądu o przyznanie prawa własności w drodze zasiedzenia na rzecz Skarbu Państwa. Dopiero wtedy, gdy sąd uzna te prawa, władze Chęcín mogłyby zwrócić się o przekazanie budynku synagogi na własność Gminie Chęcín i w ogóle myśleć o odrestaurowaniu obiektu. Skomplikowana i czasochłonna procedura.

– Nie da się prościej?

– A jak pan myśli?

– Pewnie prościej nie, co najwyżej trudniej. – Kryński pokiwał głową.
– Na przykład gmina wyznaniowa może nie zrzec się roszczeń.

– Może, to prawda. – Fiszer się roześmiał. – Pan wie, ja nie znam szczegółów, ale z tego, co słyszałem, to jest ku temu przychylność. Jeszcze są ustalane warunki, lecz myślę, że wszystko jest na dobrej drodze. Czas pokaże. Ja w każdym razie już powoli kończę tu swoją pracę. Miałem wracać jutro, ale zostanę jeszcze na weekend. W Kielcach przy Plantach jest Stowarzyszenie imienia Jana Karskiego i teraz szykują wystawę. Ja obiecałem, że pomogę. Zresztą to bardzo mili ludzie, bardzo życzliwi i gościnni. – Westchnął. – Pan wie, zrobili

dla mnie napój szabasowy z receptury, którą odnaleziono kilka lat temu w Chmielniku? No, proszę pana! Kawałki jabłek, rodzynki z cynamonem i miętą. To wszystko zalane sokiem jabłkowym i wodą. Prawdziwy napój po żydowsku. To było... – Zmarszczył czoło i spochmurniał. – W tamten wieczór piliśmy też pejsachówkę i dlatego nie wróciłem na noc. Było bardzo miło, a w tym czasie tutaj ktoś tej biednej dziewczynie... Proszę wybaczyć... – Oczy mu się zaszkliły. – Ciągle myślę, że jak ona powiedziała, że wyjeżdża, to ja mogłem jej zaproponować, że ją zabiorę... Pan wie, człowiek po fakcie dopiero żałuje.

– Proszę tak nie myśleć. Wpadliście na siebie w okolicy południa, a ona miała wyjechać dopiero kilka godzin później. Nie mógł pan jej w żaden sposób pomóc.

– Ja wiem, ale i tak... Szkoda życia, proszę pana, szkoda młodego życia.

W sumie nie było już o czym rozmawiać. Jeszcze przez kilka minut próbowali na siłę podtrzymać konwersację, aż doszli do wniosku, że już wystarczy. Kryński upewnił się, czy Fiszer nie potrzebuje jakiegokolwiek pomocy, po czym życzyli sobie wszystkiego dobrego i się rozstali. Fiszer odprowadził Kryńskiego do drzwi, tym razem zamykając je na klucz, i wrócił do przerwanej pracy, a Kryński poszedł do domu. Po drodze spróbował dodzwonić się do Wolczuka. Bezskutecznie.

W domu ściągnął zdjęcia na dysk komputera i wysłał je na skrzynkę komendanta, a po namyśle także na ogólną. Owszem, wiedział, że teoretycznie mógłby wysłać załączniki bezpośrednio z telefonu, ale kiedyś próbował i się nie udało. Maile docierały puste albo zawieszały się w trakcie ładowania zdjęć. Pewnie jakieś ustawienia były złe lub czegoś brakowało, a Kryński ciągle nie miał czasu bądź też zapominał, by poprosić o pomoc kogoś bardziej obeznanego z technologią. Dość już go denerwowało, że za każdym razem, gdy włączył sieć, urządzenie do usrania uaktualniało oprogramowanie. Niektóre aplikacje po kilka razy na miesiąc.

Kryński tego nie rozumiał. Skoro coś wymaga tak częstego

poprawiania, to jest buble. Po co firma trzyma kretynów, którzy to zaprojektowali? Nie lepiej zatrudnić ludzi, którzy zrobią to raz a dobrze? W porządku, może nie znał się na programowaniu, ale logika podpowiadała, że jak na tyle aktualizacji to wszystko powinno działać jak należy. Nie działało jednak. Dlatego był skazany na kabel i komputer.

Pod prysznicem przypomniawszy sobie o prokuratorze. Wysłał mu więc kilka zdjęć na numer z wizytówki. Bez sensu, bo nawet on wiedział, że ememesy są kompresowane, a wraz z raportem dostanie lepszą jakość. Potem przyszło mu na myśl, że Painer może jeszcze gorzej się orientować w kwestiach technicznych albo... Albo co? Myślał o tym przed zaśnięciem. Krótko, bo zaraz stracił kontakt z rzeczywistością i zasnął twardym snem. Na tyle twardym, że nie obudziły go wibracje wyciszonego telefonu, mimo iż miał go tuż obok głowy, na nocnej szafce.

Nie odebrał więc połączenia od Doroty ani za pierwszym, ani za drugim razem.

Spał nieświadomy, że dzwoniła i że w skrzynce czeka na niego wiadomość.

49

W blasku świetlówki twarz Damiana Wolczuka była zszarzała, niemal sina. Podkrażone, nieruchome oczy wpatrywały się rozszerzonymi źrenicami w jeden punkt gdzieś na suficie. Włosy sterczały w nieładzie. Zimna, sucha skóra na policzkach ciemniała przebijającym się przez nią zarostem. Trup. Zimny trup.

Który mrugnął.

– Wyglądam jak trup – ocenił dość głośno, aby było go słychać na zewnątrz. Przez uchylone drzwi łazienki. Nie leżał, tylko stał, i nie wpatrywał się w sufit, tylko w lustro. Wyobrażał sobie, że właśnie tak wyglądałby martwy, w kostnicy na metalowym stole, może przykryty białym prześcieradłem. Ponownie zogniskował wzrok na swoim

odbiciu. – Nawet broda mi urosła, jak po śmierci.

– To mit. – Alicja stanęła w przedpokoju. – Włosy nie rosną po śmierci, ani paznokcie. To niemożliwe, bo niemal natychmiast zanika cała hormonalna aktywność.

– Dużo ludzi w to wierzy.

– Po śmierci ciało wysycha, a odwodnienie powoduje, że tkanki i skóra się cofają. Dlatego włosy i paznokcie wydają się dłuższe.

– To ty tu jesteś fachowcem. – Wzruszył ramionami. – Masz może maszynkę do golenia?

– W szufladzie przy pralce, tylko taką do depilacji. – Chrząknęła z zakłopotaniem.

– Świetnie, taka w zupełności wystarczy. Dziękuję.

Pół godziny później wyszedł odświeżony, ogolony i uczesany. Przewiązany ręcznikiem, nie krępując się zupełnie, jak gdyby znali się od dawna i był tu częstym gościem. Ale tak nie było i Alicja z trudem ukrywała dyskomfort, jaki u niej wywołał.

– Przepraszam, że jestem w samym ręczniku – zreflektował się. – Namoczyłem ubranie.

– W porządku. – Odwróciła wzrok. – Potem ci je upiorę i wysuszę, a teraz siadaj, proszę. – Wskazała miejsce przy kuchennym stole, na którym stały już talerze, pieczywo i kubki z gorącą herbatą. Pachniało jajecznicą, taką na boczku i z pomidorami. Alicja nałożyła ją bezpośrednio z patelni. Damianowi więcej niż sobie. – Jak się czujesz?

– Biorąc pod uwagę okoliczności, całkiem nieźle... Coraz lepiej – dodał, gdy przełknął pierwszy kęs. – Jeszcze trochę mi szumi w głowie, ale... Jest świetna! – Pokiwał z uznaniem. – Najlepsza jajecznica, jaką jadłem. Naprawdę, Alicjo.

– Dziękuję. – Napiła się herbaty. – Jak twoja pamięć?

– Pamiętam wszystko aż do momentu, gdy usiłowałaś mnie zabić. – Spojrzał na nią ironicznie.

– To nie jest śmieszne, Damian, to był wypadek, a ty masz więcej szczęścia niż... niż myślisz. – Rumieniec zaczerwienił jej szyję, sięgnął twarzy. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, nie teraz.

Nie dziwił się wcale. W głowie co jakiś czas przewijały się fragmenty wspomnień. Pozbawione dźwięku i barw okruchy. Wypadek, samochód, urwane lustro, upadek na asfalt i metaliczny smak krwi w ustach. Panika, gdy nie mógł zaczerpnąć tchu, i to uczucie, gdy leżąc, wciąż miał wrażenie, że spada. A potem ciemność. Kanciasta, przesypana się, rozbijająca obrazy na mniejsze okruchy ciemność. Więcej nic.

Nic do chwili, gdy obudził się w mieszkaniu Alicji. Była przy nim, okładała chłodnym ręcznikiem, rozdygotana i wystraszona. Przepraszała za to, że za późno zareagowała, i za to, że nie zawiozła go na pogotowie. Nie mogła, bo piła alkohol. Popełniła błąd. Okropny, najgorszy z możliwych.

Koleżanka z dyżuru miała urodziny. Przyniosła ciasto i butelkę wódki. Nie piły w pracy, nie odważyły się. Ale już po, gdy zastąpiła je kolejna zmiana, wzniosły toast czy dwa. Za zdrowie koleżanki. Popiły colą, pośmiały się, a potem Alicja siadła za kierownicą. Wbrew sobie, bo przecież dobrze wiedziała, że to błąd. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, ale to tylko trzy kilometry. Środek nocy i pusta droga. Puste miasto. Co może się stać?

Niby wiedziała, że wiele, niby się bała, a mimo to wsiadła do samochodu. Przekręciła kluczyk i wrzuciła bieg. Przecież czuła się dobrze. To był tylko kieliszek lub dwa, nie więcej. Kieliszek lub dwa, które na pewno wyszłyby na badaniu alkomatem. Musiałyby wyjść, gdyby dmuchnęła, a zrobiłaby to, gdyby zawiozła go do szpitala albo wezwała policję. Standardowa procedura. Badanie, które przechodzą i ofiara, i sprawca wypadku, zawsze. Dlatego zajęła się nim sama.

To był cud, że nic wielkiego mu się nie stało. Gdy przelatował nad maską, była pewna, że właśnie zabiła człowieka, lecz to przerażenie wyolbrzymiło wszystko. Nie jechała aż tak szybko, a on odruchowo podskoczył. Jak na filmie przetoczył się po dachu i spadł z drugiej strony, poobijał się, rozbił nos i walnął głową. Albo o auto, albo o asfalt.

Wstrząśnienie mózgu i krew, ale czaszka cała. Kilka siniaków i otarć, obite żebra. Więcej nic. Podobno sam wstał, wsiadł do samochodu

i wszedł po schodach na górę. Skarzył się na ból głowy, był oszołomiony, lecz przytomny. Nie wyglądało to źle. Typowe objawy wstrząśnienia, które przechodzą z czasem. Same. Napił się czegoś, trochę rozmawiali, potem poszedł spać. Mimo to czuwała przy nim do samego rana. Tak na wszelki wypadek.

Gdy się obudził, była obok, sprawdziła, jakie ma odruchy, czy reaguje poprawnie na bodźce, jak się czuje, i dopiero wtedy opowiedziała, co się stało. Szczerze, choć nie musiała, skoro nie pamiętał.

Domyślał się, że kierowały nią wyrzuty sumienia, że doprowadziła do takiej sytuacji i nie zachowała się tak, jak powinna, że stchórzyła. Teraz chciała wyrzucić to z siebie, żeby on, ofiara, poczuł do niej wstręt i w ten sposób pozwolił jej odpokutować. Jak przestępca, który pod wpływem wyrzutów sumienia sam zgłasza się na policję. Pewnie bała się też, że prędzej czy później i tak sobie wszystko przypomni, a wtedy byłoby jeszcze gorzej. Prawdopodobnie miała rację.

– Z tym szczęściem wcale bym nie przesadzał. – Wytarł talerz kawałkiem chleba. – Gdybym naprawdę je miał, nie musiałbym ci się rzucać pod koła, aby spróbować tej jajecznicy.

Spojrzała na niego bez cienia rozbawienia.

– Chcę porozmawiać o tym, co się stało wczoraj.

– Co masz na myśli?

– Damian... – Zawahała się. – Mówię o tym księdzu i o tym, że uciekłeś. Nie patrz tak – poprosiła. – Wszystko mi wczoraj opowiedziałeś. Ze szczegółami. Chcę spytać... Pytam cię, czy pójdziesz na policję.

Spochmurniał.

– Po co? Żeby mnie zamknęli z braku innych podejrzanych i już darowali sobie szukanie prawdziwego sprawcy? – Oparł się wygodnie. – W ten sposób wyświadczyłbym mu przysługę.

– Jeśli jesteś niewinny, to nie masz się o co bać... – Przerwała speszona, gdy się roześmiał. – Możesz tylko... Tylko pomóc... Opowiedzieć, co widziałeś i...

– Możesz mi zrobić kawy?

– Ja mówię poważnie.

– Ja również. Zrobisz mi kawę, to ci opowiem o tym, jak już kiedyś pomagałem policji.

Spojrzała na niego pytająco.

– Najpierw kawa.

– Zrób sobie sam. – Wskazała puszkę stojącą przy cukiernicy i wyszła z kuchni. – Ja w tym czasie nastawię pranie.

– Też chcesz? – krzyknął za nią.

– Tak. – Stłumiony pogłos z łazienki. – Nie za mocną.

50

Usiedli znów w kuchni przy stole, na którym stały teraz tylko filiżanki z kawą. Nie najlepszą, sklepową, ale znośną.

Wolczuk umył talerze i sztućce, odłożył na suszarkę. Patelnię zostawił na kuchence brudną, nie dlatego, że zapomniał. Po prostu nie znosił myć patelni.

Za szybą widać było kolejne bloki i pęczniejący ponad nimi grzbiet góry Rzepki. Wiszące nad nią sine, ciężkie niebo przytłaczało duszną zielenią nieruchomych drzew. Framuga okna zasłaniała znajdujący się dalej chęciński zamek, zamykała obraz w klaustrofobicznym kadrze. W łazience, oddzielonej od kuchni cienką ścianą, pracowała pralka. Źle wy poziomowana, przenosiła wibrację na podłogę. Wolczuk obracał w dłoni zniszczonego henleya. Zbiornik na liquid był rozszczelniony, bateria wyrwana. Szelc.

– Masz może papierosy? – spytał. Nigdzie nie widział popielniczki, a w mieszkaniu nie było czuć nikotyny. Nie zdziwił się więc, gdy Alicja zaprzeczyła. Wstał i wyrzucił resztki henleya do kosza pod zlewem.

Uznał, że to znak, dobry moment, by zerwać z nałogiem. Pseudonałogiem podyktowanym modą, a nie realną potrzebą. Taką miał nadzieję. Nie był pewien, czy od liquidu naprawdę można się uzależnić, nigdy o tym nie myślał, traktując jako zdrowszą alternatywę dla klasycznego palenia. Podświadomie jednak wiedział, że to głównie prawda, że zamiast substancji smolistych wciągał do płuc tablicę

Mendelejewa. Że cała ta chemia szkodziła pewnie bardziej, ale przynajmniej palce i zęby nie żółkły, nie śmierdziały. Do tego był na to hype i wypadało obnosić się z elektroniką. Tam, w Warszawie, nie tu. Tu można było pomyśleć o rzuceniu.

Krzywiąc się z bólu, wrócił na krzesło. Był zdrowo poobijany i wiedział, że teraz przez jakiś czas przyjdzie mu płacić za to szczęście.

– Miałem siedemnaście lat i mieszkałem w niewielkim miasteczku na zachodzie Polski, nieważne w jakim. To był dwa tysiące pierwszy, przedostatni rok szkoły średniej, początek wakacji – zaczął, rozmasowując obolały kark. – Miała na imię Monika i podobała mi się od dawna. Byłem jednak zbyt nieśmiały, aby ją poderwać. To znaczy do wtedy, bo w ostatni dzień szkoły zebrałem się na odwagę. Uznałem, że nawet jeśli zrobię z siebie idiotę, to przez wakacje oboje o tym zapomnimy, a przede wszystkim, że zapomną znajomi, od których się odłączyłem, by ją zaczepić. Monika była harcerką, a ja lubiłem turystykę. Uznałem, że może nas to połączyć, i miałem rację. Zaczęło się od nieco niezgrabnej rozmowy, a potem już jakoś poszło, lepiej, niż się spodziewałem. Zaczęliśmy się spotykać codziennie. Wiesz, jak to jest, gdy odbierasz z kimś na tych samych falach. Od razu to czujesz, prawda?

Pokiwała głową, a on mówił dalej.

– Za którymś razem przyznała mi się, że były chłopak nie daje jej spokoju. Uważała, że ma obsesję na jej punkcie i nie chce się pogodzić z tym, że zerwali. Próbował ją śledzić, dzwonił, wystawał pod oknem i tak dalej. Obiecałem, że go pogonię, ale zaproponowałem, byśmy najpierw wyjechali razem na kilka dni, żeby od tego odpoczęła. Zgodziła się. Wybraliśmy Bieszczady i dwa tygodnie pod namiotem z dala od ludzi, blisko przyrody. Dwa tygodnie tylko dla nas.

– Pojechaliście?

– Tak. – Napił się kawy i otarł usta. – Najpierw pociągami, potem na stopa i pieszo, aż znaleźliśmy się na zupełnym zadupiu. Kilka chylących się ze starości domów, chyba jeszcze z międzywojnia, i jeden sklep, gdzie dowożono towar raz w tygodniu. Dalej była już tylko głusza. Uznaliśmy, że rozbijemy obóz kilka godzin marszu od tej

wioski. Dość daleko, by nikt nam nie przeszkadzał, ale wystarczająco blisko, by czuć się bezpiecznie. Namiot postawiliśmy na polanie, nad potokiem. Było tam jak na innej planecie. Szczególnie nocą, gdy niebo roilo się od gwiazd, a wszystkie wydawały się niemal na wyciągnięcie ręki.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień.

– Dyskutowaliśmy na ważne, jak nam się wydawało, tematy. O filozofii, społeczeństwie i religii, jak wszyscy młodzi ludzie wierzący, że można zmienić świat. Przede wszystkim jednak się kochaliśmy. Może powinienem powiedzieć ci, że to była romantyczna wyprawa, odkrywanie nieznanych lądów naszych ciał i granic, które je wyznaczają. Tyle że pamiętam to inaczej. Kochaliśmy się bez hamulców i łapczywie jak króliki. – Spojrzał na Alicję bez skrępowania. – Wybacz, że o tym mówię, chcę się po prostu usprawiedliwić. Straciłem głowę, oboje straciliśmy i nie mieliśmy pojęcia, co się wkoło dzieje. Nie przyszło nam na myśl, że nie jesteśmy tam sami.

– A nie byliście?

Pokręcił głową.

– Po kilku dniach trzeba było uzupełnić prowiant. Do sklepu mieliśmy jakieś pięć godzin marszu. Nie było sensu, by męczyć się wspólnie. Z samego rana wziętem plecak, uzgodniłem, czego potrzebujemy, i ruszyłem w drogę. Miałem kompas i mapę turystyczną. Niezbyt dokładną, lecz wystarczającą. Od wioski szliśmy na południe, wystarczyło więc kierować się na północ. Prosta sprawa. W dodatku sam mogłem poruszać się szybciej. Na miejsce dotarłem po czterech godzinach, ale to i tak nie miało znaczenia. Przed sklepem, na ławce, siedziały kobiety. Może nawet te same, które widzieliśmy za pierwszym razem. Nie wiem. Albo pamiętały, albo tylko słyszały, że przechodziliśmy. To był koniec świata, więc każdy obcy robił za atrakcję. Te kobiety spytały mnie, czy kolega nas dogonił.

– Kolega?

– Pojawił się tego samego dnia co my, kilka godzin później. Powiedział, że jesteśmy razem, a on został w tyle. Opisał nas dość dokładnie i chciał wiedzieć, w którym kierunku poszliśmy.

– Czyli ktoś was śledził... Ale skoro przez kilka dni się nie zorientowaliście, to znaczy, że...

– Obserwował nas z ukrycia.

– To oczywiście był jej były, prawda?

– Tak, ale sytuacja okazała się bardziej skomplikowana. Nie przedłużając i mówiąc po kolei: zrobiłem zakupy i wróciłem. Monika już nie żyła.

– O Boże! – Alicja zakryła usta dłonią.

– Leżała w trawie, tuż obok podeptanego namiotu. Naga i zakrwawiona. Policja potwierdziła, że próbowała się bronić, ale on był silniejszy. Szarpali się, uderzył ją kilka razy w głowę czymś ciężkim. Może obuchem siekiery, może kamieniem, nie wiem, czy to ostatecznie ustalili. Potem podciął jej żyły. – Głos Damiana był rzeczowy, niemal bezbarwny. Widać było, że wkłada wysiłek, by nad nim panować. – Ja wtedy popełniłem dwa błędy. Po pierwsze, nigdy nie wypytałem Moniki o tego chłopaka i nie pozwalałem jej o nim mówić przynajmniej do momentu, gdy nie wrócimy z Bieszczad. Nie wiedziałem więc, ani jak się nazywa, ani jak wygląda, ani gdzie mieszka, nic. Po drugie, doznałem takiego szoku, że nie miałem pojęcia, co robić. W takiej chwili człowiekowi mózg się wyłącza, robi głupie rzeczy.

– Co zrobiłeś?

– Próbowałem ocucić Monikę, mówiłem do niej, krzyczałem, prowadziłem resuscytację. Zupełnie bez sensu. Potem przykryłem ją kocem i posprzątałem wkoło. Postawiłem namiot, poukładałem rzeczy, zupełnie jakby nic się nie wydarzyło. Może myślałem, że w ten sposób cofnę czas albo że to tylko złudzenie lub sen. Nie wiem, ja tego w ogóle nie pamiętam. Później mi powiedzieli, że to właśnie robiłem.

– Zatarłeś ślady – domyśliła się.

– Tak. W dodatku chyba próbowałem ją pochować. Gdy na polanę wpadła policja, siedziałem z saperką w ręce obok niedokończonego dołu.

– Skąd oni się tam wzięli?

– Ciekawe, prawda? Środek dziczy i nagle zjawia się policja. – Spojrzał na Alicję. – Powiedzieli, że ktoś ich zawiadomił telefonicznie

o zabójstwie. Mężczyzna, podał się za wystraszzonego turystę, ale nie chciał zdradzić personaliów. Powiedział, że widział zabójstwo, podał gdzie i się rozłączył. Na początku nie było wiadomo, skąd dzwonił. Tam były wtedy jeszcze stare centrale, bez możliwości, by wyśledzić połączenie. Może byłoby inaczej, gdyby dzwoniło z komórki, ale to nie wchodziło w grę, zasięg zaczynał się kilkadziesiąt kilometrów dalej. Teraz już wiem, że to ten skurwiel zgłosił. Zabił Monikę niedługo po tym, jak odszedłem. Może godzinę później. Wystarczająco, abym nie słyszał krzyków. Zabił i uciekł, brodząc w strumieniu, idąc z nurtem. Kilka kilometrów dalej była miejscina, jeszcze mniejsza od tej, którą mijaliśmy. Mieli tam telefon. To wyszło dopiero później, bo na początku byli pewni, że to ja zabiłem.

– No tak. – Pokiwała głową. – Zastali cię na miejscu.

– Nie tylko. Świadek – to słowo wymówił z przekąsem – podał mój rysopis. Babcie spod sklepu tak się wystraszyły policji, że zupełnie pogubiły się w zeznaniach. Wyszło w końcu, że nie wiedzą, czy mnie widziały z Moniką, czy dopiero potem, a w miejscu, skąd nas obserwował ten skurwiel, znaleźli moje rzeczy. Sprowadzony na miejsce pies niby podjął jakiś inny trop, ale ten urwał się przy strumieniu. Zamknęli mnie na pół roku. Sześć cholernych miesięcy piekła.

– Pół roku? – zdziwiła się. – Przecież tymczasowy to tylko trzy miesiące... Wtedy było inaczej?

– Nie. W postępowaniu przygotowawczym areszt stosuje się na okres nie dłuższy niż trzy miesiące, chyba że prokurator złoży odpowiedni wniosek, który sąd rozpatrzy pozytywnie. A ja miałem bardzo ambitnego prokuratora. Facet był pewien, że to ja, i nie chciał słuchać niczego, co mówiłem. W pewnym momencie nawet chciał mi wmówić podwójne zabójstwo, że niby zabiłem Monikę i siebie samego, to znaczy, że nie jestem sobą albo że ona była z kimś innym. Paranoja! Dopiero kilka miesięcy później dał się ubłagać i zlecił, żeby ktoś podjechał i popytał o byłego chłopaka Moniki.

– Straszne...

– Jej rodzice potwierdzili, że był zaborczy i nie dawał jej spokoju.

Podobno przysyłał nawet listy z pogrózkami, czego chyba mi nie mówiła. Zresztą może sama nie wiedziała, może to przed nią ukrywali. Potem wyszło, że kilka lat spędził w poprawczaku i że już za coś był poszukiwany. Ostatni raz widziano go na dworcu. Wsiadł do tego samego pociągu co my. Potem zniknął i o ile wiem, nigdy go nie odnaleziono. Nawet nie znam jego imienia. Pamiętam tylko nazwisko, Ruszczyk, i to, że podobno byliśmy do siebie podobni. Może dlatego Monika się mną zainteresowała... Może byłem jego lepszą wersją... – Zacisnął zęby. – Mam nadzieję, że zdechł.

– Tak bardzo ci współczuję. – Sięgnęła przez stół i ścisnęła jego dłoń.
– Nie potrafię sobie wyobrazić, jak trudne to było dla ciebie i twojej rodziny.

– Moją jedyną rodziną była wtedy babcia. Rodzice zginęli w wypadku, gdy byłem dzieciakiem, więc nawet ich nie pamiętam. W sumie to mieliśmy siebie nawzajem, bo dziadek odszedł kilka lat wcześniej. – Westchnął. – Moje aresztowanie było dla niej ciosem, co cholernie odbiło się na jej zdrowiu. Schorowana zmarła kilka lat później. Ja po powrocie do domu skończyłem szkołę. Ledwo, bo musiałem nadrabiać zaległości i mierzyć się z traumą. Małe miasto w tym nie pomaga.

– Ale dałeś radę.

Skinął głową.

– Zaraz po szkole wyjechałem na Śląsk studiować dziennikarstwo na prywatnej uczelni. Wieczorowo, bo musiałem sam się utrzymywać. Robiłem, gdzie się dało, a po praktykach znalazłem pracę w zapyziałym wydawnictwie. Po roku przeniosłem się do podrzędnej gazety. Kiedy dotarło do mnie, że nie mam tam widoków na nic lepszego, spakowałem się i pojechałem do Warszawy. – Delikatnie cofnął dłoń, pozwalając, by jej palce opadły na blat. – Przepraszam, nie chciałem ci opowiadać historii swojego życia.

– Nie wygłupiaj się.

– Pralka.

– Co proszę? – Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Pralka przestała wirować.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Im szybciej odzyskam ubranie, tym szybciej się mnie pozbędziesz.
– Jezu! Jak ty możesz teraz żartować?
– Alicjo. – Rozluźnił się i uśmiechnął. – Ja z tym żyję od lat i już się pogodziłem. Nie miałem innego wyjścia. Staram się nie wracać do przeszłości ani o niej nie mówić. Nawet Justyna nie wiedziała, moja była – sprecyzował. – Prawdę mówiąc, jesteś pierwszą osobą od dawna, z którą o tym rozmawiam.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć.
– Powiedz po prostu, że teraz rozumiesz już, czemu nie chcę iść na policję, dopóki nie znajdę sprawcy.
– W porządku, masz dużo racji – przyznała z ociąganiem. – Nie pochwalam tego, ale rzeczywiście rozumiem.

Wstała i ruszyła w kierunku łazienki. Zatrzymała się przy drzwiach.
– Teraz rozumiem też, dlaczego tak ci na tym zależy. Nie chodzi tylko o Beatę, ale również o tamtą dziewczynę, prawda? Robisz to dla nich obu, lecz przede wszystkim dla siebie. Dla spokoju sumienia i romantycznie pojmowanej sprawiedliwości.

– Na kursach pielęgniarstwa uczą psychologii?
– Tak, zaraz po szkoleniu z rozjeżdżania przystojniaków – wymknęło jej się, bo wcale nie chciała, by był to komplement. Dlatego nie spojrzała na niego ani nie czekała, czy coś odpowie, tylko zajęła się praniem.

Było odwirowane. Wilgotne, ale nie mokre. Potrzebowało trochę czasu na suszarce albo pół godziny nad gazem. Tak suszyło się w jej rodzinnym domu. Matka brała kijek od miotły i kładła go wysoko nad kuchenką, opierając końcami na wiszących na ścianie szafkach. Potem przerzucała przez ten kijek ubrania i zapalała palniki. Unoszące się w górę ciepło i ruch powietrza robiły swoje. Sposób szybki i praktyczny, pod warunkiem że nad kuchenką nie było zamontowanego okapu. U Alicji był, więc nie mogła skorzystać z tej metody. Musiała rozwiesić pranie na suszarce w pokoju. Najpierw jednak trzeba je było tam zanieść.

Plastikowa miedniczka stała na kafelkach, wciąż wilgotna po namaczaniu. Nad nią leżało na szafce kilka rzeczy, które Wolczuk wyjął

z kieszeni. Telefon z uszkodzoną podczas wypadku obudową, bateria, klucze, dokumenty w cienkim etui ze skóry, kilka pogniecionych banknotów i monet. To wszystko. Przez chwilę walczyła z ochotą, by zajrzeć do jego dokumentów.

Potem sięgnęła po miednicę i zajęła się praniem.

51

Prokurator Arkadiusz Painer dobrze znał typowych ćpunów i młodocianych alkoholików. Spodziewał się więc trudności, rzucanych za plecami „chawudepe” i braku współpracy. Typowej, beznadziejnej orki na patolskim ugorze.

Dlatego zdziwił się, gdy ci z San Damiano okazali się w miarę zdyscyplinowani. Wizyta prokuratora była dla nich zaskoczeniem, wyraźnie wybiła z rytmu dnia. Mimo to starali się tego przesadnie nie okazywać. W pierwszej kolejności odbył rozmowę z dyrektorem ośrodka, franciszkaninem.

Potem przyszła kolej na wychowanków i opiekunów, którzy byli na terenie obiektu. Dyrektor chciał udostępnić Painerowi przytulnie urządzone pomieszczenie z wygodnymi fotelami i niskim stolikiem pośrodku, ale Painer wolał jadalnię. Większa, zimna przestrzeń, długie, przykryte ceratą stoły i twarde krzesła budowały odpowiedni dystans, pozwalały mu się skupić.

Przydzielony przez komendanta funkcjonariusz okazał się bystrym facetem. Jeszcze nim opuścili komisariat, wydrukował kopie protokołów z przesłuchań świadków i ułożył je alfabetycznie. Dał czas Painerowi, żeby je sobie odświeżył, i dopiero na dany znak przywołał do jadalni pierwszą osobę. Pozostałym kazał czekać w najbliższej sali terapeutycznej, dość dużej, by pomieściła wszystkich, i dość oddalonej, by nie mogli nic słyszeć.

Po przesłuchaniu świadek odsyłany był do pomieszczeń mieszkalnych. Całkiem praktycznie w sytuacji, gdy trzeba było zapewnić, aby przesłuchani świadkowie nie komunikowali się z tymi

jeszcze nieprzesłuchanymi, a nad kilkunastoma nieprzewidywalnymi mężczyznami musiał zapanować tylko jeden mundurowy i dwóch pracowników ośrodka. Dyrektor i opiekun. Naturalnie był jeszcze Painer, ale on rozmawiał jeden na jeden, więc nie miało to znaczenia.

Prawdę mówiąc, policjant znał ośrodek dość dobrze i zdawał sobie sprawę, że podjęte środki ostrożności są przesadne. Nie chciał jednak źle wypaść przed prokuratorem. Jeśli cokolwiek by się wydarzyło, to poszłoby na konto komendanta. Stary musiałby świecić za niego oczami, a potem dobrałby mu się do dupy. Wolał więc nie ryzykować.

Painer przesłuchiwał kolejną osobę. Chłopak wiercił się na krześle, wyraźnie zestresowany. Mimo to starał się odpowiadać na pytania wyczerpująco. Wszyscy się starali. Przeważnie bez entuzjazmu, ale i bez niechęci. Czasem nawet z przesadnym zaangażowaniem, przez co mimowolnie plątali fakty lub przeczyli sami sobie. Tak jak ten chłopak, który już sam nie był pewien, co naprawdę słyszał od denatki tydzień temu, a co podpowiedziało mu wyobraźnia.

Painer go nie winił. Ani jego, ani pozostałych. Wiedział, że chcieli dobrze, że to nie oni są problemem. Problem tkwił w ich mózgach, w standardowych mechanizmach poznawczych każdego człowieka. Kolejna kłoda rzucała pod nogi śledczym i sądownictwu.

Przez wiele lat nikt tego nie dostrzegał. Szczególnie w przypadku naocznych świadków przestępstw organy sprawiedliwości uznawały, że jeśli dana osoba obserwowała popełnianie przestępstwa, ale nie była osobiście zaangażowana w sprawę, nie jest również notorycznym kłamcą, nie jest upośledzona, a jej systemy percepcyjne działają poprawnie, to nie ma szczególnych przesłanek, by podważać jej wiarygodność. W efekcie pokładano nadmierną ufność w prawdziwość zeznań takich osób, biorąc je niejednokrotnie za najważniejszy składnik materiału dowodowego.

Dopiero wraz z rozwojem badań z zakresu psychologii i kognitywistyki zaczęto rewidować dotychczasowe poglądy i dostrzegać, że nadmierna ufność przyczynia się do popełniania pomyłek. Czasem tragicznych w skutkach.

Okazało się, że nawet osoby w pełni sprawne, których system poznawczy działa prawidłowo, mają skłonność do błędnego relacjonowania sytuacji, której były świadkiem, a tym bardziej uczestnikiem. Najgorsze jednak było to, że wpływ na sytuację miało wiele czynników, których nie można było wyeliminować, bo okazały się w nas trwale wbudowane.

Na przykład blaknięcie pamięci długotrwałej. Gdy wspomnienia tracą szczegóły, ludzki mózg podświadomie stara się je uzupełnić, przez co tworzy ich nowe wersje. Tak jak w przypadku wierzącego się chłopaka, dla którego rozmowa sprzed tygodnia nie miała większego znaczenia, aż do chwili, gdy Beata została zabita. To był szok, dla wszystkich. Natłok myśli, strach i dyskomfort wywołany wizytą na komisariacie, wieloma pytaniami.

A teraz chłopak musiał znów przez to przechodzić. Wiercił się więc i pocił, próbował przypomnieć sobie szczegóły. Szczegóły, których już nie było, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy. To jego mózg zmuszony do działania uzupełniał luki w pamięci drobnymi fantazjami. Drobnymi i coraz bardziej sensacyjnymi.

Painer kiwał głową, udawał, że słucha z uwagą. Traumatyczne zdarzenia często prowadzą do zniekształcenia pamięci. Jasne, ci ludzie nie byli przy zabójstwie, nie widzieli ciała, a mimo to przeżywali tę sprawę bardzo mocno. Mocniej niż zwykli ludzie. Nie mogli inaczej, bo nie byli zwykli. Byli małą, zamkniętą i odizolowaną grupą, którą łączyły silne więzy problemów, z jakimi się borykali. Oczywiście o ile byli w tej grupie wystarczająco długo, a Beata była. Ten chłopak – Painer rzucił okiem na wydruk – również. Krócej niż ona, ale wystarczająco, by się do siebie przyzwyczaili. Dał mu jeszcze chwilę, a potem podziękował, zanotował na wydruku zeznań kilka uwag i zarządził przerwę na papierosa.

Z papierosem wychodził na zewnątrz. To był rodzaj kompromisu. Wolałby palić w trakcie przesłuchań, przy stole, lecz dyrektor poprosił, żeby robił to poza terenem klasztoru, na ulicy. Palił więc w połowie drogi, na dziedzińcu, za każdym razem przeglądając zdjęcia przesłane przez aspiranta Kryńskiego. Jak na puszczanym co godzina filmie.

Zawsze tym samym. Wchodził przed budynek, rozglądał się, zapalał papierosa, wyjmował telefon, przesuwał palcem po ekranie, powiększał i oddalał, strzepywał popiół na trawę, dopalał niemal do ustnika, wgniatał niedopałek w ziemię, chował telefon do kieszeni i wracał do jadalni.

Każde przesłuchanie trwało około pół godziny, w kilku wypadkach dłużej. Kilkunastu ludzi, prawie cały dzień. Na próżno. Świadkowie nie powiedzieli nic nowego. Nic, co byłoby warte uwagi.

Jadąc tu, Painer miał dwa pomysły, może trzy. Zakładał roboczo, że Beata mogła tu mieć kogoś bliskiego, bliższego, niż powinna, kogoś przemilczanego w zeznaniach. Partnera albo wroga. Może jakiś konflikt. Cokolwiek, co mogło angażować emocjonalnie, wywierać silną presję i pchać do irracjonalnych działań. Emocje od zawsze były motorem większości zabójstw i usiłowań. Układały się w standardowe scenariusze. Scenariusze, o które oczywiście pytano na komisariacie.

Painer jednak chciał zapytać jeszcze raz. Ostrożnie, by treść pytania nie sugerowała odpowiedzi, nie miała na nią wpływu. Chciał obserwować reakcje i znaleźć w nich fałszywą nutę. Nie znalazł. Zdarza się, taka praca. Na koniec zostawił sobie terapeutę, Daniela Krawczyka, a przynajmniej taki miał zamiar.

Krawczyka jednak nie było w klasztorze. Brał udział w szkoleniach sprawnościowych dla młodzieży jako instruktor. Zaczęły się we wtorek rano, ale Krawczyk mógł jechać dopiero po pracy. Organizator zapewniał transport. Ta nieobecność była zaplanowana od początku roku. To były cykliczne szkolenia, kolejne wypadały za miesiąc. Dlatego zamiast Krawczyka na rozmowę przyszedł ktoś inny.

– Roman Jakubik, certyfikowany specjalista... – Painer przewertował papiery. – Pan nie zeznawał wcześniej?

– Nie. – Mężczyzna zbliżał się do czterdziestki. Lekką nadwagę tuszował luźną koszulą w kratę. Zieloną, co nadawało jego twarzy chorobliwy wygląd. Krótki zarost i włosy, mocno przerzedzone na czole nosiły pierwsze oznaki siwizny. Mrużył oczy. Dwie odcisnięte plamy na nosie zdradzały, że niedawno zdjął okulary. Możliwe, że zapomniał je zabrać z pośpiechu lub zdenerwowania.

– Dlaczego?

– Byłem na dość długim zwolnieniu lekarskim. Do pracy wróciłem dopiero w ten poniedziałek.

– Co panu było?

– Złamana noga. – Odruchowo poklepał się po udzie. – Ostatni śnieg i tak jakoś niefortunnie upadłem.

– W porządku. – Wyciągnął telefon, a widząc zdumienie na twarzy świadka, wyjaśnił: – Przepisy pozwalają na nagrywanie przesłuchania. Ma pan coś przeciwko?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Na początek proszę się przedstawić, opowiedzieć, od kiedy pan tu pracuje, jak dobrze znał pan Beatę Chmielewską i kiedy ją pan widział po raz ostatni.

Wysłuchał, nie przerywając, a potem zaczął zadawać kolejne pytania. Odpowiedzi nie wnosiły do sprawy nic nowego. Żadnego punktu zaczepienia, żadnego tropu. Nic. Strata czasu. Jak zawsze na koniec odczytał świadkowi protokół.

– W porządku? – Świadek skinął głową. – Zatem proszę podpisać zeznania. – Painer wyłączył nagrywanie i również parafował protokół. Dołączył go do pozostałych. – Wie pan może, gdzie znajdę dyrektora? Mieliśmy iść do gwardiana.

– Tak, dyrektor poprosił, abym pana zaprowadził. – Wykonał zachęcający gest, wskazując drzwi. – Razem z nim wspólnota liczy siedmiu zakonników. Nie wiem, na ile pan... To znaczy czy będzie można... – Sam chyba niezbyt wiedział, co chce powiedzieć.

– Ustalę z gwardianem. – Painer wziął papiery i kiwnął na stojącego przy drzwiach policjanta. We trzech wyszli na zewnątrz. Jakubik ruszył przodem w stronę klasztoru. Po kilku krokach odwrócił się, upewniając, czy idą za nim. Nie szli.

– Tu nie wolno palić – mruknął niezadowolony.

– Kiedy wróci pan Krawczyk? – Painer zignorował uwagę.

– Powinien być w sobotę.

– W pracy?

– Proszę?

– Pytam, czy zastanę go w pracy, tutaj – sprecyzował.

– Jest wpisany w grafiku, więc raczej tak.

Painer kiwnął głową. Sięgnął po telefon, ale nie wysunął go z kieszeni. Nie było sensu przeglądać kolejny raz tych samych zdjęć. Nie w tej chwili. Znow spjrzał na Jakubika.

– Ten facet od wypadku ciągle u was mieszka?

– Kto? – nie zrozumiał.

– Rozbił auto jakiś tydzień temu i dostał tu pokój. – Skrzywił się. – No tak, pan był jeszcze na zwolnieniu... Mniejsza z tym.

– Aha, mówi pan o tym znajomym Daniela?

– Znajomym?

– No... Tak mi się wydaje, że... Coś mówił chyba, że się znają... – Stracił pewność siebie. – Nie pamiętam, przepraszam, to przez ten natłok informacji, to wszystko, co się wydarzyło. Każdy chciał mi o tym w poniedziałek opowiedzieć... Nie, nie chcę pana wprowadzić w błąd. – Wziął się w garść. – Proszę go spytać osobiście.

– Tego faceta... Damiana? – Twarz mu stężała. – Jest tu teraz?

– Nie wiem, nie widziałem go nigdy. Miałem na myśli Daniela. Skoro pytał pan, czy będzie w sobotę, to zrozumiałem, że... że pan wtedy zajrzy.

– Możliwe. – Painer schylił się i wkręcił niedopałek w ziemię, tuż obok pozostałych. Udał, że nie widzi pełnej odrazy miny Jakubika, i uśmiechnął się do niego. Był niemal pewien, że Jakubik nie wytrzyma i to posprząta, gdy tylko opuszczą teren. – A teraz proszę nas wreszcie zaprowadzić do gwardiana.

52

Damian Wolczuk nie ruszył się z kuchni, ani gdy Alicja zamykała za sobą drzwi, ani gdy jej kroki cichły na schodach. Siedział przy oknie i w skupieniu obracał filiżankę, na której dnie czerniły się resztki kawy. Dziewczyna pojechała do warsztatu. Tego samego, w którym stała jego honda. Może ten był najbliżej, a może innego po prostu nie

było. Wracając, miała kupić coś na obiad dla nich obojga. To było nieco niezręczne. Dla Alicji bardziej, o czym Wolczuk dobrze wiedział. Mógł oczywiście taktownie odmówić i wyjść, zjeść coś na rynku i wrócić do klasztoru, bo ubranie niemal wyschło. Wymagało tylko prasowania. Dziesięć, może dwadzieścia minut z żelazkiem i byłby gotowy do drogi. Tyle że to nie było mu na rękę. Miał inny plan.

Niebieski ford pojawił się w kadrze okna, wyjechał na pustą, osiedlową drogę i potoczył w stronę skrzyżowania. Wolczuk nie patrzył już, jak znika za zakrętem, w tym czasie zaglądał do szuflad.

Ludzie mają swoje przyzwyczajenia, czasem bardzo różne. Większość jednak trzyma nożyczki w kuchni. W szufladzie albo w szafce. Alicja trzymała w szafce, w emaliowanym, wysokim kubku bez ucha. Razem z przypaloną, drewnianą łyżką, korkociągiem i pałeczkami do sushi. Nożyczki miały dobrze wyprofilowane, gumowane uchwyty i ceramiczne ostrza. Były wygodne i praktyczne. Damianowi było to jednak obojętne. Miały ciąć, nic więcej.

W toalecie wciąż było czuć kwiatowy zapach płynu do prania. Sięgnął pod muszlę. Pomiędzy rurą odpływową a podłogą było trochę miejsca. Wystarczająco, by zmieściły się tam zwinięte w rulon, brudne lateksowe rękawiczki. Wyciągnął je i rozwinął z wyczuciem. Na wszelki wypadek nad pralką, aby nic nie zgubić. Koralik wciąż tam był. Przyklejony między fałdami, brudny i spękany ze starości. Oblepiony szernią krwią, która wciąż zachowała trochę wilgoci, rozmazała się na palcach.

Wolczuk odłożył go na pralkę i zajął się rękawiczkami. Pociął je nad muszlą na małe kawałki. Na wszelki wypadek, żeby nie zapchały rury lub nie zatrzymały się na jakiejś kratce. Potem umył koralik i nożyczki. Pralkę i podłogę wytarł papierem toaletowym. Upewnił się, że zrobił to dokładnie, i dopiero wtedy spuścił wodę. Odniósł nożyczki i przeszedł do dużego pokoju, gdzie suszyło się jego ubranie. Deska do prasowania ukryta była za zasłonką. Żelazko stało tuż obok.

Sytuacja się cholernie skomplikowała i Wolczuk wiedział, że powinien odpuścić. Ile zabrakło, by go złapali? Pięć minut, może mniej. W więzieniu mógłby latami opowiadać, że siedzi za niewinność, tak jak

wszyscy. Miał szczęście, nic więcej. Pytanie, czy nie po raz ostatni.

Owszem, chciał znaleźć zabójcę i mieć materiał, ale nie za wszelką cenę. Nie na tym polegała jego praca. Dziennikarz musi mieć dystans, stać z boku. Obserwować, interpretować, ale nie brać udziału. Tak jak korespondent wojenny, który jest na miejscu, lecz nie chwyta za broń. Nie angażuje się bezpośrednio. To była kluczowa zasada. Zasada, którą ktoś złamał. Świadomie lub nie, dając jasny sygnał, że gra toczy się o najwyższą stawkę. Dla wszystkich.

Punkt dylematu. Wycofać się czy brnąć w to dalej? Realnie patrząc, wciąż poruszał się po omacku. Nie miał żadnego konkretnego tropu, żadnej podstawy, punktu zaczepienia. Nic poza bajką starego pijaka i przeczuciem. A mimo to zwrócił na siebie uwagę zabójcy, został uznany za zagrożenie, które należy wyeliminować.

Odnalazł właściwy przycisk. Para buchnęła przez otwory w pokrytej teflonem stopie grzejnej. Z głośnym sykiem uderzyła w materiał, skłębila się na moment. Wolczuk wgniół ją żelazkiem w nogawkę spodni jak prasę. Nacisnął przycisk ponownie. Syk był o wiele cichszy, stłumiony.

W którymś momencie otarł się o trop. Może kręcił się w niewłaściwym miejscu albo zadawał zbyt wiele pytań. Może zadawał je niewłaściwej osobie albo... Albo właśnie tej właściwej, tej, której szukał. Ta myśl go zaskoczyła. Poczul, jak serce nagle przyśpiesza swój rytm, zwiększa ciśnienie krwi. Musiał być blisko, bardzo blisko. Sprawca pomyślał, że Damian coś wie, że podejrzewa, iż złapał trop. Dlatego zareagował i dlatego Damianowi groziło teraz niebezpieczeństwo.

Logika i rozsądek podpowiadały, że najlepiej by zrobił, gdyby wyjechał z Chęcina jak najszybciej. Mógł przecież w każdej chwili wsiąść do autobusu jadącego do Kielc, a stamtąd byle dalej. Uciec i nie wracać – to wydawało się najrozsądniejsze. Tyle że nie miał dokąd uciekać, dokąd ani po co. Odstawił żelazko i założył przyjemnie ciepłe spodnie. Zabrał się za koszulę. Najgorsze było to, że zabójca miał nad nim przewagę. Znał go, a sam był anonimowy. Damian mógł wyjechać, ale nigdy nie miałby pewności, czy nie spotkają się na ulicy, w sklepie lub autobusie. Był jak żołnierz namierzony przez snajpera. Na

celowniku, nie wiedząc kiedy ani skąd padnie strzał.

Metaliczny zgrzyt za plecami. Wolczuk odwrócił się, nie wypuszczając żelazka z dłoni, naciągnął kabel, niemal wyrwał go z kontaktu.

– Kupiłam lasagne. – Alicja poszła do kuchni, szeleszcząc reklamówką. Rzuciła ją na stół i wróciła szybkim krokiem. Zatrzymała się w drzwiach, patrząc na Wolczuka z wyrzutem, jak gdyby uznawała za oczywiste, że powinien czekać tam, gdzie go zostawiła. – Pomyślałam, że lubisz.

Wolczuk skinął głową i wrócił do prasowania. Patrzyła na niego przez chwilę, zastanawiając się, czy nie powinna czegoś powiedzieć. Zwrócić mu uwagę albo w inny sposób wyrazić dezaprobatę wobec... Wobec czego? Tego, że prasuje własne ubranie w domu, do którego sama go zaprosiła? Zrezygnowała i cofnęła się, by zdjąć buty. Ustawiła je przy drzwiach i jeszcze raz spojrzała na Damiana, który z wprawą operował żelazkiem.

Odwrócony tyłem, ubrany tylko w spodnie, lekko przygarbiony. Nie umięśniony, ale nie chudy. Poobijany, lecz stojący pewnie, w lekkim rozkroku, po męsku. Wydał jej się nagle pociągający. Speszyła się, cofnęła w głąb korytarza. Poczowała przyływ złości. Nie na niego, ale na siebie. To wszystko było za bardzo pokręcone. Damian odstawił żelazko, podniósł koszulę i odwrócił się, szukając miejsca, gdzie mógłby ją powiesić, aby ostygła i się nie pomieła. Alicja wciąż stała w przedpokoju, mimowolnie śledziła jego ruchy, za późno zdała sobie sprawę z niezręczności tej sytuacji. Ich spojrzenia się spotkały.

53

Dariusz Kryński nie miał kłopotów ze snem. Dwa, może trzy razy w roku zdarzało mu się dłużej leżeć przed zaśnięciem, z różnych powodów, zawsze jednak budził się potem wypoczęty. Nie śnił też koszmarów i nie zrywał się w środku nocy, a przynajmniej nie, odkąd skończył studia. Dlatego zdziwił się, gdy coś wyrwało go ze snu. Nagle, jak gdyby w ogóle się nie kładł. Jak gdyby tuż po biegu ledwie

przymknął oczy, a oddech i puls nie zdążyły się jeszcze uspokoić. Ale Kryński nigdzie nie biegł i spał dobre kilka godzin. Mimo to serce waliło mu w piersi. Zdziwił się, lecz dopiero później, gdy zaczął już racjonalnie myśleć. W pierwszym odruchu chwycił za telefon, o mało nie zrzucając go na ziemię. Za trzecim razem odblokował ekran i otworzył galerię zdjęć. Tych z kościoła, z miejsca zdarzenia. Przesuwał nerwowo palcem, aż wreszcie trafił na to, które było ważne. Przybliżył i oddalił je kilka razy, aby się upewnić. Potem otworzył wiadomości wysłane i kliknął ikonę telefonu. Tak było szybciej, niż gdyby miał wpisywać numer z wizytówki. Czekał dłuższą chwilę, aż usłyszał metaliczny, zniekształcony głos.

– Painer! – Musiał niechcący włączyć tryb głośnomówiący. Nie miało to jednak znaczenia.

– Jest związek! – wychrypiał przez suche gardło, odchrząknął i już normalniej, choć bełkotliwie, powtórzył: – Jest związek... – Nabrał powietrza i wypalił: – Koralik!

– Słucham. – To nie było pytanie, lecz zgoda na to, aby rozwinął temat.

– Albo coś innego – sprostował. – Ale było, miał to na piersi, tak jak dziewczyna. To samo miejsce, ten sam schemat... – Zaczynał gubić myśl. To, co jeszcze przed chwilą wydawało mu się oczywiste, teraz traciło sens. Zacisnął powieki i mówił dalej, chciał zdążyć, nim zupełnie się pogubi. – Może sprawca się rozmyślił albo ksiądz sam tam sięgnął, albo był ktoś inny, nie wiem! Na pewno na piersi coś było, bo krzyż jest rozmazany, tak jakby ktoś coś stamtąd zdjął, gdy krew była jeszcze świeża. Położył i zabrał, rozumie pan?

– Brawo. – Wypowiedziane bez emocji, chłodno, jak gdyby prokurator już o tym wiedział.

Kryńskiemu zrobiło się głupio. To było chyba wszystko. Cisza po obu stronach słuchawki się przedłużała.

– To ja tyle chciałem... To już nie przeszkadzam. Do widzenia! – Odsunął telefon od ucha, żeby go rozłączyć.

– Chwila, Kryński. – Cofnął odruchowo dłoń, zapominając, że jest na głośnomówiącym, więc i tak by słyszał. – Punkt siedemnasta

w prokuraturze. Nie spóźnij się.

– Ja... – zaczął, ale Painer już się rozłączył. – Pierdolę... – dokończył w sumie bez związku, tylko żeby sobie ulżyć.

Kręciło mu się w głowie, na pewno z przemęczenia. Dlatego nie spał dobrze, nie regenerował się. Suchość w gardle i spierzchnięte usta świadczyły o tym, że był odwodniony. Czuł się jak skacowany po imprezie. Kiedyś zdarzało mu się to stosunkowo często, kilkanaście lat temu, gdy chodził do szkoły. Wtedy też potrafił wydzwaniać do ludzi. Najczęściej do byłych lub niedoszłych dziewczyn. To jednak nie były już czasy szkolne, a prokurator Arkadiusz Painer nie należał ani do jednych, ani do drugich.

– Ja pierdolę – mruknął, tym razem z ulgą. Chyba nie palnął znów jakiejś głupoty, tak jak wtedy z psem. Painer chyba potraktował go poważnie.

Poszedł do kuchni napić się wody. Gdy wrócił, ponownie spojrzął na telefon. Wiadomość i nieodebrane połączenia od Doroty. Wiadomości były dwie. W pierwszej Dorota proponowała mu kolację. W drugiej, późniejszej o godzinę, przeproszała, że musi ją odwołać, bo „prokurator wymyślił sobie sabat”.

– Sabat? – spytał, gdy Dorota odebrała połączenie. – Aha, spotkanie? Wiem, mówił mi. Painer, a kto? Tak, tak powiedział... Nie, nie mówił, ile zejdzie, ale mam się nie spóźnić... Co? Nie wiem, zadał mi rano kilka pytań, może odpo... Tak, pewnie się spodobały, ale ja nie... Tak, pamiętam, co o nim mówiłaś. Tak, wiem, na Sandomierskiej... Aha... W porządku, tak będzie najlepiej. O której mam cię zabrać? Jasne... Tak... Uhm! Przyjadę wcześniej, na pewno zdążymy.

Rozłączył się i nastawił budzik. Miał jeszcze kilka godzin. Dość, by pospać i odzyskać trochę energii. Liczył na to, tym bardziej że wieczór zapowiadał się interesująco.

w odległej, anonimowej fabryce, której pracownicy i szefowie dobrze wiedzą, że nigdy nie spotkają swoich konsumentów. Mimo to Damian Wolczuk nie narzekał. Jedzenie było ciepłe i sycące. To wystarczyło Alicji najwyraźniej również. Jedli oboje w milczeniu. Powoli, nie śpiesząc się. Od czasu do czasu spoglądali na siebie, kwitując niepewnym uśmiechem momenty, gdy robili to w tym samym czasie. Dwie osoby zaintrygowane, ale wciąż skrępowane swoją obecnością. Albo jedna skrępowana, a druga dobrze odgrywająca swoją rolę. Damian nie uważał tego za niewłaściwe. Starał się po prostu zachować uprzejmie, zgodnie z oczekiwaniami, by nie peszyć Alicji jeszcze bardziej i nie odstraszyć.

Nie trzeba być znawcą psychiki, aby zauważyć, że ludzie zaczynają się sobą interesować, że powoli wzrasta między nimi napięcie. W niektórych sytuacjach jest to naturalna kolej rzeczy, a oni byli właśnie w takiej sytuacji. Owszem, Damian trochę pomógł i pierwszy wiedział, jak się to skończy. Główną rolę jednak odgrywały estrogeny i oksytocyna. Hormony, aktorzy sztuki bliskości, którzy dobrze znali scenariusz. W tym wypadku grali o Oscara.

Alicja wstawiła talerze do zlewu, odwrócona tyłem przerwała ciszę.

– Co teraz zrobisz?

– Chętnie napiję się kawy.

– Pytam poważnie.

– Jeszcze nie wiem – skłamał, bo już podjął decyzję. – Muszę się nad tym zastanowić.

– Najrozsądniej byłoby, gdybyś wyjechał.

– Wiem.

Nalała wody do elektrycznego czajnika. Pomarańczowa lampka potwierdziła, że urządzenie zaczęło swoją pracę. Nasypała kawy do filiżanki, a po chwili wahania obok postawiła drugą, dla siebie. Odwróciła się do Damiana.

– Jak się czujesz?

– Obolały. Szczególnie lewa strona. – Pomasował się po karku.

– Mam maść na potłuczenia, pomoże ci. – Poszła do pokoju. W jednej z szuflad komody trzymała leki. Raczej głębiej, bo nie było jej dobrą

chwilę. Gdy wróciła, kuchnię wypełniał już zapach kawy. Drugiej lub trzeciej tego dnia.

Najczęściej Alicja piła jedną dziennie. W wyjątkowych sytuacjach więcej, ale w dużych odstępach czasu. Nie była więc pewna, czy naprawdę ma na nią ochotę. Nie była też pewna innych rzeczy. Na przykład tego, czy robi dobrze, stając za Damianem z tubką maści. Czy nie powinna mu jej po prostu podać i pozwolić, by sam zrobił to, co trzeba.

Poradziłby sobie bez problemu, prawą ręką smarując lewe ramię, kark i żebra. Tam, gdzie go bolało. Wiedziała o tym i wiedziała, że on też wie. Że powinien się do niej odwrócić i poprosić o tę cholerną maść. Albo wystawić rękę, żeby mogła mu ją podać. W ten sposób wybawiłby ją z opresji. Ale Damian się nie odwrócił. Siedział z rękami na stole i czekał, dając wyraźny sygnał, że chce jej dotyku.

Nie było w tym niby nic nadzwyczajnego, nic ponad to, co wielokrotnie robiła w pracy, za co jej płacono. Tyle że w szpitalu od pacjentów oddzielały ją nieprzekraczalne granice zawodowej etyki i profesjonalizmu. Granice, które zacierały się teraz w jej własnej kuchni. Dlaczego zresztą miałyby być inaczej? Od rana brnęła przez bagno wyrzutów sumienia, wstydu i lęków, próbując tłumić całą paletę innych uczuć, które dopominały się o swoje prawa. Niepotrzebnie, bo przecież były ludzkie i naturalne.

Damian siedział w jej kuchni w samych spodniach. Wystarczająco przystojny i inteligentny, żeby nie miała później kaca moralnego, nie poczuła się wykorzystana. Domyślała się, że i on ma na to ochotę, że oboje się wahają, ale przecież nie było w tym nic złego, że czują do siebie pociąg. Że są ciekawi dotyku i bliskości. Zagryzła wargę. Należało im się coś od życia, prawda? Zwłaszcza po tym, co przeszli... Zresztą na razie to tylko masaż, niewinne wtarcie maści, jeszcze nic poważnego. Jeszcze będzie miała czas na podjęcie ostatecznej decyzji. On zresztą też, bo przecież to on tu prędzej mógł być ofiarą syndromu sztokholmskiego. Ta myśl ją rozbawiła, uśmiechnęła się więc, odkręcając tubkę. Wycisnęła przezroczystą substancję na dłoń.

– Będzie chłodna – ostrzegła.

– Nie szkodzi.

Położyła dłonie na jego karku i zaczęła masować. Na początku trochę nieśmiało i niezgrabnie, potem z coraz większym wyczuciem. Wyczuciem i przyjemnością, ciepłem rozlewającym się podstępnie po podbrzuszu, przyspieszającym puls. Panowała jednak nad sytuacją, mogła przerwać masaż w każdej chwili. Na przykład wtedy, gdy ciepło Damiana zaczęło przenikać przez opuszki jej palców, wnikać w dłonie, gdy wyczuła pod nimi delikatne drżenie, a jego oddech nieznacznie przyspieszył. Mogła to zrobić też w momencie, kiedy instynktownie odchylił się do tyłu, jak gdyby próbując skrócić dzielący ich dystans, a ona zbliżyła się tak, że oddzielało ich już tylko oparcie krzesła. Mogła i zrobiła.

Chwilę później zsunęła wolno dłonie z jego ramion, utrzymując kontakt najdłużej, jak się dało, do ostatniego opuszka. Gdy drgnął, ponownie położyła mu je na karku, powolnymi ruchami zsunęła na piersi, poczuła, jak mocno bije zamknięte w nich serce. Dotknęła napiętych mięśni jego brzucha, pochyliła się, by móc sięgnąć niżej. Eukaliptusowa woń zakręciła ją w nosie. Nie protestowała, gdy sięgnął do tyłu, obejmując jej uda.

55

Dorota i Darek przyjechali na Sandomierską punktualnie. Zaparkowali na niewielkim parkingu, przy ulicy. Niemal przed budynkiem prokuratury. Strażnik był uprzedzony o tym, że się pojawią. Wpisał ich dane do książki i pokierował do pokoju prokuratora. Painer już na nich czekał. Na jego biurku leżały wydruki. Dwa bliźniacze pakiety.

– Przejrzyjcie to – polecił bez ogródek. – Jest tu zebrane do kupy wszystko, do czego możecie mieć dostęp w związku z Chęcunami.

– Ale przecież sprawą zajmuje się Waldek z...

– A widzisz go tu, Kryński? Nie? No właśnie. Więc bierz się do roboty. Wasi przełożeni wiedzą o tym spotkaniu. – Wstał i ruszył do drzwi. – Będę za ścianą. Proszę mnie zawołać, gdy skończycie.

– Przyjemniaczek – szepnęła Dorota, kiedy prokurator wyszedł.

Kryński wzruszył ramionami. Raporty czytał uważnie, niektóre po dwa razy, przez co zeszło mu dłużej niż Dorocie. Ponad pół godziny dłużej. W końcu parę minut po dwudziestej usiedli w trójkę.

– Czego pan od nas oczekuje? – spytał Kryński.

– Zaangażowania. – Prokurator odchylił się na krześle. – Do tych spraw jest zespół i pracują w nim odpowiedni ludzie. Powoli idziemy do przodu. Jeszcze o wiele za wcześnie na konkrety, ale jest ogólny kierunek. Myślę, że dobry. Teraz chcę mieć zespół kontrolny, drugi krąg. – Wskazał ich końcówką długopisu. – Niezaangażowany bezpośrednio, zdystansowany, lecz wystarczająco bliski sprawy. Układ jest prosty. Oczekuję od was analizy, burzy mózgów i pomysłów. Mogą być głupie. – Spojrzał wymownie na Kryńskiego.

– Chce pan weryfikować, czy będziemy podobnie myśleć? – Dorota pokiwała głową.

– Mniej więcej.

– To wychodzi poza nasze kompetencje – mruknął Kryński. – Możemy zaszkodzić...

– Ja o tym decyduję – przypomniał Painer. – Układ jest prosty i już go znacie. Jeśli wchodzicie, to na sto procent, a ja załatwiam to z waszymi przełożonymi na papierze. Jeśli wam się nie podoba, nie ma problemu. Wiecie, którądy opuścić budynek. No! – Wstał. – Nie będę was krępował. Macie pięć minut na decyzję.

Wyszedł. Przez chwilę słyszeli oddalające się kroki. Dokładnie trzysta sekund później znów je usłyszeli. Painer pojawił się w drzwiach.

– Dobrze. – Kiwnął głową, widząc, że nie ruszyli się z miejsc. – To mój adres. – Podał Dorocie kartkę papieru. – Widzimy się tam za godzinę.

56

Prokurator Painer mieszkał w południowej części Kielc, na osiedlu Barwinek, w bloku numer cztery. Osiedle powstało w latach osiemdziesiątych z wielkiej płyty. Pierwotnie tworzyły je osiemnaście

bloków i trzy wieżowce, szkoła, pawilony, przychodnia i prowizoryczny kościół. Wszystko zaprojektowane rozsądnie, z uwzględnieniem zieleni i miejsca do spacerów.

Dobrym przykładem tego rozsądku była szkoła. Wybudowana w takim miejscu, by dzieciaki z dowolnego bloku mogły się do niej dostać, nie przechodząc przez żadną ulicę. Niektórzy twierdzili, że jeszcze rozsądniej umiejscowiono kościół, poza obrysem osiedla. Sam budynek był wtedy skromny, skromniejszy od plebani, ale za to dobrze nagłośniony, co szczególnie odczuwali mieszkańcy bloku numer dziesięć, który stał najbliżej.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ówczesny proboszcz poszedł krok dalej i zamontował na całym osiedlu megafony, a może skorzystał z już istniejących. Przez jakiś czas msze wkurzały więc wszystkich. Krótko, bo wierni nie docenili tej inicjatywy. Po latach mało kto o tym pamiętał. Na pewno nie Painer, bo do Kielc przyjechał dopiero w dwa tysiące dwunastym, a historię o proboszczu usłyszał od człowieka, który sprzedał mu mieszkanie. Usłyszał również kilka innych, ale tylko ta utkwiała mu w głowie. Głównie dlatego, że bawiła go wizja terroryzowania mieszkańców w niedzielny poranek. Nie zastanawiał się, czy historia była prawdziwa, nie miało to znaczenia.

Ludzie opowiadają różne rzeczy. Często zmyślają albo wyolbrzymiają. Świadomie lub nie. Tak jak w opisie mieszkania, które miało być po remoncie. Na miejscu okazało się, że wyremontowana była tylko kuchnia. Do tego nowe okna i drzwi. Reszta została po staremu. Painerowi to jednak nie przeszkadzało, nie miał zbyt dużych wymagań. Początkowo planował usunięcie niemodnej fototapety z dużego pokoju i położenie paneli na podłodze, ale później się przyzwyczyił. Przez cztery lata nie zmienił nic. Tylko wstawił meble i zagospodarował pomieszczenia po swojemu.

Trzy pokoje z kuchnią, łazienka połączona z toaletą. W jednym pokoju pracował, w drugim spał, w trzecim odpoczywał i przyjmował rzadkich gości. Wszystkie trzy urządzone były prosto i ascetycznie, po kawalersku. Dwa z nich śmierdziały papierosami. Sypialnia nie. Ją Painer zawsze zamykał i często wietrzył. Nigdy też w środku nie palił.

Nawet w nocy, gdy się obudził z silną potrzebą sięgnięcia po papierosa, wychodził do kuchni lub toalety. Potem dokładnie się mył i dopiero wtedy wracał do łóżka, wolnego od nikotyny sanktuarium.

Para policjantów dotarła na miejsce po godzinie i bez trudu znalazła mieszkanie prokuratora. Na domofonie nie było nazwisk, ale były numery. Tak samo na drzwiach. Łatwizna. Painer zaprosił ich do środka.

– Kawa i herbata stoją w kuchni obok czajnika, nie krępujcie się – powiedział. – Będę czekał w dużym pokoju.

Kiwnął głową, gdy przyszli, niosąc filiżanki, i zajęli miejsca na kanapie, przy wejściu. Painer siedział w fotelu, blisko drzwi balkonowych. Tym samym oddzielała ich przestrzeń prostokątnego pomieszczenia. Nieduża, lecz wystarczająca, by nie czuli się nadto skrępowani.

– Co mamy?

– Trzy sprawy. – Dorota Kowalska założyła nogę na nogę, omijając stopą stolik, i mrugnęła do Kryńskiego, który rozsiadł się po jej lewej ręce. – Wielokrotne zabójstwo w piaskowni, zabójstwo dziewczyny na żydowskim cmentarzu i pobicie księdza.

– Jeszcze wypadek operatora koparki – przypomniał Kryński.

– On nie ma związku.

– Ma. Wykopał szkielet z ziemi, który zostawił na noc ukryty pod brezentem na łysze maszyny. Zeznał, że rano kości już nie było. Musieli je więc zabrać ci z piaskowni, co tłumaczy ziemię w bagażniku.

– I koralik? – Kowalska zmarszczyła brwi. – W zeznaniach nie było nic na ten temat. Ale to by tłumaczyło paliczek. Starą kość palca – wyjaśniła na wszelki wypadek, gdyby Darek nie zrozumiał. – Tyle że nigdzie nie było reszty, a więc to bez sensu.

– Może wyrzucili kości do wody. Byli tam nurkowie?

– Tak – potwierdził Painer. – Nic nie znaleźli.

– Więc może zabrał je zabójca?

– Po co?

– Nie wiem.

– Tu już za daleko odpływamy w fantazje – skrzywiła się Dorota.

– Nie – zaprzeczył prokurator. – Mówcie śmiało to, co wam wpadnie do głowy. To burza mózgów, jak na zebraniu u krawaciarzy. Tylko bez krawatów.

– Dobrze, trzymajmy się faktów – odezwał się Kryński. – Trzy sprawy i wypadek. Wypadek łączy się z pierwszą sprawą szkieletem, a na pewno obecnością ofiar przy koparce, zgadza się?

– Tak. – Dorota kiwnęła głową.

– Sprawy druga i pierwsza łączy koralik, zgadza się?

Znów kiwnięcie.

– Trzecią najprawdopodobniej też.

– Tyle że tam koralika nie znaleziono.

– Nie, ale zakładam, że był. Widziałaś zdjęcia.

– Okej, jest prawdopodobne, że coś tam było i zostało zabrane, ale wciskanie tam koralika to myślenie życzeniowe.

– Niezupełnie. – Wyciągnął telefon i zaczął grzebać w galerii. – U dziewczyny koralik był umieszczony na piersi, na smugach krwi, które układały się w nierówny krzyż. To samo u księdza, z tym że krzyż był równiejszy, jak gdyby sprawca bardziej się postarał. Widzisz? – Pokazał zdjęcie. – I tu masz ślad, rozmazanie, jak gdyby coś zabrał. Może nie był zadowolony z efektu albo wiedział, że ksiądz przeżyje?

– To już naciągane.

– Ale ciekawe – wtrącił się Painer. – Odłóżcie to na razie na bok. Co więcej łączy te zabójstwa?

– Ofiary się nie znały, choć nie można wykluczyć, że dziewczyna знаła księdza – zauważyła Dorota. – Nic ich nie łączyło... Nic poza rejonem i czasem. Chyba że coś wyjdzie w laboratorium, bo nie pokazał nam pan papierów od nich.

– Jeszcze nie ma. Założmy więc na razie, że nic nie wniosą nowego.

– Szukamy stycznych, żeby przyjąć hipotezę o tym samym sprawcy lub sprawcach, o to panu chodzi?

– Możecie mnie przekonać, że sprawcy byli różni, macie wolną rękę.

– Ksiądz i dziewczyna wyglądają na robotę tej samej osoby. – Kryński podrapał się po karku. – Pierwsza czwórka do tego nie pasuje, było ich za dużo. Tym bardziej że tam nie było innej broni niż kamień, tak?

– Jedna z ofiar powinna mieć przy sobie broń – przypomniała Dorota.
– Kilku uczestników imprezy potwierdziło, że facet chwalił im się pistoletem. W jego dokumentach znaleźliśmy niedawno wyrobione pozwolenie, a w schowku w aucie kaburę. Pustą – podkreśliła.

– Gdyby miał przy sobie pistolet, to na pewno by go użył w momencie zagrożenia, a skoro tego nie zrobił, to znaczy, że broń musiał zostawić w hotelu albo dać komuś na przechowanie. To byłoby rozsądne, biorąc pod uwagę, co by mu groziło, gdyby ktoś go złapał z gnatem i promilami we krwi.

Painer pokiwał głową.

– To się zresztą nie klei – mówił dalej Kryński. – Trzech facetów, nawet pijanych, powinno się lepiej obronić. To nie były jakieś chuchra. Zresztą widząc, co się dzieje, ktoś zdołałby uciec, może dziewczyna, może jeden z nich. Może tu sprawców było więcej?

– Albo wcale. – Dorota wzięła głęboki oddech. – O tym już pan wcześniej wspominał, panie prokuratorze. – Spojrzała na Painera. – Mogło być tak, że się posprzeczali i pobili między sobą. Obrażenia mniej więcej pasują, szczególnie zadrapania. Tu nam dużo dadzą badania DNA materiału spod paznokci, na które jeszcze poczekamy, ale...

– Warszawa poczeka, nie my – przypomniał Painer.

– No tak, ale chyba będzie pan miał do tego dostęp?

– Możliwe.

– Chwileczkę, Dorota – mruknął Kryński. – Sugerujesz, że cztery osoby same się...

– Teren imprezy opuścili pijani, co najmniej dwójka była dodatkowo na amfie. Facet, którego zabrali, miał z nimi na pieńku. Kilkoro świadków potwierdziło, że tego wieczoru szczególnie się nakręcił. Ktoś miał im nawet uprzejmie o tym donieść, ale nie zdążył, nim wyjechali. Dodatkowo koleś miał wcześniej problemy z agresją. Mamy go w bazie. I teraz pomyśl. Wystarczyło, żeby jeden poszedł popływać. Zostaje dwójka plus nasz furiat. Dochodzi do sprzeczki. Facet sięga po kamień i uderza tamtego w głowę. Może nie chciał zabić, tylko tak wyszło, więcej nie potrzeba. Co robi dziewczyna? Trzeźwa ucieka, a pijana?

Zaczyna krzyczeć i szarpać się z zabójcą. Powiedzmy, że ten w wodzie widzi, co się dzieje, i rusza z powrotem. Chwilę mu to zajmie. Zaatakowany furia broni się. Może znów wcale nie chce zabić dziewczyny, może chce tylko, żeby przestała robić tyle hałasu. Dlatego zaciąga ją do wody albo dziewczyna tam ucieka, a on ją dogania. Zanurza jej głowę i trzyma. Ona się szarpie, ale facet jest silniejszy, w dodatku zupełnie się nie kontroluje, nie myśli logicznie. Druga ofiara. Widząc, że ostatni koleś płynie w stronę brzegu, rzuca mu się na spotkanie. Walczą i próbują utopić się nawzajem. Akurat ci dwaj najdalej od plaży byli na prochach. Ostatecznie toną obaj. Mamy cztery trupy bez ingerencji z zewnątrz. Oczywiście! – Nie pozwoliła dojść Kryńskiemu do słowa. – Oczywiście puszczam wodze fantazji i to tylko jedna z wersji, może nie najbardziej logiczna, ale nie o to chodzi. Chcę powiedzieć, że spokojnie mogli sobie poradzić sami.

– To musiałyby być naprawdę wyjątkowy zbieg okoliczności.

– Nie znaleźliśmy na razie żadnych śladów wskazujących na udział osób trzecich. Jedynie w aucie, oczywiście również na klapie bagażnika, były odciski palców niepasujące do denatów, ale to samochód firmowy i z tego, co wiemy, nieprzypisany do konkretnego kierowcy. Podejrzewam, że Warszawa będzie trzepać wszystko, co tylko da się zidentyfikować i porównywać z odciskami pracowników. Wątpię jednak, aby cokolwiek to dało.

– Czemu podkreśliła pani klapę bagażnika? – zainteresował się Painer. Wnioskując z głosu, raczej od niechcenia, jak gdyby dobrze wiedział czemu, a pytanie zadał tylko po to, aby to odhaczyć.

– Szkielet zabrany z budowy, którego brakowało.

– Mogli go wyrzucić po drodze – podpowiedział Kryński.

– Mogli – zgodziła się.

– Czemu? – Painer zapalił kolejnego papierosa.

– Bo przestało być śmieszne albo nie wszystkich bawiło? – Policjant wzruszył ramionami. – Może ktoś poczuł się nieswojo i nalegał, żeby jednak pozbyć się tego upiornego bagażu... Ja bym nalegał.

– Naprawdę? – zainteresowała się Dorota.

– Chociaż... Załóżmy, że masz rację. – Spojrzał na nią, ignorując

pytanie. – Zero ingerencji z zewnątrz, zbieg okoliczności, załatwili się sami. Okej, ale mamy koralik, który jest w bagażniku, kolejny na piersi Beaty i prawdopodobnie u księdza. W bagażniku wygląda na przypadkowy, a później już nie. Później jest zostawiony z rozmysłem. Jak znak rozpoznawczy... – Zamilkł na chwilę, zastanawiając się, czy wspominać o podejrzeniach Wolczuka. To nie był dobry moment. – Stary szkielet i stare koraliki...

– Elementy sznura modlitewnego, najprawdopodobniej różańca – sprecyzowała Dorota.

– No właśnie, właśnie... Myślę, że bez względu na to, czy ten wykopany szkielet był w bagażniku, czy go wyrzucili po drodze, został zabrany przez osobę, która zabiła Beatę. Albo cały szkielet, albo tylko te cholerne koraliki. Stawiam jednak na całość, bo do dziś byśmy już pewnie wiedzieli o kościach walających się w rowie.

– Po co ktoś miałby zabierać szkielet?

– Może czuł się samotny? – Tego dnia Kryński nie był mistrzem żartów.

– Zrobimy przerwę. Weźcie sobie coś do picia – zasugerował Painer.

Zeszło im kilkanaście minut, czyli tyle, ile potrzeba, by zagotować wodę i zalać trzy filiżanki. Prokuratorowi zaparzyli kawę, tak jak prosił. Sobie zrobili herbatę. Swoją drogą Kryński zdziwił się, że Painer używa filiżanek. Całkiem eleganckich, z Ćmielowa. Spodziewał się raczej, że w szafce będą stały szklanki w cynowych koszyczkach. Naturalnie filiżanki były o wiele lepszym pomysłem.

Sam używał podobnych. Trochę innego wzoru, bez zdobień w stylu retro. Kupił je kilka lat temu w sklepie przy ćmielowskiej fabryce. Cały komplet, bo sprzedawali je tam tanio. Znacznie taniej niż w muzeum, które wcześniej zwiedzał. Końcówki serii albo odrzuty. Oglądał je wielokrotnie i nie znalazł żadnych niedoróbek, więc chyba jednak końcówki. Planował nawet pojechać kiedyś po kolejne. Kupić na zapas, żeby można było dać komuś w prezencie. Planował, ale jakoś nigdy nie było mu po drodze.

– Nie zmieści się do kieszeni! – szepnęła konspiracyjnie Dorota.

– Co? – nie zrozumiał w pierwszej chwili. – Nie, ja tylko... – Odstawił

filizankę z powrotem na suszarkę. – Zamyśliłem się po prostu.

– Za takie zamyślenie można dostać pięć lat z artykułu dwieście osiemdziesiątego czwartego. – Puściła do niego oko. – Pomóż mi z tym, bo się nie zabiorę.

– Jezu! – jęknęła, gdy weszli do pokoju. – Niech pan przewietrzy, bo się podusimy.

Painer patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem wstał i otworzył drzwi balkonowe. Firanka wyduła się jak żagiel poruszony nocną bryzą. Kryński stanął obok, nie bardzo wiedząc, co zrobić z kawą prokuratora. Przy fotelu nie było żadnego stolika. W końcu postawił ją na parapecie obok drzwi balkonowych.

– Co się zmieniło? – zapytał Painer.

– W jakim sensie?

– Chodzi panu o zmienną losową? – zgadła Dorota. – O coś, co przeniosło zabójstwo z przestrzeni probabilistycznej do fizycznej? – Prokurator pokiwał głową, a Kryński zmarszczył czoło, nie bardzo rozumiejąc, o czym mowa. Zauważyła to. – To podstawa. Badania Davida Bussa wykazały, że statystycznie aż dziewięćdziesiąt jeden procent mężczyzn i osiemdziesiąt cztery procent kobiet choć raz w życiu życzy komuś śmierci, a nawet wyobraża sobie, że tę osobę zabija. Niemal nikt tych fantazji nie urzeczywistnia. Niemal... Ci, którzy urzeczywistniają, robią to pod wpływem jakiegoś silnego impulsu. Czegóż, co trwale zmienia status quo. W dużym uproszczeniu można przyjąć, że impuls może być wewnętrzny lub zewnętrzny.

– Osobisty albo... – Kryński nie skończył. Jego telefon zaczął dzwonić w kieszeni. Umilkł, zanim zdążył go wyciągnąć. Numer Wolczuka. Wahał się, czy oddzwonić. – Przepraszam na chwilę. – Z braku lepszego pomysłu wyszedł na balkon.

– Większość morderstw u nas w kraju ma podłoże emocjonalno-afektywne. Najczęściej po alkoholu, w ten sposób patusy rozwiązują sprawy rodzinne – kontynuowała Dorota. Jej oczy lśniły podnieceniem. – Mąż i żona, konkubent i konkubina, dzieci i rodzice. To aż dwie trzecie. Potem są majty, dziesiony – odruchowo użyła żargonu – to znaczy seksualne, rozboje i jeszcze z poczucia krzywdy. Rozboje to

jakieś jedenaście procent, a seksualne dziesięć, prawda?

– Tak – potwierdził Painer. – Nie uwzględniłaś jeszcze urojeniowych.

– Siedem procent. – Pamiętała.

– Co siedem procent? – spytał Kryński, wracając.

– Zabójstwa powodowane chorobą psychiczną.

– I myślisz, że to nas dotyczy?

– Tak tylko rozmawiamy. Statystycznie powinien być afekt, przy dziewczynie stawiałam na podłoże seksualne, ale badanie tego nie potwierdziło. Rozbój też odpada, bo sprawca nie wziął pieniędzy z torebki. U księdza...

– Odbiegasz od tematu – upomniał prokurator, bawiąc się paczką cameli. – Co się zmieniło?

– Nie wiemy. – Kryński usiadł na swoim miejscu.

– W porządku.

Zapadła cisza. Wydłużająca się, coraz bardziej krępująca. Prokurator spoglądał gdzieś za okno, a dwójka policjantów siedziała bez ruchu, zerkając na siebie nawzajem. W końcu odezwała się Dorota.

– Jeśli to rzeczywiście powiązane sprawy – zignorowała spojrzenie Kryńskiego – a sprawcę do działania sprowokowało coś osobistego, jak kłótnia rodzinna czy jakaś tragedia, to środowiskowy powinien pomóc w wytypowaniu podejrzanych. To małe miasteczko, więc trudno ukryć przed sąsiadami głośne pierdnięcie, a co dopiero awanturę. O chorobach i wypadkach też wszyscy wiedzą przed lekarzem.

– Nie przesadzaj – mruknął Darek. – Zresztą każdy u nas staje na głowie, aby czegokolwiek się dowiedzieć. Zastanawiam się... – zaczął, lecz uznał, że to nie jest najlepszy pomysł, więc nie dokończył.

– Nad czym?

– Zastanawiam się, czy tą zmienną nie był szkielet. – Skrzywił się, zły, że w porę nie zamknął ust. Czuł na sobie spojrzenie Painera. Takie samo jak wtedy na brzegu, gdy palnął o psie nanoszącym ziemi do bagażnika.

– Niech pan rozwinie tę myśl. – W głosie prokuratora nie było kpiny. Nie było w nim też zainteresowania. Tylko sugestia.

– To wydarzyło się jako pierwsze.

– Wcześniej była impreza w „Okraglaku” – przypomniała Dorota. – Może ktoś, kto brał w niej udział, zmienił status quo?

– Może. – Kryński wzruszył ramionami. – Ale to szkieletu dotyczy miejscowa legenda... O opętaniu. – No i palnął. Jeszcze gorzej niż z psem.

– Zechce pan kontynuować?

– W tej historii... w legendzie chyba chodzi o jakiegoś zakonnika, który... który kiedyś tam był opętany i zabijał, a... a ktoś go powstrzymał... – Odchrząknął. – Różańcem?

– Pana elokwencja mnie ujmuje. – Painer zapalił papierosa. – Czy możemy prosić o więcej szczegółów? Rozumie pan, że to całkiem niezłe nam tu pasuje, prawda?

– To o tym mówił ci tamten koleś? – przypomniała sobie Dorota.

– Nie. To znaczy tak... – Kryński odetchnął. – Chwileczkę, bo to jest niepoważne i po prostu głupio mi o tym mówić.

– No to niezłe dobrałaś formę do treści. – Roześmiała się.

– Pamięta pan stłuczkę, w której brał udział samochód tych z piaskowni? – Zignorował Dorotę. – Właściciel auta, które zostało zepchnięte z drogi, jest dziennikarzem. Nazywa się...

– Wolczuk, wiem. – Było coś w sposobie, w jaki Painer wymówił to nazwisko. Coś nieokreślonego, na co Kryński w tamtej chwili nie zwrócił uwagi. Mimo to jego policyjny instynkt zmusił pamięć, by ten niuans zachować. Jak drobną anomalię na wykresie ekg. Coś, do czego później będzie można powrócić.

– Tak, więc to on opowiedział mi historię, którą usłyszał od któregoś z zakonników. Opętany przez diabła ksiądz zabijał do chwili, gdy związano go różańcem. Tam było też coś o tym, że wracał co jakiś czas albo że ten diabeł opętywał kolejne osoby. Nie pamiętam, bo nie słuchałem uważnie. Wziąłem to wtedy za typowe bajki. Coś w stylu korytarza prowadzącego z zamkowej studni do kościoła czy kopalni złota ukrytej pod zamkiem. Wie pan, o co mi chodzi. Teraz jednak... – uprzedził Painera, domyślając się, co powie – widzę tu pewną zbieżność. Głównie przez te koraliki, które mogą być elementem różańca.

– To bardzo prawdopodobne – przytaknęła Dorota.

– Pomyślałem, że ktoś mógłby inspirować się taką klechdą. Myśli pan, że to głupie?

– Nie – odpowiedział Painer po dłuższej chwili. – Na wszelki wypadek warto byłoby ją poznać, ale nie zlecę tego oficjalnie.

– Nie musi pan. Jestem umówiony jutro na spotkanie z tym dziennikarzem, więc dowiem się wszystkiego, co trzeba.

Painer skinął głową. Zamyślił się. Noc sączyła się do mieszkania chłodem i zamierającym szumem przejeżdżających po ulicy aut. Nie było już o czym rozmawiać. Dorota zebrała filiżanki i poszła je umyć. Kryński został, szukając jakiegokolwiek rozsądnego tematu, którym mógłby przerwać ciszę. Nie znalazł nic prócz pożegnania.

Stali już w przedpokoju, ubrani i gotowi do wyjścia, gdy Painer zapytał:

– Wolczuk odniósł jakieś obrażenia w tej stłuczce?

– Nie, ucierpiało tylko jego auto.

– O której godzinie to się wydarzyło?

– Jeśli zastanawia się pan, czy mógł mieć z tym coś wspólnego, to od razu mogę powiedzieć, że jest czysty. Sprawdzaliśmy go, bo wydawało nam się podejrzane, że zgłosił się dopiero na drugi dzień. Jest świadek, który pojawił się na miejscu tuż po wypadku i pomagał Wolczukowi opuścić auto. Potem zawiózł go do Chęciny i załatwił nocleg w klasztorze. Tuż przed zamknięciem bramy, więc sam pan rozumie...

– To było przed zabójstwem dziewczyny?

– Tak. Też o tym pomyślałem – przyznał Kryński. – W tę noc, w którą zginęła Beata, do rana przebywał poza miastem w towarzystwie. Był widziany, jak opuszczał Chęciny i jak wracał. Tylko na okoliczność pobicia go jeszcze nie rozpytywaliśmy – dodał dla porządku.

– Chciałbym z nim porozmawiać. Proszę to zorganizować, panie Darku.

– Formalnie to Waldek powinien...

– Nie musi być formalnie. Lepiej nawet, żeby nie było, bo nie ma związku z tą sprawą. W porządku?

– Tak, oczywiście. Spróbuję...

– Świetnie. Dobrej nocy.

Niedługo później sunęli szeroką ulicą Popiełuszki, wzdłuż wschodniej granicy osiedla, do ronda i dalej w stronę centrum Kielc. Teoretycznie mogli przejechać przez Barwinek na zachód, do Ściegiennego i w dół. Tamteży byłoby krócej, ale na wąskich, osiedlowych uliczkach zamontowane były progi zwalniające, a Kryński nie lubił progów. Nie lubił też wąskich uliczek i ciasnych zakrętów. Wybrał więc drogę dłuższą, ale bardziej komfortową. Przynajmniej z jego punktu widzenia.

– Co o tym myślisz? – spytała Dorota, gdy zatrzymali się na światłach, na pasie do skrętu w lewo.

– O tym spotkaniu? Było dziwnie. – Czerwona łuna otaczała sygnalizator, choć ulica była pusta. Nic ich nie mijalo ani nie jechało z naprzeciwka. Jedynie we wstecznym lusterku majaczyły odległe punkty reflektorów. System sterujący sygnalizacją powinien to wykryć i pozwolić na płynny lewoskręt, a nie zmuszać do czekania. Chyba że ktoś programujący urządzenie uznał, że noc to czas piratów drogowych, którym trzeba utrzyć nosa. Albo zwyczajnie był złośliwym dupkiem. – Uważam, że powinien trzymać się procedur i nie bawić się w cyrk. Czuję się jak błazen.

– Zgadza się, to nieszablonowe podejście. Painer jest oryginałem, ale nie świrem. Wiesz, jaka jest różnica? Świr nie ma efektów, a o nim krążą legendy.

Nie odpowiedział. Wrzucił bieg i ruszył, gdy światło się zmieniło.

– A wiesz, co mówią? Że może sobie nawet seanse spirytystyczne urządzać, byle nadal był tak skuteczny. Zresztą... – Położyła mu dłoń na udzie. – Mnie to po prostu kręci.

– Zauważyłem.

– Jeszcze bardziej kręci mnie, gdy jesteś obok. – Przesunęła dłoń bliżej jego krocza. – I wcale nie zrobiłeś z siebie błazna.

Zwolnił. Wojska Polskiego biegła mniej więcej na północny zachód i można nią było dojechać do Krakowskiej Rogatki przez otwartą dwa lata wcześniej Miodowicza. Teraz, w nocy, nie miało to większego znaczenia. Za to w dzień, w godzinach szczytu pozwalało zaoszczędzić

czas. Kryński jednak nie chciał nic oszczędzać. Włączył kierunkowskaz i zawrócił w bramie szpitala.

– Co robisz? – spytała Dorota.

– Kiedy ostatni raz byłaś na Wietrzni?

– Kryński! – parsknęła.

Przejechali Tarnowską i skręcili w lewo. Wąska, niedbale połatana i słabo oświetlona ulica wciskała się między niskie zabudowania. Reflektory ich auta oświetliły betonowy płot i znak ostrzegający przed progiem zwalniającym. Tylko na chwilę. Snop światła obrócił się w stronę pograżonych w mroku zarośli, zatańczył na nierównościach i zaczął wspinać się wolno po wyboistej drodze.

Gałęzie zrzytnęły o karoserię, amortyzator dobił na kamieniu, koło zabuksowało, ale złapało przyczepność, ciągnąc pojazd w kierunku skrytego za skalnym garbem punktu widokowego. Dalej droga była równiejsza, mimo to Kryński nie przyśpieszył. Mimowolnie czuł respekt do kryjącej się w mroku przepaści, od której dzieliło ich kilka metrów.

Dawny kamieniołom, który eksploatowano do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych objęto ochroną, tworząc rezerwat przyrody nieożywionej. Od kilku lat działało tu też Centrum Geoedukacji, zlokalizowane jednak nieco dalej. Wystarczająco daleko, by punkt widokowy kusił miłośników pięknych widoków i nie tylko.

Kryński zatrzymał auto przodem do świateł miasta. Wyłączył reflektory i silnik.

– Artykuł sto czterdziesty kodeksu wykroczeń? – spytała Dorota.

– Nieobyczajny wybryk? Tylko jeśli będziesz grzeczna. – Zaciągnął ręczny. – Jeśli nie, to pięćdziesiąty pierwszy.

– Kto krzykiem, hałasem... – zaczęła recytować, lecz przerwała, gdy ją pocałował. – Zakłóca spokój... – Odpięła pas. – Albo wywołuje zgorszenie... – Już nie dokończyła.

Czwartek

57

Damian Wolczuk lubił poranki. Szczególnie takie, które zapowiadały dobry dzień. O siódmej rano niebo było niemal bezchmurne i wiał ciepły wiatr. IMGW ostrzegało przed rozpoczynającą się właśnie falą upałów i burzami, jakie miały nadejść w weekend. Na internetowej stronie miejscowej gazety opublikowano wzmiankę o wydarzeniach w kościele. Lakoniczną, sugerującą nieszczęśliwy wypadek. Nie wspomniano o tym, że policja prowadziła dochodzenie, ani nie uznano za stosowne, by powielić news w wydaniu papierowym, które Damian kupił w najbliższym sklepie. Na wszelki wypadek przejrzał je dwa razy, nim wyrzucił do kosza.

To była dobra wiadomość, która wprawiła go w lepszy nastrój. Jeszcze lepszy niż ten, w jakim opuścił mieszkanie Alicji, całując ją na pożegnanie. Niedługo, bo planował wrócić w ciągu dwóch godzin. Wątpił, by zabranie rzeczy z klasztoru zajęło mu więcej czasu, nawet uwzględniając wizytę w cukierni i kwiaciarni, które planował w drodze powrotnej. Ktoś mu kiedyś powiedział, że drobne gesty są najlepsze, aby okazać wdzięczność. Okazać lub uzyskać.

Alicja była niezwykłą kobietą. Pod pewnymi względami bardziej niezwykłą niż Justyna. Owszem, brakowało jej wielkomiejskiego sznytu, swoistego high life'u, zapachu drogich perfum i błysku przepłaconych ciuchów, których kicz łatwo pomylić z ekskluzywnością. Miała za to naturalność. Coś, czego nie da się kupić i o czym plastikowa warszawka mogłaby tylko pomarzyć. Niepodrabialną

namiętność i delikatny żar potrafiący zmienić wspólną noc w podróż życia.

Damian po raz pierwszy od wielu lat znów doznał takiego rodzaju bliskości. Spontanicznej i szczerzej. Tak bardzo różnej od tego, do czego przyzwyczała go Justyna. Z nią nawet najbardziej namiętny seks nigdy nie był na sto procent. Największe uniesienia zdawały się mieć granicę bliskości, za którą czaił się chłód. Jak w filmowej scenie, w której nie widać kamer, ale aktor wie, że kryją się w ciemności. Tuż za jego plecami. Razem z całą ekipą i reżyserem, który może przerwać ujęcie, gdy uzna, że nie jest wystarczająco dobre. To zawsze przeszkadzało Damianowi. Wyrachowanie Justyny, która nawet w łóżku nie potrafiła pozbyć się tej swojej sztuczności.

Jej miny i pozy – zupełnie jak gdyby wciąż wyginała się do zdjęcia, jakby w każdej chwili miał błysnąć flesz i zamknąć ją w instagramowym kwadracie z odpowiednimi hashtagami. Uważała się za gwiazdę, kogoś wyjątkowego i wartościowego. Tymczasem była jak ekskluzywne buty, które w blasku butikowych halogenów kosztują kilka tysięcy, a wykonał je Hindus na klepisku za kilkadziesiąt rupii. Po przeliczeniu – kilka złotych. Fotogeniczna fikcja. Alicja wydawała się jej przeciwieństwem. Szczera, czuła i prostoduszna w stopniu wystarczającym, by kwiaty i ciastka mogły procentować.

Tak naprawę Damian nie musiał ich kupować. Już nie. Alicja sama zaproponowała, aby na kilka dni u niej zamieszkał, że tak będzie bezpieczniej. Oczywiście zrobiła to pod wpływem chwili, gdy leżeli przytuleni i wpatrzni w siebie, jak gdyby próbując upewnić się, że to się dzieje naprawdę. Widział wtedy w jej oczach strach i niepewność mieszające się z ekscytacją i pożądaniem. Rozważała tę kwestię, analizowała z każdej możliwej strony, a wreszcie podjęła decyzję. Był jej wdzięczny. Nie tylko za samą propozycję, ale też za wszystko inne. Za to, że z nim rozmawiała, że chciała mu pomóc. Dlatego pomyślał o kwiatkach i cukierni. Tym razem tylko dlatego.

Na Franciszkańskiej klasztorny mur okrywał ulicę cieniem. Grupa biegaczy zniknęła w bramie. Kilka minut później Wolczuk zastał ich na dziedzińcu. Zdyszani i spoceni, stali milczącą gromadą. W rogu, przy

drzwiach. Tych samych, w których kilka dni temu po raz pierwszy zobaczył Beatę Chmielewską. Grupa składała się z samych mężczyzn, głównie młodych. Gdy ich mijał, zerkali na niego ukradkiem. Kiedy na nich spojrział, odwrócili głowy.

– Poradnia jeszcze zamknięta. – Mężczyzna w kraciastej koszuli zastąpił Damianowi drogę. Nie należał do grupy biegaczy, dopiero szedł w ich stronę.

– Ja w innej sprawie.

– A mógłby pan powiedzieć w jakiej? – Nie pozwolił się wyminąć.

– Mógłbym, ale nie powiem.

– Dlaczego?

– Bo nie użył pan magicznego słowa.

– Nie chciałem pana urazić. – Mężczyzna uśmiechnął się sztucznie. – Jako opiekun powinienem pytać o takie rzeczy. Leczą się u nas osoby uzależnione. Musimy dbać o to, aby nikt nie wnosił na teren produktów, które mogłyby wpłynąć niekorzystnie na terapię. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak, rozumiem, ale się śpieszę. Pan chyba też?

– Owszem, ale wpierw proszę powiedzieć, co pan tu robi.

– Przyszedłem zabrać swoje rzeczy i oddać klucz do pokoju Danielowi Krawczykowi. Mam nadzieję, że nie jest to problemem?

– Ach, nie, nie. – Wyciągnął dłoń. – Jestem Roman Jakubik. Daniela nie będzie do soboty, więc klucz proszę zostawić w drzwiach. Mógł pan od razu powiedzieć, że jest pan gościem.

– Ale nie powiedziałem. Dziękuję i do widzenia.

– Może panu pomóc?

– Nie trzeba.

– Dobrze, to... – Chciał coś jeszcze dodać, ale Wolczuk wyminął go i odszedł.

wkurzający człowiek patrzy w ślad za nim. On i kulawy o piskliwym głosie, którego również zauważył wśród biegaczy. Może nawet oni wszyscy. To go nie obchodziło. Nie w tej chwili. Teraz musiał się stąd wynieść. „Quasimodo się ucieszy” – pomyślał sarkastycznie. Ale to nie miało znaczenia, nie było istotne. Wolczuk musiał opuścić klasztor i zrobiłby to, nawet gdyby Alicja nie zaprosiła go do siebie. Wtedy po prostu wynajęłby jakiś pokój w okolicy. Gdziekolwiek, byle dalej od klasztoru.

Klasztor był spalony, co do tego Wolczuk nie miał wątpliwości. Jego przeciwnik musiał go obserwować. Nie było innej możliwości. Dlatego był w stanie przygotować zasadzkę, śledzić go, a potem ściągnąć do kościoła. Plan miał niezły i tylko szczęście uratowało Wolczuka przed wyeliminowaniem z gry. Szczęście...

Korytarz był pusty i cichy. Damian zatrzymał się przy drzwiach. Przyjrzał się zamkowi. Był porysowany, jak każdy, którego dłużej się używa. Nic wielkiego. Tyle że Damian, wychodząc, umieścił w nim skrawek papieru. Nieco głębiej, by nie rzucał się w oczy. Dość mały, aby nie przeszkadzał swobodnie operować kluczem. Kluczem, jeśli to ojciec Teofil przyszedł po swoją flaszkę, albo wytrychem, jeśli był to ktoś inny. Skrawka nie było. Wolczuk nie był zdziwiony.

Otworzył drzwi, ale nie wszedł do środka. Spokojnie zlustrował pomieszczenie, szukając czegoś, co wskazywałoby na to, że nie jest to bezpieczne. Ktoś mógł na niego czekać, coś mu podrzucić, szykując kolejną prowokację, albo przeszukać jego rzeczy. Drzwi od łazienki były lekko uchylone, a na stole leżał niedomknięty do końca laptop. Dokładnie tak, jak sam je zostawił. Na wszelki wypadek, by ustalić, czy może zaufa gospodarzom.

Ten prosty test wymyślił w jednej z redakcji. Pracował tam stary koleś, który lubił podkradać tematy. Na imię miał Stefan i był typową mendą. Redakcja mieściła się na piętrze starego budynku, które przebudowano dość nieudolnie. Zamysł może był dobry, ale efekt zły. Dziś pewnie wyburzono by tam ściany i zrobiono open space, oddzielając poszczególne biurka niewysokimi przepierzeniami, lecz wtedy dostępne pomieszczenia podzielono, tworząc niewielkie klitki,

każdą z osobnym wejściem, z braku miejsca pozbawionym drzwi. Biurka ustawiono bez sensu, frontem do okien, więc każdy siedział tyłem do korytarza. Korytarza i ściany po drugiej stronie, bo wejścia umieszczono niesymetrycznie. W teorii miało to zapewnić pełne skupienie, ale w praktyce wprowadzało dyskomfort. W dodatku długi korytarz wyłożono grubym chodnikiem, który tłumił kroki i nikt nigdy nie wiedział, czy ktoś nie stanął mu właśnie za plecami.

Stefan miał swoją klitkę na początku korytarza, tuż przy przeszklonych drzwiach oddzielających go od schodów. To było jedyne pomieszczenie bez okna, więc urządzono je inaczej i Stefan siedział nie tyłem, lecz bokiem do wejścia. Toalety i pomieszczenie socjalne znajdowały się po drugiej stronie klatki schodowej, dlatego każdy, kto do nich szedł, musiał przejść przez dwie pary mleczych drzwi. Jedne przy Stefanie, a drugie za schodami. Te drugie głośno skrzypiały. Stefan miał więc najbliżej do łazienki i kuchni, ale najdalej do palarni, która była na samym końcu korytarza, tuż za gabinetem naczelnego. Tworzyło to idealną sytuację.

Stefan dobrze wiedział, kiedy ktoś wychodzi, i mógł wykorzystać ten czas, by zajrzeć, nad czym pracuje. Po prostu udawał, że idzie na papierosa. Sprawę ułatwiało mu odgórne polecenie zabraniające zabezpieczania komputerów hasłem i to, że w redakcji korzystano z modeli przenośnych. Wtedy już dość archaicznych, niezgrabnych, przegrzewających się, ale zajmujących mniej miejsca niż tradycyjne.

Ich problemem była prędkość. Wolno się wyłączały i uruchamiały. Potrzebowały też czasu, by zainicjować program i otworzyć dokument. Dlatego, wychodząc na chwilę, mało kto zamykał plik, nad którym pracował, a jeszcze rzadziej wyłączał komputer. Stefan kradł, lecz starał się nie zostawiać śladów. Jeśli ktoś po prostu odszedł od swojego stanowiska, sprawa była prosta. Jeśli zamknął ekran, wprowadzając sprzęt w tryb uśpienia, to wystarczyło go otworzyć, a potem znów zamknąć. Na pierwszy rzut oka nie było szans, by zauważyć, że ktoś to zrobił, a tym bardziej udowodnić. Może dlatego niby wszyscy wiedzieli o Stefanie, ale nikt nic nie zrobił.

Nikt poza Wolczukiem, który pracował najkrócej i nie lubił takich

akcji. Dlatego wymyślił sposób z niedomkniętym laptopem. To było banalne. Złodziej działał rutynowo, a w dodatku pod presją. Nawet jeśli zwróciłby uwagę na niedokładne zamknięcie, to i tak po chwili skupiał się na treści, na tym, co znajdowało się na ekranie. Było więc niemal pewne, że potem zamknie obudowę do końca, czyli zostawi ślad. Udowodni, że jest mendą. Stefan zamknał, a Wolczuk wrócił i dał mu w mordę. Później zaciągnął go na dywanik do naczelnego i wyleciał za to z roboty. Ktoś zapomniał mu wcześniej powiedzieć, że obaj panowie to starzy koledzy.

Taką samą pułapkę zastawił, wychodząc z klasztoru. Tak na wszelki wypadek. Chciał sprawdzić, czy Teofil albo ktoś inny nie jest zbyt ciekawski. Teraz jednak ta zapobiegliwość mogła mu się przydać jeszcze bardziej. Gdyby był na miejscu zabójcy, chciałby wiedzieć, czy trafiono na jakiś trop. Skoro to on, Damian Wolczuk, został uznany za zagrożenie, które trzeba wyeliminować, to zabójca powinien interesować się jego komputerem. To było logiczne. Powinien się tu włamać i przejrzeć zawartość albo po prostu wynieść sprzęt. W sumie wystarczyłoby, aby zabrał dysk. Robiąc to, musiałby podnieść laptopa i go odwrócić. Nie było szansy, by pamiętał potem o uchylonym na pół centymetra ekranie. Zostawiłby ślad, który Damian bez problemu dostrzegłby od progu, a wtedy bez wahania wezwałby policję. Może by coś znaleźli? Odciski palców, włos, cokolwiek. Jeden drobny błąd by wystarczył. Przynajmniej na początek. Nie mógł jednak liczyć na nic.

W pokoju wszystko wyglądało tak jak w chwili, gdy go opuszczał. A zatem musiał tu być tylko Teofil. Albo po starą, albo z nową butelką. Szkoda. Wolczuk zdławił w sobie uczucie zawodu, wszedł i spakował swoje rzeczy. Poszło szybko, bo nie miał ich dużo. Na koniec zostawił laptopa. Zanim go schował, pomyślał o starym zakonniku, o tym, że nie miał okazji się z nim pożegnać. Przez chwilę rozważał wejście na piętro i odszukanie jego pokoju czy celi – w sumie wciąż nie wiedział, jak się tu nazywa pomieszczenia prywatne zakonników – ale zrezygnował z tego pomysłu. Ignorując zakaz wstępu, narobił sobie tylko kłopotów, a tych miał już wystarczająco. Tym bardziej że wkrótce przewidywał nowe. Zresztą poza zdawkowym pożegnaniem co niby miał

mu powiedzieć? Zdecydował się na list. Krótkie podziękowanie i pożegnanie. Nie napisał, za co dziękuje, bo w sumie nie miał za co. Zrobił to tylko z grzeczności. Kilka zdań zapisanych na kartce z notatnika, którą umieścił w szafce obok butelki. Chyba jednak nieruszanej, lecz to już nie miało znaczenia.

Po raz ostatni upewnił się, że wszystko spakowane, zajrzał do łazienki i poprawił koc na łóżku. Pościel, której używał, leżała złożona w elegancką kostkę na brzegu. Nie chciał zostawiać po sobie bałaganu.

Wziął laptopa i zamarł. Ekran nie chciał się zamknąć do końca. Coś stawiało opór. Odłożył komputer z powrotem na stół i otworzył.

– Ty skurwielu! – mruknął.

Pomiędzy klawiszami, mniej więcej na środku klawiatury, leżał niewielki koralik. Na matrycy pozostał delikatny ślad w miejscu, w którym się z nią stykał. Wolczuk rozejrzał się odruchowo. Podeszedł do okna. Pod zwisającymi nieruchomo gałęziami drzew nie było nikogo. Na prawo, przy bramie, również żadnej postaci, żadnego ruchu. Pustka. Cofnął się i przyjrzał koralikowi. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę, w którą zawinął ten z kościoła. Były niemal identyczne. Ten sam materiał, obróbka, patyna.

– A więc tak sobie pogrywasz... – Przeszło mu przez myśl, aby zadzwonić na policję, lecz uświadomił sobie, że sprzątając, zatarł ślady. Byłaby to zatem strata czasu. Dla nich i dla niego, a on już nie zamierzał więcej go tracić. Dlatego schował oba koraliki, laptopa i wyszedł z pokoju. Klucz zostawił w drzwiach, tak jak zasugerował facet w koszuli, i nie śpiesząc się, wyszedł na zewnątrz.

59

Za bramą skręcił w prawo. Gdyby ktoś stał w głębi ulicy, w cieniu za słupem latarni, ujrzałby, jak Wolczuk odchodzi, nie oglądając się za siebie, i skręca za róg. Z torbą podróżną w ręce i laptopem przewieszonym przez ramię, jak człowiek gotowy do drogi. Gdyby ktoś siedział w jednym z aut stojących na parkingu tyłem do chodnika,

zobaczyłby we wstecznym lusterku Wolczuka wychodzącego zza rogu i idącego na przystanek. Obiekty w lusterku są bliżej, niż się wydaje. To dlatego, że lusterka są sferyczne. Zmniejszają obiekty, ale poszerzają pole widzenia. Tak więc zobaczyłby również, jak Wolczuk sprawdza rozkład jazdy i siada na ławce. Czeka na autobus. Samochód musiałby stać jednak pod odpowiednim kątem, a lusterko musiałoby być specjalnie przestawione. Nic trudnego dla kogoś, kto wie, co robi.

Gdyby ten ktoś był cierpliwy, to zobaczyłby także, jak kilkanaście minut później przy przystanku zatrzymuje się autobus numer trzydzieści jeden. Najprawdopodobniej usłyszałby syk pneumatycznych drzwi i miarowe dudnienie silnika, a na pewno wzrastające obroty, gdy blisko dwutonowy kłoc, jakim jest solaris urbino, ruszał w dalszą drogę. Gdyby ktoś patrzył, mógłby jeszcze uchwycić sylwetkę Wolczuka gramolącą się na siedzenie w tylnej części pojazdu, a potem autobus wyjechałby poza pole widzenia, pozostawiając po sobie cichnący szum.

Wolczuk miał nadzieję, że był ktoś, kto patrzy. Liczył na to. Uważał, że to właśnie powinien zrobić drań, któremu przedwczoraj zdołał się wymknąć i od którego teraz otrzymał znak. To było oczywiste. Sam na jego miejscu by to zrobił. Czekał i obserwował klasztor, by sprawdzić, czy Wolczuk ma już dość, czy wystraszył się wystarczająco i odpuści. Bo o to teraz chodziło, aby odpuścił i przestał węszyć. O nic innego. Nie udało się go zrobić, więc ma się wynosić, przestać przeszkadzać.

Sprawca z jakichś niezrozumiałych powodów nie próbował go zabić, przynajmniej dotychczas. Prowokacja i koralik były tylko ostrzeżeniem. Może już ostatnim, ale wciąż mającym na celu odstraszenie. Całkiem skutecznym, trzeba przyznać, i pewnie w innych okolicznościach Wolczuk podkuliłby ogon i zniknął. Zabrał swoje rzeczy, wsiadł do autobusu i wyjechał z miasteczka. Tak jak teraz, właśnie tak.

Wolczuk miał nadzieję, że sprawca patrzył, że widział, jak wystraszony wsiada i odjeżdża. Miał nadzieję, że był zadowolony, pozbywając się kłopotu. Przede wszystkim miał jednak nadzieję, że sprawca nie wie, że ze sprawcy stał się przeciwnikiem. Na własne życzenie.

W innych warunkach Damian z pewnością dałby się nastraszyć

i wycofałby się. Uznałby, że nie warto ryzykować, że gdyby coś poszło nie tak, mógłby stracić wszystko. Zdarzały się takie przypadki, opowieści o nich krążyły z ust do ust. O dziennikarzach, którzy grzebali nie tam, gdzie trzeba, i o tym, co ich spotkało. Jeśli nie znikali, to ktoś zamieniał ich życie w piekło.

Wolczuk się o to nie martwił. Uważał, że jego życie mogło się już tylko polepszyć. Poza tym było jeszcze coś. Tłumiona frustracja i wściekłość. Wszystkie emocje, które buzowały w nim przez ostatnie dni jak cuchnące szambo, nie mogąc znaleźć drogi ucieczki. Ale ta droga była, wystarczyło tylko nią pójść. Wolczuk rozmyślał o tym w nocy, gdy Alicja już spała. Rozważał możliwe scenariusze i konsekwencje. Podjął decyzję.

60

Autobus skręcił w Staszica i zaraz potem wjechał na dolny rynek. Zatrzymał się na przystanku, na którym czekał tylko jeden pasażer, starszy człowiek w szarobrązowej kurtce z reklamówką w dłoni. Usiadł z przodu, za kierowcą. Poza nim i Wolczukiem w autobusie było jeszcze troje pasażerów. Dwie kobiety i młody chłopak ze słuchawkami w uszach. Wszyscy zajęci sobą. Autobus ruszył w dalszą drogę. Ulicą Kielecką, by na wysokości zespołu szkół skręcić w ulicę Szkolną. Nie trzeba było się domyślać, czemu tak się nazywa.

Nieco dalej był ostatni przystanek w Chęcinach. Kierowca zwolnił, obserwując pustą wiatę, zerknął w lusterko, sprawdzając, czy ktoś nie chce wysiąść, i dodał gazu, rozpędzając autobus, by łatwiej pokonał wzniesienie. Chwilę później minęli tablicę z nazwą miasta i wyjechali na trasę siedemset sześćdziesiąt dwa, prowadzącą przez wiadukt w kierunku Kielc. Wiadukt, pod którym biegła trasa E7. Pędzące nią auta zwalniały, mijając ostrzegawcze tablice i dziesiątki słupków, a potem grzęzły w korku, który miał już ponad kilometr i wciąż się powiększał.

Słońce zaczynało coraz mocniej nagrzewać szyby autobusu, wewnątrz

było jednak przyjemnie chłodno. Szum klimatyzacji zlewał się ze stłumionym świstem silnika. Linia trzydzieści jeden łączyła Chęciny z Kielcami. Pięć przystanków w Chęcinach, trzynaście w Kielcach i dziesięć pomiędzy nimi. Z tego jeden pod szpitalem na Czerwonej Górze, ku któremu wiodła znana już Wolczukowi kręta droga.

Ta sama, którą po południu przyjedzie do pracy Alicja. Kto wie, może nawet tym samym autobusem, z tym samym kierowcą? Wolczuk nie miał pojęcia, jak zorganizowana jest ich praca. Wystarczyło jednak spojrzeć na rozkład, by ocenić, że trzydziestka jedyńska potrzebowała mniej więcej czterdziestu pięciu minut na to, by pokonać całą trasę. W godzinach szczytu pewnie dłużej. Czterdzieści pięć w jedną i tyle samo w drugą stronę. Wolczuk wsiadł do autobusu o siódmej pięćdziesiąt siedem. Zapamiętał, że kolejny miał być na tym przystanku dopiero o dziewiętej pięćdziesiąt jeden, a więc było niemal pewne, że to będzie dokładnie ten sam autobus.

Po południu jednak częstotliwość odjazdów się zwiększała: piętnasta piętnaście, szesnasta siedem i szesnasta pięćdziesiąt dziewięć, czyli na trasę wyjeżdżał dodatkowy kierowca. Dwa pojazdy mijające się między przystankami. Pozornie pięćdziesiąt procent szans. Tyle że ta linia miała kilka wariantów. Niektóre kursy omijały część końcowych przystanków lub konkretne ulice. To zmieniało sytuację i uniemożliwiało wyliczenie prawdopodobieństwa komuś, kto nie orientował się w tych niuansach. Owszem, można było zajrzeć do rozkładu online i wszystko ustalić, ale po co? Wolczuk myślał o tym tylko dla zabicia czasu, dla zabawy. Nie potrzebował się wysilać.

Autobus dotarł przed bramę szpitala, zakręcił przed szlabanami i sapnął, rozklejając uszczelki drzwi. Ktoś wysiadł, ktoś wsiadł i pojazd ruszył z powrotem w dół. Zatrzymał się jeszcze na jednym przystanku u podnóża góry i wrócił na trasę siedemset sześćdziesiąt dwa, kierując się w stronę Kielc. Wolczuk odwrócił się i spojrział przez jednostronnie przejrzystą folię, którą oklejona była tylna szyba, na oddalający się chęciński zamek. Na folii nadrukowana była jakaś reklama, nie interesowało go jaka.

Wolczuk szacował, że autobus potrzebuje czterdziestu pięciu minut,

by pokonać całą trasę. Nie zamierzał tego jednak sprawdzać. O ósmej siedemnaście wysiadł na przystanku w Zgórsku. To był bardzo dobry przystanek, najlepszy z tych, na których dotychczas stawał. Umieszczony zaraz za skrzyżowaniem, sześćdziesiąt metrów od świateł, które zmieniły się chwilę po tym, gdy autobus je minął. Praktycznie nie powinien tego zrobić, bo paliło się żółte, ale najwyraźniej kierowca miał wysoki próg tolerancji na kolory. Jadące za nim samochody nie zaryzykowały.

Przystanek był starego typu. Nieduża, murowana wiata pomalowana brzoskwiową farbą, na której jakieś dzieciaki nabazgrały sprayem bliżej nieokreślony kształt. Zapewne wydumany inicjał albo coś innego. Cofnięta trochę od ulicy, nie dużo. Tyle, aby było miejsce na chodnik i zatoczkę, gdzie zatrzymał się solaris.

Między skrzyżowaniem a przystankiem stał nieduży dom. Ogrodzony częściowo żywopłotem, a częściowo betonowym ogrodzeniem ograniczającym widoczność od strony świateł. To było ważne, bo gdy w zatoczce zatrzymywał się autobus, znudzeni kierowcy stojący na czerwonym widzieli tylko kawałek wiaty.

Ważniejsze jednak było to, że tuż za nią biegła wąska, dojazdowa droga prowadząca do posesji usytuowanych wzdłuż trasy. Ledwie trzy metry za przystankiem, sześć od drzwi autobusu. Idealne miejsce, by niepostrzeżenie wysiąść i zniknąć z pola widzenia. Jeśli ktokolwiek śledziłby autobus, obserwując wsiadających i wysiadających, miałby jakieś dwie sekundy, aby zauważyć Wolczuka. Pod warunkiem że stałby na światłach na prawym pasie. W innym wypadku nie miałby na to żadnych szans.

Damian nie miał pewności, czy ktokolwiek go śledzi. Wiedział jednak, że gdyby role się odwróciły, sam na pewno by to robił. To mu wystarczyło. Gdy autobus ruszał w dalszą drogę, był już kilkanaście metrów dalej, biegł truchtem, aby zdążyć schować się za ogrodzeniem posesji. Na jej końcu. Kiedy samochody odjeżdżały ze świateł, stał już kilkadziesiąt metrów dalej. W bezpiecznym miejscu, niewidoczny z drogi.

Na wszelki wypadek odczekał kilka minut, sprawdzając na mapie

najbliższą okolicę. Miał szczęście. Jakieś dwieście metrów dalej, tuż przy osiedlu, było kilka sklepów. Wśród nich cukiernia i kwiaciarnia. Znajdowały się tu też dwa sklepy odzieżowe. Ich asortyment był daleki od tego, w co Damian ubierał się na co dzień, ale na to właśnie liczył.

Wkrótce wrócił na skrzyżowanie przebrany w tanie czarne dżinsy, szary T-shirt bez metki znanego producenta, ciemne sportowe buty, których nazwy nigdy wcześniej nie słyszał, i czapkę z daszkiem. Laptopa i ubrania z trudem upchnął w torbie podróżnej. Stare buty już się nie zmieściły, musiał je nieść w reklamówce. W kolejnej miał świeże bułki i ciastka. W drugiej ręce trzymał wiązanek kwiatów. Przyspieszył, by zdążyć przejść na drugą stronę na zielonym świetle.

Najbliższy przystanek powrotny był po lewej, oddalony o dwieście metrów, ale stojący na otwartej przestrzeni. Zbyt ryzykowny. Dlatego zdecydował się na ten po prawej, który był dwa razy dalej, lecz tuż za nim rosły krzaki. W dodatku mógł tam dojść bocznymi uliczkami. Nadrobił drogi i wrócił na trasę jakieś sto metrów od przystanku. Tylko sto metrów ryzyka. Niewielkiego, bo jeśli ktoś rzeczywiście go śledził, to w tym czasie powinien wciąż wlec się za autobusem. Teoretycznie Wolczuk mógł więc iść prosto wzdłuż drogi, ale był przezorny. Nie chciał niepotrzebnie kusić losu. Poza tym miał jeszcze trochę czasu. Autobus przyjedzie dopiero dwadzieścia po dziewiątej.

Począł na niego, stojąc w cieniu, osłonięty przez wiatę i zielone krzaki. Z ograniczonym polem widzenia na tyle, że nie zauważył bordowego volvo XC60, które przemknęło obok kilka minut przed przyjazdem autobusu.

W Chęcinach był z powrotem o dziewiątej czterdzieści dwie. Wrócił do mieszkania Alicji w samą porę, bo zaczynała się już niepokoić.

Arkadiusz Painer, schowany za pleksiglasową szybą swojej rajdówki, rozpędzał się na długiej prostej. Nie musiał patrzeć na obrotomierz, wystarczył mu dźwięk silnika. Zmiana jego modulacji pozwalała

precyzyjnie dobrać optymalny moment, w którym powinien zmienić bieg. Basowy ryk wypełniał uszy, wibrował przyjemnie w każdym mięśniu. Painer zwolnił przed zakrętem, zredukował bieg i pochylił motocykl. Ostro, niemal do granicy przyczepności. Chwilę później odkręcił manetkę, przyśpieszając na wyjściu z łuku. Przeleciał przez linię mety i odpuścił. Pozwolił, by mechanik go wyprzedził, by teraz on mógł pokazać, na co go stać. Jego yamaha XS 400 była młodsza, z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego, z innej epoki niż norton manx Painera. Dlatego startowali w różnych klasach, ale nie przeszkadzało im to wspólnie trenować. Przynajmniej wtedy, gdy Painer znalazł czas.

Tego dnia się udało. Tuż przed świtem spotkali się na torze. Wcześniej, bo Painer miał tego dnia trzy sprawy na wokandzie. Wkrótce musiał pojawić się w sądzie. Mimo to zdążyli zrobić kilka okrążeń.

To było dla Painera ważne. Pozwoliło przewietrzyć umysł, oderwać się, nabrać dystansu i innej perspektywy.

Nie zwariować.

62

Mówi się, że to nie szata zdoła człowieka, a mimo to Dariusz Kryński w pierwszej chwili nie poznał Wolczuka. Otworzył drzwi i zawahał się na moment. Niezauważalny, miał nadzieję. Zamiast dupka z Warszawy stał przed nim niemal zwykły koleś, który mógłby uczciwie zarabiać na życie. Niemal, bo strój nie był w stanie zetrzeć z twarzy dziennikarza bezczelnego spojrzenia i drwiącego uśmiechu. Było późne popołudnie. Bliżej kolacji niż obiadu. Ponownie usiedli w kuchni. Wolczuk przyniósł butelkę whiskey, ale Kryński nie chciał pić, nie tym razem.

– W porządku, Damian – powiedział, stawiając na stole dwie szklanki, w których fusy nie mogły się zdecydować, czy wolą pływać przy powierzchni, czy opadać w dół. – Opowiedz mi jeszcze raz o tej legendzie. Od kogo ją usłyszałeś i kiedy, co dokładnie ci mówił, wiesz, o co mi chodzi.

- Myślałem, że to ty mi najpierw odpowiesz na kilka pytań.
- Odpowiem, ale zacznijmy od legendy.

Wolczuk skinął głową i opowiedział o nawiedzonym zakonniku, który pojawiał się przez lata, przynosząc śmierć. Nie pamiętał co prawda dat, które podawał mu Teofil, ale nie były najistotniejsze. Ogólny zarys był jasny: zły duch, diabeł, szatan, demon, czy jakkolwiek inaczej go nazwać, zmuszał ludzi do zabijania. Do czynienia zła. Wszystko zaczęło się podczas najazdu Rakoczego i trwało do dziś. Kryński słuchał z uwagą. O złej mocy powstrzymanej przez różaniec przywieziony przez krzyżowca z Jerozolimy, który ów krzyżowiec, późniejszy wielki mistrz, podarował zaprzyjaźnionemu franciszkaninowi.

Wolczuk starał się przedstawić to w miarę składowanie, choć kilka razy pogubił się w chronologii wydarzeń. W ustach Teofila brzmiało to o wiele lepiej. Wolczuk miał tego świadomość, dlatego denerwował się coraz bardziej, nie mogąc przez pół godziny odtworzyć wszystkiego jak należy. Skupienie na twarzy policjanta tylko pogarszało sprawę.

- To się nie trzyma kupy - mruknął wreszcie Kryński. - Skoro go powstrzymali za pomocą relikwii, to czemu to się powtarzało?

- Może działało jak radioaktywność? Trup z ziemi się nie ruszał, ale promieniował. Jeśli ktoś przeszedł zbyt blisko, to mu się udzielało? - Wolczuk wzruszył ramionami.

- Mówisz to poważnie?

- Próbuję racjonalizować.

- Klechdę?

- Słuchaj, Darek - zirytował się. - To wasza miejscowa legenda, więc powinieneś lepiej wiedzieć ode mnie. Zresztą idź sam do klasztoru i pogadaj z dziadkiem Teofilem albo z tym waszym przewodnikiem. Ja nie mówię, że w nią wierzę, ale że ktoś się nią może sugerować.

- Mów dalej.

- Nie. - Damian pokręcił głową i sprawdził, czy herbata nadaje się już do picia. Była za gorąca, więc podniósł i odstawił szklanekę. - Najpierw ustalmy, na czym stoimy, Darku. - To była podstawa. Fundament dalszej rozmowy i całej ich relacji. Test. - Macie coś, jakiś trop albo kolejne ofiary?

– W sprawie Beaty na razie nic nowego – powiedział wolno, wyraźnie się wahając. Pomyślał o konsekwencjach udzielania informacji osobie nieuprawnionej, a potem o metodach Painera. Westchnął. – Mamy jedno nagranie z przemysłowej kamery, na którym ją widać, jak idzie ulicą. To niedaleko miejsca, gdzie zaczęła uciekać w las. Jest ona, a potem ktoś za nią. Obie postaci pojawiają się tylko na moment, zniekształcone w rogu kadru. Rozdzielczość jest zbyt słaba, aby zobaczyć jakieś szczegóły. Na dobrą sprawę za słaba nawet na to, by udowodnić, że to rzeczywiście nasza ofiara.

– Nie możecie tego przepuścić przez jakiś program do obróbki i wyostrzyć?

– Tak jak na filmach? Nie żartuj. – Pokręcił głową. – To niemożliwe. Widać tam tylko tyle, że jej kroki są krótkie, więc jeszcze nie wiedziała, że coś jej grozi. Napastnik stawiał dłuższe, czyli szykował się już do ataku, gonił ją. Żadne z nich nie pojawiło się już więcej. Sprawdziliśmy każdą klatkę aż do rana. Zatem nagranie praktycznie nic nam nie daje. Laboratorium też nie znalazło niczego konkretnego. Świadców brak, a z wywiadu środowiskowego również nic nie wynikło. Po prostu jesteśmy w dupie i tyle. Czynności trwają dalej, ale dopóki nie pojawi się jakiś punkt zaczepienia, nie ruszymy z miejsca.

– I to wszystko?

– Nie. Jest nowa sprawa. Przedwczoraj w nocy, w kościele. Ofiarą jest ksiądz.

– Czytałem w gazecie, że miał jakiś wypadek i wylądował w szpitalu. – To było niewinne stwierdzenie. Ani ton głosu, ani mowa ciała Wolczuka nie zdradzały, że cokolwiek wie na ten temat. Byłby dobrym graczem w pokera. Wiedział o tym.

– Oficjalnie. – Kryński grał w otwarte karty. – Nieoficjalnie to pobicie ze szczególnym okrucieństwem albo usiłowanie. Ksiądz leży na OIOM-ie, a my szukamy sprawcy. Tu też na razie kręcimy się w kółko, czekamy na analizy, ale ze względu na specyfikę miejsca są nikłe szanse na konkrety.

– Nic nie macie?

– Jak dotąd tylko bezwartościowe zeznania pijaczków z rynku. Jeden

upiera się, że widział dwóch mężczyzn idących do kościoła, drugi twierdzi, że był tylko jeden, a trzeci, że do kościoła biegła kobieta. Tego wieczoru któryś z nich miał imieniny, więc dali w palnik ostrzej niż zwykle. Wiesz, Damian... Akurat miałem służbę w patrolu, przyjechałem na miejsce. To było... – starał się jakoś sensownie dobierać słowa – nieludzkie. Pracuję w tym zawodzie parę lat i widziałem różne rzeczy, ale z takim sadyzmem jeszcze się nie zetknąłem. Sprawca chciał, żeby ofiara cierpiała. Wiesz... Ludzie działają najczęściej pod wpływem emocji, impulsu. Po prostu przestają się kontrolować, a tu miałem wrażenie, że dokonano tego na chłodno. Że to było przemyślane działanie. – Napił się herbaty. – To tylko moja ocena, nie miałem wglądu w wyniki obdukcji – zastrzegł. – Na razie uznajemy to za odrębną sprawę, wszystkie trzy śledztwa traktujemy osobno, ale one mogą być powiązane.

– Piaskownię i kirkut łączą koraliki, a ksiądz?

– Nie znaleźliśmy przy nim nic takiego. Myślę jednak, że tam też był taki ślad. Tak jak u Beaty, na piersi miał namalowany krzyż, a na nim taki sam paciorek. Tyle że sprawca w ostatniej chwili musiał się rozmyślić i go zabrał. To nie poszło do oficjalnego raportu, bo nie chciałem robić z siebie durnia. Możliwe, że pod wpływem tego wszystkiego już fantazuję.

– Nie fantazujesz – zaprzeczył Wolczuk. – Jesteś fair, tak jak się umawialiśmy, więc ja też będę. Byłem tam, Darek. To ja zabrałem ten pieprzony koralik i uciekłem chwilę przed wami. Ale nie ja to zrobiłem, ja miałem być ofiarą.

– Co ty... – zająknął się, sztywniejąc.

Wolczuk sięgnął do kieszeni i wyciągnął zawiniątko. Kościane kulki potoczyły się po stole.

– Ten był na piersi księdza, a ten... – trącił palcem – podrzucono mi do pokoju jako ostrzeżenie, że będę następny.

Prokurator Arkadiusz Painer miał tego dnia trzy sprawy na wokandzie. W budynku sądu okręgowego przy ulicy Seminaryjskiej pojawił się przed południem i przewidywał, że spędzi w nim resztę dnia. Tym bardziej że ostatnia sprawa zapowiadała się na długą i męczącą. Sądzić mieli kawał drania, a obrońcą był dobrze opłacany, spasiony fiut z krakowskiej kancelarii, która słynęła z kontrowersyjnych klientów. Painer miał już z nim do czynienia i nie odczuwał ekscytacji na myśl o ponownym spotkaniu.

Pierwsza rozprawa przebiegła gładko. Dotyczyła spowodowania ciężkich obrażeń ciała, a obrońca nawet nie próbował udowodniać, że jego klient, kibic jednej z piłkarskich drużyn, jest niewinny. Zdarzenie zarejestrowały kamery monitoringu, zeznania świadków były spójne, a motyw oczywisty. Adwokat walczył więc tylko o łagodniejszy wymiar kary. Bez większego przekonania zresztą, bo fakt, że sprawca przestał kopać ofiarę, gdy ta w końcu straciła przytomność i wypuściła z ręki szalik, trudno było uznać za okoliczność łagodzącą. Dostał pięć lat.

Druga sprawa dotyczyła przemocy domowej w rodzinie znanego lokalnego działacza. Mimo mocnych dowodów obrońcy zostało pewne pole manewru. Był młody i ambitny, więc to wykorzystał. Sędzia wyznaczył kolejny termin.

Trzecia się nie odbyła. Oskarżony miał zostać dowieziony z aresztu śledczego, jednak w trakcie transportu dostał ataku wyrostka. Zamiast na salę trafił do szpitala. Painer poczuł rozczarowanie. Wolałby to już mieć za sobą. Od dziecka uważał, że z każdym problemem należy mierzyć się jak najszybciej. Na długo przed tym, gdy strach, frustracja i zmęczenie odbiorą trzeźwość myślenia. Bez względu na wynik. Po prostu wtedy łatwiej wrócić do normalności. Mocniej cieszyć się triumfem lub szybciej lizać rany. Bójka w szkole, oblanie egzaminów, porażka w pracy czy rozwód. Duże sprawy, a potem również te małe, jak opłacenie wysokiego rachunku czy zapasy ze świnią wciśniętą dla niepoznaki w garnitur.

Za pięć czternasta Painer wyszedł przed budynek sądu i zapalił papierosa. W pewnej odległości od wejścia, schowany za jednym z szerokich filarów podtrzymujących podcienia. W ten sposób nie

prowokował krytyki ze strony osób wchodzących do budynku. Był też poza zasięgiem wzroku pasażerów autobusu i kierowców aut, które czekały na zmianę świateł. Oddzielony od nich kanciastym filarem i chodnikiem miał odrobinę prywatności.

Okazały gmach sądu stał u zbiegu ulic Żeromskiego i Seminaryjskiej. Zwrócony frontem ku tej drugiej. Niegdyś brukowanej, a dziś asfaltowej. Stanowiącej element arterii przecinającej miasto ze wschodu na zachód. Dziś już nieco za wąskiej, co szczególnie dawało się odczuć w godzinach szczytu.

Gmach był monumentalny, wybudowany tuż po wojnie, stanowił przykład architektury socrealizmu. Przykład na tyle udany, że w latach dziewięćdziesiątych wpisano go do rejestru zabytków. Pierwotnie był szarobury i posępny, kojarzył się bardziej z *Procesem* Kafki niż praworządnością. Na kilka lat przed przyjazdem Painera przeszedł jednak remont. Dobudowano wtedy nowe skrzydło i parking podziemny, a cały gmach odmalowano w spokojne pastelowe barwy, podkreślając majestat sądu. Painer zwrócił na to uwagę pierwszego dnia. Budynek mu się spodobał. Miał w sobie niezbędną surowość i styl.

Z sądu do siedziby prokuratury miał półtora kilometra. Cztery minuty jazdy. W godzinach szczytu więcej. Te jednak dopiero się zaczynały, a Painerowi poszczęściło się na światłach. Na miejsce dotarł w trzy minuty. W porównaniu z gmachem sądu budynek prokuratury był mdły i nudny.

Biurowiec postawiono pod koniec lat sześćdziesiątych dla przedsiębiorstw związanych z budownictwem wodnym i melioracją. W latach dziewięćdziesiątych pomieszczenia zajęły różne firmy, które starały się budować lokalny kapitalizm. Ostatecznie oddano go w całości prokuraturze i gruntownie wyremontowano.

Mimo zmodyfikowanej elewacji i kolorów budynek pozostał z zewnątrz nieciekawym, pozbawionym charakteru klocem. Gdyby nie umieszczone na szczycie złote litery układające się w napis „PROKURATURA”, można by go pomylić z meksykańskim pueblo. Wnętrzom natomiast udało się nadać przyzwoity charakter. Były

schludne, całkiem przyjemne, choć klaustrofobiczne. Zgodne z duchem słusznie minionej epoki.

Okna w biurze Painera wychodziły na południe. Na parking, garaże i stare osiedle jednorodzinnych domów. Uspokajający, statyczny widok. O wiele lepszy niż gapienie się na przejeżdżające od północnej strony samochody. Oczywiście o ile ktoś miał czas, aby wyglądać przez okno.

Na biurku, po obu stronach monitora, wyrastały stosy grubych tomów akt. Ułożone równo, w określonym porządku, zawierały dokumenty aktualnych spraw, nad którymi Painer pracował. Wśród nich była też ta poświęcona Beacie Chmielewskiej. Przykryta już kilkoma kolejnymi.

Prokurator uruchomił komputer i zalogował się do systemu. Serwer pobrał kilka plików. Odpowiedzi na zapytania, elektroniczne wersje ekspertyz, korespondencja. Nic związanego z Chęcunami, ale dość, by miał co robić do końca dnia. Również po godzinach. Zaczął jednak od czegoś innego. Od katalogu starych spraw, od najstarszego folderu. Najechał na niego kursorem myszy, zawahał się, ale kliknął dwukrotnie.

Na ekranie pojawiły się podkatalogi wypełnione dokumentami. Stare, skanowane z analogowych klisz fotografie, dokumentacje, stenogramy zeznań, a nawet kopie ówczesnych gazet. Wszystko, co tylko mogło dotyczyć tamtego śledztwa. Dosłownie wszystko, cyfrowy śmietnik poupychany w wirtualne szuflady. Wzdrygnął się na samo wspomnienie. Poważna sprawa oddana w ręce początkującego szczeniaka, który wierzył, że brak doświadczenia zrekompensuje chorobliwą ambicją. Wierzył, że musi się wykazać. Za wszelką cenę pokazać, na co go stać. Zrobić wrażenie. Jego pierwsza sprawa. Pierwsza porażka.

Na ekranie pojawiło zdjęcie z legitymacji szkolnej, pierwsze jakie uzyskali. Painer przerzucił jednak na kolejne, późniejsze. Dołączone do dokumentów ponad rok później i zamiast dziecka, przedstawiające już mężczyznę. Skan ze starego dowodu osobistego. Książeczkowego, gdzie fotografię przytwierdzano do żółtozielonej strony metalowymi oczkami. Tymi samymi, które odgniały się później na okładce. Na skanie

wyraźnie widać było te oczka, a między nimi odcisniętą pieczęć z orłem. Niska rozdzielczość sprawiała, że na współczesnym monitorze uwieczniona na fotografii postać była nieco rozmyta. Nie na tyle jednak, by nie można jej było rozpoznać.

Młody mężczyzna w ciemnym swetrze, z wystającym spod niego jasnym kołnierzykiem. Przystojna, lekko pucołowata twarz otoczona opadającymi niemal do ramion włosami. Poważna mina i skupione spojrzenie skierowane nieco w bok. Obok rysopis bez znaków szczególnych, poniżej numer ewidencyjny, a pod nim własnoręczny podpis posiadacza. Imię i nazwisko, takie samo jak wpisane na samej górze. Damian Wolczuk.

64

– Kurwa, Wolczuk... – To były pierwsze słowa, jakie Kryński powiedział od dobrych dwudziestu minut. Przez ten czas słuchał opowieści Damiana o nocnym pościgu i kościele. O spotkaniu w lesie i ucieczce w blask latarni. Damian zrelacjonował wszystko tak, jak pamiętał, ze szczegółami. Nie powiedział jednak, co było dalej.

– Nie powinieneś uciekać! – wymamrotał Kryński.

– Gdybym został, zamknęlibyście mnie i to byłby koniec.

– Skoro to nie ty, to byś wyszedł...

– Tak? A kiedy? – Parsknął. – Po trzech miesiącach czy po roku? A może w ogóle, bo skoro nie macie żadnych konkretnych śladów, to by mnie prokurator i sędzia udupili procesem poszlakowym. Zgniłbym w pierdłu, Kryński.

Kryński chciał się odezwać, otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Wiedział, że Damian miał rację.

– Spójrz na to z dobrej strony. – Damian dopił herbatę, wypluł fusy do szklanki. – Wiesz, że ten skurwiel wciąż tu jest, że nie wyjechał, nie zniknął i nie zatarł śladów. Wiesz też, że chce mi się dobrać do dupy. A czemu? – Nie czekał na reakcję policjanta. – Bo mu nadepnałem na odcisk. Węszyłem i musiałem dotrzeć blisko, skoro uznał mnie za

zagrożenie.

– Może to nie ty go sprowokowałeś, tylko nasze działania. Cały komisariat przecież jest postawiony na nogi.

– Darek. – Wolczuk uśmiechnął się cierpko. – Gdyby to was się przestraszył, to w łeb dostałby mundurowy albo ty sam, a nie ja. Koleś ewidentnie chciał się mnie pozbyć, więc sprawa jest jasna.

– Dobrze, przyjmijmy, że tak właśnie było. Powinieneś złożyć oficjalne zeznania.

– Nie, bo musiałbym przyznać się do obecności w kościele, inaczej nic nie trzymałoby się kupy, a ja tego nie zrobię. Nie! – Nie pozwolił odezwać się Kryńskiemu. – Pogadamy o tym, przeanalizujemy, a ty sobie potem zrobisz z tym, co będziesz chciał. Pod jednym warunkiem – zastrzegł. – Że mnie w to nie będziesz mieszał. Nie oficjalnie.

– To nie jest dobry pomysł.

– Jedyne, jaki został. Ja nie pójdę do pierdła po to, żeby jakiemuś chujowi nabić statystyki, a dobrze wiem, jak to działa. Bardzo dobrze, Kryński! – zdenerwował się. – Masz wybór: ciągniemy to dalej tak, jak mówię, albo wychodzę w tej chwili i więcej się nie widzimy. Wybieraj!

– To chociaż zgódź się na nieoficjalne spotkanie z prokuratorem.

Wolczuk roześmiał się niemal histerycznie, ale po chwili się opanował.

– Uwierz mi, Darek, że prędzej spotkam się z samym diabłem niż z twoim prokuratorem. Ja już miałem do czynienia z takimi mendami i więcej nie powtórzę tego błędu.

– O czym ty mówisz?

– To nie ma znaczenia. – Wolczuk znów wydawał się panować nad sobą. – Znaczenie ma tylko to, czy jedziemy z tym na moich zasadach, czy kończymy współpracę.

– To jest szantaż.

– Owszem – zgodził się. – Nie mam innego wyjścia, bo nie będę siedział za coś, czego nie zrobiłem. Darku, chciałbym z tobą działać, bo możemy sobie pomóc, tu nic się nie zmieniło. Nadal mogę zrobić, co trzeba, a ty wyjdiesz na bohatera, a nawet jeśli nie, to na pewno nie stracisz. Pytanie tylko, czy dalej jesteś ze mną.

Kryński milczał. Znów poczuł się jak w cyrku. Miał ochotę skuć Wolczuka i zaciągnąć na posterunek. Oddać go Waldkowi i powiedzieć wszystkim, żeby się od niego, aspiranta Dariusza Kryńskiego, po prostu odpieprzyli. Wolczuk, komendant, Painer, wszyscy. Odpieprzyli i dali święty spokój. Mógł to zrobić. Kajdanki leżały w szufladzie obok kuchenki. Wystarczyło je wyjąć. Najlepiej już po tym, gdy Wolczuk leżałby twarzą do ziemi, unieruchomiony z rękami z tyłu, bez możliwości manewru. Szara taśma montażowa powinna być dwie szuflady niżej. Kilka sekund i skończyłyby się szantaże i gadka szmatka. Mógłby to zrobić, naprawdę mógłby. Wiedział jednak, że nie zrobi. Dorota by mu tego nie darowała. Dorota i Painer, który miał dość kontaktów, by zmienić jego życie w piekło. Westchnął i podniósł się powoli.

– Więc jak będzie, Darek?

– W porządku. – Postawił na stole whiskey, a potem szklanki. – Niech będzie po twojemu.

65

Prokurator Arkadiusz Painer wpatrywał się w zdjęcie Wolczuka po raz pierwszy od dawna, zdziwiony, że mimo upływu czasu powracające wspomnienia były tak mocne. Zupełnie jakby od tamtego bieszczadzkiego lata nie dzieliło go kilkanaście lat. Jak gdyby ledwo co minęło. Aż za dobrze pamiętał, co wtedy czuł i jak się miotał, coraz bardziej pogrążając się w bagnie porażki.

Podobno pierwszy raz zapamiętuje się na całe życie. Ludzie mówią tak o inicjacji seksualnej, o wszystkim, co po raz pierwszy łączy mężczyznę i kobietę, albo dwie kobiety lub dwóch mężczyzn. Mówią, że pozostaje trwale wryte w naszej podświadomości i kształtuje wszystko, co następuje potem, całe późniejsze życie seksualne człowieka. Painer wiedział, że to nieprawda.

Swojego pierwszego stosunku prawie nie pamiętał. Poza tym, że była to jakaś impreza, że oboje wypili, a ona nie nosiła majtek. Nie

pamiętał, kim była, jak wyglądała ani tego, czy było mu dobrze. Nie miało to znaczenia ani tym bardziej odbicia w kolejnych razach. Wpłynęło na jego życie seksualne dokładnie tak, jak pierwszy krok wpływa na wędrownikę. Było i tyle.

Ludzie się mylili, seks nie był ważny, a przynajmniej nie dla wszystkich. Nie dla tych, którzy mieli światu cokolwiek więcej do zaoferowania niż tylko ruchy frykcyjne. Mylili się, ale mieli też rację. Pierwszy raz potrafił być traumatyczny, potrafił wszystko zmienić. Painera zmienił.

Nacisnął kilka razy strzałkę, przerzucając kolejne zdjęcia. Digitalizowane analogowe fotografie, których charakterystycznych przepaleń, kolorów i głębi nie dało się podrobić na doskonałych, cyfrowych matrycach współczesnych aparatów.

Aparatów, z których piętnaście lat temu wyśmiewała się część fotografików, twierdząc, że nigdy nie dorównają szlachetnym analogom. Że nigdy ich nie wyprą. To samo twierdził technik, który fotografował miejsce zdarzenia. Polanę ukrytą w bieszczadzkiej głuszy, nad strumieniem. To wspomnienie wracało teraz. Wyraźne i konkretne jak odtwarzany w pełnym HD film.

Facet stał nad ciałem młodej dziewczyny, strzelając co chwila migawką i pierdoląc o obiektach, kliszach i procesorach. Zupełnie nie przejmował się tym, czy Painer go słucha, tak samo jak nie przejmował się atakującą ich chmarą komarów ani rojem tłustych much oblepiających rany na ciele ofiary.

Painer przerzucał kolejne zdjęcia, aż trafił na to, o które mu chodziło. Zrobione zupełnie gdzie indziej, w innym czasie, na długo przed zabójstwem. Przedstawiało fragment jakiegoś budynku. Niewielkie schody i stare drzwi. Obok, na ścianie, spękany tynk odsłaniał kryjące się pod nim cegły. Na schodach stał młody, siedemnastoletni chłopak. Ubrany w poprzecierane džinsy i koszulkę Bundesligi z logo Adidasa. Jego postawa wyrażała arogancję i pewność siebie. Szeroko rozstawione nogi, ręce założone na piersi, uniesiona głowa. Chłopak miał krótkie włosy, wyzywające spojrzenie i kpiący uśmiech. Damian Wolczuk. Wyglądał na pierwszy rzut oka jak on, ale nim nie był.

Trzeba się było dokładnie przyjrzeć i porównać, aby zauważyć różnice. Painer nie musiał się przyglądać. Znał je bardzo dobrze. Nacisnął strzałkę, przeskakując do kolejnej fotografii. Ten sam chłopak w innym miejscu, stroju i postawie, lecz z podobnie zimnym spojrzeniem. Z podobną nazwą pliku, różniącą się od poprzedniej tylko początkowym numerem. Trzydzieści sześć, a nie trzydzieści pięć. Trzydzieści sześć: Patryk Ruszczyk. Człowiek, który z zimną krwią zamordował dziewczynę i zrobił w to Wolczuka. Patryk Ruszczyk, który nigdy nie odpowiedział za swój czyn.

66

– Zaczniemy od początku. – Wolczuk rozsiadł się wygodniej. – Wszystko zaczyna się dokładnie tydzień temu, prawda?

– Tak – zgodził się Kryński, nalewając.

– Impreza firmowa w okolicy i kilku naprutyh koleś w terenówce.

– Była tam też kobieta.

– Okej. Wjeżdżają na teren budowy, skąd kradną szkielet. Szczątki kogoś, kogo wykopał niechcący facet pracujący na koparce. Facet tego nie zgłosił, bo chciał się ich pozbyć po cichu, a na drugi dzień miał wypadek i stracił stopę. – Spojrzał na Kryńskiego i kontynuował. – Rozmawiałem z nim. Jest przekonany, że wykopał diabła, a wypadek to kara albo przekleństwo, mniejsza z tym na razie. Idziemy dalej. Z budowy terenówka wyjeżdża na tymczasową drogę, gdzie spycha mnie do rowu i ucieka z miejsca zdarzenia.

– Jadą do piaskowni, a w piątek rano znajdujemy ich martwych.

– Z koralikiem w bagażniku i ziemią.

– I starą kością – przypomniał Kryński.

– Która pasuje do teorii o szkielecie.

– Powiedzmy...

– Pasuje, bo według faceta przy szkielecie był różaniec, który rozerwał, wyciągając go z ziemi.

– Tego nie było w zeznaniach – zdziwił się Kryński.

– Bo bał się, że uznacie go za świra i narobicie syfu w papierach. Dlatego nie powiedział wam wszystkiego. Mnie nie musiał się bać. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Cholera... W takim razie dam znać Waldkowi, żeby go jeszcze raz przycisnęli. Może gdy usłyszy, co grozi za składanie fałszywych zeznań, przestanie się wygłupiać?

– Zrobisz, jak uważasz, a na razie idziemy dalej. – Wolczuk zwilżył podniebienie alkoholem. – W niedzielę rano znajdujecie kolejną ofiarę, Beatę.

– Zgłoszenie było jeszcze w nocy, około drugiej – sprecyzował Kryński. – Świadek słyszał krzyki.

– To nie ma znaczenia. Beata nie żyje, a na jej piersi leży koralik. Potem nic się nie dzieje aż do wtorku, kiedy ofiarą zostaje ksiądz, a mnie ktoś chce zrobić. Zgadza się, czy było coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Przy czym ksiądz jako jedyny wciąż żyje.

– W porządku, a więc dokładnie tydzień temu... – Zabębnił palcami w blat. – Teoretycznie zabójca mógł już tu być od jakiegoś czasu, może od dawna, a tydzień temu coś go sprowokowało. Albo dopiero wtedy pojawił się w Chęcinach. Myślałeś o tym?

– Bierzemy to pod uwagę.

– Dobrze. Rozważmy wariant drugi. – Napił się. – W tym dniu pojawili się ludzie z imprezy integracyjnej, Fiszer i ja. Sprawdzaliście nas?

Kryński skinął głową.

– Mateusz Fiszer ma mocne alibi. Obie noce spędził w Kielcach w towarzystwie kilku osób. Poza tym jest już w podeszłym wieku i kondycyjnie nie dałby rady.

– Fakt, nie byłby w stanie gonić Beaty, a co dopiero poradzić sobie z kilkoma osobami w piaskowni. – Wolczuk wyobraził sobie starszego Żyda stojącego przeciwko trzem facetom w sile wieku. Zero szans.

– Ciebie też wykluczamy. Zaraz po zepchnięciu z drogi zatrzymała się przy tobie Alicja. Trafiłeś do klasztoru chwilę przed zamknięciem bramy, więc nie mogłeś go opuścić. Tej nocy zresztą jeden z ojców miał migrenę. Nie mógł spać i kilka razy wychodził pospacerować po dziedzińcu. Z ciekawości zaglądał przez okno do pokoju gościnnego.

Widział cię. A w sobotę byłeś z Alicją na Miedziance. Potwierdziła to. – Głos mu drgnął. – Zapamiętali cię pracownicy stacji paliw, gdy na nią czekałeś. Byłeś tam już wtedy, kiedy otrzymaliśmy zgłoszenie, że coś się dzieje w lesie. Też jesteś czysty.

– W porządku. A co z pracownikami tej warszawskiej korporacji?

– Przesłuchiwaaliśmy wszystkich, papiery poszły dalej. Tym się zresztą zajmowały Kielce, a teraz Warszawa. Ale oni odpadają, bo nie pasują do tego, co sugerujesz.

– To znaczy? – Wolczuk nie zrozumiał.

– Sam mówiłeś, że prawdopodobnie otarłeś się o zabójcę. Wszyscy z tej imprezy wyjechali na drugi dzień, zaraz po czynnościach, więc nie mogłeś mieć z nimi kontaktu.

– No tak... – Zamyślił się. – Sprawdzaliście to?

– Co?

– Czy nikt z nich nie wrócił.

– Gdzie? Do Chęcín? – Kryński zmarszczył brwi. – Nie, nie sprawdzaliśmy, to by było bezsensowne.

– Być może. Tak tylko pomyślałem, bo to dwie, góra trzy godziny jazdy. To niewiele.

– Warszawa prowadzi dochodzenie, więc raczej ich tam pilnują.

– W porządku. – Wolczuk zastanowił się chwilę. – Aha, był jeszcze ten facet od legendy.

– Jaki facet? Zakonnik?

– Nie, jeszcze wcześniej. Turysta na zamku pytający o tego mistrza krzyżackiego, który zostawił tu święty różaniec... To był taki staruszek, z którego się ludzie śmiali. Zresztą przewodnik go zbył i w końcu dziadek przerwał zwiedzanie. Był z daleka, tylko na chwilę, przejazdem. Ten Krzyżak to chyba jakiś jego krewny, piąta woda po kisielu, nie pamiętam już dokładnie. Wtedy to była tylko naiwna opowiastka. Dopiero później, po rozmowie z Teofilem, żałowałem, że nie wzięłem tego na poważnie.

– Widziałeś go jeszcze później? Może pamiętasz coś więcej? Tego wątku w ogóle nie przerabialiśmy.

– Kurczę... – Zmieszał się. – Nie bardzo to już kojarzę. Może ten wasz

przewodnik pamięta? Spytaj go, skoro się znacie... Ale to chyba nic nam nie da, bo to sytuacja podobna jak z Fiszerem. Dziadek jest za stary, aby mógł coś nabroić.

– Okej, na wszelki wypadek pogadam z Dominikiem. Jeśli coś wyjdzie, to dam cynk chłopakom, żeby go oficjalnie ubrali w karteczki.

Wolczuk kiwnął głową.

– Teraz przejdźmy do miejscowych, z którymi rozmawiałem – zaproponował.

– Na pewno ze mną i z kilkoma innymi funkcjonariuszami.

– Z funkcjonariuszką też, taką fajną laską po cywilnemu. – Mrugnął porozumiewawczo. – I drugą, która spisywała moje zeznania. Ale wy odpadacie. One nie miały pojęcia, że węższą, a ty nie siedziałbyś tu teraz ze mną, gdybyś był sprawcą.

– Dlaczego? – zainteresował się Kryński, opróżniając szklankę. – Może chciałbym ustalić, co wiesz...

– Nie. To by już nie miało znaczenia. – Wolczuk pokręcił głową. – Akcja w kościele pokazała, że sprawca chce mnie wyeliminować z gry. Wrobić albo odstraszyć. Gdybyś to był ty, to już miałbyś pewność, że to się nie udało i nie uda. Nie chciałbyś powtórzyć błędu, więc teraz leżałbym tu pewnie martwy. Twoje zdrowie! – Poczekał, aż Kryński sobie naleje. – Alicja, terapeuta i lekarz... – Zamyślił się. – Jeszcze ojciec Teofil, stanowczo za stary, i ten wasz przewodnik turystyczny.

– Dominik? Sam go wyeliminowałeś wtedy paralizatorem.

– Fakt, on odpada. Alicja też. – Spojrzał na Kryńskiego, a gdy ten wolno kiwnął głową, zapytał: – Co myślisz o lekarzu?

– Denerwował się podczas rozmowy. Ma jednak mocne alibi i brak motywu. Trzepaliśmy go rutynowo, bo leczył Beatę. Jest specyficzny, ale czysty.

– No dobra, a co powiesz o tych gościach z San Damiano?

Ostry dzwonek telefonu rozległ się za ścianą. Kryński przeszedł do pokoju i zdążył odebrać. Rozmawiał krótko i cicho. Za cicho, by Wolczuk mógł usłyszeć o czym. Wrócił i przeprosił. Napełnił szklanki.

– O co pytałeś?

– O ludzi z klasztoru, o tę ich wspólnotę – powtórzył. – Stawiałbym

właśnie na nich. Na kogoś z tego ośrodka, na przykład tego dziwnego typu, co kuleje. To wydaje się najbardziej logiczne, nie uważasz? – Nie czekał na to, co odpowie Kryński, mówił dalej. – Zamknięta społeczność, która rządzi się swoimi prawami. Jedna kobieta w grupie facetów naładowanych testosteronem, sfrustrowanych trudną terapią i rygorem. Ludzie mają swoje potrzeby... Może ktoś żądał od niej więcej, niż chciała dać, i nie pogodził się z odrzuceniem? Urażona duma, frustracja i zemsta. To się chyba często zdarza, prawda? Poza tym ten kulawy nadawał na mnie, próbował mnie w to wrobić. Może chciał odwrócić uwagę?

– Od tego zaczęliśmy. – Kryński pokręcił głową. – Przetrzepaliśmy wszystkich, razem z zakonnikami. Podopiecznych i kadrę ośrodka kilka razy. Również w obecności specjalisty od mowy ciała, z Kielc. Żadnego punktu zaczepienia. Tam nie było żadnych konfliktów. Nic ponad to, co się normalnie dzieje, gdy ludzie są na siebie skazani na niewielkiej przestrzeni. Poza tym nie ma mowy, aby ktoś z nich niepostrzeżenie opuścił teren. Robią wszystko w grupie, jedzą, śpią i pracują. Praktycznie nigdy nie zostają sami i pilnują się wzajemnie. Tam nawet gdy któryś z nich za długo siedzi w kiblu, to zaraz ktoś się zainteresuje. Do tego codziennie się rozliczają. Tam nie ma czegoś takiego, że coś zrobisz nie tak i nie ma sprawy. Musiałbyś tego posłuchać. Gorzej niż w wojsku.

– Czasami najciemniej pod latarnią.

– Braliśmy pod uwagę scenariusz, że kilka osób jest w zмовie, ale czynności nie potwierdziły takiej możliwości. Utrzymanie nawet niewinnej tajemnicy byłoby tam cholernie trudne, praktycznie niemożliwe. Wciągnąć w to dodatkowe osoby? – Pokręcił głową. – Damian, oni na siebie nawzajem donoszą w ramach terapii. Nie ma opcji, aby utrzymali język za zębami. A nawet jeśli jakimś cudem by im się udało, to uwierz mi, że puściliby farbę w trakcie przesłuchania.

– A kulawy?

– Podkochał się w Beacie, bez wzajemności, to fakt. Ty byłeś dla niego zagrożeniem i dlatego robił to, co robił. Tyle że sam nam o tym opowiedział, bo miał wyrzuty sumienia. On jest taki trochę... To duże

dziecko. Poza tym facet z nagrania poruszał się normalnie i wyglądał na wyższego. Ten, którego gonieś, również. Dlatego kulawego też skreślamy.

– W porządku – mruknął Wolczuk. – A co z personelem?

– Tam pracują ludzie o nieposzlakowanej opinii. Nie ma mowy, aby byli zamieszani w coś takiego. Każdy ma zresztą alibi, sprawdziliśmy.

– Daniel Krawczyk też?

– Jasne.

– Na pewno dobrze go sprawdziliście?

– Wiesz, Damian... – Rozlał resztkę whiskey. – Rozumiem, że Daniel sprawia wrażenie trochę typa spod ciemnej gwiazdy, jak to się mówi, ale weź pod uwagę, z kim tam mają do czynienia. Muszą te dzieciaki trzymać za mordę i wzbudzać respekt, bo inaczej by sobie nie poradzili. Daniel nie ma z tym problemu... – Wypili. – Słuchają się go i szanują, a o to przecież chodzi. Swoją drogą ten jego image to pozory, bo prywatnie to bardzo porządny chłop... Zresztą porządny czy nie, to my się znamy na swojej robocie. Krawczyk jest czysty.

– Czyli wszyscy jesteśmy w dupie. Nie ma zabójcy i tyle, to chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że na pewno nie jest nim nikt z ośrodka... No może nie na pewno, bo na pewno to Kopernik nie żyje, ale... – Szumiało mu już w głowie i zgubił myśl. Zero siedem na dwóch. Ktoś inny pewnie by nawet nie poczuł, ale Kryński nie był kimś innym. – Ale nie o to chodzi, Damian. Chodzi o to, że my mamy swoje sprawdzone metody i procedury i musisz po prostu zaufać, że wiemy, co robimy. Ja jestem z tobą szczery. Kiedy mówię, że ktoś jest czysty, to na tę chwilę jest i nie ma punktu zaczepienia. Gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości, to bym ci powiedział... Tak to jest. Po prostu musisz zaufać naszej firmie.

– Wiesz, Darku, akurat ufać to wam nie muszę. – Wolczuk się skrzywił. – Już wam ufałem i wiem, ile to warte.

– A co? – obruszył się Kryński. – Dostałeś kiedyś mandat i jesteś w drużynie chawudepe?

– Kiedyś ci opowiem. – Pokiwał głową. – Opowiem bajkę

o Bieszczadach i zaufaniu.

– Opowiedz teraz.

– Nie, nie teraz. To długa historia... Może następnym razem, gdy znów się napijemy.

Kryński wstał i podszedł do szafki. Skrzypnęły otwierane drzwiczki.

– Teraz jest następny raz – mruknął, stawiając na stole butelkę Jacka Daniela.

67

Alicja Lipińska po raz pierwszy od dawna pojechała do pracy autobusem, który na Czerwonej Górze zatrzymywał się tuż przy szpitalnej bramie. Piętnaście minut przed rozpoczęciem dyżuru. Powrotny odjeżdżał szesnaście minut po tym, gdy kończyła pracę. Nie musiała więc na niego zbyt długo czekać.

Tak wynikało z grafiku, jaki wdrożono testowo kilka tygodni wcześniej. Zamiast dwóch dyżurów dwunastogodzinnych obowiązywały trzy po osiem godzin. Założenie wydawało się słuszne: krótszy wymiar czasu pracy miał korzystnie wpłynąć na jej jakość i wydajność oraz zadowolenie pacjentów i samych pracowników. Teoretycznie, bo w praktyce jedynym sposobem na obsadzenie dodatkowego dyżuru okazało się zmniejszenie personelu na pozostałych. Te same obowiązki, mniej rąk do pracy, mniej czasu dla pacjentów. Nikomu to nie odpowiadało. Nikomu poza kierownictwem, które z zapałem godnym lepszej sprawy wypełniało kolejne rubryki w tabelkach kontrolnych systemu.

Nie było do końca jasne, czy to był ich pomysł, czy został narzucony z góry. Na pewno przesyłali wyniki do ministerstwa, a więc raczej nie było szansy, by zakończyć ten eksperyment przed terminem. Efekty były aż nazbyt widoczne już po pierwszym tygodniu, ale biurokracja rządziła się własnymi prawami.

Mimo wszystko Alicja starała się, aby te zmiany były jak najmniej dokuczliwe dla pacjentów. Gdy tylko było to możliwe, przebiegała

korytarzem, zaglądając do oddziałowych sal, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Zresztą nie tylko ona. Większa część pielęgniarek postępowała podobnie. Staraly się, lecz bezskutecznie. Mimo chęci nie były w stanie zapewnić opieki na wcześniejszym poziomie. Po prostu nie było to fizycznie możliwe.

Personel był zmęczony, a pacjenci czuli się zostawieni sami sobie. Szczególnie nocami, gdy zdarzało się, że w trzy osoby musiały doglądać dwóch oddziałów. To rodziło złość i frustrację. U nich i u pacjentów, którzy niejednokrotnie dawali temu wyraz. Osiem godzin okazywało się więc o wiele bardziej męczące niż dwanaście.

Tak jak i pozostałe pielęgniarki, Alicja miała nadzieję, że za jakiś czas się to zmieni, że ktoś wreszcie pójdzie po rozum do głowy i przywróci poprzednie zasady. Przywróci albo zatrudni dodatkowy personel. Jedno albo drugie, nim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia. Nim komuś stanie się krzywda. Na próżno.

Właśnie w ten czwartek, dwudziestego trzeciego czerwca dwa tysiące szesnastego roku, późnym wieczorem doszło do tragedii.

Pacjent Jan Braniewski czuł silne parcie na pęcherz, więc kilkakrotnie wciskał przycisk przywołania. W pomieszczeniu pielęgniarek rozlegał się wtedy sygnał dźwiękowy, a na monitorze wyświetlał numer sali i łóżka. Prosty i praktyczny system pozwalający na szybką interwencję. Pod warunkiem że w pomieszczeniu lub w najbliższej okolicy, ograniczonej skutecznie słyszalnością sygnału dźwiękowego, przebywał ktoś z personelu. Przebywał i mógł zareagować, co nie zawsze było możliwe. Również nie tym razem.

Kilka minut wcześniej wszystkie pielęgniarki pobiegły na oddział obok, gdzie pacjentka dostała ataku paniki. W karcie nie było żadnej informacji o tym, by brała jakieś leki lub leczyła się psychiatrycznie, więc jej nagły wybuch był zaskoczeniem. Kobieta wydawała się przekonana o tym, że w szpitalu chcą jej zrobić krzywdę. Zabić i wykorzystać organy, albo coś podobnego, bo trudno było zrozumieć jej wrzaski.

Była tak agresywna, że najbezpieczniej byłoby podać jej środek uspokajający na odległość. Na przykład za pomocą pistoletu, jakiego

używa się do usypiania zwierząt. O tym właśnie pomyślała Alicja, stając w drzwiach ze strzykawką w dłoni. Zawołana do pomocy przez koleżanki, które próbowały unieruchomić kobietę, by można było zaaplikować dawkę midazolamu. Głupiego jasia, niezastąpionego w takich przypadkach.

Jan Braniewski o tym nie wiedział, a nawet gdyby był świadomy kłopotów na drugim oddziale, i tak mało by go obchodziły. Ważny był jego własny pęcherz. Pęcherz i narastająca z każdym bezowocnym naciśnięciem przywołania złość. Złość na leniwy i niezycziwy personel.

– Wszystko przez te kurwy, co nakradły – burknął sąsiad i przewrócił się na drugi bok. – Zobaczysz pan, że będą wszystkie siedzieć – dodał stłumionym głosem.

Braniewski nie odpowiedział. Miał w dupie, o kogo chodzi, i myślał już tylko o tym, że zaraz po prostu się zeszczą w piżamę. To ostatecznie wyprowadziło go z równowagi. Odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. Pod gołą stopą poczuł przyjemny chłód podłogi. Obandażowany kikut zwisał tuż obok, kilka centymetrów ponad linoleum. Nie dotykał go, a jednak po chwili zaczął pulsować bólem.

Braniewski domyślał się, że pod łóżkiem leży kaczka, ale miał już dość upokarzającego sikania do garnka. Był facetem, który miał swoją godność i lubił robić wszystko po swojemu. Dlatego nigdy się nie ożenił. Żeby mu baba nie narzucała swoich porządków. Żeby nie być od kogoś zależnym. A teraz leżał w cholernym szpitalu, gdzie zabronili mu się ruszać i zmusili, by szczał pod siebie. Jakby był inwalidą. A to przecież tylko głupia stopa.

Chwycił stojak z kroplówką i wstał z trudem. Cholerny ból przeszył go na wskroś. Podrażnił pęcherz i Braniewski popuścił kilka kropel. Zaklął pod nosem i przesunął stojak. Wspierając się na nim jak na kuli, zrobił kilka niewielkich kroków. Ból pęczniał w kikucie. Obie nogi zdrętwiały, ale Braniewski nie zamierzał się poddawać. Przeszło mu co prawda przez myśl, aby załatwić potrzebę do zlewu albo ostentacyjnie na środku sali, zmuszając pielęgniarki, by posprzątały, lecz uznał, że to by była przesada. Postanowił, że pójdzie po prostu do łazienki i zrobi, co trzeba.

Przez ostatnie dni wielokrotnie słyszał spuszczaną wodę, więc domyślał się, że toaleta nie może być daleko. Może nawet tuż za ścianą, może trochę dalej. Niby mógł spytać o to zrzędliwego sąsiada, nawet poprosić go o pomoc, ale nie chciał. Facet coraz bardziej działał mu na nerwy. Stary kretyn pieprzący w kółko o polityce. O niczym innym. Miał już dość jego gderania i nieogolonej gęby. Tym bardziej że od wczoraj diabeł nawiedzający go w snach miał tę twarz.

Tak, Braniewskiemu wciąż śnił się diabeł. Najpierw była to jakaś ciemna, nieokreślona, oślizgła masa, która wpełzała mu do łóżka i ciamkała stopę. Zzerała ją powoli, centymetr po centymetrze, a on nie mógł nic na to poradzić. Leżał sparaliżowany i wsłuchiwał się w obleśne mlaśnięcia. Każdej nocy od amputacji. Ostatnio ta masa uformowana była w twarz sąsiada. Żuła kikut, wpatrując się w Braniewskiego wodnistymi, niewidzącymi oczami.

Ostrzegali go oczywiście, że po narkozie mogą wystąpić skutki uboczne, i kazali dać znać, jeśli tak się stanie, lecz Braniewski nie chciał, aby go czymś szprycowali. Wolał poczekać, aż same przejdą.

Starał się trzymać kikut nieruchomo, nie bując nim, a już na pewno w nic nie uderzyć. Mimo to stękał przy każdym podskoku, czując mdlące prądy przeszywające ciało od opatrunku aż po czubek głowy. Przystawał co jakiś czas i ruszał znowu. Pokonanie czterech metrów od łóżka do drzwi zajęło mu dobre trzy minuty. Oparł się o framugę i znieruchomiał do czasu, aż nie uspokoił oddechu.

– Głupie cipy! – wymamrotał pod adresem pielęgniarek i wspierając się obiema rękami na wieszaku, ruszył dalej wzdłuż ściany, uznając, że tak będzie bezpieczniej. Kręciło mu się w głowie i ciemniało przed oczami. Pomyślał, że to jednak nie był najlepszy pomysł, że nie da rady. Miał już zawrócić, gdy w zwężonym polu widzenia dostrzegł dobrze znany symbol. Toaleta była niedaleko. Chyba, bo ciężko mu było ocenić odległość.

Oparł się o ścianę. Ciepła stróżka pociekła mu po wewnętrznej stronie uda. „Głupie cipy” – powtórzył w myślach. Zdecydował, że nie wróci do łóżka, nie będzie ryzykował. Zostanie w toalecie. Zrobi, co trzeba, i poczeka, aż go tam znajdą. Niech mają za swoje.

Korytarz był cichy, oświetlony niskowatowymi świetlówkami, pusty. Większość drzwi była pozamykana na noc. Pacjenci albo już spali, albo zachowywali się na tyle cicho, że Braniewski ich nie słyszał. Zresztą nawet gdyby było inaczej, to i tak głowa pękała mu od szumu odmierzanego biciem serca. Był osłabiony. O wiele bardziej, niż myślał.

Jeszcze kilka chwil temu wydawało mu się, że wcale tak nie jest, że to tylko odrętwienie od długiego leżenia, ale teraz już wiedział, że jego organizm nie działa tak, jak trzeba. Albo stracił dużo krwi, albo czymś go faszerowali. Może nawet truli... Stopa, na której opierał ciężar ciała, zaczynała drętwieć. Tracił w niej czucie. Druga pulsowała... Nie, nie pulsowała, bo jej nie miał. O tym też mu mówili – że może go boleć coś, co już zostało odcięte, że jego mózg może go oszukiwać, udawać, że ma coś, czego już nie ma...

Nagle wydało mu się, że słyszy znajomy dźwięk. Za plecami, nisko, przy samej ziemi. Ciche mlaśnięcie. Zacisnął i otworzył powieki, nie odwracając się w tamtą stronę. Nie chciał stracić równowagi. Szumiało mu w uszach, a mimo to słyszał wyraźnie, że coś ociera się o framugę, wypętza z sali. Coś oślizgłego.

Braniewski nie był już pewny, czy to jawa, czy sen, ale mdlący strach zmusił go do działania. Nie było zresztą żadnego sensu tkwić na tym cholernym korytarzu i pozwalać, by przepelniony pęcherz popuszczał co chwila. Wziął się w garść. Jedną rękę oparł o ścianę, drugą zacisnął mocniej na stojaku. Teraz miał już trzy punkty podparcia, powinno być łatwiej.

Rzeczywiście było. Podskok, podskok, kolejny. Poprawił uchwyt na metalowej rurce, o którą objął się przezroczysty woreczek. Jeszcze trochę i siądzie na tronie. Spuści nadmiar płynów i niech się dzieje, co chce. Tam sobie odpocznie i poczeka. Potem niech go przeniosą albo przewiozą na wózku – ich problem.

Teraz było mu łatwiej. Odpychał się nogą od podłogi i ręką od ściany, przenosząc ciężar na metalowy wieszak. W ten sposób przeskakiwał kawałek do przodu. Niewiele, ale wystarczająco. Podskoczył, i jeszcze raz. Złapał rytm. Przed oczami miał drzwi łazienki. Coraz bliżej, niemal na wyciągnięcie ręki. Dlatego bardzo się zdziwił, gdy przy kolejnym

skoku nie trafił dłonią na ścianę. Nie znalazł podparcia i poleciał w lepki mrok.

Alicja Lipińska usłyszała rumor, gdy była na półpiętrze. Niemal tuż obok. Gdyby wróciła pół minuty wcześniej, miałaby szansę zatrzymać Braniewskiego, nim dotarł do schodów. Trzydzieści sekund zadecydowało jednak o życiu i śmierci. Kiedy Alicja do niego dobiegła, był już martwy. Leżał ze skrzyżowaną nienaturalnie głową i półotwartymi ustami, z których ulatywał cichnący, pośmiertny jęk. Plama moczu powiększała się, skapując z kamiennych stopni.

68

Noc była bezwietrzna i duszna. Nagrzane w ciągu dnia domy i ulice stygły powoli, oddając ciepło klajstrowi powietrza, które wypełniało uliczki Chęcina i gęstniało pośród drzew. Od zachodu spływały ku miastu wątle pasma chłodu, dając nadzieję, że do rana przyniosą trochę świeżości. Damian Wolczuk czuł je wyraźnie. Sunące poniżej kolan i przyprawiające o gęsią skórkę, nieprzyjemne.

Ulica była pusta i cicha. Żadnych aut ani ludzi w zasięgu wzroku. Tylko światła w oknach domów, oddzielone od ulicy taflami szkła, trawnikami i ogrodzeniami, pozwalały wierzyć, że miasto nie wymarło. Że tli się w nim życie. Zamknięte, odseparowane i ciche, czekające na kolejny świt.

Wolczuk szedł nieśpiesznie. Lekko się zataczał, ale nie był pijany. Nie tak bardzo. Do powrotu Alicji miał prawie dwie godziny. Dość czasu, aby wytrzeźwieć. Tym bardziej że planował poczekać na nią na przystanku. Końcowym, bo na wysokości osiedla autobus kończył swój bieg. Kończył i zaczynał. Początkowy przystanek był oddalony od końcowego o sto pięćdziesiąt metrów. Dokładnie w połowie drogi między nimi z Małogoskiej skręcało się w prawo, w drogę osiedlową prowadzącą prosto pod blok Alicji. Trudno było zgadnąć, czy ten sprawiedliwy podział odległości został zaplanowany, czy był dziełem przypadku.

Dla Damiana nie miało to zresztą większego znaczenia. Znaczenie miała za to ich orientacja. Ten, na którym miała wysiąść Alicja, stał po stronie osiedla, a więc zwrócony był w kierunku cmentarza. Niezbyt komfortowo jak na samotne siedzenie w środku nocy. Dlatego Wolczuk zdecydował, że poczeka na początkowym, stojącym po stronie cmentarza, ale z widokiem na sklep i osiedle. O wiele rozsądniejsza perspektywa.

Rozejrzał się, niepotrzebnie, bo nic nie jechało, i przeszedł na drugą stronę ulicy. Wiata była staromodna. Murowane ściany, dach spawany z kątowników i przykrycie z blachy falistej. Wewnątrz umieszczono niską, prostą ławkę, której siedzisko i oparcie stanowiły kilkucentymetrowe kantówki. Beton pokryto farbą w odcieniu pistacjowym, resztę pomalowano na brązowo. Unikatowe, wywołujące niestrawność zestawienie, którego nie ratował kolorowy obraz wymalowany w środku. Damian usiadł ciężko na ławce i ze zdziwieniem stwierdził, że nie jest sam. Na samym brzegu, przy ścianie, tam gdzie nie sięgał blask latarni, siedziała drobna postać.

– Niech będzie pochwalony, ojciec Teofilu – zagadnął.

Staruszek musiał drzemać, bo aż podskoczył, słysząc swoje imię. Opanował się jednak i odpowiedział słabym głosem.

– To ty, Damianie? – Odetchnął chrapliwie, odchrząknął, zamrugał. – Co tu robisz tak późno?

– Czekam na kogoś. A ojciec? Jak ojciec się tu znalazł? Jest już... – spojrzął na zegarek, odchylając dłoń w taki sposób, aby światło latarni oświetliło cyferblat – ...dwudziesta druga.

– To dobrze. – Zakonnik przysunął się wolno bliżej Wolczuka. W wątplym blasku jego twarz wydawała się jeszcze bardziej pomarszczona i blada niż wcześniej. Szczecina siwych włosów pokrywała suchą, poprzecinaną sinymi żyłami i plamami wątrobowymi, skórę. Niewielkie wodniste oczy cofnięte były w głąb oczodołów, z trudem dźwigając ciężkie powieki. Teofil wyglądał upiornie.

– Byłem pożegnać przyjaciela – powiedział po chwili. – Tu, na cmentarzu leży. Od wielu lat... – Jak zwykle mówienie przychodziło mu

z trudem. – Jutro wyjeżdżam, synu, wynoszę się stąd. To wszystko zaszło za daleko. Czuję... czuję zło, rozumiesz? – Rozejrzał się. – Cieszę się, że cię spotkałem, bardzo, bo przyszedłem do pokoju, ale ciebie już nie było. Wiem, że ty nie wierzysz, synu, lecz posłuchaj. – Zacisnął chude palce na rękę Wolczuka. – Muszę cię ostrzec, że on nie da ci spokoju. On sobie ciebie upatrzył, ja to wiem, czuję to. On podąża twoim śladem.

– Kto? – spytał, choć wiedział, co usłyszy.

– Szatan, synu. Zło i śmierć... W ciele człowieka, w zwykłym ciele, ale bez duszy. Musisz uważać na siebie, proszę, żebyś uważał, a najlepiej wyjedź, zatrzyj ślady, zniknij... Rozumiesz?

Wolczuk rozumiał. Mimo ciepłego szumu wypełniającego mu głowę rozumiał. Ojciec Teofil był szurnięty.

– Gdzie ojciec pojedzie? – spróbował zmienić temat.

– Nie powiem ci tego. – Zakonnik pokręcił głową. – Nie możesz wiedzieć, bo jeśli on się dowie, to przyjdzie też po mnie. Musisz go odszukać pierwszy, synu, zaskoczyć powłokę, którą przywdział, i zniszczyć, rozumiesz?

– Proszę ojca...

– Nie! – Staruszek nie chciał słuchać. – Zaraz przyjedzie mój autobus, muszę nim jechać, bo nie zdążę przed zamknięciem bramy. Zapamiętaj, Damianie, że zło może być w każdym. Znajdź je i zniszcz, zanim zniszczy ciebie. Teraz jeszcze jest słabe, ale wie, że mu zagrażasz, i będzie chciało cię powstrzymać. Pamiętaj o tym, bądź ostrożny, znajdź je i zniszcz, póki czas.

Gdzieś w oddali słychać było cichy warkot. Charakterystyczny dźwięk toczącego się wolno autobusu.

– Posłuchaj, Damianie – poprosił zakonnik. – Zło karmi się złem. Przyniesie kolejne ofiary, a tobie pomiesza szyki, rzuci kłody pod nogi. Spróbuje zabić albo powstrzymać, a może już próbowało? – Starzec spojrział Wolczukowi w oczy. Pokiwał głową. – Będzie gorzej, Damianie. Nie czekaj, bo będzie jeszcze gorzej...

Ociężały warkot narastał. Blask reflektorów lizał asfalt, zbliżał się. Teofil chwycił Wolczuka za rękę. Ścisnął mocno kościstymi, zimnymi

palcami.

– Diabeł chce, byś wątpił, byś go nie widział. Podpowiada ci, że jestem starym szaleńcem, że pomieszało mi się w głowie, ale właśnie dlatego musisz uwierzyć. Otarłeś się o niego, więc już cię zna. Dlatego musisz uwierzyć, zanim będzie za późno. – Podniósł się z trudem.

– Pojadę z ojcem – zaproponował Wolczuk.

– Nie, mój synu. Ostrzegłem cię i więcej nic nie zrobię. – Autobus zatrzymał się z sykiem. Był pusty, jeśli nie liczyć kierowcy. Ostatni, nierentowny kurs. – Niech cię Bóg prowadzi.

– Do zobaczenia, ojcie Teofilu.

– Nie, nie do zobaczenia. – Pokręcił głową. – Żegnaj, Damianie, żegnaj.

Kierowca poczekał cierpliwie, aż staruszek zdoła usiąść, i dopiero wtedy ruszył. Teofil nie pomachał Wolczukowi, nawet nie spojrział w jego stronę, zupełnie jakby zapomniał, że ten został na przystanku, że przed chwilą rozmawiali.

Wolczuk po raz pierwszy naprawdę przestraszył się, że zakonnik może mieć rację, że nie zwariował. Może sprawił to sposób, w jaki patrzył na Damiana, a może fakt, że postanowił wyjechać, że naprawdę się bał. Przez chwilę ten strach udzielił się więc i jemu.

Kolejny raz tego dnia zatęsknił do elektrycznego dymka i kolejny raz zwałpiał, czy dobrze zrobił, nie kupując tradycyjnych papierosów. Nikotyna łagodzi stres i usprawnia działanie szarych komórek. To by mu się właśnie teraz przydało.

Teoretycznie mógł kupić papierosy na stacji paliw. Dzieliło go od niej dwieście pięćdziesiąt metrów, cztery minuty. Ale to byłby krok w tył, porażka słabej woli, a Damian nie chciał się cofać i miał już dość porażek. Zamiast nikotyny wybrał więc chłodną analizę faktów. Przyjemnych, suchych faktów, które powtarzał chronologicznie. Pomogło.

Do powrotu Alicji została mu godzina. Może trochę dłużej, jeśli kierowca będzie jechał powoli. Może krócej, jeśli ominie część przystanków. Wystarczająco jednak, by ilość promili w organizmie Damiana obniżyła się do rozsądnego poziomu. Może nawet do zera.

Zresztą już teraz myślał zupełnie trzeźwo. Modyfikował swój plan.

Po rozmowie z Kryńskim był pewien, że musi zacząć od początku. Od ponownego spotkania z operatorem koparki. Najlepiej zanim odwiedzi go policja. Podejrzewał, że pojedą tam najwcześniej przed południem, a i to pod warunkiem, że Kryński przekaże tę sugestię rano, przed pracą. Jeśli będzie z tym zwlekał, przyjadą do szpitala jeszcze później. Tymczasem Damian chciał się tam pojawić o wiele wcześniej. Wyciągnął telefon. Alicja za chwilę kończyła pracę, a więc powinna być jeszcze na miejscu. Razem z nową zmianą, która będzie pracować do rana. Wsłuchiwał się w sygnał, aż zaskoczyła poczta głosowa. Rozłączył się i spróbował znowu. Tym razem Alicja odebrała.

– Cześć, czekam już na ciebie na przystanku – zaczął. – Chciałbym... Słucham? Aha... Dopiero rano? Ale... Tak, rozumiem. Coś się stało? Alicjo, poznaję po głosie... Po prostu powiedz. Tak, oczywiście, że go pamiętam. Właśnie... Co? Ale... Jak to nie żyje? To niemożliwe! Tak, rozumiem... Rozumiem, że musisz. Dobrze... Do rana, tak.

Rozłączył się i przez chwilę siedział nieruchomo. Potem wstał i ruszył przez ulicę. Alicja zostawiła mu klucze. Uważał, że nie powinna, i dlatego się przed tym wzbraniał. Ona zresztą też nie chciała tego robić. Nie chciała, ale zrobiła, przekonując, że to rozsądne, skoro wróci tak późno. Teraz okazało się jeszcze rozsądniejsze.

Kanciasta bryła trzypiętrowego bloku rosła wolno, gdy się do niej zbliżał. Tylko w trzech oknach paliło się światło. Pozostałe wydawały się martwe. „Przyniesie kolejne ofiary” – Teofil się nie mylił. Wolczuk czuł, że na jego skórze następuje reakcja pilmotoryczna. Skurcz mięśni umiejscowionych u podstawy mieszków włosowych, potocznie nazywany gęsią skórką. Nie próbował się oszukiwać, że to przez chłód nocy.

Damian leżał na wznak, patrząc w błękitne niebo. Żdźbła traw kołysały się tuż nad jego głową. Słyszał plusk wody i śmiech. Kobięcy głos wołał

jego imię. Zachęcał, by dołączył do kąpieli. Ale on wolał patrzeć na obłoki. Zawieszane wysoko, niemal nieruchome. Trzeba było długo się wpatrywać, aby dostrzec, jak przesuwiają się wolno. Przesuwają i zmieniają. Kłębią się, rozciągają, strzępią. Bez ustanku tracąc swą tożsamość. Znów jego imię rozbrzmiało wśród śmiechu. Tracąc czy może zyskując? Nie był pewien. Krople wody lub kryształki lodu. Tak małe, że unoszone w strugach powietrza. Schłodzonego na tyle, by para mogła się skondensować. Stać chmurą. Zmiennokształtną białą plamą. Skazaną na ciągłą wędrówkę i zmianę...

Damian machnął ręką. Odgonił kolejne zawołanie jak natrętnego komara. To była ciekawa kwestia. Podlana sangrią. Tanią, winopochodną, ale dobrą. W sam raz, by umilić piknik nad brzegiem rzeki. Wyjątkowy dzień, ten dzień już... Poczuł dziwny lęk, który ustąpił po chwili. Myśl była ważniejsza. Wydawała mu się tak istotna, jak gdyby odkrył właśnie tajemnicę życia.

– Wstawaj! – Była zniecierpliwiona. Jej głos stawał się wtedy wyższy i drżący. Ledwo zauważalnie. Stanęła, zasłaniając słońce. Smukłe dłonie oparła na biodrach. Na cienkim sznurku, który utrzymywał na miejscu skąpe figi. Wilgotny, półprzezroczysty kawałek materiału.

– Jesteśmy w błędzie – powiedział z uśmiechem. Migotliwy blask tańczył w kroplach wody spływających po jej ciele, bajecznie podkreślał kobiecość. – Oszukują nas od początku, wiesz? – Nie interesowało go, czy wie. Mówił dalej. – To problem kulturowy. Wmawiają nam, że powinniśmy być solidni i przewidywalni. Jak kamień. Że wtedy będą nas szanować, będziemy wartościowi. Ale to nieprawda. To wbrew naturze. Ciągłe się zmieniamy! Rozumiesz? – Mówił coraz szybciej. Wiedział już, że ma coraz mniej czasu. – Co trzydzieści dziewięć dni masz nową skórę. Wszystkie komórki, które ją tworzą, zostają zastąpione. Krew potrzebuje na to czterech miesięcy. Twoje kubki smakowe dziesięciu dni, a wątroba półtora roku. Osobowość? Każde nowe doświadczenie wprowadza w niej zmiany. Co kilka lat nasz mózg weryfikuje to, jak postrzegamy świat. Stajemy się innymi ludźmi. Nie jesteśmy jak kamień. Jesteśmy jak chmura.

– Co?

– Zmieniamy się i dostosowujemy!

– Dlaczego? – Jej głos odpływał. Damian wiedział, że tak będzie. Wiedział, że nie może być nad rzeką i prowadzić tej rozmowy. Nie po raz kolejny.

Dziewczyna miała na imię Monika i miała siedemnaście lat. Oboje mieli. Dwa tysiące pierwszy rok, lato w Bieszczadach. Dwanaście kilometrów do najbliższego sklepu w małej miejscowości. Polana nad rzeką, samotny namiot i całe niebo ponad nimi. Damian pamiętał ten dzień. Ostatni wspólny. Kochali się wtedy po raz ostatni. Potem widział ją tylko we wspomnieniach.

Teraz był już pewien, że to, czego właśnie doświadcza, to rodzaj świadomego snu. Nazwę wymyślił holenderski psychiatra Frederik van Eeden. Choć podobne odczucia opisywał już Arystoteles. Wolczuk nie miał pojęcia, skąd to wie. Nie miało to znaczenia. Zrobiło się zimno. Chciał się już obudzić, ale wciąż miał przed oczami wyblakłe obrazy. Teraz w postaci bezkształtnych, wirujących plam. Zbliżały się. Rosły. Tak samo jak świadomość, że to nie jest zwykły sen. Że dzieje się coś złego. Rosły, tak samo jak strach.

Piątek

70

Damian Wolczuk zdecydował się na spacer. Teoretycznie jeździły tą trasą busy i mógł się którymś zabrać, ale to nie miało sensu. Do Korzecka były trzy kilometry. Trzydzieści siedem minut marszu. Uznał, że szybciej tam dojdzie, niż doczeka się podwózki. Zresztą poranne słońce jeszcze nie męczyło, ruch był niewielki, a okolica malownicza. W sam raz, by odetchnąć od dusznych koszmarów, które męczyły go w nocy. Koszmarów i poranka, który wcale nie okazał się lepszy.

Alicja wróciła zmęczona i rozbita. Nie chciała rozmawiać o śmierci Braniewskiego ani o niczym innym. To akurat było mu na rękę, bo w takich chwilach nic nie można powiedzieć, nic, co pomoże. Ludziom wydaje się czasem, że jest inaczej, że powinni rozmawiać, bo tak radzą psychologowie. Wolczuk jednak uważał, że to nieprawda, że każdy powinien poradzić sobie z traumą sam. Dlatego zrobił jej śniadanie i wyszedł. Nie mówił, kiedy wróci, nie wiedział tego.

Zabudowania Korzecka skupiały się przy drodze. Typowy układ z pasami pól rozciągającymi się po obu stronach i nieodległym lasem. Dawniej musiało tu pachnieć sianem i końmi, teraz – niczym szczególnym. Część terenów porośla krzakami lub drzewami, inne wciąż uprawiano. Podwórka w większości były już jednak nowoczesne. Na pierwszy rzut oka pozbawione całej rolniczej infrastruktury: gdaczących kur i gęgających kaczek, bydła. Nawet psów było mało. Zwykła miejscowość kojarząca się już bardziej z wypoczynkiem, ciszą i spokojem.

Hotel i restauracja „Okraglak” mieściły się tuż za niewielką stacją paliw. Konkurencyjną dla tej w Chęcinach, na co wskazywały eksponowane na tablicy ceny. Wolczuk zwrócił na to uwagę instynktownie, jak większość kierowców. Budynek, w którym mieściła się kasa i kilka sklepowych półek, był nieduży. Pomalowany jasnozieloną farbą. Ustawiony bokiem do ulicy, a frontem do dwóch zadaszonych dystrybutorów. Pomiedzy nimi a wejściem stał radiowóz. Blżej wejścia, a więc policja nie pojawiała się tu, by zatankować.

Wolczuk zwolnił. Widział wyraźnie, że auto jest puste. Załoga musiała być zatem w budynku. Skoro nie przyjechali po paliwo, to może po coś do jedzenia albo picia. Teoretycznie było to możliwe. Praktycznie na stacjach paliw ceny zawsze są wyższe. Nie ma sensu na nich przepłacać, gdy w pobliżu jest normalny sklep. Wolczuk nie mijał żadnego, ale zakładał, że gdzieś jest. Skromny, rodzinny, z niewielkim asortymentem. Typowy dla małych miejscowości. A nawet gdyby nie było, to do Chęcina były dwa kroki. Patrol nie musiałby się tu zatrzymywać. Chyba że właściciel stacji był w porządku i nie zawyżał sztucznie cen. Tak mogło być. Ceny paliw zachęcały, może reszta również.

Jednak policja nie przyjechała tu na zakupy. Nie tym razem. Z budynku wyszło dwóch funkcjonariuszy, a z nimi młody chłopak. Dwadzieścia dwa, może dwadzieścia pięć lat. Średniego wzrostu, niewyróżniający się niczym szczególnym. Jeden z policjantów otworzył mu tylne drzwi, gestem zaprosił do środka.

To nie było aresztowanie. Chłopak nie był skuty, a policjanci wydawali się rozluźnieni. Nie bali się, że klient odwinie jakiś numer, że będzie stawiał opór lub spróbuje uciec. Byli rozluźnieni, lecz kontrolowali sytuację. Mimo wszystko mieli chłopaka na oku i dyskretnie blokowali mu drogę ewentualnej ucieczki. Nie nachalnie, ale przezornie. Dobra szkoła. Chwilę później odjechali w kierunku Chęcina, a Wolczuk poszedł dalej.

Spodziewał się, że budynek, który zastanie na miejscu, będzie okrągły. Dość duży i pewnie piętrowy, a może nawet stylizowany na średniowieczną basztę, co całkiem niezłe wpisywałoby się w klimat

okolicy. Dlatego rzeczywistość go rozczarowała.

Sam hotel był zwyczajnym, podłużnym budynkiem o dwóch kondygnacjach, z których druga stanowiła poddasze przykryte dwuspadowym, brązowym dachem z lukarnami. Cofnięty od ulicy i ustawiony do niej krótszym bokiem, wydawał się zapewniać ciszę i spokój swoim gościom, ale nie był okrągły.

Okrągła była tylko parterowa przybudówka, stanowiąca główne wejście. Mająca około piętnastu metrów średnicy, a więc dość pokaźna i charakterystyczna, by przyciągać uwagę. Również tym, że odstawała od głównego budynku nie tylko kształtem. Obie części pomalowano farbą o różnych odcieniach. Pokryto podobnym, lecz nie takim samym dachem i wyposażono w różnej wielkości okna. Wolczuk widział jednak gorsze połączenia. W Warszawie i okolicy było ich wiele. W całym kraju jeszcze więcej. Przy innych „Okrągłak” wydał mu się estetycznie obojętny. Zresztą i tak nie przyszedł tu, aby analizować architekturę.

71

– Dzień dobry. – Dziewczyna stała za kontuarem. Stała, nie siedziała, co sugerowało, że pojawiła się tam tylko na chwilę albo właśnie gdzieś szła. Była młoda, pewnie świeżo po szkole, i wyglądała na taką, którą bardziej interesują paznokcie niż praca.

– Czy zastałem kierownika lub kogoś z właścicieli? – Wolczuk uznał, że szkoda na nią czasu.

– Pan z rezerwacji? – Obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Wyraźnie jej w coś przeszkodził.

– Nie, chciałem porozmawiać w innej sprawie.

– Proszę przyjść kiedy indziej, teraz nie ma nikogo.

– Naprawdę?

Wzruszyła ramionami. To komplikowało sprawę.

– A może pani mi pomoże? – Uśmiechnął się. – Tydzień temu była u państwa impreza, w której brał udział mój brat. Zostawił coś w pokoju i prosił, żebym to dla niego odebrał.

– Nie odpowiadamy za rzeczy zostawione.

– Wiem, ale to była wyjątkowa sytuacja, bo była tu policja i zrobiło się zamieszanie. To dlatego brat zapomniał ładowarki do telefonu. – Bezpieczne kłamstwo. Tym bardziej że ładowarki były w ścisłej czołówce rzeczy zostawianych w hotelach. Wolczuk gdzieś o tym czytał.

– Wie pani, niby to nie jest wartościowa rzecz, ale skoro jestem przejazdem, to pomyślałem, że zajrzę i zapytam, czy się nie znalazła.

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę. Albo nie zrozumiała, co mówił, albo uznała, że skoro nie było pytania, to nie musi odpowiadać.

– Czy mogłaby pani to sprawdzić? – zasugerował.

– Nie odpowiadamy za rzeczy zostawione. – Ramiona w górę, ramiona w dół. Wciąż ten sam znudzony wyraz twarzy.

– Wie pani, o co chodziło z tą policją? – spróbował inaczej.

– O co?

Tym razem Wolczuk nie odpowiedział.

– Naprawdę nie ma kierownika albo właściciela?

– Nie ma.

– A kiedy będą?

– Nie wiem.

– A jeśli chciałbym wynająć pokój?

– Nie można.

– Albo zjeść obiad?

– Też nie.

– Dlaczego?

– Rezerwacja.

– Była tu pani tydzień temu?

– Nie.

– Może słyszała pani, co się działo? Dlaczego przyjechała policja?

Ramiona ponownie dały do zrozumienia, że jej to nie interesuje. Wolczuk w to wierzył.

– Dobrze, dziękuję. – Odwrócił się i ruszył do wyjścia. W odbiciu szyby dostrzegł, że dziewczyna podnosi telefon. W pierwszej chwili pomyślał, że chce zrobić mu zdjęcie, ale nie chciała. Uniosła go nad głowę, składając usta jak do pocałunku. Nie wróżył jej długiej kariery

w tym miejscu.

72

Policjantka wróciła z kubkiem kawy. Usiadła przy biurku i wzięła do ręki służbowy telefon. Kawa była świeża, jeszcze za gorąca, by ją pić. Roztaczała miły aromat, bo ziarna były dobrej jakości. O wiele lepsze niż te, których używali w zeszłym tygodniu. Odblokowała ekran i spojrzała na leżącą obok klawiatury kartkę. Było na niej kilka numerów telefonów. Wydrukowane jeden pod drugim, tworzyły listę, której pierwsze pięć pozycji odznaczyła już niebieskim ptaszkiem i skreśliła obok krótką notatkę. Kilka słów nieczytelnych dla nikogo poza nią. Nie dlatego, że pisała szyfrem, tylko ze względu na charakter pisma. Przez ten charakter często z niej żartowano, że popełniła błąd, wstępując do policji, bo powinna zostać lekarzem.

Wybrała kolejny numer i przyłożyła telefon do ucha. Po pierwszym sygnale odezwał się automat, informujący, że dodzwoniła się do sieci drogerii, ale wszystkie linie są aktualnie zajęte. Rozłączyła się i zanotowała to przy numerze. Postawiła też ptaszka i wybrała kolejny. Tym razem nikt nie odbierał. Nie było także poczty. Po kilku sygnałach połączenie po prostu zostało przerwane. Odczekała chwilę i wybrała numer ponownie. Po drugim sygnale usłyszała męski głos. W tle słychać było odgłosy przejeżdżającego samochodu.

– Dzień dobry! – powiedziała głośno, aby rozmówca lepiej ją słyszał. Podała swoje imię i nazwisko oraz stopień. – Komenda Rejonowa Policji Warszawa. Do kogo się dodzwoniłam? Chwileczkę, proszę powtórzyć... Damian Wolczuk, tak? Dobrze, panie Damianie. Czy może pan zatrzymać się w spokojnym miejscu, abyśmy mogli chwilę porozmawiać? Świetnie.

Facet miał całkiem przyjemny głos. Był zaskoczony, lecz najwyraźniej na tyle uprzejmy, że nie próbował komplikować sprawy. Przynajmniej na razie.

– Halo, już? Świetnie. Bardzo panu dziękuję. – Przesunęła kartkę

z numerami, odsłaniając krótką notatkę. – Przepraszam, że zajmuję panu czas, ale prowadzimy czynności i możliwe, że może nam pan pomóc. Czy mogę zadać panu kilka pytań? To nie potrwa długo... Zawsze tak mówimy? Czyli ma pan doświadczenie. – Roześmiała się. – Chyba że może pan do nas podjechać, bo potem i tak pewnie przyślemy wezwanie, a tak miałby pan już z głowy. W roli świadka... Nie mogę powiedzieć... Warszawa, Opaczewska osiem... Aha... – Zanotowała coś. – A od jak dawna? Tak... I przez cały czas? Tak, w Chęcinach i Kielcach, rozumiem... Czyli w miniony poniedziałek był pan?... Dobrze.

Ponownie zerknęła na drugą kartkę.

– Kiedy ostatni raz miał pan kontakt z panią Budziszowską Justyną? Tak... Nie, nie mogę nic powiedzieć przez telefon. Proszę odpowiedzieć na pytanie. Tak... Rozumiem... Jest pan pewien? Tak... Wierzę. – Dopisała szybko dwie linijki. – Proszę powiedzieć, kiedy będzie pan z powrotem w Warszawie. Aha... To niedobrze, bo chcielibyśmy, aby pan nam to oficjalnie... Wie pan, jak to jest. Tak, właśnie... Czyli gdzie pan był w poniedziałek wieczorem? Aha. A we wtorek rano? Tak... Niestety nie mogę powiedzieć, przykro mi. Czy w tym czasie był pan w towarzystwie? Tak, właśnie o to pytam... Przepraszam, ale rutynowo... Tak... Aspirant Kryński? – Zanotowała nazwisko i szybko wpisała je również w okno wyszukiwarki. Po chwili miała już przed oczami zdjęcie młodszego aspiranta i jego dane. – Posterunek w Chęcinach, tak... – Jeszcze przed momentem martwiła się, że wraz z Wolczukiem pojawią się komplikacje. Teraz przestała. – Wie pan co, panie Damianie? To może zrobimy inaczej... Może pan tam zajrzeć dziś lub jutro? Przefaksowałabym im, co trzeba, odpowiedziałby pan na te kilka pytań na miejscu i mielibyśmy to z głowy?... Nie ukrywam, że dobrze by było, bo inaczej będziemy musieli pana wezwać tu na Opaczewską. Tak... To wspaniale. Dziękuję i przepraszam za kłopot. Nie, oczywiście, że nie... Dziś? Myślę, że około czternastej powinno być dobrze. Ktoś zadzwoni i potwierdzi. Tak, dziękuję i życzę miłego dnia... Wzajemnie!

Rozłączyła się i spróbowała kawy. Była tak dobra, jak się

spodziewała. Zapach szedł w parze z aromatem. Wypiła pół kubka i wróciła do listy numerów. Wybrała kolejny i przyłożyła telefon do ucha.

73

Damian Wolczuk odetchnął głęboko. Podczas rozmowy starał się sprawiać wrażenie nieco zaniepokojonego, ale chętnego do współpracy. Zwykły obywatel zaskoczony przez przedstawiciela prawa. Wiedział, że tego oczekuje osoba po drugiej stronie słuchawki. Przede wszystkim wiedział jednak, że gdyby policjantka wyczuła, że coś jest nie tak, automatycznie znalazłby się na celowniku. W najlepszym wypadku uznałaby, że mija się z prawdą, w najgorszym, że jest w coś zamieszany. W obu wypadkach musiałaby zareagować regulaminowo. Uruchomić maszynę i jeszcze bardziej skomplikować mu życie. Tu i teraz.

Teoretycznie nie powinien się obawiać. W cokolwiek wplątała się Budziszowska, to go już nie dotyczyło. Chyba że postanowiła się na nim odegrać za jakieś wymaginowane zaszłości albo zrobiła to ze zwykłej złośliwości. Wiedział, że była do tego zdolna. Gdyby miłość była logiczna, trzymałby się od niej z daleka. Ale nie była i dlatego spieprzył sobie kilka lat życia. Być może ona uznała, że jeszcze za mało.

Wystarczyło włamanie czy kradzież. Prawdziwe albo pozorowane. Zraniony i odrzucony facet był świetnym kozłem ofiarnym. Mógł być. Tyle że gdyby sprawa była poważna, to policjantka by nie dzwoniła, a już na pewno nie zgodziłaby się, aby składał wyjaśnienia na prowincjonalnym komisariacie. Gdyby sprawa była poważna, namierzyliby jego telefon i zgarnęli go wprost z ulicy. Nie zdążyłby zapytać, o co chodzi.

Może chodziło o jakąś zapomnianą drobnostkę? Może to była sprawa podobna do tej, w jakiej wezwano go w zeszłym roku? W listopadzie dwa tysiące piętnastego zadawano mu pytania o zakupy, jakich dokonał za pośrednictwem popularnego serwisu internetowego trzy

lata wcześniej. „Czy pamięta pan zakup przedmiotu o wartości czternastu złotych, którego dokonał pan u użytkownika jakiegoś tam, trzeciego lutego dwa tysiące dwunastego?” „Jasne, nie mam nic lepszego do pamiętania!” Kretynizm.

Mimo wszystko ten telefon wyprowadził go z równowagi. Sprawiał, że po raz kolejny poczuł strach. Mdlący, niekontrolowany strach. Oczywiście to mógł być przypadek. Zwykły zbieg okoliczności. Czasem się takie zdarzają. Wolczuk wiedział jednak, że nie tym razem. Nie tu i nie teraz. Nie po tym, co się wydarzyło do tej pory, a już na pewno nie po tym, co powiedział Teofil. To zresztą było na swój sposób logiczne. Komuś nie udało się zrobić Damiana w akcję z księdzem, więc musiał wymyślić coś innego. Coś, co zmusi go do wyjazdu, usunie z drogi. Działanie logiczne i konsekwentne. To Damian rozumiał.

Nie rozumiał natomiast, skąd ten skurwiel tak dobrze wiedział, gdzie uderzyć? I jakim cudem w poniedziałek, dzień przed tym, co stało się w kościele?

74

– Tak działa nasz monitoring – wyjaśnił chłopak. – Najstarsze nagrania są kasowane, żeby zrobić miejsce na nowe. Szef wymienił jakiś czas temu dyski na większe i teraz można odtworzyć pięć dni wstecz. Wcześniej mieliśmy tylko dwa.

– Czyli nie ma już nagrań z zeszłego czwartku? – upewnił się policjant.

– Niestety nie. – Wyglądał na szczerze zmartwionego i trochę wystraszonego. Może bał się, że zostanie o to obwiniony, a może obecność na komisariacie tak na niego wpłynęła. Czasami sam widok mundurowych wystarczy, aby człowiek czuł się winny.

– Trudno. Nie ma, to nie ma. – Waldek starał się nie okazywać rozczarowania. Nie chciał jeszcze bardziej stresować chłopaka.

– Nie potrzebują nagrywać więcej niż dwa dni. – Karolina stała oparta o ścianę przy drzwiach. – Cokolwiek się wydarzy, to i tak przecież od

razu zgłoszą albo zgrają. Tak jak wtedy, gdy im małolaty zatankowały i uciekły, pamiętasz? – Waldek kiwnął głową. Nie pamiętał, ale to nie miało znaczenia. – Zgrali na pena całą dobę, a monitoring sobie szedł dalej.

– W piątek dwa razy była policja i pytała o ten samochód z „Okraglaka” – podjął chłopak. Najwyraźniej chciał to mieć już za sobą. – Ale przyszli, jak ja już poszedłem do domu. Rozmawiali z szefem i szef sprawdzał nagranie z nocy. Normalnie, na przyspieszonym przewijaniu. Zatrzymywał za każdym razem, gdy przy dystrybutorze pojawiał się jakiś samochód, i porównywał z tymi numerami, które dostał.

– Żaden SUV nie tankował tamtej nocy.

– No, nie tankował – zgodził się chłopak. – Ale zatrzymał się na ulicy, obok wjazdu do nas. Szef tego nie zauważył na filmie, bo pewnie patrzył na dystrybutory. Zresztą mało na tej kamerze widać tego, co poza terenem – wyjaśnił. – Ale ja wtedy miałem nockę i widziałem ten samochód przez okno. Mieli dobry sprzęt audio i głośną muzykę, dlatego zwróciłem na niego uwagę. W środku było kilka osób, chyba cztery... – Zmarszczył czoło. – Tak, na pewno cztery. Zatrzymali się tylko na chwilę, żeby zabrać tego faceta, co kupił u mnie fajki, a potem pojechali w stronę Chęcín.

75

Alicja Lipińska leżała w łóżku z zamkniętymi oczami, ale nie spała. Nie do końca. Zmęczone ciało domagało się odpoczynku, lecz mózg wciąż odtwarzał zdarzenia minionej nocy. Jak zapętłony film, w którym nie była ważna kolejność scen ani prędkość wyświetlania, ale jedynie to, by obrazy przewijały się bez końca. Napędzane poczuciem bezsilności i rezygnacji.

Nie mogła pomóc pacjentowi, nie mogła go już uratować. Próbowwała, ale to nie było możliwe. Zrobiła wszystko, co się dało, wszystko, co mogła. Wszystko poza wcześniejszym powrotem. Minuta, może dwie

i człowiek by żył. Zatrzymałaby go przed schodami, pomogła wrócić do sali. Minuta. Kilka zdań, jakie wymieniły z koleżanką przy łóżku pacjentki. Może tych na korytarzu. Jedna minuta, gdy cofnęła się, aby sprawdzić, czy nic nie zostawiła, a może ta, gdy oparła się o ścianę, by złapać oddech. Ile ich było? Bez ilu mogła się obejść? Której z nich zabrakło?

Była odrętwiała, na granicy jawy i snu. Mimo to wyraźnie słyszała, gdy Damian wrócił do mieszkania. Słyszała, jak otwiera i zamyka drzwi. Jak zdejmuje buty i przechodzi do kuchni. Uznała, że to miłe, iż stara się być cicho, aby jej nie zbudzić. Bardzo miłe. Potem dobiegła do niej melodia jego telefonu, ciche przekleństwo i rozmowa. Damian szeptał, ale mimo to słyszała, jak potwierdza, że ma na nazwisko Wolczuk i będzie gdzieś o czternastej trzydzieści. Wreszcie rozbrzmiały jego ciche, zbliżające się kroki. Domyśliła się, że stanął w drzwiach i sprawdzał, czy się obudziła.

– Nie śpię – powiedziała, nie otwierając oczu.

– Przepraszam, zapomniałem wyciszyć.

– Nie spałam już wcześniej.

Zbliżył się i po chwili wahania usiadł na brzegu łóżka. Poczuła jego dłoń na ramieniu.

– Jeśli wciąż o tym myślisz i się obwiniasz, to nie rób tego. Nie jesteś niczemu winna.

– Gdybym wcześniej...

– Nie – przerwał jej łagodnie. – Ani wcześniej, ani inaczej, ani gdzie indziej. Stało się i to nie jest twoja wina. Zaakceptuj to i przestań się zadręczać.

Przekręciła się i spojrzała na niego.

– To nie jest proste.

– Nie powiedziałem, że to proste. Cierpisz i masz do tego prawo. Może się jeszcze do tego nie przyznajesz, ale tak naprawdę to nie jest cierpienie związane ze stratą, bo facet nie był dla ciebie przecież nikim bliskim. Cierpisz, bo uważasz, że zawiodłaś. Tyle że to nie jest prawda. Po jakimś czasie do tego dojdiesz, nabierzesz dystansu i poukładasz sobie w głowie. Ten czas może trwać rok, miesiąc, tydzień. Może dłużej,

może krócej. To zależy tylko od ciebie. Efekt będzie ten sam bez względu na czas, więc po prostu spróbuj go skrócić, dobrze?

– Może spróbuję. – Nie była przekonana, lecz nie chciało jej się dyskutować. – Czemu wróciłeś tak wcześniej?

– Prawie nie ruszyłaś śniadania, dlatego pomyślałem, że gdy się obudzisz, będziesz głodna. Zrobiłem małe zakupy. Masz ochotę na coś ciepłego?

– Chyba tak.

– Więc leż, a ja się tym zajmę.

– Dziękuję.

– Nie ma za co, Alicjo. – Podniósł się. – Trzymaj kciuki, żebym nie spalił.

Nie trzymała, bo zasnęła. Mimo to nie spalił. Instrukcje na opakowaniu były czytelne i proste. Przygotowanie i podgrzanie. Jakies dwadzieścia minut. Pół godziny, ponieważ robił to po raz pierwszy. W międzyczasie zagotował wodę. Sobie zaparzył kawę, a Alicji herbatę, żeby nie miała potem problemów z zaśnięciem.

Gdy wszystko było gotowe, chciał iść ją obudzić, ale nie musiał. Obudziły ją zapachy i przyszła sama. Rozespana i głodna. Z potarganymi włosami i w nocnej koszuli sięgającej do połowy ud wydała się Damianowi jeszcze bardziej pociągająca. Nie okazał tego jednak. Nie wypadało.

– Dzwonili do mnie z policji, muszę iść dziś na komisariat odpowiedzieć na kilka pytań – powiedział, gdy już skończyli jeść, a Alicja spytała, co zamierza. – Nie wiem, o co chodzi, poza tym, że dotyczy Justyny.

– Justyny? – zdziwiła się. – Myślisz, że to coś poważnego?

– Wątpię. Cokolwiek by to było, policjantka pytała mnie o poniedziałek. Wyraźnie się rozluźniła, gdy wyjaśniłem, że od tygodnia siedzę w Chęcinach.

– Poniedziałek? Wtedy byliśmy w Kielcach w galerii.

– Tak.

– Gdyby była taka potrzeba, to potwierdzę.

– Dziękuję, mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Skinęła głową i napiła się herbaty.

– Zrobiłeś trochę za mocną. Te kuleczki to zwinięte liście. Sprawiają wrażenie mniejszych, ale potem się rozwijają, oddając aromat. Spójrz. – Pokazała mu kubek, którego dno zasłaniał gąszcz zieleni. – Następnym razem wsyp tylko kilka kulek. Pięć w zupełności wystarczy.

– Będę pamiętał.

– Wydaje mi się... – Urwała i odwróciła głowę w stronę okna. Widział, że walczy ze sobą. Ze słowami, które cisną się na usta, a mimo to nie chce ich wypowiedzieć. Była rozbita. Miała do tego prawo, bo każdy na jej miejscu by był. Wolczuk to rozumiał. Domyślał się, że teraz potrzebowała, aby ją przytulić, by mogła się wypłakać. Łzami zmyć poczucie bezsilności, które nie dawało jej spokoju. Ale tylko pod warunkiem, że akceptowała jego obecność. Jeśli nie, to zbliżając się do niej, tylko pogorszyłby sytuację.

To stanowiło problem. Możliwe, że w tej chwili żałowała, iż tu jest, że siedzi naprzeciwko. W tym samym pomieszczeniu, budynku, życiu. Może z jej perspektywy wszystko było nie tak i najlepsze, co mógł zrobić, to wyjść bez słowa. Zostawić ją samą. Pozwolić, by znów poczuła się bezpiecznie.

Dlatego nie zrobił nic. Siedział i czekał na jej ruch. Na jakiś sygnał, który pozwoli mu zorientować się w sytuacji. W kalejdoskopie emocji, który teraz musiał się obracać w jej głowie. W końcu ponownie zwróciła ku niemu twarz. Jej piegi wydawały się ciemniejsze. Oczy miała wilgotne, ale nie płakała. Powstrzymała łzy.

– A jeśli to nie był wypadek? – spytała cicho, lecz wyraźnie. – Jeśli Braniewskiego ktoś zabił? Tak myślę o tym teraz i sama nie wiem. Nic nie słyszałam ani nie widziałam, a byłam tam, na miejscu. Chyba powinnam usłyszeć, jak ktoś ucieka, prawda? Gdyby był, gdyby zepchnął go z tych schodów... – Zawiesiła na chwilę głos. Może myślała, że coś powie, a może po prostu chciała się upewnić, czy jej słucha. – Mogłam tego nie słyszeć albo teraz nie pamiętam. Za bardzo się przestraszyłam... On przecież nie powinien sam wstawać. Miał zakaz.

– Może chciał do toalety?

– Przy łóżku miał kaczkę, a mimo to wyszedł na korytarz... – Zakryła usta, jakby bała się własnych słów. – A co, jeśli ktoś go tam zaciągnął? Zabił wcześniej i zepchnął ze schodów, by wszyscy myśleli, że to wypadek? Może ja... Może przeze mnie policja nie szukała śladów? Powiedziałam, że sam spadł, że prawie to widziałam... Byłam w szoku.

– Wiem, Alicjo. – Powoli przesunął dłoń w jej stronę, tak by miała czas cofnąć swoją. Nie zrobiła tego, więc ich palce się spotkały. Zwarły w uścisku. – Dobrze zrobiłaś, bo to był wypadek. Na pewno.

– Nie wiesz, nie byłeś tam.

– Nie byłem – zgodził się. – Ale gdyby to było morderstwo, ciało zostałoby w łóżku. Raczej nie ma możliwości, by niepostrzeżenie przeciągnąć zwłoki korytarzem i jeszcze zrzucić ze schodów. Za dużo podejrzanych dźwięków i zbyt wielka strata czasu. Skończyłoby się albo wypadką na miejscu, albo postronnymi ofiarami. Możliwe, że jednym i drugim. Nikt by nie ryzykował. Rozumiesz?

– Tak. Ja po prostu... Pomyślałam, że może... To głupie.

– W porządku, powiedz.

– Pomyślałam, że może jego śmierć ma związek z Beatą. Pomyślałam, że ta sama osoba zabiła jego i ją... – Zmarszczyła czoło. – Ale teraz wiem, że nie. Masz rację, ja po prostu za bardzo się przejęłam, by myśleć logicznie. Masz rację, że to by było niedorzeczne, żeby ktoś Braniewskiemu zrobił krzywdę.

Damian uśmiechnął się ciepło, a przynajmniej starał się to zrobić. Przyszło mu jeszcze na myśl, że Braniewski mógł sam wyjść na korytarz, gdzie ktoś go zagadał i popchnął, lecz nie powiedział tego na głos. To już i tak nie miało znaczenia. Ani on, ani Kryński nie porozmawiają z trupem. Dłoń Alicji była ciepła, trzymał ją wewnątrz swojej, gładząc delikatnie kciukiem. – Jak dobrze znałaś Beatę?

– Czemu teraz o nią pytasz?

– Chciałem to zrobić już wcześniej, ale nie było okazji. Przepraszam, jeśli to zły moment.

Nie odpowiedziała, lecz nie odwróciła wzroku. Wciąż patrzyła mu w oczy.

– Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – To i tak nic nie zmieni. Beaty już nie ma, a ja... – Westchnęła. – Kiedyś się bardzo kłóciłyśmy, później zostałyśmy przyjaciółkami, a jeszcze później jakoś tak kontakty się rozluźniły i byłyśmy już tylko dobrymi znajomymi. Wiesz, takimi, co wpadają na siebie przypadkiem, udają radość i obiecują sobie, że koniecznie muszą się spotkać na kawę, ale się nie spotykają.

– Albo machają sobie na ulicy?

– Machają i nie mają czasu, by zamienić kilka słów. – Pokiwała głową. – Ostatni raz widziałam ją na rynku. Nie podeszłam, chociaż mogłam.

– To i tak nic by nie zmieniło. – Dyskretnie zerknął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu.

– Może nie, ale teraz mam wyrzuty sumienia. – Zamrugła, by powstrzymać łzy. Udało się. – Wiedziałam, że wyjeżdża, i chyba nie chciałam... Nie lubię pożegnań, wiesz? Nie jestem w nich dobra. – Delikatnie wyswobodziła dłoń i sięgnęła po kubek.

– O co się pokłóciłyście?

– Kiedy?

– Na początku, sama wspomniałaś przed chwilą...

– To nie było jednorazowe. – Uśmiechnęła się smutno. – Skakałyśmy sobie do gardeł o byle co. Raz czy dwa skończyło się szarpaniną. To już przecież bez znaczenia, stare dzieje...

Zamilkła. Może nie chciała do tego wracać. W spojrzeniu Wolczuka dostrzegła jednak jasną sugestię, że czeka na ciąg dalszy. Wahala się przez chwilę, aż w końcu uległa. Beacie już i tak na tym nie zależało.

– Za każdym razem był jakiś powód. Najczęściej błahe. Takie zwykłe codzienne pierdoły, wiesz, teraz już ich nawet nie pamiętam. Bo to nie chodziło o powód, ale o zasadę. To był rodzaj rywalizacji, albo ona, albo ja. Nienawidziłyśmy się strasznie. Gdybym mogła, wydrapałabym jej oczy, a ona mnie. Wyobrażasz sobie? Zgłupiałyśmy chyba do reszty, ale tak było. A potem jakoś tak w końcu pękło. Chyba obie byłyśmy tym zmęczone. Najpierw było zawieszenie broni, z czasem zaczęłyśmy się dogadywać, później wspierać, aż wreszcie przerodziło się to w przyjaźń.

Przeszliśmy ze skrajności w skrajność. Wiele razy zastanawialiśmy się, co nas tak poróżniło, i za każdym razem wniosek był taki, że byliśmy po prostu głupie.

Zawiesiła wzrok na jakimś punkcie za oknem.

– To było zabawne wytłumaczenie, ale nieprawdziwe. Tak naprawdę to wszystko była moja wina, lecz nigdy się do tego nie przyznałam. Nie mogłam, bo było mi wstyd...

Po chwili podjęła:

– Czasem myślę, że Beata wiedziała, ale udawała, że jest inaczej. A może nie? Nie wiem... Fakt jest taki, że to ja byłam zazdrosna o nią. Może nie tyle o nią, ile o to, jak ją wszyscy traktowali, kiedy się pojawiła w Chęcinach. To znaczy nie od razu, ale po tym, jak się tak dobrze dogadywała z Szymańskim i jak jej załatwił tę aborcję. To była wielka tajemnica. Niby nikt nie wiedział, ale wiesz, jak to jest. Po tym każdy obchodził się z nią jak z jajkiem, a mnie to wkurzało... Byłam głupia.

76

Przed posterunkiem stał tylko jeden radiowóz. Pozostałe albo parkowały w garażach za budynkiem, albo wyjechały w teren. Wolczukowi było to obojętne. Wszedł do budynku i podał dyżurnemu swój dowód osobisty.

– Miałem się tu zgłosić – mruknął.

Policjant rzucił okiem na nazwisko i kiwnął głową. Wpisał dane Damiana do odpowiednich rubryk w zeszycie i oddał mu dokument.

– Proszę poczekać na korytarzu, zaraz ktoś przyjdzie. – Bzyk elektrycznego zamka był dość głośny. Nie brzmiał jak prośba, bardziej jak polecenie. Wolczuk poprawił zawieszoną na ramieniu torbę z laptopem, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Korytarz nie zmienił się od ostatniego razu, gdy go oglądał. Krótki i niezbyt szeroki. Po kilku metrach skręcał pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Dwie pary drzwi po lewej były zamknięte. Te

na wprost zostawiono uchylone nieznacznie, a dalszych nie widział. Przy ścianie po lewej stały trzy krzesła. Zwięźały światło korytarza do niezbędnego minimum. Kojarzyły się z poczekalnią w przychodni. Wolczuk nie pamiętał, czy były tu wcześniej. Może tak, a może postawiono je całkiem niedawno, dopiero gdy zaszła taka potrzeba. Na pewno dla osób z zewnątrz. Takich, które przychodziły tu, aby zgłosić jakąś sprawę. Na przykład kradzież czy włamanie. Zgłosić sprawę albo złożyć wyjaśnienia, tak jak on.

Był umówiony na wpół do trzeciej. Przyszedł kilka minut przed czasem, więc teoretycznie zaraz ktoś powinien go wezwać. Góra pięć minut, o ile ceniono tu punktualność. Jeśli nie, może piętnaście, raczej nie dłużej. Mógłby zatem spokojnie usiąść na krześle i poczekać, nie męcząc nóg. Mógłby, ale tego nie zrobił.

Na najdalszym siedział młody chłopak. Gapił się dziwnie na Wolczuka, nie zachęcał, by się do niego zbliżyć. Po jakiejś minucie Wolczuk skojarzył, że już go dziś widział. Kilka godzin wcześniej w Korzecku, na stacji benzynowej. Chłopak wtedy był spokojny i uległy. Teraz również sprawiał podobne wrażenie. Tylko to zerkanie było dziwne. Może nafaszerował się jakimś świństwem i trzymali go tu, aż otrzeźwieje? Koles wciάζ mógł być w innym świecie, a pojawienie się Wolczuka stanowiło bodziec dla kolejnych omamów. Może słabnących, bo po chwili chłopak stracił nim zainteresowanie i wlepił wzrok w podłogę. Najwidoczniej jego własne stopy wydały mu się bardziej interesujące.

– Pan Wolczuk? – Karolina Kaniewska stanęła w drzwiach. – Zapraszam!

Arkadiusz Painer stawił się w budynku Prokuratury Okręgowej na Mickiewicza. Jak zawsze punktualnie i jak zawsze w pełnej gotowości, by po raz kolejny wysłuchać mantry szefa. To był rodzaj rytuału, którego istotę stanowiło przypomnienie Painerowi o tym, że wizerunek

prokuratora jest rzeczą istotną, a jego wygląd powinien być wyrazem kompetencji, odpowiedzialności i tak dalej. Obaj znali to na pamięć. Również tę część, w której szef z właściwą sobie nienaganną kulturą podkreślał, że image Painera byłby niezwykle ceniony w latach sześćdziesiątych, ale obecnie trąci już myszką. Jak zbyt stare wino. Początkowo takie rozmowy przeprowadzała z nim bezpośrednia przełożona, prokurator rejonowa, ale w końcu dała za wygraną. Prokurator okręgowy miał więcej cierpliwości. Cierpliwości i wiary, a odkąd szefowa rejonu przebywała na zwolnieniu, także zapału, bo starał się rozmawiać z Painerem częściej. Painer też był cierpliwy. Uprzejmie dziękował, a na prośby i sugestie, by rozważył nieco bardziej współczesny styl, każdorazowo obiecywał, że to zrobi.

Tym razem jednak nie było tradycyjnej pogadanki. Prokurator okręgowy przeszedł od razu do rzeczy.

– Panie Arkadiuszu, w dniu dzisiejszym został złożony wniosek, aby ponownie przekazano waszej prokuraturze sprawę, którą się pan zajmował. Decyzja powinna zapaść najdalej jutro. Biorąc pod uwagę okoliczności, zakładam, że będzie pozytywna.

– Chęciny. Cztery ofiary z Warszawy?

Szef skinął głową.

– Naturalnie sprawa wróci do pana, a ze względu na poziom jej skomplikowania sugeruję, aby rozważył pan przekazanie komuś części z aktualnie prowadzonych czynności. – Zawahał się. – Jeśli uzna pan to za zasadne. Ewentualny wniosek chcę mieć na biurku jutro rano.

78

– Po raz trzeci wracamy do tego cholernego poniedziałku, a ja nadal nie wiem, o co chodzi – mruknął Wolczuk, rozdrażniony sposobem, w jaki policjantka zadawała pytania.

Znał ten sposób. Najpierw dwa lub trzy pytania zupełnie błahe, potem istotne, znów kilka błałych i znów istotne. W niektórych warunkach sprawdzało się to bardzo dobrze, zwłaszcza gdy rozmówca

próbował coś zataić lub po prostu kręcił. Tyle że Wolczuk nic nie zatajał i od początku jasno dawał do zrozumienia, że chce współpracować, nie ma nic do ukrycia i leży to w jego interesie. Nie utrudniał, przeciwnie – starał się pomóc.

Mimo to policjantka zdawała się tego nie dostrzegać. Była spięta i zachowywała się tak, jakby odgrywała rolę w teatrze. Teatrze albo jakimś filmie, gdzie policja ma do czynienia tylko z groźnymi przestępcami. Gdzie trzeba ich traktować twardo, nie okazywać słabości. My albo oni, zwycięstwo lub porażka, system zero-jedynkowy. Niemal komiczne.

– Mam pomysł, ułatwię pani pracę, dobrze? – Westchnął. – Jeszcze raz powoli i ze szczegółami. W poniedziałek pół dnia spędziłem w Kielcach w towarzystwie pewnej sympatycznej damy. Byliśmy na zakupach w galerii Echo. Oczywiście zaraz podam pani kontakt do tej osoby, by mogła potwierdzić moje słowa. Jeśli to istotne, może pani również sprawdzić wyciąg z mojego konta, bo wypłacałem tam gotówkę z bankomatu. Przykro mi, ale nie zachowałem potwierdzenia. Domyślam się, że nie zrobi pani tego na zawołanie i pewnie będzie potrzebować tony papierów, ale odnoszę wrażenie, że bardzo pani na tym zależy, więc śmiało proszę to zrobić. Dowie się pani, ile potrzebowałem na zakupy. – Poprawił się na krześle. – Nie pamiętam wszystkich sklepów, które odwiedziłem, ale dwa na pewno. Dwa sklepy i kawiarnię. Może mnie tam pamiętają albo mają monitoring. Podać pani ich nazwy?

– Później.

– Dobrze, podam później. Po południu owa dama zabrała mnie do szpitala na Czerwonej Górze. Pracuje tam i tego dnia miała dyżur. Strażnik przy bramie na pewno mnie będzie pamiętał. Tak samo jak para dzieciaków, która zabrała mnie stamtąd do Chęcina. Miałem wracać autobusem, ale sami się zatrzymali i zaproponowali podwózkę. Nie było powodu, by odmawiać, lecz nie pytałem ich o dane osobowe. Pamiętam tylko, że jechali srebrną škodą. Chyba to była octavia, ale nie jestem pewien, nigdy nie interesowałem się tą marką.

– Coś więcej na ich temat?

– Poważnie?

– A jak pan myśli? – Surowa i poważna. Irytująco poważna.

– Oboje na pewno przed dwudziestką. Myślę, że zaraz po zdaniu prawka. Szatyn i blondynka. Oboje mili. Auto miało rejestrację zaczynającą się na TK. Jeśli ustawicie blokady wokół Kielc, to prędzej czy później ich złapiecie.

– Proszę bez żartów.

– Mam wrażenie, że to pani zaczęła.

– Myli się pan, panie Damianie. Ja nie żartuję, tylko robię, co do mnie należy. – Jej palce przebiegły po klawiaturze. Szybkie, charakterystyczne kliknięcia wypełniły ciszę. Po minucie ucichły równie nagle, jak rozbrzmiały. – Co było dalej? Co pan robił w nocy?

– Spałem i niestety nie mam na to świadków.

Kaniewska spojrzała na niego wymownie. Wystarczająco wymownie, by wreszcie odpuścić. Dopiero teraz dostrzegł w jej wzroku coś niepokojącego. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi albo nie miał okazji dostrzec. Raczej nie miał okazji, bo poza przywitaniem unikała patrzenia mu w oczy. Aż do teraz. Nadal nic nie wiedział, nic mu nie powiedziała, ale teraz przynajmniej domyślał się, że jej zachowanie nie jest podyktowane personalną niechęcią, tylko stresem. Albo ktoś jej spieprzył dzień, albo ta sprawa z Budziszowską była poważna.

– W porządku, już nie będę żartował. – Skinął głową. – Te dzieciaki wysadziły mnie na dolnym rynku, skąd poszedłem prosto do klasztoru franciszkanów. Nocowałem tam przez kilka dni. – Wyjaśnił pomimo tego, że już wcześniej o tym wspominał. – Nikogo nie spotkałem po drodze i chyba nikt mnie nie widział.

– Więc kto pana wpuścił?

– Nikt. Brama była otwarta, a do pokoju gościnnego miałem klucz. To był poniedziałek, więc... – Zmarszczył czoło. – Tak, już sobie przypominam. Pracowałem praktycznie cały wieczór i dobry kawałek nocy.

– Pracował pan?

– Tak. – Poklepał torbę z laptopem. – W zeszłym tygodniu skończyłem pracę w warszawskiej redakcji. W poniedziałek w końcu się zebrałem

do tego, aby wyczyścić laptop ze starych tekstów i materiałów. Większość już i tak by mi się nie przydała do niczego poza portfolio. Potem zająłem się aktualną... aktualnym materiałem, nad którym pracuję dla przyszłego pracodawcy. Zeszło mi do późna. O ile pamiętam, skończyłem między pierwszą a drugą w nocy. Przez to spałem dłużej... – Przerwał, słysząc, że otwierają się drzwi, które miał za plecami.

– Dzień dobry, Karolino, panie Damianie. – Dariusz Kryński przeszedł przez pomieszczenie, minął Wolczuka i stanął obok koleżanki. Nie przywitał się podaniem ręki, nie spoufalał. – Jak to wygląda?

– Jesteśmy przy nocy, którą pan Wolczuk spędził niestety samotnie. Twierdzi, że z nikim nie rozmawiał i nikt go nie widział.

– Zakonnicy powiedzieli to samo. Nie wiedzą, kiedy wchodził i kiedy wychodził. Widzieli tylko tyle, że w nocy w pokoju paliło się światło, nic poza tym.

– Czyli mamy problem.

– Jaki problem? – spytał Wolczuk. – Może powiecie w końcu, o co chodzi, zamiast zmuszać mnie do spowiedzi z każdej sekundy życia?

– Nie powiedziałaś mu? – zdziwił się Kryński. Kaniewska pokręciła głową.

– Nie, nie powiedziała – wycedził Wolczuk. – Traciecie tylko czas, swój i mój. Oboje dobrze wiecie, że cały tydzień siedzę na tym waszym zadupiu i nie zapowiada się, abym mógł się stąd szybko ruszyć. Poniedziałek w nocy pracowałem w pokoju sam i nie ma opcji, abym wam to udowodnił. Po prostu! Ale niezależnie od tego, co tym razem wymyśliła Budziszowska, zaręczam, że nie mam z tym nic wspólnego. Ani z tym, co wymyśliła, ani z nią samą.

– Justyna Budziszowska niczego nie wymyśliła, Damianie. Ona nie żyje.

– Justyna Budziszowska została znaleziona martwa w swoim

mieszkań w środę. Zgon nie nastąpił z przyczyn naturalnych.

– Jezu... – szepnął Wolczuk.

– To było pobicie ze skutkiem śmiertelnym – wyjaśnił Kryński. – Nastąpiło w poniedziałek. Na miejscu zabezpieczono dużą ilość śladów, które są analizowane. Sąsiedzi słyszeli wtedy w mieszkaniu ofiary podniesione głosy, damski i męski. Około dwudziestej pierwszej. Trwało to kilka minut, może kilkanaście. W każdym razie krótko. Żaden z sąsiadów nie uznał tego za niepokojące. Po prostu zwykła sprzeczka, jakich wiele. Nic, do czego trzeba by wzywać policję. Żaden z sąsiadów nie widział, kto tego dnia przychodził i wychodził z mieszkania.

Wolczuk spuścił wzrok. Widać było, że ta wiadomość nim wstrząsnęła, że próbuje sobie poradzić z gonitwą myśli.

– Tam jest pełno moich odcisków palców, pewnie wciąż gdzieś leżą moje rzeczy. – Pokiwał głową. – To dlatego ta policjantka do mnie zadzwoniła.

– Nie – odezwała się Karolina. – Sprawdzali ostatnie połączenia z jej telefonu. Pana numer tam był. To korzystny zbieg okoliczności, bo i tak by pana szukano.

– Zdrada, odrzucenie, urażona duma i frustracja to świetne motywy – powiedział powoli. – Do tego masa śladów na miejscu... Główny podejrzany.

– Nie piernicz, Wolczuk. – Kryński się skrzywił. – Przecież dobrze wiemy, że to nie ty. Nie przefrunałeś do Warszawy i z powrotem.

– Musimy tylko znaleźć solidny dowód na to, że spędził pan noc w klasztorze – wyjaśniła Karolina. – Żeby się nikt nie czepiał.

– We wtorek rano rozmawiałem z tym facetem... Fiszerem. Na pewno będzie pamiętał.

– Okej. Mateusz Fiszer... – Kryński zanotował. – Chyba już zakończył tu pracę, ale wiem, gdzie go znaleźć. Potwierdzimy.

– Zostają wieczór i noc, bo wcześniej był pan w towarzystwie.

– Alicji Lipińskiej – przyznał Damian, nie podnosząc wzroku.

– Zanotuj.

– Zapamiętam – wycedził Kryński.

– Na pewno nikt z zakonników go nie widział?

– Nie.

– A ci ludzie z ośrodka?

– Rozmawiałem z terapeutą... – Kryński zajrzał do notatek – Jakubikiem Romanem. Pytał podopiecznych i personel. Nikt nie widział Wolczuka w poniedziałek po południu. Tylko rano.

– Trochę słabo.

– Mógł go jeszcze widzieć Daniel Krawczyk, ale z nim będzie można porozmawiać dopiero jutro.

– Papiery musimy wysłać dziś. Skoro nikt go nie widział, to pewnie i Krawczyk tu nie pomoże.

– Pomyśl, Wolczuk – mruknął Kryński. – Daj nam coś, bo w Warszawie mogą uznać, że od popołudnia do rana było wystarczająco czasu, abyś najbliższe tygodnie spędził w areszcie.

Damian pokiwał głową. Nie tyle w odpowiedzi na słowa policjanta, ile w odpowiedzi na własne wspomnienia. Wspomnienia i myśli, które nie pozwalały mu się skupić. Nienawidził Justyny za to, co mu zrobiła, i za to, że jej na to pozwolił. Nienawidził jej i marzył, by dostała za swoje. Ale nie aż tak. Nie aż tak...

Wyrzuty sumienia były irracjonalne, wiedział to, a mimo wszystko nie potrafił ich powstrzymać. Zawsze starał się myśleć precyzyjnie i logicznie. Nazywał to dyscypliną wewnętrzną. Nieocenioną w pracy dziennikarza. W pracy i w życiu. Niezależnie od czynników zewnętrznych starał się nigdy nie tracić kontroli nad sobą, nie panikować. Panika była bezproduktywna, blokowała trzeźwość myślenia i uniemożliwiała działanie. Dyscyplina pozwalała ją zachować, być krok do przodu. Dawała przewagę. Teraz jednak jej nie było.

Myśli Wolczuka wirowały jak sztuczny śnieg w tandetnej, szklanej kuli. To nie był przypadek. To nie było możliwe. Nie było normalne. Przez moment miał wrażenie, że coś zaciska się na jego gardle, że nie może oddychać. Po chwili stracił słuch. Dźwięki nagle przestały dochodzić do jego mózgu, tak jakby odłączono mu uszy. To samo stało się ze wzrokiem. Para policjantów, komputer, biurko, ściany –

wszystko rozmyło się, rozmazało.

– Oddychaj! – Słowa płynęły z oddali. Niezbyt rzeczywiste, ale chyba coraz bliższe. – Spokojnie, Wolczuk, oddychaj spokojnie. – Męski głos. Kryński.

– Wezwij lekarza. – Ten należał do kobiety.

– Nie! – wymamrotał Wolczuk. – Nie trzeba.

– Lepiej mu.

– Czy ma pan problemy z sercem albo z ciśnieniem? – Policjantka była tuż obok. – Cukrzyca?

– Nic mi nie jest. To tylko... Nie mogę uwierzyć... – Powoli dochodził do siebie. – Poproszę szklanek wody.

– Bierze pan jakieś leki?

– Nie, nie... Przepraszam, po prostu jestem w szoku. Chyba dotarło to do mnie z opóźnieniem. Wie pani... Dziękuję! – Odebrał od Kryńskiego kubek i przytknął do ust. – Nigdy bym nie pomyślał, że wydarzy się coś takiego... To jakiś koszmar.

– Takie rzeczy się zdarzają.

– Wiem, pisywałem o nich, ale to zawsze dotyczyło kogoś innego, obcego. Nie wierzę teraz, że to mówię. – Odetchnął. – Już w porządku.

– Na pewno? Może jednak wezwiemy kogoś?

– Nie, nie trzeba. – Jeszcze nie było naprawdę w porządku, ale lepiej. Coraz lepiej.

Karolina spojrzała na Kryńskiego. Ten skinął głową.

– No dobrze – powiedziała z wahaniem. – Ale jeśli znów się pan poczuje słabo, proszę od razu dać znać. Teraz tylko dzięki refleksowi kolegi nie rozbił pan sobie głowy o podłogę.

– Dziękuję.

Kryński nie odpowiedział.

– Coś sobie przypomniałem. Przede wszystkim sprawdźcie, z jakim nadajnikiem łączył się mój telefon. Bez problemu potwierdzicie, że całą noc byłem na miejscu. Ale mam chyba jeszcze coś... – Wolczuk sięgnął po laptopa. Powoli, bo ciągle szumiało mu w głowie. – Czy można go podłączyć? – spytał, podając kabel. – Bateria jest stara i słaba. Naładowana w pełni wytrzyma kilka minut. Nie więcej.

Kryński nawet nie drgnął, lecz Karolina skinęła głową i wpięła wtyczkę w przedłużacz, który miała przy biurku. Wolczuk uruchomił komputer i pochylił się nad ekranem.

– Nie wiem, na ile to może być pomocne... – Nie miał myszki, więc musiał używać touchpada, co było wolniejsze. W końcu przekręcił urządzenie tak, by oboje mogli widzieć to, co wyświetlało się na matrycy. – Tu są pliki, na których pracowałem w poniedziałek. Widać daty i godziny modyfikacji lub utworzenia, a tu obok to widok na dziennik zdarzeń systemu, który rejestruje pracę urządzenia. Widać między innymi, o której został uruchomiony i której go wyłączyłem.

– Ostatni wpis z pierwszej czterdzieści dwie – odczytała Karolina. – Co to jest?

– Zdarzenia związane z jakimiś procesami czy usługami, w tym już się nie orientuję zbyt dokładnie – przyznał Wolczuk. – Sam rejestr pokazał mi informatyk w redakcji, gdzie kiedyś pracowałem. W ten sposób naczelny nas sprawdzał. Ważne było, czy wpisy są, czy nie.

– No tak, widać, że coś się dzieje... One nie pojawiają się, gdy komputer jest wyłączony?

– Nie, tylko kiedy pracuje. Nie wytrzymałby tyle na baterii, co dowodzi, że pracowałem podpięty do gniazdka w klasztorze.

– Dobrze... Pliki w katalogu mają różne godziny i układają się w jakiejś kolejności od dziewiętnastej do końca. Ostatni wpis przed drugą rano.

– O której wróciłeś do pokoju? – spytał Kryński.

– Ze szpitala wyszedłem o siedemnastej, a w klasztorze byłem najdalej godzinę później.

– A o której spotkałeś się z Fiszerem?

– Chyba przed dziesiątą, nie pamiętam dokładnie.

– Co o tym myślisz? – Karolina spojrzała na Darka. Ten wzruszył ramionami.

– Wygląda solidnie.

– A więc chyba to mamy, panie Damianie. – Uśmiechnęła się. – Da się to jakoś zgrać? Można zrobić zrzut ekranu?

– Przepraszam, ale muszę pana jeszcze spytać o tego mężczyznę, z którym... który przyczynił się do rozpadu państwa związku. – Karolina przebiegła wzrokiem po monitorze. – Na podstawie zeznań sąsiadów sporządzono jego rysopis, lecz na razie nie ustalono, kim jest. Wygląda na to, że bardzo dbał o dyskrecję. To raczej nie był jawny związek.

– Nie mógł być, bo facet ma żonę, która nie może się o tym dowiedzieć – wyjaśnił Wolczuk. Kryzys minął, czuł się, jakby go nie było. Był skupiony i konkretny. – Prowadzą kilka biznesów i planują kolejne. Tyle że wszystko jest własnością rodzinnej spółki, w której oboje mają udziały mniejszościowe. Pakiet kontrolny pozostaje w rękach teścia. Gdyby facet wpadł z dupą na boku, rodzina puściłaby go z torbami.

Kryński chrząknął.

– Kilka miesięcy temu zatrudnił Justynę na stanowisku konsultanta prawnego w firmie, której jest prezesem. Uznała to za szansę. Najwyraźniej nie tylko zawodową... – Skrzywił się. – Facet nazywa się Gracjan, Gracjan... – Szukał w pamięci. – Ma takie nietypowe nazwisko, chyba francuskie. Zaraz sobie przypomnę.

– Proszę się spokojnie zastanowić, a ja zaraz wrócę. – Karolina spojrzała wymownie na Kryńskiego i wyszła z pomieszczenia. Na korytarzu wyciągnęła komórkę i wybrała numer. Ten sam, który figurował pod oficjalną prośbą nadesłaną z Warszawy. Rzuciła okiem na chłopaka siedzącego przy ścianie i przeszła do pomieszczenia socjalnego. Słabszy zasięg, ale większy komfort rozmowy. Bez niepotrzebnych, cywilnych świadków.

– Wolczuk... – zaczął Kryński, lecz Damian mu przerwał.

– De Latour. Facet ma na nazwisko De Latour. Kurwa... – Obejrzał się i upewnił, czy policjantka nie wróciła. – Mogłem mu się odwdziżyć i dać cynk szanownej małżonce. Nie pomyślałem o tym, a to by było całkiem łatwe i sprawiedliwe, prawda? On puknął mi narzeczoną, a ja bym puknął jego.

– Trzeba było.

Zamilkli na dłuższą chwilę. Wyraźnie unikali patrzenia sobie w oczy. W ogóle patrzenia w swoim kierunku. Kryński skupił się na monitorze komputera, a Wolczuk wlepił wzrok w ścianę. Obaj pograżyli się w myślach, lecz nie myśleli o tym samym. Nie bezpośrednio. Pierwszy odezwał się Wolczuk. Cicho, ale nie aż tak, by Kryński nie mógł go usłyszeć.

– Wystarczyłby jeden telefon i facet miałby z dupy jesień średniowiecza, byłby pozamiatany... Może gdybym to zrobił, to wtedy Justyna by żyła?

– Takie sugestie są nie na miejscu.

– Widziałem faceta, to śliski typ. Z gatunku tych, co zgrywają bogatych, szarmanckich macho, a naprawdę są bezwzględnyimi skurwielami, którzy utopiają własną matkę dla pięciu złotych. Może koleś poczuł się zagrożony? Może naopowiadał Justynie standardowych bajek, że weźmie rozwód i będą razem? Wiesz, jak to jest. Wszystko, żeby tylko zaliczyć dupę. Tyle że Justyna nie była wcale pierwszą naiwną. Nie aż tak. Może po tym, jak ich nakryłem, postawiła sprawę jasno? Skoro ja się usunąłem, to jej już nic nie blokowało. Może zaczęła naciskać? Nie musiała wcale wierzyć, że on naprawdę odejdzie od żony, ale może chciała na tym coś ugrać. Lepszą pensję, lepsze stanowisko, dowolny profit. Była ambitna i w dużej mierze pozbawiona skrupułów, więc...

Potaął dłonią czoło, jak gdyby chciał rozmasować ból.

– Może o to jej chodziło od początku, może tak to zaplanowała. Chciała, żebym ich wtedy nakrył, by mieć kartę przetargową... Wykorzystała mnie, a potem próbowała wykorzystać także jego. Tyle że De Latour miał zbyt dużo do stracenia. Przestraszył się, że Justyna zacznie go coraz mocniej naciskać albo szantażować. A może zrobiła tak wtedy, w poniedziałek? Postawiła sprawę jasno, powiedziała, czego oczekuje, czego chce. Pokłócili się i zaczęli się szarpać, może bić. Może nawet facet nie chciał jej zrobić krzywdy, nie naprawdę. Może chciał ją tylko postraszyć, żeby odpuściła, ale zdarzył się wypadek. Pchnął za mocno lub sama upadła, niefortunnie rozbijając sobie głowę, a on

spanikował i nie udzielił jej pomocy, nie wezwał karetki. Po prostu uciekł.

Kryński się nie odezwał. Nie chciał. Spojrzał tylko na Karolinę, która stała w drzwiach, słuchając wywodu Wolczuka. Nie od początku, ale to nie miało znaczenia.

– W firmie nikt nie wiedział, że mają romans – powiedziała. Teoretycznie nie powinna rozmawiać przy Wolczuku, lecz przecież im pomógł z ustaleniem tożsamości podejrzanego i mógł pomóc bardziej. Tego samego zdania była Warszawa. – Przynajmniej nikt z najbliższego otoczenia prezesa. Od rana ich trzepali i nic. Same plotki, zero konkretów. Nic, co by mogło potwierdzić, że naprawdę coś ich łączy, więc oboje się dobrze maskowali. Gdyby nie pana wiedza, możliwe, że po jakimś czasie porzucilibyśmy ten trop.

– Zgarnęli go?

– Nie. Od poniedziałku nikt go nie widział. Ani w firmie, ani w domu. Żona twierdzi, że wyjechał w interesach, ale nie chce powiedzieć gdzie. Jeszcze dziś ktoś do niej podjedzie. I na Ochotę ze zdjęciem, żeby sprawdzić, czy sąsiedzi go rozpoznają.

– A o mnie nie mówili? – zapytał Wolczuk.

– Sąsiedzi? Jasne, że tak, ale dodawali, że nie widzieli pana od tygodnia. De Latour był tam widziany kilka razy. Ostatnio w weekend. To znaczy dopiero potwierdzimy, że to był on.

– Mam nadzieję, że go złapiecie.

– Od tego jest policja.

Wolczuk pokiwał głową.

– Czy jestem jeszcze do czegoś potrzebny, czy mogę iść?

– Musimy jeszcze ująć jakoś sensownie to, co pan powiedział, panie Damianie. – Karolina usiadła na swoim miejscu, które zwolnił Kryński.

– Potem mi pan podpisze papiery i będzie pan wolny.

– Zobaczymy się później – rzucił Kryński i wyszedł.

Kiedy zadzwonił telefon, Dorota Kowalska była w drodze na miejsce zdarzenia. Nie prowadziła, więc mogła odebrać.

– Kowalska, słucham! – rzuciła, nie patrząc na ekran. – A to ty! No cześć! Faktycznie, kawał czasu... Tak, tak, oczywiście, mam chwilę.

Facet miał na imię Marek. Byli razem na szkoleniu z oględzinowania miejsc katastrof komunikacyjnych i budowlanych. Kilka miesięcy temu. Oboje byli tam najlepsi.

– Tak, słucham... – Zwrócił uwagę na jej nazwisko przy sprawie z Lipowicy. Badał po niej samochód, który ściągnięto do Warszawy. – I znalazłeś coś więcej? – spytała rozdrażniona. Uznała, że facet dzwoni, aby jej wytknąć, że coś przeoczyła, żeby jej dokopać. Fiut! – Tak? Aha... Dzięki. – A jednak nie znalazł nic nowego. Wyrażał się z uznaniem o jej raporcie.

– Zaraz będziemy na miejscu – rzucił policjant zza kółka, nie przejmując się tym, czy Dorota go usłyszała. Akurat upewniał się, czy może zmienić pas i wyprzedzić wlekącą się przed nimi furgonetkę. Był więc zwrócony w przeciwnym kierunku. Jego słowa zlewały się z szumem powietrza opływającego karoserię. Dorota miała jednak dobry słuch.

– Marku, za minutkę będę musiała kończyć. Tak... Właśnie dojeżdżam na miejsce. Tak, mów. Aha... Tak... Nie wiesz, czy wypadek, czy... Tak... Trzy dni? To chyba jeszcze nie śmierdziało? No weź przestań, po co owijać w bawełnę... – Parsknęła. – Nie bądź taki delikatny. Dobrze, już nie będę... Tak? Aha... Tak... Co znalazłeś? Aha... Ale co podobne?

Samochód zatrzymał się przy niewielkiej ogrodzonej posesji. Stojący kilka metrów od siatki szary, kanciasty bliźniak pamiętał lata siedemdziesiąte i od tamtej pory nie był remontowany. Grupa kilkunastu osób stała przy bramie, dyskutując żywo. Na widok kolejnego radiowozu ruszyli w jego stronę. Komitet powitalny.

– Idziemy, Miotelka – ponaglił ją policjant, otwierając drzwi.

– Cholera, muszę już kończyć, Marku, zadzwonię po... Co? Już nie mogę! – podniosła głos, aby przekrzyczeć narastający harmider. – Tak, tak, przysyłaj! Potem pogadamy. Cześć!

– Panie władzo, my ich znamy, więc wiemy, co tu się wyczynia! – Korpulentna kobieta zastępowała drogę policjantowi. – To już nie pierwszy raz!

– Co oni tam porobili znowu? – zainteresował się ktoś.

– Doиграли się. Mówiłem, że tak będzie! – Starszy pan pokiwał głową. – Pijaki! – Potrząsnął laską.

– Proszę nas przepuścić – huknął policjant, widząc, że Dorota jest już gotowa.

– Powie pan, co się stało? – poprosił jakiś dzieciak.

Policjant pokręcił głową.

– Dziecku pan nie powie? – obruszyła się korpulentna.

– Proszę państwa, proszę nie utrudniać nam pracy. – Przecisnęli się w stronę furtki, od której do wejścia prowadził krótki chodnik. Pięć, może siedem metrów. Szare płyty chodnikowe, klasyka Peerelu. Pewnie doprowadzone z jakiejś budowy. Trzy betonowe schody i drewniane drzwi prowadzące do wspólnej klatki schodowej. W środku czekała policjantka.

– Na piętrze po lewej. – Wskazała kierunek.

Gdy byli w połowie drogi, w kieszeni Doroty zawibrował telefon. Zatrzymała się na chwilę przy luksferach, które wmurowano na całej wysokości schodów. Odblokowała ekran i odebrała wiadomość. Ememes. Zdjęcie ze zbliżeniem na wykładzinę. Wykładzinę lub dywan. Kilka kawałków szkła z rozbitego kieliszka i kilka paprochów nie było istotnych. Istotny był obiekt w centrum kadru. Niewielki, stary koralik.

– Kurwa mać! – wyrwało jej się. Dwójka funkcjonariuszy spojrzała na nią pytająco. – Idźcie, zaraz was dogonię, tylko muszę zadzwonić. – Przewinęła listę kontaktów do „P”. P jak Prorok.

82

Kryński wyprowadził Wolczuka na zewnątrz. Odeszli kilka kroków w stronę ulicy. Dość, by nikt, kto mógłby siedzieć przy uchylonym oknie, nie słyszał, o czym mówią.

– Obiecałeś, że będziesz się trzymał z daleka od Alicji! – Był wściekły, co było widać, mimo iż starał się nad sobą panować.

– I trzymam. – Wolczuk rozłożył ręce w geście oburzenia.

– Przed chwilą mówiłeś co innego, że spędziliście razem pół dnia.

– A co miałem powiedzieć? Skoro Alicja mnie podwoziła, to chyba jasne, gdzie byłem. Chyba o to chodzi, a nie o to, kiedy jadłem i pierdziałem. Przepraszam, Darku, ale nie lubię się spowiadać, kiedy nie muszę. Pomyślałem po prostu, że gdy tak powiem, to będzie prościej. Prawda jest taka, że dziewczyna zobaczyła mnie przypadkiem na przystanku i zaproponowała podwózkę. Dobrze się złożyło, bo jechała do galerii Echo, a ja potrzebowałem kupić jakieś ciuchy. Na parkingu się rozstaliśmy i każdy poszedł w swoją stronę. Rozumiesz? – Przekonujący jak zwykle.

– I razem wracaliście?

– Przyznaję, że gdy zaproponowała, że zabierze mnie też z powrotem, to nie protestowałem. Ty pewnie wolałbyś się tłuc autobusem. – Parsknął. – Ale ja jestem wygodny. Umówiliśmy się o określonej godzinie przy samochodzie. Czekałem tam na nią ponad pół godziny. Wiesz, kobieta i zakupy. – Przewrócił oczami. – Śpieszyła się do pracy, więc poprosiłem, aby nie robiła sobie kłopotu i wyrzuciła mnie już przy szpitalu. Chciałem dojechać stamtąd autobusem, lecz znów miałem szczęście i złapałem stopa. Nie masz się o co wściekać.

– Nie wściekam się.

– Mam nadzieję, bo ostatnie, czego chcę, to się z tobą kłócić. Szczególnie teraz, gdy wszystko się tak pierdoli.

– Ten operator koparki, o którym mi wczoraj mówiłeś, skrzył sobie w nocy kark.

– Wiem. – Kiwnął głową. – Też chciałem z nim jeszcze raz rano pogadać.

– Dopóki cię nie poznałem, nie widziałem tyłu trupów. Nie wiem, o co tu chodzi, Wolczuk, ale to nie jest normalne.

– Tak, to nie jest normalne. To jest złe. Teofil miał rację, ostrzegł mnie przed tym. Rozumiesz, Darek? On mi powiedział, że tak będzie, że to gówno przyczepi się do mnie i spróbuje wykończyć. W ten czy

inny sposób. I to chyba się dzieje. Najpierw ksiądz, teraz Justyna, do tego ten Braniewski. Wszystko, żebym tylko odpuścił. Ale ja tego nie zrobię.

– Posłuchaj, Damian...

– Nie odpuszczę. – Pokręcił głową.

– Chodzi o tego Teofila. – Kryński ściszył głos. – Chciałem z nim porozmawiać, tak jak mówiłeś.

– Wiem, że go już nie ma w Chęcinach. Wczoraj mi mówił, że wyjeżdża o świcie.

– Nie o to chodzi.

– Coś mu się stało? – przestraszył się Wolczuk.

– Nie. Nie było go.

– Mówię ci przecież.

– Nigdy go tam nie było, Wolczuk. Nikt o nim w klasztorze nigdy nie słyszał!

83

Gówno prawda! To było jedyne, co Damian Wolczuk wykrztusił, zanim odwrócił się na pięcie i odszedł. Kryński go okłamał w sprawie zakonnika. To było jasne. Okłamał albo to jego okłamali. Może nie okłamali, ale zataili dla dobra samego staruszka? Teofil się bał. Tak bardzo, że nie chciał powiedzieć, gdzie się przenosi, do którego klasztoru. Ale nie zrobił tego sam. Zakon to wspólnota. Tam nikt nie podejmuje takich decyzji na własną rękę. A więc pozostali wiedzieli. Wiedzieli i mu pomagali. Może nawet sami wywieźli w bezpieczne miejsce. W nocy lub o poranku. A chwilę później pojawił się Kryński i zaczął zadawać pytania. Co mu mogli powiedzieć? To samo co każdy na ich miejscu. Nie znają Teofila, nie wiedzą, kto to jest ani gdzie go można znaleźć. Nic nie wiedzą. Dobrze dla Teofila, źle dla Wolczuka. Zapiszczały hamulce.

– Drugi raz! – Tym razem Mateusz Fiszer nie nacisnął na klakson. – Pan drugi raz mi już pod samochód wchodzi, panie Damian!

– To pan. – Wolczuk się otrząsnął i rozejrzał. Czarny mercedes był jedynym samochodem na jezdni. Nieco dalej, przy posesjach, stało kilka zaparkowanych aut, ale żadne nie było w ruchu, więc Wolczuk mógł bezpiecznie podejść do drzwi kierowcy i uścisnąć dłoń Mateusza.

– To się nawet dobrze składa.

– Że panu życie niemiłe?

– Nie. – Uśmiechnął się z przymusem. – Wracam z policji, gdzie składałem wyjaśnienia. Ich istotnym elementem był fakt naszej rozmowy, którą odbyliśmy we wtorek rano. Proszę wybaczyć śmiałość, ale czy nie znalazłby pan chwili, aby zajrzeć na komisariat i potwierdzić moje słowa? Chodzi tylko o dowód, że byłem wtedy w Chęcinach.

– Pan się w coś wplątał, panie Damian? Chodzi o tę dziewczynę?

– Nie tym razem. To zupełnie inna sprawa. Ważna – dodał po chwili.

Fischer zerknął na biały, czytelny cyferblat klasycznego zegarka. Nietrudno było zgadnąć, że nie jest mu to na rękę, że nie bardzo ma czas. Mimo wszystko kiwnął głową.

– No dobrze. Podjadę tam teraz, jeśli to panu pomoże.

– Dziękuję, muszę już iść. – Podał mu rękę.

– Pan się dobrze czuje? – zapytał z troską Fischer, przytrzymując dłoń Damiana. – Źle pan wygląda. Może...

– Wszystko w porządku – przerwał mu Wolczuk, uwalniając się z uścisku. – Proszę pamiętać o policji. Do widzenia. – Przeszedł na drugą stronę ulicy i skręcił w boczną uliczkę, byle tylko zniknąć Fiszerowi z oczu.

Wcale nie uważał, że wszystko jest w porządku, i nie zamierzał już dłużej tego ignorować. Teoretycznie każde z ostatnich wydarzeń można było logicznie wytłumaczyć. Zakonnicy kłamali, by chronić Teofila. Justyna stała się ofiarą toksycznego związku, a świadek skręcił kark w wyniku wypadku. Takie rzeczy się zdarzają. Tyle że nawet bez topielców z Lipowicy, morderstwa Beaty i pobitego księdza byłoby statystycznie niemożliwe, aby tyle złych rzeczy wydarzyło się w tak krótkim czasie. Rzeczy, które kręciły się wokół jednej osi, coraz wyraźniej się ku niej zbliżając. Jak zaciskający się na szyi sznur. Tym

bardziej nie mógł ignorować faktu, że tą osiã był on sam.

Odwrócił się nagle. Był pewien, że dojrzy kogoś, kto podąża jego śladem. Kogoś, kogo wzrok czuł od dłuższej chwili na swoich plecach. Na ulicy nie było jednak nikogo. Przez moment, bo zaraz zza rogu wypłynęła fala dzieciaków, ponad którą niczym morskie latarnie wyrastała trójka opiekunów. Kolorowy żywioł pisków i okrzyków. Wolczuk przyśpieszył kroku. Nie lubił dzieci. Z wzajemnością.

Znów czuł się obserwowany. Może śledzony, a może tylko zauważony przypadkiem. Nie, nie przypadkiem. To się zaczęło po rozstaniu z Kryńskim, a więc ktoś musiał mieć na oku ulicę i budynek. Trudno... Idąc tam, Damian liczył się z takim obrotem sprawy. Wiedział, że najlepiej by zrobił, gdyby unikał komisariatu. Tyle że nie miał wyjścia. Wczoraj zmylił przeciwnika, a dziś sam mu podszedł pod nos.

To jednak nie było najgorsze. Najgorsze było to, że wbrew zdrowemu rozsądkowi coraz częściej myślał o słowach Teofila, o opętaniu i diable. To rodziło w nim narastający strach. Strach i złość – dwie szale tej samej wagi. Strach go blokował, ale złość stymulowała. Musiał zadbać o właściwe proporcje. Musiał działać. W tym sensie nic się nie zmieniło: ustalić fakty, znaleźć powiązania, wykluczyć zbędne elementy, zweryfikować. Owszem, stracił dużo czasu, a presja była coraz większa. To jednak nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że w końcu znalazł trop.

84

Prokurator Arkadiusz Painer przyjechał do Chęcín później, niż planował. Nie na tyle jednak, by o tym uprzedzić. Wydawał się rozkojarzony. Mruknął coś na widok Kryńskiego, zdawkowo przywitał się z Waldkiem i kazał mu zawołać świadka.

– Kryński! – krzyknął, widząc, że policjant nie wszedł z nimi do pomieszczenia. Kryński nie wszedł, bo nie był pewien, czy powinien. Owszem, komendant oddelegował go do dyspozycji prokuratora, ale nie chciał mu się narzucać. Podejmować działań bez wyraźnego polecenia.

Tym bardziej że Painer ani na niego nie spojrział, ani nie odezwał się słowem. Najwyraźniej jednak niezrozumiałe burknięcie miało mu dać do zrozumienia, że ma być obecny. Nie dało. – Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

– Nie, panie prokuratorze. – Uznał, że lepiej nie mówić nic więcej. Painer i tak sprawiał wrażenie niezadowolonego. Jeszcze bardziej niż zwykle.

– No to lecimy! – Prokurator spojrział na świadka.

– Ale ja już... – Chłopak wyglądał na zaskoczonego.

– Mów jeszcze raz, od początku.

– Aha... – bąknął. Zastanawiał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami i zaczął mówić. To samo co kilka godzin temu. Pewnie innymi słowami, ale powielając to, co najistotniejsze. Co Kryński już słyszał w socjalnym, z drugiej ręki. Opowieść była ta sama, zakończenie jednak inne.

– Tak właśnie było. Kupił fajki i pytał, któredy na jakiś przystanek, a potem zatrzymał się ten samochód i go zabrali. No i normalnie jak na pana czekałem, to tu przyszedł taki koleś, że myślałem, że to tamten. No, kurde, taki sam. Dopiero jak się dłużej przyjrzałem, to jednak był trochę inny, ale prawie sobowtór.

– O kim on mówi? – Painer spojrział na Kryńskiego, lecz zanim ten zdążył zareagować, znów odezwał się chłopak.

– To ten koleś, co z tym panem wyszedł – wyjaśnił zadowolony, wskazując na policjanta.

– Wolczuk! – wyjaśnił Kryński.

– No, ja nie wiem, jak się nazywał.

– Był tu dziś? – spytał Painer

– Tak, sto czterdzieści osiem w Warszawie i w związku z tym trzeba go było rozpytać. – Kryński wolał ograniczyć szczegóły ze względu na świadka. – Pamiętam o panu, ale nie było możliwości, aby go przetrzymać.

– Skup się – rzucił prokurator w stronę chłopaka. – Ten koleś, którego dziś widziałeś, to na pewno nie był ten ze stacji?

– No nie. Tamten miał dużo krótsze włosy. Nie odrosłyby mu chyba,

nie?

– Dobra, możesz iść do domu. – Wstał i kiwnął na Kryńskiego. Wyszli przed budynek. Painer zapalił.

– Z tym Wolczukiem to wie pan, panie prokuratorze – zaczął Kryński – naprawdę nie było jak go przytrzymać. Zresztą ta sprawa to jest o zabójstwo jego narzeczonej. Byłej – poprawił się. – Więc już dość mu atrakcji na jeden dzień.

Painer milczał. Patrzył na policjanta, lecz się nie odzywał. To było niezręczne. Niezręczne i stresujące. Kryński zaczął więc mówić dalej.

– Wolczuk nie ma z tym nic wspólnego, bo był u nas, to pewne. Dysponował jednak wiedzą, która pomoże w śledztwie, bo... – Nie powinien ciągnąć tego tematu, nie z istotnymi szczegółami. – Pomógł ustalić nazwisko osoby, z którą po raz ostatni widziano ofiarę. To jej kochanek i szef. Prawdopodobnie teraz będzie głównym podejrzanym. – Kryński walczył ze sobą. Próbował zamknąć usta, ale Painer działał na niego w jakiś dziwny sposób. Strach przed jego milczeniem był silniejszy. – Facet ma francuskie nazwisko De Latour i to przez niego Wolczuk wyjechał z Warszawy. Tydzień temu przyłapał ich razem w łóżku... Rozumie pan? – Rozumie pan? Kryński czuł się jak kretyn. Znowu. – Jak nic byłby na celowniku, gdyby nie to, że...

– Wystarczy.

– Tak, przepraszam. – Czuł rumieniec, który rozpalał mu twarz. – Bo wie pan, z Wolczukiem jest jeszcze jeden problem... – Spróbował zmienić temat, choć już po chwili był niemal pewien, że w ten sposób pograży się jeszcze bardziej. – On nie bardzo będzie chciał się z panem spotkać, bo w przeszłości miał złe doświadczenia z prokuraturą. Jakiś, za przeproszeniem, skurwysyn o mało go nie wrobił w morderstwo i facet ma teraz traumę.

– Znam tamtą sprawę, aspirancie.

– Naprawdę? – W tym momencie Kryński już wiedział. Było coś w głosie prokuratora, co poruszyło jego szarymi komórkami. Trybiki w głowie pokonały opór i przeskoczyły. Połączyły fakty. Pozwoliły mu zrozumieć dwie rzeczy. Nim Painer otworzył usta, Kryński już wiedział, co powie. Wiedział też, że nigdy bardziej nie żałował nieprzemyslanego

przekleństwa.

– To ja jestem tym skurwysynem, Kryński. Wyjaśnię to przy okazji, nie teraz. – Rzucił niedopałek i przydeptał. – Rozmawiałaś dziś z Kowalską?

– Rano – powiedział niepewnie. – Ale o prywatnych...

– To porozmawiaj znowu. Jutro macie oboje przyjechać do mnie do domu. Tak jak ostatnio. Jasne?

– Tak.

– Nie pytam, czy macie znajomych w Warszawie, a tym bardziej nie będę sugerował, abyście pociągnęli ich za język. Natomiast w związku z tym, co przed chwilą usłyszałem, przed tą kwiecistą wypowiedzią... – Painer spojrział wymownie. – Uważam, że dobrym pomysłem będzie sprawdzenie, jak ma na nazwisko właściciel firmy, która zorganizowała imprezę w „Okraślaku”.

– Rozumiem.

– To świetnie. Do jutra. – Odwrócił się i odszedł.

85

Gabinet Szymańskiego był zamknięty. Kartka informująca o tym fakcie wisiała na drzwiach. Przyklejona biurową taśmą klejącą i zapisana czarnym markerem. Dużymi, eleganckimi literami. Bez wątpienia z uwagi na starszych pacjentów, by nie mieli problemu z odczytaniem. Lekarz tego dnia nie przyjmował, ale w sobotę miał czynne normalnie. Damian Wolczuk nie był z tego zadowolony, lecz nie był też szczególnie sfrustrowany. Wolałby porozmawiać z Szymańskim od razu, nie czekając do jutra, ale zawsze lepiej poczekać jeden dzień niż trzy. Ktoś inny pewnie przedłużyłby weekend i otworzył gabinet dopiero w poniedziałek. Szymański tego nie zrobił. Może ze względu na dobro pacjentów, może przez pazerność. Oba powody były równie prawdopodobne. Były też równie nieistotne. Fakt był faktem.

Od budynku, w którym Szymański wynajmował gabinet, do bloku Alicji było ponad kilometr. Jakieś piętnaście minut marszu. Może

trochę dłużej, bo wysoka temperatura nie zachęcała do forsownego tempa. Tym bardziej z laptopem przewieszonym przez ramię. Śmieszna rzecz, jak subiektywne postrzeganie wagi i wygody zmienia się wraz ze zmęczeniem. Nawet nie fizycznym, ale psychicznym.

Dopiero teraz, idąc ulicą, Wolczuk poczuł, jak w jego mózgu opada poziom adrenaliny. Jeszcze przed chwilą mobilizował się do trudnej rozmowy, a teraz wreszcie odpuścił. Para poszła w gwizdek. Tłumione emocje i stres dogadały się z upałem. Poczuł znużenie i senność. Ziewnął, poprawił torbę i skręcił w lewo, w stronę osiedla Sosnówka.

Ulica Małogoska żyła popołudniowym rytmem. Nieśpiesznym, ale też nie przesadnie leniwym. Jakieś auto sunęło w stronę rynku, inne włączało się do ruchu. Kilka osób trzymało się zacienionego chodnika, kilka spacerowało w słońcu. Może ktoś go obserwował, może nie. Miał to gdzieś. Jakiś dzieciak roześmiał się głośno, zadowolony, że pochylony nad wózkiem tatuś robi głupie miny. Pałaca na schodkach kobieta plotkowała z koleżanką. Dym z jej papierosa snuł się w powietrzu. Na równi drażnił i kusił. Kilkanaście metrów dalej Wolczuk dostrzegł znajomą postać.

Przewodnik pojawił się na chodniku nagle. Na wysokości odnowionej, renesansowej kamienicy. Charakterystycznej nie tylko ze względu na ozdobny kartusz umieszczony nad wejściem, ale przede wszystkim na informację turystyczną, która miała tu swoją siedzibę. Wolczuk czytał o tym budynku. Kamienica pochodziła z siedemnastego wieku i nazywano ją „Niemczówką”. Architektonicznie budynek był ponoć oryginalny tak bardzo, że mówiło się o typie „kamienicy chęcińskiej”. Wolczuk nie interesował się architekturą na tyle, by drążyć temat. Przewodnik szedł w jego stronę.

– Dzień dobry, panie Dominiku! – zagadnął Wolczuk.

– Dzień dobry. – Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie. Zmarszczył czoło. Być może kojarzył, że się już kiedyś widzieli. Na szczęście nie pamiętał okoliczności. Wolczuk nie musiał przeproszać.

– Byłem w grupie, którą oprowadzał pan po zamku. Kilka dni temu. Kolejny anonimowy turysta zadowolony z profesjonalnej opieki. – Wyciągnął dłoń. – Chciałem podziękować za niezwykłą wycieczkę

ścieżkami historii.

– Dziękuję, to miłe. Cieszę się, że się panu podobało.

– Bardzo. Czy mogę zapytać o coś, o czym pan wtedy mówił? Nie chcę zajmować pana czasu, ale to było bardzo ciekawe.

– Tak, proszę. – Tembr głosu i mowa ciała zdradzały, że nie było mu to na rękę. Prawdopodobnie gdzieś się śpieszył. Mimo to chciał być uprzejmy.

Obok przejechał sportowy motocykl. Jazgot silnika zawibrował w uszach.

– Interesuje mnie wątek mistrza zakonnego, który był tu więźniem.

– Michał Küchmeister von Sternberg był mistrzem zakonnym w latach tysiąc czterysta czternaście tysiąc czterysta dwadzieścia dwa. Do Chęcina trafił wcześniej, po bitwie pod Koronowem, która miała miejsce dziesiątego października tysiąc czterysta dziesiątego roku. Był więziony kilka miesięcy, a potem opuścił Polskę – wyrecytował przewodnik. – Nie zachowały się żadne szczegółowe informacje dotyczące tego pobytu.

– Ale wiadomo, że Sternberg zaprzyjaźnił się z tutejszym mnichem i podarował mu różaniec z Ziemi Świętej.

– Pierwsze słyszę! – Mężczyzna pokręcił głową.

– Jak to pan pierwsze słyszy? Przecież rozmawialiśmy o tym w trakcie zwiedzania.

– Rozmawialiśmy?

– Tydzień temu, w drodze na zamek. Był tam taki starszy facet, który przyjechał z Niemiec, i on pana wypytywał o tę historię.

– Nic takiego nie pamiętam. – Wyglądał na skonsternowanego. Skonsternowanego albo wystraszonego. – Na pewno to ja państwa oprowadzałem?

– Jasne, że pan, do cholery! – warknął Wolczuk.

– Przykro mi, ale nie pamiętam. Nigdy nie słyszałem o żadnym mnichu. – Rozejrzał się nerwowo. – Przepraszam, muszę już iść.

– Pan mnie okłamuje.

– Do widzenia! – Przewodnik minął go i ruszył szybkim krokiem w kierunku rynku. Odwrócił się tylko raz. Upewnił się, czy Wolczuk go

nie goni.

Wolczuk nie gonił. Stał tylko i patrzył. Patrzył i analizował tę dziwną rozmowę. Zdanie po zdaniu, szukając fałszu. Czegoś, co spowodowało przewodnika do tego, by wyparł się dyskusji sprzed tygodnia. By się zdenerwował i uciekł. Nie znalazł nic. Nic poza tym, że w ogóle poruszył ten temat. Temat różańca.

Podjął przerwany marsz. Miał do przejścia jeszcze kilometr. Tysiąc metrów. Trzyście minut. Zwolnił, by wyszło więcej. Wolał nie zapeszać.

Na miejsce dotarł po piętnastu minutach. Alicja na niego czekała. Była zdenerwowana, lecz wyraźnie jej ulżyło. Zupełnie jakby bała się, że już nie wróci.

Przez chwilę żałował, że nie dał jej znać po wyjściu z komisariatu, by się nie martwiła. Tylko przez chwilę, bo teraz było już za późno. Teraz nie miało to już znaczenia. Znów byli razem. W jednym pomieszczeniu. Patrząc na siebie z mieszaniną strachu i ulgi. Dwoje ludzi, których życie się skomplikowało. Mniej lub bardziej, ale wystarczająco, aby pragnęli o tym nie myśleć. Przez chwilę, wieczór, noc.

Naturalnie oboje wiedzieli, że problemy nie zgasną jak światło w sypialni. Można je odepchnąć, lecz potem wrócą. Jak wahadło. Znów wślizgną się do głowy w nocy przed zaśnięciem albo o poranku. Może nawet wcześniej, w chwili gdy będą leżeli przytuleni. Gdy Alicja będzie się wsłuchiwała w bicie serca Damiana, a on będzie gładził jej włosy. Taka była kolej rzeczy. Tym bardziej więc się starali, by tej nocy nie mieć czasu na myślenie.

Sobota

86

Sobota od rana była słoneczna, bezwietrzna i duszna. Śniadanie zjedli wspólnie z Alicją. Wczesnie rano. Potem ona poszła odebrać samochód od mechanika i pojechała do pracy. Gdy podjeżdżała pod bramę szpitala, Wolczuk był już w Korzecku. Na stacji paliw, gdzie nie zastał młodego chłopaka. Sprzedawcy, którego widział na posterunku.

Chłopaka nie było, ale był jego szef. Nieufny i niechętny do rozmowy. Na tyle, że ktoś inny wyszedłby stamtąd z niczym. Ktoś inny, ale nie Wolczuk. Jemu facet powiedział to, co wiedział, i to, czego się domyślał. Mimo wszystko Wolczuk nie był usatysfakcjonowany. Nie do końca. Poznał główny powód przesłuchania pracownika, lecz nie poznał szczegółów. Odwieczny problem zdobywania informacji z drugiej ręki.

Na niebie nie było chmur. Było tylko słońce. Nagrzewało powietrze, które nawet tu, na otwartej przestrzeni, wydawało się nieruchome. Duszne, ciężkie i nieznośne. Dlatego do Chęciny wrócił busem. Miał szczęście. Gdy wyszedł z budynku stacji, akurat nadjeżdżał biały mercedes. Nie najnowszy, ale też nie przesadnie stary. Z tabliczką za przednią szybą. Czarne litery na białym tle: „Małogoszcz – Chęciny – Kielce”. Na burcie, poniżej okien, naklejono nazwę firmy. Wolczuk nie zwrócił na nią uwagi, nie była istotna. Liczyło się tylko to, że nie musi się męczyć, iść na piechotę.

Koło południa rozgrzany chęciński rynek przypominał wyludnioną

patelnię. Tylko kilka osób kryło się w cieniu parasoli ustawionych przy północnej i zachodniej pierzei. Parasole były dwa: jeden przy kebabie, drugi przy lodziarni. Ludzi łącznie piątka. Może miejscowi, może turyści. Trudno było zgadnąć. Popijali chłodne napoje lub jedli lody. Powoli, by odwlec, na ile się da, konieczność przejścia po rozgrzanym bruku. W cieniu bramy majaczyły kolejne postaci. Dwie albo trzy. Chłodziły się piwem lub winem. Trudno było ocenić.

Wolczuk obserwował ich zza szyby „Latarenki”. Był pierwszym klientem, co miało swoje plusy i minusy. Plusy, bo wewnątrz nie było tłoku ani duchoty. Minusy, bo musiał cierpliwie poczekać, aż obsługa wejdzie w codzienny rytm pracy. Nie przeszkadzało mu to. Nigdzie się nie śpieszył. Nie był też specjalnie głodny. Dlatego poprosił o pepsa z lodówki. Coś, co można szybko podać, w przelocie. Dzięki temu nikt nie czuł presji.

Dziewczyna z obsługi postawiła przed nim butelkę, a potem poszła rozłożyć przeciwsłoneczne parasole na wygospodarowanej części placu. Ustawiono tam niewysokie drewniane podwyższenie z barierkami, stolikami i krzesłami, ponad które wyrastały cztery duże parasole. Białe z czerwonym logo znanego producenta piwa. To samo logo widać było na aluminiowo-drewnianych barierkach i pewnie widniało również na stołach i krzesłach. Całość miała nie więcej niż dziesięć na dziesięć metrów i mogła pomieścić kilkadziesiąt osób. Wyglądała zachęcająco.

Wolczuk wolał jednak swoje miejsce. Grube mury gwarantowały chłód, a okno dawało dobre pole widzenia. Lepsze, niż gdyby siedział na zewnątrz, gdzie ilość światła lejącego się z nieba zmuszała do mrużenia oczu. Kawiarnia górowała nad rynkiem i nad rozłożonymi przez dziewczynę parasolami na tyle, że nie ograniczały one pola widzenia. W dodatku blask odbijał się od szyby, sprawiając, że z zewnątrz siedzący za nią Wolczuk był niemal niewidoczny. Świetne miejsce. Zwłaszcza dla kogoś, kto chciał sprawdzić, czy jest obserwowany.

Wolczuk zakładał, że tak właśnie jest. Tym bardziej że morderca dał się zmylić jego pozornym wyjazdem z Chęcina i z pewnością nie chciał tego powtórzyć. Nie mógł, bo wiedział już, że Wolczuk nie odpuści.

Każdy kij ma dwa końce. Z jednej strony wzmagało to determinację przeciwnika, ale z drugiej zwiększało prawdopodobieństwo, że popełni jakiś błąd. Stanie się mniej ostrożny. Na przykład teraz.

Jeśli śledził Wolczuka, to wiedział, że ten wszedł do „Latarenki”. Nie wiedział jednak, na jak długo. Czy tylko na szybki napój, czy dłuższy posiłek. Pięć czy pięćdziesiąt minut. Musiał więc mieć kawiarnię na oku. Teoretycznie mógłby obserwować wejście od strony kościoła. Na przykład stojąc na schodach, za pomnikiem. To byłoby bezpieczne miejsce, bo Wolczuk nie miałby szans, aby dostrzec go z okna. Podobnie gdyby stał na dole rynku, na rogu. Tuż obok miejsca, które upodobali sobie lokalni miłośnicy niewyszukanych alkoholi. Tyle że oba miejsca miały feler.

Nie widać z nich było ani okien, ani wejścia do kawiarni, bo kierunek obserwacji był do niej idealnie równoległy. To wymagało pełnego skupienia. Pełnej koncentracji. Gdyby obserwator na chwilę stracił czujność, odwrócił wzrok, Wolczuk mógłby się wymknąć. Wystarczyło, aby wybiegł z kawiarni i pokonał osiem metrów najszybciej, jak się da. Na przykład na wprost, chowając się za urzędem miejskim. Dla kogoś stojącego na schodach wiodących do kościoła stworzyłoby to dodatkowy problem. Nawet jeśli byłby świadkiem takiego manewru, nie miałby żadnej pewności, że Wolczuk nie czeka za węglem. Gotowy do konfrontacji i dekonspiracji napastnika.

Dla kogoś obserwującego wejście z dołu najgorszym scenariuszem byłoby, gdyby Wolczuk po wyjściu skręcił w górę, minął zakład pogrzebowy i zniknął za rogiem. Co najmniej sześćdziesiąt metrów od patrzącego. Jeśli obserwator byłby przezorny, to jeszcze więcej. Za daleko na skuteczną pogoń. Wolczuk był pewien, że nikt myślący logicznie nie wybrałby tych miejsc. Za duże ryzyko.

Najrozsądniej było obserwować front kawiarni. Pod takim kątem, by widzieć również zakład pogrzebowy. Z bezpiecznej odległości, ale z dużym polem widzenia. W ten sposób, aby nikt nie mógł opuścić lokalu niezauważony. Najlepsza była więc druga strona rynku. Od Małogoskiej i Staszica, z miejsca, gdzie starej kobiecie przywidziały się żydowskie dzieci, albo nieco wyżej. Byle nie za wysoko, by nie

zmniejszać pola widzenia. Z jego perspektywy jakieś dziewięćdziesiąt stopni idealne do obserwacji. W obu kierunkach.

Wolczuk miał nadzieję, że dostrzeże obserwatora. Kogoś, kto będzie się bardzo starał, aby nie wzbudzać podejrzeń, i komu z pewnością świetnie będzie to wychodziło. W to Damian nie wątpił. Jego przeciwnik był inteligentny, pomysłowy i najwyraźniej dobrze znał teren. Logika podpowiadała, że był stąd. Może urodził się w Chęcinach, a może tu się przeprowadził i mieszkał jakiś czas. Raczej dłużej niż krócej. Dzięki temu mógł poruszać się, nie wzbudzając podejrzeń, niemal idealnie wtapiając się w otoczenie. Niemal.

Istniały trzy możliwości. Po pierwsze, mógł zająć dogodną pozycję i z niej prowadzić ciągłą obserwację. Po drugie, mógł przemieszczać się, dbając o to, by lokal pozostawał w jego polu widzenia. Po trzecie, mógł robić jedno i drugie. Wolczuk nie był pewien, na który wariant sam by się zdecydował. Nie było to istotne.

Istotne były przestrzeń i czas. Przyjaciele i wrogowie każdego obserwatora. Tak naprawdę wcale nie jest trudno wtopić się w tłum. Udawać spacerowicza, klienta, turystę czy kogoś, kogo zaabsorbowała zawartość trzymanego w dłoni ekranu. Wystarczy robić to, co robimy na co dzień. I tak wyglądać. Normalny człowiek w normalnym miejscu. Łatwizna. Na początku.

Nie jest trudno wtopić się w tłum, trudno jest pozostać niezauważonym. Nie zwracać na siebie uwagi. W pewnym momencie, na ograniczonej przestrzeni, ryzyko, że nasza obecność wyda się komuś podejrzana, zaczyna rosnąć w postępie geometrycznym. Wszystko opiera się na behawioryzmie. Na tym, ile statystycznie spędzamy czasu w jednym miejscu. W centrum miasta, na ulicy, parkingu, sklepie, restauracji czy w urzędzie.

Ludzie nieustannie są w ruchu. Wchodzą do sklepów, siadają przy stolikach w restauracji, kupują i jedzą, a potem ruszają dalej. Przemieszczają się. Nawet nie mając nic do roboty, prędzej czy później przenoszą się z miejsca na miejsce. To leży w naszej naturze. Tymczasem obserwator nie może stracić obiektu obserwacji z pola widzenia. Jest więc zamknięty w ograniczonej przestrzeni. Nie

opuszcza jej. Stanowi aberrację. Aberrację, która staje się coraz bardziej widoczna wraz z upływem czasu. Oczywiście dla kogoś, kto wie, czego szukać. Ograniczona przestrzeń ze sprzymierzeńca zmienia się we wroga.

Wolczuk dobrze znał ten problem. Zdarzało mu się prowadzić obserwację. W centrum Warszawy, w pozornie komfortowych warunkach. Na uczęszczanej ulicy, skwerze i w galerii handlowej. W miejscach, gdzie co chwila mijają się setki ludzi. Co godzinę tysiące. Mimo to wcale nie było łatwo. Kilka razy musiał odejść, bo obserwowany zorientował się w sytuacji. Dwa razy uciekał.

Oczywiście mógł popełnić błędy, nie działać tak dyskretnie, jak powinien, ale to nie było istotne. Nie było kluczowe. Kluczowe było to, że wraz z upływem czasu w danej przestrzeni stawał się aberracją. Aberracją, której nie byli już w stanie zamaskować inni ludzie. Setki czy tysiące w końcu traciły znaczenie.

W Chęcinach nie było tysięcy ani setek. W najlepszym wypadku mogły być co najwyżej dziesiątki, a było jeszcze mniej. Na ograniczonej przestrzeni rynku, dobrze widocznej z okna „Latarenki”. Ktoś odszedł ulicą, ktoś przyszedł. Wolczuk bez pośpiechu wodził po nich wzrokiem. Szymański otwierał swój gabinet dopiero o piętnastej. Miał czas. Na kawę, na obiad i na to, by ze zwierzyny zmienić się w myśliwego. O ile instynkt go nie zawiódł.

87

Przez ponad trzy godziny Damian Wolczuk wypił dwie kawy, zjadł placek po węgiersku i deser. Zadzwoił do Alicji, by upewnić się, że wszystko w porządku, i do mechanika, by zapytać o swoje auto. Przed wszystkim jednak obserwował uważnie wszystko to, co działo się na zewnątrz. Każdą osobę, samochód i uliczkę. Okna i bramy. Nie zarejestrował jednak nic podejrzanego. Nikogo, kogo przedłużająca się obecność w polu widzenia mogła przyciągać uwagę. Albo instynkt zawiódł Wolczuka, albo obserwator okazał się sprytniejszy.

Najwyraźniej wolał odpuścić, niż zostać odkrytym.

W tle grała przyjemna muzyka. Wciąż było chłodno i kameralnie, bo większość osób wybierała miejsca pod parasolami. W dodatku obsłudze najwidoczniej nie przeszkadzały zasiedziały klient. Mimo to Wolczuk uznał, że wystarczy, że nie ma sensu dłużej tam siedzieć. Tym bardziej że zobaczył Kryńskiego. Policjant przeszedł tuż pod oknami „Latarenki”, kierując się w dół rynku. Szedł dość szybko, więc Wolczuk dogonił go dopiero na skrzyżowaniu Długiej i Łokietka. Nie tracił czasu na konwenanse.

– Ustaliliście już, kim był ten tajemniczy facet na stacji?

– Skąd wiesz, że był jakiś facet?

Owszem, mógł wyjaśnić, że poszedł rano porozmawiać z dzieciakiem, który tam pracował. Zapytać go, czemu dzień wcześniej na komisariacie tak dziwnie się na niego gapił. Mógł wyjaśnić, że go nie zastał, a o facecie dowiedział się przypadkiem. Mógł, ale nie wyjaśnił. W zamian spojrzał na Kryńskiego z wyższością.

– Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Więc jak, wiecie, kto to?

– Słuchaj, Damian... – Kryński rozejrzył się mimowolnie. Był spięty. – Nie mogę mówić o takich sprawach.

– Mamy umowę, pamiętasz?

– Tak, pamiętam, ale to nie wchodzi w jej zakres. To jest jeszcze niepotwierdzone, same przypuszczenia, lecz jeśli... – Zawahał się.

– Co jeśli?

– Słuchaj, jest ktoś, z kim musisz pogadać. Wiem, co mi mówiłeś i że to trudny temat, ale naprawdę musisz z nim porozmawiać.

– Z kim?

– Z prokuratorem.

– Nie ma, kurwa, mowy! – Wolczuk podniósł głos, przez co ściągnął uwagę kryjących się w cieniu pijaczków.

– Posłuchaj, to nie są żarty. To może mieć z tobą związek.

– Ma, bo nie żyje Justyna, prawda? A ja nie mam z tym nic wspólnego, więc nie muszę z nikim gadać. Dobrze to wiesz, Kryński!

– To nie chodzi o Justynę, to znaczy niezupełnie...

– Nie obchodzi mnie to! – Wolczuk chciał odejść, lecz Kryński chwycił

go za ramię.

– Pamiętasz Bieszczady? – syknął. – Tamtą dziewczynę i to, co się stało?

Wolczuk zamarł jak zapauzowany. Zbladł. Wpatrywał się w policjanta, jak gdyby nie potrafił uwierzyć, że jest realny. Przez chwilę, bo potem wściekłość wyostrzyła mu rysy.

– Spierdalaj, Kryński! – Wyrwał się.

– Licz się ze słowami!

– A co, aresztujesz mnie? – Zatrzymał się dwa kroki dalej. – No dalej, zostań bohaterem!

– Nie zmuszaj mnie. – Skrzywił się.

– Zwierzyłem ci się, a ty robisz sobie z tego jaja!

– Nie robię sobie jaj, Wolczuk, to naprawdę wygląda na... – Zająknął się. Nie mógł znaleźć odpowiednich słów, więc zrezygnował. – Musisz pogadać z prokuratorem, on ci wszystko wyjaśni.

– Po moim trupie, Kryński! – Odwrócił się i ruszył przed siebie. Wprost w przygniatający żar.

– Człowieku, możesz być w niebezpieczeństwie!

– Wal się! – Wolczuk pokazał mu środkowy palec.

88

Przed gabinetem Szymańskiego czekało kilkoro pacjentów. Zajmowali wszystkie miejsca siedzące. Nie było to trudne, bo krzeseł było mało. Albo Szymański przesadnie oszczędzał, albo wciąż zapominał je dokupić. Tak samo jak zapominał zamówić nowy szyld.

– Ja jestem ostatni – powiedział starszy pan w piaskowej kamizelce z kilkoma kieszeniami. Ikonicznej wręcz dla niewysokich, ale wciąż żwawych staruszków, którzy uważali, że jest to uniwersalny strój na każdą okazję.

– Świetnie. – Wolczuk skinął głową i oparł się o ścianę. Nie musiał długo czekać. Szymański pojawił się po kilku minutach.

– Dzień dobry! – huknął wesoło i chciał szybko przejść do gabinetu,

ale zwolnił, widząc uśmiechniętego Wolczuka. – To pan?

– Nie da się ukryć.

– Aha... Dobrze, proszę ze mną. – Powiódł wzrokiem po zgromadzonych, którzy właśnie chcieli protestować. – To potrwa tylko chwilę, proszę państwa. Dwie minuty i będziemy prosić panią Halinkę.

– Ale to ja jestem pierwsza – obruszyła się zasuszone staruszka.

– Dobrze, dobrze. – Szymański przekręcił klucz i nacisnął klamkę. – Chodź pan!

Gabinet wyglądał tak jak poprzednio. Skromnie i czysto. Ascetycznie. Lekarz ściągnął koszulę i zawiesił ją na wieszaku za parawanem. Założył biały fartuch.

– Czego pan chcesz? Nic sobie nie przypomniałem – burknął cicho.

– Wiem o aborcji.

Szymański otworzył i zamknął usta.

– Opowie mi pan o tym sam, czy mam pana zmusić? – spytał Wolczuk z uśmiechem, w którym nie było krzty wesołości.

– Dobrze. – Lekarz spuścił wzrok. – Skoro i tak pan już wiesz, to pogadamy, ale nie teraz. – Westchnął i znów spojrzał na Wolczuka. W jego oczach była determinacja. – Teraz mam pacjentów. Proszę przyjść... – Sięgnął po leżący na biurku notes z okładką oklejoną niebieskim skóropodobnym tworzywem. Był na niej odcisnięty rok dwa tysiące szesnasty. Nic ponadto. Otworzył w miejscu oznaczonym czerwoną tasiemką. Rzucił okiem i zamknął. – O dziewiętnastej mam zapisaną ostatnią osobę, więc proszę przyjść pół godziny później.

– W porządku.

– Dziewiętnasta trzydzieści – powtórzył Szymański.

– Miłej pracy. – Wolczuk ruszył w stronę drzwi. Odwrócił się jeszcze w progu i ponownie się uśmiechnął. – Do zobaczenia, doktorze.

i zaprosił, by usiadł na kanapie. Sam zajął krzesło. Komputer stojący na biurku przy oknie szumiał cicho. Był włączony. Na biurku leżały jakieś papiery, ułożone w estetyczną kupkę. Obok stały do połowy opróżniony kubek i talerzyk. Pusty, jeśli nie liczyć okruchów drożdżowego placka lub piaskowej babki. Pod ścianą stała torba podróżna. Nierozpakowana.

– Przepraszam, że mnie nie było podczas pana poprzedniej wizyty i musiał się pan znów fatygować.

– Taka praca. – Painer wyciągnął kopię zeznań Krawczyka. – Przypomniał pan sobie coś?

– Niestety nie. Wciąż o tym myślę, ale nie potrafię powiedzieć nic nowego. Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Pana zeznania są wyczerpujące. Pytam z przyzwyczajenia.

– W takim razie w czym mogę...

– Interesuje mnie człowiek, który przebywał na terenie klasztoru przez ostatnie kilka dni. – Painer oparł się wygodnie. – Damian Wolczuk to pana znajomy?

– Nie.

– Inny pracownik ośrodka, z którym rozmawiałem, twierdzi, że tak.

– To nieporozumienie – wyjaśnił Krawczyk. – On jest bardzo podobny do kogoś, kogo kiedyś znałem. Na początku myślałem, że...

– To tamten – dokończył prokurator.

– Tak.

– Niech pan o nim opowie.

– O kim?

– O tamtym koledze, tym, za kogo pan wziął Wolczuka.

– To nie był mój kolega, lecz pacjent – powiedział wolno. – Tak jakby.

– Na nazwisko miał Ruszczyk?

– Skąd pan wie?

– Taka praca. Proszę o nim opowiedzieć.

– To ma jakiś związek ze śmiercią Beaty? – zdziwił się Krawczyk.

– Nie wiem.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Painer wyciągnął telefon, odblokował i zaczął przesuwać po nim palcem. Chwilę trwało, zanim znalazł to, czego szukał. Terapeuta przyglądał mu się przez ten czas w milczeniu. W końcu prokurator pochylił się ku niemu i pokazał ekran. Białe światło wpadające przez okno odbiło się w czarnej szybie. Zasłoniło jej dolną część. Mimo to Krawczyk nie miał wątpliwości.

– To Patryk Ruszczyk.

– Zdjęcie jest z okolic roku dwutysięcznego.

– Bardzo możliwe. – Skinął głową. – Ja go ostatni raz widziałem w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– W porządku. A tu? – Painer przerzucił zdjęcie i znów pokazał Krawczykowi.

– Też Patryk? – W głosie terapeuty zabrzmiała nuta niepewności.

– To Damian Wolczuk w roku dwa tysiące pierwszym.

Krawczyk wziął telefon do ręki i przekrzywił tak, aby nie odbijało się w nim okno.

– Uderzające podobieństwo... To bracia?

– Nie. Po prostu są do siebie podobni.

– Ale aż tak? – Przesunął na poprzednie zdjęcie. – Wyglądają jak bliźniacy... Ruszczyk był z domu dziecka, może...

– Nie, to przypadek. Podobno każdy ma swojego sobowtóra.

– Podobno.

– Wolczuk tu mieszkał kilka dni. Wie pan, gdzie teraz jest?

– Nie mam pojęcia.

– Proszę mi o nim opowiedzieć. Jak wygląda, jakie zrobił na panu wrażenie.

Krawczyk zamyślił się na chwilę.

– Mam coś, co pana zainteresuje. – Wstał i podszedł do komputera. Musiał poczekać, aż urządzenie wybudzi się ze stanu uśpienia. Trwało to kilkanaście sekund. Stary system i sprzęt miały swoje prawa. Myszka była nowsza, pracowała cicho, bez charakterystycznych kliknięć. – Zapraszam! Mam tu kilka zdjęć Damiana. Zrobiłem je parę dni temu. Myślałem, że to Patryk.

Painer stanął obok profilowanego, biurowego fotela, który zajmował

Krawczyk. Stojąc za nim, miałby lepszy widok, ale nie było na to miejsca. Krawczyk wiedział o tym, dlatego przekręcił monitor w stronę prokuratora. Zdjęcia były świetne. Jakość, ostrość i nasycenie barw. Można się było domyślać, że wykonano je teleobiektywem. Z odległości wystarczającej, by fotografowany nic nie wiedział, by czuł się swobodnie. Mężczyzna na zdjęciach był zadbany. Modna fryzura i drogie ciuchy. Wymalowana na twarzy pewność siebie. W latach dziewięćdziesiątych byłby modelowym przykładem yuppie, pokolenia japiszonów. Teraz pewnie funkcjonowała jakaś inna nazwa, ale Painer jej nie znał. Zdjęć było kilkanaście. Większość zbliżeń na Wolczuka, tylko kilka z szerszym kadrem, na którym widać było też innych ludzi. Grupa turystów z przewodnikiem. Wolczuk nie należał do grupy, trzymał się na uboczu. Painer dał znak, aby terapeuta przestał przerzucać zdjęcia i zostawił zbliżenie. Przystawił telefon do monitora.

– Szesnaście lat różnicy...

– Nie zmienił się tak bardzo – ocenił terapeuta. – Nie ma wątpliwości, że to ta sama osoba.

– Mimo to myślał pan, że to Ruszczyk.

– Nie wiedziałem, że ma sobowtóra.

Painer schował telefon i spojrzał na Krawczyka.

– Po co pan zrobił te zdjęcia?

– To był przypadek.

– Nie sądzę. Czy tu można palić?

– Nie.

– Szkoda... – Prokurator wrócił na kanapę. – Mogę uwierzyć, że nie planował pan wtedy, że go pan spotka. To mógł być przypadek. Spotkanie, ale nie zdjęcia. Wszystkie zrobione są bardzo profesjonalnie i widać, że ma pan świetny sprzęt. To samo w sobie nie jest oczywiście niczym niezwykłym. – Uśmiechnął się. – Niezwykłe jest to, jak pan te zdjęcia wykonał.

Krawczyk się nie odezwał. Być może uznał, że nie warto się wypierać.

– Oba profile, półprofile i oczywiście en face. Do tego ujęcia sylwetki. Idealny portret pamięciowy. Bezcenny dla policji, prawda?

– Przejrzał mnie pan.

– Nasuwa się pytanie, dlaczego pan go wykonał. Wykonał i nie wykorzystał.

– Do czego? Potem upewniłem się, że to nie jest Patryk, więc zdjęcia nikomu nie są potrzebne.

– Czyli pan wie, że Patryk Ruszczyk jest od lat poszukiwany?

– Tego nie wiedziałem, ale...

– Ale uznał pan to za bardzo prawdopodobne. Prawdopodobne, że mógł popaść w konflikt z prawem i jego aktualny wizerunek może okazać się pomocny. Zadziałał pan odruchowo... Kilkanaście lat po tym, gdy widział go pan po raz ostatni. Chłopak miał wtedy ile?... Piętnaście lat? Piętnastoletni szczył, a mimo to pan wciąż się go boi.

Krawczyk uśmiechnął się blado i pokiwał głową.

– Powiedzmy, że odczuwam dyskomfort na myśl o tym, że mógłby przebywać w pobliżu.

– Uważam to za zdrowy objaw.

– Czyli pan też poznał Patryka?

– W pewnym sensie i później do tego wrócę, ale teraz chcę, aby to pan mi o nim opowiedział. Wszystko, co pan pamięta.

90

Jarosław Szymański podbił pieczętkę na recepcie i uśmiechnął się do pana w piaskowej kamizelce.

– Proszę brać dwa razy dziennie po jednej tabletkę.

– Dziękuję, panie doktorze.

– Jeśli po dwóch dniach nie będzie poprawy, to nie robić jak ostatnio i nie zwiększać samemu dawki, tylko przyjść do mnie. Rozumie pan, panie Tadeuszu?

Pan Tadeusz rozumiał. Podziękował ponownie i wyszedł. Szymański opadł na krzesło. Odetchnął głęboko. Zegar wiszący na ścianie wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt sześć. Wskazówka sekundnika przeskakowała z cichym cyknięciem. Cyk... cyk... cyk... Szymański śledził ją przez chwilę. Potem wstał, zdjął fartuch i założył koszulę.

Zabrał okulary ze stołu i wyjrzał z gabinetu. W poczekalni nikogo nie było. Zamknął drzwi na klucz i zszedł po schodach. Wąski, długi plac. Pusty, jeśli nie liczyć donic z iglakami.

Samochód stał przy ulicy, tam gdzie go zaparkował. Był od niego kilka kroków, gdy sięgnął po kluczyk i się rozejrzał. Ulica była pusta. Żadnych aut, żadnych ludzi. Tylko on i bordowe volvo XC60. Dokładnie o osiemnastej cztery nacisnął przycisk pilota. Kierunkowskazy zamrugały, sygnalizując odblokowanie centralnego zamka. Szymański chwycił klamkę drzwi, ale ich nie otworzył. Cofnął się o krok i przyjrzał autu. Dwudziestocalowe, aluminiowe felgi niemal stykały się z asfaltem. W obu oponach nie było powietrza. Przeszedł na drugą stronę samochodu i zaklął. Wszystkie cztery koła!

– Mam dla pana prezent! – Szymański niemal podskoczył. Na jego twarzy wściekłość walczyła ze zdumieniem. Wolczuk stał kilka metrów dalej, trzymając w rękach niewielkie pudełko z kompresorem. – Był w promocji i pomyślałem, że może się panu przydać.

– Jak pan śmiesz!

– Nie jest duży, ale podobno całkiem sprawny. Podpina się go do gniazda zapalniczki.

– Panie... – Szymański zacisnął pięści.

– Przechodziłem tędy i zobaczyłem, że ktoś panu spuścił powietrze. Pomyślałem, że zrobię dobry uczynek. Bezinteresownie – zakpił.

Lekarz milczał.

– W porządku, doktorze, rozumiem, że chciał pan wyskoczyć coś załatwić przed naszym spotkaniem i na pewno by pan wrócił na umówioną godzinę. – Podszedł i podał mu pudełko. – Ale wyszło jak wyszło, więc może wrócmy na górę porozmawiać. Obaj będziemy mieli to już z głowy.

Szymański stał chwilę, dusząc w sobie bezsilną złość. Potem uniósł dumnie głowę i ruszył w stronę gabinetu.

Tym razem nie zaproponował Wolczukowi herbaty. Nie zaprosił do środka i nie przepuścił w wejściu. Po prostu wszedł, zostawiając otwarte drzwi, usiadł za biurkiem i spojrzał hardo.

– No i czego pan ode mnie chcesz?

– Od początku tego samego. – Wolczuk usiadł naprzeciwko, na krześle dla pacjentów. Oparł się wygodnie i założył nogę na nogę. Jeśli mowa ciała Szymańskiego wyrażała, że jest tu samcem alfa, to Wolczuk dawał do zrozumienia, że ma to w dupie. – Żeby mi pan powiedział o Beacie, zamiast pieprzyć historyjki o hipisach.

– Panie!... – Lekarz wycelował palcem jak lufą pistoletu. – Jakbyś pan miał odrobinę oleju w głowie, tobyś pan wiedział, po co to mówiłem, ale pan zamiast myśleć, wolisz błaznować!

– Proszę mówić jaśniej.

– Chciałeś pan wiedzieć, kto mógłby mieć cokolwiek wspólnego z tą... z tą dziewczyną, tak że cholera wie, co mógłby zrobić... Myślałem, że się pan domyślisz. Taki bystrzak niby, a... – Nie dokończył. Nie musiał.

– W porządku, nie domyśliłem się. – Wolczuk skinął głową. – Nadal się nie domyślam, ale wiem, że pomógł pan załatwić Beacie aborcję. Nie do końca legalnie – podkreślił. – Mamy więc dwa wyjścia. Albo mi pan sam powie od początku do końca, o co z tym chodzi, albo będę grzebał dalej. Punktem zaczepienia jest dla mnie aborcja, więc sam pan rozumie...

– Proszę mi nie grozić!

– Nie grożę panu. Po prostu mówię, jak wygląda sytuacja. Gdybym chciał panu grozić, to powiedziałbym, że o wszystkim dowiedzą się pana pacjenci. To w większości starsi ludzie, prawda? Tacy, co na dźwięk słowa „skrobanka” zatykają uszy i robią znak krzyża. Są pro life, nawet nie wiedząc, co to znaczy. Pro life, czyli za życiem, a aborcja to śmierć. Dla nich to największa zbrodnia, bo są ludzie, którzy pokazują im straszne zdjęcia i nakręcają histerię. U was pewnie też.

Szymański milczał. Wolczuk mówił dalej.

– Jest różnica między groźbą a informacją, prawda? Więc niech pan w końcu dopuści do siebie, że gramy po tej samej stronie. Nie chcę panu robić problemów ani pana oceniać. Chcę tylko znaleźć skurwysyna, który zabił Beatę, a pan może mi w tym pomóc. – Westchnął. – Uważam, że ta dziewczyna zginęła tylko dlatego, że opuściła klasztor. Może wiedziała coś, co mogło komuś zaszkodzić?

Umilkł i patrzył na Szymańskiego. Zegar na ścianie odmierzał kolejne

sekundy. Pięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt. W końcu lekarz poprawił się na krześle.

– To zostanie między nami? – upewnił się.

– Każde słowo.

– I dasz mi pan potem spokój?

– Obiecuję.

– Dobrze... – Odetchnął. – Ta dziewczyna została zgwałcona. Wtedy jeszcze nie przebywała w ośrodku, w ogóle nie знаła Chęcina. To był przypadek, że to się stało w pobliżu i tu trafiła. To znaczy ona sama nie była pewna, czy w pobliżu, czy nie, bo szok zrobił swoje. Wiesz pan, że traumatyczne przeżycia potrafią prowadzić do utraty pamięci? To się nazywa amnezja dysocjacyjna lub psychogenna. Po prostu mózg w ten sposób się chroni przed intensywnym cierpieniem. Wspomnienia zostają zapisane w pamięci, ale bez możliwości ich odzyskania.

Wzjął do ręki długopis. Bezwiednie zaczął obracać go między palcami.

– Ktoś ją pobił, wykorzystał i porzucił w lesie niedaleko Tokarni, kilka kilometrów stąd. Musiał specjalnie tu przywieźć. Dziewczyna nie pamiętała, gdzie była wcześniej, miała tylko jakieś przebłyski. Duże miasto, kluby, alkohol i to, że wsiadła z kimś do samochodu. Tyle... – Pokręcił głową. – Z tego lasu wyszła na drogę, a potem ją zgarnęli i przywieźli do mnie. Miałem wtedy nocny dyżur w Nowinach. To niedaleko stąd.

– Zgarnęli?

– Dwóch młodych byczków na nocnym patrolu. Przywieźli ją roztrzęsioną i spanikowaną. Żebyś pan ją widział. – Bezwiednie zacisnął pięść. – Brudna i zakrwawiona, w podartym ubraniu i z takim zwierzęcym strachem w oczach... Na początku nawet nie reagowała na pytania, nie pozwalała się dotknąć. Nie wiedziała, jak się nazywa ani gdzie jest. Musiałem jej dać środek uspokajający. Po jakimś czasie zaczęła mówić. Przypomniała sobie imię i nazwisko, skąd pochodzi i to, że od dawna nie kontaktowała się z rodziną. Przez problemy z alkoholem wszystko jej się rozpadło. Uciekła.

– Z domu?

– Od męża i dzieci.

- Ona miała dzieci? – zdziwił się Wolczuk.
- Miała i to dla nich zdecydowała się wreszcie leczyć. Ale to potem. Wtedy mówiła tylko, że wszystko ją przerosło i dlatego wyjechała do innego miasta. Wiesz pan, ładna była, więc zawsze się znalazł ktoś, kto jej postawił obiad i drinka. Dużo drinków... W końcu nie wiedziała, jaki jest dzień tygodnia, miesiąc, nic. Żyła w knajpach i klubach. Ciągły cug czy melanż, jak tam teraz mówią. A potem brutalne przebudzenie... I tak miała szczęście, że jej nie zakopali w tym lesie.
- Przypomniała sobie, kto jej to zrobił?
- Panie! Nawet nie pamiętała, kto ją do mnie przywiózł.
- To skąd pan...
- Od niebieskich. Powiedzieli, że znaleźli ją na drodze i że mówiła o tym lesie. Potem pojechali szukać tego miejsca, a rano zabrali Beatę do Kielc, żeby niby z jej ciała i ubrania też zabezpieczyć, co się da.
- Niby?
- Myślałem, że już jej nie zobaczę. Wróciła do Chęcín kilka miesięcy później, do ośrodka na terapię. Ktoś jej powiedział, że w ten sposób pokona traumę. Debil...
- Wątpi pan w zabezpieczenie śladów?
- Nie łap mnie pan za słowa! – obruszył się. – Słuchaj pan, a na koniec powiem, co myślę.
- W porządku.
- Okazało się, że ona od lat miała problemy i leczyła się w różnych ośrodkach. Wypuszczali ją i znów wracała. Czasem po miesiącu, czasem po roku. Z niektórymi już tak jest. Ale w końcu wydawało się, że wyjdzie na prostą. Poznała kogoś, wzięli ślub. Urodziło się pierwsze dziecko i wszystko było okej. Pękła po drugim. Nie wytrzymała ciśnienia i uciekła. Szukali jej po całej Polsce, a znalazła się u nas. – Odłożył długopis na blat biurka. Przesunął go równolegle do notatnika. Poprawił. – Wróciła do Chęcín już w ciąży. Czas się zgadzał, to było dziecko z gwałtu. Powiedziała o tym terapeutce, a on nie bardzo wiedział, co zrobić. Ktoś mu podsunął ten temat z usunięciem. Nikt z klasztoru, bo gdyby się tam dowiedzieli, toby dopiero było.
- Nie wie pan kto?

– Wiem. Dowiedziałem się po fakcie. Ale wtedy przyszedł do mnie Daniel i nie mówił, czyj to pomysł. Opowiedział, co i jak, i zapytał, czy to można zrobić. Czy można usunąć tę ciążę.

– Daniel Krawczyk?

Lekarz kiwnął głową i mówił dalej.

– Ja jestem przeciwny takim rzeczom, ale to była wyjątkowa sytuacja. Dziecko z gwałtu, nieznany ojciec i matka zdecydowana popełnić samobójstwo, żeby tylko go nie urodzić. Zrobiliśmy badania w Kielcach. Płód nie rozwijał się jak należy. To ją tym bardziej załamało. Podjęła próbę samobójczą jeszcze w szpitalu. Kolejną w drodze powrotnej do ośrodka... No i co miałem zrobić? Zasłonić się etyką? *Primum non nocere*... Umyć ręce, odwrócić się, a potem żyć z dwoma trupami na sumieniu?

– Wybrał pan mniejsze zło – domyślił się Wolczuk. Szymański pokiwał głową.

– Miałem kolegę, który wykonywał takie zabiegi w Czechach. Załatwiliśmy to w kilka dni. Oficjalna wersja była taka, że trzeba było usunąć kobiecy nowotwór. Brutalne, ale najbliższe prawdy... Daniel bardzo się przejmował, pomagał, jak mógł. Potem opiekował się Beatą. Nie chciał, żeby ona sobie coś zrobiła. Wiesz pan, to twardy chłop, ale o gołęmbim sercu. Tam zresztą wszyscy jej bardzo pomagali. Beata była ich oczkiem w głowie.

– Poznali prawdę?

– Zakonnicy? Coś pan! Jeśli ktokolwiek zna prawdę, to na pewno nie zakonnicy. Jacy otwarci by nie byli, to nie aż tak...

– Kto zasugerował aborcję?

– Bliski kumpel Daniela. To znaczy wtedy był bliski, bo potem poróżnili się o dziewczynę.

– O Beatę?

– Nie, o inną, ale to później było, więc nie ma znaczenia. Wtedy się przyjaźnili... Daniel mi mówił, że on się nią bardzo interesował. Odkąd Beata wróciła do Chęcina, często o nią pytał... Nie dziwiło mnie to wcale. – Skrzywił się. – Domyślasz się pan, co chcę powiedzieć?

– Proszę skończyć z tymi zagadkami i mówić wprost.

– Jestem pewien, że to on ją tak wtedy załatwił.

– Ten kumpel Krawczyka? – upewnił się Wolczuk. – To bez sensu. Sam pan powiedział, że Beata pamiętała duże miasto, więc koleś musiałby ją tam poznać i przywieźć tutaj. Gwałciciele raczej wywożą ofiary jak najdalej od domu, a nie przywożą.

– Nie powiedziałem, że to on ją tu przywiózł. Uważam, że dziewczyna z kimś jechała i ten ktoś ją wysadził po drodze. Wiesz pan, jak to bywa. Mogli się poznać w jakimś klubie albo gdzieś. Mogła poprosić lub sam zaproponował podwózkę. W trakcie jazdy zaczął się do niej dobierać, usłyszał „nie” i się zdenerwował. Zostawił ją za karę na jakimś zadupiu i odjechał. To się zdarza. Ona mówiła chyba, że chciała wrócić do domu, do Puław, więc to chyba całkiem prawdopodobne, co?

– Może...

– Więc pomyśl pan, że ją wysadził w nocy, nie wiadomo gdzie. Co miała robić? Poszła dalej. Może próbowała złapać jakąś okazję, ale nikt normalny się nie zatrzymał. Miała pecha... To był rejon między Tokarnią a Brzegami. Tam czasem stoją dziwki. Sądzę, że ktoś pomyślał, że Beata jest jedną z nich. W nocy byłoby to dziwne, ale może właśnie dlatego zwrócił na nią uwagę. Była ubrana... No, wiesz pan, jak się ludzie do klubu ubierają. Można się było pomylić. Myślę, że się zatrzymał i nie przejmował, że ona nie jest tym, za kogo ją wziął, że nie ma na to ochoty. Zrobił, co chciał, a potem suki ją przywiozły do mnie.

– Zgwałcił i porzucił, a później znalazła ją...

– Nie! – Szymański zaczerwienił się na twarzy. – Nie rozumiesz pan!

– Uważa pan, że zrobili to ci policjanci, którzy przywieźli Beatę?

– Nie! Oni tylko przetransportowali ją z komisariatu do poradni nocnej, gdzie byłem na dyżurze. Na komisariat przywiózł ją ktoś inny... Pamiętasz pan, co poprzednio opowiadałem? O zlocie na zamku i tej dziewczynie, której nikt już więcej nie widział?

Wolczuk pamiętał.

– No to już pan wiesz! – Szymański pokiwał głową, patrząc wymownie. – Wszystko wiesz.

– Chyba nie chce mi pan, doktorze, wmówić, że to ten sam policjant?

– No coś pan! Tamten już nie żyje... Kawał chuja, za przeproszeniem, gryzie ziemię od lat. Żebyś pan słyszał, co ludzie o nim gadali. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zaginęło w okolicy kilka dziewczyn. Dwóch lub trzech młodych chłopaków... Jedne ciała się znalazły, inne nie. Sprawcy nigdy nie wykryto. Nikt oficjalnie nikogo nie wskazał, ale ludzie swoje wiedzieli... Ja widziałem, do czego był zdolny, i wiem, że to był świr, potwór, a nie człowiek. To...to na pewno był on... To zna...znaczy wte...edy był o...on! – Denerwował się coraz bardziej. Zaczynał się trząść i jąkać. – Wszystko ustało parę lat przed tym, jak się przekręcił. Mu...musiał być już za słaby... Ale lu...ludzie do końca się ba...bali. Nie chcieli pokazać palcem. – Szymański zdjął okulary i pomasaował czoło. – To nie on to zrobił Beacie. To zrobił jego syn.

– Też jest policjantem?

– Oczywiście! Niby nie poszedł w ślady ojca, niby jest inny, ale to głównie prawda. To są geny. Te same skurwysyńskie ge...geny! – Zająknął się znowu. Odetchnął i spróbował mówić spokojniej. – Cechy charakterologiczne się dziedziczy. One nadają kierunek dynamice rozwojowej. Naturalnie ważne są wpływy środowiskowe, bo w dużym stopniu oddziałują na wrodzone dyspozycje. Tłumią je albo im sprzyjają. Teoretycznie w pewnych warunkach mogą okazać się ważniejsze. Jeśli ktoś nacechowany negatywnie dostanie pozytywne wzorce, może być dobry i odwrotnie. To się wciąż bada i wyciąga nowe wnioski... Ale nieważne, nie w tym przypadku. No bo sam pan pomyśl, kim mógł zostać syn takiego drania, skoro nawet robotę ma taką samą?

Spojrzał wymownie na Wolczuka.

– Oczywiście czasy się zmieniły – przyznał. – To już nie milicja i ludzie są inni. Teraz pewnie by nie trzymali gęby na kłódkę, ale to gorzej. Gorzej, bo on to wie i lepiej się ukrywa, pilnuje i zaciera ślady. Nie tak jak ojciec... Rozumiesz pan? Dlatego kto inny przywiózł do mnie tę dziewczynę... Nawet nie wiadomo, czy on jej to zrobił w lesie, czy tak jak ojciec na komisariacie. Może... Mo...może o...ona też tak krzyczała? Tak jak t...tamta dzie...dziewczyna?

– Niech się pan uspokoi, doktorze.

– To jest bydlę. Zgwałcił ją, a potem kazał usunąć ciążę... Czuł się bezpiecznie, póki dobrze żył z Danielem. Miał pewność, że Beata nic sobie nie przypomniła, a później to się ucięło. Rozumiesz pan? Nic już nie wiedział, ale przynajmniej była na miejscu. Aż do teraz. Myślę, że spanikował, że bał się o to, czy tego nie wywlecze, i zrobił to. Zamordował ją w tym lesie.

Wolczuk sięgnął po niewielki notatnik leżący na biurku. Ten sam, w którym zapisał kiedyś swój numer. Wyrwał kartkę i wziął do ręki długopis.

– Pan wie, jak się nazywa ten policjant, prawda?

– Oczywiście. Nazwisko ma takie samo jak jego ojciec Józef, Józef Kryński.

91

Spotkanie u Painera zaczęło się niemal punktualnie o dwudziestej. Niemal, ponieważ Dorota miała problem ze znalezieniem miejsca do parkowania. Przyjechali we dwoje jej samochodem, bo bez sensu było przyjeżdżać dwoma. Kryński swój zostawił u niej pod blokiem. Oboje liczyli na to, że spotkanie nie przeciągnie się przesadnie, że zdążą jeszcze spędzić wspólnie trochę czasu.

Painer przyjął ich tak jak ostatnio. Pozwolił, żeby zrobili sobie coś do picia, i zawołał do dużego pokoju. Na stole leżała kartka. Wydruk z drukarki z lakonicznym streszczeniem tego, co się zmieniło od poprzedniego spotkania. Była to bardziej lista tematów niż informacja.

– Zrobiliście to, o co prosiłem? Pociągnęliście kogo trzeba za język? – spytał Painer, a gdy przytaknęli, zapalił z zadowoleniem papierosa. – Warszawa uważa, że Justynę Budziszowską zamordował Gracjan De Latour. Starają się go wytropić. Na razie bez skutku. A wy co sądzicie?

– Firma De Latoura zorganizowała imprezę w „Okraślaku”. Ofiary z piaskowni były pracownikami firmy, ale sam De Latour nie brał udziału w tym wyjeździe. W ten weekend był w Warszawie. Zabójstwo

Budziszowskiej to co innego. Teoretycznie miał motyw i mógł to zrobić, ale całość się nie klei...

– Czemu tak pani uważa?

– Jeśli ten cały De Latour się przestraszył, że Budziszowska go wyda, i ją zabił, to dlaczego zniknął? – Dorota zmarszczyła czoło. Kryński uznał, że wygląda bardzo seksownie. Nie powiedział tego jednak na głos. Nie wypadało.

– Może spanikował? Chciał ją tylko nastraszyć, ale coś poszło nie tak i został z trupem. Był w szoku i uciekł – zasugerował.

– Małe prawdopodobieństwo. Wszyscy twierdzą, że jest cwany sukinsynem, więc nawet jeśli w pierwszej chwili straciłby zimną krew, to nie na długo. Pewnie szybko doszedłby do wniosku, że musi zatrzeć ślady.

– Myślisz, że wróciłby na miejsce? – Kryński odwrócił wzrok. Miał nadzieję, że to pomoże mu się skupić. Myśleć o problemie, a nie ramiączku stanika, które wysunęło się spod bluzki Doroty.

– Nie wiem, ale na pewno spróbowałyby sobie załatwić alibi. Zniknięcie to praktycznie przyznanie się do winy.

– Wolczuk mówił, że De Latour był zdeterminowany, aby utrzymać wszystko w tajemnicy. W innym wypadku straciłby cały majątek.

– Nie cały, bo nowa firma była zapisana tylko na niego. Nie na spółkę – wtrącił Painer. – Już jakiś czas temu zaczął się usamodzielniać i dobrze mu szło, a wyjazd integracyjny był nagrodą za wyniki. Możliwe, że szykował się do rozwodu.

– Mówię, że to się nie klei. – W głosie Doroty pojawił się cień satysfakcji. – De Latour może miałby naciągany motyw, by się pozbyć Justyny, ale to wszystko. Nie ma żadnego logicznego uzasadnienia, czemu miałby mieć związek ze śmiercią swoich pracowników. A musiałyby, skoro sprawy łączy ten cholerny koralik.

– To bez sensu...

– Wszystko ma jakiś sens – mruknął prokurator. – Myślcie.

– Styczną jest koralik... – powtórzyła w zamyśleniu Dorota.

– I Wolczuk. – Kryński chrząknął. – W ten czy inny sposób wszystko się z nim łączy.

– Nie bardzo. – Dorota pokręciła głową. – Laska go zdradziła, więc mógł ją kilnąć w afekcie, ale co mu zawiniła ta z Chęcín?

– No... – zaczął Kryński, lecz ona go nie słuchała.

– Może na nią leciał, a ona na niego nie? Niejednemu to wystarczy, prawda? Naciągane, ale jeszcze okej. Za to ksiądz i ta czwórka z piaskowni zupełnie odpadają. Brak powiązania z Wolczukiem.

– Pracowali dla koleśka, który rozwalił mu związek – przypomniał Kryński.

– A ksiądz?

– Mógł być przypadkowy...

– To byłby niezły przypadek – zakpiła. – Poza tym sam ustaliłeś, że nie mógł być w Warszawie w czasie, gdy zamordowano Budziszowską.

– To się opiera głównie na datach w jego komputerze, no ale to komputer przenośny...

– Jego komórka logowała się wtedy tylko na przekaźnikach w okolicy Chęcín i Kielc. – Painer sięgnął po kolejnego papierosa.

– Aha, czyli sprawdził to pan... Mimo wszystko...

– Wczoraj twierdziłeś, że on nie ma z tym nic wspólnego – zauważył prokurator. – Czemu to się zmieniło?

– Nie twierdzę, że ma... To znaczy mam wrażenie, że to się kręci wokół niego, ale nie wiem czemu... – Sam nie był pewien, co powiedzieć. – Im dłużej o tym myślę, tym częściej mam takie przeczucie, że coś z nim jest nie tak. Może w jakiś sposób...

– Podejrzewasz Wolczuka? – Dorota spoważniała.

– To chyba za duże słowo. Po prostu coś mi tu nie gra... – Spojrzał na prokuratora.

Painer skinął głową.

– Może idźmy po kolei. – Dorota poprawiła się, bo kanapa nie była zbyt wygodna. – Chłopak ze stacji widział piątego pasażera tej terenówki. Podał jego rysopis.

– Nie pasuje do De Latoura. – Painer skinął głową.

– Ale pasuje do Wolczuka, prawda?

– Z tym że chłopak widział Wolczuka z bliska na komisariacie i jest przekonany, że to jednak nie on – mruknął Kryński.

– Może się myli? Wtedy nie przyglądał się uważnie, a teraz, pod presją, zobaczył szczegóły, których wcześniej nie zarejestrował, i to dlatego? – zasugerowała Dorota. – Może boi się wziąć odpowiedzialność, gdy nie jest pewien na sto procent? Działa w dobrej wierze, lecz nieświadomie wprowadza nas w błąd.

– Nie. Dzieciak jest dość bystry. Zwrócił uwagę na długość włosów. Tamten facet miał o wiele krótsze niż Wolczuk. Nie ma opcji, by odrosły.

– Więc czemu się upierasz, że on ma z tym jakiś związek?

– Nie upieram się. – Darek się skrzywił.

– Czyli mamy tajemniczego autostopowicza, który może coś wiedzieć... – Dorota spojrzała pytająco na Painera. – Lub być sprawcą. Kurczę! Może to jakiś psychol, który zabił tamtych, dziewczynę na kirkucie i próbował uśmiercić księdza? Seryjny, który szuka teraz kolejnej ofiary... Tylko ta Warszawa wszystko psuje. Mimo to trzeba go znaleźć. Może przechodził koło „Okraglaka” i ktoś go zapamiętał? Na takich imprezach ludzie zawsze się kręcą. Wychodzą na papierosa, przewietrzyć się czy porzygać.

– Ten człowiek został już zidentyfikowany – wyjaśnił prokurator. – To Piotr Florczyk, jeden z pracowników. Konkretnie były pracownik firmy De Latoura. Miał złożyć wypowiedzenie jeszcze przed imprezą, ale ktoś go przekonał do tego, żeby poczekał i zabawił się na koszt firmy. Najwyraźniej jednak nie czuł się komfortowo, skoro postanowił wrócić wcześniej na własną rękę.

– Więc ci z SUV-a go znali.

– Tak. Najprawdopodobniej dlatego zaoferowali mu podwózkę.

– Warszawa go namierzyła? – spytał Kryński.

– Nie. To niedopatrzenie spowodowane zamieszaniem. Głównie tu na miejscu – podkreślił. – Przesłuchania były prowadzone na podstawie listy uczestników, ale ktoś z Chęcín albo Kielc z rozpędu odfajkował Florczyka. Dopiero dziś rano w Warszawie zorientowali się, że brakuje jego zeznań. Równolegle wy wygrzebaliście tego dzieciaka. Mamy tydzień w plecy.

– Kurwa! – wycedziła Dorota.

– Florczyk dostarczył wypowiedzenie w poniedziałek. W środę wyprowadził się z mieszkania. Nikt nie wie, gdzie teraz jest.

– Nie rozmawiał z nikim w pracy?

– Nie. Nie był specjalnie lubiany. Nikomu nie wadził, nie wdawał się w żadne konflikty, ale ludzie uważali, że jest jakiś dziwny. Raptem dwie osoby utrzymywały z nim bliższy kontakt. Jedna z tych osób namówiła go na imprezę. Żadnej nic nie mówił o swoich planach. Oboje byli zaskoczeni, że nie pojawił się w poniedziałek.

– Namówiła go kobieta czy mężczyzna? – zainteresowała się Dorota.

– Kobieta. Pracująca najkrócej, nieśmiała. Również odstająca od grupy. To połączyło całą trójkę.

– Może uznał zaproszenie za dwuznaczne, a na miejscu dostał kosza?

– zamyśliła się Dorota. – Może to jakiś świr i odmowa wywołała u niego tak silną frustrację, że stracił nad sobą kontrolę?

– Teraz ty fantazjujesz – upomniał ją Kryński.

– Po prostu szukam bodźca. Wiadomo o nim coś więcej?

– Warszawa dopiero zaczęła grzebać. Muszą mieć chwilę. – Painer pomasaował czoło. Wyglądał na zmęczonego. – Na razie wiemy, że nie miał żadnych profili na społecznościówkach, nie utrzymywał kontaktów z sąsiadami. Wynajął mieszkanie na Rembertowie półtora roku temu, trzy razy zmieniał pracę i teraz zniknął. Numer telefonu, który podał w CV, wrócił niedawno do operatora. Nie wiadomo jeszcze, czy ma nowy.

– Hm... Byłby związek z pracownikami i szefem, ale nie ma go z denatkami i księdzem. – Zamyśliła się. – Tyle że nawet furia nie odwinąłby tak grubej sprawy. Musiałby być totalnym psycholem. Albo być opętany. – Spojrzała na Kryńskiego, lecz widząc jego minę, spasowała. – Żartuję.

– Facet jest podobny do Wolczuka. – Kryński obracał opróżnioną filiżankę na stole. – Jakie jest prawdopodobieństwo, że dwóch ludzi wyglądających niemal tak samo znajdzie się w jednym czasie i miejscu? Że zderzą się samochody, którymi jadą?

– Nie wiadomo, czy ten Florczyk wciąż był w terenówce – zauważyła Dorota. – Chciał dostać się do Chęcina, więc mogli go tam wysadzić.

– O tej godzinie nie miał już szans na autobus do Kielc. Mogli zaoferować podwózkę... Okrezną drogą. – Chrząknął. – Może też wypił albo się naćpał. Może siedział po lewej stronie i widział Wolczuka, gdy zahaczyli o jego auto. Może to wywołało u niego jakiś wstrząs?

– Gdyby miał zaburzenia psychiczne, mogłoby to mu namieszać... Teoretycznie. Zresztą nawet zdrowemu by mogło. Wystarczyło, żeby wziął jakieś dopalacze. W to walą takie gówno, że niejednemu rozpuszcza mózg. Widziałeś statystyki.

– Tak, ale przez ten koralik musimy brać pod uwagę, że sprawca jest jeden. Prochy działają tylko jakiś czas, więc to raczej odpada. Facet zabił kilka niezwiązanych ze sobą osób. Zupełnie bez sensu.

– Czyli musiałyby być świrem.

– Nawet świr potrzebuje motywu.

– Wystarczy! – To ich zaskoczyło. Zamilkli. Painer wyciągnął camela, ale nie zapalił. Obracał go w palcach przez minutę. Milczącą minutę. Sześćdziesiąt sekund, które dłużyły się nieznośnie.

– Pan prokurator sam chciał, żebyśmy... – zaczęła Dorota.

– Tak, ale już dość. – Myśleli, że znów zamilknie, przez co sytuacja stanie się jeszcze bardziej niezręczna. Tym razem jednak prokurator odwrócił się w ich stronę i uśmiechnął cierpko. – Wasz tok rozumowania jest w porządku. Instynktownie krążycie wokół istotnych elementów. Czujecie, że pasują, lecz nie wiecie jak. Brawo.

– Pan nas chwali?

– Stwierdzam fakty.

– Aha... – Dorota zawahała się. – Czy to znaczy, że na dziś koniec?

– Tak, możecie iść.

– Nie – odezwał się Kryński. – Niech nam pan opowie o Bieszczadach. Co się tam wydarzyło?

– Darek! – syknęła Dorota. Zignorował ją.

– Pan uważa, że to się łączy, prawda? Że to, co się wtedy wydarzyło, ma wpływ na to, co dzieje się teraz. Tylko że my nie wiemy, o co chodzi, i dlatego błądzimy po omacku. Pan wie, ale nie mówi, pozwalając, byśmy robili z siebie...

– Idziemy. – Pociągnęła go za rękę.

– Poczekaj. – Nie ruszył się. – Niech pan zdecyduje, czy gramy w otwarte karty, czy już zrobiliśmy swoje i możemy spadać. To od początku był cyrk, a teraz...

– Kryński! – uciszyła go.

– Za co pana przenieśli z Kielc do Chęciny? – spytał prokurator.

– Za pyskowanie przełożonym – odpowiedziała Dorota.

– Niezupełnie – mruknął Kryński.

– Myśli pan, że sprawa może mieć związek z córką Więclawskiego? – Painer pokiwał głową.

– Naczelnika? Więc to ty ją... – parsknęła Dorota. – Naprawdę Kryński? No, no... Imponujesz mi jeszcze bardziej!

– To nie było tak, jak to Więclawski przedstawił, ale nie zamierzam się tłumaczyć. – Policjant wzruszył ramionami i spojrzał na prokuratora. – Jeśli chciał mi pan dogryźć, to nic z tego.

– Nie, nie chciałem panu dogryźć. – Wsadził wymiętego papierosa do ust i zapalił. – Chciałem wiedzieć, czy był jakiś inny powód, poważniejszy.

– Nie.

– To dobrze, ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. – Zaciągnął się i wypuścił kłęb dymu. – Ma pan rację, że unikam tematu Bieszczad, bo jest dla mnie niewygodny. Sytuacja jednak wymaga, aby do tego wrócić. Zróbcie sobie jeszcze coś do picia, to dłuższa opowieść.

92

Alicja czekała na Damiana z kolacją. Nie spodziewał się tego. Ona również. Po prostu tak wyszło. Wróciła z pracy i usiadła do komputera. Na początku nie była głodna, potem straciła rachubę czasu. Od monitora oderwał ją dopiero dźwięk domofonu. Otworzyła i poszła podgrzać jedzenie. Zjedli w kuchni, rozmawiając o tym, jak minął im dzień. Mniej więcej. Dwoje ludzi, którzy chcą być dla siebie mili i nie zanudzać się szczegółami. Świadomi tego faktu i wdzięczni sobie nawzajem. Grający w tę samą towarzyską grę, która miała przynieść

odrobinę bliskości.

Po kolacji naląła Damianowi wody do wanny. Dodała płynu, tworząc gęstą pianę pachnącą jaśminem i odprężeniem. Pozwoliła, by relaksował się sam przez jakiś czas, a później do niego dołączyła. Kochali się w wannie, nie przejmując się wodą, która chlapała na podłogę. Namiętnie i zachłannie, jak gdyby ograniczał ich czas.

Drugi raz zrobili to w łóżku. Tym razem bez pośpiechu, łagodnie i czule. Potem długo odpoczywali przytuleni. Zbyt rozgrzani, by okrywać się kołdrą, i zbyt rozleniwieni, by rozmawiać. Przynajmniej przez jakiś czas.

- Czy używacie w szpitalu chloroformu? – spytał szeptem Damian.
- Słucham? – Drgnęła wyrwana z błogiego opadania w ciepły sen.
- Macie w szpitalu chloroform?
- Czemu pytasz?
- Myślę, że mógłby mi się przydać. Wiesz, tak na wszelki wypadek, gdybym musiał kogoś obezwładnić.
- Damian... – parsknęła.
- No co?
- Naprawdę myślisz, że chloroform działa tak jak w filmach?
- Tak myślałem – przyznał.
- Chloroformu używano kiedyś w anestezjologii, ale od lat siedemdziesiątych jest zakazany. Był bardzo niebezpieczny, bo dawka znieczulająca dla człowieka to jeden procent, a toksyczna jeden i trzy dziesiąte procent. Rzeczywiście doprowadzał do utraty przytomności, tyle że często zaburzał pracę serca. Poza tym rypał nerki i wątrobę. – Ziewnęła. – Czasem się go jeszcze stosuje jako rozpuszczalnik w analizach środowiskowych i chyba przy syntezie białek. Generalnie lepiej zastępować go czymś innym.
- Aha.
- Poza tym to nie tak, że przyłożyłeś komuś szmatkę do nosa i już... Żeby w ten sposób kogoś uśpić, czas inhalacji musiałby wynosić około dziesięciu minut... Musisz pomyśleć o jakimś innym sposobie... Jeśli ci na tym zależy...
- Pomyślę.

– To dobrze... – szepnęła nie do końca świadomie. Damian pogładził ją po włosach.

93

– A więc, reasumując... – Dorota odezwała się pierwszy raz od godziny. Godziny, w trakcie której Painer opowiadał o tym, co wydarzyło się w dwa tysiące pierwszym roku na niewielkiej bieszczadzkiej polanie. – Prawdziwym zabójcą był były chłopak tej dziewczyny, Moniki, czyli...

– Patryk Ruszczyk – podpowiedział Kryński.

– To on zrobił w zabójstwo Wolczuka, a pan doszedł do tego dopiero po kilku miesiącach, gdy nie było już po nim śladu.

– Ambicja zaślepia. – Painer podniósł przepelnioną popielniczkę, żeby wyrzucić jej zawartość do kosza. – Byłem pewien, że to Wolczuk, i chciałem, aby się przyznał. Zmieniłem jego życie w piekło.

Poszedł do kuchni. Usłyszeli skrzypienie zawiasów i głuchoe stuknięcia, gdy pozbywał się resztek petów, uderzając o plastikowy kubek.

– Ruszczyk wyprowadził nas wtedy w pole – podjął, stając w drzwiach. – Zabił dziewczynę niedługo po odejściu Wolczuka. Po zabójstwie zatarł ślady i przeniósł kilka jego rzeczy do swojego obozowiska. Prawdopodobnie wcześniej spryskał czymś to miejsce, przez co jego zapach był przytłumiony.

– I psy złapały trop Wolczuka, a nie jego?

– Tak – potwierdził prokurator. – Ruszczyk uciekł, brodząc w strumieniu. Możliwe, że z wody wyszedł dopiero po kilku kilometrach. Na wysokości niewielkiej wioski, z której zadzwonił na policję. Stamtąd zabrał się ciężarówką, która wywoziła drewno ze zrywki. Kierowca zeznał potem, że wysadził go przy wyjeździe na drogę krajową i że praktycznie od razu ktoś się zatrzymał. Był świadkiem, jak Ruszczyk wsiada do poloneza i odjeżdża na zachód. Co do koloru nie był pewien na sto procent. Przesłuchiwaliśmy go kilka miesięcy po

zdarzeniu. Miał prawo nie pamiętać. Tam ślad się urwał. Patryk Ruszczyk nigdy więcej nie wrócił do domu. Nie skontaktował się z nikim znajomym, po prostu zniknął.

– A może nie żyje? Może zginął lub popełnił samobójstwo? – zasugerowała Dorota. – Czasami po fakcie wyrzuty sumienia biorą górę.

– Nie w tym przypadku. – Położył popielniczkę na stole i wyszedł z dużego pokoju. Wrócił po kilku minutach. Miał ze sobą teczkę. Staromodną, z burego kartonu. Pamiętała jeszcze poprzedni ustrój i pochody pierwszomajowe. Była powycierana i pogięta, ale wciąż cała. Na froncie coś kiedyś napisano niebieskim długopisem. Wyblakłe litery nie dawały się jednak odczytać. Painer podał teczkę Dorocie. Siedziała bliżej.

– Co to?

– Otwórz.

Posłuchała. Nie sprawiło jej to trudności, bo teczka nie była zamknięta. Kiedyś służyły do tego wąskie tasiemki, ale jednej brakowało. W środku znajdowało się kilkadziesiąt kartek.

– Wyjmij.

Wszystkie wydrukowane na drukarce. Trzy pierwsze jeszcze na igłowej. Kolejne zadrukowane atramentem, miejscami nieco rozmyte. Ostatnie dwie utrwalono laserem. Każdy wydruk zaczynał się tak samo. Od słów: „Drogi Arkadiuszu”. Potem życzenia z okazji świąt, imienin, urodzin. Grzeczne i eleganckie. Wszystkie podpisane tak samo. Inicjałami P.R. oraz liczbami. Dorota spojrzała pytająco na prokuratora.

– Liczył miesiące – wyjaśnił Painer. – Kolejne, które mijały.

– Chce pan powiedzieć, że Ruszczyk przysyła panu listy?

– Przysyłał. Przez dziesięć lat. Z różnych miejsc w kraju. Przestał w rocznicę zabójstwa.

Dorota sięgnęła po ostatni. Pod inicjałami był numer sto dwadzieścia.

– O kurwa... – wyszeptała.

– Nie dało się go jakoś namierzyć po tych listach? – zainteresował się Kryński.

– Listy wrzucał do różnych skrzynek pocztowych. Zawsze z dala od jakichkolwiek kamer i bez świadków. Z niektórych miejsc korzystał po dwa razy, z innych tylko raz. Postarał się, aby nie było w tym żadnej prawidłowości, żadnego schematu. Nigdy nie popełnił błędu.

– Sądzi pan, że to on? – zapytał Kryński. – Że znów zabija.

– Zgadza się. – Painer wyciągnął paczkę cameli z kieszeni marynarki. W środku był ostatni papieros. Poklepał kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki. Bez skutku. Leżała na oparciu fotela, przy balkonie.

– Dlaczego? – Dorota przeglądała listy. – Po dziesięciu latach dał panu spokój. Ogólnie minęło piętnaście... Facet ma już inne życie. Musiał je sobie jakoś ułożyć, bo inaczej dawno siedziałby w penitencjarce lub gryzł ziemię. Dlaczego miałby z tego nagle rezygnować?

– Z Ruszczykiem jest ten problem, że niewiele na jego temat wiemy. Mieszkanie, w którym mieszkał, spłonęło. Stwierdzono rozszczelnienie instalacji gazowej. Wynajmował je ponad rok, ale nie utrzymywał kontaktów z sąsiadami. Dotarliśmy do kilkorga znajomych, lecz ich zeznania w niczym nie pomogły, a miejscami były sprzeczne. Wygląda na to, że każdemu mówił co innego na swój temat. Nie udało się odnaleźć jego rodziny ani żadnego śladu, skąd się wziął. Sprawdzaliśmy wszystkich Patryków Ruszczyków, którzy figurowali w spisach, ale żaden z nich nie był tym, którego szukaliśmy. Wychodziło na to, że chłopak nie istniał. W całej Polsce rozwiesiliśmy portrety pamięciowe. Również bez skutku. – Skrzywił się. – Tylko Wolczuk miał później przez nie problemy.

– Naprawdę nic się nie udało znaleźć?

– W końcu trafiliśmy na ośrodek socjoterapii niedaleko Kalisza, w którym Ruszczyk przebywał do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

– Czyli musiał go skazać sąd, bo wtedy chyba tylko w ten sposób można było tam trafić? – spytała Dorota. – Obowiązywała wówczas ustawa jeszcze z lat osiemdziesiątych, którą znowelizowano chyba w dwa tysiące jedenastym.

– Imponuje mi pani wiedzę. Tak, teoretycznie tak.

– A praktycznie?

– A praktycznie, panie aspirancie, Ruszczyk trafił tam poza systemem. Był przybranym synem kucharki, która pracowała w ośrodku. Nie wiem, czy go oficjalnie adoptowała, czy tylko sprawowała opiekę. Większość ludzi myślała, że to jej syn. Nie wiadomo, czy dyrektor wiedział, jaka jest prawda. Pewnie tak. W każdym razie jakoś to załatwił, że chłopak zaczął brać udział w zajęciach.

– Ona, ta kobieta, nie chciała go posłać do normalnej szkoły? – zdziwiła się Dorota. – Przecież tam była patologia i poziom... dopasowany do niej. Dla normalnego dzieciaka to musiał być koszmar.

– I był. Pojawiła się tam nawet sugestia molestowania, ale nikt nie chciał rozmawiać o szczegółach. Matka podobno była prostą kobietą. Uważała, że szkoła to szkoła, i nie dała sobie przetłumaczyć, że gdzie indziej syn miałby lepiej. Zresztą on ją niewiele obchodził, chociaż nikogo innego nie miała. Stara panna o lekkich obyczajach. Wiecie, co mam na myśli.

– Rozmawiał pan z nią?

– Nie, bo zmarła w dziewięćdziesiątym dziewiątym. Ruszczyk uciekł stamtąd rok wcześniej. – Podeszedł do barku, skąd wyciągnął nową paczkę cameli. – Kadra ośrodka nie była chętna do rozmowy. Nie chcieli wkopać dyrektora, ponieważ wiedzieli, że Ruszczyk był tam nie do końca legalnie. Nie przechodził testów ani badań i nigdy nie założyli mu pełnej dokumentacji. Niczego poza arkuszami ocen. Poza tym matka zmarła w trakcie pracy, podobno zapiła się na śmierć, więc tym bardziej woleli unikać tematu. Rozmowy z dziećmiakami nie miały sensu. Starsze roczniki opuściły ośrodek. Młodsze go nie mogły pamiętać. Nie na tyle, by coś wniesć do sprawy.

Zapalił i zaciągnął się dymem. Dorota zakaszłała. Zignorował to.

– Powinniście czegoś posłuchać. – Sięgnął do kieszeni po telefon. Przez chwilę szukał odpowiedniego pliku. Podeszedł do stołu i położył aparat na jego środku. Przełączył na głośnik. Wrócił na fotel przy balkonie.

– ...na nagrywanie? – Zniekształcony, ale łatwy do rozpoznania głos

Painera.

– Tak, wyrażam zgodę. – Męski, poważny i spokojny. Kryński zmarszczył brwi, głos wydał mu się znajomy.

– Proszę się przedstawić.

– Nazywam się Daniel Krawczyk. Jestem psychologiem i certyfikowanym specjalistą terapii uzależnień w ośrodku San Damiano. Poza tym...

– Proszę powiedzieć, czym się pan zajmował w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, od lutego do października, odbywałem staż w Ośrodku Socjoterapii w... – Trzaski. – ...licy... lisza.

– Czy poznał pan tam Patryka Ruszczyka? – Dźwięk się poprawił, a więc chwilę wcześniej przestawiono telefon.

– Tak. Był jednym z wychowanków ośrodka.

– Jak by go pan opisał?

– Miał wtedy czternaście, może piętnaście lat. Bardzo inteligentny, zupełnie nie na miejscu.

– Nie na miejscu, ponieważ powinien chodzić do zwykłej szkoły?

– Nie. Dlatego, że powinien być odizolowany i leczony.

– Proszę wyjaśnić dlaczego.

– Patryk Ruszczyk miał zaburzenia osobowości, które uniemożliwiały mu zinternalizowanie zasad moralnych i norm społecznych. Nie posiadał predyspozycji do oceniania swoich czynów i uczuć. Uważam, że pozbawiony był świadomości moralnej, a co za tym idzie stanowił trwałe zagrożenie dla otoczenia.

– Proszę jaśniej.

– Nie miał sumienia... To znaczy niezupełnie...

– Proszę po prostu powtórzyć to, co mi pan już powiedział.

– Rozumiem... A więc uważam, że Patryk Ruszczyk miał silne zaburzenia dysocjacyjne tożsamości.

– Rozdwojenie jaźni?

– Tak.

– Stwierdził pan to jako stażysta?

– Tak.

– Czy ocena psychologów i wychowawców pracujących w tamtym ośrodku była podobna?

– Prywatnie tak, oficjalnie nie.

– Dlaczego?

– Patryk Ruszczyk przebywał na terenie ośrodka na specjalnych zasadach. Nie figurował w oficjalnym spisie wychowanków, ale brał udział w zajęciach. Od początku traktowany był jak zło konieczne. Kiedy zaczął przejawiać niepokojące objawy, były one ignorowane. Nie był oficjalnie wychowankiem, więc nie było problemu.

– W jakich okolicznościach dowiedział się pan o zaburzeniach Ruszczyka?

– Kilkakrotnie byłem świadkiem tego, jak grupa starszych wychowanków znęcała się nad nim psychicznie i fizycznie. Interweniowałem... Pod wpływem silnych bodźców każdy człowiek może wykazywać zachowania daleko odbiegające od tego, co reprezentuje, gdy bodźce te nie występują. Ruszczyk jednak... Jego zachowanie... Nigdy więcej nie spotkałem się z czymś takim.

– Z czym? Proszę wyjaśnić.

– Ruszczyk potrafił w jednej chwili być wystraszonym, poniżonym dzieckiem, który nie może powstrzymać łez, by za moment dyskutować ze mną o tym, że wysuwane antenki telefonów komórkowych mogą przyciągać pioruny. Początkowo myślałem, że to rodzaj ucieczki od traumy. Świadome wyparcie i próba zastępowania negatywnych wspomnień pozytywnymi. Ale to było coś zupełnie innego. On zmieniał się w ułamku sekundy. Proszę sobie wyobrazić chłopaka, którego trzyma kilku wyrostków, a jeden oddaje mu mocz na głowę. Chłopak nie ma już siły krzyknąć, tylko jęczy. Nie myśli już, tylko działa instynktownie. Próbuje się wyrwać, zachowuje się jak zwierzę. Jest jednak za słaby, nie ma szans. Widzę to i biegnę mu na pomoc. Jedyne, co przychodzi mi wtedy na myśl, to krzyknąć: „Co tu się dzieje?”. Wie pan, co słyszę w odpowiedzi?... Ruszczyk podnosi poobijaną i mokrą od uryny twarz, patrzy na mnie ze spokojem i mówi: „Dzień dobry, Danielu. Czy czytałeś już może o skandalu z Monicą Lewinsky?”

Napisali o tym w »Angorze«”...

– Czytał pan?

– Nie. To znaczy tak, ale później. Czemu pan pyta?

– Bez powodu. Czyli Ruszczyk miał dwie osobowości?

– Co najmniej dwie.

– Mimo to powiedział pan o nim, że był bardzo inteligentny.

– Tak, to było wyraźnie widoczne. Wydaje mi się, że poznałem jego dwie tożsamości. Obie wiązały się z wysoką inteligencją. Różniły je kwestie etyczne. Jedna była uległa, pasywna, a druga aktywna.

– Coś jak doktor Jekyll i pan Hyde?

– Niezupełnie... Jekyll wiedział, że przemienia się w Hyde'a, i nie mógł się pogodzić ze złem, które czyni w tej postaci. Ruszczyk wydawał się w połowie nieświadomy swojego alter ego.

– W połowie?

– Przy zaburzeniach dysocjacyjnych poszczególne osobowości są przeważnie odrębne. Nie wiedzą o sobie nawzajem.

U Ruszczyka tylko tożsamość pasywna nie zdawała sobie z tego sprawy. Aktywna wiedziała o tej drugiej i odczuwała przyjemność z faktu, że ją zastępuje. To było upiorne. Szczególnie od chwili, gdy Ruszczyk już wiedział, że ja wiem.

– Powiedział mu pan?

– Sam się domyślił. Tak jak mówię, był bardzo inteligentny. Uważam, że za bardzo. – Chwila ciszy. Chrząknięcie. Krawczyk mówił dalej. – Odczuwał satysfakcję z tego, że ktoś się na nim poznał. Uważał chyba, że go docenię... To go dodatkowo stymulowało. Był jak reżyser i aktor tworzący dla jednego widza. Powoli odkrywał kolejne karty, czerpiąc przyjemność z tego, że coraz bardziej się go bałem.

– Czemu?

– Czemu się go bałem? Bo był psychopatą. To znaczy jedna z jego tożsamości, ta dominująca, przejawiała silne cechy psychopatyczne. Druga, pasywna, raczej socjopatyczne. Wbrew temu, co się wszystkim wydawało, Ruszczyk nie był w ośrodku ofiarą. On był oprawcą.

– Proszę wyjaśnić.

– Tożsamość aktywna wykorzystywała pasywną, tak jak pająk

wykorzystuje sieć. Ruszczyk specjalnie prowokował silniejszych, by się nad nim znęcali, żeby potem móc ich za to ukarać. Przy czym to „potem” było odsunięte w czasie na tyle, by nie dało się dostrzec związku. Kilka tygodni lub miesięcy. Był cierpliwy i ambitny. Nie odpuszczał nikomu.

– Naprawdę?

– Tak. Czasami te kary były drobne. Na przykład doprowadzał do tego, że ktoś tracił pozycję w grupie. W ośrodkach relacje są przeważnie podobne do tych w więzieniu. Mała grypsera z twardymi zasadami i regułami. Gdy ktoś je łamie, to zostaje frajerem. Spada na sam dół i ma przerąbane.

– A poważniejsze?

– Ruszczyk potrafił w taki sposób manipulować ludźmi, że te dzieciaki skakały sobie do gardeł. Było kilka afer i ciężkich przypadków. Jednego małolata zatlukli na śmierć, inny wykrwawił się w karetce. To sprawiło mu przyjemność. Powiedział mi o tym wprost, że cieszy się z tego, co się stało.

– Każdy mógłby tak powiedzieć. To byli jego oprawcy, tak?

– Tak, ma pan rację, każda ofiara mogłaby to powiedzieć.

– Ale pan uważa, że on do tego doprowadził?

– Jestem tego pewien.

– Dlaczego?

– Kiedyś podszedł do mnie i zapytał, dlaczego strychnina jest tak łatwo dostępna, skoro jest tak silnie trująca. Odpowiedziałem, że nie wiem. Wtedy Ruszczyk uśmiechnął się do mnie i powiedział, że Piotr też nie wiedział czemu. Potem odszedł.

– Jaki Piotr?

– Nazwiska nie pamiętam. Pamiętam za to, jak przez prawie godzinę umierał w męczarniach. Stwierdzono samobójstwo, że zabił się, zjadając strychninę, którą wcześniej ukradł z magazynku. Były powody, był list pożegnalny, żadnych śladów udziału kogokolwiek.

– Rozumiem.

– Próbowałem przekonać dyrektora, że to było zabójstwo, że to Patryk Ruszczyk jest winny. Że jest winny też innych rzeczy. Powiedziałem mu po prostu wszystko to, co wiedziałem.

- Nie uwierzył.
- Nie miałem dowodów, więc wyleciałem ze stażu. Być może w ten sposób dyrektor uratował mi życie.
- Myśli pan, że Ruszczyk w końcu spróbowałby się pana pozbyć?
- Nie mogę tego wykluczyć. Traktował mnie jak zabawkę, a zabawki się w końcu nudzą.
- Gdy niedawno w Chęcinach pojawił się Damian Wolczuk, myślał pan, że to Patryk Ruszczyk?
- Tak. Mimo upływu lat podobieństwo jest uderzające.
- Co pana przekonało, że to jednak ktoś inny?
- Widziałem prawdziwego Ruszczyka.
- Również w Chęcinach?
- Tak.
- Jak do tego doszło? Gdzie go pan zobaczył?
- Minęliśmy się przypadkowo na ulicy. Prawie na mnie wpadł, wychodząc zza rogu. Poznałem go od razu. On mnie nie. Na szczęście.
- Jest pan pewien, że to nie był Damian Wolczuk?
- Tak. Jestem pewien. Przede wszystkim Wolczuk by mnie poznał. Poza tym inaczej się ubiera i inaczej się porusza, tak bardziej miękko. Chodząc, nie kiwa się na boki ani nie garbi. Zbyt dobrze pamiętam ten chód Ruszczyka, by mieć wątpliwości. To na pewno był on.
- Czy tego dnia widział pan też Wolczuka?
- Tak, kilka godzin wcześniej.
- Czy obecność Ruszczyka pana niepokoi?
- W pierwszej chwili cholernie mnie nastraszył. Potem dotarło do mnie, że nie mógł mnie poznać. W przeciwieństwie do niego ja się bardzo zmieniłem fizycznie. Poza tym pod moją nieobecność nikt o mnie nie pytał. Nie wiem, po co się tu pojawił, ale na pewno nie z mojego powodu.
- W porządku. Dziękuję. – Trzaski i cisza.

– Hipoteza robocza. – Painer pstryknął palcami. – Piotr Florczyk to alter ego Patryka Ruszczyka. Był w samochodzie w trakcie stłuczki. Zobaczył Wolczuka i postanowił skończyć to, co zaczął piętnaście lat temu. Chce go załatwić. Tym razem na dobre.

– Jeśli ma pan rację... – Dorota pokręciła głową. – To byłaby naprawdę gruba sprawa. Tyle że tak naprawdę facet jest chory. Jeśli ma osobowość mnogą, to nie wiadomo, czy akurat osobowość mordercy jest nadal dominująca. Przez co najmniej pięć lat raczej nie, skoro dał panu spokój. U takich osób wszystko zmienia się z czasem, a ostatnio poczyniono duże postępy w leczeniu tego typu przypadków. Możliwe, że...

– Takie przypadki leczy się kulą w łeb – burknął Kryński.

– Nie w naszym kraju, aspirancie. Proszę o tym nie zapominać – upomniał go Painer. – Słucham, czy według was ma to sens?

– Jak się nad tym zastanowić, to wydaje się, że tak – przytaknął Dariusz. – Łączy wszystkie elementy.

– Ma luki.

– Jak każda hipoteza. Też uważam, że opiera się na solidnych fundamentach – zgodziła się Dorota. – Powinien pan podjąć działania w tym kierunku.

– Już podjąłem. Teraz chcę, żebyście to rozpracowali. Zbudujcie scenariusz. Połączcie elementy.

– Przecież pan...

– Drugi krąg, Kryński, pamiętasz?

– W porządku... – Dorota się zamyśliła. – Florczyk to introwertyk. Impreza z taką liczbą ludzi to dla niego duże obciążenie. Do tego coś się dzieje w trakcie. Może rzeczywiście dostał kosza, może wydarzyło się coś innego. Nieistotne co. Ważne, że pęka i chce się wracać do domu, uciec. To decyzja irracjonalna, wskazująca, że jest rozchwiany, nie myśli logicznie. Pewnie nie chce być podwieszony, ale go namawiają.

– A może jednak uznaje, że lepiej jechać niż iść? – zasugerował Kryński.

– Może. Faktem jest, że wsiada do samochodu. Piąty pasażer...

Zakładamy, że jest nim nadal, gdy dochodzi do stłuczki. Wsiadł ostatni, więc siedzi przy oknie. Rzeczywiście może zobaczyć Wolczuka.

– To słaby punkt – zauważył Painer. – Świadek zeznał, że wsiadł od prawej strony, a o Wolczuka otarli się lewą.

– Niekoniecznie. Nie znali miasta, więc nie wiedzieli, gdzie jest przystanek. Mogli go minąć i zawrócić. Wtedy zatrzymali się po przeciwnej stronie ulicy. Ruszczyk przeszedł na drugą stronę, a gdy się okazało, że nic nie jeździ, wrócił do auta. Wtedy mógł wsiąść z lewej, bo miał bliżej – zasugerował Kryński.

– Brzmi rozsądnie. – Dorota pokiwała głową. – Znajomy tłumaczył mi kiedyś, że podstawową przyczyną pojawiania się osobowości wielorakiej są głębokie traumy psychiczne, że to zaburzenie to rodzaj mechanizmu obronnego, który może uaktywniać się później w wyniku stresu. Musi to potwierdzić nasz psycholog, ale myślę, że taki stres związany ze stłuczka i widokiem Wolczuka mógł obudzić osobowość psychopatyczną. W takiej sytuacji moglibyśmy zakładać, że w piaskowni znaleźliśmy jego ofiary. Zamordował tych ludzi i oddalił się, zanim ktokolwiek przyjechał na miejsce. Samochód był firmowy, używany przez różnych ludzi i pełen śladów, które w nim zostawili. Ruszczyk o tym wiedział, więc mógł się czuć bezpieczny.

– A potem co? Wrócił do Chęcina i zaczął szukać Wolczuka? Skąd mógł mieć pewność, że tam będzie?

– Samochód Wolczuka został w rowie. Na widoku. Było logiczne, że powiążemy go z terenówką z Lipowicy i wezwiemy właściciela.

Kryński pokiwał głową.

– Albo że sam się zgłosi.

– Dokładnie. Wystarczyło, że Ruszczyk cierpliwie obserwował komisariat, a Wolczuk sam mu się wystawił. Jeśli potem go śledził do klasztoru, to mógł zobaczyć, jak rozmawia z Beatą. Myślę, że dlatego ją zabił. Zabił i finalnie planował zrobić w to Wolczuka.

– Nie znaleźliśmy na miejscu nic, co by na to wskazywało – przypomniał prokurator.

– Może uznał, że to będzie zbyt oczywiste. – Zamyśliła się. – Nie chciał powtarzać schematu sprzed piętnastu lat.

– Na pewno chciał wrobić Wolczuka w pobicie lub zabójstwo księdza – powiedział Kryński z wahaniem. – Zwabił go na miejsce i ogłuszył. Chciał, abyśmy znaleźli sprawcę przy ofierze, lecz Wolczuk zdążył się ocknąć przed naszym przyjazdem i uciekł.

– Panie aspirancie?

– Przepraszam, ale dopiero co się o tym dowiedziałem i nie zdążyłem potwierdzić. Nie chciałem robić zamieszania bez...

– To Wolczuk zabrał koralik? – wycedził Painer.

– Tak twierdzi... Twierdzi też, że kolejny mu podrzucono do klasztoru. Myślę, że dlatego się stamtąd wyniósł.

– Koraliki mogły być tym łącznikiem, który ostatecznie wskazałby Wolczuka – podsunęła Dorota. – Wtedy wychodziłoby na to, że prawdziwym celem jest Wolczuk i wszystkie morderstwa mają go pograć.

– Więc po Chęcinach grasuje psychopata...

– Niekoniecznie. – Dorota intensywnie myślała. – Zabójstwo Budziszowskiej mogło być kulminacją. Teoretycznie pierwszym podejrzanym jest Wolczuk, bo Ruszczyk raczej nie wiedział o romansie Budziszowskiej i De Latoura. Za dobrze się z tym kryli. Mógł więc uznać, że to wystarczy i wkrótce zgarniemy Wolczuka. Przy takim kalibrze sprawy cała Polska się zagotuje, a on przecież może sobie śledzić doniesienia prasowe z dowolnego miejsca... Czyli może być już daleko.

– Ale mógł też zostać, żeby załatwić Wolczuka.

– Co najwyżej obserwować, bo gdyby chciał go zabić, zrobiłby to w kościele, prawda?

– No tak.

– I co pan na to, panie prokuratorze? – Dorota nie zamierzała czekać na odpowiedź. – Wszystko się klei całkiem nieźle, ale tylko pod jednym warunkiem. To ma sens tylko wtedy, jeśli Ruszczyk naprawdę zobaczył Wolczuka i coś przeskoczyło mu w głowie. No i jeśli po tylu latach ta psychopatyczna tożsamość wciąż istnieje... Jak pan myśli?

Painer nie odpowiedział. Wstał i wyszedł z pokoju. Nie na długo. Wrócił po chwili z kartką papieru. Zagięcia wskazywały na to, że była

przez jakiś czas złożona na czworo.

– To przyszło wczoraj do prokuratury. Było zaadresowane do mnie.

Dorota siedziała bliżej. Przeleciała wzrokiem po dwóch linijkach wydrukowanych czarnym tonerem. Znajomy krój pisma, znajoma wielkość czcionki. Przeczytała na głos.

– Świat jest mały, czyż nie? Nasza trójka znów razem... I inicjały P.R.

– No pięknie! – Kryński pokręcił głową.

– We wtorek ktoś dzwonił do okręgowej na Mickiewicza i pytał o mnie. Potem zadzwonił na Sandomierską. Podał fikcyjną sygnaturę sprawy i rozłączył się po potwierdzeniu, że pracuję w tym budynku.

– Musiał obserwować plażę w Lipowicy – domyślił się Kryński. – Na przykład z przeciwległego brzegu. On jest wyżej, rośnie tam dużo drzew i krzaków. Dziesiątki kryjówek. Był tam i nas widział, a my nie widzieliśmy jego... Pana obecność mogła go dodatkowo nakręcić.

Painer pokiwał głową.

– Co teraz, panie prokuratorze? – spytała Dorota.

– Teraz skończymy i spróbujemy się wyspać – powiedział. – Jutro zrobimy to, co do nas należy.

95

Blok pogrążony był we śnie. Zza ścian nie dochodziły typowe dla dnia odgłosy kroków, pracujących pralek czy zmywanych talerzy. W kratkach wentylacyjnych nie słyhać było szumu rozmów, dziecięcych pisków ani podniesionych głosów, które wynosiłyby czyjś konflikt poza cztery ściany. Tylko samotny telewizor nadawał gdzieś usypiającą mantrę publicystyki. Zbyt odległą, by dało się zrozumieć słowa.

Damian Wolczuk siedział przy kuchennym stole. Przez okno sączyła się do wnętrza mdła poświata księżycyca. Wydobywała z mroku jego postać i krawędzie mebli. Nie sięgała głębiej. Poświata księżycyca i zimne światło matrycy sprawiały, że postać Damiana wydawała się nieruchoma i pozbawiona życia. Jak nagrobny posąg o wyrytych

dłutem ostrych, martwych rysach.

To było tylko złudzenie, bo Damian wcale nie był nieruchomy. Niezupełnie. Co jakiś czas sięgał po stojącą na brzegu stołu szklanę. Wysoką, w której wciąż było dość wody, by nie musiał odrywać się od lektury. Co jakiś czas również ziewał i przecierał zmęczone oczy. Odganiał senność, ale nie przerywał zajęcia.

Czytał notatkę po notatce. W kolejności, w jakiej je zapisał. Od samego początku, od pierwszego dnia. Wszystko, co uważał za ważne, a co układało się w chronologię wydarzeń. Wydarzeń i opierających się na nich antycypacji. W większości niepotwierdzonych, prowadzących na manowce i fałszywych. W części jednak trafnych. Mniej lub bardziej zbliżonych do rzeczywistości. Potwierdzonych z czasem. Tych drugich było kilkanaście procent. Mniej więcej piętnaście, ale dokładna liczba nie miała znaczenia. Znaczenie miało to, że były. Że w ciągu przyczynowo-skutkowym, który Damian Wolczuk starał się rozpracować, pojawiły się właściwe nuty. Drobnie okruszki znaczące drogę. Jak w bajce o Jasiu i Małgosi, tyle że w drugą stronę. Kilku ostatnich wciąż brakowało, lecz Damian Wolczuk wiedział już, gdzie ich szukać. Był Jasiem, który wie, jak odnaleźć drogę do chatki czarownicy. Do diabła...

Niedziela

96

Prokurator Arkadiusz Painer zjechał na myjnię samoobsługową w Kielcach. Upewnił się, że wszystkie szyby subaru są zamknięte, po czym wygrzebał z kieszeni kilka monet. Był wczesny poranek. Kilkadziesiąt minut do otwarcia restauracji serwującej amerykańskie żarcie. Żarcie przez niektórych uważane za modne, przez Painera za mięsopodobne odpady, nafaszerowane chemią i konserwantami tak, że powinny być ścigane z urzędu. Mimo wszystko zamierzał zjeść tam śniadanie. W drodze wyjątku i tylko z jednego, jedyne powodu. Restauracja była czynna od szóstej rano w niedzielę i serwowała coś ciepłego. Do jedzenia i picia, a do tego można też było złożyć zamówienie, nie wysiadając z samochodu. Jak na amerykańskim filmie...

O szóstej siedem ociekający wodą subaru forester wtoczył się na brukowaną alejkę okrążającą niski, podłużny budynek. Przy alejce znajdowało się kilka miejsc parkingowych. Pomimo wczesnej pory stało tam już duże, rodzinne auto, którego pasażerowie tłoczyli się przy kasie. Byli dobrze widoczni przez sięgające ziemi okna.

Rodzinka. Dwoje rodziców z trójką dzieci. Aż nazbyt stereotypowi, solidnie zbudowani, size plus, otyli czy jak to się mówi dyplomatycznie. Niedyplomatycznie – po prostu grubi. Nie tylko rodzice, ale przede wszystkim dzieci, z których żadne nie miało więcej niż dziesięć lat. Żadne nie wyglądało jak należy. Małe tłuściochy. Na to też powinien być paragraf.

Painer stracił apetyt. Objechał budynek i znalazł się z powrotem na ulicy Żytnej. Przyjemnie pustej i spokojnej. Mógł zawrócić na rondzie Giedroycia i pojechać przez Żelazną do Pierwszego Maja, a potem prosto aleją IX Wieków, która płynnie zmieniała się w Sandomierską. Mógł też jechać prosto przez Ogrodową, wzdłuż miejskiego parku, a następnie obok sądu. Wybrał tę drugą opcję.

Wcześniej jednak zjechał na stację Orlenu. Zatankował jak zwykle i poszedł zapłacić. Przy kasie poczuł zapach ciepłych parówek. To rozwiązywało jego problem. Chociaż jeden.

Do budynku prokuratury dotarł o szóstej czterdzieści dwie. Wypalił szybkiego papierosa i zabrał się do pracy. Zaczął od przygotowania nakazu aresztowania Piotra Florczyka. O ósmej zadzwonił do Warszawy. Potem wyciągnął kopie protokołów. Tych ze stolicy i tych z Chęcín. W międzyczasie skontaktował się z Kryńskim.

Około południa zadzwonił do ośrodka socjoterapii, którego adres podał mu Daniel Krawczyk. Mimo niedzieli dyrektor był na miejscu. Miał czas na rozmowę.

Oceniając po głosie, mógł mieć około czterdziestki. Energiczny i rzeczowy. Stanowisko zajmował od kilku lat. Od chwili gdy placówkę zmieniono w zakład poprawczy o charakterze otwartym. Nazwisko Ruszczyk nic mu nie mówiło. Od dłuższego czasu całą dokumentację prowadzono w wersji cyfrowej. Wszystkie dokumenty papierowe były digitalizowane. Nikt jednak nie widział potrzeby, aby wprowadzać do systemu dane archiwalne. Tym bardziej że placówka zmieniała kilka razy swoją nazwę i funkcję.

Teoretycznie w piwnicy zachowało się archiwum, ale dyrektor nie wiedział, z jakich lat. Zakurzone teczki przeznaczone były do utylizacji już od dawna. Odłożono ją jednak na czas remontu, na który wciąż brakowało środków. Z aktualnej kadry tylko jeden z opiekunów pracował tam w latach dziewięćdziesiątych. Ostatnio podupadł na zdrowiu. W środę miał iść do szpitala na zabieg. Trudno było przewidzieć, kiedy wróci do pracy.

– Do wtorku pracuje? – upewnił się Painer.

– Jutro na pewno, we wtorek nie wiem. Może będzie chciał coś

załatwić przed szpitalem.

– W porządku, dziękuję.

Rozłączył się i chciał wyjść zapalić, ale zadzwonili z Warszawy.

97

Damian Wolczuk odebrał telefon w kuchni. W trakcie rozmowy z Alicją. Nie mówili o niczym ważnym. Po prostu opowiadali sobie o młodości. Ot tak, by czas milej płynął. By się lepiej poznać.

– Cześć, Darku. – Damian mrugnął porozumiewawczo do Alicji. – Tak, słucham... Oczywiście. Tak... – Rzucił okiem na podłączony do gniazdka paralizator. Dioda świeciła się na zielono. Był naładowany. – To dobry pomysł, jasne, ale nie u ciebie. Nie... Słuchaj, Darek, spotkajmy się na rynku. W „Latarence” może być?... Rozumiem, lecz tak mi bardziej pasuje... To siądziemy przed lokalem i będziemy rozmawiać cicho. – Uśmiechnął się. – Tak, uważam, że tak będzie lepiej. Tak... Godzina jest w porządku. Do zobaczenia.

Odłożył telefon. Ekran po chwili zgasł. Alicja o nic nie zapytała. Damian nic nie wyjaśnił. Wrócili do przerwanej rozmowy.

98

Prokurator poszedł na obiad do pizzerii „Krystyna”. Była najbliżej. Ledwie trzysta metrów od budynku prokuratury. Po drugiej stronie Sandomierskiej w kierunku centrum. Była najbliżej, ale przede wszystkim dobrze tam karmili. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego, jak głosił szyld. Trzydzieści trzy lata. Jak na standardy polskiej gastronomii to niemal wieczność. Musieli dobrze karmić, skoro tak długo się utrzymali. Dobrze i tanio.

Painer usiadł przy niewielkim, okrągłym stoliku. Typowym dla takich lokali. Zamówił kawę i niedużą pizzę. Jego telefon zadzwonił. Rozmowa była krótka. Painer tylko mruzczał z aprobatą. Potem podziękował i się

rozłączył. Podano mu kawę. Na pizzę musiał jeszcze poczekać.

Choć ta nazwa mogła być dla niektórych myląca, a dla Włocha byłaby obrażą. Grube ciasto, pieczarki, sos i ser. Polska pizza. Obok zapiekane hit Peerelu. Sprzedawano ją kiedyś przez okna przyczep kempingowych, w bazarowych budkach i w lokalach. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Później zniknęła na dobre. Wyparły ją te prawdziwe. Najpierw amerykańskie, później włoskie. Umarła śmiercią kulinarną. A jednak nie do końca.

Jakimś cudem przetrwała w niewielkim kieleckim lokalu, w niezmienionej formie. Pachniała i smakowała jak kiedyś. Wyglądała tak samo – dla jednych sentymentalnie, dla innych nieakceptowalnie. Dla Painera całkiem nieźle. Im był bardziej głodny, tym lepiej.

Za oknem kilka aut czekało na zmianę świateł. Drzewa po drugiej stronie ulicy kołysały się leniwie. Blask słońca odbijał się w dachach samochodów i szybach wyrastających zza drzew bloków. Kilka osób przemieszczało się po chodniku. Painer odetchnął głęboko. Patryk Ruszczyk gdzieś tam był. Daleko lub blisko. Na pewno bliżej niż kilka dni temu. Bliżej niż przez kilkanaście ostatnich lat. Sprawca, którego nigdy nie odnaleziono. Ropiejący wrzód.

Painer nigdy nie odłożył tej sprawy na półkę, nie pogodził się z porażką. Myślał o niej, analizował, rozważał różne scenariusze, czasem śnił. W pewnym sensie nigdy nie opuścił Bieszczad. Nie mógł, póki Ruszczyk pozostawał na wolności. Świadomie traktował to jak prywatną włosienicę. Pokutę i przestrożę.

Wierzył, że to pozwala mu rzetelniej pracować. Być lepszym prokuratorem. Lepszym organem władzy państwowej, choć może gorszym człowiekiem. Coś kosztem czegoś. Wybór świadomy i subiektywnie niezbędny. Włosienica była wynalazkiem religijnym. Pierwotnie noszona przez ascetów i pokutników, miała pomóc im pamiętać o Zbawicielu, umocnić swoją wiarę. Wiara była tu istotna, a Painer wierzył bardzo mocno.

Wierzył, że wszystko powinno mieć swoje granice. Zarówno pokuta, jak i bezkarność. Jedna bezwzględnie zależna od drugiej. Uśmiechnął się. Tym razem zamierzał te granice wyznaczyć. Na dobre.

Spotkanie na rynku w niedzielę nie było najlepszym pomysłem. Damian Wolczuk przekonał się o tym, gdy tam dotarł.

Słoneczny, ciepły dzień przyciągnął do Chęcín wielu turystów. Pod parasolami przy „Latarence” było gwarno. Niemal wszystkie stoliki zajęte. Większość przez ludzi słuchających gry na gitarze. Słuchających i śpiewających, bo muzyk siedzący między stolikami coverował stare przeboje. Może przyszli tu razem, a może była to spontaniczna impreza. Nie miało to większego znaczenia. Ogródek należał do nich. Cały, z wyjątkiem jednego stolika w samym rogu. Stolika, z którego zabrano dwa krzesła, aby ustawić je bliżej gitarzysty. Dwa jednak zostały. Dokładnie tyle, ile Wolczuk potrzebował.

Usiadł przy stoliku i zamówił piwo. Nie musiał czekać na obsługę. Młody chłopak, którego widział poprzednio za barem, teraz stał i śpiewał z innymi. Nie zapomniał jednak o tym, że jest w pracy. Nie trzeba go było wołać.

Małgośka po raz kolejny mówiła, że jakiś on nie jest wart jednej łyży. Dość głośno, na kilka gardeł walczących o prowadzenie z muzyką. Wolczuk spojrzał na zegarek. Była trzynasta siedemnaście. Kryński miał się pojawić o wpół do. Rozległy się brawa, a po chwili nowe akordy. Wolczuk na próbę przyłączył się do zabawy.

– W mieścieee, co z nieeegooo za typ... – Zmarszczył czoło i zaśpiewał głośniej. – Nie wie, co to wstyzyd... – Ktoś się do niego odwrócił i uśmiechnął. Wolczuk odpowiedział tym samym. Nie śpiewał dalej. Nie musiał.

Kryński pojawił się punktualnie. Był ubrany po cywilnemu. Wyglądał na spiętego. Wolczuk wręcz przeciwnie. Uśmiechnął się szeroko i zaprosił go do stolika.

– Cześć, Darek!

– To nie jest dobre miejsce na rozmowę – zauważył Kryński.

– Wręcz przeciwnie. Trzeba mówić trochę głośniej, ale bez przesady

i będzie w porządku. Ważne, że nie da się w tym samym czasie śpiewać i słuchać, a więc wszystko zostanie między nami. Prawda?

– Mam nadzieję – mruknął policjant. – Proszę to samo! – powiedział do chłopaka, który postawił przed Damianem szklankę piwa z niewielką ilością piany. Na jej ściankach lśniły chłodne krople.

– O czym chciałeś porozmawiać? – spytał Wolczuk.

– Muszę cię ostrzec, bo jesteś w niebezpieczeństwie. Nie żartuję, Damian! – podkreślił. – Uważamy...

– My?

– Razem z prokuratorem. Posłuchaj! – Zirytował się, widząc, że Wolczuk drgnął. – Mam gdzieś wasze zaszłości, rozumiesz? Twoje i Painera. On zresztą też się z tym gryzie, ale teraz to nie ma znaczenia...

– Painer? – powtórzył bezgłośnie.

– Tak. Ten sam Painer.

– Koniec rozmowy! – rzucił Wolczuk i zamierzał wstać, lecz Kryński złapał go za rękę i przytrzymał, o mało nie przewracając szklanki.

– Siedź na dupie i słuchaj, do cholery! – warknął, a potem kontynuował już ciszej, ale szybko, w obawie, że Wolczuk spróbuje się wyrwać. – Painer uważa, że jesteś w niebezpieczeństwie. Sądzi, że to wszystko robota Ruszczyka. Tego samego, który próbował cię zrobić wtedy w Bieszczadach. Rozumiesz? Ruszczyk to psychopata. Chce cię udupić na amen. Wrobić albo zabić. Painer mnie przysłał, żebym ci to powiedział, żebym cię ostrzegł. Rozumiesz?

– To niemożliwe.

– Możliwe, ale tym razem Painer jest po twojej stronie, Damian. Gracie w tej samej drużynie. To ci miałem powiedzieć i powiedziałem. Teraz sobie możesz iść, jeśli chcesz.

Wolczuk nie odpowiedział. Rozluźnił jednak napięte mięśnie, a gdy Kryński go puścił, nie wstał i nie odszedł. Zamiast tego sięgnął po szklankę i wypił połowę jej zawartości. Gdy ją odstawił, znów był spokojny.

– To jest nieprawdopodobne, aby to wszystko się powtórzyło. Nie uważasz? Żebyśmy się nagle wszyscy spotkali w tym samym miejscu

i czasie.

– Niezupełnie. Ruszczyk prześladował Painera przez lata. Prawdopodobnie ma na jego punkcie obsesję. Ty nigdy nie dostałeś dziwnych listów?

Wolczuk pokręcił głową. Pojawił się kelner z piwem dla Kryńskiego. Postawił szklanekę i odszedł.

– Może zgubił twój trop, a teraz go znalazł – zasugerował policjant.

– Jakim cudem?

– Uważamy, że był w samochodzie, który zepchnął cię z drogi. Zobaczył twoją twarz w chwili zderzenia. To był impuls, który go sprowokował do działania. Podejrzewamy, że teraz, po latach, chce wszystko zrobić lepiej. Z większym... – Zawahał się, nie znajdując odpowiedniego słowa.

– Rozumiem. Więc co według was powinienem zrobić? Może wyjechać?

– Nie. Po prostu uważać na siebie. Nie kręcić się niepotrzebnie, a w razie czego od razu dzwonić do mnie albo do Painera. Dam ci jego numer...

– Nie! Twój mi wystarczy.

– Daj spokój, tu chodzi o twoje życie...

– Wiem, ale to nie może być tak, jak myślicie, bo to statystycznie nie jest możliwe. Ktoś tu ostro kręci i miesza w głowach.

– Damian...

– W porządku – skapitulował. – Przyjąłem to wszystko do wiadomości i będę miał oczy szeroko otwarte, dobrze? W razie czegokolwiek od razu do ciebie dzwonię, tak?

– Tak...

– Ale nie chcę widzieć Painera ani o nim słyszeć, okej?

Kryński niechętnie skinął głową.

– W porządku. Czy to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć?

– Tak.

– Świetnie, bo chciałbym, abys mi o czymś opowiedział, Darku.

– O czym?

– Chciałbym wiedzieć, jak poznałeś Beatę Chmielewską.

– Po co? – spytał Kryński. Wbrew oczekiwaniom Wolczuka nie był ani wzburzony, ani zaskoczony. Prędzej znużony. Znużony jak człowiek, który właśnie zrzucił z siebie ciężar i nie ma ochoty grzebać w przeszłości. Może rzeczywiście tak było, a może udawał. Wolczuk nie był pewien. Zresztą nie to było dla niego najistotniejsze. Nie w tej chwili.

– Mógłbym podać ci kilka lepszych lub gorszych powodów – powiedział. – Ale nie będę ich teraz wymyślał. Po prostu to dla mnie ważne. To ci wystarczy?

Kryński napił się piwa i odwrócił, jak gdyby chciał się upewnić, czy nikt ich nie podsłuchuje, albo jak gdyby potrzebował czasu, by rozważyć prośbę Wolczuka.

– Nie powinienem o tym rozmawiać – rzekł niechętnie. – To sprawa zawodowa.

– Mimo wszystko chciałbym to usłyszeć. Od ciebie – dodał wymownie. Kryński najwyraźniej nie zrozumiał aluzji.

– Nie powinienem – powtórzył. – Również ze względu na Beatę.

– Jej już to nie zaszkodzi.

– Nie zaszkodzi ani nie pomoże.

– Tym bardziej nie powinieneś mieć oporów. Szczególnie teraz, gdy podejrzewacie, że jej śmierć mogła być tylko elementem czegoś większego.

– Może masz rację. – Przystawił szklankę do ust. Pił przez chwilę, pozwalając, by piana okleiła mu wargę i nos. W końcu odstawił piwo. Wytarł się wierzchem dłoni. – Okej, Damian, niech będzie. Ale nie chcę, abyś kiedykolwiek o tym gdzieś pisał. Ani nikomu powtarzał, dobrze?

– Jasne.

– To było kawał czasu temu. Byliśmy wtedy na nocnym patrolu, wracaliśmy ze zgłoszenia. Chyba przed północą, nie pamiętam dokładnie, zauważyliśmy dziewczynę błąkającą się przy drodze. To była Beata. Ktoś ją tu przywiózł. Prawdopodobnie z daleka. Brutalnie zgwałcił i zostawił w lesie.

Kryński opróżnił szklankę.

– Była w szoku, nie wiedziała, co się stało i gdzie jest. Nie wiedziała,

kto jej to zrobił. Gdy ją zabieraliśmy z tej drogi, była spokojna. Dopiero w radiowozie dostała szału. Okazało się, że wciąż była na haju. Miała srogi lot. Tak srogi, że nie udało nam się jej uspokoić. Próbowaliśmy się wydostać w trakcie jazdy, wrzeszczała, by ją wypuścić, a gdy tego nie zrobiliśmy, wymazała nam wszystko własnymi... Domyśl się czym – mruknął. – Musieliśmy zawołać dwóch chłopaków, żeby pomogli ją przeprowadzić na komisariat. Próbowaliśmy ściągnąć lekarza, ale nie chciał ruszyć dupy. Kazał sobie przywieźć pacjentkę do Nowin. Chłopaki zabrali ją innym radiowozem. Nasz trzeba było wymyć w środku. Na początku myśleliśmy, że ktoś jej coś podał i dlatego tak szalała. Ale to nie było to. Beata była klasyczną ćpunką. W cugu od kilku tygodni. Nawet później nic nam nie była w stanie powiedzieć. Ani kto, ani kiedy, ani gdzie. Wszystko jej się mieszało. To niestety częste. I to wszystko, Damian. Jesteś zadowolony?

– Kto ją zgwałcił?

– Nie wiadomo. Udało się ustalić, że dzień wcześniej przebywała w Krakowie. Poznała w pubie faceta, razem opuścili lokal późnym wieczorem. Rano wysadził ją na stacji w Bibicach. Twierdził, że sama go o to prosiła i rozstali się w zgodzie. Zeznania pracowników i nagranie z monitoringu to potwierdziło. Facet wrócił do Krakowa, a ona skorzystała z toalety. Rozmawiała z chłopakiem od tankowania gazu. Zeznał, że była dziwnie rozkojarzona, jak naćpana. Kręciła się chwilę między dystrybutorami, a potem poszła drogą. Na ostatnim ujęciu z kamery widać, że próbuje łapać okazję. To wszystko. Później byliśmy już my, prawie sto kilometrów dalej. Śledztwo umorzono ze względu na brak możliwości wykrycia sprawcy.

– Beata pamiętała ten moment? To, jak ją znaleźliście?

– Nie. – Kryński pokręcił głową. – Nie pamiętała też kilku następnych dni. Dopiero potem leki zaczęły działać.

– O której ją znaleźliście?

– Nie pamiętam już dokładnie, to było dawno.

– A twój partner będzie pamiętał?

– O co ci chodzi, Wolczuk?

– O nic. – Spojrzał na zegarek. – Dzięki za rozmowę. Muszę już iść.

Kryński kiwnął głową.

– Idź, tylko pamiętaj o tym, co ci powiedziałem, i w razie czego...

– Myślę, że nie będzie takiej potrzeby – uciał Wolczuk, wstając. Wsadził dziesięć złotych pod szklankę i przecisnął się między stołem a ogrodzeniem.

– Jeszcze jedno. – Odwrócił się do Kryńskiego. – Jak jutro pracujesz?

– Mam nocny patrol.

– W porządku. To do zobaczenia.

– Tak, do następnego... – Kryński chciał jeszcze coś dodać, ale Wolczuk go nie słuchał. Odwrócił się i odszedł. Kryński patrzył, jak się oddala. Śledził go wzrokiem do momentu, aż nie zniknął w jednej z uliczek. Potem wyciągnął telefon.

100

Popołudnie w lesie było parne. Słońce zieleniło liście, wciskając się między nie złotymi refleksami. Owady tańczyły nad wąską ścieżką. W oddali ćwierkały ptaki. Mężczyzna miał dobrze po pięćdziesiątce. Był stosunkowo chudy i żyłasty. Resztką siwych włosów okalała jego głowę wąskim pasem ciągnącym się od ucha do ucha. Były wilgotne od potu. Miał na sobie luźną sportową koszulkę i obcisłe spodenki. Na nogach lekkie trekkingowe buty dobrej marki i skarpetki z logo tego samego producenta.

Zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech i sprawdzić na zegarku kardio aktualny puls i spalone kalorie. Do założonego pułapu brakowało mu jeszcze kilkuset. Wiedział jednak, że bez problemu je spali.

– Kika! – krzyknął. Był przekonany, że nie tylko osiągnie założony poziom, ale dość znacznie go przekroczy. Nawet jeśli miałby wracać spacerkiem. To było oczywiste, biorąc pod uwagę, że odpowiednio obniżył oczekiwania. Zagwizdał głośno, rozkazująco.

Owszem, mógł realnie je określić i ruszyć w las bez pewności, że uda mu się im sprostać. Kiedyś tak robił. Podejmował prawdziwe wyzwania

i mierzył się z własnymi ograniczeniami. Tylko co mu to dawało? Czasem radość z sukcesu, czasem gorycz porażki. Wielkie nic.

Dlatego w pewnym momencie przestał to robić. Przestał sobie udowadniać, że da radę przebiec kilometr więcej lub spalić jeszcze kilkadziesiąt kalorii. Miał ponad pięćdziesiąt lat i w pewnym momencie zrozumiał, że to i tak bez sensu. Że młodszy już nigdy nie będzie, a do utrzymania kondycji wystarczy trochę ruchu. Rozrywki, a nie walki.

– Kika, do nogi!

Naturalnie w ten sposób oszukiwał sam siebie, lecz satysfakcja z osiągnięcia wyników była tego warta. Sto trzydzieści, sto pięćdziesiąt, a czasem i więcej procent normy. Brawa dla tego pana!

– Kika! – Rozejrzał się, ale nigdzie nie było widać psa. – Gdzie jesteś, do cholery?!

W odpowiedzi usłyszał szczekanie. Pies nie przybiegł. Nie był jednak daleko. Najwyżej kilkadziesiąt metrów na lewo od ścieżki. Niewidoczny ze względu na krzaki i ukształtowanie terenu.

– Kika, do nogi! – spróbował jeszcze raz i znów odpowiedziało mu szczeknięcie. W porządku, pomyślał. Nie przyszła góra do Mahometa, to Mahomet przyszedł do góry. Zrobił jeszcze kilka kroków i zszedł ze ścieżki w miejscu, gdzie krzaki na to pozwalały.

Znał tę okolicę, więc szedł ostrożnie. Wiedział, że teren jest tu nierówny i zaraz zacznie opadać. Dalej był niewielki wąwóz, skąd dawno temu wydobywano piach i gdzie potem przywożono odpady. Segregacja po polsku: śmieci spalane w nocy i wywożone do lasu – pomyślał z przekąsem. Może ktoś przypomniał sobie o tym miejscu i znów coś wywiózł. Może jakieś resztki z uboju albo coś innego, czym mógł się zainteresować pies. Jeśli coś zżarła, to pożałuje.

Ścisnął w ręce smycz. Był co prawda przeciwnikiem przemocy, szczególnie wobec zwierząt, ale był też zwolennikiem dyscypliny. Pies zaszczekał, słysząc, że właściciel się zbliża. Zamerdał ogonem. Potem zawarczał.

– Kika? – Mężczyzna ominął pozostałości zardzewiałej lodówki i przystanął na skraju wąwozu. – Kika, chodź tu! Zostaw!

Samochód był srebrny, czterodrzwiowy. Musiał tu stać już kilka dni,

bo na przykurzonych i oblepionych szybach skraplająca się o poranku rosa wyłobiła swoje koryta. W pierwszej chwili mężczyzna pomyślał, że może ktoś go ukradł i tu porzucił. Czasem się to zdarzało. Choć teraz kradziono samochody głównie po to, aby je sprzedać na części, nie po to, by sobie pojeździć. A potem to zauważył. Rój much szturmujących bagażnik, próbujących dostać się do środka.

– Zostaw, Kika! – powtórzył. Niepotrzebnie, bo pies już siedział przy jego nodze. Merdał, słysząc swoje imię.

Mężczyzna nie ruszył się z miejsca. Nie zamierzał podchodzić bliżej ani zaglądać do auta. Oglądał dość filmów, by się domyślać, co może być w środku. Nie chciał mieć później koszmarów. Nie chciał też, by go mieszano w jakieś podejrzone sprawy. Uznał więc, iż najrozsądniej byłoby po prostu odejść i udawać, że nic nie widział. Prędzej czy później i tak ktoś znalazłby to auto i zawiadomił policję. Może nawet jeszcze dziś. To było możliwe, bo w niedzielę w okolicy kręciło się zawsze wielu turystów. Co prawda w pobliżu nie było żadnego szlaku, ale może akurat...

Oszukiwał sam siebie, w dodatku bezskutecznie. Z wahaniem sięgnął do szaszetki po telefon. Dwie kreski zasięgu. Kto by pomyślał. Jeszcze kilka lat temu nie było go tu w ogóle. W takiej sytuacji powinien zawiadomić policję. To było oczywiste. Zawiadomić i czekać, aż tu dotrą, a potem przepytają go, jak się tu znalazł i tak dalej. Powinien spełnić swój obywatelski obowiązek. Tym bardziej że nie miał nic na sumieniu.

Mężczyzna miał jednak lepszy pomysł. Zamiast na policję wybrał numer do syna. Syn narzekał ostatnio na niepewną sytuację w pracy. Być może ten samochód i jego zawartość mogły mu pomóc. Cokolwiek kryło się w bagażniku, i tak powinno być dobrym tematem do gazety.

Dorota Kowalska była rozdrażniona tym, że Kryński do niej nie przyjechał. Miał się pojawić wieczorem, ale zadzwonił, że coś mu

wypadło. Nie mówił co, nie silił się na wymówki. Po prostu stwierdził fakt. Bezczelny drań! Oczywiście nie nazwała go tak. Nie powiedziała też, żeby się pieprzył, choć to właśnie pomyślała. Nie chciała jednak, by miał satysfakcję. Żeby wiedział, że jej zależało. Bo nie zależało. Na pewno nie tak, jak by tego oczekiwał.

Dlatego odpowiedziała mu, że okej, i szybko go spławiła. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Tym bardziej że w pierwszej chwili była naprawdę wkurzona. Na Kryńskiego i na siebie. Na Kryńskiego wiadomo, a na siebie, bo wiedziała, że teraz będzie o tym myśleć. Że zacznie sobie wmawiać, że już się nią znudził albo że ciągle myśli o tej myszy z Chęcín. Niech sobie do niej idzie! Najbardziej jednak ją wkurzyło to, że w ogóle się przejęła.

– Niejednemu psu Burek na imię – skwitowała, przeglądając się w lustrze. Próbowwała myśleć o czymś innym, ale średnio jej szło. W telewizji puszczała jakąś papkę dla głupków, w radiu same reklamy. Próbowwała przywołać kota, lecz miał ją gdzieś. Popatrzyła na niego z niechęcią i pomyślała, że mógłby się wabić Kryński.

Westchnęła i sięgnęła po książkę. O mózgu psychopaty, jakiegoś amerykańskiego autora. Zamówiła ją spontanicznie w przedsprzedaży. Książka okazała się jednak zbyt ogólna. W dodatku – jak to u Amerykanów – z dużą ilością powtórek. Nietrafiony zakup. Również przepłacony. Kilka dni od premiery tę samą książkę można było kupić o trzydzieści procent taniej. Mimo to otworzyła ją i zaczęła czytać. Tylko po to, aby zająć czymś myśli.

Działało przez jakieś pół godziny, a potem znów gdzieś między linijkami tekstu zaczął przeciskać się Kryński. Nie przecisnął się jednak. Melodyjny dzwonek w cichym mieszkaniu wydawał się o wiele głośniejszy, niż był w rzeczywistości. Przestraszony kot schował się pod wersalkę. Dorota odłożyła książkę.

Telefon leżał w kuchni na stole, tam gdzie go zostawiła. Przesuwał się wolno pod wpływem wibracji. Na ekranie spodziewała się zobaczyć twarz Darka, ale to nie on dzwonił. Zdjęcia nie było. Tylko domyślny awatar i podpis „Prorok”.

– Tak, panie prokuratorze? – Powstrzymała się od zwrócenia mu

uwagi, że jest niedziela. Dzwonił w dobrym momencie, miał wycucie. – Słucham? – Painer albo był na ulicy, albo jechał autem. Trudno to było ocenić. – Tak, myślałam o tym. Tak, nadal uważam, że to ma sens. Aha... Aha... – Odruchowo pogłaskała kota, który otarł się o jej nogi. – Tak, ma pan rację... Tak... Naprawdę? Aha... Ale jak? – Usiadła przy stole. – Na serwerze, rozumiem... To by było... Tak. Słucham? Koralik i kość? Tak... Jeszcze nie ma wyników, rozumiem... Wie pan, że oni nie lubią się śpieszyć, pewnie jeszcze z tydzień będzie trzeba czekać. Niestety nie, nie mam w tym laboratorium nikogo znajomego. Przykro mi. – Zmarszczyła brwi. – Legenda? Tak, rzeczywiście średnio... Kryński próbował się dowiedzieć – przypomniała. – Pytał zakonników i regionalistów, ale nikt nic nie wie. Tak... Raczej wątpię... Tak, potrafię... Mogę, oczywiście. Słucham? Nie, nie ma problemu, mam dziś czas. Tak, dobrze, pogrzebię. Oczywiście, jeśli tylko cokolwiek znajdę, to dam znać. Dobrze, bez względu na godzinę. Tak, dziękuję, do usłyszenia.

Odłożyła telefon. Nastawiła wodę i przyniosła laptopa. Podłączyła ładowarkę do gniazdka. Gdy elektryczny czajnik zasygnalizował koniec pracy, zrobiła sobie kawę. Wyjęła z lodówki ledwie napoczętą napoleonkę. Zdażyła otworzyć przeglądarkę, gdy przyszedł esemes od Painera. Dodatkowe tematy do wyszukania. Czemu nie? – pomyślała. Zwykła wyszukiwarka potrafiła czasem dać ciekawe wyniki. Ciekawsze niż oficjalne bazy danych. Wszystko było kwestią perspektywy.

Zaczęła od wpisania frazy „diabeł w Chęcinach”, potem dodała słowo „historia”. Równolegle otwarła trzy przeglądarki. Nie tylko tę największą, najbardziej znaną, ale również dwie mniejsze, które korzystały z zupełnie innych algorytmów. Nauczył ją tego były facet, który robił za mózgowca od śledzenia i namierzania poszukiwanych w sieci. Był w tym dobry. Chyba tylko w tym.

„Historię” zamieniła na „legendę”, a następnie na „klechdę”. Przyniosła sobie notatnik i zaczęła zapisywać frazy, żeby ich nie powtarzać. Cierpliwie przeglądała wyniki. Nie patrzyła na zegarek. Zrobiła kolejną kawę i szukała dalej. Różańca, krzyżaków, Küchmeistera von Sternberga, franciszkanów, Rakoczego. Wszystkiego,

co mogło naprowadzić na legendę, którą opowiedział Wolczukowi stary zakonnik, a którą, przez Kryńskiego, uznali za istotny element układanki... Ale coś tu nie grało. Painer miał nosa, musiała mu to przyznać. Teraz i ona zaczynała podzielać jego niepokój, tyle że dopiero po kilku godzinach ślęczenia przed monitorem.

Gdy kończyli rozmowę, Painer powiedział, by zastanowiła się nad implikacjami niezależnie od tego, co znajdzie, i żeby dopiero potem dzwoniła. W pierwszej chwili nie rozumiała, o co mu chodzi, ale teraz zaczęło to do niej powoli docierać.

Legenda o przeklętym mnichu była ważniejsza, niż początkowo zakładali. Myśleli, że to tylko zasłona. Fałszywy trop, który miał wyprowadzić śledztwo na manowce. Kierunek, który Ruszczyk im podsunął, aby błądzili. To się zapewne zgadzało, tyle że nie było ważne. Sama legenda nie była istotna. Istotne było to, w jaki sposób się pojawiła. Jak się o niej dowiedzieli.

Kryński rozmawiał z Wolczukiem, a Wolczukowi legendę opowiedział zakonnik. Teofil, którego nazwisko było nieznane. Nie wiadomo, gdzie teraz przebywał, a co gorsza, nikt w klasztorze go nie kojarzył. Trudno ich było podejrzewać o kłamstwo. Musieli to jednak brać pod uwagę.

Wolczuk mówił, że wcześniej pojawił się starszy człowiek z Niemiec, który był na zamku w Chęcinach z wycieczką. Wolczuk nie pamiętał, czy ten człowiek się przedstawił, ale wskazał przewodnika, który ich oprowadzał. Kryński z nim rozmawiał, bo się znali. Przewodnik nie potrafił jednak nic powiedzieć na ten temat. Miał do tego prawo. Orowadzał od kilku do kilkunastu takich wycieczek dziennie. Trudno, aby wszystkich pamiętał. Nie słyszał jednak o samej legendzie, a ponoć jest dość mocno zafiksowany na punkcie historii Chęcin.

Na tym etapie Dorota zawahała się, czy nie zadzwonić do Kryńskiego, by jej jeszcze raz wszystko powtórzył. Możliwe, że powinna, a jednak tego nie zrobiła. Nie chciała, aby uznał, że znalazła sobie pretekst, by z nim porozmawiać.

Nastawiła wodę i zalała herbatę. Trzecia kawa byłaby przesadą. Jeszcze raz próbowała sobie przypomnieć wszystkie możliwe punkty zaczepienia. Upewnić się, że żadnego nie przeoczyła. To było ważne, bo

przez te kilka godzin nigdzie nie znalazła potwierdzenia legendy o różańcu. Różańcu, który miał być darem od późniejszego wielkiego mistrza dla checińskiego franciszkanina i który miał odpędzać złe moce.

Owszem, pobyt Michała Kuchmeistera w tysiąc czterysta dziesiątym roku w Chęcinach był faktem. Osadzono go tam po bitwie pod Koronowem na kilka miesięcy. Wielkim mistrzem został parę lat później. Nigdzie jednak nie było żadnej wzmianki o różańcu z Ziemi Świętej.

Spojrzała na rząd otwartych zakładek i wybrała właściwą. Zakon krzyżacki powstał w okresie trzeciej krucjaty, w tysiąc sto dziewięćdziesiątym roku. Co prawda trzy lata wcześniej muzułmanie odbili Jerozolimę, ale jeszcze wcześniej chrześcijanie władali nią osiemdziesiąt osiem lat, mieli więc dość czasu, by przerobić czyjeś kości na paciorki. Tym bardziej że sznury z koralikami służące do odmierzania powtórzeń modlitewnych podpatrzyli u muzułmanów z Palestyny.

Teoretycznie zatem kościany różaniec mógł wtedy powstać, dotrzeć do Europy z powracającym z krucjaty rycerzem lub zakonnikiem, a po latach Kuchmeister mógł wejść w jego posiadanie. Prawdopodobne, ale nie potwierdzone. Dorocie nie udało się też ustalić, czy istniał taki artefakt. Różaniec z kości strażników Grobu Pańskiego. Nic. Ani po polsku, ani po niemiecku.

To było dziwne, biorąc pod uwagę średniowieczną modę na podrabiane relikwie. Z przechowywanych do dziś gwoździ i drewna pochodzących rzekomo z krzyża Pańskiego można by zbić ze dwie stodoły. Paluszków świętych pewnie nikt nie byłby w stanie policzyć. Taki różaniec odpędzający złego byłby jak znalazł, aby zrobić na nim interes. A jednak nic na ten temat nie było. Nie było, lecz przy zwłokach znaleźli kościane paciorki, a Wolczuka ktoś nastraszył legendą o diable.

To też sprawdziła. Nie samego diabła, ale najazd wojsk Rakoczego. Rzeczywiście zabito wtedy trzech zakonników, a klasztor splądrowano. Zgadzały się również kataklizmy nawiedzające miasteczko przez lata.

Powiedzmy, bo Wolczuk wspominał o tym Kryńskiemu tylko ogólnikowo. W każdym razie wszystko opierało się na faktach, tylko brakowało łącznika. Brakowało potwierdzonej legendy. Legendy, która świetnie pasowała, a którą ktoś znał albo wymyślił. Na pewno postarał się, by dotarła do właściwych uszu.

I to mogło okazać się kluczowe. Bo jeśli Ruszczyk wymyślił całą legendę, to by znaczyło, że zarówno facet podający się za turystę z Niemiec, jak i przede wszystkim zakonnik Teofil musieli być z nim w zмовie. Być narzędziami, elementami gry. Zrobili, co do nich należało, i zniknęli. Sięgnęła po telefon, ale zrezygnowała. Jeśli ci dwaj rzeczywiście byli w zмовie z Ruszczykiem, to kto jeszcze może być?

102

Daniel Krawczyk spojrział na zegarek na dole ekranu. Była dwudziesta trzecia sześć. Przekleństwo cisnęło mu się na usta, ale nie przeklął. Westchnął tylko ze złością. Wstał, zgarnął leżące na stole klucze od bramy i wyszedł z pokoju. Nie wyłączał komputera, bo i tak zaraz wracał. Miał jeszcze trochę zaległych arkuszy do uzupełnienia. Żmudnej roboty, przez którą stracił rachubę czasu. Stracił, choć nie powinien. Teoretycznie nic się nie stało. Nikt tego nie zauważył, a nawet jeśli, to z pewnością nie przywiązał do tego żadnej wagi. Nie do takiej błałostki.

Mimo to Krawczyk był na siebie zły. Od lat był przyzwyczajony do dyscypliny. Od siebie zawsze wymagał więcej niż od innych i dlatego go to bolało. Stanowiło rysę, słabość charakteru. Słabość, która wydawała się napływać z wiekiem. Z nikim nigdy o tym nie rozmawiał, ale coraz wyraźniej ją czuł. Przesączała się wolno przez upływające lata, jak wilgoć przez fundament. Budziła lęk, że zbliża się do wieku, gdy wszystko zacznie przychodzić mu z coraz większym trudem, a potem przelatywać przez palce. To była jedna z nielicznych rzeczy, jakich się bał.

Szybkim krokiem przeszedł przez pusty klasztorny dziedziniec.

Obowiązywała już cisza nocna. Pomieszczenia ośrodka pogrążone były w mroku. Podobnie jak budynek, gdzie mieszkali bracia zakonnicy, poradnia i zabudowania gospodarcze. Tylko w pokoju, który przed chwilą opuścił, wciąż paliło się światło. Samotny jasny prostokąt na piętrze. Jaśniejszy od wątego blasku żarówek tłących się nad zamkniętymi już na noc drzwiami.

Na dobrą sprawę i je można by było gasić, lecz wtedy cały dziedziniec tonąłby w mroku. Stawałby się nieprzyjemny i obcy. Trudno by się było po nim poruszać, a czasem istniała taka potrzeba. Poza tym żarówki były słabe, więc nie kosztowały wiele.

Krawczyk wszedł w cień bramy, żeby ją zamknąć. Wysokie ażurowe kraty skrzypiały cicho, sugerując, że zawiasy będą wkrótce wymagały oliwienia. Łańcuch zastukał metalicznie. Krawczyk wsadził klucz do zamka, ale go nie przekręcił. Zwalił się bezwładnie na ziemię.

Stojący za nim człowiek odczekał kilka sekund, by się upewnić, czy terapeuta na pewno jest ogłuszony. Następnie oparł stalową rurkę o ścianę i schylił się, żeby spętać ręce i nogi Krawczyka szeroką taśmą. Na koniec okleił mu też usta. Na wszelki wypadek przeciągnął taśmę wokół głowy, aby się nie odkleiła, gdyby Krawczyk ocknął się zbyt wcześnie. Sprawdził jeszcze puls, upewniając się, czy nie walnął zbyt mocno. Potem ułożył jego bezwładne ciało wzdłuż ściany, twarzą do niej.

Spojrzał na zegarek. Była dwudziesta trzecia trzynastej. Zakładał, że Krawczyk pozostanie w tym stanie co najmniej pięć minut. Przez kolejne będzie oszołomiony. Później spróbuje się oswobodzić. Musiał się więc śpieszyć. Zabrał rurkę i ruszył szybkim krokiem przez dziedziniec. Prosto do drzwi, ponad którymi po lewej paliło się światło.

Damian Wolczuk wspinał się cicho po schodach. Stanął tuż przy drzwiach, przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał chwilę. Potem ostrożnie nacisnął klamkę i wszedł do środka. Rozejrzał się z uniesioną gazurką, gotów zaatakować, gdyby ktoś był w pomieszczeniu. Nie było jednak nikogo. Tylko on. On i szumiący na biurku komputer.

Usiadł przed monitorem. Przez moment bał się, że może Krawczyk zabezpieczył komputer hasłem, a wtedy wszystko pójdzie na marne, ale

hasła nie było. Cały ekran wypełniała kolorowa tabela. W jednej z komórek mrugał kursor. Damian zrzucił ją na pasek i przywołał okno wyszukiwania plików. Wpisał w nie „Chmielewska” i nacisnął enter. Musiał chwilę poczekać.

Gdy program skończył pracę, wyników było kilka. Otwierał je po kolei i wertował. Przy dwóch zatrzymał się na dłużej. Na koniec wszystkie zgrał na niewielki pendrive. Rzucił okiem na zegarek. Miał jeszcze chwilę czasu.

Wpisał w wyszukiwarkę nazwisko „Kryński”. Trzy katalogi zdjęć. Wszystkie pochodziły sprzed kilku lat, z jakichś imprez albo eventów. Niektóre były dość interesujące, ale niewarte skopiowania. Tylko zdjęcia, żadnych plików tekstowych.

Spróbował pod „Darek”. Pojawiły się dokumenty, lecz z innym nazwiskiem. Zignorował je. Wyciągnął pendrive i wstał. Nie wyszedł jednak. Coś mu przyszło do głowy.

Cofnął się z powrotem przed monitor i wpisał swoje nazwisko. Zaklął pod nosem, widząc katalog z kilkunastoma zdjęciami. Wszedł do środka i przejrzał miniatury. Od razu rozpoznał swoją twarz. Domyślił się, kiedy i gdzie je zrobiono. Poza zdjęciami nie było nic więcej.

Znów spojrzał na zegarek. Powinien już iść. Mimo to wpisał jeszcze nazwisko „Ruszczyk”. Obserwował z uwagą ekran, aż zobaczył komunikat o braku wyników. Poczuł ukłucie zawodu. Wpisał „Krawczyk”. Pliki i katalogi, za dużo, by wszystko kopiować. Mimo to umieścił znów pamięć w USB i zgrał na nią dokumenty tekstowe. Resztę zignorował.

Spojrzał na zegarek. Naprawdę powinien już iść. Mimo to zdecydował się skończyć, sprawdzić wszystkich. Wpisał nazwisko Alicji i nie odrywał oczu od ekranu. Po Alicji został jeszcze Teofil. Przeczucie podpowiadało mu, że to ważne.

z przekreśloną nazwą „Kielce”. Przez moment zdawała się świecić coraz mocniej, a potem zgasła nagle. Samochód ją minął. Kierował się na północny zachód. Nie przekraczał dozwolonej prędkości.

Prokurator Arkadiusz Painer włączył radio i przez chwilę szukał stacji, gdzie puszczano żywszą muzykę. Taką, która nadawała się do blisko czterogodzinnej jazdy, nie usypiała. To zawsze go zastanawiało. Po jaką cholere większość stacji grała w nocy spokojne kawałki? Nie trzeba przecież być tytanem intelektu, by rozumieć, że ci, którzy słuchają radia w środku nocy, najczęściej starają się w ten sposób umilić sobie czas pracy. Pracy albo podróży. Zająć czymś głowę, by odpędzić sen. Zachować trzeźwość umysłu. Sto jeden ballad sączących się z głośnika im tego nie ułatwiało. Wręcz przeciwnie.

Kiedyś zadał to pytanie dziennikarzowi radiowemu z lokalnej rozgłośni. Usłyszał, że chodzi o klimat i oczekiwania słuchaczy. Noc kojarzy im się ze spokojem. Jest przeciwieństwem zgiełku dnia. Takie wyniki przyniosła ankieta, którą przeprowadzono kilka lat wcześniej. Dziennikarz nie był jednak w stanie określić, ilu respondentów biorących w niej udział pracowało w nocy. Słuchało radia dłużej niż do pierwszej nad ranem. Ankieta tego nie uwzględniała.

Ankiety często nie uwzględniały istotnych elementów, które wpływały na ich interpretację. Dlatego z reguły wyciągano z nich niewłaściwe wnioski. Niewłaściwe albo wygodne. Blaski i cienie statystyki. Kiedyś na przykład ustalono, że na pewnym obszarze zwiększyła się liczba bocianów. Równoległe na tym samym terenie przyszło na świat więcej dzieci. To były fakty. W pełni mierzalne i możliwe do porównania. Pozostawała kwestia interpretacji.

Co zabawne, znaleźli się tacy, którzy owe badania uznali za potwierdzenie tego, że bociany przynoszą dzieci. W dwudziestym wieku. W czasach szerokiego dostępu do edukacji. W epoce internetu. Dla Painera było to niepojęte. Nie rozumiał, jak ktokolwiek mógł tak pomyśleć, brać sprawy „na chłopski rozum” i wyciągać tak absurdalne wnioski. Tym bardziej że łatwo można było sprawdzić, iż bociany preferują tereny z dala od wielkich miast, ale jednak przy człowieku. To dlatego, że nie przepadają za wysoką trawą ani gęstymi zaroślami.

Tym bardziej lasem. Trudniej im tam zdobywać pożywienie.

Z tego powodu już w średniowieczu nauczyły się korzystać z pracy człowieka. Z wycinania przez niego drzew pod pola uprawne i pastwiska. Stanowiące, obok mokradeł, idealne miejsca żerowania. Siłą rzeczy ciche, spokojne i zdrowe. Sielskie. Ludzie w pewnej chwili też zatęsknili za sielskością. Po latach przestali ciągnąć do miast. Zaczęli z nich odpływać. Szukali tego samego co bociany. Ciszy i spokoju, ale nie zadupia, bo na spokój trzeba zarabiać.

Nagle tereny wiejskie położone w promieniu kilkunastu kilometrów od granicy miast, od pracy i sklepów, stały się bardzo popularne. Gdzieś więc musiało się to wydarzyć. Zbiec w czasie. Może akurat wycięto większą część lasu. Pod działki budowlane albo nowe pola. Przybyły bociany. Pobudowali się ludzie. Jedni i drudzy dochowali się potomstwa. Liczby urosły. Wyszło zabawnie. Zwyczajna rzecz. Logiczna. A jednak znaleźli się tacy, którzy woleli doszukiwać się wymyślonych zależności. Doszukiwać i bronić tych bzdur.

Painer czytał o tym kiedyś artykuł i nie wierzył, że ktoś może myśleć tak na poważnie. Potem jednak dowiedział się o ludziach, którzy wierzą, że nie było lądowania na Księżycu, którzy podważają zasadność szczepień lub kulistość Ziemi. Biorą świat „na chłopski rozum”. Pomimo powszechnego dostępu do wiedzy nie chcą po nią sięgać. Wolą ignorować to, czego nie rozumieją, i przez to wyciągają błędne wnioski, na których później budują spiskowe teorie. W końcu wpadają w samonapędzające się koło fikcji, coraz mocniej się w niej utwierdzają. Odwracają się od realnego świata, błędzą...

Najprościej można byłoby ich nazwać głupcami, ale Painer tego nie robił. Wiedział, że to może przytrafić się każdemu. W mniejszym lub większym stopniu. Wszystkiemu winny jest sposób działania naszego mózgu. Mechanizm dostosowania, który stara się dopasowywać starą wiedzę do nowych sytuacji. Opierać na tym, co już zna, i postępować według schematów.

To niezbędny mechanizm. Bez niego nie potrafilibyśmy użyć długopisu, jeśli wcześniej znaliśmy tylko ołówek. Niezbędny, ale też niebezpieczny, bo oparty na upraszczaniu. Upaszczeniu w celu

oszczędzania zasobów. W tym wypadku energii potrzebnej do zasilania mózgu. Pierwotny instynkt. Wiemy, jak użyć długopisu, ale nie interesuje nas to, jak dokładnie działa. W pewnym sensie to uzasadnione. Nie potrzebujemy tej wiedzy, by z niego korzystać...

Painer zatrzymał się na światłach. Paliło się czerwone, mimo że nigdzie nie było widać pieszych. Jadąca z naprzeciwka ciężarówka zignorowała sygnalizację. Przejechała przez przejście, ledwie zwalniając. Painer poczekał, aż zapali się zielone, i dopiero wtedy ruszył dalej. Wrócił do przerwanej myśli.

Nawet jeśli mniej więcej wiemy, jak działa długopis, to mało kto jest w stanie wytłumaczyć, dlaczego kulka z niego nie wypada. Mózg stara się oszczędzać zasoby, jest leniwy. Dlatego łatwo zadowolić się prostymi odpowiedziami albo ich namiastką. Łatwo wpaść w pułapkę i uwierzyć, że nie ma sensu podawać ich w wątpliwość. To wygodne. Łatwo się do tego przyzwyczaić. Łatwo popełniać błędy. Stracić czujność, przestać dociekać i kwestionować. Łatwo osiąść na mieliźnie fikcji.

Ta świadomość nie pozwalała Painerowi śmiać się z ludzi wierzących w płaską Ziemię. Zmuszała go, by im współczuł. Współczuł tego, iż tak bardzo pograżyli się w intelektualnym lenistwie, że nie są w stanie go dostrzec. Współczuł im więc i bał się jednocześnie. Bał się, że i on może kiedyś stać się jednym z nich. Że nie zauważy chwili, gdy zacznie się zadowalać prostymi rozwiązaniami, gdy przestanie podawać je w wątpliwość. Dlatego po raz kolejny zaczął rozważać sprawę Ruszczyka. Element po elemencie, fakt po fakcie.

Ruszczyk to Florczyk, Florczyk to Ruszczyk. Nowa tożsamość co najmniej od pięciu lat. Może dłużej. Nowa albo przejęta od kogoś. Ludzie czasem gubią dokumenty, czasami sami je sprzedają. Może istnieje drugi Florczyk. Istnieje albo istniał?

W poniedziałek powinny być porównawcze wyniki z baz danych. Jeśli gdziekolwiek pojawiły się dwa te same PESEL-e, będą o tym wiedzieć. Chyba że wcześniej uda się przesłuchać Florczyka. Istniała taka szansa. Po to dzwoniли do Painera z Warszawy. Dali znać, że trafili na jego trop. Wyjątkowo szybko. Kierownik śledczy, który go o tym

informował, dał do zrozumienia, że odwalili kawał dobrej roboty. Painer wierzył raczej, że mieli fart. Ale szczegóły nie były istotne, liczył się ślad.

Florczyk prowadził prywatną korespondencję z firmowego maila. Wiadomości kasował ze skrzynki. Nie mógł ich jednak usunąć z serwera. Wciąż tam były. Wysyłane i odbierane. Chciał zmienić pracę. Przez kilka tygodni negocjował z inną firmą. Złożył aplikację w warszawskiej centrali. Zaproponowano mu oddział w Radomiu. W miniony piątek miał się stawić na rozmowę.

Ani centrala, ani oddziały tej firmy nie pracowały w weekendy. Pod każdym numerem odzywała się automatyczna sekretarka. Na potwierdzenie musieli więc poczekać. Niekoniecznie ze związanymi rękami. Mimo niedzieli Painer zrobił, co mógł.

Radomska policja miała przed sobą gorący poniedziałek. Warszawska kawaleria czekała w gotowości. Istniało duże prawdopodobieństwo, że namierzą Florczyka. A jeśli dostał tę pracę, to również, że go zgarną.

Pytali, czy Painer będzie na miejscu, czy na wszelki wypadek przyjedzie do Radomia. Ale on nie zamierzał iść na skróty, nie zamierzał zadowalać się łatwym rozwiązaniem. Uznał, że jeśli Ruszczyk trafi do aresztu, to dzień lub dwa niczego nie zmienią.

Przesłuchanie Ruszczyka było kluczowe, lecz Painer nie wiedział jeszcze, jakie pytania powinien mu zadać. Jakie i w jakiej kolejności. To było jak partia szachów, gdzie jeden zły ruch mógł doprowadzić do przegranej. W najlepszym razie do pata. Pytania i odpowiedzi, białe i czarne. W określonej kolejności, w określonym celu. A celem był solidny materiał dowodowy. Tak solidny, by Ruszczyk odpowiedział nie tylko za ostatnie zabójstwa, ale również za to sprzed wielu lat. Żeby dostał to, na co zasłużył. Dlatego właśnie Painer nie jechał do Radomia. Dlatego musiał spojrzeć z szerszej perspektywy.

drzwi z wyczuciem i wejść tak, by nie obudzić Alicji. Ale Alicja nie spała. Czekwała na niego w kuchni, przy stole. Gdy wszedł, odłożyła książkę i wstała. Miała na sobie tylko koszulę.

– Gdzie byłeś tak długo? – spytała. W jej głosie nie było słychać wyrzutu, tylko ciekawość.

Wolczuk nie odpowiedział od razu. Podeszedł do niej z uśmiechem. Chwytał jej dłonie i unosił do ust. Pocałował.

– Wiem, kto zabił Beatę – wyszeptał triumfalnie. Jego oczy błyszczały ekscytacją. Ekscytacją i energią, podnieceniem, które zaskoczyło Alicję. Odruchowo chciała się cofnąć, ale Wolczuk jej nie puścił. – Jutro go złapiemy – dodał z satysfakcją.

– My?

– Zatrzyma go policja, ale trzeba im go wystawić. Podać na tacy, rozumiesz? – zapytał, a gdy niepewnie skinęła głową, mówił szybko dalej. – Oni są wodzeni za nos i odciągani coraz dalej od tego, co naprawdę ważne. Sami nigdy nie wpadną na właściwy trop, bo ten drań wie, jak myśleć. Bardzo dobrze wie, jak myśleć – powtórzył dobitnie. – Ojciec Teofil miał rację. Przez cały czas. Dlatego policja będzie się kręcić w kółko, aż do końca. Chyba że ktoś nimi potrząśnie, poprowadzi za rękę i powie: „To on!”, a potem powie dlaczego... A jeszcze lepiej, jeśli zmusi zabójcę, by sam się przyznał. Wtedy nie będą tego mogli zignorować, prawda? Choćby byli największymi durniami na świecie i choćby nie mieściło im się w głowach, że zabójca cały czas był tuż obok, że śmiał im się prosto w twarz. Ktoś musi nimi potrząsnąć, Alicjo – rzekł z naciskiem. – A ja wiem, jak to zrobić. Potrzebuję jednak twojej pomocy. To bardzo ważne, bo sam nie dam rady.

– Ale... – zająknęła się. – Ale skąd możesz... Skąd wiesz, kto to...

– Mówiłem ci kiedyś, że jestem w tym dobry! Mimo to też dałem się wodzić za nos. – Puścił ją i oparł się o szafkę obok zlewu. – Kręciłem się w kółko tak samo jak oni, jak policja. Mało brakowało, żebym się poddał, ale ja nie lubię się poddawać, Alicjo. Cały czas miałem przeczucie, że coś tu jest nie tak, że to wszystko jest zbyt... – Nie dokończył, nie mogąc znaleźć właściwego słowa. Spróbował jeszcze raz.

– Miałem przeczucie, lecz nie mogłem go sprecyzować. Ciągłe mi się to wymykało, aż wreszcie znalazłem punkt odniesienia. Nieoczywisty element, który cały czas miałem gdzieś z tyłu głowy. Na granicy pola widzenia. Bum! – Alicja aż podskoczyła. – Cała misterna konstrukcja pękła. Cała ta ściema i fałszywe tropy przestały być istotne. Ten sukinsyn naprawdę się natrudził. – Wolczuk pokiwał głową. – Tak bardzo, że niemal go podziwiam... A jednak mi się udało. Znalazłem go. Znalazłem skurwysyna!

– Damian...

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. – Złagodniał. – Po prostu jestem podniecony, bo w końcu mam pewność. Znalazłem ostateczne dowody i wiem, że ten drań odpowie za zabicie Beaty i innych. Wiem, że go załatwię. Z cholerną satysfakcją wystawię na odstrzał. Wystawimy – poprawił się. – Jeśli zechcesz mi pomóc. Proszę, Alicjo. – Znów się do niej zbliżył i znów ujął za rękę. Tym razem się nie cofnęła. – Proszę, pomóż mi... Powiedz, że mi pomożesz.

– Ja... – Przełknęła ślinę. – Ale kto to jest?

– Nie mogę ci powiedzieć, jeszcze nie teraz.

– Jak to nie możesz mi powiedzieć? – zdziwiła się i chciała wyswobodzić dłonie, lecz jej na to nie pozwolił. Przytrzymał je mocniej. Tylko trochę mocniej, z wyczuciem.

– Powiem, ale jeszcze nie teraz. To ważne, naprawdę ważne, Alicjo.

– Nie rozumiem.

– To ważne – powtórzył po raz kolejny. – Nie możemy ryzykować, że on się zorientuje. Dlatego nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Gdybym to zrobił, mogłabyś go ostrzec. Nieświadomie – wyjaśnił, widząc, że chce zaprotestować. – Jesteś dobrą dziewczyną, Alicjo, naprawdę dobrą. Nie umiałabyś kłamać ani ukryć emocji. Dlatego nie mogę ci powiedzieć. Możliwe... – Zamyślił się. – Jeszcze muszę dopracować szczegóły, ale możliwe, że będziesz jutro rozmawiać z mordercą. Może sam cię o to poproszę i dlatego właśnie nie mogę ci jeszcze powiedzieć.

– Przecież dowiem się...

– Zaufaj mi, Alicjo. Proszę... – Spojrzał jej w oczy. Były szeroko otwarte, wystraszone. Zbliżył usta do jej ust. Nie protestowała. – Zaufaj

mi i nie pytaj. Daję słowo, że jutro się dowiesz.

– Dobrze – szepnęła.

Pocałował ją.

– Pomożesz mi?

– Tak.

– Dziękuję, Alicjo. – Pocałował ją znowu. Tym razem dłużej. Objęła go, przyciągnęła do siebie. Czuł, jak szybko bije jej serce. Jak drży.

105

Dariusz Kryński stał przy drzewie i patrzył, jak Alicja obejmuje Wolczuka. W kuchni paliło się światło. Żaluzja nie była opuszczona. Oboje byli wystarczająco dobrze widoczni. Zresztą nawet gdyby było inaczej, to Kryński i tak nie miałby wątpliwości. Wiedział, gdzie jest kuchnia Alicji. Dobrze ją znał. Wiedział też, że to Wolczuk, bo siedł za nim od pewnego czasu. Śledził? Tylko przez przypadek. Przypadek, nic więcej. Po prostu wracając, natknął się na niego w środku nocy.

Wolczuk się śpieszył i go nie zauważył. Maszerował Małogoską w kierunku osiedla. Kryński chciał go zawołać, ale... Ale nagle dotarło do niego, gdzie Wolczuk może iść. Poczuł wtedy ucisk w dołku. Kolejny raz tego dnia miał wrażenie, że wszystko wymyka mu się z rąk. Idzie nie tak, jak powinno. Po prostu się pieprzy.

Dlatego nie zawołał Wolczuka. Dlatego zaczął go śledzić. To był impuls. Silniejszy od rozsądku. Rodzaj masochistycznej potrzeby potwierdzenia swoich podejrzeń. Upewnienia się w tym, że po raz kolejny ktoś zawiódł jego zaufanie. Zrobił z niego frajera. Zaśmiał mu się w twarz.

Kryński patrzył na niemy film, który wciąż jeszcze wyświetlał się w kadrze okna. Wiedział, że za chwilę seans się skończy i tych dwoje opuści kuchnię. Pewnie zgaszą światło i przejdą do dużego pokoju. Do łóżka, którego zapach wciąż pamiętał. Wiedział, a mimo to nie potrafił oderwać od nich wzroku. Mimowolnie pomyślał o szufladzie, w której Alicja trzymała noże, i o płytkach w kuchni. Zastanawiał się, czy

trudno zmyć z nich krew, czy wsiąknęłyby w fugę. Czy byli zbyt zajęci sobą, by zamknąć za sobą drzwi. Myślał chwilę o takim scenariuszu, o emocjach i afekcie. Potem odwrócił się i odszedł w noc.

Poniedziałek

106

W poniedziałek rano, dwudziestego siódmego czerwca dwa tysiące szesnastego roku, w Chęcinach rozpętało się piekło. Preludium rozegrało się jeszcze poprzedniego dnia wieczorem. Wtedy dziennikarz kieleckiego oddziału pewnej ogólnopolskiej gazety zadzwonił ze zgłoszeniem. W lesie znaleziono porzucony samochód, a w bagażniku zwłoki.

Jeszcze zanim dotarł zespół z Kielc, na miejscu doszło do awantury. Dziennikarz, który zgłosił znalezisko, czekał przy samochodzie. Na widok patrolu wyjął telefon i zaczął nagrywać interwencję. Komentował każdy ruch funkcjonariuszy, zaglądał im przez ramię, prowokował. Dowódcą patrolu był Waldek. Policjant doświadczony i cierpliwy, którego trudno było wyprowadzić z równowagi. Zrobił, co do niego należało, poinformował centralę i zabezpieczył teren. Przynajmniej spróbował, prosząc dziennikarza o oddalenie się od pojazdu na odpowiednią odległość.

Facet jednak grał w swoją grę. Zaczął pieprzyć o wolności prasy i tak dalej. Poproszony o dowód tożsamości, zaczął wymyślać, jakie ma prawa i dlaczego nie musi go okazywać. Cały czas wszystko dokumentował kamerką telefonu. Drugi z policjantów trzymał się z boku. Po minie można było ocenić czemu.

W końcu jednak i Waldkowi zaczęły puszczać nerwy. Starał się, jak mógł, ale szczekanie dziennikarza każdego doprowadziłoby do szału. W chwili gdy usłyszeli na leśnej drodze policyjny furgon, dziennikarz

potknął się o korzeń i poleciał na Waldka. Ten zadziałał odruchowo i przyglebił faceta, uznając, że jest atakowany.

Pierwsze, co zobaczył naczelnik pepeżetu, była akcja skuwania wrzeszczącego na całe gardło łysawego gnojka. Gnojka, którego znał aż za dobrze i wiedział, ile problemów potrafi sprawić. Dlatego kazał go rozkuć, gdy tylko wyszło na to, że to nieporozumienie.

Mimo to dziennikarz nie zamierzał odpuszczać i doszło do kolejnej pyskówki. Potem okazało się, że lekarz zabłądził w lesie i nie wie, gdzie jest, a dziennikarz nie chce opuścić miejsca zdarzenia ani powstrzymać się od publikacji przed oficjalnym komunikatem. W końcu wszyscy byli zdrowo wkurwieni.

W poniedziałek wkurwili się jeszcze bardziej, gdy na portalu gazety pojawił się obszerny materiał zatytułowany *Brutalność policji nad ciałem ofiary*, w którym co prawda nie było podanych personaliów funkcjonariuszy, ale były zdjęcia ich i radiowozu z dobrze widocznymi numerami.

– Musiał to chuj opublikować, musiał! – wściekał się komendant na porannej odprawie.

– Trzeba go było zastrzelić – szepnęła jedna z policjantek, ale nikt nie docenił żartu.

– Szefie, kolejni dziennikarze! – Do pomieszczenia zajrzał dyżurny. – Podobno telewizja też jedzie.

Komendant pokiwał głową i wsparł się na blacie biurka. Ten paszkwil o brutalności nie był najgorszy. Najgorsze było to, że ta dziennikarska hiena dowiedziała się skądś, że w ostatnim czasie ofiar było więcej. To był kolejny artykuł, który pojawił się dwie godziny po pierwszym. *Krwawe morderstwa w Chęcinach – co ukrywa policja?*

– Czy ktoś z was rozmawiał wczoraj z...

– Szefie, telefon z prokuratury! – Dyżurny znów pojawił się w drzwiach. Tym razem miał jeszcze bardziej przeproszającą minę niż poprzednio. – Przełączyłem do pana – dodał. Komendant dał ręką znak, by zebrani poczekali, i poszedł do gabinetu. Dyżurny odezwał się, dopiero gdy komendant zamknął za sobą drzwi.

– Tam też mają ciepło. Rzecznik szykuje konferencję – rzucił

konspiracyjnie i zniknął, bo w korytarzu rozległ się dzwonek.

– Przynajmniej oszczędził nam dziś gadki o wynikach – mruknął ktoś cicho.

Komendant wrócił po kilku minutach w jeszcze gorszym humorze.

– Całkowity zakaz rozmów z prasą – oznajmił, choć i tak było to oczywiste. – Jedyne osoby uprawnione do wypowiedzania się są rzecznicy prasowi komendy wojewódzkiej i prokuratury. Nie będę was straszył dyscyplinarkami, bo wierzę, że rozumiecie powagę sytuacji.

Rozumieli. Zresztą nawet bez oficjalnego zakazu i tak nikt by nie rozmawiał. Szczególnie po wczorajszej akcji w lesie, z której nagranie pojawiło się na youtube'owym kanale dziennikarza. Cierpliwość Waldka wzbudziła szczerzy podziw. Przynajmniej wśród koleżanek i kolegów. W komentarzach pod filmem przeważały mocno odmienne opinie.

Telefony nie przestawały dzwonić. Przed chęcińskim komisariatem robiło się tłoczno. Potrzeba było chwili, by patrole mogły wyjechać.

– Sami państwo widzą! Tak wygląda brutalność policji! – wrzasnęła wypindrzona małolata poproszona o wyjście za bramę.

– Proszę umożliwić przejazd! – poprosił posterunkowy, niezbyt zadowolony z zadania, do którego go oddelegowano.

– Sami państwo widzą, że wczorajszy incydent nie był... – Walczyła o Pulitzer, próbując pozostać w kadrze jakiejś podrzędnej stacji telewizyjnej. Może regionalnej, a może internetowej.

– Kolejne zabójstwo w krótkim odstępie czasu. Czy to już seria? – Facet z włosami na żel podsunął posterunkowemu mikrofon pod sam nos. Posterunkowy sapnął, ale nie odezwał się ani słowem.

– Czy policjant zostanie ukarany?

Gdy ostatni radiowóz opuścił teren, dziennikarze otoczyli posterunkowego, zadając kolejne pytania. Biedny chłopak próbował się precyzyjnie do wejścia, lecz spotkało się to z natychmiastową reakcją.

– Proszę mnie nie popychać! – wrzasnęła wypindrzona, szukając swojej kamery. Niestety kamerzysta został z tyłu i nie uchwycił jej poświęcenia.

Na ratunek posterunkowego przybiegł dyżurny i razem jakoś zdołali

opanować sytuację. Przynajmniej na tyle, by ich puszczono z powrotem.

Słońce powoli rozgrzewało powietrze. Dzień miał być upalny tak jak poprzednie.

107

Dariusz Kryński dowiedział się o wszystkim od dyżurnego, który zadzwonił, aby go wezwać na służbę. Plan dnia diabli wzięli. Trzeba było jakoś spróbować zapanować nad chaosem, potrzebne były ręce do pracy. Dlatego ściągnięto Kryńskiego i jeszcze kilka innych osób. Potem okazało się, że jednak nie potrzeba wszystkich, i Kryńskiego odwołano. Miał się stawić zgodnie z wcześniejszym planem, na nocny patrol. Był już co prawda w połowie drogi na posterunek, ale zawsze lepiej w połowie, niż gdyby mieli go odwołać na miejscu. Dyżurny wiedział już więcej. Był z tych, co lubią czasem poplotkować. Również przez telefon.

– Typ leżał w bagażniku kilka dni, więc zdążył puścić już soki. Robactwa tyle, że pewnie lekarz znalazłby tam kilka nieznanych gatunków – powiedział podekscytowany. W poprzedniej rozmowie zapomniał odpowiednio udramatyzować historię, dlatego teraz to nadrobił. – Ale go szybko zidentyfikowano, przed chwilą dali znać. Koleś był chyba z zagranicy.

– Cudzoziemiec? – zdziwił się Kryński, parkując pod sklepem. Wędlina w jego lodówce już nie nadawała się do jedzenia. Nie na trzeźwo. Postanowił skorzystać z okazji i wymienić ją na coś jadalnego.

– Chyba tak, bo na nazwisko miał... – Zaszleściły kartki. – Delatur, czy jakoś tak. Nie wiem, jak to się wymawia.

– De Latour? – Kryński zamarł z dłonią na klamce.

– Chyba tak. Koleś z Warszawy, a auto na kieleckich numerach. Sorry, muszę kończyć! Służbę masz zgodnie z planem. Cześć!

– Cześć... – Opuścił telefon i patrzył, jak na ekranie miga komunikat o zakończonej rozmowie. Wahał się przez chwilę, a następnie wybrał

z listy numer Painera i ponownie podniósł telefon do ucha. Było zajęte. Napisał więc esemesa: „De Latour nie żyje. Ciało było w samochodzie porzuconym w lesie w Chęcinach. Od kilku dni”.

Potem poszedł do sklepu. Wziął koszyk i wszedł między półki. Zignorował ciekawskie spojrzenia, które towarzyszyły mu od drzwi. Ekspedientka przy ladzie i dwie klientki. Zaaferowane, porozumiewające się szeptem w plotkarskiej konspiracji.

Wziął pieczywo i gazowany napój. Tonik produkowany ponoć od osiemnastego wieku. Gdy wybierał wędlinę, poczuł wibrację w kieszeni. Painer przysłał odpowiedź. Lakoniczne „Wiem”.

Przy kasie wciąż stały klientki. Już obsłużone, ale nadal obecne. Milczące. Kryński spokojnie spojrzał każdej z nich w oczy. Niezbyt się spieszyły, lecz przynajmniej zrezygnowały z zadawania pytań. Może myślały, że zacznie ta druga, a potem było już za późno.

Zapłacił i wrócił do samochodu. Położył zakupy na siedzeniu pasażera i wyciągnął telefon. Westchnął i wybrał numer Doroty. Odebrała dopiero po czwartym sygnale, gdy miał już zrezygnować.

– Cześć! – powiedział. – Chciałem cię przeprosić za to, że wczoraj nie przyjechałem. Miałem trochę popieprzony dzień. – Zamilkł na chwilę w nadziei, że Dorota coś powie, ale po drugiej stronie słuchawki panowała cisza. Domyślił się, że czeka na wyjaśnienia. – Najpierw Wolczuk wymyślał, a później musiałem pomóc staruszce... Wiem, że to głupio brzmi, ale to stara przyjaciółka mojej matki, która nie ma już nikogo. Zeszło z nią, a potem... No, powiedzmy... Słucham? Nie, no coś ty? Żartujesz? – Uśmiechnął się. – Nie mów nawet, że myślałaś, że ja... Aha... Nie, posłuchaj. Posłuchaj, mówię! Lipińska to zamknięty rozdział, zadowolona?... Czeka! Przecież nie mówię, że jesteś zazdrosna.

Zmarszczył czoło. Czuł się jak saper na polu minowym.

– Nic takiego nie powiedziałem – powtórzył. – Mówię tylko, że wczoraj nie mogłem, bo musiałem się zająć starszą kobietą. Tak!... O Lipińskiej? Myślałem, że sugeru... Okej, źle myślałem. Czeka, Dorota! Stop, do cholery! – zdenerwował się. – Po prostu chciałem ci to powiedzieć, jasne? Tak, dlatego... Tak, mam Lipińską gdzieś i niech

sobie ją Wolczuk bierze czy tam ona jego. Co? No tak, wczoraj przez przypadek widziałem ich razem. Tak, naprawdę... – Nie miał ochoty ciągnąć dłużej tego tematu, dlatego poczuł wdzięczność, gdy Dorota go ucięła i zaczęła mówić o Painerze. – Aha... No nikt nic, tak... W takim razie poszło ci dużo lepiej – pochwalił.

Chciał już kończyć, lecz uzmysłowił sobie, że Dorota nic jeszcze nie wie o De Latourze. Przez moment zastanawiał się, czy powinna dowiedzieć się od niego. Czy ma prawo ją o tym poinformować. Uznał, że tak. Byli przecież oddelegowani do pomocy prokuratorowi. Oficjalnie. Byli drugim kręgiem.

108

Gdy prokurator Arkadiusz Painer dotarł na miejsce, było jeszcze ciemno. Za wcześnie na wizytę w ośrodku, ale za późno na szukanie pokoju w hotelu. Dlatego zaparkował na uboczu, na zarośniętym, prawie pustym parkingu. Odchylił fotel maksymalnie do tyłu i próbował się zdrzemnąć. Udało mu się mimo niewygodnej pozycji. Spał jakieś trzy godziny. Potem obudził go telefon.

Pierwszy zadzwonił komendant z Chęcín, po nim szef grupy z Warszawy. Prokurator okręgowy dodzwonił się jako trzeci. Painer wiedział, że nie będzie zadowolony, że w obecnej sytuacji wolałby mieć go na miejscu. Prawdę powiedziawszy, sam wolałby też tam być. Ale nie był.

Od Chęcín dzieliło go kilkaset kilometrów. Tyle dobrego, że wczoraj Painer powiadomił szefa, iż wybiera się w okolice Kalisza. Powiedział mniej więcej, w jakim celu. Mimo to nie zdziwił się, gdy szef zapytał, czy nie można było tych czynności zlecić policji.

– Nie – zaprzeczył Painer. – Nie potrafiłbym określić, czego mają szukać. Sam jeszcze nie jestem pewien – przyznał szczerze. – Mimo to uważam, że to ważne.

Prokurator okręgowy milczał przez dłuższą chwilę.

– W porządku – rzekł wreszcie. – Proszę zrobić, co trzeba, i wrócić jak

najszybciej.

– Dziękuję.

Gdy skończyli rozmawiać, była ósma trzydzieści rano. Zapowiadał się upalny dzień, tak jak w całym kraju. Painer wysiadł z samochodu i zapalił papierosa. Kilka godzin snu w niewygodnej pozycji wystarczyło, aby go wszystko bolało. Głowa również.

Po drugiej stronie ulicy, w ciągu starej zabudowy, zobaczył odrapany szyld piekarni. Zamknął auto i ruszył w tamtym kierunku.

W pobliżu nie było przejścia dla pieszych, ale nie było też ruchu. Jedna furgonetka wyjeżdżająca z bramy. Trzy osoby idące chodnikiem. Pusto.

Przeszedł przez jezdnię, dopalił papierosa i wszedł do piekarni. Dzwonek umieszczony nad drzwiami miał nieprzyjemny, metaliczny dźwięk. Mógł przywołać obsługę z zaplecza. Prawdopodobnie z innej ulicy także. Tym razem niepotrzebnie, bo ekspedientka stała za ladą. Chuda, siwa staruszka w kwiecistym fartuchu i czepku pamiętającym miniony ustrój.

Nie tylko czepek pamiętał dawne czasy. Cały wystrój razem z ladami i półkami, uginającymi się od pachnącego pieczywa, również. Tu czas się zatrzymał. Nawet zegar z kukułką wiszący na ścianie nie wskazywał właściwej godziny. Stał.

Ruski majak. Klasyka Peerelu. Front z ciemnobrązowego plastiku. Tarcza z kremowego. Napędzany łańcuchami, na których wisały żeliwne ciężarki w kształcie szyszek. Możliwe, że wisiał tu od nowości. Tuż obok niego zawieszono nieduże lustro w ramie z wyginanej ciemnej stali.

Painer spojrział na swoje odbicie i zobaczył zmęczonego człowieka w spłóviałym garniturze. Człowieka, który też tu pasował. Można mu było zrobić zdjęcie na tle ściany. Z zegarem, lustrem, z zapomnianymi bibelotami na niewielkiej półce i dyplomem czeladnika, na którym tusz był już ledwo widoczny. Można było zrobić takie zdjęcie i podpisać, że wykonano je w latach sześćdziesiątych. Każdy by uwierzył. Painer z niepokojem skonstatował, że uwierzyłby i on.

– Co podać? – Kobieta miała ciepły uśmiech. Mimo wieku również

figlarny błysk w oczach. Painer zdecydował się na drożdżówki. Spytał, czy może zjeść na miejscu, przy małym, okrągłym stoliku, który wciśnięto w kąt. Oczywiście mógł. Zerknął na zegarek i zapytał, gdzie najbliższej znajdzie kawiarnię. Kawiarnię albo stację benzynową.

– Nie wiem, kochanieńki – szczerze zmartwiła się kobieta. – Ale jak chcesz, to ja ci zrobię kawy. Swojej, za darmo – dodała.

Painer chciał. Kilka minut później odebrał z drżących rąk szklanekę w cynowym koszyczku. Taką, jakiej się w tym miejscu spodziewał.

Gdy jadł, w piekarni pojawiło się kilkoro klientów. Raczej stałych. Kiedy wyszli, staruszka zagaiła o pogodzie. Chwilę rozmawiali niezobowiązująco, ale miło. Potem znów zaczęły się telefony. Prokurator dopił kawę, podziękował i wyszedł. Wolał rozmawiać na zewnątrz. Miał też nadzieję, że staruszka nie zauważy zbyt szybko pozostawionego pod szklanką banknotu. Nie tak szybko, by próbować go gonić i protestować.

Wsiadł do samochodu, lecz nie zdążył uruchomić silnika, gdy znów ryknął telefon. Od ośrodka dzieliło go ledwie kilkaset metrów, dwie minuty jazdy. Dotarł tam jednak pół godziny później, po dwóch rozmowach. Długich, ale niewiele wnoszących.

Kiedy tylko wysiadł i zapalił, komórka ponownie zwariowała. Tym razem przynajmniej dowiedział się, że według wstępnych ustaleń De Latour został uduszony. Prawdopodobnie w tym samym dniu co Justyna Budziszowska. W kieszeni miał dokumenty i portfel. Karty kredytowe i trochę gotówki. Na ręku rolexa yacht-mastera za kilkadziesiąt tysięcy. Motyw rabunkowy można było wykluczyć. Painera interesowało coś jeszcze. Po chwili otrzymał potwierdzenie. Przy ciele znaleziono kościany koralik.

W roztargnieniu wyrzucił i przydeptał papierosa, mimo że została go jeszcze połowa. Zirytowany skończył rozmawiać i sięgnął po kolejnego. W paczce zostały mu jeszcze cztery camele. Nigdzie nie widział kiosku ani sklepu.

Teren ośrodka był stosunkowo duży. Otoczony wysoką siatką. Częściowo zarośnięty. Sam budynek był oddalony od wjazdu, dość stary i nieremontowany od jakiegoś czasu. Stare okna i odpadający

miejscami tynk. Ślady prowizorycznych napraw i szpecące fasadę ciemne zacieki. Możliwe, że była tu kiedyś szkoła, może szpital. Painer nie znał się zbytnio na architekturze.

Był w połowie drogi do bramy, gdy telefon znów zadzwonił. Urządzenie sygnalizowało, że bateria jest na wyczerpaniu. Painer mówił więc szybko, w każdej chwili spodziewając się zerwania połączenia. Więcej jednak słuchał. Przypomniawszy sobie, że ma ładowarkę. Wrócił po nią do auta. Otwierając drzwi, upuścił kluczyki. Schylił się po nie. Zakrztusił dymem.

– Świetnie. Róbcie, co trzeba, i dajcie znać! – zakończył, nim rozkaszał się na dobre. Zgarnął kluczyki, łapiąc powietrze jak ryba. Podniósł się i zaklął pod nosem. Telefon sam się wyłączył. Painer sięgnął do klamki, ale nie otworzył drzwi. W szybie odbijał się wyrastający ponad drzewa krzyż. Odwrócił się zaciekawiony.

Painer dopiero teraz zauważył, że tuż obok ośrodka stoi kościół. Kościół albo klasztor. Nie widział z tej perspektywy, bo budynek zasłaniał zaniedbany ogród. Ponad konary wystawał ledwie czubek wieży i wieńczący ją stalowy, prosty krzyż.

Wyciągnął ładowarkę ze schowka i ruszył do ośrodka.

109

Dariusz Kryński chciał wrócić z zakupami do domu, lecz nie wrócił. Nie od razu. Na Małogoskiej starszy facet wyskoczył mu pod koła. Prawie. W każdym razie wyszedł na ulicę i zamachał, aby Kryński się zatrzymał.

– Przepraszam, Darek, że cię zatrzymuję, ale nie mogę się, kurwancka, do was dodzwonić. – Właściciel warsztatu samochodowego podszedł do okna kierowcy. Nie wyglądał na zadowolonego. – Słyszałem, że coś się stało, ale nie róbcie sobie jaj, co?

– Spokojnie, panie Waldku. – Kryński upewnił się, że nic za nim nie jedzie i nie blokuje ruchu.

– Spokojny to będę, jak mi to, Darek, obejrzysz. – Kiwnął w stronę

wjazdu do warsztatu.

– Jeszcze nie jestem na służbie.

– Ale masz mundur, kurwancka, więc chodź. – Majster odwrócił się i poszedł przodem. Kryński pokręcił głową, lecz wrzucił bieg i potoczył się wolno za nim. Zatrzymał samochód naprzeciwko wjazdu do warsztatu. Roleta była podniesiona. Jakieś pozbawione kół auto wisiało na podnośniku. Młody pomocnik toczył nierówną walkę z amortyzatorem. Sądząc po rzucanych co chwila przekleństwach, na razie ją przegrywał.

– Miałem włamanie w nocy – wyjaśnił stary mechanik.

– Do warsztatu?

– Nie. – Poprowadził Kryńskiego na bok, gdzie stało kilka różnych aut. Ich stan nie wskazywał na to, by miały szybko wrócić na drogę. – Ktoś się włamał do auta klienta. Widzisz, kurwancka? – Wskazał wybitą szybę pasażera. – Pierwszy raz mi się coś takiego zdarzyło.

– To samochód Damiana Wolczuka? – upewnił się Kryński. – Powiadomił go pan?

– Nie mogłem się dodzwonić, tak samo jak do was – mruknął.

Kryński podszedł bliżej. Szyba rozbiła się na niewielkie kawałki, których większość zasypała siedzenie pasażera i podłogę. Kilka odłamków poleciało dalej, na konsolę środkową i siedzenie kierowcy.

– Coś zginęło?

– A skąd mam wiedzieć? – obruszył się mechanik. – Przecież nie wiem, co klient zostawił. Zawsze proszę, aby cenne rzeczy zabrał ze sobą, ale wiesz, jak to jest. Jeden zabierze, drugi zostawi. Do tej pory nigdy nic nie zginęło.

– Rozumiem. – Kryński cofnął się do swojego auta. Wrócił po chwili z parą lateksowych rękawiczek. – Niech pan spróbuje jeszcze raz się dodzwonić na centralę. Jeśli się uda, proszę powiedzieć, co się stało i że ja już tu jestem. Proszę też przynieść kluczyki.

– Dobra. – Mechanik pokiwał głową i ruszył w stronę biura. Kryński założył rękawiczki i sięgnął do wnętrza samochodu. Ostrożnie, by nie zahaczyć ręką o resztki szyby. Otworzył schowek i zajrzał do środka.

Zamontowana wewnątrz lampka się nie zapaliła, bo akumulator był

odłączony. Było jednak dość światła, by zobaczyć nieduże, biało-zielone opakowanie leków. Wyjął je i odczytał nazwę. Haloperidol WZF. Gdzieś już widział tę nazwę. Zajrzał do środka. Pusty blister i brak ulotki.

Rzucił okiem w stronę warsztatu. Mechanik wciąż był w biurze. Kryński położył opakowanie na siedzeniu i wyjął telefon. Wykadrował i zrobił zdjęcie. Ponownie sięgnął do schowka. Kilka kartek. Wyniki badań. Morfologia, grupa krwi, jonogram, poziom glukozy. Nic mu to nie mówiło, ale sfotografował wszystkie po kolei. Na wszelki wypadek. Poza tym w schowku była paczka zapalek i etui na okulary. Nic więcej.

Kryński odłożył wszystko na miejsce. Spróbował połączyć się z Wolczukiem. Abonent był czasowo niedostępny. Wybrał numer prokuratora. Zajęte. Spróbował jeszcze raz. To samo. Po chwili wahania napisał Painerowi esemesa z informacją o włamaniu do auta Wolczuka. Potem przesłał zdjęcia. Na wszelki wypadek, gdyby miały okazać się ważne.

Mechanik wciąż nie wracał. Najwyraźniej nadal starał się dodzwonić. Kryński przyniósł z auta notes. Rozejrzał się, zwracając uwagę na okna, które wychodziły na plac. Przyjrzał się bramie i psu. Zwierzę wydawało się zbyt stare i apatyczne, by zwracać uwagę na cokolwiek. Najprawdopodobniej nie zdawało sobie sprawy nawet z obecności Kryńskiego. Zagwizdał na próbę. Bez rezultatu. Przeszło mu przez myśl, że może pies zdechł, może został otruty, a nikt tego nie zauważył, ale właśnie wtedy kundel ziewnął przeciągle i zmienił pozycję.

Nad warsztatem zamontowana była przemysłowa kamera. Jej obiektyw skierowany był na bramę. Teoretycznie powinien obejmować też stojące na placu auta.

– To atrapa – wyjaśnił mechanik. Kryński słyszał, że się zbliża. – Zamontowałem, żeby odstraszała intruzów. Nie nagrywa.

– Szkoda.

– Wiesz, ile chcą za działającą, kurwancka? – spytał retorycznie. – Trzeba tam jakieś sprzęty dokupić, jakieś dyski i wychodzi kilka tysięcy. A to za trzydzieści złotych kupiłem. Na bazarze – pochwalił się.

– Kilkaset złotych, a nie kilka tysięcy – sprostował Kryński. – Teraz by się przydała.

– Po to każdy głupi robi się mądry – burknął. – Znalazłeś coś? Wiesz, kto to zrobił?

– Niech pan nie żartuje, panie Waldku. To nie film. Pytał pan w ogóle sąsiadów, czy czegoś nie widzieli?

– Co mieli widzieć? Tamci – wskazał ręką – siedzą w Holandii, a tamci nie mają okien na tę stronę. Nas też nie było, bo brat miał imieniny wczoraj. Po drugiej stronie ulicy nie pytałem. Tam zresztą krzak mają przed domem, to gównu mogli zobaczyć. A on – spojrzał na psa i machnął zrezygnowany ręką – budę dałby sobie ukraść, kurwancka, taki przydatny... Aha – przypomniał sobie. – Dodzwoniłem się wreszcie i powiedziałem, co się stało i o tobie też, że jesteś. Ten policjant, z którym rozmawiałem, się ucieszył. Pewnie dlatego, że nie musi nikogo wysłać, bo mówił, że by to trwało.

– Dziś jest wyjątkowy dzień. W porządku... – Telefon zadzwonił. Kryński spojrzał na wyświetlacz. Połączenie od Daniela Krawczyka. Wahał się tylko chwilę. Wybrał opcję „Odrzuć” z wiadomością. „Nie mogę rozmawiać. Oddzwonię”. Wyciszył telefon i schował go do kieszeni. – Przepraszam – rzucił.

Otworzył notatnik i pstryknął długopisem.

– A teraz od początku, panie Waldku. Kiedy pan się zorientował, że było włamanie?

110

Prokurator Arkadiusz Painer rozmawiał z dyrektorem blisko godzinę, ale nie dowiedział się niczego nowego. Nic ponad to, co już wiedział. Obecna działalność ośrodka go nie interesowała, a o przeszłości dyrektor nie był w stanie mówić inaczej niż tylko ogólnikami. Painer go nie winił. Nie do niego przyjechał. Chciał się zobaczyć z opiekunem. Pedagogiem, który pracował tu od lat. Który mógł pamiętać Ruszczyka. Facet miał na imię Krzysztof. Krzysztof Czyżewski. Był w drodze.

– Chciałby pan zobaczyć archiwum? – spytał dyrektor, gdy prokurator spojrzał na zegarek.

– Naturalnie. – Painer sprawdził telefon. Bateria naładowała się ledwo do połowy. – Czy mogę...

– Oczywiście, proszę go śmiało zostawić. Tu nikt nic nie ruszy.

Painer domyślał się, że dyrektor ma na myśli swój gabinet. Może również sekretariat. Na pewno nie sale dla wychowanków. Tam raczej nikt przytomny nie spuściłby urządzenia z oczu. Nikt, kto chciałby je mieć. Trudna młodzież to trudna młodzież. Czasem naturalnie zdarzały się odstępstwa, ale statystyka pozostawała statystyką. Piętno piętnem.

Zeszli do podziemi. Po prawej minęli kilkoro starych, pomalowanych farbą drzwi. Niewielkich składzików, w których przechowywano różne narzędzia. Dla ułatwienia na każdym umieszczono napis. „Zieleń”, „Zima”, „Czystość”. Na kolejnych dwóch nie. Może pomieszczenia zostawiono puste, a może używano ich jako graciarni. Nie miało to znaczenia. Po lewej było wejście do pralni, a obok do suszarni. Pewnie obie były ze sobą połączone.

W tej części piwnica była dość zadbane. Kilka lat temu wyrównano ściany i pomalowano. Dół, do wysokości półtora metra, farbą olejną w trudnym do nazwania odcieniu. Coś między szarym a łososiowym. Pewnie mało popularnym, a więc najtańszym, jaki był dostępny. Górna część ścian i sufit prezentowały się już lepiej. Piaskowa emulsja. Całkiem dobrze położona.

– To dalej. – Dyrektor poprowadził korytarzem, który przedzielony był pofalowaną dyktą. Za nią kryła się dalsza część, czekająca na remont. Gołe cegły i nierówna podłoga. Przewody odstające od ściany i przekręcany, bakelitowy przełącznik.

Umieszczone na suficie przemysłowe lampy zapłonęły słabym, żółtawym blaskiem. Żarówki, zamknięte w odbarwionych i zmatowiałych ze starości obudowach, nie miały więcej niż czterdzieści wat. Nie musiały mieć, bo wzrok szybko się przyzwyczajał.

Minęli kilka wnęk, w których upchano stare sprzęty. Rozpadające się, zakurzone krzesła, jakieś szafki, rupiecie. Archiwum znajdowało się nieco dalej. Dostępu do niego broniła drewniana krata. Namiastka drzwi, jakie często montowano w piwnicach blokowisk. Pozwalały zajrzeć do środka, ale nie pozwalały wejść. Zawieszane na zawiasach,

zamknięte na kłódkę. Często objane od środka dyktą, która chroniła przetwory przed ciekawskim wzrokiem sąsiadów.

Tu nie było ani dykty, ani kłódki. Nie było też smaru w zawiasach, dlatego skrzypnęły głośno. Wewnątrz na prostych półkach zalegały sterty teczek. Pachniało tu kurzem i mysimi odchodami.

– Tak jak panu mówiłem, to tylko jakaś część, która i tak będzie zutylizowana.

– Ułożone są latami? – spytał prokurator.

– Nie wiem. Przynieść tu panu jakiś stolik i krzesło?

– Nie.

– Nie będzie pan tego przeglądał? – zdziwił się dyrektor.

– Nie. – Painer odwrócił się do wyjścia. – Bardziej interesuje mnie ten Czyżewski.

111

Budynek był nowy. Nowy albo odnowiony. Może przebudowany. Elewacja obłożona była stalowymi kasetonami w dwóch kolorach. Stonowany szary i krzykliwy pomarańczowy. Prosto i estetycznie, modnie.

Lustrzane szyby nie pozwalały zajrzeć do środka. Pozwalały za to, by siedzący w budynku ludzie widzieli, co się dzieje na zewnątrz. Przynajmniej ci, którzy mieli biurka w ich pobliżu. W pewnym sensie byli więc uprzywilejowani. Rozmyślnie lub przypadkiem, wedle przydziału.

Większość ludzi pracowała w nowoczesnych boksach. Przez cały dzień gapili się w monitory i ograniczające przestrzeń ściany. Niskie i cienkie, by nie tworzyły wrażenia klatki, a jedynie pozwalały skupić się na pracy. Fokusować na targecie, jak można to było określić w korporacyjnej nowomowie. Fokusowali się więc. Wszyscy poza tymi przy oknach. Ci mogli od czasu do czasu się oderwać. Skorzystać z przywileju i wyjrzeć na świat. Na ten wycinek, który mieli w zasięgu wzroku.

Mogli popatrzeć na rząd drzew po drugiej stronie drogi. Na swoje auta stojące na obszernym parkingu oddzielającym budynek od ulicy i powiewające na wietrze flagi z logo firmy. Monotonny obraz, niemal identyczny każdego dnia.

Miejsca na parkingu były przydzielone. Dlatego od razu było wiadomo, kto danego dnia nie przyjechał do pracy. Kto zmienił auto. Kto odszedł lub został zwolniony i czy kogoś nowego przyjęto. Ci przy oknach widzieli, kto wjeżdżał, a kto wyjeżdżał z firmy.

Widzieli więc, gdy przez bramę wjechało kilka radiowozów, i to, że zatrzymały się przy głównym wejściu. Widzieli też policjantów, których kilkoro weszło do budynku, i widzieli, gdy po kilkunastu minutach z niego wyszli. Wsiedli do swoich aut i odjechali. Ci przy oknach wiedzieli już, o czym będą rozmawiać w trakcie lunchu.

112

Dariusz Kryński skończył notować i schował długopis.

– Niech pan otworzy bagażnik – poprosił.

– Bagażnik? – zdziwił się mechanik. – Przecież wybili szybę z przodu.

– Ktoś dostał się do środka, więc mógł go otworzyć. Mógł coś z niego ukraść.

– No tak... – zgodził się mężczyzna i zrobił to, o co go proszono.

Przeszli obaj na tył. Klapa zaskrzypiała cicho, gdy ją podnieśli. Bagażnik był pusty.

– Tu nic nie zginęło – mruknął mechanik.

– Teraz nic nie ma, ale może było? – zasugerował Kryński.

– Mówię ci, Darek, że nie. – Pokręcił głową. – Myślisz, że ja się wczoraj urodziłem? Parę lat temu miałem takiego typa, co mnie chciał wmówić, że mu telefon ukradłem. Ja albo chłopaczek, co wtedy u mnie robił. Ryja darł, że ci mówię. Myślał głupek, że ja mu pieniądze dam za ten telefon. Tylko że żadnego telefonu nie było. Chciał mnie na szaro zrobić, złodziej jeden. – Uśmiechnął się z satysfakcją. – Mówię mu: „To dzwoń na policję”, a on, że mi nie chce syfu robić, że to mała miejscina

i żeby po dobroci oddał mu równowartość, to będzie cicho. A ja mu na to, żeby się nie przejmował, tylko dzwonił. Nawet z mojego telefonu w biurze. Dzwon, kurwancka!, mówię. No już! Ale mu faja zmiękała.

– Gdyby to zgłosił, to byłoby jego słowo przeciwko pańskiemu.

– Przeciwko mojemu i moim zdjęciom, które robię zawsze, jak przyjmę samochód. – Mechanik się roześmiał. – To nie o klientów mi chodzi, tylko o dzieciaki, co tu u mnie na praktyki przychodzili. Wiesz, jak jest, że nieraz takiemu się co do łapy przylepi. No ale na takich klientów, co mnie chcą w chuja zrobić, też się nadają. Potem nie ma, że było coś i zniknęło albo że jakieś rysy czy wgniotki im zrobiłem – dodał z zadowoleniem. – Ten też cyknąłem, jak tylko z lawety zjechał.

– Bagażnik był pusty?

– Tak jak teraz. Mogę ci pokazać, jak chcesz.

– A wewnątrz schowka też pan fotografował?

– No wiesz... – Mechanik się zawahał. – Nie powinienem tego robić.

– Ale pan zrobił, prawda? Ma pan na zdjęciu, co było w środku zaraz po wypadku?

Mechanik skinął głową.

– Chciałbym obejrzeć te zdjęcia.

– Mam je zgrane na komputer, w biurze. Tylko go muszę włączyć.

– Świetnie. Proszę to zrobić, a ja zaraz przyjdę.

Kryński poczekał, aż mechanik pójdzie, i pochylił się nad dnem bagażnika. Zrobił zbliżenie telefonem i utrwalił obraz. Po chwili ponownie, tym razem z lampą błyskową. Zdjęcia nie wyszły najlepiej, ale nie musiały. Ważne, że widać było na nich niewielkie drobiny, które utkwily w welurowej wykładzinie. Resztki ziemi o charakterystycznym odcieniu. Terra rosa. Taka sama jak w miejscu, którądy miała przebiegać nowa droga.

Przesunął dłonią po brzegach wykładziny. Potem podniósł ją ostrożnie. W rogu zauważył to, czego się spodziewał. Dwa niewielkie koraliki. Trzeci wciśnięty był trochę dalej. Zaklinowany między otworem na koło a styropianowym wypełnieniem, które umieszczono w tym miejscu. Zrobił zdjęcia i powoli opuścił wykładzinę. Nie chciał, by cokolwiek zmieniło swoje miejsce. Zamknął klapę i dopiero wtedy

zdjął rękawiczki. Schował je do kieszeni i poszedł do biura.

113

Prokurator Arkadiusz Painer wrócił z dyrektorem do jego gabinetu. Odłączył telefon od ładowarki. Tym razem ikona pokazywała pełne naładowanie. Na ekranie były też powiadomienia o nieodebranych połączeniach i wiadomościach.

– Przepraszam, muszę oddzwonić – powiedział i wyszedł na korytarz. Na szczęście pusty, dający poczucie prywatności. Mimo to starał się rozmawiać cicho, jak zawsze, gdy miał taką możliwość. Numery wybierał w odwrotnej kolejności, niż pojawiały się na liście. Z jednym wyjątkiem. Rozmowę z szefem odłożył na koniec. Chciał wiedzieć jak najwięcej, znać aktualną sytuację, być gotowym na ewentualne pytania.

Do Kryńskiego nie oddzwonił. Odebrał wiadomość i uznał, że to zbędne. Uważnie obejrzał zdjęcia. Nie musiał sprawdzać, na co przepisują haloperidol. Miał już w swojej karierze kilku podejrzanych, którzy zażywali psychotropy. Na obecnym etapie mało go interesowało, skąd wzięły się u Wolczuka. Może chłopak gorzej sobie radził z przeszłością, niż by chciał, a może ktoś mu je podrzucił. Może Ruszczyk włamał się do auta, aby znów trochę namieszać? Jeśli naprawdę był w Radomiu, to do Chęcina nie miał daleko. Ledwie godzinę jazdy. Może trochę dłużej. Może myślał, że w ten sposób skieruje podejrzenie na Wolczuka. Kolejny raz zasugeruje, że Damian Wolczuk jest świrem i mordercą? Być może...

Na korytarzu pojawił się niski, łysawy mężczyzna w za dużych okularach i niemodnym, niedoprasowanym garniturze. Wyglądał jak stary, wypalony belfer. Obrzucił Painera niechętnym spojrzeniem i zniknął za drzwiami gabinetu dyrektora. Prokurator domyślił się, że to Krzysztof Czyżewski, ale nie wszedł za nim. Nie od razu. Dał dyrektorowi kilka minut, aby uprzedził Czyżewskiego o czekającej go rozmowie. Kilka kolejnych, by tamten mógł to przetrwać. Dopiero

wtedy nacisnął klamkę.

– Dzień dobry, miło mi pana poznać. – Wyciągnął rękę do zaskoczonego opiekuna. Starał się nie okazywać niechęci, którą czuł na widok tego zaniedbanego człowieka, przekonując samego siebie, że to wina choroby. Choroby i stresu, jaki niosła ze sobą długoletnia praca w takim ośrodku. Użeranie się z trudną młodzieżą. Z patolami.

– Ja... – zaczął tamten, ale Painer nie dał mu dokończyć.

– Nazywa się pan Czyżewski, Krzysztof Czyżewski, prawda? – Uśmiechnął się z przymusem. Nagle przyszło mu na myśl, że sam nie wygląda lepiej. Gdzieś w głębi poczuł cień zażenowania. Natychmiast zrzucił go na karb zmęczenia, zdusił w zarodku.

– Prokurator, pan...

– Arkadiusz Painer – przedstawił się i dopiero wtedy puścił jego dłoń.

– Mam nadzieję, że dyrektor wprowadził już pana w temat?

– Chce pan rozmawiać o jakimś dzieciaku. – W jego głosie słychać było niechęć. Typową dla kogoś, kto ma dość innych problemów, by nie mieć ochoty na grzebanie w przeszłości. Kogoś, kto przy okazji jest gburem.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko. To zajmie chwilę, a może nam bardzo pomóc w śledztwie.

– Nam?

– Policji, prokuraturze, państwu polskiemu. Wie pan przecież, jak to działa.

– Wiem.

– Świetnie. Możemy więc porozmawiać?

– Udostępnię panom swój gabinet – zaoferował dyrektor. – I tak muszę coś załatwić. – Wziął z biurka kilka faktur. – Przyślę zaraz pracownika, żeby zrobił coś do picia.

– To bardzo uprzejme z pana strony. – Painer nie przestawał się uśmiechać. – Co pan na to, panie Krzysztofie? Poświęci mi pan chwilę czasu?

– Skoro to ważne.

– Bardzo – zapewnił prokurator, dając opiekunowi do zrozumienia, by usiadł. Sam również to zrobił.

Po chwili rzeczywiście pojawił się pracownik. Stażysta albo jeden z wychowanków. To nie miało znaczenia. zaproponował kawę lub herbatę. Ewentualnie wodę gazowaną. Obaj poprosili o herbatę.

– Chcę z panem porozmawiać o Patryku Ruszczyku.

– O kim? – nie zrozumiał Czyżewski.

– Chłopak był synem pracownicy, jednej z kucharek. Nie był oficjalnie na liście ośrodka, ale brał udział w zajęciach. Kojarzy pan kogoś takiego?

– Tak. – Potwierdził ruchem głowy. – Przypominam sobie, że był taki jeden. To było dawno temu.

– Zgadza się.

– Ja go nie uczyłem.

– Rozumiem. Może pamięta pan jednak, czy sprawiał kłopoty.

– Słyszałem to i owo. – Czyżewski pokiwał głową. Do gabinetu wrócił chłopak z tacą, na której przyniósł dwie szklanki wrzątku i dwie torebki z herbatą. Ustawił je na stole, gdzie stała już cukiernica.

– Dziękuję. – Painer kiwnął głową. – To co pan słyszał, panie Krzysztofie?

– Jakieś głupoty, już nie pamiętam.

– Proszę więc sobie przypomnieć i nie krępować się. Nawet głupoty mogą być ważne.

– Proszę zrozumieć, że ja dopiero zacząłem tu wtedy pracę. Kilka miesięcy przed tym, gdy ten gówniarz zniknął na dobre. Byłem nowy, dlatego nikt mi nie ufał i nie chciał gadać. To znaczy pamięta pan chyba, jak było w latach pięćdziesiątych, prawda?

Painer skinął głową.

– No właśnie. Nikt nie wiedział, czy ja nie jestem nasłany i czy nie będę bruździł. Trochę trwało, zanim się zakolegowałem z resztą, a w tym czasie ten cały Ruszczyk poszedł do diabła.

– Słyszał pan coś jednak?

– Same plotki. Najwięcej już potem, przy wódce, koledzy czasem o nim mówili. Ale uważam, że zmyślali albo wyolbrzymiali.

– Proszę opowiedzieć.

– Nie pamiętam dokładnie. – Skrzywił się. – Chyba coś o tym, że przez

tego gnojka dwie czy trzy osoby się zabiły... Że ogólnie sprawiał problemy i był jakiś dziwny.

– W jakim sensie dziwny?

– Teraz to jest śmieszne, nie ma sensu tego wyciągać.

– Przeciwnie, to ważne. Proszę powiedzieć, panie Krzysztofie – zachęcił. – Niech się pan nie obawia o to, co pomyślę.

– Kilka osób uważało, że gówniarz był opętany. Wie pan, przez diabła... Chcieli odprawiać jakieś egzorcyzmy... – Łypnął na Painera. – Mówiłem, że to śmieszne.

– Proszę kontynuować.

– Jeden z kolegów mi to mówił, bo ogólnie nikt nie poruszał tego tematu. Ludzie się bali, że się inni będą śmiać. Ale po wódce języki się rozwiązują, a my kiedyś sami piliśmy, tylko we dwóch. Wtedy mi to opowiedział. – Napił się herbaty. – Mówił, że on, ten Ruszczyk, nie był normalny, że siedział w nim diabeł. A tu zaraz jest kościół, który prowadzą zakonnicy. Podobno w końcu poprosili ich, żeby się tym gówniarzem zajęli.

– W jakim sensie?

– No żeby z niego to zło wypędzili czy coś... Wie pan, wtedy ludzie bardziej wierzyli w takie rzeczy niż teraz. No i zakonnicy go wzięli do siebie na kilka dni, a później wrócił. Nikt nic nie powiedział. Ani on, ani tamci. Tylko się jakiś jeden klecha kręcił potem koło niego.

– Kręcił?

– No, widziano ich razem co jakiś czas. Wie pan, może oni coś tam...

– Przewrócił wymownie oczami. – No i to tyle. Więcej nic nie wiem.

– A jak zniknął?

– Normalnie. Jednego dnia był, a potem się już nie pojawił. Nigdy.

– Co na to jego matka?

– Wtedy już mało co ją obchodziło. Zresztą wkrótce zapiła się na śmierć.

– Rozumiem.

– Idę. – Czyżewski podniósł się i poprawił okulary. – Więcej nic nie wiem i nie mam już czasu.

– Rozumiem i dziękuję, że zechciał mi go pan poświęcić.

– No. – Niechętnie uściskał dłoń prokuratora. – To do widzenia.

114

Okolo południa w Chęcinach nie było wiatru. Lejący się z bezchmurnego nieba żar osiągał tegoroczny rekord. Powietrze wypełniało uliczki parną zawiesiną. Falowało ponad patelnią rynku, odbierało energię, przyduszało. Mimo to w miasteczku panował większy ruch niż zwykle. Większy i bardziej nerwowy.

Krążące auta stacji radiowych i telewizyjnych wzbudzały zainteresowanie, wabiły. Dziennikarze o tym wiedzieli i polowali na każdego, kto mógł coś powiedzieć. Walczyli o informacje, plotki i domysły. O cokolwiek na tyle medialnego, by wygenerować szum. Zwiększyć oglądalność i klikalność tematu. Wytworzyć ułudę bycia przed innymi. Bezwzględna medialna machina przetaczała się sennymi ulicami, nie brała jeńców.

Młody franciszkanin zarzucił kaptur na głowę i wyszedł na dziedziniec. Niechętnie, bo stare, grube mury dawały przyjemny chłód. Zgodnie z poleceniem gwardiana skierował się do bramy. Miał ją zamknąć i pozostać w pobliżu. Przez kilka godzin pełnić funkcję odźwiernego. Wpuszczać i wypuszczać pacjentów, a bronić dostępu tym, którzy chcieliby zakłócać klasztorny spokój. Po prostu bronić klasztoru przed dziennikarzami.

To było coś nowego, bo klasztorna brama pozostawała zawsze otwarta. Dla wszystkich. Sytuacja była jednak wyjątkowa i franciszkanin o tym wiedział. Rozumiał decyzję gwardiana i zgadzał się z nią. Miał tylko nadzieję, że za kilka godzin ktoś go zmieni. Tym bardziej że wystarczyło tylko kilka kroków, by ramiona i plecy zakonnika ugięły się pod lecącym z nieba żarem, a bijący od trylinki gorąc przeniknął przez cienkie podeszwy jego butów. Uśmiechnął się na myśl, że tak może wyglądać piekło, a potem spojrzał na stojący na dziedzińcu drewniany krzyż i zadrżał z trwogi. Przeżegnał się i przyśpieszył kroku.

Krzyż postawiono w tym miejscu przed świętami. Miał nie więcej niż trzy metry wysokości. Wykonano go z dziesięciocentymetrowych kantówek, zaimpregnowanych i pomalowanych na średni palisander. Być może właśnie przez ten ciemny kolor żywica wyciekająca przez pęknięcia drewna była tak niepokojąco podobna do krwi.

Daniel Krawczyk stał przy oknie i patrzył, jak zakonnik znika w cieniu bramy. Sięgnął po telefon i wybrał numer Kryńskiego. Po raz kolejny połączenie nie zostało odebrane.

115

Prokurator Arkadiusz Painer stał w cieniu rozłożystego kasztana i po raz kolejny przeglądał przysłane przez Kryńskiego zdjęcia. Opakowanie psychotropów i wyniki badań Wolczuka. Jeśli cokolwiek podrzuciono, to tylko opakowanie. Morfologia czy poziom glukozy nie miały żadnego znaczenia. Wykonano je na przestrzeni kilku dni pod koniec zeszłego miesiąca. Nie mówiły nic poza tym, że Wolczuk był w miarę zdrowy. Musiały więc znajdować się w schowku już w chwili włamania. Były nieistotne.

Zaciągnął się po raz ostatni i rzucił niedopałek camela na chodnik. Przydeptał dokładnie. W paczce został tylko jeden papieros, co zawsze rodziło u Painera ambiwalentne uczucia. Z jednej strony dawało poczucie bezpieczeństwa, z drugiej nieuchronnego końca. Irytujące i parszywe oblicze nałogu.

Przesunął palcem po ekranie i obejrzał wnętrze bagażnika. Resztki czerwonej ziemi i koraliki. Głupie zagranie, Ruszczyk! – pomyślał. Gdyby kto inny prowadził śledztwo, pewnie dałby się nabrać. Ale on przecież znał już ten schemat. Taki sam jak przed laty. Zmarszczył brwi. Ruszczyk wie, że to ja prowadzę śledztwo. Czy może być aż tak naiwny, by wierzyć, że drugi raz popełnię ten sam błąd?

Ruszył wzdłuż ogrodzenia, zastanawiając się, czy przez te wszystkie lata nie przeceniał inteligencji tego psychopaty. Może to, co brał w Bieszczadach za przebłysk geniuszu, było w istocie zwykłym

sprytem? Sprytem i szczęściem, jakim było przydzielenie do sprawy niedoświadczonego prokuratora. Prokuratora, który pod wpływem traumy ulepił z tego potem legendę. Stworzył własnego demona. Potwora czającego się pod łóżkiem, który jest tym straszniejszy, im bardziej się o nim myśli. Strach ma wielkie oczy. Wyrzuty sumienia również. Kiedyś jednak trzeba się z nich otrząsnąć. Czas płynie i zmienia perspektywę. Zaciera i dewaluuje. Niekiedy daje kolejną szansę.

Ogrodzenie ośrodka przylegało do muru otaczającego skromny kościół. Skromny i nieco zaniedbany. Zapewne uznano przed laty, że jest zbyt ciasny, i wybudowano gdzieś w pobliżu większy, bardziej okazały. Taki, który woleli parafianie i kuria, który lepiej spełniał swoją rolę.

Painer już kiedyś zastanawiał się nad losem starych kościołów, których nikt już nie chce. Które są pozostawione same sobie i rozpadają się w zapomnieniu. Nie rozumiał, jak można jednego dnia otaczać je szacunkiem jako dom Boży, a kolejnego opuścić, by popadły w ruinę. Uważał to za hipokryzję. Hipokryzję i morderstwo dokonywane na historycznej tkance architektury sakralnej.

Ten kościół jednak nie był zostawiony sam sobie. Oddano go zakonnikom. Na tablicy zawieszanej przy wejściu umieszczono kilka religijnych obrazków, jakiś cytat ze Świętego Franciszka i apel w sprawie zbiórki na remont. Furtka była otwarta.

Alejka wyłożona starymi płytami chodnikowymi i pomalowanymi na biało krawężnikami wiodła wprost do wejścia do świątyni. Okręzała ją, rozdzielając się na węższe ścieżki wcinające się w niedawno przystrzyżony trawnik i prowadzące do kamieni symbolizujących stacje drogi krzyżowej. Z tyłu, w pewnym oddaleniu, rósł nieco zarośnięty żywopłot, a za nim stare drzewa. Nietrudno się było domyślić, że niegdyś wraz z tymi rosnącymi na terenie ośrodka tworzyły wspólny park. Od lat przedzielony jednak zmurszałym murem.

Między drzewami wznosił się pomalowany na zielono, dwukondygnacyjny, drewniany budynek, zwieńczony krytym papą, spadzistym dachem. Wyglądał jak willa z okresu międzywojennego. Na

prowadzącej do niego alejce schylony zakonnik wyrywał chwasty spomiędzy pokrzywionych płyt. W pewnym momencie musiał zauważyć Painera, bo podniósł się i otrzepując ręce, ruszył nieśpiesznie w jego stronę.

– Mogę pomóc? – zapytał, uśmiechając się ciepło. Na oko był po sześćdziesiątce. Bliżej siedemdziesiątki. Krzepki i pełen wigoru.

– Prokurator Arkadiusz Painer – przedstawił się. – Interesuje mnie historia z końca lat dziewięćdziesiątych. W ośrodku obok mieli dzieciaka, Patryka, z którym nie mogli sobie poradzić. Pomyślałem, że może ktoś będzie go tu jeszcze pamiętał. Podobno zżył się z jednym z zakonników, ale nie wiem, jak on się nazywał.

– Brat Teofil. – Franciszkanin pokiwał głową i wskazał dłonią w kierunku wiekowej willi. – Zapraszam, zaprowadzę do niego.

116

Przy wąskiej, ślepej uliczce Andrzeja Struga w Radomiu stały tylko dwa bloki. Nazwa ulicy była jednak myląca. Właściwa Struga przebiegała tuż obok, szeroka arteria prowadząca do centrum miasta. Wcinała się między osiedle Gołębiów i osiedle Nad Potokiem.

Właśnie to drugie osiedle od wschodu otaczała ulica Olsztyńska, za którą znajdowały się łąki, nazywane terenem rekreacyjnym. To przez nie płynęła wązka rzeczka zwana dumnie Północnym Potokiem. Łąki wbijały się klinem między Olsztyńską a Struga. Klinem, który w pewnym momencie uznano za idealny, by upchnąć tam jeszcze trochę wielkiej płyty.

Postawiono więc trzy bloki. Najmniejszy tuż za Olsztyńską. Dwa większe nieco dalej. Pierwszy blok otrzymał numer czterdzieści cztery i zgodnie z logiką uznano, że stoi przy Olsztyńskiej. Dwa pozostałe jednak były bardziej problematyczne. Postawione w klinie między dwiema ulicami, stały nieco bliżej Struga. Ulicy, z której wjazd do nich był niemożliwy. Pod bloki dojeżdżało się od Olsztyńskiej, co było bezpieczniejsze i bardziej logiczne. Najwyraźniej nie dla urzędników.

Jakiś geniusz uznał, że skoro stoją bliżej Struga, to ich adres nie może brzmieć Olsztyńska ileś, tylko musi być to Andrzeja Struga. Andrzeja Struga sto osiem i sto dziesięć. Problemem pozostał jednak brak wjazdu. Opcje były dwie. Albo ten wjazd zrobić, co zmieniłoby ów fragment arterii w najbardziej wypadkowy, albo wykazać się kreatywnością.

Radom szczyił się więc dwiema ulicami Andrzeja Struga. Prawie trzykilometrowym odcinkiem kilkupasmowej arterii oraz prostopadłym do niego, dwustumetrowym fragmentem asfaltu o szerokości pięciu metrów. Obie ulice oddzielał kawałek wąskiego chodnika.

Chodnika, na którym stało dwóch policjantów po cywilnemu, obserwujących teren przed blokiem numer sto osiem. Kolejni rozmieszczeni byli w pobliżu. Nie było szansy na to, by ktokolwiek wszedł lub wyszedł niezauważony.

Kilka dni wcześniej poszukiwany Piotr Florczyk wynajął umeblowane mieszkanie na trzecim piętrze. Wprowadził się kolejnego dnia. Pracę miał zacząć od wtorku. Mógł więc przebywać w lokalu. Mógł być gdziekolwiek indziej.

W bloku nie zamontowano domofonu, a telefon stacjonarny w mieszkaniu zlikwidowano kilka lat wcześniej. Nie można więc było w łatwy sposób tego sprawdzić. Mimo to dość szybko udało się potwierdzić, że w mieszkaniu ktoś przebywa. Nasłuch przez ścianę od sąsiadów wystarczył. Radomska policja obstawiła teren i czekała na grupę szturmową z Warszawy.

Cztery wozy były w drodze od godziny. Jechały jeden za drugim krajową siódemką. Minęły właśnie Stare Żdźary. Do celu zostało siedemnaście minut.

Telefon Kryńskiego leżał na brzegu stołu. Ekran ożył, sygnalizując przychodzące połączenie. Pulsował w ciszy. Po kilkunastu sekundach zgasł. Niedługo potem rozświetlił się znowu. Niemal w tym samym

momencie skrzypnęły drzwi łazienki. Tym razem Kryński zdążył odebrać, nim połączenie zostało zakończone.

– Halo, Daniel? Przepraszam, miałem wyciszony... Tak, tak... Co? Powtórz! W nocy? Rozumiem... Czy... Z tobą w porządku? Aha... Tak... Zgłosiłeś to? Uhm... – mruknął, kiwając głową. – Rozumiem. Tak, masz rację. Czyli chodziło o komputer, tak. Wiesz, czego szukał? Aha... Tak. Po kolei, rozumiem. Co jeszcze? Aha. Uhm... Był u lekarza. O co pytał? Rozumiem. Tak, domyśliłem się. Tak. Spokojnie, zajmę się tym.

Zakończył połączenie i przez chwilę wpatrywał się w ekran w zamyśleniu. Później sprawdził historię połączeń, wykasował powiadomienia i włączył dźwięk. Odetchnął i wybrał numer Wolczuka. Abonent wciąż był niedostępny. Kryński spojrzał na zegarek. Odruchowo, ignorując fakt, że ma aktualną godzinę na wyświetlaczu. Do rozpoczęcia służby zostało mu jeszcze kilka godzin. Aż nadto, by złożyć wizytę Alicji i Wolczukowi. Domyślał się, że wciąż są razem. Razem w jej mieszkaniu. Tam, gdzie ich widział w nocy. Robią to, w czym włączony telefon mógłby przeszkadzać. W czym Alicja była bardzo dobra.

Zablokował ekran i odłożył urządzenie na stół. Obok służbowego walthera P99, którego czarna, ergonomiczna rękojeść wystawała z kabury. Nie zamierzał podejmować żadnych pochopnych działań. Nie chciał popełnić błędu. Wiedział, że wystarczy cierpliwie poczekać. Wolczuk sam się do niego odezwie. Wszystko ułatwi.

118

Damian Wolczuk siedział przed monitorem. Śledził nagłówki popularnych portali informacyjnych. Większość z nich uległa efektowi domina i opublikowała już informacje o Chęcinach. Nie informacje, lecz newsy. Pozbawione wartości merytorycznej wpisy mające nakręcić ruch w serwisie. Dwa najbardziej zdesperowane portale już zdążyły kilka razy edytować własne nagłówki, aby były bardziej klikalne. Żenujący, owczy pęd.

– Jest relacja na żywo! – Alicja podgłośniła telewizor.

Na ekranie pojawił się fragment rynku. Obraz zadrżał, gdy kamerzysta próbował nadażyć za reporterką. Kobieta podbiegła do pary zdziwionych turystów. Zaczęła ich wypytywać, czy słyszeli o morderstwach, co o nich myślą i czy czują się w Chęcinach bezpiecznie. W rogu ekranu zamajaczyła na chwilę ekipa konkurencyjnej stacji. Oni złapali wychodzącego ze sklepu staruszka.

– Zaraz zrobią przebitkę przed komisariatem. Albo tu, albo od razu w Kielcach. Może też sprzed prokuratury – mruknął Wolczuk. – Powiedzą, że służby nie chcą niczego ujawniać.

Kadr wypełniła grupa dziennikarzy tłocząca się przed niskim, białym budynkiem chęcińskiego komisariatu. Mikrofony kierowały się w stronę policjanta, który próbował zmusić ich do przesunięcia się w bok, by umożliwić wyjazd radiowozom. Rzucane w kierunku funkcjonariusza pytania pozostawały bez odpowiedzi.

Na dole ekranu przesuwały się paski informacyjne. Po chwili obraz się zmienił. Szybka przebitka z zamkniętą klasztorną bramą i kadr wypełnił fragment fasady. Herb i tabliczka z napisem „Prokuratura”. Zaraz potem odtworzono wypowiedź rzecznika prasowego. Tę samą co przed kilkoma godzinami.

– To zawsze jest takie przewidywalne? – zainteresowała się Alicja.

– Schematyczne. Nastawione tylko na utrzymanie uwagi widza – wyjaśnił. – Tak naprawdę nic nie mają, same ogólniki, ale będą to wałkować cały dzień. Za kilka godzin, najpóźniej jutro, zaproszą do rozmowy ekspertów i spróbują przekupić rodziny ofiar. Zrobią cokolwiek, byle tylko ciągnąć ten show. W tej chwili w każdej z tych redakcji mają wściekliznę. Na gwałt szukają zapychaczy, żeby utrzymać odbiorców. Masa niepotrzebnej roboty, bo jutro... – Odwrócił się do niej i uśmiechnął. – Jutro to wszystko będzie już bez znaczenia.

– Chcesz ich powiadomić?

– Dziennikarzy? Nie – zaprzeczył. – Rano zrobi to policja albo prokuratura. Pewnie jedni i drudzy. Dziś zostali przyciśnięci do muru, więc sukcesem pochwalą się natychmiast. Tylko trzeba im ten sukces dać. – Wstał i się przeciągnął. – Zostało jeszcze kilka godzin, zanim

będziemy musieli się szykować. Co chcesz robić przez ten czas?

– Mam pewien pomysł. – Mrugnęła porozumiewawczo.

119

Gdy prokurator Arkadiusz Painer opuszczał zieloną willę, był zdenerwowany. Zdenerwowany i roztrzęsiony. Popełnił błąd. Fakty, które przez ostatnie dni starał się połączyć w całość, właśnie się rozsypały.

W połowie drogi do furtki zaklął głośno, nie przejmując się, czy ktokolwiek może to usłyszeć. Nikogo jednak nie było w pobliżu. Był tylko on. On i fakty, które mimo wszystko pozostawały faktami.

Praca poszła na marne, ale musiał się z tym pogodzić. Jak najszybciej. Pogodzić i nabrać dystansu. Poskładać na nowo. Nie tracić więcej czasu, tylko myśleć.

– Myśl! – warknął do siebie, machając zaciśniętą pięścią obok ucha. – Myśl! Patryk Ruszczyk, Damian Wolczuk i Piotr Florczyk. Ich trzech i on sam. Nie, nie sam. Była jeszcze Kowalska i Kryński. Drugi krąg. Naprawdę jedyny, bo pierwszego nigdy nie było. A więc trzy do trzech.

Zatrzymał się nagle. Szumiało mu w głowie, w myśli wdarł się chaos. Wsparł się na kolanach, jak gdyby chciał zwymiotować, zamknął oczy i odetchnął głęboko. Jego była żona nigdy nie lubiła, gdy tak robił. Nie lubiła, gdy podczas wspólnego spaceru nagle zaczynał myśleć o pracy. W trakcie koncertu lub kolacji. W połowie rozmowy. Zatrzymywał się, odpływał, stawał się nieobecny. Czasem na dłuższą chwilę. Kilka minut.

Na początku tego nie lubiła, potem znienawidziła. Uważała, że w ten sposób okazuje jej brak szacunku, że ich małżeństwo mało dla niego znaczy. „Tak bardzo cię nudzę, że zaczęłaś myśleć o pracy?” – pytała. Potem wpadała w szał. Czasem tylko przeklinała. Czasem histeryzowała i zachowywała się jak wariatka. Painer tego nie rozumiał. „Zaczęłaś myśleć o pracy?” Abstrakcyjne pytanie. On nigdy nie przestawał myśleć o pracy. Nie potrafił.

Zawsze, w każdej chwili, jakaś część jego mózgu pracowała analitycznie. Przetwarzała dane, wyciągała wnioski, analizowała. Zawsze! Czasami po prostu tracił nad tym kontrolę. Taki już był. *Dominus litis* – pan procesu, oskarżyciel, który nigdy do końca nie zasypia. Myśl! Fakty pozostały faktami. Brakowało najważniejszego elementu. Wzorca, do którego można je było dopasować.

Coś sobie nagle przypomniał. To był krótki przebłysk myśli. Wspomnienie gdzieś z tyłu głowy. Pozornie nic nieznaczące. Coś, na co zwykły człowiek nie zwróciłby może uwagi. Painer jednak zwracał. Wiedział, że to może być punkt zaczepienia. Klucz lub drogowskaz, którego nie powinien bagatelizować. Ludzie nazywali to intuicją, Painer – myśleniem peryferyjnym. W życiu prywatnym to było przekleństwo, w zawodowym – dar.

Painer ruszył biegiem do samochodu.

W tej samej chwili kilkaset kilometrów dalej ruszył też oddział szturmowy policji. Pięciu operatorów, uzbrojonych i wyszkolonych specjalnie do takich akcji, przebiegło krótki odcinek od rogu bloku do pozbawionych domofonu drzwi. Po chwili byli już w środku, na schodach.

Prokurator Painer wszedł do auta, ale nie uruchomił silnika. Sięgnął do tyłu, wymacał torbę z laptopem i przeciągnął ją niezgrabnie między siedzeniami. Wyszarpał komputer, o mało go nie upuszczając. Włączył i położył na siedzeniu pasażera.

Urządzenie potrzebowało chwili, by się uruchomić i wyświetlić ekran logowania. W tym czasie Painer grzebał w telefonie. Musiał mieć pewność, że dobrze to zapamiętał.

Tak właśnie było. Wpisał login i hasło. Za pierwszym razem z błędem, ze zdenerwowania. Za drugim poprawnie. Znalazł odpowiedni katalog i właściwe pliki. Wyświetlił pierwszy z nich na monitorze. Czarno-biały skan dokumentu.

Oddział szturmowy dotarł na wskazane piętro. Zajął pozycje. Operator z taranem ustawił się obok drzwi. Ubezpieczony przez pozostałych, czekał na potwierdzenie. Przyszło niemal od razu. Kiwnął głową i przystąpił do działania.

Taktyczny sprzęt wyważeniowy typu lekkiego. Waga około dziesięciu kilogramów. Przeznaczony do użytku jednoosobowego. Krótki i praktyczny. Pozwalający na otwarcie niemal każdych standardowych drzwi. Standardowych, czyli takich, które nie zostały wyposażone w systemy antywłamaniowe. Na antywłamaniowe był o wiele za słaby. Ale w tym wypadku drzwi były zwyczajne. Zgodne z rozpoznaniem. Dlatego dziesięciokilowy taran z płaskim czołem w zupełności wystarczył.

Niektóre oddziały używały sprzętu wyważeniowego z czołem wypukłym. To zależało od osobistych preferencji operatorów. Czoła wypukłe miały swoje plusy. W pewnych warunkach uderzenie nimi doprowadzało do natychmiastowego złamania drzwi. Nawet jeśli nie puścił zamek ani zawiasy, to i tak droga do wnętrza była otwarta. W niektórych warunkach. W innych po prostu wbijały się w poszycie. Tworzyły niewielki otwór, w którym często się klinowały, opóźniając akcję i niwelując element zaskoczenia. Zwiększając ryzyko.

Dlatego oddział warszawski stosował czoło płaskie. Pracujące większą powierzchnią. Nie wbijało się w poszycie, ale czasem trzeba było walnąć kilka razy. Tym razem jednak wystarczył raz.

Drzwi były stare i słabe. Puściły z głośnym trzaskiem. Granat hukowo-błyskowy był głośniejszy. W bloku zadrżały szyby. Na parkingu zawył alarm.

Policjanci wdarli się do mieszkania. Do dużego pokoju. Cel był w połowie drogi między fotelem a szafką. Zaskoczony i oślepiiony, nie miał szans, by stawić opór.

Prokurator już rozumiał. Miał przed oczami klucz, brakujący wzorzec. Zakręciło mu się w głowie, krew pulsowała w skroniach. Nie był w stanie kontrolować myśli przewalających się pod jego czaszką jak żywioł, który przerwał tamę.

To powodowało fizyczny ból. Silną migrenę. Nie pierwszą i nie ostatnią. Wszystko wywrócone do góry nogami, zaskakujące. Upiornie zaskakujące, lecz logiczne. Przynajmniej w zarysie, bo informacji było zbyt dużo, aby ludzki mózg mógł je przetworzyć tak szybko.

Nie musiał. Liczył się klucz. Klucz i najważniejsze fakty. To, czy do

niego pasują. Painer był już pewien, że tak. Nie odgadł jeszcze do końca, w jaki sposób. Nie miał pewności dlaczego, ale wiedział kto. Kto i kiedy. Wiedział też, że musi jak najszybciej wracać.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Wrzucił bieg i ruszył ostrzej, niż planował. Gdy skręcał, laptop walnął o drzwi pasażera. Przy hamowaniu zleciał na podłogę. Painer nie zwracał na to uwagi. Liczył się czas. Zwolnił, ale nie zdążył się zatrzymać przed skrzyżowaniem, bo zapaliło się zielone.

Zredukował bieg i wcisnął pedał gazu. Sięgnął po telefon. Wybrał numer Kryńskiego i przyłożył urządzenie do ucha. Nie było sygnału. Był huk. Huk i wstrząs. Zgrzyt metalu, strach i ciemność.

120

Siła uderzenia była tak duża, że zielone subaru forester obróciło się wokół własnej osi, rozrzucając wkoło fragmenty karoserii, plastiku i szkła. Skosiło słup z sygnalizacją świetlną, uszkodziło barierkę oddzielającą pasy i zatrzymało się dopiero na chodniku. Pokracznie wykrzywione.

Silnik stanął ze zgrzytem. Pęknięty, ale wciąż trzymający się na miejscu reflektor przygasł. Para z sykiem uchodziła z rozwalonej chłodnicy. Wyrwane siłą uderzenia koło leżało kilka metrów dalej. Razem z pogiętą kolumną MacPhersona. W miejscu, gdzie były jeszcze chwilę wcześniej, teraz ziała pustka. Coraz bardziej wilgotna od płynów, które wyciekały z poszarpanych przewodów.

Cieżarówka zatrzymała się dopiero kilkanaście metrów dalej. Jej kierowca wydostał się z kabiny. Z rany na czole ciekła mu krew, spływała po szyi. Nie zwracał na to uwagi. Był w szoku.

Z trudem ruszył w stronę wraku forestera. Miał zwichniętą kostkę. Zwichniętą lub złamaną. Mimo to kuśtykał. Jakiś samochód zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Jego kierowca wybiegł z gaśnicą w dłoni. Najwyraźniej miał doświadczenie. Wiedział, że płomienie nie muszą, ale mogą się pojawić.

Zatrzymały się kolejne auta. Pierwszy był jednak kierowca ciężarówki. Dokuśtykał do drzwi, złapał za klamkę i próbował je otworzyć. Były zakleszczone. W zdewastowanym wnętrzu bezwładne ciało prokuratora zwisało na pasach. Z wystrzelonych poduszek schodziło powoli powietrze. Ściekała z nich krew.

Ktoś połączył się w końcu z centrum powiadamiania ratunkowego. Nerwowym głosem opisywał zdarzenie.

121

Alicja Lipińska skończyła pisać esemesa. Był krótki, enigmatyczny. „Przestań się dobijać, i tak ci nie otworzę. To koniec” – przeczytała na głos. Damian Wolczuk skinął głową. Uśmiechnęła się niepewnie i wysłała wiadomość na numer Kryńskiego. Odczekała chwilę dla pewności, a potem wyłączyła telefon. Ekran zamigotał i zgasł.

– Już – powiedziała. – Mam go zostawić?

– Zostaw albo zabierz. To bez znaczenia. Ważne, aby pozostał wyłączony. – Stał przy drzwiach. Ogolony i elegancki. Ubrany w czyste, wyprasowane spodnie i marynarkę od Paula Smitha, do której nie pasowała przerzucona przez ramię torba. Ale Wolczuk nie zamierzał z nią chodzić. Nie dalej niż do samochodu. – Gotowa?

– Tak. – Skinęła głową. – Jesteś pewien, że ci się uda?

– Tak. – Otworzył drzwi i puścił ją przodem.

Parking przed blokiem był ciasny, dlatego niebieski ford Alicji stał na drodze przy garażach. W miejscu, gdzie nie było możliwości, by go zastawić.

To czasami się zdarzało pod blokiem. Przyjechał kurier, ktoś przywiózł pralkę, wywoził meble, wymagał pomocy. Jeden pojazd wystarczył. Reszta musiała czekać. Częściej w ciągu dnia, rzadziej wieczorem. Mimo wszystko nie było sensu ryzykować. Dlatego rano Alicja przestawiła auto. Kilkadziesiąt metrów dalej. Zero ryzyka.

Wnętrze samochodu było wciąż nagrzane, pachnące plastikiem i kurzem, parne. Otworzyli drzwi i poczekali chwilę, by się

przewietrzyło. Wolczuk położył torbę na tylnym siedzeniu. Zajął miejsce pasażera. Alicja usiadła za kierownicą. Spojrzała na niego pytająco, a gdy skinął głową, uruchomiła silnik. Wrzuciła bieg i ruszyła wolno w stronę wyjazdu z osiedla. Na Małogoskiej skręciła w prawo.

122

Gdy Dariusz Kryński dotarł do pracy, przed komisariatem kręciło się już tylko troje najwytrwalszych dziennikarzy. Nie zaczepiali go jednak. Nie był dla nich interesujący.

Pół godziny później wyjechali z Karoliną na patrol. Za bramą skręcili w prawo, jak zwykle. Standardowa marszruta, którą przerwać mogło zgłoszenie dyspozytora, konieczność podjęcia interwencji albo inne nieprzewidziane okoliczności.

Choć to określenie nie było do końca na miejscu. Policyjna robota miała nieprzewidziane okoliczności wpisane w samą definicję. W DNA zawodu, który dla równowagi ubrano w schematy procedur. Zasady postępowania, nad którymi przez lata głowiły się setki jajogłowych. Często siedzących za biurkiem, z dala od prawdziwego życia. Dlatego tworzyli czasem absurdy.

Tak jak te dotyczące użycia broni palnej. Obowiązujące jeszcze jakiś czas temu. Paranoiczne. Policjanci, stając naprzeciw uzbrojonego napastnika, nie mogli mu się natychmiast przeciwstawić, nie mogli go wyeliminować. Przed użyciem broni palnej byli zobowiązani do tego, by poinformować przestępcę, że są z policji. Następnie musieli wezwać go do zachowania zgodnego z prawem, polecić porzucenie broni. Dopiero gdy przestępca nie zastosował się do poleceń, mogli sięgnąć do kabury. Ale nie mogli strzelić. Jeszcze nie. Najpierw musieli ostrzec, że mogą to zrobić: słynne „Stój – bo strzelam!”, potem oddać strzał ostrzegawczy w powietrze. Dopiero później mogli skierować broń w stronę napastnika i strzelać, ale tak, by go nie zabić, lecz jedynie wyeliminować.

Potem i tak mieli problemy. Każde takie zdarzenie było analizowane

bardzo dokładnie. Przez kolejnych jajogłowych, ludzi, którzy za wszelką cenę starali się udowodnić, że nie było potrzeby sięgać po broń. Nie było potrzeby albo że zrobiono to, łamiąc procedury. Pieprzeni adwokaci diabła.

Wystarczyło, że któryś z punktów nie został zrealizowany, że policjant krzyknął nie to, co powinien, zająknął się albo przestępca nie usłyszał, i pozamiatane. Popisowy proces i surowe konsekwencje. Potem każdy już wiedział, że najgorsze, co go może spotkać na służbie, to konieczność sięgnięcia po broń. Wiele osób się na to nie zdobyło. Nawet kiedy było to konieczne. Woleli nie ryzykować. Dopiero po latach ktoś z tym zrobił porządek.

Zapis mówiący, iż „Powyższa procedura nie jest wymagana, jeśli jej przestrzeganie mogłoby doprowadzić do powstania bezpośredniego niebezpieczeństwa dla życia lub zdrowia”, zaczął obowiązywać nie tylko na papierze. Jajogłowi nagle zaczęli patrzeć na problem realnie. Skończyło się polowanie na czarownice. Pozwolono policji podejmować adekwatne do sytuacji decyzje.

Konieczność podejmowania decyzji też była częścią policyjnego DNA. Wynikała bezpośrednio z faktu, że nie dało się wszystkiego przewidzieć. Nie było dwóch takich samych interwencji, a więc nie mogły istnieć precyzyjne regulacje prawne.

Dlatego funkcjonariusz za każdym razem musiał decydować o przebiegu czynności. Na każdym etapie. Przede wszystkim jednak musiał ocenić, czy interwencja jest konieczna. Czy należy ją podjąć.

Dariusz Kryński otrzymał wiadomość od Alicji, gdy wchodził na komisariat. Przeczytał ją jednak dopiero w radiowozie, gdy wyjechali za bramę. Krótki, niezrozumiały esemes. Być może wcale nieprzeznaczony dla niego. Być może wysłany przez pomyłkę. Na pewno niepokojący. Jasny sygnał, że dzieje się coś niedobrego. W najlepszym wypadku wykroczenie z artykułu pięćdziesiątego pierwszego paragraf pierwszy kodeksu wykroczeń o zakłócaniu spokoju. W gorszym występki z artykułu sto dziewięćdziesiątego trzeciego kodeksu karnego o mirze domowym. O najgorszej możliwości wolał nie myśleć. Wydawała się nierealna.

Po chwili wahania wybrał numer Alicji. Jako policjant na służbie, a nie jej były facet. Abonent był niedostępny. Ponowił próbę. Również bez skutku.

– Podjedź na Sosnowkę – powiedział.

– Pod blok laseczki? – Karolina wymownie przewróciła oczami. Spoważniała, gdy Kryński pokazał jej wiadomość. – W porządku, jedziemy.

Nie byli daleko. Półtora kilometra. Trzy minuty jazdy. Zatrzymali się niemal przy samej klatce. Na parkingu nie było miejsca, więc zablokowali przejazd. O tej godzinie nie miało to większego znaczenia. Kryński ponownie spróbował połączyć się z Alicją. Jej telefon był wyłączony.

Zamknęli radiowóz i weszli na górę. Dźwięk dzwonka był ostry i metaliczny. Wydawał się niemożliwy do zignorowania. Za drzwiami panowała jednak cisza. Nikt nie otworzył, nikt nie spytał „Kto tam?”. Nasłuchiwali chwilę i zadzwonili ponownie. Potem zapukali energicznie. W końcu Kryński nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte.

– Co robimy? – zapytał. Karolina wzruszyła ramionami. Jeszcze raz nacisnęła dzwonek. Zgrzytnął przekręcany klucz. Skrzypnęły zawiasy.

– Tych państwa nie ma. – Kobieta stanęła na progu mieszkania naprzeciwko. Miała na sobie ogrodniczki i szary, rozciągnięty T-shirt. Była pobrudzona farbą. W dłoni wciąż trzymała wałek. – Wyszli jakieś pół godziny temu.

– Kto... to znaczy z kim wyszła ta pani? – spytał Kryński.

– Z mężem? – Kobieta zmarszczyła brwi. – Albo facetem. Nie wiem, bo dopiero niedawno kupiłam tu mieszkanie.

– Czy słyszała pani jakąś kłótnię?

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale ja właśnie wtedy przyjechałam z farbą. Minęłam ich na schodach. Nie wyglądali na skłóconych. Oboje powiedzieli „dzień dobry” i poszli. Nie zauważyłam, żeby byli podenerwowani czy coś w tym stylu.

– Jak wyglądał ten mężczyzna?

– Dobrze ubrany, całkiem przystojny. Pomyślałam, że są małżeństwem, bo ładnie razem wyglądali.

- Pół godziny temu?
- Coś koło tego.
- W porządku, dziękujemy pani.

Wrócili do samochodu.

- I co teraz? - spytała Karolina.

- Nic - mruknął Kryński. - Jedziemy dalej. To mógł być głupi żart. - Niezbyt w to wierzył, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. Jeden esemes sugerujący poczucie zagrożenia. Potem nic. Żadnych prób połączenia, żadnego kontaktu. Do rozmowy z sąsiadką był przestraszony. Potem zirytowany. W końcu niepewny.

Ponownie spróbował nawiązać połączenie. Bez skutku. Jeśli miałby to być żart, to nie był śmieszny.

Kryński wiedział, że będzie o tym myślał. Wbrew woli i zdrowemu rozsądkowi. Może o to chodziło? Może to miała być jakaś próba naiwnej zemsty? Złośliwość urażonej kochanki? Jeśli tak, to po części się udała. Zasiała niepokój.

Spróbował dodzwonić się do prokuratora Painera. Chciał zapytać, czy wiadomości, które wysłał rano, dotarły. Pogadać o tym, co to może znaczyć, i przekazać to, czego nie napisał. Przede wszystkim zająć myśli czymś innym. Nie nakręcać się na Lipińską. Telefon prokuratora też był wyłączony.

Wyświetlił numer do Doroty. Przez chwilę trzymał nad nim palec, ale zrezygnował. Obawiał się, że ta rozmowa by go dobiła.

123

Damian Wolczuk stał, obejmując Alicję. Oboje wpatrywali się w miejsce, gdzie słońce zniknęło za horyzontem. Na oszałamiający krajobraz, jaki rozpościerał się ze szczytu Miedzianki. Tak klasycznie skąpany w złocie i purpurze, że aż nierzeczywisty. Idealny landszaft malowany przez samą naturę. Ponad nimi niebo ciemniało z wolna. Niosło chłód.

- Równie malownicze co wschód słońca - ocenił. - Może nawet

bardziej.

– Czemu nie powiedziałaś, że tu jedziemy? – spytała z wyrzutem. – Zabrałabym aparat. Byłyby z tego piękne kadry.

– Mamy ważniejsze rzeczy do zrobienia. – Poglaskał ją po ramieniu. – Dużo ważniejsze niż zdjęcia. Ale to później. Na razie cieszymy się tym cudem natury. Póki trwa.

– Czuję się nieswojo – przyznała z wahaniem. – Wolałabym, żebyś mi powiedział, co chcesz zrobić.

– Dobrze. Masz rację. Przepraszam, Alicjo, wcześniej naprawdę to byłoby zbyt ryzykowne. – Przytulił ją. – Teraz już mogę ci wszystko powiedzieć, ale za chwilę, gdy słońce zajdzie. Będziemy mieli dość czasu, aby się przygotować.

Oparła głowę na jego ramieniu i trwali tak, wpatrzeni w powoli kończący się dzień. W ostatnie chwile blasku. Odchodzącego wolno i ostatecznie. Umierającego.

Niedługo potem zapadł mrok. W oddali rozpalony łunami miast i wsi, ale na zboczu góry niemal całkowity. Niebo zasłane było rzęsami chmur, przez które nie przebijał się blask gwiazd. Musieli używać latarki, by zejść ze szczytu.

– To niemożliwe – wyszeptała Alicja, gdy dotarli do ścieżki. – To nie może być on.

Wolczuk zdjął z ramienia torbę i położył ją na ziemi. Rozsunął.

– Damian, to nieprawda! – Stała nad nim.

– Prawda jest względna. – Wyjął z kieszeni telefon i go uruchomił. Na ekranie zamigotało logo producenta. Urządzenie budziło się do życia. – Nie zawsze taka, jaką chcielibyśmy widzieć.

– Ale...

– Po prostu mi zaufaj.

– Nie, to po prostu nie jest możliwe... – Nie widział jej, bo odeszła kawałek od blasku latarki, ale słyszał wyraźnie.

Spodziewał się, że tak zareaguje, że w pierwszej chwili nie uwierzy i będzie próbowała wypierać taką wersję zdarzeń. To podstawowy mechanizm obronny. Niedopuszczanie do świadomości niczego, co boleśnie burzy obraz świata. Nawet wbrew logice i zdrowemu

rozsądkowi.

Wolczuk podejrzewał, że tak będzie. To było tak samo oczywiste i naturalne, jak nieistotne. Nie miało znaczenia. Ważne było, co zrobi później, gdy minie pierwszy szok. Oczywiście miał nadzieję, że Alicja połączy fakty i przyzna mu rację. Uwierzy, że Kryński jest zabójcą, i pomoże go dorwać. To by wszystko ułatwiło.

– Usiądź i zastanów się na spokojnie – zaproponował, wyciągając z torby drugą latarkę. – Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. – Telefon złapał zasięg i zwariował dźwiękami powiadomień. – Wiem, że to dla ciebie szok, ale pomyśl logicznie. – Spojrzał na zegarek. – Mamy jeszcze chwilę czasu. – Wyciągnął szeroką taśmę monterską i paralizator. Na wszelki wypadek, bo naprawdę miał nadzieję, że Alicja przyzna mu rację i nie będzie musiał ich użyć. Nie chciał tego robić, lecz znał stawkę.

124

Dzieciaki przy ognisku obiecały, że będą ciszej. Po prostu nie wiedziały, że dźwięk aż tak się niesie. Kryński ocenił ilość alkoholu, jaki przy sobie miały, i uznał, że zapowiada się spokojna impreza. Nie było sensu nikogo spisywać. Życzył im udanej zabawy i wrócił do radiowozu.

– I jak? – Karolina uruchomiła silnik.

– Będą grzeczni. – Poczul w kieszeni wibracje telefonu i usłyszał stłumiony dźwięk. Sieć informowała, że abonent, z którym próbował się połączyć, jest już dostępny.

– Dziewczyna? – spytała.

– Telefon Wolczuka zalogował się do sieci.

– Zadzwoń.

– Nie. – Położył telefon na podszybiu. – Nich sobie robią, co chcą. – Sięgnął po radio i zameldował o przebiegu interwencji. Kaniewska włączyła kierunkowskaz i wyjechała z powrotem na asfalt.

Pół kilometra dalej telefon Kryńskiego zadzwonił.

– Słucham! – Skrzywił się z niezadowoleniem. Potem jednak jego twarz stężała. Szturchnął Karolinę. – Cholera, Wolczuk, powtórz, bo coś przerwało! – Przełączył na głośnomówiący.

Jakość połączenia nie była najlepsza. Może ze względu na to, że się poruszali, a może telefon Wolczuka gubił zasięg. Może jedno i drugie. Dźwięk falował. Od czasu do czasu słychać było szumy i trzaski. Wolczuk wydawał się zdyszany. Zdyszany albo podekscytowany.

– Wiem, kto zabił Beatę, i wiem, gdzie teraz jest. Słyszysz, Darek?

– Tak. Trąbią już o tym w wiadomościach. Zatrzymali go w Radomiu.

– Nie! On jest tu, słyszysz?

– Wolczuk...

– Morderca jest tu, Kryński! Jest i czeka na ciebie! Przyjedź na Miedziankę i przekonaj się sam. W sztolni „Zofia” masz dowody. Wiesz, gdzie to jest?

– Przestań się wydurniać!

– Pytam, czy wiesz, gdzie to jest!

Przez moment słychać było tumult, trzask i sapanie.

– Wiesz gdzie, Kryński? – Musiał inaczej trzymać telefon, bo głos dochodził stłumiony, jak z oddali.

– Wiem.

– To rusz dupę, zanim komuś stanie się krzywda!

– Wolczuk...

Sapnięcie, zgrzyt i głos znów wrócił do normy.

– Wiem, że jesteś na patrolu. Jest was dwoje. Słyszę echo, więc rozmawiamy na głośnomówiącym. Twój partner albo partnerka mnie słyszy. To bardzo dobrze, bo powinniście się tu pojawić oboje. Uzbrowieni! Złapiecie mordercę i zostanieie bohaterami. Ja to potem opiszę i wszyscy będą szczęśliwi. Tylko że musicie się pośpieszyć. Przyjechać, zanim dorwie kolejną ofiarę. Słyszysz, Kryński? Musicie przyjechać, zanim coś się stanie Alicji.

– Wolczuk!

– To był jedyny sposób, aby go tu zwabić. Mnie też się to nie podoba, jej tym bardziej, ale to jedyny sposób. Sztolnia „Zofia”. Śpieszcie się!

– Wolczuk!!! – Połączenie zostało zakończone. Niemal w tym samym

momencie przyszła wiadomość. Wolczuk musiał ją wysłać w trakcie rozmowy. To było zdjęcie. Niewyraźne, bo zrobione po ciemku. Lampa błyskowa nie pozwoliła złapać ostrości, ale i tak nie mogło być żadnych wątpliwości. Zdjęcie przedstawiało Alicję Lipińską. Związaną i zakneblowaną. Przerażoną. Kryński zbladł. Ręce zaczęły mu się trząść. Próbował oddzwonić, lecz telefon Wolczuka znów był wyłączony.

– Darek, co robimy?

– Jedź tam, kurwa! – W ostatniej chwili powstrzymał się przed rozwaleniem telefonu o deskę rozdzielczą. – Jedź! – Chwycił radio, ale nie zdążył połączyć się z dyspozytorem. Jego telefon zadzwonił głośno. Spojrzał na ekran, lecz nie skojarzył numeru. Rozłączył się. Po chwili telefon zadzwonił znowu. Na ekranie wyświetlał się ten sam co przed chwilą nieznany ciąg cyfr.

– Słucham! – krzyknął do słuchawki. Głos po drugiej stronie był słaby i zniekształcony, ale Kryński gdzieś go już słyszał. Na pewno go znał. – Proszę powtórzyć! Słucham?... Pan prokurator? Telefon pielęgniarki? – Wyprostował się odruchowo. – Ja pana przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać. Wolczuk... Słucham? Tak, Wolczuk przed chwilą... Ale... Tak. – Rzucił Karolinie wymowne spojrzenie i przełączył na głośnomówiący. – Tak, proszę mówić, słyszę dobrze...

125

Miejscowość Miedzianka leżała u podnóża góry, od której wzięła swoją nazwę. Klasyczna zabudowa po obu stronach drogi. Proste, dwukilometrowego odcinka, który pokonali szybciej, niż powinni. Bez dyskoteki. Nie chcieli robić sensacji, wyciągać ludzi z domów. Ryzykować, że ktoś pójdzie zobaczyć, co się stało.

Za ostatnimi budynkami droga skręcała ostro na północ, w kierunku pobliskiego Zajączkowa. Wcześniej jednak można było z niej zjechać na niewielką polanę, która stanowiła parking dla turystów chcących wejść na górę.

Jeszcze wcześniej od drogi odchodziła ścieżka oznaczona jako szlak

rowerowy. Umieszczono przy niej tablicę informacyjną. Tam właśnie skręciła Karolina. Za szybko, by Kryński zdążył zareagować. Zresztą było zbyt ciemno i zorientował się po faktie. To jednak nie miało znaczenia, bo i tak musieli zostawić radiowóz. Czy stąd, czy z polany dalej, musieli iść na piechotę.

– To jej auto, prawda? – Karolina zatrzymała się obok forda.

Kryński skinął głową. Wsiadł i wyciągnął broń. Sprawdził magazynek.

– Nie chcesz poczekać na wsparcie? – zapytała, robiąc to samo co on. Powinni czekać. Wiedzieli o tym oboje.

– Za duże ryzyko. – Przeładował i schował broń do kabury. Nie zapinał jej jednak.

– Pytałam dla zasady. – Spojrzała na ekran telefonu. – W linii prostej pokazuje trzysta metrów, do przejścia pewnie jakieś czterysta, może więcej. Nie mam aplikacji pieszej.

– Wiem, gdzie to jest. – Oświetlił latarką ścieżkę, która wdzierała się w gęstwinę. Spojrzał na policjantkę, a gdy kiwnęła głową, ruszył przodem.

Na niebie nie było gwiazd ani księżycy. Gęste krzaki tłumiły światło latarki. Mrok wydawał się lepki i klaustrofobiczny. Karolina oświetlała sobie drogę telefonem. Niewielka dioda LED była wystarczająca, by zmniejszyć ryzyko połamania nóg. Tym bardziej że latarka Kryńskiego dawała wąski snop światła. Skierowany w przód, szukający ścieżki. Nierównej i miejscami zdradliwej.

Po pięciu minutach zobaczyli cel. Nie dało się go przegapić. Umieszczona w wejściu do sztolni latarka tworzyła świetlny drogowskaz. Błada luna zmieniała wszystko wokół. Upiornie wydłużała cienie. Budziła niepokój. Przed wszystkim jednak nie pozwalała zajrzeć do wnętrza jaskini. Zgasili swoje latarki i zbliżyli się na kilka metrów. Ostrożnie, wciąż pozostając w mroku.

– Wolczuk! – zawołał Kryński.

Nikt nie odpowiedział.

– Wolczuk, jesteś tam?

Cisza.

– Wchodzę – szepnął, wyciągając broń. Poczuł dłoń Karoliny na swoim ramieniu. Przez chwilę myślał, że będzie próbowała go powstrzymać, ale to nie było w jej stylu.

– Ubezpieczam cię. Bądź ostrożny!

Skinął głową, choć nie mogła tego zobaczyć, i zakradł się bliżej wejścia. Wcinało się w zbocze krótkim wąwozem. Opadającym, co ułatwiało kiedyś wywożenie urobku, lecz teraz stanowiło problem.

Wejście było wyżej. Akurat na tyle, że gdyby Kryński stanął naprzeciwko, to miałyby je na wysokości głowy. To wymuszało spacer pod górę. Po omacku, wprost na świecąca w oczy latarkę. Parszywa sytuacja. Idealny cel dla kogoś kryjącego się w środku. Broń palna nie była potrzebna. Wystarczyłby nóż.

Napastnik czekający tuż za źródłem światła. Cięcie lub pchnięcie z bliska. Zero szans, by się obronić. Nawet jeśli wdrapałby się po zboczu i zeskoczył przed samym wejściem. Oślepiające światło uniemożliwiłoby wykorzystanie elementu zaskoczenia. Ciach i koniec.

Teoretycznie Kryński mógł strzelić w tę cholerną latarkę, ale to nie był Dziki Zachód ani jakiś gówniany film. Nie miał żadnej gwarancji, że trafi. Wbrew pozorom nie było to wcale łatwe. Nie z broni krótkiej. Nie w tych warunkach.

Poza tym nie wiedział, gdzie są Alicja i Wolczuk. Istniało duże ryzyko, że mógłby któreś z nich postrzelić. Jeśli nie bezpośrednio, to rykoszetem. W tych warunkach rykoszet mógłby być gorszy. O wiele gorszy niż strzał bezpośredni, bo pocisk odkształciłby się od uderzenia w skałę, zacząłby się obracać w niekontrolowany sposób. Trafiając w miękkie ciało, wyrządziłby o wiele większe szkody. To nie wchodziło w grę.

– Wolczuk! Jestem, tak jak chciałeś! – Brak jakiegokolwiek reakcji. – Dobra, niech będzie... – mruknął, tracąc cierpliwość. Wstał i wkroczył w snop światła. Skrzywił się, oślepiony, i odwrócił głowę. – Idę do ciebie! – krzyknął i ruszył ostrożnie pod górę.

Żadnego strzału, żadnego ciosu. W wejściu nikt na niego nie czekał.

Wymacał latarkę i odwrócił ją, oświetlając wnętrze jaskini. Niezbyt głęboko, bo wejście było stosunkowo wąskie i niskie, ale Kryński

pamiętał, że dalej korytarz robił się przestronniejszy. Kiedyś tam był. Dawno temu. Jako młody chłopak.

Pamiętał korytarze jak przez mgłę. O wiele lepiej chłód i strach. Strach, że coś mu się stanie i już nigdy nie wyjdzie na zewnątrz. Że nie przeżyje. Tak jak student, którego znaleźli kiedyś na dnie trzydziestometrowego szybu. Nazwanego potem „szybem studenta”. Bał się, a mimo to szedł, bo o to założył się z kolegami. Głupi szczeniacki zakład, w którym nie chodziło o nagrodę, lecz o to, czy się stchórzy, czy nie. Kryński nie stchórzył. Dotarł wtedy do końca kopalni i wy dostał się z niej cały i zdrowy. Wygrał zakład, ale nigdy więcej tu nie wrócił. Aż do dzisiaj.

Echo przyniosło jakiś dźwięk. Może słowa, może co innego. Nie mógł zrozumieć.

– Wolczuk! – krzyknął.

Ktoś mu odpowiedział. Jedno niezrozumiałe słowo i stłumione, nierozpoznawalne dźwięki. Kryński odwrócił się, by przywołać Karolinę. Niepotrzebnie, bo była kilka kroków za nim. Z bronią gotową do strzału. Poczował się nieco pewniej.

– Połóż ją tak, jak była. Niech kawaleria nie błądzi. – Wskazał leżącą na ziemi latarkę. Ponownie zapalił swoją i zaczął przeciskać się w głąb korytarza.

126

Damian Wolczuk czekał kilkadziesiąt metrów od wejścia. W miejscu, w którym korytarz był dość szeroki, żeby zmieścili się oboje z Alicją i pozostało jeszcze pole manewru. Alicja siedziała na ziemi. Związana i zakneblowana. Już nie próbowała się szarpać. Nie szlochała. Patrzyła tylko na Wolczuka. Śledziła każdy jego ruch. Przerażona, ale spokojna. Odrętwiała z szoku i strachu. Tak samo jak on słyszała Kryńskiego. Wiedziała, że jest blisko.

Wolczuk włączył latarkę w telefonie i umieścił go w zagłębieniu ściany. Dość wysoko, żeby oświetlić korytarz. Stworzyć strefę, która

oddzieli ich od policji. To było istotne, bo nie chciał, by zbyt dobrze go widzieli. Upewnił się, że Alicja siedzi na środku i zasłania swoim ciałem kawałek skały, który służy jej za oparcie, a jemu za ewentualną zasłonę, gdyby coś poszło nie tak. Gdyby na przykład okazało się, że źle to przekalkulował i są w zмовie. Nie brał tego wcześniej pod uwagę. Dopiero gdy zaciągnął Alicję w głąb sztolni, dotarło do niego, że istnieje taka możliwość. Było już jednak za późno na to, aby się wycofać.

– Słyszę cię, Kryński. Jesteś już blisko – powiedział głośno i powoli. – Gdy zobaczysz światło, zgaś swoją latarkę. Nie chcę, żebyś świecił nam po oczach.

Minął Alicję i kucnął za nią.

– Spokojnie – wyszeptał, gdy zaczęła w panice wykręcać głowę, żeby zobaczyć, co robi. – Tylko usiadłem. Wiem, że się boisz, ale wszystko będzie dobrze. Po prostu się nie ruszaj i patrz na wprost, zaraz się tu pojawią.

Zaczęła się trząść. Z jej oczu znów popłynęły łzy. Z trudem łapała powietrze przez nos. Naprawdę bała się podziemi. Na jej miejscu każdy by się bał.

– Spokojnie, bez dramatów. Niedługo będzie po wszystkim.

Drżący blask liznął ścianę raz i drugi. Zbliżał się szybko.

– Zgaś latarkę, Kryński.

– W porządku. Robię to, o co prosisz. – Światło zgasło. Kroki się zbliżały. – Mam nadzieję, że to zadziała w obie strony.

– Naturalnie – zgodził się Wolczuk. – Nie od razu, ale obiecuję, że nie będę sprawiał problemów. Stój, Kryński! Może jeszcze krok do przodu, lecz nie dalej. Będziemy się widzieć z rozsądnej odległości.

– Mam broń, trzymam w rękach pistolet. Nie wiem, czy to widzisz, Wolczuk.

– Widzę.

– Świetnie. – Kryński starał się mówić spokojnie. Nie był jednak psychologiem, nie wychodziło mu to najlepiej. – Odsuń się od zakładnika i połącz z rękami na głowie! Proszę cię, Damian – dodał.

Alicja zaczęła się szarpać. Wolczuk chwycił ją za ramiona i przycisnął

mocno do kamienia. Jęknęła z bólu.

– Obiecuję, że to zrobię, Darku, ale najpierw musisz mnie wysłuchać. Oboje musicie – dodał, gdy Karolina pojawiła się obok Kryńskiego. Przyjęła pozycję klęczącą. Celowała w Wolczuka. – Proszę się nie wygłupiać, bo może pani zranić niewinną osobę. – Głos miał pozornie opanowany, niemal zycziwy.

Naprawdę denerwował się coraz bardziej. O wiele bardziej, niż planował.

– Potrzebuję dziesięciu minut waszej uwagi, potem kładę się na ziemi, a wy robicie, co trzeba. W porządku?

– Mów.

– Ojciec Teofil miał rację. Zło jest podstępne. – Usiadł wygodniej, pilnując, by Alicja była na linii strzału. – Może to rzeczywiście opętanie, a może chory umysł. Nie jest to teraz istotne. Istotne jest to, że niewinna kobieta została zamordowana. Beata Chmielewska, która miała w końcu szansę na normalne życie. Była niewinna tak samo jak ludzie z tej piaskowni i tak samo jak Justyna. Tak, o Justynie mogę naprawdę wiele powiedzieć, ale nie to, że zasłużyła na śmierć. A jednak została zabita... Ona i jej gach. Tyle przemocy, tyle niepotrzebnej śmierci... – Westchnął. – A wszystko tylko po to, żeby zmylić trop. Rozumiecie? To wszystko było tylko po to, aby zbudować fasadę, za którą ukryje się morderca.

– Pieprzenie! – Karolina poprawiła chwyt broni. Kryński dał jej znak, by nie przerywała.

– Też tak myślałem – zgodził się Wolczuk. – Myślałem, że to niemożliwe, aby ktoś zadał sobie tyle trudu. Zabił tyle osób tylko po to, by nikt nie zwrócił uwagi na tę właściwą. Pomyślcie. Gdyby zginęła tylko Beata, to prędzej czy później sprawdzilibyście wszystkich, którzy mieli z nią styczność. Rozgrzebalibyście każdą sprawę i w końcu trafili na trop. Ale Beata nie była pierwsza, tylko piąta. Morderca zadbał o to, abyście uznali ją za przypadkową ofiarę. Ofiarę seryjnego mordercy. Była piąta, lecz nie mogła być ostatnia. To też by było podejrzane, prawda? Dlatego musiał zabić ponownie. Dać wam ofiarę i potencjalnego sprawcę. Następny fałszywy trop.

– Mów dalej – zachęcił Kryński.

– Byłem idealnym kozłem ofiarnym. Sfrustrowany koleś znikąd, który pojawił się we właściwym momencie. Po to była ta akcja w kościele. Miał być kolejny trup i sprawca. Koniec historii. Niestety nie wyszło. Ocknąłem się za wcześnie i zdążyłem uciec. Morderca musiał więc zmienić plany. Grać dalej.

Chrząknął, bo zaschło mu w gardle.

– Zmienił taktykę. Wiedział już, że jestem dziennikarzem. Wiedział, że nie jestem naiwny ani głupi. Przede wszystkim wiedział jednak, że nie odpuszczę. Że będę węszył, aż w końcu trafię na właściwy trop. Dlatego postanowił mnie wykorzystać. Subtelnie skierować tam, gdzie chciał. Przyznaję, po mistrzowsku. – Pokiwał głową. – Byłem niemal pewien, że wiem, kto zabił i dlaczego. Wiesz, Kryński? Niemal się udało.

– Tak uważasz?

– Tak. Niemal uwierzyłem, że to ty jesteś mordercą. Miałeś powody, aby uciszyć Beatę. Bałeś się, że zacznie mówić o tym, co zdarzyło się kilka lat temu w lesie. O tym, że zgwałciliście ją brutalnie podczas nocnego patrolu. Samotna, naćpana autostopowiczka bez kontaktu z rzeczywistością. Nawet nie wiedziała, co się stało. Ofiara idealna. Dopiero potem zacząłeś się bać, że może sobie coś przypomnieć. Tak bywa, prawda? Amnezja psychogenna potrafi się czasami cofać. Dlatego miałeś ją na oku. Przebywała w klasztorze, pilnowana przez twojego kumpla, terapeutę Krawczyka. Gdyby cokolwiek sobie przypomniała, on dowiedziałby się pierwszy. To była idealna sytuacja. Bezpieczna, ale potem się pokłóciliście. Koleś zrobił ci na złość i uznał Beatę za zdrową. Pozwolił jej opuścić ośrodek.

– Co ty bredzisz? – zdenerwował się Kryński.

– Wszystko świadczyło przeciwko tobie, nawet twój ojciec psychopata, bo przecież niedaleko pada jabłko od jabłoni, prawda? Poza tym Beata wtedy zaszła. Nikt nie chciał, by urodziła dziecko z gwałtu. Załatwiłeś jej więc aborcję. Nie sam, ale przez Krawczyka. To on dogadał się z Szymańskim, żeby kogoś znalazł. Bo ty zawsze trzymałeś się z boku. Żeby nikt cię nie podejrzewał. Trzymałeś się z boku, ale kontrolowałeś sytuację. Poza tym byłeś jedną z dwóch osób, które wiedziały o mnie

i Justynie. O tym, dlaczego się rozstaliśmy. Dlatego właśnie Justyna zginęła. Chodziło o to, aby mnie wyprowadzić z równowagi, abym czuł presję i chciał jak najszybciej znaleźć sprawcę. Poza tym zawsze istniała opcja, że ostatecznie będzie mnie można zrobić jako kogoś, kto miał motyw. Tyle że miałem na tę noc solidne alibi, a więc nic z tego nie wyszło. Najważniejsze jednak, że miałeś motyw. Skurwysyńsko solidny motyw.

– Wolczuk...

– Mówię o tym, co miało być dowodem przeciwko tobie. Dwóch napalonych policjantów gwałcących dziewczynę i żyjących w strachu, że kiedyś sprawa się wyda.

– To bzdura – mruknęła Karolina, zerkając na Kryńskiego.

– Dlaczego? – zainteresował się Wolczuk. – Bo Darek sprawia wrażenie miłego faceta? Ciepłej kluchy, która nie zrobiłaby nikomu krzywdy?

– Dlatego, że to ja byłem z nim na patrolu, kiedy odnalazł Beatę.

Wolczuk zmarszczył brwi.

– Morderca wiedział, że nie mogę uzyskać tej informacji... Wiedział, że Kryński nie będzie chciał o tym rozmawiać. Może zaryzykował. To nieistotne, bo wiem, że to nie ty, Kryński. Nie ty jesteś mordercą.

– Skończmy ten cyrk! – rozłościła się Karolina. – Dziesięć minut minęło. Odejdź od zakładniczki i połóż się z rękami na głowie. Mamy je widzieć, koleś, rozumiesz? Widzieć, że nic w nich nie masz!

– Lepiej to zrób, Wolczuk – rzekł spokojnie Kryński. W jego głosie nie było słyhać przekonania. Nie wierzył, że Wolczuk posłucha. – Zrób to, zanim wpadnie tu oddział szturmowy.

– Zrobię, ale najpierw musicie się dowiedzieć, kto zabił.

– Już wiemy – odparł cicho Kryński. Wolczuk go jednak nie usłyszał. Nie usłyszał albo zignorował.

– To był dla mnie szok – powiedział, zmieniając pozycję. Odciążył ścierpniętą łydkę. – Naprawdę szok. Dla was pewnie też będzie, ale musicie skupić się na faktach. Nie tych oczywistych, ale tych, które funkcjonują w tle. Morderca znał ofiarę i znał ciebie, Kryński, znał Krawczyka i tak dalej. Miał z ofiarą zatarg. Dawny i pozornie

zapomniani. Taki, na który nikt nie zwróciłby uwagi. Tak naprawdę o tym konflikcie zapomnieli wszyscy poza mordercą. On wciąż tym żył, lecz był dość sprytny, aby udawać, że tak nie jest. Myślę, że zabójstwo planował od lat. Gdy się dowiedział, że Beata wyjeżdża, postanowił działać. Nie chciał, aby mu uciekła. Był szalenie inteligentny, niebezpieczny i całkowicie poza podejrzeniami. Popełnił tylko jeden błąd. Zadarł ze mną, a to nigdy się dobrze nie kończy. – Parsknął. – Nigdy bym nie wpadł na jego trop. Nie przyszłoby mi to na myśl, gdyby nie to, że nasz morderca przedobrzył. Poszedł o jeden krok za daleko. Wykorzystał wiedzę, którą miały tylko dwie osoby. Pomyślcie! O tym, że Justyna mnie zdradziła, wiedziałeś tylko ty, Kryński. Mówiłeś o tym komuś? Nie musisz zaprzeczać. Wiem, że nie. Poza tobą powiedziałem o tym tylko jednej osobie. Naszej drogiej Alicji!

Szturchnął ją lekko i roześmiał się, gdy zaczęła wierzgać histerycznie. Znów chwycił ją za ramiona i przytrzymał. Lufy pistoletów mierzyły w jego stronę.

– Małej, niewinnej Alicji, która tak nienawidziła Beaty, że postanowiła ją zabić. Ba! Postanowiła pobawić się w seryjną morderczynię. Wiecie, co jej w tym pomogło? Praca! Nasza mała Alicja dobrze wie, jak działa ludzki organizm, i wie, jak sprawić, by przestał działać. – Szarpnął ją, by się uspokoiła. – Tak naprawdę sama mi o tym powiedziała. Powiedziała o konflikcie z Beatą i o tym, jak bardzo jej nienawidziła, jak była o nią zazdrosna. Potem oczywiście twierdziła, że się pogodziły i zaprzyjaźniły, ale jej mowa ciała zdradzała, że mija się z prawdą. Po prostu wtedy wiedziałem, że coś jest nie tak, że nie mówi całej prawdy. Zabiła Beatę i chciała w to wrobić nas obu, Kryński. Ja byłem przypadkowy, ale na tobie chciała się koncertowo odegrać za to, że puknąłeś inną. Prawie jej się to udało.

Alicja kręciła głową jak oszalała. Drżała, z trudem łapiąc powietrze. Po jej policzkach płynęły łzy.

– Jest świetną aktorką – powiedział Wolczuk. – Wtedy, gdy się poznaliśmy, załatwiła mi nocleg w klasztorze po to, abym był pod ręką. To, że zabiła tych ludzi, którzy mnie zepchnęli do rowu, to mógł być przypadek. Przypadek albo naprawdę została opętana przez diabła. Ale

nie o tym chciałem mówić. Zabiła tych ludzi, a potem nagle spotkaliśmy się na rynku, poszliśmy na kawę. Przyznaję, myślałem, że to ja ją uwodzę, lecz było zupełnie odwrotnie. To ona dążyła do tego, abyśmy się zbliżyli. Później, gdy zwabiła mnie do kościoła, myślała, że to już koniec kłopotów, nie przypuszczała, że ucieknę. To był przypadek, że dowiedziała się o tym niemal od razu. Kiedy wracała do domu, nagle wybiegłem jej przed maskę. Była zaskoczona i zareagowała odruchowo. Nacisnęła na gaz. Na hamulec dopiero tuż po uderzeniu. Chciała mnie zabić. To zresztą byłoby wtedy dla niej nawet lepsze, niż gdybym został znaleziony w kościele. Jako trup nie mógłbym się bronić. Niestety miałem fart. Przeżyłem. Dlatego mnie do siebie zabrała i nie chciała wypuścić. Dlatego mnie uwiodła. Przykro mi, Kryński, ale taka jest prawda... Zrobiła to, bo chciała wiedzieć, co robię. Znać każdy mój krok, trzymać rękę na pulsie. Odtąd zaczęła mną sama kierować. Czy lekarz był z nią w zмовie, czy go przekupiła, czy tylko wykorzystała, nie wiem. Faktem jest, że odegrał kluczową rolę w skierowaniu podejrzeń na ciebie, Kryński. Później już poszło. Wstyd się przyznać, ale w pewnym momencie w to uwierzyłem. Po naszej rozmowie nawet bardziej, lecz to było zbyt... Nie wiem, jak to powiedzieć. Cały czas coś mi nie grało. Cały czas podświadomie wiedziałem, że to nie ty. W pewnym momencie wydawało mi się nawet, że to może...

Drgnął, jakby odrzucając od siebie myśl.

– Tłumiłem to jednak, bo chciałem dorwać drania, który zabił Beatę i usiłował zabić też mnie. Wtedy jeszcze wierzyłem, że to ty, ale chciałem mieć mocny dowód. Coś więcej niż plotki. Dlatego włamałem się do komputera Krawczyka. Myślałem, że znajdę tam coś, co cię załatwi. Zamiast tego znalazłem kartę Alicji. Rozumiesz? Nigdy jej nie spytałem, skąd tak dobrze znała Krawczyka i Beatę. Nie wiem, czy by mi powiedziała prawdę. Czy przyznałaby się do tego, że sama się leczyła, że miała też problemy z agresją. To wszystko znalazłem u Krawczyka. To i trochę więcej, bo badał ją nie tylko psycholog, ale i psychiatra. Dopiero wtedy zrozumiałem, co się mogło stać. Zacząłem składać to do kupy. Analizować kawałek po kawałku. Wniosek był

jeden: mordercą jest Alicja.

– Mylisz się, Wolczuk. – Kryński pokręcił głową.

– Nie ma takiej opcji. Ojciec Teofil miał rację, mówiąc, że zło miesza ludziom w głowach...

– Ojciec Teofil nie żyje od piętnastu lat i dobrze o tym wiesz.

– Co ty... – Wolczuk zadrżał. – Co ty mówisz, Kryński. Rozmawiałem z nim kilka dni temu!

– Nie, nie rozmawiałeś. Facet jest trupem od piętnastu lat. Ma grób w okolicy Kalisza.

– Nie!

– Ma grób przy klasztorze. Tym samym, w którym został zabity. Pamiętasz?

– Kurwa, Kryński, co ty pieprzysz! – Złapał Alicję za szyję, aż jęknęła.

– Jesteście w zмовie, tak?!

– Nie, nie jesteśmy, Wolczuk. A może raczej Ruszczyk, co? Bo tak naprawdę wcale nie nazywasz się Damian Wolczuk, tylko Patryk Ruszczyk. Ten sam Patryk Ruszczyk, o którym mi opowiadałeś.

– To kłamstwo!

– Wiem, że w to wierzysz. Naprawdę myślisz, że jesteś Wolczukiem, ale to tylko wytwór chorego umysłu. Bo jesteś chory. Nic nikomu nie mówiłeś, ale leczyłeś się psychiatrycznie. Osobowość mnoga, prawda? Brałeś leki. Haloperidol. Wszystko było okej, a potem lek się skończył. Skończył albo sam wyrzuciłeś wszystkie pastylki. Zostało tylko puste opakowanie w schowku w samochodzie. Widziałem je na własne oczy.

– Ktoś mi je musiał podrzucić! Nie rozumiesz? Ktoś się włamał do mojego auta po to, abyś tak myślał!

– To mogło być prawdopodobne, gdyby nie fakt, że sam to zrobiłeś, Ruszczyk. Wybiłeś szybę, pozorując włamanie, którego nie było. Chciałeś być cwany, ale...

– Nie nazywaj mnie tak!

– Przed chwilą sam się zdradziłeś. Gdybyś to nie był ty, to nie wiedziałbyś o tym, że De Latour nie żyje. Nie wiedziałbyś też o włamaniu. Twój telefon był wyłączony. Ani ja, ani mechanik nie mogliśmy się do ciebie dodzwonić.

– Ja... To są kłamstwa. On kłamie! – krzyknął to do Karoliny, która przesunęła się bliżej ściany. Wyraźnie szukała lepszej pozycji do strzału.

– Ale nawet jeśli byś odebrał telefon, to i tak by się ta sztuczka nie udała, Ruszczyk. Mechanik lubi się zabezpieczyć i zawsze sporządza fotograficzną dokumentację przyjmowanych aut. Kompletną. Również zawartości schowka.

– Ja nie jestem Ruszczyk – wyszeptał.

– Jesteś i sam podałeś mi to na tacy. Twoje wyniki badań krwi. Zostały w samochodzie. Mało istotna rzecz, prawda? Tylko nie przewidziałeś jednego. Zbiegu okoliczności. Nie przewidziałeś, że sprawą będzie się zajmował ten sam prokurator co przed laty. Szansa jedna na milion. A jednak...

– Painer... Przecież Painer sam ci mówił, że to ja jestem celem, że on chce mnie zrobić! Darek, na litość...

– Owszem, mówił. Był o tym przekonany i chciał cię uratować. Odplacić za to, co wtedy zrobił. Ale te wyniki, Ruszczyk... Twoja grupa krwi.

– Nie!

– Tak. Painer nie mógł się pogodzić z przeszłością. Żył tym i wciąż trzymał część dokumentacji. Twojej i prawdziwego Wolczuka. Miał też dane medyczne. Rozumiesz?

– Nie, to nieprawda. – W jego głosie nie było już pewności. – Ja jestem Damian Wolczuk.

– Wierzę, że tak myślisz. Przynajmniej od czasu do czasu... Podejrzewam, że przyjąłeś jego tożsamość już dawno, że w nią uwierzyłeś. Jakieś pięć lat temu, gdy przestałeś wysyłać Painerowi listy. Wtedy pewnie nowa tożsamość stłamsiła starą.

– Nie mów tak, Kryński, to wszystko nieprawda.

– Było okej aż do chwili, gdy zastałeś ich w łóżku. To był wstrząs. Zburzył twój świat i twoją osobowość. Ruszczyk wrócił. Zacząłeś zabijać.

– Nie mów tak! – Zatkał uszy.

Kryński poczekał, aż się opanuje i opuści ręce. Sam też opuścił broń.

Zbytnio mu już ciążyła. Karolina nie poszła w jego ślady. Wciąż mierzyła do Ruszczyka.

– Wiem, że uważasz się za Wolczuka. To twoja osobowość, która jest trochę wkurzająca, ale wcale nie jest zła. Ja to wiem, pamiętaj! Tyle że pod nią kryje się ta druga, rozumiesz? Osobowość psychopaty Ruszczyka.

– Wiedziałbym o tym przecież. Gdyby tak było, nigdy bym was tu nie ściągnął. Pomyślcie!

– Wiesz, ja nie jestem specjalistą, ale ktoś mi to tłumaczył, że w jednej głowie może być wiele osobowości, które o sobie nawzajem nie wiedzą.

– Przecież bym wiedział... Naprawdę!

– W tamten czwartek rozsadzała cię frustracja. Tak jak każdego na twoim miejscu. Ten SUV, który cię uderzył, wcale nie zepchnął cię z drogi, tylko zarysował i odjechał. Może nawet tego nie zarejestrowali, może uciekli świadomie. Pojechałeś za nimi i dałeś upust wściekłości. Oni ci to ułatwili, bo ledwo trzymali się na nogach. W bagażniku znalazłeś szkielet i go zabrałeś. Wróciłeś z powrotem na miejsce stłuczki i kiedy zobaczyłeś, że coś się zbliża, sam zjechałeś do rowu. W ten sposób miałeś niemal naocznego świadka.

– Nieprawda! – Schylił się po latarkę. Chwilę walczył z przełącznikiem, po czym skierował drżący snop światła za swoje prawe ramię. Oświetlił niewielkie zagłębienie, z którego wystawała kupka kości. Pozwolił, by je zobaczyli, a potem zgasił i odrzucił latarkę.

– To Alicja go tu przyniosła. On jej kazał to zrobić. Jest opętana i miesza wam teraz w głowach!

– Co ci zawiniła Beata? Nie chciała się z tobą spotkać czy po prostu była i mogłeś ukarać ją za to, co zrobiła Justyna?

– To nie tak, ona, ona... Nie! – wrzasnął. – Ja jej nie zabiłem!

– Ty nie, zrobił to Ruszczyk.

– Nie mów tak do mnie!

– Nie powiedziałem. Ty jesteś Damian Wolczuk, prawda?

– Tak!

– Dobrze... Pobiłeś księdza, bo Ruszczyk miał do nich uraz. Myślę, że

walczyliście ze sobą. Ty i Ruszczyk. Dlatego zemdlałeś. Nie chciałeś, aby to robił, prawda, Damian? Nie chciałeś, aby krzywdził ludzi.

– Nie chciałem...

– Ale on chciał. Pojechał do Warszawy i zabił ich oboje. Kobietę, która sprawiła ci ból, i jej kochanka.

– Byłem wtedy tutaj, przecież wiesz!

– A jednak nie. Nie wiem jeszcze, jak zapewniłeś sobie alibi. Wiem, że na pewno nie byłeś tutaj. Byłeś w Warszawie.

– Przecież nie mogłem tam jechać, nie miałem czym!

– Miałeś. Dwójka dzieciaków, które zaoferowały, że cię podrzucą do Chęcina. Ich ciała jeszcze nie znaleźliśmy, lecz mamy samochód. Samochód i zwłoki De Latoura. Mamy też nagrania z monitoringu na trasie do Warszawy.

– To niemożliwe...

– Wiesz, co myślę? Myślę, że to morderstwo w Lipowicy to był przypadek, ślepy traf. Po prostu puściły ci nerwy, ale dalej działałeś już z pełną premedytacją i na trzeźwo. Myślę, że chciałeś pognać Painera. Znow z niego zadrwić.

– Przecież ja nie wiedziałem...

– Wiedziałeś. Mogłeś obserwować wszystko z ukrycia i rozpoznać Painera, a nawet jeśli nie, to w piątek byłeś na komisariacie dwa razy. Ktoś mógł przy tobie wymówić jego nazwisko. Przez telefon albo w rozmowie, za ścianą. Są cienkie, dużo przez nie słyhać. Na pewno mogłeś jego nazwisko przeczytać na dokumentach, które leżały na moim biurku. Dotyczyły morderstwa w Lipowicy i nie powinny być na wierzchu. To moje niedopatrzenie.

– Ale przecież... Przecież to wszystko niemożliwe. Znasz mnie, Darek!

– Od początku wydawało mi się, że coś z tobą jest nie tak. Myślałem, że jesteś po prostu zblazowanym dupkiem, ale to było coś więcej.

– Przecież Teofil... Tyle razy z nim rozmawiałem...

– Przy świadkach?

Wolczuk nie odpowiedział. Oklapł i siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu. Drżał. Z oczu płynęły mu łzy. Odbijała się w nich poświata bladego, ledowego światła.

– Najwyższy czas, kolego, żebyś się grzecznie położył na ziemi – powiedziała Karolina. Zmieniła pozycję na wygodniejszą.

– Zrób to, Damian – zachęcił Kryński. – Wiemy, że nie chciałeś, aby to się stało, że to nie ty. Musimy jednak dorwać Ruszczyka, rozumiesz to przecież.

– Tak – szepnął. – Musicie dorwać Ruszczyka. Musi zapłacić za to, co zrobił tym ludziom. Za to, co zrobił mnie...

– Właśnie tak, Damian. Teraz powoli odsuń się od Alicji i połóż pod ścianą. Cały czas trzymaj ręce tak, abyśmy je widzieli.

– Dobrze. – Pokiwał głową i zaczął się podnosić. Odsunął dłonie od ciała, pokazując, że są puste.

– Świetnie, kolego, o to właśnie chodzi – pochwaliła Karolina. – Teraz powoli przesuń się pod ścianę. Małymi kroczkami.

– Przepraszam, Alicjo, naprawdę nie chciałem ci zrobić krzywdy.

– Wiemy, Damian – zapewnił go Kryński. – Alicji nic nie będzie.

Pół metra, metr.

– Powolutku, kolego.

– Wiem, jak umarł ojciec Teofil – szepnął Damian.

– My też wiemy, nie musisz mówić.

– On naprawdę chciał pomóc Patrykowi. Wierzył w niego.

– Nie myśl o tym.

– Patryk go udusił.

– To już nie ma znaczenia, Damian.

– Ma, bo za to też nigdy nie odpowiedział. Ani za Monikę.

– Już się możesz położyć. Tam, gdzie jesteś, kolego. Powolutku.

Z tyłu, od strony wejścia, echo przyniosło czyjś głos. W tym samym momencie Ruszczyk sięgnął za plecy.

– Pistolet! – krzyknął Kryński, unosząc broń. Nie zdążył.

Huk wystrzału szarpnął powietrzem. Spotęgowany echem, uderzył w bębenki, wwiерcił się w mózg. Telefon oświetlający korytarz przewrócił się od wstrząsu. Upadł też Kryński, powalony siłą pocisku. Kolejne dwa strzały oddane przez Karolinę zlały się z pierwszym. Były szybkie, ale niecelne. Oślepią błyskiem z lufy i światłem przewracającego się telefonu, odruchowo uniosła broń, aby nie

postrzelić zakładniczki. Jej pociski odłupały kawałki sufitu, zrykoszetowały. Ruszczyk rzucił się w głąb tunelu. W ciemność, która nagle zapadła.

– Kurwa! – Kryński nie słyszał własnego głosu. Przekręcił się i złapał za ramię. Czuł pod palcami ciepłą, lepłą krew.

– W porządku! – krzyknął do Karoliny, choć wiedział, że tak nie jest. Nie do końca. Kula przeszła na wylot. Chyba nie uszkodziła kości, ale krwawiło i bolało jak diabli. Policjantka chwyciła go za nogę. Musiała szukać po omacku, bo nie mogła go zobaczyć. Pomyślał, że nie powinna tego robić, że wprawdzie powinna pomóc Alicji.

Kolejny huk i błysk. Dalej, w głębi korytarza. Pocisk poszedł wysoko, słyszeli, jak rykoszetuje. Karolina puściła Kryńskiego i przywarła do ziemi. Był przekonany, że zrobiła to, by uniknąć kuli, ale tak nie było. Szukała latarki, tej samej, którą Ruszczyk kazał mu wyłączyć i odłożyć na ziemię. Zrozumiał to, gdy nerwowy snop światła zalał jaskinię. Na chwilę oślepił Kryńskiego.

– W porządku! – powtórzył, mrużąc oczy.

Karolina podbiegła do Alicji. Przyklękła przy niej. To było ryzykowne, bo była teraz łatwym celem. Oświetlała korytarz, lecz nie mogła cały czas celować w tamtą stronę. Jeśli chciała sprawdzić, co z zakładniczką, musiała odłożyć broń.

– Ruszczyk, poddaj się! – krzyknęła. – Wyjdź z rękami w górze. Powoli!

Kryński podniósł się niezgrabnie. Lewa ręka i bark pulsowały bólem, drętwiały. To jednak nie miało znaczenia. Prawa była w porządku. Podniósł pistolet.

– Ubezpieczam – zawołał do Karoliny.

– Jest cała! – potwierdziła po chwili.

Grupa była blisko. Słyszeli ich za plecami.

Kryński spojrział na Alicję, a potem na Karolinę. Zrozumiała, że nie zamierza czekać. Kiwnęła głową i ruszyła przodem.

– Damian, rzuć broń i wyjdź z rękami w górze! – krzyknął Kryński. – Stąd nie ma wyjścia!

– Jest! – Echo uniemożliwiało ocenę odległości. Ruszczyk mógł być

kilka lub kilkadziesiąt metrów dalej. Może przyczał się w jakimś załomie, a może wciąż oddalał.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy, Damian!

Coś się poruszyło kilka metrów przed nimi, po prawej. Stłumiony huk wystrzału szarpnął powietrzem. Bezwładne ciało zważyło się na ziemię.

Kryński doskoczył do Ruszczyka i odtrącił broń poza jego zasięg. Niepotrzebnie. Sprężone gazy wylotowe wyrwały dziurę w jego piersi. Krew ciekła jak z przerwanego szlauchu. Pulsowała. Wyglądało to cholernie źle. Kryński odwrócił się do wejścia.

– Potrzebny lekarz!

Karolina pojawiła się tuż obok.

– Wyręczył nas. – Opuściła pistolet.

– Kurwa, Damian! – Kryński pochylił się nad nim. Jeszcze żył. Wpatrywał się w policjanta, poruszając bezgłośnie ustami. Zakrztusił się i odkaszlnął. Krew spłynęła mu po brodzie i policzku. Sprawiała, że wykrzywione w uśmiechu usta wyglądały upiornie.

– Dorwaliście Ruszczyka, Kryński. Dorwaliście go... – wycharczał.

– Zaraz będzie pomoc. Trzymaj się, człowieku!

Zamknął oczy.

– Trzymaj się, Wolczuk! – powiedział, przykładając palce do jego szyi. Nie wyczuł pulsu. Ratownik medyczny uklęknął z drugiej strony i zabrał się do roboty. Z góry skazanej na porażkę.

Czasami ucieczka jest najlepszym wyjściem. Damian Wolczuk naprawdę rozumiał to doskonale.

Wtorek

127

Minęły dwa tygodnie. Beatę pochowano na cmentarzu w Chęcinach. Ciała pary dzieciaków znaleziono w kamieniołomie Zygmuntówka na Czerwonej Górze. Ksiądz odzyskał przytomność i wszystko wskazywało na to, że za jakiś czas wypuszczą go ze szpitala. Alicja Lipińska powoli wracała do równowagi. Pomagał jej w tym psycholog z Kielc.

Piotr Florczyk przeżył przygodę życia. Okazało się, że w tamten pamiętny czwartek wysiadł w Chęcinach. Nie było go więc w samochodzie w trakcie stłuczki. Zabójstwem kolegów się nie przejął. Nie lubił ich. Nikogo nie lubił. Obiecał pozwać policję za bezprawne zatrzymanie i szkody moralne, jakie odniósł w jego trakcie. Jego podobieństwo fizyczne do Ruszczyka nie było aż tak uderzające. Chłopak ze stacji paliw trochę koloryzował.

Sprawę ogłoszono sukcesem, którym równo podzieliła się policja z prokuraturą. Z Karoliny Kaniewskiej zrobiono celebrytkę. Udzieliła paru wywiadów, pojawiła się na okładkach kilku pism, nie tylko branżowych. Otrzymała nawet propozycję sesji zdjęciowej do „Playboya”. Nie chciała powiedzieć, czy ją przyjęła.

Z Painera próbowano zrobić bohatera. Nie bardzo mu to jednak było na rękę. Wolał zasłaniać się rzecznikiem. Nie uważał zresztą, że odnieśli sukces. Morderca nie stanął przed sądem, nie odpowiedział za swoje czyny. Dla Painera była to porażka. Na konferencję prasową przyszedł niechętnie, z ręką na temblaku i obandażowaną głową. Starał się być

jednak rzeczowy i uprzejmy. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że przyszedł w nowym garniturze.

– Brawo, ogromny postęp! – pochwalił go prokurator okręgowy, gdy czekali razem na dziennikarzy. – Odkrył pan lata osiemdziesiąte!

Painer nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy zdąży wrócić do pełni sprawności przed wrześniowymi wyścigami motocyklowymi w Brannej.

Udział Kryńskiego prasa zmarginalizowała. Z jednej strony czuł zawód, z drugiej zadowolenie, że nikt mu nie zawraca tyłka. Nikt poza Dorotą, która zdecydowała, że na razie nie będzie kończyć tego romansu i poświęci Kryńskiemu jeszcze trochę czasu. Na pewnych warunkach oczywiście. W tajemnicy przed wszystkimi zaczęła pisać książkę, luźno opartą na minionych wydarzeniach.

Starego subaru forestera nie dało się uratować. Poszedł na złom.

128

– Wiem, jak to zrobił! – pochwaliła się Dorota, sięgając po dżin z tonikiem, którym poczęstował ich prokurator Painer. Siedzieli w trójkę w jego mieszkaniu. Dorota z Darkiem na kanapie, a Painer przy otwartych drzwiach balkonowych. Jak zwykle z camelem w ustach.

– Co?

– Wiem, jak zapewnił sobie alibi na czas zabójstwa Budziszowskiej i De Latoura. Rozmawiałam ze znajomym informatykiem.

– Zamieniam się w słuch. – Prokurator strzepał popiół do popielniczki.

– To banalne, ale trzeba wiedzieć, jak działa. Otóż każdy plik, który zapisujemy na komputerze, zostaje zapisany z daną datą i godziną. To jasne i nie można tego zmienić wstecznie. Można co najwyżej zapisać go ponownie z datą i godziną późniejszą. Ale! – Podniosła palec. – Ale data i godzina pobierane są z zegara systemowego, który teoretycznie sam się synchronizuje, gdy tylko jest online. To jest funkcja domyślna w systemie. Można ją jednak wyłączyć i ustawić zegar systemowy na

dowolny czas. Na przykład na kilka dni wstecz. Wtedy każdy plik, który zapiszemy, zapisze się właśnie z taką datą. Tą, którą ustawiliśmy jako systemową. Gdy ponownie przestawimy zegar na właściwy czas, daty w plikach się nie zmieniają. Zostaną dokładnie takie, jak w chwili zapisu.

– Nie przypuszczałem, że to takie proste – mruknął Kryński. – Wyrolował nas koncertowo. Podobnie jak z zepchnięciem z drogi. Nie pomyśleliśmy o tym wcześniej, a wystarczyło sprawdzić zeszyt stróża z budowy. Notują w nim wszystkie zdarzenia, bo wymaga tego kierownictwo i ubezpieczalnia. Od chwili, gdy stróż przepłoszył pasażerów SUV-a, do momentu, gdy Wolczuk, to znaczy Ruszczyk, zjechał do rowu, minęły ponad dwie godziny. – Napił się. – Podobnie było w noc, gdy zamordował Beatę. Mieliśmy zgłoszenie o krzykach w lesie i zeznania pracowników stacji paliw, według których Ruszczyk czekał w tym czasie na Alicję. Świetne alibi, tyle że po przyciśnięciu świadków wyszło, że krzyki zgłosili ponad godzinę po tym, gdy je usłyszeli. Najpierw zastanawiali się, czy powinni w ogóle do nas dzwonić, a potem bali się przyznać do zwłoki.

– Dobrze, to mamy. Tak samo jak to, że pistolet zabrał z samochodu w piaskowni. Właściciel broni nie mógł jej użyć, bo w chwili ataku był w wodzie. Teraz pytanie, jak Ruszczykowi udało się wchodzić i wychodzić z klasztoru po zamknięciu bramy – zainteresowała się Dorota. – Wspinał się po murze?

– Rozmawiałem z Danielem. Da się to zrobić w prostszy sposób. Pokazał mi jak.

– W porządku – zgodził się Painer. – Wiemy już, że legenda o diable i różańcu nigdy nie istniała. Ruszczyk ją zmyślił, opierając się na kilku faktach, o których przeczytał w internecie, i koloryzując resztę. Mamy jednak prawdziwy różaniec i stary szkielet.

– O właśnie! Czytał pan już dokumenty z laboratorium? – W oczach Doroty pojawił się figlarny błysk.

– Nie.

– Badanie paliczka, które zrobiliśmy, wykazało, że kość ma około stu lat. Ale różaniec był starszy.

– To może ja powiem – wtrącił się Kryński. – Tydzień siedziałem na tych wykopkach z archeologami. Znaleźli jeszcze dwa ciała. To byli żołnierze austriaccy. Podczas pierwszej wojny światowej był tu w okolicy straszny młyn. Do dziś zachowały się niektóre okopy. Podczas drugiej wojny zresztą też. W każdym razie ci trzej nie mieli szczęścia. Zginęli i zostali pochowani tu, gdzie padli. To nietypowe, bo raczej starano się wtedy chować żołnierzy razem. Tworzono niewielkie cmentarze, takie jak na przykład w Bocheńcu czy Papierni. Tu po prostu zakopano ich na polu. Bez oporządzenia, ale z nieśmiertelnikami. Jeden nie przetrwał, lecz z dwóch udało się odczytać nazwiska żołnierzy. Nie wiem jak, nie pytajcie – zastrzegł. – W każdym razie jest dużo ludzi, którzy interesują się takimi sprawami. W każdym kraju, w Austrii też. To wszystko pasjonaci, których kręcą takie tajemnice. Rzucają się na nie jak... – Dostrzegł krytyczne spojrzenie Painera i wrócił do meritum. – Nie dość, że udało się odtworzyć szlak bojowy naszego rzekomego diabła, to jeszcze dotarli do kogoś z jego rodziny. Był uznany za zaginionego.

– Tak szybko? – zdziwił się prokurator.

– Internet. – Kryński wzruszył ramionami. – Najciekawsze jest to, że różaniec był rodzinną pamiątką przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Matka dała go synowi, gdy ruszał na front. Naprawdę był wykonany z kości. Zwierzęcych, nie ludzkich. Nie wiadomo, ile miał lat. Może rzeczywiście pochodził ze średniowiecza?

– Aż tak stary raczej nie był – sprostowała Dorota. – Ale siedemnasty wiek jest możliwy.

– Odesłali go rodzinie. Ma być z tego jakaś impreza w konsulacie.

– Chociaż tyle dobrego, że rodzina się po latach dowiedziała. – Pokiwała w zamyśleniu głową. – Ciekawe, co się stało z prawdziwym Wolczukiem.

– Jestem pewien, że nie żyje. Niestety. – Painer zgasił papierosa. – Trochę poszperałem i uważam, że Ruszczyk przejął jego osobowość po śmierci babki. Wtedy gdy Wolczuk dostał się na studia na Śląsku. Dopadł go gdzieś po drodze. Z domu wyjechał Wolczuk, a na uczelni pojawił się Ruszczyk.

– To naprawdę przykre.
– Najgorsze jest to, że on w końcu uwierzył, że jest Wolczukiem – powiedział Kryński. – Nie chciał być zły i tak naprawdę z tym walczył. Wierzył, że morderca musi ponieść karę. W pewnym sensie ścigał sam siebie.

– To był chory człowiek, ale tak, masz rację, że odezwało się w nim sumienie.

– Chyba go nie usprawiedliwiacie? – obruszyła się Dorota.

– W żadnym razie. Po prostu staramy się zrozumieć – wyjaśnił Kryński.

– Czyli strzeliłbyś do niego, gdybyś zdążył?

– Tak, ale celowałbym w nogi.

– Ryzykowne.

– Ale humanitarne.

– Naiwniak – prychnęła.

– Wasze zdrowie! – Prokurator uniósł szklankę. Wypili i rozmawiali jeszcze jakiś czas. Potem Kryński zadzwonił po taksówkę.

Stali już w drzwiach, po pożegnaniu i uściskach dłoni, gdy Painer sobie o czymś przypomniał.

– Kryński, jeszcze jedno. Gdybyś chciał się przenieść z powrotem do Kielc, do dochodzeniówki, to Więćławski nie będzie ci już robił problemów.

– Skąd pan wie?

– Powiedzmy, że przydałby mi się łebski śledczy pod ręką. Techniczkę już mam. – Uśmiechnął się.

– Pomyślę...

– Pomyśl dobrze. Dobrej nocy.

Noc była gwieździsta. Wyszli przed blok i rozmawiali o tym, co będą robić, gdy wrócą do mieszkania Doroty.

Co do samej istoty zdarzenia byli zgodni. Pozostawała kwestia, pod jaki paragraf je będzie można podciągnąć. Na taksówkę nie musieli długo czekać. Biały mercedes wtoczył się majestatycznie na parking

i zatrzymał tuż obok. Kremowa, skórzana tapicerka i miła muzyka w radiu obiecywały przyjemną przejażdżkę.

Dobry początek jeszcze przyjemniejszej nocy.

KONIEC

Pragnę gorąco podziękować:

Mojej Żonie za bezcenną pomoc, wiarę i natchnienie, bez których napisanie niniejszej książki nie byłoby możliwe.

Prokuratorowi okręgowemu panu Dariuszowi Dryjasowi oraz panu **Danielowi Prokopowiczowi** za pomoc i wprowadzenie w świat prokuratury, dzięki czemu Arkadiusz Painer mógł nabrać literackiego blasku.

Robertowi Śliszowi, który był skarbnicą wiedzy we wszystkich kwestiach medycznych.

Kazimierzowi Kyrzowi, Dariuszowi Wąsikowi, Aleksandrowi Opoce i Dariuszowi Ulfigowi za konsultacje i ciekawostki dotyczące żmudnej pracy policji.

Dominikowi Kowalskiemu, który w dzień i w nocy był gotów dzielić się ze mną swą oszałamiającą wiedzą historyczną.

Grzegorzowi Kempce za ciepłe przyjęcie i poświęcony czas, które pozwoliły poczuć ducha klasztoru.

Adrianowi Tomczykowi za to, że dostrzegł w tej opowieści potencjał i umiejętnie pomógł go wydobyć.

Policjantom z komisariatu w Chęcinach.